

**Bestsellerowa smocza saga już w Polsce!**

**PRAWA DO EKRYANIZACJI KUPIONE PRZEZ UNIVERSAL PICTURES**

# TALON



**JULIE KAGAWA**

**Samotnie upadną, razem powstaną**

**Julie Kagawa**

**Talon**

*Tłumaczenie:  
Hanna Hessenmüller*

*Dla Laury i Tashy, które razem ze mną marzyły o smokach.*

*W jedności siła!*

# CZEŚĆ I

**OBSERWUJ. PRZYSWÓJ. ZINTEGRUJ SIĘ**

## EMBER

– Ember, kiedy umarli wasi rodzice? I dlaczego?

Och nie! Znowu to samo! Stłumiłam jęk i oderwałam wzrok od tego, co jaśniało za przyciemnioną szybą samochodu, czyli skąpanego w blasku słońca miasta Crescent Beach. W czarnym sedanie było chłodno, powietrze stęchłe, niestety kierowca włączył blokadę, w związku z czym o opuszczeniu szyby nie było mowy. W tym samochodzie byliśmy uziemieni od kilku godzin i nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wypuszczą mnie z tego więzienia na czterech kółkach i znajdę się na pełnym słońcu. Bo widoki za szybą były wyjątkowo pociągające. Po obu stronach drogi równiutkie szeregi palm, za palmami chodnik, za chodnikami śliczne wille na przemian z budkami z poszarzałego od słońca drewna, w których sprzedawano coś do przegryzienia, T-shirty, wosk do desek surfingowych i wiele innych rzeczy. A po jednej stronie ulicy, za tymi willami i budkami, widać było pas połyskliwego jaśniutkiego piasku, za którym migotał na turkusowo, jak gigantyczny drogocenny kamień, sam Pacyfik! Migotał i kusił spienionymi falami i niezliczoną liczbą plażowiczów pluskających się beztrąsko w połyskującej wodzie.

– Ember? Czy ty mnie słuchasz? Odpowiedz, proszę, na pytanie.

Westchnęłam i wpierając się mocniej plecami w chłodną skórę oparcia fotela, wyrecytowałam:

– Joseph i Kate Hillowie zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam siedem lat.

W lusterku wstecznym widziałam i kierowcę, i pana Ramseya. Kierowca zerkał na mnie, z tym że wcale nie z ciekawością, tylko obojętnie, natomiast siedzący obok niego pan Ramsey kilkakrotnie pokiwał ciemną głową.

– Dobrze. Mów dalej.

Pasy bezpieczeństwa nieco jednak cisnęły, dlatego najpierw usiadłam trochę inaczej, po czym kontynuowałam gładko, bez zająknięcia:

– Tamtego dnia wybrali się na broadwayowski musical „West Side Story”. Kiedy wracali do domu, najechał na nich pijany kierowca. Zginęli oboje. Mój brat i ja przeprowadziliśmy się wtedy do dziadków. Mieszkaliśmy tam, aż dziadek Bill rozchorował się bardzo poważnie. Na raka płuc, w związku z czym dziadkowie nie mogą się już nami opiekować. Dlatego przyjechaliśmy tutaj, do cioci i wujka.

Powiedziałam, co należało, i znów wlepiłam oczy w okno zafascynowana tym, co dane mi było zobaczyć, a mianowicie dwie istoty rodzaju ludzkiego na deskach surfingowych, ślizgające się po falach. Rewelacja! Czegoś takiego

nigdy dotąd nie robiłam, bo i gdzie? Po tym piachu na pustyni?! Niemożliwe. A to, co widziałam, wyglądało bardzo zachęcająco. Naprawdę bardzo, niemniej na pewno nie dawało tyle samo radości co latanie. Oczywiście, że nie, bo nie ma nic wspanialszego niż przebywanie tam, w górze, kiedy unoszą cię prądy powietrzne, kiedy wiatr owiewa ci twarz, kiedy czujesz ten wiatr pod skrzydłami... Tak właśnie jest, a ja niestety to lato miałam spędzić tylko i wyłącznie na ziemi. I stąd refleksja. Ludzie, ograniczeni do stąpania do ziemi, mają szczęście, bo nie wiedzą, co tracą. A ja niestety wiedziałam aż za dobrze.

– W porządku – oznajmił pan Ramsey i zajął się mym bratem bliźniakiem.

– Dante, jaki jest prawdziwy cel waszego pobytu w Crescent Beach?

Dante od razu, choć nieśpiesznie, zdjął słuchawki i wyłączył iPhone'a gotowy już do udzielenia odpowiedzi, bo nigdy nie tracił kontaktu z rzeczywistością. Kiedy słuchał muzyki czy oglądał telewizję, zawsze doskonale wiedział, co dzieje się dookoła. Ja nie. Jak już odpłynęłam, to na całego. Nieraz zdarzyło mi się oberwać od nauczyciela po głowie, bo po prostu nie słuchałam.

– Obserwować i przystosować się – odparł Dante jak zwykle bardzo chłodno. – Nauczyć się obcować z ludźmi, przejąć ich wzorce zachowań i dostosować się do struktury społecznej. Zrobić wszystko, by uwierzyli, że jesteście jednymi z nich.

Na co ja, oczywiście, zrobiłam odpowiednią minę, czyli efektownie wywróciłam oczami. Na co Dante z kolei, przechwyciwszy mój wzrok, nieznacznie wzruszył ramionami. Bo miał całkiem inne wnętrze niż ja. Podobny był tylko z wyglądu, oboje mieliśmy zielone oczy i wręcz nieprzyzwoicie rude włosy. Ale tam, w środku, byliśmy bardzo różni, choć bliźnięta – prawdziwy ewenement, bo u smoków nie wychodzi się razem z jednego łona. W ogóle nie wychodzi się z łona, tylko z jaja, a smoczyca zwykle w jednym łęgu składa tylko jedno jajo. Tym razem jednak były dwa! Dante i ja wykluliśmy się podczas tego samego łęgu, był więc moim bratem bliźniakiem – i nie tylko. Był także moim jedynym przyjacielem.

– Świetnie – mruknął pan Ramsey, usatysfakcjonowany, że tak dobrze pamiętamy tę opowiastkę o naszej przeszłości. Ale trudno, żeby było inaczej, skoro wbito nam ją do głowy tak skutecznie, że nawet wyrwani z najgłębszego snu wyrecytowalibyśmy ją bez zająknięcia.

Pan Ramsey ponownie zajął się tabletem, Dante iPhone'em, a ja ponownie wlepiłam oczy w to, co za oknem. Migoczący na turkusowo ocean niestety już znikł, teraz skręcaliśmy w boczną ulicę i wjeżdżaliśmy do dzielnicy willowej. Domy były prześliczne, większość biało-różowa, a każdy z nich otoczony

perfekcyjnie przystrzyżonym trawnikiem i palmami. Niektóre wille były to po prostu giganty. Tak wielkie rezydencje widziałam dotąd tylko w telewizji albo na filmach dokumentalnych, które puszczały nam nauczyciele, kiedy zaczęliśmy uczyć się o istotach rodzaju ludzkiego. Gdzie mieszkają, jak się zachowują, jak tworzą rodziny, jakimi językami się posługują. Wszystko. Poznawaliśmy gatunek ludzki i całościowo, i od podszewki.

A teraz będziemy żyć wśród nich.

Czułam coraz większe podekscytowanie. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wysiądę z samochodu i będę mogła wszystkiego dotknąć, wszystko poczuć, zobaczyć nie tylko przez okno w samochodzie. Tym bardziej że moja dotychczasowa rzeczywistość była bardzo uboga. Najpierw przebywaliśmy pod ziemią, potem już na niej, na ziemi, bo w szkole w Wielkiej Kotlinie, ale na samym jej środku, gdzie dookoła, w promieniu wielu kilometrów, oprócz Dantego, mnie i naszych nauczycieli nie było nikogo. Owszem, byliśmy tam pod ścisłą ochroną, z dala od ciekawskich spojrzeń, a więc całkowicie bezpieczni. Niemniej było to najnudniejsze miejsce pod słońcem.

Znowu zaczęłam się wiercić. Kiedy niechcący uderzyłam w oparcie fotela przede mną, pan Ramsey, wyraźnie już zirytowany, skarcił mnie:

– Ember! Siedź spokojnie!

Spojrzałam na niego, jak to się mówi, spode łba, ale usiadłam jak należy – przede wszystkim nieruchomo – bo znów usłyszałam to, co słyszałam już milion razy:

– Nie wierć się! Uspokój się! Bądź cicho!

A ja niestety nie potrafiłam siedzieć spokojnie w jednym miejscu przez dłuższy czas. Nigdy nie byłam w tym dobra, mimo że nauczyciele dokładali wszelkich starań, by wyuczyć mnie „choć odrobiny cierpliwości”. Zwłaszcza pan Smith, który przy byle okazji przynudzał:

– Cierpliwość to wielka zaleta naszego gatunku, ponieważ nawet najlepiej obmyślonego planu nie zrealizuje się w jeden dzień. I to wielki luksus, jeśli nic cię nie goni i możesz spokojnie pomyśleć, wykalkulować, by potem przekonać się, że to popłaca. Talon przetrwał przez wieki, i dalej będzie trwać, ponieważ Talon rozumie znaczenie cierpliwości. A więc skąd się u ciebie bierze ten cholerny pośpiech, pisklaku?

A z tej głupiej nadziei, proszę pana, że jeśli się pośpieszę, to wreszcie będę miała trochę czasu dla siebie, którego brakuje mi od zawsze. Czasu wolnego, kiedy będę mogła robić to, na co mam ochotę. Bo kiedy chce mi się biegać, krzyczeć, skakać i latać, wszyscy chcą, bym siedziała spokojnie, słuchała i przyswajała nową wiedzę. Bo wszystko w moim życiu odbywa się według ustalonych reguł. To wolno, tego nie. O tej porze mam być tam, tylko tam,

a nie gdzie indziej. Zawsze zgodnie z instrukcją. Żadnych odstępstw, i im byłam starsza, tym było gorzej. Każdy najmniejszy szczegół mego życia był już zaprogramowany. Zero samodzielności. W rezultacie byłam już bliska wybuchu. Nie ześwirowałam tylko dlatego, że kiedyś przecież miał nadejść dzień, gdy skończę lat szesnaście i koniec z nauką na przeklętym pustkowiu. O ile oczywiście uznają, że jestem, jak to ujmowali – gotowa – by rozpocząć następny stopień tej tresury. Staralam się więc bardzo być „gotowa”, no i udało się, skoro znalazłam się właśnie tutaj, w Crescent Beach, gdzie ja i Dante mieliśmy obserwować, przyswajać i całkowicie zintegrować się z otoczeniem. Na tym polegała nasza misja. Ale misja misją, a dla mnie i tak najważniejszy był fakt, że wreszcie zobaczę świat, o którym uczyłam się przez całe życie.

Sedan dojechał do końca ślepej uliczki i zatrzymał się na podjeździe przed niewielką, ale bardzo elegancką willą. Ja oczywiście przez cały czas siedziałam z nosem przyklejonym do szyby. Byłam bardzo podniecona, przecież ta właśnie willa miała być przez jakiś czas moim domem! A dom ten usadowiony był za niewielkim trawnikiem o krótko ściętej murawie, na której rosły krzewy i jedna samotna palma. Całość okolona była ceglanym chodnikiem. Ściany domu pomalowane były na wesoły jasnożółty kolor, dach pokryty bordowymi dachówkami. Okna na piętrze wielkie, o szybach połyskujących w promieniach popołudniowego słońca. Drzwi od frontu osadzone w ostrołukowym portalu, prawie jak wejście do zamku! Ale i tak nie one wzbudziły we mnie największy zachwyty, tylko skrząca się tafla wody, widoczna między tą willą a sąsiednią. Bo to świadczyło, że będziemy mieli ocean tuż za naszą posesją. Rewelacja! Teraz jedynym moim pragnieniem było wyskoczyć z sedana, popędzić na wydmę i dalej, na sam dół. Tam, gdzie czekał na mnie turkusowy ocean. Niestety, pozostało to w sferze marzeń, ponieważ pan Ramsey, niewątpliwie domyślając się, co chodzi mi po głowie, obrócił się w fotelu i odezwał się tonem bardzo stanowczym, takim naprawdę nieznoszącym sprzeciwu:

– Pójdę powiedzieć waszym opiekunom, że przyjechaliście. A wy macie nie ruszać się stąd na krok. Macie czekać, póki nie wrócę!

Otworzył drzwi, wpuszczając do środka odurzający powiew świeżego, morskiego powietrza, wysiadł, trzasnął drzwiami i ruszył przed siebie po starym ceglanym chodniku. Przed siebie, czyli do willi, która czekała na nas za tym tak krótko skoszonym trawnikiem.

Naturalnie, trudno mi było usiedzieć spokojnie. Wierciłam się i bębniłam palcami w obite skórą siedzenie.

– Wow! – westchnął mój brat, wyciągając szyję, by spojrzeć ponad moim



ramieniem na nasz nowy dom. Dante niewątpliwie był tak samo podniecony jak ja, choć starał się zachować zimną krew. – Wreszcie stało się to, co miało się stać. Koniec ze szkołą na pustkowiu tylko dla dwojga uczniów, koniec z wstawaniem o szóstej dzień w dzień!

– Tak! Koniec z tym! – zawtórowałam. – Koniec z lekcjami, z salą do nauki własnej, z tymi ewaluatorami, co to co miesiąc przyjeżdżali, by sprawdzić, do jakiego stopnia staliśmy się już „ludscy”!

Kierowca oczywiście słyszał każde moje słowo, ale było mi wszystko jedno.

– Wreszcie mamy szesnaście lat! – dokończyłam uśmiechnięta od ucha do ucha. – Możemy żyć po swojemu! Jesteśmy wolni!

– Spokojnie, Ember! – Dante, uśmiechając się, pociągnął mnie żartobliwie za kosmyk krótkich rudych włosów. – Nie zapominaj, po co tu jesteśmy. Mamy przyjrzeć się im dokładnie i zasymilować w nowym otoczeniu. Nauczyć się być człowiekiem, czyli jest to po prostu kolejny etap szkolenia trwający do końca lata. Potem znowu idziemy do szkoły. A poza tym, jak wiesz, mają pojawić się tu instruktorzy, którzy zdecydują, gdzie będzie nasze miejsce w organizacji. Czyli podsumowując, z tą wolnością to lekka przesada, choć na pewno będą to w jakimś sensie wakacje, z których masz prawo się cieszyć.

– Oczywiście, że mam! I bardzo się cieszę, że tu jesteśmy!

Mój brat zupełnie nie pojmował, jak bardzo. A ja byłam u szczytu szczęścia, bo miałam już serdecznie dość tego patrzenia, jak świat się kręci bez mojego udziału. Dość Talonu, jego polityki, praw i restrykcji. Dante może sobie gadać, co chce, a ja i tak swoje wiem. To lato mimo wszystko należy do mnie i mam zamiar sobie pożyć, zanim znów na dobre wciągną mnie tryby maszyny zwanej Talonem!

Drzwi otwarły się ponownie. W progu stanął pan Ramsey, kiwając na nas, a moja cierpliwość została wystawiona na bardzo ciężką próbę, ponieważ kierowca wcale nie wyłączył blokady, w związku z czym nie mogłam od razu wyprysnąć z sedana. Musiałam odczekać, aż kierowca wysiądzie i otworzy drzwi, niestety najpierw te koło Dantego. Mój brat więc pierwszy zaczął wydobywać się z samochodu, a ja nadludzkim wysiłkiem stłumiłam w sobie nieprzepatą – och, niemal nieprzepatą! – chęć, by przesunąć się błyskawicznie na zwolnione przez niego miejsca i wysiąść zaraz po nim. Jakoś udało mi się jednak nie zrobić z siebie idiotki. Wytrzymałam na swoim miejscu, póki kierowca nie obszedł samochodu, by otworzyć drzwi po mojej stronie i – uff! – wreszcie mnie wypuścić.

Kiedy tylko moje stopy dotknęły ziemi, przede wszystkim przeciągnęłam się, wyciągając ręce nad głową jak najwyżej, po czym ziewnęłam sobie szeroko, wciągając do płuc wygrzane słońcem powietrze. I to wystarczyło,

bym już poczuła, że kocham to miejsce. Kocham jego zapach, kocham ocean, piasek, także ten nagrany słońcem, prawie gorący chodnik pod moimi stopami. A szum fal zalewających brzeg to jeden z najpiękniejszych dźwięków, jaki kiedykolwiek dotarł do moich uszu.

Ocean... Ciekawe, co by sobie pomyślał pan Ramsey i moi przyszli opiekunowie, gdybym machnęła na wszystko ręką i pomknęła właśnie tam, nad turkusową wodę...

– Ember! Dante!

Pan Ramsey, wciąż stojący w cieniu portalu, nadal kiwał na nas. Czyli ocean, niestety, musi trochę poczekać. Westchnęłam i ruszyłam do bagażnika po swoje rzeczy. Do celu jednak nie dotarłam, bo już po dwóch krokach przystanęłam, kiedy usłyszałam deklarację kierowcy, który już był przy otwartym bagażniku.

– Zajmę się bagażem, panno Ember. Proszę wejść do środka!

– Przecież mogę sama zanieść swoje rzeczy – zaprotestowałam, podchodząc bliżej i wyciągając rękę po torbę. Dłoń prawie otarła się o kierowcę, który wzdrygnął się i spojrzał w bok. Szybko więc cofnęłam rękę, ponieważ doskonale wiedziałam, o co chodzi. Nasi nauczyciele mocno uczulali nas, że wśród ludzi należących do organizacji nie brakuje takich, którzy po prostu nas się boją. Bo chociaż byliśmy ucywilizowani i potrafiliśmy idealnie stopić się z ludzką społecznością, dla nich nadal byliśmy drapieżcami zajmującymi wyższą pozycję w łańcuchu pokarmowym. I z takim właśnie przypadkiem miałam do czynienia, nie było więc sensu upierać się, tym bardziej że Dante był już lekko zniecierpliwiony.

– Ej, siostra! Chodź już!

Stał na brzegu chodnika. Ręce w kieszeniach, rude włosy w promieniach słońca po prostu szkarłatne. Sprawiał wrażenie kompletnie wyluzowanego. Jakby już czuł się tu jak u siebie.

Oczywiście szybko podeszłam do niego i po sekundzie byliśmy w środku. A tam pan Ramsey poprowadził nas do bardzo ładnego, rzęsiście oświetlonego pokoju dziennego ze wspaniałym, ogromnym oknem w wykuszu. Za oknem widać było płot ze spiczastymi sztachetami, za płotem plażę, także długi drewniany pomost, no i oczywiście nieustająco kuszący, czekający na mnie turkusowy ocean. Natomiast w pokoju czekało na nas dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, ustawieni przed kanapą obitą zieloną skórą.

Pan Ramsey uprzejmie skinął im głową, po czym przystąpił do prezentacji:

– Ember, Dante! To wasi wujostwo, ciocia Sarah i wuj Liam. Będą się wami opiekować, dopóki nie zostaną dokonane inne ustalenia.

– Miło was poznać – powiedział Dante, jak zwykle bardzo uprzejmy. Ja

natomiast oczywiście ani słowa, tylko wlepiłam oczy w naszych nowych opiekunów. Ludzi – a wszyscy ludzie na pierwszy rzut oka wydawali mi się zawsze tacy sami. Oczywiście potem zauważałam pewne różnice. I na tym się właśnie teraz skupiałam, na tych różnicach, ponieważ nasi nauczyciele wbijali nam do głowy, że te właśnie różnice to sprawa podstawowa, ponieważ dzięki nim wyodrębniły poszczególne jednostki.

Więc wyodrębniłam. „Wuj” Liam był szczupły, ogorzały, miał jasnobrązowe włosy i starannie przystrzyżoną brodę przyprószoną już siwizną. Twarz surowa, szarzielone oczy bez uśmiechu, a spojrzenie krytyczne. Takim właśnie wzrokiem wuj przemknął po nas, po czym skinął głową. Raz i energicznie. Natomiast „ciocia” Sarah była pulchna, włosy miała upięte w schludny koczek i tak ogólnie sprawiała wrażenie osoby bardzo pogodnej, wręcz radosnej, z tym że spoglądała na nas bardzo przenikliwie, prawie jak jastrząb.

Pan Ramsey, wsuwając sobie tablet pod pachę, odchrząknął i dodał:

– A więc moje zadanie na tym się kończy. Każę jeszcze Murrayowi zanieść wasze torby to waszych pokoi. Panie O’Conner, pan wie, gdzie dzwonić, gdyby wydarzyło się coś szczególnego... Ember, Dante... – Skinął głową, niby zwracając się do nas obojga, ale wzrok utkwiony był we mnie. – Pamiętajcie, że macie słuchać swoich nowych opiekunów. Za trzy miesiące przyjadą ewaluatorzy, by ocenić wasze postępy.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Bez słowa pożegnania, co dla Dantego i mnie nie było niespodzianką. My, smoki, załatwiamy sprawę krótko, bez żadnych ozdobników, skupiając się na konkretach.

Teraz głos zabrał wuj Liam:

– Ember i Dante Hillowie! Witajcie w nowym domu! – zaczął bardzo swobodnie, ze swadą. Widać było, że nie po raz pierwszy wygłasza tego rodzaju przemowę. – Jestem pewien, że zostaliście poinformowani o obowiązujących tu zasadach, niemniej jednak, tak na wszelki wypadek, pozwolę sobie je przypomnieć. Przez cały wasz pobyt w tym domu ja i Sarah, jako wasi opiekunowie, jesteśmy za was odpowiedzialni. Dzień należy do was, macie pełną swobodę. Posiłki podawane są o ósmej rano i o wpół do siódmej wieczorem, z tym że wcale nie musicie być koniecznie o tej porze w domu. Nie musicie, niemniej macie obowiązek za każdym razem skontaktować się z nami i powiadomić, gdzie aktualnie jesteście. Numery naszych telefonów na pewno znacie już na pamięć. Poza tym sprawa samochodu. Talon dał wam do dyspozycji auto, rozumiem więc, że oboje macie prawo jazdy. Samochód jest oczywiście do waszej dyspozycji, z tym że za każdym razem, kiedy będziecie chcieli gdzieś nim pojechać, należy spytać o pozwolenie. Poza tym najpóźniej

o dwunastej macie być już w domu. Nieodwołalnie. Północ to dla was godzina policyjna... A na koniec jeszcze jedna zasada, najważniejsza... – Wuj Liam na moment zawiesił głos, mrużąc szarozielone oczy. – Pod żadnym pozorem nie wolno wam przybierać prawdziwej postaci. Nigdy! Tak samo jak nie wolno wam latać. To absolutnie niedopuszczalne, ponieważ ryzyko, że ktoś was zobaczy, jest zbyt wielkie. Do tej chwili przebywaliście na terenie należącym do Talonu i pilnie strzeżonym z powietrza, ryzykowaliście więc minimalnie. Natomiast tu jest inaczej. Tu jesteście na obcym terenie, wśród ludzi, ryzyko jest ogromne i dlatego powtarzam, poddawanie się Przemianie i latanie są surowo zabronione, chyba że otrzymacie rozkaz bezpośrednio z Talonu. Czy to jasne?

Oczywiście kiwnęłam głową. Zmusiłam się, chociaż myśl o tym, że nie będę mogła latać, była dla mnie nie do zniesienia. Przecież to tragedia! Może oni w ogóle chcą, żebym już nigdy nie latała? Mam być na stałe przyspawana do ziemi? Jeśli tak... Nie, to koszmar! Jakby raptem oberwali mi skrzydła!

A wuj mówił dalej tym samym, bardzo zasadniczym tonem:

– Jeśli nie będziecie przestrzegać powyższych zasad lub jeśli uznamy, że nie pasujecie do społeczności ludzkiej, natychmiast poinformujemy o tym Talon i zostanie podjęta decyzja, czy potrzebna jest reedukacja. Jeśli nic takiego się nie wydarzy, macie, jak już wspomniałem, przez cały dzień pełną swobodę. Oczywiście do godziny policyjnej. Czy są jakieś pytania?

Oczywiście, że tak. Bo odnośnie do jednego miejsca, dla mnie najbardziej pociągającego, wołałam się upewnić. Czy również tam będę miała pełną swobodę?

– Czy na plażę też możemy chodzić, kiedy chcemy?

– Oczywiście, Ember! – odparła Sarah, uśmiechając się nawet sympatycznie. – To plaża publiczna, dostępna dla wszystkich. Możecie chodzić tam o dowolnej porze, zostać tak długo, jak chcecie, z tym że najpóźniej o północy macie być w domu. A plaża to najlepsze miejsce do poznania rówieśników. Zawsze są tam tłumy młodych ludzi... A teraz, proszę, chodźcie ze mną. Pokażę wam wasze pokoje i będziecie mogli się rozpakować.

Skinęła pulchną ręką, a ja w sekundę byłam już przy niej. Przecież to, co przed chwilą powiedziała, w moich uszach zabrzmiało jak najpiękniejsza muzyka...

Mój pokój był na ostatnim piętrze. Pokój jasny i przestronny, o ścianach pomalowanych na wesoły pomarańczowy kolor. Okna wielkie, a z tych okien fantastyczny widok na plażę. Jakbym potrzebowała dodatkowej zachęty! Ja, która kiedy tylko Sarah wyszła z pokoju, natychmiast podskoczyłam do jednej

z toreb i wyciągnęłam zielony dwuczęściowy kostium kąpielowy oraz dżinsowe szorty. Tylko to, resztą rzeczy zamierzałam zająć się potem. A tych rzeczy było niemało, bo Talon wyposażył nas hojnie w mnóstwo ciuchów, w jakich chodzi się w słonecznej Kalifornii, to znaczy kostiumy kąpielowe, szorty, T-shirty i sandały.

Czyli naprawdę musiało im zależeć, żebyśmy idealnie stopili się z otoczeniem.

Przebrałam się szybko, a potem jeszcze raz sięgnęłam do torby i ostrożnie wyjęłam coś, co było schowane między miękkimi koszulkami. Szkatułka z moimi skarbami. Tak. Bo Talon dawał nam wszystko – ubrania, jedzenie, rozrywkę – a w tej szkatułce w kształcie kuferka schowane były moje prywatne drobiazgi.

Postawiłam szkatułkę na komodzie, uniosłam wieczko i blask słońca ozłocił moje małe skarby. Kilka pierścionków, złoty naszyjnik i stare monety, które zbierałam od dłuższego czasu. Był tam też śliczny kamyk, kawałek kwarcu, który znalazłam na pustyni. Kiedy wyjęłam go ze szkatułki i podniosłam trochę wyżej, bliżej światła, od razu się roziskrzył. Dla mnie wyglądało to przepięknie, bo smoki kochają wszystko, co się skrzy, lśni i błyszczy. Mają to we krwi.

Kamyk z powrotem powędrował do szkatułki, a ja spojrzałam na siebie, oczywiście w lustrze wiszącym nad komódką. Na niewysoką drobną nastolatkę o rudych, trochę nastroszonych włosach, czyli Ember Hill w ludzkiej postaci. Bardzo długo nie mogłam się do takiej Ember przyzwyczaić. Ale było, minęło. Teraz rudowłosa istota rodzaju ludzkiego po drugiej stronie lustra nie była mi już obca.

Zerknęłam na nią, odwróciłam się na pięcie i pomknęłam do drzwi, zamierzając pobiec tam, dokąd już od pierwszej chwili tak okropnie mnie ciągnęło. Szarpnęłam za klamkę, drzwi otwarły się... I niestety ani kroku dalej, bo natrafiłam na żywą zaporę.

– O nie... – jęknął staranowany przeze mnie Dante, szybko cofając się o krok, podczas gdy ja starałam się za wszelką cenę odzyskać równowagę, żeby się na niego nie wywalić. Na mego brata, który również zdążył już się przebrać w szorty i luźny T-shirt. Ale nie uczesał się, bo rude włosy były rozwichrzone. Jak zwykle!

Spojrzał na mnie spode łba, demonstracyjnie masując klatę, jakby doznał nie wiadomo jakich obrażeń.

– Miałem zamiar wyciągnąć cię na plażę – wymamrotał. – Ale widzę, że już o tym pomyślałaś...

– Jasne! – zawołałam, uśmiechając się prowokująco. – Ścigamy się! Kto

pierwszy dobiegnie do wody!

Na co Dante, jak to Dante, zrobił odpowiednio zbolałą minę i takimż tonem odparł:

– Daj spokój, siostra. Nie jesteśmy na szkoleniu!

Oczywiście nie słuchałam go, tylko wyrwałam do przodu. Dante, jak można się było spodziewać, pognął za mną i na dwór wypadliśmy już jednocześnie. Ramię w ramię zbiegliśmy po schodkach, przeskoczyliśmy przez płot o spiczastych sztachetach, a potem już sprint, by jak najszybciej dopaść do turkusowej tafli oceanu. Bardzo lubiłam biegać. Kochałam wszystkie czynności wymagające szybkości i wysiłku, kiedy mięśnie masz napięte do granic, kiedy wiatr owiewa twarz. Z tym że oczywiście moją największą miłością było latanie, bo niczego nie da się porównać z tym cudownym uczuciem, kiedy fruniesz między chmurami. Zawsze jest cudownie, bez względu na to, czy udało ci się wyprzedzić kochanego braciszka, czy wleciesz się w ogonie.

Do wody dopadliśmy jednocześnie i w tym samym momencie wskoczyliśmy w turkusową toń. Po czym ja od razu wydałam z siebie zduszony krzyk, ponieważ nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się koło mnie wielka fala i zaląła mnie całą, brutalnie zwalając z nóg.

Dante, brnąc przez wodę, podszedł do mnie i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać. Cały czas ryczał ze śmiechu, w związku z czym sam był na granicy upadku, więc postanowiłam mu to ułatwić i chwyciwszy mocno pomocną dłoń, pociągnęłam z całej siły. W rezultacie, chcąc nie chcąc, Dante znalazł się obok mnie, również już nie w pozycji stojącej. A następna fala, też niemała, zakryła nas oboje.

Kiedy poszła już sobie, Dante natychmiast, krztusząc się i plując, zerwał się na równe nogi i potrząsając mokrą głową, zaczął wyżymać koszulkę. Ja też już stałam, co prawda na chwiejnych, bardzo nieposłusznych nogach, bo miały wielką ochotę podążać razem z ustępującą falą.

– Czy wiesz, że przed wejściem do wody należy zdjąć wierzchnie ubranie? – wymamrotał Dante, dalej zajęty swoim T-shirtem. – Normalny człowiek zawsze tak robi!

A ja nie byłabym sobą, a do tego siostrą, gdybym mu nie dobiegła.

– Super! – wykrzyknęłam, uśmiechając się od ucha do ucha. – W takim razie po co katujesz ten T-shirt? Ściągaj go, wtedy będziesz mógł zademonstrować wszystkim swój kaloryfer na brzuchu, nad którym pracowałeś przez cały rok!

Na co Dante bardzo głośno i wyraźnie:

– Ha! Ha! – A zaraz potem, wskazując palcem gdzieś za mną: – O, popatrz!

Rekin!

Oczywiście odwróciłam się błyskawicznie, a Dante równie błyskawicznie popchnął mnie prosto w nadpływającą falę. Naturalnie wrzasnęłam, ale udało mi się nie polecieć na tyłek. Dante oczywiście zaczął zwiewać. Ja za nim brzegiem oceanu, cała zachwycona, kiedy spieniona woda chlupotała pod bosymi stopami. Przebiegliśmy spory kawałek, potem daliśmy sobie spokój z tym bieganiem i dalej szliśmy już nie za szybko, krokiem spacerowym, mijając po drodze plażowiczów, zarówno pojedyncze osoby, jak i całe rodziny wylegające się na piasku. Co chwilę popatrywałam na ocean, na surferów śmigających na kolorowych deskach po falach o wiele większych niż te przy brzegu i nie po raz pierwszy zastanawiałam się, jak to naprawdę jest z tym surfowaniem. Czy istotnie jest to coś podobnego do latania? Może i tak, może nie. Najlepiej przekonać się o tym na własnej skórze, czyli samemu śmignąć na kolorowej desce.

Na skraju plaży między dwoma słupkami rozciągnięta była siatka do siatkówki plażowej. Kilka osób właśnie grało, czterech chłopaków w szortach i dwie dziewczyny w bikini. Wszyscy spaleni na brąz, jakby całe życie spędzili na słońcu. Dziewczyny szczupłe, ładne, chłopcy z nagimi torsami wysportowani, wspaniale umięśnieni. Z boku, na piasku leżały dwie lśniące żółte deski, czyli wśród tych siatkarzy musieli być surferzy, co oczywiście wzbudziło moją ciekawość. Zatrzymałam się, żeby przyjrzeć im się lepiej, oczywiście dyskretnie, z pewnej odległości, jednak Dante miał inną koncepcję. Szturchnął mnie w ramię i ruchem głowy wskazując siatkarzy, mruknął:

– Idziemy tam.

I od razu ruszył w ich stronę. Oczywiście poszłam za nim, ale na pewno minę miałam niewyraźną.

– Dante, jesteś pewien, że robimy dobrze? – spytałam cicho.

– Jasne! – zapewnił, puszczając do mnie oko. – W końcu mamy się zintegrować, prawda?

– Niby tak, ale czy musimy zaczynać już teraz? Naprawdę masz zamiar podejść do nich, do tych ludzi, i rozmawiać z nimi? Co im powiesz?

– No... zacznę chyba od „cześć” albo „hej”. Można też „siemanko”. Znam wszystkie warianty...

I szedł dalej zdecydowanym krokiem, a ja za nim z duszą na ramieniu. W chwili, gdy dochodziliśmy już do siatki, jeden z grających, chłopak niby ciemnowłosy, ale włosy miał porządnie wypłowiałe od słońca, właśnie podskoczył i odbił piłkę, nakierowując ją na jedną z dziewczyn po drugiej stronie siatki. Dziewczyna przykucnęła i zręcznie odbiła, a biała piłka

poleciała prosto na nas. Dante naturalnie ją złapał, a wszyscy grający na moment znieruchomieli, spoglądając na nas.

Dante uśmiechnął się.

– Cześć! – zawołał i rzucił piłkę do jednej z dziewczyn, tak zagapionej, że chwyciła ją dosłownie w ostatniej chwili. – Może potrzebujecie jeszcze dwóch zawodników?

Cisza, bo oni dalej się gapili. Dziewczyny oczywiście na Dantego. Dosłownie jak głupie wytrzeszczały oczy. Ale nie dziwiłam się, bo wiedziałam, że mój brat bliźniak według ludzkich standardów wygląda powalająco, z czego doskonale sobie zdawał sprawę. A to, że wyglądał właśnie tak, czyli powalająco, wcale nie było dziełem przypadku. W Talonie, kiedy dobierano nam ludzką postać, która miała nam towarzyszyć do końca życia, zawsze kierowano się zasadą, że postać ta ma być zgodna z kanonami piękna obowiązującymi wśród ludzi. I dlatego też w organizacji nie było „ludzi” brzydkich. Nie bez powodu, skoro ludzie tak żywo reagowali na piękno, podobnie jak na bogactwo, władzę, charyzmę. Ktoś, kto wszystko to posiadał, mógł bardzo łatwo do nich dotrzeć i podporządkować sobie. Tak więc Dante wyglądał powalająco i dziewczyny nie odrywały od niego oczu. A co najmniej trzech chłopaków wlepiało oczy we mnie. Gapili się jak sroka w gnat, póki jeden z nich, wysoki, z długimi jasnymi włosami, nie odezwał się, wzruszając nieznacznie ramionami:

– Jasne! Im więcej nas, tym lepiej. Zdecydujcie się, z kim gracie.

I uśmiechnął się do mnie, jakby już był pewien, że stanę po tej stronie siatki co on. Ja natomiast nie miałam jeszcze żadnej pewności, czy w ogóle gdziekolwiek stanę, ale po krótkiej chwili namysłu doszłam do wniosku, że czemu nie? Mamy przecież „dostosowywać się, zaprzyjaźniać, zaadaptować się” i tak dalej. Po to przecież nas tu przysłano!

Ustawiłam się w pierwszym rzędzie obok dziewczyny, która przedtem odbiła piłkę w naszą stronę.

– Cześć! – powiedziała i odgarniając z twarzy kosmyki długich brązowych włosów, uśmiechnęła się bardzo miło. – Jesteś tu nowa, prawda? Przyjechałaś na wakacje?

Przez sekundę patrzyłam tylko na nią, bo w mojej głowie nagle zrobiła się pustka, a potem pojawiły się gorączkowe pytania jedno za drugim. Co ona powiedziała? Co ja mam teraz zrobić? Co powiedzieć? Po prostu szok, bo po raz pierwszy odezwał się do mnie człowiek, normalny człowiek – moich nauczycieli i opiekunów tu pomijam. A ja niestety nie byłam taka, jak mój brat, który w każdej sytuacji czuł się swobodnie i zawsze wiedział, co powiedzieć. Przeciwnie, bo poczułam się jak w pułapce. Najchętniej



zrobiłabym w tył zwrot i wykonała drugi sprint tego dnia. Z powrotem do domu.

Milczałam, a dziewczyna, ku memu wielkiemu zdziwieniu, wcale nie zaśmiała się, nie wystąpiła z jakąś głupią uwagą na temat mego zachowania. Nawet nie spojrzała na mnie dziwnie, tylko po kilku minutach znów do mnie zagadnęła w chwili, gdy Dante odebrał piłkę i miał zaserwować. Właśnie podchodził do miejsca, gdzie na piasku stał jeden samotny sandał wyznaczający koniec boiska.

– Ale ja jestem głupia! Przecież nie przedstawiłam ci się! Jestem Lexi. A to mój brat, Calvin – powiedziała, ruchem głowy wskazując na wysokiego blondyna, który przedtem uśmiechnął się do mnie. – A ta cała reszta to Tyler, Kristin, Jake i Neil. Wszyscy jesteście stąd, oprócz Kristin. Jej rodzice mają tu dom letniskowy i co roku przyjeżdżają na całe lato. A wy skąd jesteście? Gdzie mieszkacie na stałe? Grałaś już kiedyś w siatkówkę?

Jedno pytanie za drugim, na szczęście nie musiałam odpowiadać od razu, ponieważ patrzyłyśmy na serwującego Dantego, który wykonał to bardzo efektownie. Najpierw piłkę podrzucił wysoko, potem piękny podskok, walnięcie i piłka śmignęła do przodu. Przeleciała nad siatką i nad moją głową, obierając sobie za cel blondyna, który odbił palcami, posyłając ją teraz do mnie. Do mnie! A ja przecież nigdy, ale to nigdy dotąd w siatkówkę nie grałam! Znałam ją tylko z telewizji, ale na szczęście smoki są niezwykle sprawne fizycznie, dlatego instynktownie wiedziałam, co mam zrobić. Podbiłam piłkę, potem uderzyłam jeszcze raz, nakierowując ją na chłopaka wypłowiałego od słońca. Uderzyłam porządnie. Piłka pruła powietrze jak rakietą. Chłopak rzucił się do niej, ale nie zdążył jej porządnie odebrać, bo odbiła się od jego ręki, pofrunęła spory kawałek w bok, upadła i potoczyła się po jaśniutkim piasku w stronę turkusowego oceanu. Wypłowiały zaklął i pobiegł za piłką, a my wszyscy po tej stronie siatki wydaliśmy radosny okrzyk.

– Super! – zawołała do mnie Lexi, tak jak wszyscy z oczami wlepionymi w Wypłowiałego, który zgarnąwszy piłkę z piasku, wracał do nas. – I chyba znam już odpowiedź na jedno z moich pytań! Niemożliwe, żebyś grała po raz pierwszy w życiu. A poza tym może powiesz, jak się nazywasz!

Poczułam, że wreszcie się odprężam. Obręcz ściskająca klatkę znika, nie mam więc najmniejszego problemu ani z odpowiedzią, ani z uśmiechaniem się nie tylko do Lexi, ale także do Calvina, który popatrywał w naszą stronę.

– Ember. Mam na imię Ember, a mój brat nazywa się Dante. Przyjechaliśmy tu na całe lato.

Graliśmy, póki niebo nie zaczęło tracić błękitu, zmieniając się w różowe i pomarańczowe, czyli słońce już zachodziło i wtedy to do Dantego raptem dotarło, że wypadaloby zadzwonić do wuja Liama. I zadzwonił z pożyczonej komórki, bo kiedy wybiegliśmy z domu, żadne z nas nie myślało o zabraniu telefonu. Zadzwonił, a potem Lexi i Calvin zaprosili nas do Smoothie Hut, czyli budki z burgerami i wieloma innym rzeczami do jedzenia i picia, stojącej na skraju plaży. Skorzystaliśmy z zaproszenia i wcale tego nie żałowałam. Przeciwnie! Byłam zachwycona, kiedy siedząc obok Lexi, przeżuwałam tłuste frytki i popijałam koktajl z mango, zapełniając żołądek czymś absolutnie dotąd nieznanym. Co nie stanowiło żadnego problemu, ponieważ układ pokarmowy smoków zdolny jest wchłonąć wszystko. Bardzo mi to smakowało, a Lexi i Calvin byli super. Czyli lato zapowiadało się wspaniale. Słońce, plaża, siatkówka, no i to żarcie! Niby śmieciowe, ale jakie dobre! Poza tym żadnych nauczycieli, trenerów czy ewaluatorów z tymi ich lodowatymi rękami i jeszcze bardziej lodowatymi spojrzeniami, śledzącymi każdy nasz ruch. A te dwie deski surfingowe, które widziałam już wcześniej, stały oparte o nasz stolik, bo były to deski Lexi i Calvina. Tak! I już zaproponowali, że nauczą mnie surfować! Czyli, podsumowując, mój pierwszy dzień, który spędzałam jako istota rodzaju ludzkiego, przebiegał bezproblemowo i nadzwyczaj przyjemnie...

Nie. Bo w pewnej chwili, kiedy patrzyłam, jak zachodzące słońce definitywnie znika za horyzontem i na poszarzałym niebie zaczynają pojawiać się pierwsze gwiazdy, nagle gdzieś w okolicy karku poczułam to charakterystyczne mrowienie, które czułam zawsze, gdy byłam pod obstrzałem oczu ewaluatora. Teraz też, czyli niewątpliwie ktoś mnie obserwował. Kto? Spojrzałam szybko na parking. Dwie dziewczyny z drinkami podchodziły do camaro. Jakaś rodzina – rodzice i dwoje malutkich jeszcze dzieci – zmierzała ku wyjściu z parkingu. Wszyscy zajęci sobą. Nikt nie patrzył na mnie. Nikt, ale to niemiłe uczucie wcale mnie nie opuszczało.

I dosłownie sekundę potem na parking wjechał motocykl. Na motocyklu – smok. Oczywiście wiedziałam to od razu. Każdy smok wyczuje drugiego smoka, choćby tamten zmienił się, dajmy na to, w wiewiórkę. A to był na pewno smok, naturalnie nie w swojej pierwotnej postaci, lecz po Przemianie, czyli przybraniu ludzkiej postaci. Każdy smok potrafił już to zrobić, by uniknąć prześladowania przez Zakon Świętego Jerzego, czyli sektę utworzoną przez zagorzałych pogromców smoków, których jedynym celem życia było całkowite wytepienie naszego gatunku. Przybranie ludzkiej postaci było najlepszą formą obrony przed tymi mordercami, umożliwiało także bezproblemowe wniknięcie do świata niczego niepodejrzewających ludzi. Nikt

z nas, smoków, nie paradował teraz w postaci gada. Przemiany dokonywano tylko w sytuacji wyjątkowej, kiedy na przykład trzeba było kogoś zabić.

Smok na motocyklu wyglądał więc jak człowiek. Nie byle jaki, lecz wspaniały okaz tej dwunożnej istoty. Na pewno był trochę starszy ode mnie. Wysoki, szczupły, ale w barach szeroki. Czarne włosy rozwichrzone. Zatrzymał się na brzegu parkingu. Silnik dalej ryczał, a on siedział na motocyklu i gapił się na mnie z dziwnym uśmieszkiem i dlatego, mimo tej ludzkiej i bardzo pociągającej postaci, sprawiał na mnie wrażenie kogoś, przed kim lepiej mieć się na baczności. Tym bardziej że zareagowałam na niego dziwnie. Może i z powodu tych wlepionych we mnie oczu, tak jasnych, że wydawały się prawie złociste. W każdym razie czułam, jak krew w moich żyłach nagle zaczyna krążyć szybciej. Czułam też, że się rumienię. I to było jak najbardziej zastanawiające, ta gwałtowna reakcja na widok istoty tego samego gatunku, ale całkowicie mi nieznannej.

Spojrzenie Lexi, kiedy zauważyła, że wpatruję się w parking, od razu przemknęło w tamtą stronę. I jej reakcja też była co najmniej zastanawiająca, bo nagle taka jakaś rozmarzona westchnęła:

– Och... Przecież to SKM... Znowu się pojawił!

– Przepraszam, kto? – spytałam, zastanawiając się jednocześnie, skąd ten smok tu się wziął. Przecież teoretycznie spotkanie tu, w tej okolicy, innego smoka było niemożliwe. Talon zawsze do jednego miasta wysyłał tylko jednego przedstawiciela naszego gatunku, ponieważ zbyt wiele smoków w jednym miejscu mogłoby zwabić żołnierzy z Zakonu Świętego Jerzego. Dante i ja zostaliśmy przysłani tu razem tylko dlatego, że byliśmy prawdziwym rodzeństwem, a to w naszej organizacji było wielką rzadkością.

A jednak stało się. Natknęłam się na innego smoka, który patrzył na mnie intensywnie, wręcz prowokująco.

– Super-Koleś-na-Motorku – wyjaśniła Lexi. – Tak go przezwaliśmy, bo nikt nie wie, jak się nazywa. W ogóle nie wiadomo, kto to taki. Pojawił się tu przed kilkoma tygodniami i zaczął się pokazywać w różnych modnych miejscach. Wchodził, ale z nikim nie rozmawiał, tylko rozglądał się, jakby kogoś szukał, i już go nie było...

Nagle podskoczyłam, bo droga Lexi, uśmiechnięta od ucha do ucha, ni stąd, ni zowąd rąbnęła mnie w kolano swoim kolanem, oznajmiając przy tym radośnie:

– Coś mi się jednak wydaje, że wreszcie tego kogoś znalazł!

– Co? Kogo? Kogo niby miał znaleźć? – spytałam, odrywając oczy od parkingu, na którym smoka już nie było. Nie, bo jak tak gadałyśmy, motor zaryczał jeszcze głośniejsze i opuścił parking. Tak samo szybko, tak samo

niespodziewanie, jak się tu pojawił.

Lexi zachichotała, a ja, przypomniawszy sobie o obecności mego brata, który siedział po drugiej stronie stolika, spojrzałam szybko w tamtą stronę. Bo może też zauważył faceta na motorze. Owszem, musiał zauważyć, bo wzrok miał utkwiony w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał tamten motocykl. A minę miał taką, że mnie przytknęło. Był zły, okropnie zły. Źrenice w zielonych oczach zwięzione jak dwie czarne pionowe kreski, dlatego oczy Dantego wyglądały teraz jak oczy gada.

Szybko kopnęłam go w kostkę, a on równie szybko zamrugnął, dzięki czemu oczy wróciły do poprzedniego stanu, czyli znów stały się ludzkie. Odetchnęłam, ale to wcale nie znaczyło, że odzyskałam całkowity spokój. O nie! – zawołałam w duchu. Dante, co to niby miało być?!

A Dante wstał.

– Musimy już iść, Ember.

Lexi wydała z siebie cichy dźwięk oznaczający wielkie niezadowolenie, na Dantego jednak wcale to nie podziałało.

– To nasz pierwszy dzień w Crescent Beach. Ciotka i wuj na pewno niepokoją się już o nas. Lexi, Calvin, dzięki za wszystko. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze się zobaczymy. Co wy na to?

– Jasne! – zawołał Calvin. – My praktycznie cały dzień spędzamy na plaży. Po prostu mieszkamy tutaj. Ember, wpadniesz tu jutro po południu? Pogoda ma być super, na pewno złapiemy najlepsze fale!

Niestety Dante zdecydowanym krokiem oddalał się już od stolika, nie pozostawiało mi więc nic innego, jak zawołać, że jasne, dzięki, widzimy się jutro – i pobiec za bratem. Dopadłam do niego, szturchnęłam w ramię i spytałam, oczywiście półgłosem:

– Dante, co z tobą? Wyglądałeś jak jakiś psychopatyczny jaszczur. I to przy ludziach, przy normalnych ludziach! O co chodzi? Mów!

Spojrzał na mnie z miną niewyraźną, jakby skruszony, i zaczął nerwowo przeczesywać palcami sztywne od słonej wody włosy.

– Domyślam się. Przepraszam, Ember, ale czy ty wiesz, kto tam był na tym parkingu? Przed chwilą?

– Chodzi ci o tego smoka, tak? Też go zauważyłam.

– Ember!

Dante nagle zatrzymał się, więc ja też, i wtedy spojrzał mi prosto w oczy. A mnie znów przytknęło, bo w oczach Dantego, zwykle tak opanowanego, wręcz niewzruszonego, wyraźnie czaił się lęk.

A kiedy usłyszałam, co miał do powiedzenia, przeraziłam się.

– Ember! To nie był ktoś przysłany tu z Talonu! Na pewno! Gotów jestem

się założyć, że to zbieg! Po prostu zbieg!

Zbieg! Smok, który z jakiegoś tam powodu uciekł z Talonu i zerwał wszystkie łączące z nim więzy. Uciekł, a Talon ucieczki nigdy nie wybaczał. Smoki, które postawiły na samodzielność, to dla Talonu zdrajcy i przestępcy. Owszem, dawano im szansę powrotu na dobrą drogę. Ale tylko raz. Jeśli tej szansy nie chcieli wykorzystać, wysyłano po nich superagentów, czyli Żmije, by z powrotem sprowadzili ich do Talonu, gdzie czekała ich kara za zdradę.

A więc to tak... Zbiegły smok wałęsający się po Crescent Beach, który gapił się na mnie tak, jakby wiedział, że tutaj będę...

– O nie... – jęknęłam. – Jak myślisz, od jak dawna jest poza Talonem?

– Myślę, że nie tak długo... – wymamrotał Dante, wpatrując się w ludzi, którzy jeszcze zostali na plaży. Wpatrywał się bardzo intensywnie, nigdy dotąd nie widziałam, by mój brat wpatrywał się w coś lub kogoś aż tak bacznie. – Ember, wujowi Liamowi i ciotce Sarah ani słowa, jasne?

– Nie mówić? Dlaczego?

– Dlatego, że zaraz powiadomią o tym Talon, a kiedy tam się dowiedzą, że jakiś zbieg krąży po tej okolicy, natychmiast każą nam wracać!

Wracać?! Tylko nie to! Jęknęłam w duchu rozpaczliwie, co Dante musiał wyczuć, bo szybko położył rękę na moim ramieniu i uśmiechnął się.

– Nie panikuj. Wszystko będzie dobrze. Zapanuję nad wszystkim.

Miał wszelkie podstawy, by tak sądzić, zawsze przecież potrafił dopiąć swego, niemniej jednak wcale nie poczułam niewysłowionej ulgi. Wcale nie, bo nie potrafiłam ot tak, po prostu wyrzucić z pamięci tego, co wydarzyło się na tym parkingu. Tylko przez chwilę, a ja i tak nie mogłam zapomnieć dziwnych oczu tamtego smoka, które patrzyły na mnie tak, że krew galopowała w moich żyłach. A kiedy napotkałam jego wzrok, poczułam, że coś się we mnie budzi, coś bardzo gorącego i pierwotnego...

Czyli nie ma co się łudzić. Zbiegły smok niewątpliwie oznacza problem.

Następny dzień już od samego początku był po prostu rewelacyjny. Spałam jak zabita, tak dobrze, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Obudziłam się dopiero gdzieś tak koło południa. Dantego w domu nie było, czyli musiał polecieć już na plażę. I istotnie, był tam w towarzystwie naszych rówieśników, których poznaliśmy poprzedniego dnia. Spędziliśmy z nimi całe popołudnie. Gadaliśmy, pływaliśmy, graliśmy w siatkówkę i obzeraliśmy się śmieciowym jedzeniem ze Smoothie Hut. Byłam bardzo zadowolona, bo czułam się już o wiele swobodniej, chociaż czasami ich zachowanie było dla mnie dziwne. Na przykład – dotykanie. Lexi była bardzo „dotykalska”. A to klepnęła po ramieniu, a to żartobliwie szturchnęła w bok. Na szczęście kiedy zrobiła to po

raz pierwszy, udało mi się zapanować nad sobą. Nie odskoczyłam od niej, nie zasyczałam. Poza tym Lexi i Kristin bardzo dużo się śmiały i gadały jak najęte. O ubraniach, butach, zakupach i chłopakach, czyli o czymś, o czym nie miałam pojęcia. Fascynację ubraniami czy butami byłam w stanie zrozumieć, bo może ludzie po prostu kochają ubrania i buty tak jak my, smoki, kochamy drogie kamienie. Natomiast ta obsesja na punkcie innych istot rodzaju ludzkiego po prostu mnie zdumiewała. Tak, bo chyba była to już obsesja, skoro Lexi co rusz łapała mnie za ramię, piejąc z zachwytu nad kolejnym chłopakiem, który właśnie pojawił się na plaży. Kiwałam wtedy głową, mówiłam, że tak, tak, prawdziwe ciacho, chociaż nie widziałam w nim nic szczególnego.

Ale najważniejsze było to, że Lexi obiecała nauczyć mnie surfować. Tak! Obiecała też, że pokaże mi genialne miejsce, gdzie fale są najlepsze, ale tłoku nie ma, bo na szczęście mało kto wie o tym miejscu. A poza tym wieczorem siedzieliśmy przy ognisku! Kiedy słońce zaczęło znikać za horyzontem, Calvin wykopał w piasku dołek, włożył do niego kawałki drewna, które ocean wyrzucił na brzeg, i zapalił ognisko. Ogień zapłonął, a my usiedliśmy dookoła, wsuwając stopy w chłodny już piasek, i było wprost cudownie. Lexi co prawda usta się nie zamykały, ale na szczęście mówiła dość cicho. A jeden z chłopców, który przyniósł na plażę gitarę, zaczął cicho na niej brzdąkać. Ogień trzaskał, też cichutko, przepiękne złocisto-czerwone płomienie wznosiły się ku niebu, rozsiewając rozkoszne ciepło.

Patrzyłam jak urzeczona. Tak. Bo jest cudnie, bo życie nie może być lepsze. Teraz na pewno nie. Teraz jest idealnie!

I nagle tę tak urokliwą chwilę przerwał świergot mojej komórki. Najpierw mojej, a kiedy wyjmowałam ją z kieszeni, ożyła również komórka Dantego. Spojrzeliśmy na siebie znacząco, po czym każde z nas wlepiło oczy w swój telefon. Ja dostałam wiadomość od Liama i Sarah. Kiedy przeczytałam, zmroziło mnie.

Bo to był rozkaz:

Wracajcie do domu. Natychmiast.

Dante naturalnie otrzymał tę samą wiadomość, bo zerwał się na równe nogi i zaczął pośpiesznie otrzepywać się z piasku.

– Musimy już iść – oznajmił. Wszyscy naturalnie zaprotestowali, więc dodał z uśmiechem: – Niestety, sprawy rodzinne. Ember, idziemy!

A ja ani drgnęłam. Bo i niby dlaczego mamy wracać już do domu? Do północy, czyli naszej godziny policyjnej, jeszcze daleko, a Liam i Sarah mówili przecież, że możemy chodzić, dokąd chcemy, i być tam tak długo, jak chcemy. Mamy tylko obowiązek powiadomić, gdzie w danej chwili jesteśmy.

W związku z powyższym nie miałam najmniejszego zamiaru wracać. Tym bardziej że Liam i Sarah to tylko ludzie. Co mogą nam zrobić? Nic! Bo na pewno nie przyjdą tutaj, nie chwycą za ucho i nie zaciągną nas siłą do domu!

– Idź sam, Dante – powiedziałam. – Ja posiedzę tu jeszcze trochę.

Wtedy spojrzał na mnie ze złością, mrużąc oczy, które zmieniły się w dwie zielone szparki, przekazujące dobitnie, jakby krzyczał pełnym głosem:

– Musimy iść, Ember. Musimy słuchać się naszych opiekunów, ponieważ są za nas odpowiedzialni. Z rozkazu Talonu. Dlatego nie rób żadnych głupstw, bo możesz zaszkodzić i sobie, i mnie.

Moje spojrzenie w tym momencie było identyczne. Też spojrzałam ze złością, moje oczy też zmieniły się w zielone szparki.

– Ale ja mam ochotę tu jeszcze zostać – odparłam tak samo bezgłośnie, ale równie dobitnie. – Bo coraz bardziej mi się tu podoba.

Złość w spojrzeniu Dantego przybrała na sile.

– Będziemy mieli przez ciebie problemy!

Na co ja wzruszyłam ramionami i zmieniłam pozycję siedzącą na półleżącą, opierając się na łokciach.

– No to idź! Kto ci broni? Bo ja zostaję.

Cały ten dialog trwał mgnienie oka i zakończył się w sposób zaskakujący. Bo złość Dantego nagle minęła. Już nie wściekał się, tylko prosił. Dante! Szeptem, prawie niesłyszalnym:

– Chodź, Ember. Proszę...

I wtedy się zламаłam. Bo z rozgniewanym Dantem mogłam dyskutować, ale z wystraszoną, prawie błagającym – na pewno nie.

– Dobrze, dobrze, niech ci będzie. Idziemy.

Wstałam i otrzepałam się z piachu, z tym że nie byłabym sobą, gdybym nie posłała mu jeszcze jednego spojrzenia, takiego spode łba, oczywiście nasyconego konkretną treścią:

– Robię to tylko dla ciebie!

Na co on się uśmiechnął. A ja, rzuciwszy ostatnie tęskne spojrzenie na cudowne ognisko, na te zwycięskie złociste płomienie bezlitośnie owijające się wokół kawałków drewna, ruszyłam przez plażę w ślad za moim bratem.

Ciotka Sarah i wuj Liam czekali na nas w pokoju dziennym. Nie byli tam sami. O nie. Kiedy tylko w ślad za Dantem przekroczyłam próg, od razu poczułam na sobie ten lodowaty wzrok i od razu wszystko we mnie, tam w środku, zasyczało i zwinęło się w kłębek. Bo te dwie dodatkowe istoty w pokoju dziennym to były smoki. Oczywiście! Kiedy tylko wyczułam emanującą z nich siłę, to moje drugie ja – a właściwie pierwsze – które było smokiem, skuliło się ze strachu, pragnąc uciec jak najprędzej przed drugim,

o wiele silniejszym drapieżcą. Bo i co z tego, że Talon zorganizowany był perfekcyjnie, dzięki czemu mógł rozprzestrzenić się po całym świecie, co z tego, że byliśmy teraz „ucywilizowani”? Odwieczny instynkt przetrwania wcale nie był w zaniku. Nadal istniał w całej swej mocy, i kiedy pisklak staje twarzą w twarz z dwoma groźnymi dorosłymi smokami, to mimo że smoki te przybrały postać ludzką, instynkt i tak podpowiada pisklakowi, że najlepiej podkulić ogon i zniknąć stąd jak najprędzej.

Jeden ze smoków, o wyjątkowo jasnych oczach rzucających spojrzenia wyjątkowo jadowite, wysunął się o krok do przodu.

– Witajcie, uczniowie!

Ten smok, którego bałam się bardziej niż tego drugiego, był kobietą. Wysoką, szczupłą, w bardzo eleganckim czarnym kostiumie od Armaniego. Jasne włosy miała gładko zaczesane w tył i upięte w ciasny kok. Drugi smok był mężczyzną w garniturze również czarnym i również od Armaniego. Włosy miał czarne, też zaczesane w tył i przylizane jak ona. Stał z rękami złożonymi przed sobą i po prostu nam się przyglądał. Chłodno, ale w nim nie wyczuwałam żadnego zagrożenia. Natomiast w tej kobiecie tak, choć niby uśmiechała się do mnie. Przez moment, bo potem ośmiocentymetrowe obcaszki zastukały o podłogę, kiedy podeszła do mnie bliżej i spojrzawszy na mnie jak na jakiegoś bardzo rzadkiego robala, co wślizgnął się tu pod drzwiami, oznajmiła:

– Nastąpiła zmiana w naszych planach.



## GARRET

Wśród brzęczących owadów przykucnąłem w wilgotnym, parującym poszyciu brazylijskiego lasu tropikalnego, czując, jak po okrytych kamizelką kuloodporną plecach spływają strużki potu. Tuż obok mnie, wśród paproci, klęczał nieruchomo inny żołnierz, trzymając w rękach M-16 z lufą skierowaną w bok. Reszta naszej zaledwie ośmioosobowej drużyny była za nami, rozproszona, milcząca i czujna. A przed nami, jakieś sto metrów dalej, widać było połyskujący w słońcu niski mur z surowej ziemi otaczający hacjendę. Widać było też strażników z przewieszonym przez ramię AK-47, którzy przechadzali się wzdłuż tych murów, nieświadomi, że są obserwowani. Było ich sześciu, a w środku na pewno dwa razy tyle, do tego dochodzili służący, których liczba była nieznana. Ale to nieważne. Ilu jest, tylu jest. Wiadomo, będzie walka, będą ofiary po obu stronach. Jak zwykle. A wszystko po to, by dopaść nasz cel. Nasz jedyny priorytet. Bezwzględny priorytet.

– Bravo zajął pozycję – powiedziałem cicho do mikrofonu przy słuchawkach.

– Dobrze – odparł głos w słuchawce, zniekształcony przez zakłócenia. – Po pierwszym strzale rusza jednostka specjalna. Wy ruszacie dopiero wtedy, kiedy cel sam się pokaże.

– Zrozumiałem.

Żołnierz obok mnie zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Był starszy ode mnie o parę lat, twarz miał oszpeconą wielką czerwoną świecą blizną. Brał udział w niejednej akcji, tak jak i reszta naszej drużyny, w której nie było żółtodziobów. Przeciwnie, tylko zaprawieni w bojach żołnierze, bo tacy właśnie byli tu potrzebni. Ludzie z doświadczeniem, w każdej drużynie, począwszy od nas, czyli grupy szturmowej, na przyczajonych wśród drzew snajperach Tristana skończywszy.

Przemknąłem spojrzeniem po moich ludziach, na mgnienie oka poddając się temu bolesnemu uczuciu całkowitej rezygnacji. I akceptacji. Niektórzy z nas dziś polegą. To oczywiste. Gdy się staje twarzą w twarz z tak potężnym wrogiem, śmierć musi zebrać swoje żniwo. Wszyscy byliśmy na to przygotowani. Wszyscy gotowi umrzeć za nasz Zakon.

– Zaczynają za trzydzieści sekund – przekazałem swoim żołnierzom. – Możecie zacząć odliczać.

Pokiwali głowami. Twarze kamienne, wszyscy skupieni na zadaniu. A ja, nie odrywając oczu od ścian hacjendy, zacząłem odliczać sekundy. Kiedy doszedłem do „trzy”, usłyszałem świst lecącego pocisku. Najpierw cichy, potem coraz głośniejszy i głośniejszy, a na końcu prawie ogłuszający.

– Dwa... jeden...

Huknęło. Pocisk z moździerza trafił w hacjendę. Kiedy kawałki dachu posypały się na wszystkie strony, a w niebo buchnęły słupy dymu i ognia, żołnierze z jednostki specjalnej, czatujący na skraju polany przed domem, otworzyli ogień. Poprzez jazgot karabinów słychać było dobiegające z domu nawoływania, na podwórze zaczęli wybiegać żołnierze, przypadać do ziemi i odpowiadać na ogień. Jeden ze strażników rzucił granat, który przefrunął ponad murem i wybuchł, wzbijając tumany kurzu.

A nasi, posyłając krótkie, precyzyjne serie, parli do przodu, konsekwentnie zbliżając się do budynku. Pociski odbijały się rykoszetem od drzew i bruku. Ludzie krzyczeli, huk wystrzałów niósł się daleko ponad dachem hacjendy. Z domu co chwila wybiegał jeszcze ktoś i włączał się do walki.

A nasz cel nadal się nie pojawiał.

No, dalej, wylaź! – powtarzałem w duchu, kiedy kolejnym żołnierzem z jednostki specjalnej szarpnęło. Trysnęła krew, żołnierz osunął się na ziemię. Po nim następny, bo na otwartej przestrzeni przed hacjendą trudno się było ukryć przed wrogiem przyczajonym za niskim murem.

Kiedy znów jeden z naszych padł, przymrużyłem oczy.

Rusz się, gadzino, połknij wreszcie haczyk! – rozjuszony krzyczałem w duchu. Wiemy, że tam jesteś. Wylaź!

I wreszcie stało się. Kiedy żołnierze z jednostki specjalnej pokonali mur i byli już w połowie trawnika, dach domu eksplodował i wyłoniło się z niego gigantyczne cielsko pokryte ciemnoniebieskimi łuskami, rozsiewając dookoła kawałki drewna i dachówek. Wyprysnęło w górę i przefrunęło nad zadaszeniem nad frontowymi drzwiami. Był ogromny. Dorosły, dojrzały osobnik o wysokości słonia i trzy razy od niego dłuższy. Z wąskiej czaszki wyrastały zagięte spiralnie rogi, szyja i cały grzbiet do nasady potężnego ogona pokryte były kolcami. Wielkie skórzaste skrzydła rzucały na ziemię złowrogi cień, kiedy na moment zawisł w powietrzu, spoglądając na to, co się dzieje w dole. A potem skrzydła załopotwały i smok przypikował. Wylądował na trawniku, wydając z siebie ryk, od którego zatrzęsała się ziemia, i zionął ogniem. Prosto w szeregi żołnierzy.

I zaczęło się piekło. Przerażliwe krzyki, kiedy żołnierzami miotało na wszystkie strony, kiedy ogień smoka trawił ich jak suche drewno. Nie tylko, bo zakończone szponami potężne łapy chwyciły żołnierzy i miażdżyły, ugniatając jak plastelinę, a bezwładne ciała ciskały na ziemię. Jednocześnie smok przez cały czas młócił potężnym ogonem, odrzucając na bok skradających się z tyłu żołnierzy.

Teraz!

Poderwałem się z ziemi, a razem ze mną wszyscy moi ludzie, i otworzyliśmy ogień. Wycelowałem w bok gigantycznego gada, tuż za przednią łapą, tam, gdzie było serce. M-16 zaterkotał, wypluwając z siebie trzystrzałowe serie. Z opancerzonego cielska trysnęła krew. Smok zachwiał się, wydając ogłuszający ryk, czyli pociski przebiły się przez łuski, ale niestety jeszcze nie zabiły. Parłem więc do przodu, celując w słabe punkty w ogromnym cielsku. Strzelałem bez przerwy, świadomy przecież, że im szybciej zabije się bestię, tym mniej wyrządzi szkody, tym mniej istot pozbawi życia. Dlatego nie było mowy o żadnym ociąganiu się. Przecież wiadomo, że albo on – albo my. Innej opcji nie ma.

Nagle z gęstych zarośli, tuż przed nami, wyjechał czarny dżip, wzbogacając kakofonię dźwięków o terkot zamontowanego na nim browninga M2. Dżip pędził wprost na gada, który wzięty w krzyżowy ogień, wydał ten swój ogłuszający ryk, rozpostarł skórzaste skrzydła i wzbił się w powietrze.

A w moich słuchawkach rozległo się powarkiwanie dowódcy:

– Celuj w skrzydła! Nie daj mu odlecieć!

Warczał, choć ja już strzelałem metodycznie, celując właśnie tam, w skórzastą błonę gigantycznych skrzydeł. Z tym że smok wcale nie miał zamiaru odlatywać. Przeciwnie. Obrócił się w powietrzu i znów przypikował. Piętnaście ton łusek, zębów i szponów zważyło się na dżipa, natychmiast go unieruchamiając. Zmiażdżyło maskę, kierowcę wgniotło w przednią szybę, strzelec przeokołkował przez tył samochodu i rozpląszczył się na ziemi między paprociami. A smok, teraz z triumfalnym rykiem, przewrócił dżipa i zmiażdżył, zmieniając błyskawicznie w kupę złomu. Zmiażdżył oczywiście z tym kimś, kto był w środku, dlatego skrzywiłem się mimo woli. Ale na tym koniec, bo nie była to odpowiednia pora na rozmyślanie o tym, że znowu życie z kogoś uleciało. Poległym oddaje się cześć po zwycięskim zakończeniu bitwy.

Cała moja drużyna ponownie wzięła sobie za cel bok smoka, który zalany krwią szarpnął się, miotnął długą szyją i wlepiając w nas czerwone, rozjarzone ślepie, zaczął wściekle bić ogonem. Naturalnie wydając z siebie kolejny wściekły ryk.

– Trzymać pozycje! – wrzasnąłem do swoich żołnierzy. – Spróbuję go odciągnąć! A wy nie przerywajcie ognia!

Kilku z nich spojrzęło na mnie posepnie, ale nie dyskutowali. To ja dowodziłem, to ja wydawałem rozkazy. Stanie się tak, jak zdecydowałem, a jeśli zginę i dzięki temu moi towarzysze broni będą mogli walczyć dalej, to moje poświęcenie nie pójdzie na marne. Wiedziałem to i ja, i oni.

Wyszedłem z kryjówki i ruszyłem prosto na smoka, cały czas posyłając krótkie serie. Wyczuł mnie, bo się obejrzał i nabrał głęboko powietrza

w smocze płuca. Co oczywiście zauważyłem, a mój puls osiągnął apogeum. Błyskawicznie przypadłem do ziemi, w chwili gdy z paszczy smoka wydobyły się jęzory ognia. Złociste wstęgi przefrunęły ponad trawnikiem, ku drzewom, które stanęły w ogniu. Zerwałem się na nogi, a gigantyczny jaszczur z rozdziawioną paszczą szedł prosto na mnie. Serce waliło mi jak młot, ale ręce nie zadrżały, kiedy uniosłem karabin, celując w rogaty łeb. Wiedziałem przecież, że gruby rogowy napierśnik skutecznie osłania klatkę piersiową i brzuch gada. Dlatego trzeba celować właśnie tam, w łeb. Trafiłem w czoło i kość policzkową. Smok wzdrygnął się, miotnął łbem. I dalej szedł na mnie.

Kiedy rozdziawiona paszcza raptem wysunęła się do przodu, błyskawicznie odskoczyłem na bok. Paszcza zamknęła się dokładnie tam, gdzie byłem przed ułamkiem sekundy, a smok szybko jak wąż obrócił łeb w moją stronę i ponownie zaatakował. Szponom o długości kilkunastu centymetrów udało mi się wymknąć, ale wielki rogaty łeb przywarł do mego boku i zęby, które bez trudu mogły przegryźć słup telefoniczny, wbiły się w moje ciało. Mimo grubej kamizelki kuloodpornej ból był straszny we wszystkich żebrach z tej strony. Jednocześnie ziemia oddalała się ode mnie. Unosiłem się coraz wyżej i wyżej, potem świat wokół mnie zawirował i poleciałem w dół. Rąbnąłem o ziemię. Przeturlało mnie kilkakrotnie. Kiedy w końcu zatrzymałem się, wiadomo, najważniejsze było spojrzeć w górę. Zaciskając zęby z bólu, oparłem się na łokciach i uniosłem głowę...

Napotkałem szkarłatny wzrok wroga.

Stał nade mną gigantyczny stwór z na wpół rozłożonymi skrzydłami rzucającymi na ziemię gigantyczny cień. Przedstawiciel prastarego, obcego mi gatunku, o spojrzeniu zimnym i bezlitosnym, pełnym nienawiści. I triumfu. Nozdrza gada rozděły się. Znów nabierał głęboko powietrza, było więc oczywiste, że ponownie zionie zabójczym ogniem. Ale we mnie nie było ani odrobiny strachu czy żalu nad sobą. Byłem żołnierzem z Zakonu Świętego Jerzego, byłem przygotowany na śmierć, jedynym moim życzeniem było zginąć z honorem podczas walki z odwiecznym wrogiem.

I wtedy, w tej chwili już ostatecznej, padł strzał. Jeden strzał, który odbił się szerokim echem i słychać go było doskonale nawet w takim chaosie jak tutaj. Smok zaryczał i odskoczył, a z jego boku trysnęła fontanna jasnej krwi. Bo ten, kto strzelał, celował precyzyjnie, właśnie tam, w bok smoka, tuż za przednią łapą, wysyłając prosto w smocze serce pocisk przeciwpancerny kaliber .50. Z takiej właśnie precyzji znany był Tristan St. Anthony.

I wreszcie wokół zadrżało, wreszcie smoka zważyło z nóg. Runął na ziemię, zajęczał i ryjąc szponami glebę, starał się za wszelką cenę podnieść. Skrzydła i ogon rozpaczliwie młóciły powietrze. Rozpaczliwie, ale coraz wolniej. Bo

umierał. Żołnierze strzelali do niego ze wszystkich stron. Widziałem, jak rogaty łeb z głuchym odgłosem huknął o ziemię. Widziałem, jak opuszczają go resztki sił, jak po ostatnich, rozpaczliwych próbach nieruchomieje, tylko żebra jeszcze unoszą się odrobinę i opadają, a potężny ogon drży konwulsyjnie. Jedyne oznaki, że w smoku nadal tli się życie.

Leżał i dyszał. Łeb drgnął, skośne, jasnoczerwone ślepia spojrzały wyraźnie w moją stronę. Przez chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Smok i jego pogromca uwiecznieni w zamkniętym kręgu wojny i śmierci.

Skłoniłem głowę, tak jednak, by mieć smoka nadal w polu widzenia, i wypowiedziałem te sakramentalne słowa:

– *In nomine Domini Sabaoth, sui filii qui ite ad Infernos!*

Czyli:

W imię Boga, Pana Zastępów, i Jego Syna – idź do piekła!

Zakłęcie, które znał każdy żołnierz Świętego Jerzego. Wszyscy wierzyli przecież święcie, że smoki to demony i podejmując ostatnią próbę pozostania w naszym świecie, mogą zawładnąć naszą duszą. Dlatego ja też je wypowiedziałem, chociaż w tej kwestii miałem swoje zdanie. Dla mnie smoki nie były demonami, tylko istotami z krwi i kości. Kiedy przebija się przez ich łuski i pancerz, umierają tak jak wszyscy. Są naszymi śmiertelnymi wrogami, tak, ale trzeba przyznać, że są też wielkimi wojownikami wykazującymi się niebywałym męstwem.

W gigantycznej piersi konającego smoka zadudniło. Paszcza otworzyła się i wydobył się z niej niski głos, głos niezwykły, bo głos smoka:

– Jeszcze nie zwyciężyłeś, Święty Jerzy – wycharczał, spoglądając na mnie z pogardą. – Ja jestem tylko jedną łuską na ciele Talonu. Przetrwamy, tak jak zawsze, a nawet będziemy coraz silniejsi, bo wasza rasa niszczy się sama. Już niebawem nadejdzie ten dzień, kiedy ty i cały twój gatunek padniecie przed nami na kolana!

Światło w szkarłatnych oczach gasło. Powieki smoka opadły, łeb osunął się na ziemię. Gigantyczne ciało ostatni raz zadrżało konwulsyjnie. Skrzydła już bez życia, ogon przestał bić o ziemię. Wielki gad znieruchomiał, jakby ostatecznie zrezygnował z walki o życie.

Spośród drzew zaczęli wybiegać żołnierze, potrząsając karabinami i wydając triumfalne okrzyki. A trawnik wokół ogromnego cielska zasłany był ciałami tych, którzy w tej bitwie polegli, walcząc po obu stronach. Niektórzy ruszali się jeszcze, niektórzy już nie, spaleni, zwęgleni jak poczerniałe łupiny. Między drzewami nadal widać było migotanie ognia, ciemne słupy dymu wznosiły się ku niebu. Na środku trawnika tliły się jeszcze żałosne resztki dżipa, widome świadectwo nadzwyczajnej siły wielkiego gada.

Wymiana ognia ze strażnikami skończyła się. Smoczy szef już nie żył, więc niedobitki z jego obstawy zaczęły uciekać do lasu. Nikt ich nie ścigał, bo takiego rozkazu nie było. A dlaczego? Bo zadanie wykonane. Smok zabity i za kilka minut pojawi się helikopter z ludźmi, którzy pozbierają to, co należy zebrać, przede wszystkim ciała, a potem zetrą hacjendę z powierzchni ziemi i nikt nigdy się nie dowie, że tego dnia w tym właśnie miejscu legendarny potwór zionący ogniem zakończył życie.

Wokół martwego smoka zbierali się żołnierze. Zadowoleni, uśmiechnięci, poklepywali się nawzajem po ramieniu, podchodzili też bliżej do gigantycznego truchła i potrząsali głową ze zdumieniem, że jakaś istota może osiągnąć aż takie rozmiary. Na ich twarzach widać było odrazę i lęk. Ja nie podchodziłem, bo widok martwego smoka nie był dla mnie nowością, chociaż z takim gigantem nigdy dotąd nie walczyłem. Zmagałem się z takim okazem po raz pierwszy. Ciekawe, czy również po raz ostatni...

A walczyłem, bo każdemu przecież żołnierzowi z Zakonu Świętego Jerzego wbijano do głowy, że smoki są złe.

„Są demonami. To Żmije samego diabła. Dążą do całkowitego zniewolenia ludzi, a my jako jedyni stajemy między tymi mordercami a ludźmi, którzy nie zdają sobie sprawy z zagrożenia”.

O tym, że nasz wróg jest silny, przebiegły i bezlitosny, wiedziałem doskonale. Moi rodzice i siostra zostali zamordowani przez smoka. Byłem wtedy jeszcze bardzo mały, miałem niespełna trzy lata. Uratował mnie Zakon, przygarnął i wyszkolił do walki z potworami. Więc walczę z nimi i zabijam, bo każdy zabity smok oznacza uratowanie co najmniej kilku istnień ludzkich. Brałem udział w wielu bitwach i wiem bardzo dobrze, do czego te potwory są zdolne. Bezlitosne, całkowicie pozbawione uczuć stwory o niebywałej sile, której z wiekiem wcale nie ubywa. Przeciwnie, są coraz silniejsze. Na szczęście starych smoków musiało być już niewiele, bo do walki coraz częściej stawały smoki młodsze, już nie tak monstrualnych rozmiarów. Z tym że pokonanie dojrzałego smoka dawało wielką satysfakcję. Kiedy zabijałem taką bestię, nie czułem żadnych wyrzutów sumienia. Teraz też nie, bo pokonaliśmy smoka, który grał pierwsze skrzypce w południowoamerykańskich kartelach i miał na sumieniu śmierć tysięcy ludzi. Dobrze, że odszedł, bo bez niego świat będzie lepszy. Może dzięki temu, że nie żyje, jakieś małe dziecko nie zostanie sierotą nieznaną swoich rodziców. Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Zabijać. I nie miałem żadnych oporów, bo byłem winien to swoim bliskim.

Zacisnąłem mocno zęby, bo znów przeszył mnie okropny ból. Nic dziwnego. Walka dobiegła końca, skończyła się adrenalina i poturbowane ciało daje znać

o sobie. Niestety kamizelka kuloodporna, choć zwykle bardzo przydatna, tym razem nie spisała się na medal. Bolało bardzo. Byłem pewien, że gad połamał mi co najmniej dwa zębra.

– Ale ubaw! Wiesz, stary, jak ci się znudzi żołnierski los, możesz zrobić karierę jako piłka futbolowa dla smoków! Po tym ostatnim kopniaku odrzuciło cię o co najmniej pięć albo i sześć metrów!

Radosny głos wydobywał się z niewielkiego pagórka, tak jak wszystko dookoła pokrytego mchem, listkami i gałązkami. Pagórka ruchomego, bo teraz przesuwiał się ku mnie, a z boku owego kopczyka wystawała ręka, również cała w liściach i mchu, dzierżąca karabin snajperski barret M107A1 kaliber .50. Druga ręka zsunęła w tył kaptur, odsłaniając uśmiechniętą twarz Tristana St. Anthony'ego, mojego partnera. Ciemnowłosego, o oczach niby niebieskich, ale tak ciemnych, że właściwie już czarnych.

Tristan przykucnął obok mnie, odłożył broń i zaczął ściągać z siebie maskujące ubranie.

– Jak z tobą, Garret? Wszystko w porządku? Nie połamał cię?

– Ujdzie... – wysyczałem przez zaciśnięte zęby, bo nadal bolało jak diabli. – Ale pogruchotał mnie. Co najmniej dwa zębra.

Spośród drzew wyłonił się dowódca i nieśpiesznym krokiem przemierzał polanę przed hacjendą, wykrzykując po drodze rozkazy. Darł się, wskazując na smoka i porozrzucane dookoła ciała. Wiadomo było, że za parę chwil zjawi się lekarz i zajmie się rannymi. Zobaczy, kogo da się jeszcze uratować. Dlatego zacząłem bardzo ostrożnie zbierać się z ziemi, bo wcale nie chciałem, by ktoś pomyślał, że jestem poważnie ranny, i poświęcał mi swój czas, kiedy tyłu żołnierzy było na pograniczu śmierci.

Kiedy dowódca przechodził obok martwego smoka, spojrzał na mnie i skinął głową z aprobatą.

A ja spojrzałem na Tristana.

– Ten ostatni strzał to twoja sprawka, prawda? Ile będzie za to kasy?

– Trzysta – odparł, nie kryjąc zadowolenia. – Myślę, że powinienem ci coś odpalić, skoro mi go wystawiłeś.

– Oczywiście!

Tristan i ja byliśmy partnerami nie od dziś, tylko od trzech już lat, kiedy to po skończeniu czternastego roku życia zacząłem brać udział w prawdziwych misjach i przydzielono mnie do Tristana, ponieważ jego poprzedni partner zginął w ogniu z paszczy smoka. Tristan wcale nie był zadowolony, że będzie musiał bawić się w opiekunkę dla dzieciaków. Tak powiedział, choć sam miał dopiero dziewiętnaście lat! Ale już po naszej pierwszej wspólnej akcji spuścił z tonu, kiedy to wpadł w pułapkę, a ja go uratowałem, sam przy okazji omal

nie żegnając się z życiem. Udało mi się zastrzelić wroga, dzięki czemu nie wykończył i Tristana, i mnie. Dziś, po tych trzech latach i wielu walkach, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym mieć jako wsparcie kogoś innego niż Tristan, z którym tyle już razy nawzajem ratowaliśmy sobie życie.

Tristan uśmiechnął się.

– Jasne! Należy ci się kasa, bo jesteś moim partnerem, poza tym przed chwilą omal nie zostałeś skonsumowany. I to jeszcze nie wszystko! Bo moim zdaniem nikt inny jeszcze nie został tyle razy walnięty łbem przez smoka co ty! Pod tym względem masz mistrzostwo świata! – Poszperał w kieszeni i gestem bardzo szerokim podał mi dziesięciodolarowy banknot. – Twoja dola, partnerze! Nie wydawaj od razu wszystkiego!

Długa, ciężka akcja wreszcie dobiegła końca. Przeżyli ci, którym dopisało szczęście, wśród nich ja, Tristan i jego kumple snajperzy. Bravo, czyli moja drużyna, wyszła prawie bez szwanku, natomiast w innych pododdziałach były duże straty, przede wszystkim w jednostce specjalnej, która miała najmniej wdzięczne zadanie, czyli wykurzenie smoka z domu. Była to bardzo ważna akcja, ponieważ mieliśmy do czynienia z groźnym, dorosłym smokiem, dlatego Zakon, który nie szafował zasobami ludzkimi, tym razem wysłał całą armię, wybierając z kilku komandorii najlepszych żołnierzy i do wywabienia smoka, i do ubezpieczenia tych, co mieli go wywabić. Po zwycięskiej bitwie jednostka bojowa została rozwiązana i wróciliśmy do baz macierzystych, by tam czekać na dalsze rozkazy. Zakon Świętego Jerzego posiadał kilka komandorii w kilku krajach, między innymi w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Ja i moi kumple z drużyny mieliśmy swoją bazę w Stanach, w zachodniej komandorii w głębi pustyni Mohave na granicy Arizony i Utah.

Zaraz po powrocie pochowaliśmy z honorami naszych kolegów, którzy polegli w Ameryce Południowej. Spoczęli na naszym bardzo rozległym cmentarzu. I bardzo skromnym. Tylko rzędy białych krzyży. Zmarli nie mieli żadnych bliskich, nikt więc nie przyjechał na pogrzeb, nie złożył kwiatów na świeżych mogiłach. W ostatniej drodze na miejsce wiecznego spoczynku uczestniczyli tylko dowódcy i towarzysze broni.

Ceremonia jak zwykle była bardzo krótka. Brałem udział już w wielu pogrzebach i za każdym razem, gdy patrzyłem, jak moi koledzy chowani są w równych wojskowych szeregach, przez głowę przemykała myśl, że to jest właśnie to, co prędzej czy później czeka każdego żołnierza.

Biały krzyż. Tylko to.

Po pogrzebie wróciliśmy do naszych baraków, gdzie po misji w Brazylii kilka żołnierskich łóżek opustoszało, ale życie w komandorii Zakonu Świętego



Jerzego toczyło się dalej swoim torem. Nic szczególnego się nie działo przez równy tydzień, a ósmego dnia Tristan i ja zostaliśmy wezwani do porucznika Gabriela Martina.

– Siadajcie, chłopcy. – Wskazał krzesła ustawione przed biurkiem. Usiedliśmy więc obaj, ja sztywny jak kołek, ponieważ obolałe zębra nadal miałem owinięte bandażem, i wbiliśmy wzrok w porucznika, dziarskiego krępego mężczyznę o ciemnych włosach przyprószonych siwizną i równie ciemnych oczach, których spojrzenie w zależności od nastroju było czy to lodowate, czy to bardzo pogodne, choć uśmiechał się niezwykle rzadko. Pokój, w którym się znajdowaliśmy, był niewielki, umeblowany bardzo skromnie, ponieważ standardy Zakonu nie dopuszczały żadnych ekstrawagancji. Niemniej jednak w tym pokoju były dwa akcenty osobiste. Na ścianie za biurkiem wisiała czerwona skóra zdarta z pierwszego smoka, który padł z ręki porucznika, także rękojeść ceremonialnego miecza zrobiona była z wypolerowanej kości tegoż smoka.

Martin zajął swoje miejsce za biurkiem, rozciągając wąskie wargi w czymś, co o dziwo podobne było do uśmiechu.

– Tristianie St. Anthony, Garrecie Xavierze Sebastianie... Trzeba przyznać, że ostatnio wspomina się o was bardzo często, i to nie bez powodu. Ja również chciałbym złożyć wam gratulacje z powodu znakomitej postawy podczas naszej ostatniej misji. Domyślam się, że decydujący strzał to twoje dzieło, St. Anthony. A jeśli chodzi o ciebie, Sebastianie, to widziałem, jak odciągałeś smoka od swojej drużyny. I przeżyłeś! Brawo! Obaj należycie do naszych najlepszych żołnierzy. Zakon jest bardzo zadowolony, że służycie w naszych szeregach.

– Dziękujemy, panie poruczniku! – odparliśmy zgodnym chórem, po czym zapadła cisza.

Milczeliśmy, bo porucznik nie odzywał się, tylko oparł się łokciami o blat biurka, złączył palce i patrzył na nas przez dobrą chwilę, potem westchnął cicho, ułożył ręce z powrotem na blacie biurka i kontynuował swoją wypowiedź:

– I właśnie dlatego Zakon podjął decyzję o wysłaniu was na kolejną misję, która będzie jednak nieco inna od misji, w których braliście dotąd udział. Obaj znakomicie sprawdzacie się w terenie. Mamy nadzieję, że tym razem też tak będzie, choć znajdziecie się w całkiem innym otoczeniu, a wasze zadanie będzie, jak wspomniałem, nieco inne niż dotychczas. Bardziej... delikatne.

– Jakie?! – spytał Tristan, wyjmując mi to pytanie z ust.

Martin ponownie się uśmiechnął.

– Właśnie takie. Delikatne. Zgodnie z tym, co przekazał nam wywiad, Talon

najprawdopodobniej zaczął działać na terenie południowej Kalifornii. Wysyłają tam uśpionych szpiegów, którzy mają zintegrować się z miejscową ludnością. A tego rodzaju szpiegów z Talonu, jak dobrze wiecie, są wyjątkowo podstępni i niebezpieczni, ponieważ występują w ludzkiej postaci. Są to smoki po specjalnym szkoleniu, dzięki któremu bez problemu integrują się z ludźmi. Schwywanie takiego szpiega to zadanie tak bardzo trudne między innymi dlatego, że konieczne jest zdobycie niezbitych dowodów, że istotnie to smok. Pojmanie bez tych dowodów jest niedopuszczalne, ponieważ, jak sami się domyślicie, może wywołać burzę, co absolutnie nie ma prawa się wydarzyć. Bo główną zasadą jest sprawność, skuteczność i utrzymanie naszej działalności w całkowitej tajemnicy.

– Tak, panie poruczniku – powiedziałem, bo w tym momencie porucznik spojrział właśnie na mnie. – A na czym będzie polegało nasze zadanie?

– Już mówię... – Martin usiadł wygodniej i potarł brodę. – Zrobiliśmy dokładne rozpoznanie terenu. Naszym zdaniem nowego uśpionego szpiega przyślą do Kalifornii już niebawem, udało nam się też ustalić, do którego miasta. Do Crescent Beach. Co więcej, mamy podstawy sądzić, że szpieg ten będzie płci żeńskiej...

I Tristan, i ja natychmiast wyprostowaliśmy się w naszych krzesłach. Bo to właśnie było to! Święta misja Zakonu polegała na zlikwidowaniu wszystkich smoków, bezwzględny jednak priorytetem było eliminowanie samic, które co roku składały kilka jaj i z każdego jaja, wiadomo, wykluwał się nowy smok. Talon swoich smoczy strzegł jak oka w głowie, podobno trzymano je pod kluczem, całkowicie izolując od reszty świata, i wykorzystywane były wyłącznie do celów hodowlanych. Znalezienie smoczycy przebywającej poza organizacją i zabicie jej byłoby wielkim ciosem dla wroga, a dla Zakonu kolejnym krokiem na drodze do zwycięstwa w tej wojnie.

– Rozumiecie więc, że ta misja ma znaczenie fundamentalne – ciągnął porucznik. – A teraz wracamy do konkretów. Szpieg z Talonu pojawi się w Kalifornii na początku lata. Jeden, a może będzie ich więcej. Ich zadanie polega na całkowitym zintegrowaniu się z otoczeniem i nawiązaniu kontaktów, które mogą okazać się przydatne dla organizacji. Wy natomiast zostajecie tam wysłani jako nasi tajni agenci i macie szukać wszelkich oznak działalności smoków. Ty, Sebastianie, masz za zadanie nawiązać ze smoczycą bliższe stosunki i zwabić ją w odpowiednie miejsce, gdzie zostanie zlikwidowana.

– Ja? – spytałem, wcale nie kryjąc zdziwienia.

Tristan także był zaskoczony, bo nagle poruszył się gwałtownie na krześle.

A mnie po prostu trudno było w to uwierzyć.

Tajny agent?! – myślałem gorączkowo. W mieście, wśród normalnych ludzi? Jakim cudem?! Przecież nie mam bladego pojęcia, jak być normalnym!

– Panie poruczniku, czy mogę o coś zapytać?

– Możesz, Sebastianie.

– Panie poruczniku, dlaczego właśnie ja? Przecież nie brakuje wśród nas takich, co mają lepsze kwalifikacje do tego rodzaju zadania! Bo ja nie jestem żadnym szpiegiem czy agentem, tylko żołnierzem!

– Ale jesteś jednym z naszych najlepszych ludzi. Pierwszego smoka zabiłeś, kiedy miałeś czternaście lat, dwa lata później przeprowadziłeś udany atak na gniazdo, a na swoim koncie miałeś już tyle zabitych smoków, że żaden z twoich rówieśników nie mógł się z tobą równać. Wiem, że masz opinię wzorowego żołnierza. Wystarczy? Poza tym jest jeszcze jeden powód, dlaczego wybraliśmy właśnie ciebie. Ile masz lat, Sebastianie?

– Siedemnaście.

– I właśnie to jest bardzo ważne. Większość naszych żołnierzy dawno przekroczyła odpowiedni do tego zadania wiek, tylko nieliczni mogliby uchodzić za nastolatków i uczniów szkoły średniej. Ty możesz, a nam bardzo potrzebny jest ktoś, kto zintegruje się z grupą młodzieży, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Kiedy więc kapitan spytał mnie, kto byłby najlepszy do tego zadania, bez wahania poleciłem mu ciebie i St. Anthony'ego. Chociaż, szczerze mówiąc, wolałbym was obu widzieć na polu bitwy. Ale wierzę, że i tym razem nie zawiedziecie Zakonu!

– Nie zawedziemy! – odparliśmy skwapliwie.

Martin pokiwał głową, po czym sięgnął po grubą teczkę z dokumentami.

– Proszę! Wszystko, co powinniście wiedzieć, jest tutaj.

Odebrałem teczkę i naturalnie od razu ją otworzyłem. A w środku faktycznie było to, co niezbędne. Świadectwa urodzenia, karty ubezpieczenia społecznego i prawa jazdy, naturalnie wszystko fałszywe.

– Macie siedemdziesiąt dwie godziny – mówił dalej porucznik – na wbicie sobie do głowy wszystkich informacji, które znajdziecie w tej teście, i przedstawienie planu działania, który doprowadzi do zidentyfikowania szpiega. Pamiętajcie też, że w razie potrzeby macie żądać wsparcia. Ten szpieg nie może nam się wymknąć.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Dobrze... – Martin pokiwał głową. – I na koniec dobra rada. Działajcie szybko. Czas na wyeliminowanie celu jest teoretycznie nieograniczony, dobrze by jednak było, gdybyście uporali się z tym przed końcem lata. Bo kiedy lato minie, Talon może przerzucić szpiega w inne miejsce i szansa zabicia kolejnego diabła przypadnie. Poza tym chyba nie muszę wam

przypominać, że w kontaktach z cywilami musicie być bardzo ostrożni, bo nikt nie może się dowiedzieć ani o naszym Zakonie, ani o Talonie. Jest to ściśle tajne. Zrozumiano?

– Tak jest, panie poruczniku.

– W porządku. Teraz bierzcie się do roboty. Do Kalifornii wyjeżdżacie pod koniec tygodnia. Powodzenia!

## EMBER

Tego dnia ocean wcale nie chciał ze mną współpracować.

Klnąc w duchu, wpatrywałam się w ciemnoniebieską wodę, niewykazującą najmniejszej ochoty do uderzania w deskę z włókna szklanego, na której siedziałam okrakiem od prawie dwudziestu minut. A wredna woda tylko ją leciusieńko trącała, w związku z czym siedziałam jak ta głupia i kołysałam się. Kołysałam! A nie o to przecież chodziło, prawda?!

Słońce prażyło w głowę, a jedyne „fale”, jakie miałam w zasięgu wzroku, nadawały się tylko do baseniku dla dzieci. Czyli powinnam była posłuchać Calvina, który wczoraj ostrzegął, że dziś ocean będzie płaski jak talerz, kompletnie pozbawiony wyrazu i monotony jak pomiaukiwanie Lexi, które ona nazywa śpiewem. Za to ostatnie porównanie oczywiście oberwał od siostry po uszach, ale wiadomo, że jeśli chodzi o ocean, to Calvin posiada szósty zmysł i zawsze potrafi przewidzieć, kiedy fale będą najwyższe, czyli warunki do surfingu idealne.

Niestety, dziś warunki były dalekie od doskonałości, stąd moja bezgłówna inwokacja do oceanu, do Trytona, Posejdona, do wszystkich kapryśnych bogów tego bezkresnego wodnego zbiornika. Bo może w końcu któryś z nich mnie wysłucha!

Proszę, błagam! – modliłam się całą duszą. Dajcie mi choć jedną porządną falę, a ja wam już więcej głowy zawracać nie będę. Pozwólcie mi choć raz poszaleć, zanim słońce zajdzie i będę musiała wrócić do domu!

I nic. Bogowie oceanu na pewno podśmiewali się ze mnie, na oceanie cisza, a cały ten akwen nadal był płaski jak stół monsturalnej wielkości.

Westchnęłam rozdzierająco i ostrożnie ułożywszy się na plecach na wąskiej desce, spojrzałam w niebo, tak samo płaskie i idealnie niebieskie jak ocean. Na niebieskim tle pojawiła się mewa. Podbarwione czernią skrzydła rozłożone były szeroko. Łapała wiatr. Ten widok natychmiast sprawił mnie w nostalgiczny nastrój, bo ożyło wspomnienie o tym, jak sama szybowałam, wykorzystując prądy powietrzne. Jak wznosiłam się wysoko, pikowałam i znów w górę, ponad chmury... Mój długi wyprostowany ogon karnie podążał za mną, słońce cudnie grzało błonę rozpostartych skrzydeł. Po prostu bajka! Bieganie, jazda na łyżwach czy surfowanie są super, oczywiście, ale nic nie może równać się z lataniem. Nic!

Chociaż szczerze mówiąc, jazda na pięciometrowej fali walącej o brzeg na pewno ma coś w sobie. Tak. Adrenaliny przy tym prawie tyle, co podczas latania.

Jeśli dziś trafi mi się trzymetrowa, będę u szczytu szczęścia.

I znów mewa, a raczej już dwie. Przelatywały nad moją głową, wydając te swoje przeraźliwe okrzyki. Też naśmiewały się ze mnie, dlatego wykrzywiłam się do nich straszliwie. A w sercu żal. Oddałabym wszystko, gdybym jakimś cudownym sposobem mogła machnąć ręką na obecną rzeczywistość, wzbić się wysoko i w ślad za mewami i pelikanami przemknąć przez chmury. Zrobić to właśnie teraz, dokładnie miesiąc po tamtym zdarzeniu.

Po jej przybyciu.

Kiedy to Dante i ja po powrocie do domu zastaliśmy w pokoju dziennym dwa dorosłe smoki.

– Zmiana... planów? – wykrztusiłam. – Przyjechaliście tu, by zabrać nas z powrotem?

Pełne czerwone wargi smoczyca na moment złożyły się do bladego uśmiechu. Bładego i na moje oko porządnie przyprawionego złośliwością.

Chociaż pierwsze zdanie zabrzmiało optymistyczne:

– Nie, moja droga.

Nie?! Odetchnęłam z ulgą, ale niestety, jak wynikało z dalszej wypowiedzi, powodów do pełnej radości nie było.

– Nie zabieramy was stąd, a przybyliśmy dlatego, ponieważ w świetle ostatnich wypadków nasza organizacja podjęła decyzję, że najlepiej będzie, jeśli już zaczniemy wasze szkolenie. Oboje – tu wskazała palcem na smoka płci męskiej, który stał za nią – jesteśmy instruktorami i będziemy szkolić ciebie i twego brata przez całe lato.

– Co?!

Nie, to nie może być prawda! Przecież to lato miało należeć do nas, do Dantego i mnie. Całkowicie należeć! Trzy miesiące wolności bez nauczycieli, lekcji, zasad i obowiązków. Ostatni etap szkolenia miał się zacząć dopiero pod koniec lata, kiedy zasymilujemy się już w nowym otoczeniu i Talon uzna, że jesteśmy zdolni do stałego przebywania w społeczności ludzkiej.

– Ale dlaczego? – zaprotestowałam. – Myślałam, że organizacja przysłała nas tu po to, byśmy zintegrowali się z tutejszym środowiskiem. A jak mamy to zrobić, skoro będziemy szkoleni? I w czym raptem mamy się szkolić?

Mój głos był nienaturalnie wysoki, prawie piszczałam, co kobietę wyraźnie rozbawiło i stąd ta uniesiona znacząco brew. Ale było mi wszystko jedno, bo po prostu się załamalam, gdyż oto wokół mnie zamykał się mur i moja wolność – krucha, bo krucha, ale zawsze wolność! – wymykała się z moich rąk. Bo raptem już teraz mam być szkolona!

O tym ostatnim etapie szkolenia wiedziałam niewiele, tylko tyle, że trwa kilka lat i jego celem jest zdobycie przez smoka kwalifikacji niezbędnych do

właściwego funkcjonowania, kiedy ów smok zajmie swoje miejsce w strukturze Talonu. Można było zostać Kameleonem, czyli smokiem, którego lokuje się na wysokich szczeblach ludzkiej społeczności, albo też zostać przydzielonym do Heloderm i Gryfów, czyli ochrony ważnych funkcjonariuszy Talonu. Było jeszcze kilka innych możliwości, z tym że wszystkie smoki bez wyjątku obowiązywała jedna zasada:

*Et omnes resurgimus!*

Czyli:

Powstańmy razem! Jak jeden mąż!

Takie było motto Talonu. Bo w jedności siła. Każdy smok miał swoje miejsce w organizacji, a jednocześnie wszyscy bez wyjątku działali ramię w ramię dla dobra tejże organizacji, także po to, by samemu przetrwać. Z tym że to nie ty wybierasz sobie drogę życia. Robią to za ciebie inni, dlatego nigdy nie zastanawiałam się, czym chciałabym być, kiedy dorosnę. Owszem, było kilka funkcji w organizacji, które wydawały mi się pociągające, były też takie, które wydawały mi się okropne. Ale nie ma sensu zastanawiać się nad czymkolwiek ani marzyć o tym lub owym, skoro twój los i tak nie spoczywa w twoich rękach, prawda?

Dlatego to lato było dla mnie bezcenne. Trzy miesiące wolności, coś w rodzaju łabędziego śpiewu, zanim już na zawsze dostanę się w tryby maszyny zwanej Talonem i jako pełnoprawny członek organizacji, obarczony konkretną odpowiedzialnością, aż do końca życia będę wykonywać powierzone przez organizację zadanie. Czyli, jak na moje wyczucie, bardzo, ale to bardzo długo. Dlatego tak strasznie zależało mi na tym, by mieć te trzy miesiące tylko dla siebie. Tylko trzy! Czyżbym chciała zbyt wiele?

Wszystko wskazywało na to, że tak, między innymi kolejny uśmiech Strasznej Damy z Talonu. Niby wesolutki, a jednak wredny.

– Nie martw się, Ember. Jestem tu po to, by zagwarantować, że będziesz podążać właściwą drogą. Będziemy spędzać ze sobą mnóstwo czasu. Ze sobą, z tym że nie wolno zapominać, że jesteśmy teraz wśród ludzi! – Ostatnie zdania wypowiedziała z naciskiem, po czym jadowitozielone spojrzenie spoczęło na naszych opiekunach. – Wszyscy dobrze wiemy, jak ważne jest zachowanie dyskrecji. Dopilnujcie, by pisklaki, kiedy będą udawały się na szkolenie, wychodząc z domu, korzystały z wyjścia zapasowego. Koniecznie. Nie chcemy przecież, by ktoś się zainteresował, dokąd chodzą każdego ranka. Nikt nie powinien widzieć, jak wychodzą z domu lub wracają. Czy to jasne?

Liam i Sarah oczywiście natychmiast zaczęli zapewniać, że dopilnują wszystkiego, a Dante i ja wymieniliśmy się znaczącymi spojrzeniami. Bo znowu jakaś nowa zasada! Tak pomyślałam w pierwszej chwili, zaraz jednak

pojawiła się jeszcze jedna myśl:

Chwila moment! O jakim wyjściu zapasowym ona mówi?

Nasi instruktorzy zabierali się już do odejścia. Na pożegnanie Straszna Dama uraczyła mnie jeszcze jednym uśmiechem, tym razem złowieszczym.

– A więc widzimy się jutro, pisklaku ! Skoro świt!

Kiedy tylko wyszli, natychmiast spojrzałam na Liama, który oczywiście domyślał się, o co mi chodzi.

– Chodźcie za mną – powiedział. – Pokażę wam to wyjście.

Zeszliśmy do zimnej i prawie pustej sutereny, gdzie posadzkę wylano cementem, a sufit był bardzo nisko. Pod jedną ze ścian stały karnie zmywarka i suszarka, a w kącie zobaczyłam pokrytą grubą warstwą kurzu antyczną maszynę do ćwiczeń na siłowni. Obok tej maszyny były jakieś drzwi. Wyglądały bardzo zwyczajnie, pomyślałam więc, że na pewno jest tam łazienka.

Jednak chyba nie, zważywszy na to, co powiedział Liam głosem cichym, lecz bardzo stanowczym, kiedy podszedł do tych właśnie drzwi, wyjął z kieszeni klucz i przekręcił go w zamku.

– Pod żadnym pozorem nie wolno wam mówić nikomu o tych drzwiach. Nikomu! Zrozumiano?

Dante i ja skwapliwie pokiwaliliśmy głowami, a Liam nacisnął na klamkę. Drzwi skrzypnęły i otworzyły się, ukazując naszym oczom nie łazienkę, tylko tunel. I żadną prowizorkę. Ściany i posadzkę wylano cementem, czyli było to solidne wyjście ewakuacyjne, czym, prawdę mówiąc, nie powinnam być zaskoczona, skoro w naszej dawnej szkole było kilka takich potajemnych wyjść. W każdej chwili przecież mogliśmy zostać zaatakowani przez naszego odwiecznego wroga, czyli Zakon Świętego Jerzego. Do takiego ataku na szczęście nigdy nie doszło, żołnierza Świętego Jerzego widziałam tylko na zdjęciu, niemniej jednak prawie co miesiąc podnoszono fałszywy alarm, byśmy po raz nie wiadomo który przeciwiczyli ucieczkę ukrytym przejściem. Tak na wszelki wypadek.

– Jutro rano macie być tu piętnaście po szóstej – oznajmił wuj. – Punktualnie co do minuty. Drzwi będą otwarte. I powtarzam to, co mówiła instruktorka. Nikt nie może wiedzieć, dokąd jutro pojedziecie, ani o tym tunelu. Nikt! Po przekroczeniu tego progu aż do powrotu do domu nie wolno wam z nikim zamienić ani słowa, oczywiście poza członkami naszej organizacji. Komórki zostawiacie w domu, nie będą wam potrzebne. Zrozumiano?

– Tak – odparł natychmiast Dante.

Ja nie, bo wzrok miałam utkwiony w tajemniczym mrocznym tunelu.



A więc proszę, czyli i tu mamy ukryte przejście... Ciekawe, jakie jeszcze tajemnice kryje ten dom. I czy te wszystkie wydziwiania to w Talonie standard, czy też Dante i ja z jakiegoś tam powodu traktowani jesteśmy inaczej niż wszyscy...

Ciekawość przeważała. Zrobiłam krok do przodu, niestety Liam, wykazując się niezłym refleksem, zamknął mi drzwi dosłownie przed nosem i szybko przekręcił klucz. Kiedy chował go do kieszeni, pomyślałam sobie, że ciekawe, czy ten klucz jest tam zawsze, w kieszeni wuja, czy też Liam gdzieś go kładzie, na przykład na komodzie czy w jakimś innym miejscu, w każdym razie na wierzchu i z... pożyczaniem klucza nie będzie problemu. Drugi wariant bardzo mi odpowiadał, ponieważ zamierzałam jak najszybciej spenetrować tajemniczy tunel. To, że jutro bladym świtem i tak tam się znajdę, nie miało znaczenia. Przecież umierałam z ciekawości.

Liam kiwnął na nas i ruszyliśmy z powrotem schodami na górę. Kiedy wchodziliśmy już do kuchni, spytałam niby mimochodem:

– A dokąd ten tunel prowadzi?

Liam chrząknął, po czym wyrzucił z siebie tonem niemal napastliwym:

– Tunel? Jaki tunel? To normalny dom, bez żadnych udziwnień! Po prostu zapasowe wyjście.

– Zapasowe? To po co ta tajemnica? I mógłbyś już dziś powiedzieć, dokąd prowadzi!

– Dowiedzie się jutro!

Oznajmił to bardzo stanowczo, doszłam więc do wniosku, że nie ma co szaleć z tym podkradaniem klucza i tak dalej. Bo faktycznie, jutro i tak wszystkiego się dowiem. Z tym że ciekawość wcale mi nie przeszła, o nie. Następnego dnia wczesnym rankiem pędziłam po tych schodach w dół jak wichur. Dante zresztą też. Drzwi, zgodnie z zapowiedzią, były otwarte. Rozwarłam je szerzej – oczywiście zaskrzypiały – i zajrzałam do środka, do wąskiego korytarza już nie tak mrocznego jak wczoraj. Dziś był oświetlony. Skąpo bo skąpo, ale jakieś światło jednak było, czyli co kilka metrów zwyczajna żarówka bez żadnej osłony.

– Ej, Dante, jak myślisz, czy ten tunel prowadzi do ukrytej głęboko pod ziemią jaskini pełnej smoków i skarbów?

Brat uśmiechnął się.

– Jak w powieści Tolkiena, co? Niestety, na moje wyczucie będzie inaczej.

– Tak myślisz? Szkoda...

Ruszyliśmy przed siebie i wcale nie szliśmy krótko. Miałam wrażenie, że przechodzimy nie pod jednym domem, w którym mieszkaliśmy, lecz pod wieloma. A na końcu tunelu były schody, na szczycie których widać było

drzwi podobne do tych w suterenie Liama. Zwyczajne drewniane drzwi, które naturalnie postarałam się otworzyć jak najszybciej. Niestety, za drzwiami nie było niczego, czego domagała się wyobraźnia. Ani pieczary i usadowionych w kręgu smoków, które czekają właśnie na nas, ani migoczących ekranów komputerów wzdłuż ścian. Nie, bo był to po prostu garaż. Schludny garaż z cementową, miejscami popękaną posadzką. Bez okien i dość szeroki, bo bez trudu pomieścił dwa samochody. Podwójne drzwi były zamknięte, na półkach pod ścianami leżały różne narzędzia, gumowe węże, stare opony rowerowe i wiele jeszcze innych rzeczy, które zwykle chowa się w garażu. Czyli wszystko wskazywało na to, że tym ściśle tajnym tunelem doszliśmy do świata bardzo zwyczajnego. Chociaż tego, co teraz się wydarzyło, nie można było jednak określić jako sytuacji typowej.

Silniki w obu czarnych sedanach z przyciemnionymi szybami były już włączone i kiedy tylko weszliśmy do środka, drzwi w obu samochodach otwarły się i wysiadło z nich dwóch mężczyzn w identycznych czarnych garniturach i ciemnych okularach. Mężczyzn idealnie zsynchronizowanych. Wysiedli jednocześnie, jednocześnie wykonali w tył zwrot i otworzyli drzwi z tyłu samochodu, dla pasażera. Potem każdy z nich – też jednocześnie – odsunął się od samochodu o krok i znieruchomiał.

Spojrzałam na nich podejrzliwie.

– Mamy z wami jechać?

– Tak, proszę pani – odparł jeden z nich, wpatrując się gdzieś przed siebie.

O mały włos, a wykrzywiłabym się, bo nienawidziłam, kiedy ktoś zwracał się do mnie per pani.

– Ale jest was dwóch...

– Tak. Mamy państwa zawieźć na miejsce przeznaczenia.

– Mamy jechać osobno?

– Tak, proszę pani.

Spochmurniałam. Dante i ja nigdy nie jeździliśmy osobno, bo zawsze wszystko robiliśmy razem. Razem chodziliśmy na zajęcia, odrabialiśmy lekcje i tak dalej. Dlatego bardzo mi się nie podobało, że mój brat pojedzie osobno, drugim samochodem z tym dziwnym człowiekiem, który zawiezie go w jakieś nieznanne miejsce. Podobnie jak mnie ten drugi okularnik.

– A nie możemy pojechać razem?

– Niestety nie, proszę pani. Ale jedziecie państwo do tego samego miejsca.

I co z tego? Wcale mnie nie uspokoił. Przeciwnie, coraz bardziej wydawało mi się to podejrzane, dlatego skrzyżowałam ramiona, gotowa już do dyskusji, ale wtedy podszedł Dante, trącił mnie w łokieć i szepnął:

– Daj spokój. Takie są rozkazy Talonu, a my mamy robić to, co każą.

Westchnęłam. Bo niestety miał rację. Skoro Talon tak zdecydował, nic nie poradzisz.

– No dobrze... – wymamrotałam i znów spojrzałam na kierowców w czarnych garniturach. – Którym samochodem mam jechać?

– Którym pani sobie życzy.

Zanim zdążyłam dokonać wyboru, Dante obszedł mnie wkoło i po prostu wszedł do jednego z sedanów. Kierowca natychmiast zamknął za nim drzwi i ulokował się na swoim miejscu, czyli za kierownicą. Czyli zostałam postawiona przed faktem dokonanym, co w tym przypadku oczywiście nie było aż tak ważne, niemniej jednak wkurzające. Tłumiąc w sobie gniewny pomruk, podeszłam do drugiego samochodu i nie zaszczyciwszy kierowcy nawet najbardziej przelotnym spojrzeniem, wsiałam. I opadłam na tylne siedzenie. Drzwi garażu otwarły się i oba sedany ruszyły w drogę, a każdy z nich pojechał w inną stronę. Jazda była krótka i upłynęła w ciszy absolutnej. Wiedziałam, że nie ma sensu pytać, dokąd jedziemy, ponieważ odpowiedzi i tak nie uzyskam. Dlatego milczałam i opierając się łokciem o drzwi, oglądałam pejzaż za oknem. Jechaliśmy przez miasto, a punktem docelowym był kilkupiętrowy biurowiec. Typowy. Nic, tylko okna. Równe rzędy przyciemnionych okien, w których odbijało się bezchmurne niebo.

Kierowca objechał budynek i zatrzymał się przed rampą na tyłach domu. Żelazne drzwi nad rampą były zamknięte, drugie jednak, kawałek dalej, zachęcająco otwarte. Wsiadłam więc, weszłam do środka przez te drugie drzwi i ruszyłam przed siebie długim i szerokim korytarzem wyłożonym płytkami, na końcu którego znajdowały się kolejne drzwi. Ściślej, tylko odzwia, a było to wejście do jakiegoś biura. Na pewno, bo stało tu olbrzymie biurko, przed nim metalowy stół, a za biurkiem wyściełane skórą obrotowe krzesło. W chwili gdy wkraczałam do środka, krzesło to obróciło się i siedząca na nim jasnowłosa kobieta w czarnym kostiumie od Armaniego uśmiechnęła się do mnie.

Straszna Dama z Talonu.

– Witaj, pisklaku – powitała mnie, opierając brodę na dłoni z idealnie wymanikiurowanymi paznokciami pomalowanymi na jaskrawy czerwony kolor. – Spóźniłaś się.

Przełknęłam. Tylko to, bo żadne słowo nie wydobyło się z mego gardła. I tak właśnie należało zrobić. Lepiej trzymaj język za zębami, kiedy masz do czynienia z kimś starszym od ciebie, kto ma nad tobą przewagę wielu, wielu kilogramów i niewątpliwie już dysponuje wiedzą kilkakrotnie bogatszą niż ta, jaką zwykle zdobywa jeden smok podczas całego swego życia. Więc milczałam, a kobieta nie po raz pierwszy wlepiła we mnie zielone oczy

o spojrzeniu jadowitym, a po krótkiej chwili kąciki czerwonych ust zadrżały. Czyli chyba znowu ta wreduska w duchu podśmiewała się ze mnie.

A potem wskazała ręką na metalowy stółek.

– Siadaj.

Na czymś twardym, zimnym, bardzo niewygodnym. Czyżby specjalnie postawili tu taki właśnie stółek? Może i tak, w każdym razie oczywiście usiadłam, a Straszna Dama z Talonu oparła się wygodniej w swoim wygodnym krześle, założyła nogę na nogę i ponownie utkwiała we mnie nieruchome spojrzenie drapieżcy.

– Na pewno jesteś ciekawa, dlaczego zjawiliśmy się tutaj, prawda?

Nadal milczałam jak zaklęta, więc po króciutkiej pauzie kontynuowała już z nieco uniesioną brwią.

– Nie bój się, pisklaku. Dziś, podczas pierwszego dnia twojego szkolenia, które ja prowadzę, możesz ze mną swobodnie porozmawiać, o co poprosił mnie osobiście pierwszy wiceprezes Talonu. Ten pierwszy dzień potraktuję ulgowo. Po prostu chcę się przyjrzeć mojej uczennicy. A potem... – Nikły uśmiech, błakający się po czerwonych ustach, znikł. – Nie rób sobie żadnych nadziei, pisklaku, bo od jutra łatwo nie będzie. Czekają cię walka, cierpienia, obrażenia. Dziś jeszcze nie, więc jeśli chcesz mnie o coś zapytać, to pytaj.

O co pytać, gdy czułam, że już dziś wszystko we mnie się obrywa?

– A... a jakie to będzie szkolenie? – wyszeptałam.

– Nauczysz się, jak przetrwać w tym świecie, w sytuacji, gdyby ten świat dowiedział się, kim jesteś naprawdę, i za wszelką cenę chciał cię zniszczyć – oznajmiła, po czym zrobiła krótką przerwę, niewątpliwie po to, bym przetrwała tę pierwszą informację. A potem dalej wykład: – Każdy smok musi nauczyć się bronić, nauczyć największej czujności wobec tych, którzy chcą go skrzywdzić i najchętniej zgładziliby wszystkie smoki. Kiedyś omal do tego nie doszło. Wiesz zapewne, co było tego powodem.

– Zakon Świętego Jerzego – odparłam bez wahania. Przecież od chwili wyklucia każdego pisklaka nieustannie ostrzegano przed strasliwym Zakonem Świętego Jerzego i uczono jego przesiąkniętej krwią historii. Opowiadano o pierwszych pogromcach smoków, o fanatycznych templariuszach, o tym, jak żołnierze Świętego Jerzego z zimną krwią mordowali pisklaki. Strzelali do nich, choć pisklaki to przecież dzieci. Każdy pisklak miał wbijane do głowy, że należy być nadzwyczaj ostrożnym wobec obcych, którzy zadają za dużo pytań, wykazując nadmierne zainteresowanie twoją osobą. I nigdy nie zapominać, że bezlitosny, okrutny i przebiegły Zakon Świętego Jerzego to najbardziej zaciekły wróg naszego gatunku.

– Nie. To nie jest prawidłowa odpowiedź – oznajmiła Straszna Dama, czym

bardzo, ale to bardzo mnie zaskoczyła. – Przede wszystkim wina spoczywa na nas, bo nie ufaliśmy sobie nawzajem, a dobra materialne były dla nas ważniejsze niż przetrwanie naszego gatunku. Natomiast ludzie polowali na nas, zabijając jednego smoka za drugim. Kiedy zostało nas już naprawdę niewielu, jeden ze smoków, Elder Wyrm, zebrał wszystkie ocalałe smoki i zmusił do współpracy. Nauczył nas, jak zmienić się w człowieka, jak mieszać się z tłumem, jak poruszać się w świetle ludzi. I co najważniejsze, nauczył nas, jak współdziałać. Bo samotny smok, nawet najsilniejszy, nie da rady przeciwstawić się światu, na którym rozpanoszyli się ludzie. Jeśli chcemy przetrwać, jeśli chcemy, żeby nam się wiodło, musimy zaakceptować naszą organizację i swoje w niej miejsce. Musimy działać ramię w ramię, bo inaczej przegramy. Właśnie dlatego przechodzisz specjalne szkolenie, za które już jutro zabieramy się na serio. Jak mówiłam, nie będzie ci łatwo. Ale tak właśnie trzeba, bo wszystko, czego się nauczysz, służy naszemu wspólnemu dobru. Nigdy o tym nie zapominaj, pisklaku.

Miała rację, podkreślając, że nie będzie łatwo, ponieważ inaczej być nie mogło, chociażby dlatego, że każdy nowy dzień zaczynał się dla mnie o szóstej rano. Tak, bo już o tej zwariowanej godzinie budziło mnie buczenie budzika. Zwlekałam się z łóżka, ubierałam i schodziłam na dół, po drodze wpadając do kuchni, by złapać coś, co było pod ręką, jakąś bułkę czy pączka. Razem z Dantem przechodziliśmy przez sekretne drzwi, a potem każde z nas wsiadało do innego sedana. Mnie wieziono zawsze do tamtego biurowca, wchodziłam do tego samego pokoju, w którym zawsze czekała na mnie ta sama osoba. Moja instruktorka, dla mnie niezmiennie Straszna Dama z Talonu, ponieważ nie zdradziła mi swego imienia. Czekala za tym wielkim drewnianym biurkiem, witając zawsze warknięciem:

– Zdawaj raport!

Zgodnie z rozkazem szczegółowo relacjonowałam to, co robiłam poprzedniego dnia. Kogo spotkałam, dokąd chodziłam, co robiłam. O moich znajomych wypytywała mnie bardzo dokładnie. Interesowało ją wszystko. Kim są, co sądzą o tym czy owym, jak się zachowują w danej sytuacji, jak reagują. Nie znosiłam tych przesłuchań, ale to, co następowało potem, było o wiele gorsze. Przechodziłyśmy do wielkiego, prawie pustego magazynu w tym samym budynku. Tylko twarda, cementowa posadzka, a wysoko nad głową biała przestrzeń sufitu poprzecinana czarnymi prętami. I tam właśnie zaczynała się już zabawa na całego.

– Powyjmuj z tych skrzyń pudełka i przenieś wszystkie do tamtego kąta! – warczała Straszna Dama, wskazując na wielką stertę skrzyń.

– Przeciągnij te palety na drugi koniec pokoju. Potem z powrotem. I to szybko!

– Dziś będziesz nosić wiadra z wodą. Dziesięć razy dookoła magazynu, tam i z powrotem.

– Poukładaj te opony jedna na drugą. Po osiem w każdym kącie. Zrób to najszybciej, jak potrafisz. Nie, nie wolno ci ich toczyć. Masz je nosić!

I tak codziennie przez bite dwie godziny. Nie wolno było o nic zapytać czy poskarżyć się. Buzia na kłódkę i lataj jak ta głupia, wykonując kolejne kretyńskie zadania. A Straszna Dama z Talonu przez cały czas nie spuszczała ze mnie oka, oceniając moje postępy. Nie mówiła, po co to wszystko, tylko poganiała.

– Szybciej, szybciej! Ruszasz jak mucha w smole!

I choćbym nie wiem jak się starała, nigdy nie była zadowolona. A skąd! Zawsze byłam zbyt powolna, za słaba, do niczego się nie nadaję. A poza tym, oczywiście, choćby nie wiadomo ile kilogramów kazała mi taszczyć, pod żadnym pozorem nie wolno było powrócić do pierwotnej postaci. Trochę silniejszej niż człowiek, prawda? Niestety, ten wredny zakaz obowiązywał, i w rezultacie pewnego ranka miarka się przebrała.

– A po co to wszystko?! – wybuchnęłam, łamiąc dwie podstawowe zasady o zakazie gadania i zadawania pytań.

Ale ja te zasady miałam już w nosie, bo jedna z cegieł, które kazała mi przetranszować z kąta w kąt, spadła mi na nogę. Co się dziwić, że zakląłam, jednocześnie coś we mnie pękło i stąd moje krótkie pytanie wypowiedziane bardzo nieprzyjemnym tonem. Straszna Dama z Talonu w odpowiedzi najpierw coś tam wymamrotała pod nosem, niewątpliwie nic pochlebnego pod moim adresem, po czym, już o wiele głośniej, zaczęła dalej mnie popędzać. A mnie bolało wszystko, nawet palce u nóg. Ręce były jak ogień, pot zalewał oczy. Stanowczo miałam tego wszystkiego dość, dlatego nie panując już nad sobą, wydarłam się. Tak, ponieważ byłam na drugim końcu wielkiego magazynu.

– To bez sensu! Wciąż mnie poganiaasz, każesz wykrzesać z siebie jeszcze więcej siły, a nie pozwalasz, żebym przybrała swoją prawdziwą postać! Przecież wiadomo, że gdybym to zrobiła, przeniosłabym te przeklęte cegły dziesięć razy szybciej!

– Nie wolno ci poddawać się Przemianie, ponieważ te ćwiczenia masz wykonywać w ludzkiej postaci – odparła naturalnie lodowato. – A ponieważ buntujesz się, za karę będziesz nosić te cegły jeszcze przez godzinę. Tam i z powrotem. Jednocześnie masz je liczyć. Jeśli się pomylisz, zaczniesz od początku. Zrozumiano?

Oczywiście, że dosłownie mnie rozrywało i niczego więcej nie pragnęłam, tylko dokonać błyskawicznej Przemiany, wyprysnąć w górę i zwiać stąd przez któreś z tych okien w dachu. Uciec od sadystycznej instruktorki i jej beznadziejnych, wykańczających ćwiczeń. Naturalnie nigdy bym się nie odważyła na takie szaleństwo, a już na pewno nie teraz, w biały dzień. Smok frunący nad Crescent Beach! Wystarczyłoby przecież, żeby zobaczył mnie choć jeden człowiek, a już wybuchłaby panika. Oszaleli ze strachu ludzie skazaliby mnie na zagładę i rozpoczęłoby się polowanie. Talon chybaby nie ingerował, bo szkoda energii i pieniędzy na jednego pisklaka. Co innego, gdyby do akcji wkroczył Zakon Świętego Jerzego...

Podsumowując, byłby to kompletny amok.

Zaciskając zęby, nachyliłam się, by podnieść kolejną cegłę i zgodnie z instrukcją położyć ją sobie na ramieniu, przytrzymać ręką i tak właśnie nieść. Tę cholerną cegłę. Oblęd! A przede mną jeszcze bita godzina tych tortur!

Ale na szczęście tylko jedna. Kiedyś minie i znów będę wolnym smokiem, przynajmniej do jakiegoś stopnia...

– Nie słyszę, żebyś liczyła! – zapiąła instruktorka z drugiego końca magazynu. Zgrzytnęłam zębami, przełknęłam, by stłumić kolejny wybuch gniewu, i zawarczałam:

– Jeden...

Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie tortury dobiegną końca i będę mogła wyjść z tego przeklętego magazynu. Oczywiście w końcu ta chwila nadeszła. Po powrocie do domu galopem poleciałam do swego pokoju, chwyciłam deskę i już mnie nie było. Już gnałam nad wodę, bo koniecznie musiałam zająć się czymś, co pomoże mi się wyciszyć i zregenerować. A jazda na falach była najlepszą metodą osiągnięcia tego właśnie stanu ducha.

Niestety tego dnia nie tylko instruktorka była wyjątkowo wredna. Także ocean, wykazując się nadzwyczajnym spokojem. Ani jednej fali. Jakby brał udział w jakimś spisku przeciwko mnie! Cichy i płaski. Deska kołysała się tylko leciutko na niebieskiej wodzie, ja leżałam sobie – bo i cóż mogłam robić innego?! – i gapiłam się w niebo, po którym płynął tylko jeden jedyny obłoczek. Biały kłębuszek bawełny zawieszony pod bezkresnym błękitem był bardzo daleko ode mnie. Gapiłam się przez chwilę, a potem przymknęłam oczy, wyciągnęłam rękę ku niebu i na moment dałam się ponieść wyobraźni. Już nie tu, a tam. Nie ma mnie na tej desce, jestem w górze, w powietrzu, niesiona przez wiatr. Dolatuję do obłoczka, delikatnie obejmuję go szponami i tak razem lecimy sobie dalej...

Och, polecieć! Tak naprawdę! Poczuć cudne ciepło promieni słońca na grzbiecie, na skrzydłach, poczuć to jedyne w swoim rodzaju uniesienie, kiedy wzbijasz się i pikujesz, kiedy szybujesz z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Owszem, surfing ma coś w sobie, ale w porównaniu z lataniem wypada bardzo blado. Oczywiście!

A tamten smok z parkingu, smok uciekinier, na pewno może sobie fruwać, kiedy chce, pomyślałam.

Zbieg... Ułożyłam ręce na brzuchu, splotłam palce. Biały obłoczek poszedł w zapomnienie, bo moje myśli bez reszty zajął smok na motocyklu. Smok zbieg, którego przez moment widziałam na parkingu koło plaży, prawie miesiąc temu, i nigdy potem już go nie spotkałam. A szukałam go. Oczywiście, stąd to ciągle lustrowanie wzrokiem parkingów, tłumu plażowiczów czy zakamarków w supermarkecie w Crescent Beach. I nic.

Dante nigdy już ani słowem o nim nie wspomniął, a kiedy mi zdarzyło się raz czy dwa o nim napomknąć, za każdym razem okazywało się, że właśnie jest okropnie zajęty. Dlatego też zaczęłam się zastanawiać, czy mój brat aby nie podjął w tej sprawie jakichś kroków. Oczywiście chodziło o skontaktowanie się z Talonem. Jeśli tak, to nie pisał ani słowa. Tematu po prostu nie było, wszystko jakoś tak przyszło i w rezultacie w miarę upływu czasu całe to zdarzenie zaczęło wydawać mi się nierealne. Mimo że Lexi absolutnie twierdziła, że SKM istnieje.

A mój brat ostatnio zrobił się jakiś dziwny. Taki nieufny, do przesady ostrożny, jakby w ogóle nie miał ochoty z kimkolwiek rozmawiać. O czymkolwiek, a o swoich szkoleniach na pewno. Nieraz pytałam go, co robi podczas porannych spotkań z instruktorem, a on z reguły udzielał odpowiedzi bardzo ogólnikowej. Podobno wszystko się kręciło wokół nauk humanistycznych, przede wszystkim na topie była polityka. Uczyli go o różnych systemach rządów w różnych krajach, wbijali do głowy nazwiska przywódców różnych państw i takie tam przynudzanie. Podejrzywałam, że Dante, by zniechęcić mnie do dalszych pytań, specjalnie przedstawia to tak niepociągająco. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak jest, skoro ja opowiedziałam mu ze szczegółami, co wyprawia ze mną wredny babsztyl z Talonu. Dante bardzo mi współczuł, niemniej wcale nie stał się bardziej rozmowny.

Nagle w wodzie coś się poruszyło. Na pewno. I przepłynęło koło mojej deski, widziałam przecież płetwę. Co to może być? Cała w nerwach, błyskawicznie usiadłam, wyciągnęłam nogi z wody i uklękłam na desce. A tymczasem płetwa znikła na moment i znów się pojawiła, tym razem o wiele bliżej. Dowód, że to coś czai się, krąży wokół mnie. Już zresztą widziałam, było to coś długiego, ciemnego i gładkiego, w kształcie torpedy.



I wcale się nie wystraszyłam. Przeciwnie, uśmiechnęłam się drwiąco, przecież tego ranka byłam zdecydowanie w nastroju bojowym. I dlatego też, kiedy to coś podpłynęło już bardzo blisko, wparłam się rękami w deskę, pochyliłam głowę i zawarczałam cicho.

Długi, ciemny cień w wodzie natychmiast zmienił kierunek. Zrobił to gwałtownie i efektownie, bo kiedy uderzał ogonem, wzbili niewielką fontannę, po czym zaczął pośpiesznie się oddalać. Bardzo pośpiesznie, a płetwa była coraz mniejsza i mniejsza, aż znikła całkowicie gdzieś w głębinach oceanu. Wtedy znów się uśmiechnęłam, tym razem triumfująco.

Ha! Założę się, że jak za drugim razem zobaczysz mnie wylegującą się na desce, nie będziesz nawet próbował zbliżyć się do mnie! – triumfowałam w duchu. Bo trafił swój na swego, drapieżco!

A zaraz potem westchnęłam, bo oprócz tej króciutkiej i nieoczekiwanej konfrontacji nic więcej nie chciało się wydarzyć po tej stronie oceanu, więc chyba należało zastanowić się nad jakimś innym zajęciem. Na przykład iść już do Smoothie Hut, gdzie miałam spotkać się z Lexi, która jako osoba wyraźnie górująca nade mną inteligencją posłuchała rady brata, który przepowiadał na dziś całkowity brak fal, i zrezygnowała z surfingu, zamierzając całe popołudnie po prostu spędzić na piasku, czyli razem z Kristin smażyć się na słońcu, jednocześnie robiąc przegląd chłopaków na plaży. Tak, z Kristin, mimo że ona miała chłopaka tam, gdzie mieszkała na stałe, czyli w Nowym Jorku. Ale podczas wakacji lubiła sobie zaszaleć, w czym Lexi uczestniczyła bardzo chętnie. Natomiast pozostała część naszej paczki, ta napędzana testosteronem, czyli także Dante, poszła oglądać jakieś tam zawody w ciągnięciu ciężarówek czy coś w tym rodzaju. Skazana więc byłam na same dziewczyny, opalanie się i gadanie o chłopakach. Dla mnie straszna nuda, zawsze to jednak było lepsze niż siedzenie na chybotzącej się esce w towarzystwie mew i rekinów, już zaciekawionych moją skromną osobą.

Położyłam się na brzuchu i wiosłując rękami, dopłynęłam do brzegu. Na plaży były tłumy, w spokojnej wodzie oceanu również mnóstwo ludzi, między innymi rodzice z małutkimi dziećmi. I wtedy włos zjeżył mi się na głowie. Bo dotarło, że od mojego króciutkiego spotkania z kimś, kto na pewno nie jest ludziom życzliwy, minął zaledwie kwadrans. Czy rzeczywiście odpłynął? Pewności przecież nie ma. Równie dobrze może krążyć gdzieś tu w pobliżu, a w płytkiej wodzie przy brzegu chlapie się tyle tych słodkich, tłusciutkich, rozradowanych maluchów...

– Rekin! – wrzasnęłam, kiedy tylko moja stopa dotknęła mokrego piasku. - Widziałam rekina! Natychmiast wychodzić z wody!

I kto by się spodziewał, że ludzie potrafią poruszać się tak szybko! I że aż

tak bardzo boją się tego pokrytego lśnjącymi łuskami drapieży o bardzo ostrych zębach. Bo to był błysk. Kiedy usłyszano mój krzyk, rodzice błyskawicznie porwali dzieci na ręce i puciekali na brzeg. Już po kilku sekundach w wodzie nie było nikogo.

A ja czułam, jak ogarnia mnie pusty śmiech. Ci ludzie panikują z powodu rekina pluszczącego się w błękitnej wodzie. Dla nich – potwora, puciekali więc na brzeg, na którym w chwili obecnej przebywa inny potwór, o wiele większy od rekina, o wiele od niego groźniejszy!

Po krótkiej rozmowie z ratownikami, kiedy to upewniali się, czy istotnie widziałam rekina – na co ja żarliwie, że to żaden głupi żart, widziałam naprawdę, kiedy pływałam na desce surfingowej, o tam! – zaczęłam się rozglądać za Lexi i Kristin. Zlokalizowałam je bez trudu. Stały na końcu parkingu koło żółtego dżipa i gadały z trzema nieznanymi mi facetami, bardzo młodymi i odzianymi tylko w kąpielówki. Naturalnie ruszyłam do nich i już po kilku krokach wyraźnie poczułam na sobie czyjś wzrok. Na pewno ktoś gapił się na mnie, dlatego szybko spojrzałam na parking. Oczywiście mimo woli szukając tamtego ciemnowłosego chłopaka na motorze. Którego na parkingu oczywiście nie było, dlatego pomyślałam, że to już jakaś paranoja. Tak, bo na punkcie tego chłopaka zaczynam mieć normalną obsesję.

– Dobrze, że jesteś! – zawołała Lexi, łapiąc mnie za rękę tak mocno, jakby bała się, że jej ucieknę. – Właśnie miałyśmy ciebie szukać. Wszyscy mówią o rekinie, podobno gdzieś go tu widziano.

– Tak, wiem. Dlatego wyszłam z wody... – odparłam, zerkając na trzech chłopaków. Trochę od nas starszych, może studiowali już w college'u. I na pewno nie byli stąd, bo owszem, ręce mieli opalone, ale cała reszta nietknięta przez słońce, jakby po raz pierwszy zdjęli T-shirty. Jeden z nich zauważył, że się gapię, i puścił do mnie oko, a ja wiadomo, szybko spojrzałam znowu na Lexi.

– Widzę, że macie nowych znajomych. Przedstawisz mnie?

– Jasne! – zapiała Lexi i wykonała ręką efektowny gest, jaki robią prowadzący show w telewizji. – Chłopaki, to jest właśnie Ember, o której już wspominałam. Ember, to Drew, Travis i Colin. Z Kolorado. Przyjechali dzisiaj, dlatego Kristin i ja oprowadzamy ich po plaży.

– Rozumiem... – mruknęłam i zerknęłam na Kristin, która siedziała sobie w pozie niedbalej na masce dżipa, opierając długą opaloną nogę o błotnik. Dwóch spośród tych trzech chłopaków z Kolorado dosłownie pożerało wzrokiem i tę nogę, i całą Kristin.

– No cóż... – podjęłam – plaża i owszem, ale do wody lepiej się nie zbliżać,

skoro ludojad gdzieś tu krąży.

A poza tym, szczerze mówiąc, wcale nie miałam ochoty iść z tymi chłopakami dokądkolwiek, ponieważ bardzo mi się nie podobało, jak patrzą na nas, na dziewczyny. Ten cały Travis, choć podobno przyjechał dopiero dzisiaj, już klei się do Lexi, już obejmuje ją ramieniem. A ona czerwona jest jak burak! A ten Colin cały czas gapi się na mnie i moja smoczyca – moje drugie ja, a właściwie pierwsze – już zaczynała wydawać groźne pomruki, wyczuwając w tym gościu drapieżcę.

– Nie szkodzi – powiedział Travis. – Możemy przecież pójść gdzie indziej. Słyszałem, że jest tu bardzo fajne miejsce, ponoć miejscowi bardzo lubią tam przesiadywać. Zatoka Pirata czy tam Trupa...

– Chodzi ci o Zatokę Samotnej Skały? – spytała Lexi, cała w uśmiechach, a ja miałam wielką ochotę ją kopnąć w kostkę, bo Zatoka Samotnej Skały, oddalona o dobrych kilka kilometrów, to wcale nie był dobry pomysł. Żeby tam dojść, trzeba było zboczyć z drogi i iść ścieżką do miejsca odludnego, gdzie, jak poinformował nas wuj Liam, dzieją się różne i bardzo nieciekawe rzeczy. Dlatego Dante i ja mieliśmy przykazane, że jeśli już koniecznie będziemy chcieli to miejsce zobaczyć, nie wolno iść nam w pojedynkę, tylko w dużej grupie i w biały dzień. W żadnym razie po zapadnięciu zmroku.

– Tak, o to chodzi – powiedział Colin. – Pokażecie nam to miejsce? Mamy ze sobą piwo i chipsy doritos. Zrobimy sobie piknik.

O nie! – zaprotestowałam w duchu. Żadnego pikniku!

– A nie możemy iść po prostu do Smoothie Hut? – zaproponowałam. Oczywiście, że tam! Tam, gdzie jest mnóstwo ludzi! – Umieram z głodu i marzą mi się zakrecone frytki.

– Och, Ember, Ember... Przecież ty podobno kochasz przygody... – zajęczała Kristin, nieśpiesznie zsuwając się z maski żółtego dżipa. Oczywiście zsuwała się w taki sposób, żeby chłopaki byli pod wrażeniem, to znaczy opalone ciało zjeżdżało w dół powoli, wyginając się efektownie, tak efektownie, że chłopaki mieli oczy na szypułkach.

Stała na ziemi, machnęła głową, odrzucając włosy w tył, i zaserwowała swojej widowni uwodzicielski uśmiech.

– Zaprowadzimy was tam – oświadczyła, a Lexi gorliwie kiwała głową. – Pod warunkiem, że wieczorem gdzieś nas zaprosicie.

Rzecz jasna chłopacy byli zachwyceni. Uśmiechali się tak szeroko, jakby wygrali na loterii.

– Trzeba przyznać, że stawiasz twarde warunki – odarł dowcipnie Colin. – Ale trudno. Będzie tak, jak chcesz!

Oczywiście, że omal nie zajęczałam. Wcale nie miałam ochoty tam iść, a ci

trzej kolesie bardzo mi się nie podobali, choć właściwie nie wiadomo dlaczego. Nieraz przecież już widziałam, jak chłopaki podrywają dziewczyny, na ogół robiąc z siebie totalnych głupków. Albo wymądrzali się. Więc pewnie ta trójka nie była ani lepsza, ani gorsza od innych. Może i tak, chociaż trudno mi było zdecydować, bo jeśli chodzi o zachowania ludzi, to ekspertem na pewno jeszcze nie byłam, i kto wie, może oni właśnie zachowują się normalnie.

Z tym że jak się potem okazało, powinnam była przede wszystkim posłuchać mojej smoczycy, która nieustannie wydawała te swoje groźne pomruki.

## GARRET

Wcale nie byłem zachwycony tym, co miałem na sobie.

Kiedy stajesz do walki z potworem obdarzonym przez naturę w kły przerywające ścięgna jak nitkę, a także w szpony, które bez trudu rozszarpiają cię jak papierową torebkę, oraz oddech, dokładniej wydech, który po prostu obdziera cię ze skóry, o oparzeniach nie wspominając – wtedy powinieneś mieć na sobie regularny pancerz. A jeśli ma być to kamizelka kuloodporna, to na pewno nie tylko z kevlaru, lecz z o wiele solidniejszego materiału, która chroniłaby skutecznie podczas starcia z niezwykle groźną naturalną bronią naszych wrogów. Z biegiem lat zaczęli używać także broni palnej, niemniej jednak kiedy smok zmuszony był powrócić do pierwotnej postaci, siłą rzeczy uruchamiał znowu to, w co wyposażyła go natura. Dlatego też nasze mundury były z tkanin ognioodpornych, dodatkowo pokrytych płytkami ze stali pancernej, co nie chroniło całkowicie przed ogniem z paszczy smoka, jednak w dużym stopniu zdawało egzamin. Im więcej warstw tkaniny i stali między mną a wrogiem, tym większa szansa na przeżycie. Podczas niektórych misji mój pancerz rozrywany był na kawałki i palony, ale gdybym nie miał go na sobie, na pewno bym nie przeżył.

A cóż takiego miałem teraz na sobie? Kretańskie szorty i czarny luźny podkoszulek bez rękawów, w czym czułem się całkowicie bezbronny. Równie dobrze mogłem paradować po tej plaży kompletnie goły.

– Garret, znów coś cię ugryzło? – spytał Tristan usadowiony za kierownicą i wpatrzony w parking przed sobą. Ubrany był podobnie jak ja, w szorty i podkoszulek, z tym że jego miał z przodu obrazek. Taka jakby pięść, bo zaciśnięte tylko trzy środkowe palce, a kciuk i mały palec wyprostowane. Może i coś to znaczyło, ale wyglądało dziwacznie, Tristan jednak, w przeciwieństwie do mnie, wydawał się całkowicie nie przejmować tym, co w chwili obecnej ma na sobie.

– Nic – odparłem.

– Nic? A... czyli po prostu jesteś zamyślony – stwierdził i zamilkł.

Czy dlatego, że koło dzipa przechodziło dwóch facetów i jeden z nich omal nie otarł się o rękę, którą Tristan wystawił za okno? Nie. Tristan nie patrzył na nich, tylko na małą grupkę dziewczyn i chłopaków na końcu parkingu.

– Jesteśmy tu już od ponad trzech tygodni – odezwał się po chwili, mentorskim tonem, jakby przywoływał mnie do porządku. – Najwyższy czas, żebyś się do tego wszystkiego przyzwyczaił. Przede wszystkim do szortów. Trudno, żebyś paradował po plaży w mundurze bojowym i uzbrojony po zęby. Nawet jeśli są tu gdzieś w pobliżu smoki, co wcale nie jest wykluczone, skoro

mają się integrować i mieszać z tłumem.

Oczywiście, że tak. Trudno, żebym o tym nie wiedział, tak samo jak o tym, że Zakon żąda ode mnie wypełnienia tej misji. Mam wykonać zadanie niezależnie od tego, co o tym wszystkim myślę. A wcale nie byłem nastrojony optymistycznie. Broń, smoki, walka, śmierć – proszę bardzo. W tych realiach czułem się pewnie, natomiast pełne cywili hałaśliwe i rozbawione nadmorskie miasteczko i zadanie polegające na wielogodzinnym obserwowaniu... Nie, absolutnie mi to nie leżało.

– Lepiej nie gadaj, tylko patrz – burknąłem. – Nadal masz cel w zasięgu wzroku?

Tristan prychnął, nie odrywając oczu od szyby.

– Bez obaw, Garret. Cierpliwości mi nie brak. Potrafię trzymać kogoś na celowniku przez dwie bite godziny i ręka mi nie drgnie. A teraz mogę gadać, ile chcę, a tamte dziewczyny cały czas mam na oku!

Był wyraźnie wkurzony, więc odpuściłem. Minione trzy tygodnie nam obu dały porządnie w kość. Trzy tygodnie obserwowania plaży przez całą dobę na okrągło. Tylko to! Nieustanne gapienie się na tłumy turystów i szukanie tych, którzy odpowiadali kryteriom podanym przez wywiad. Poinformowano nas, że smok, czyli uśpiony szpieg, jest młody, sprawia wrażenie osoby zamożnej i na pewno przylgnie do jakiejś grupy młodzieży bardzo pewnej siebie. Jakiejś paczki, która „opanowała” plażę, to znaczy czuje się tu bardzo pewnie. Po wielu godzinach obserwacji ostatecznie skoncentrowaliśmy się na grupie nastolatków, którzy bywali na plaży praktycznie codziennie i zwykle trzymali się razem. Wzięliśmy ich pod lupę, zakładając, że każdy w tej grupie może być naszym celem.

Czyli etap pierwszy został zakończony i można było rozpocząć etap drugi, którego po prostu się bałem, bo etap ten polegał na tym, że miałem w tę grupę wniknąć, zdobyć ich zaufanie i wyczuć, kto z nich jest legendarnym potworem zionącym ogniem.

Niby proste, ale nie miałem bladego pojęcia, jak się do tego zabrać.

– No proszę... A więc to tak... – mruknął Tristan. – Wygląda na to, że dziewczyny gdzieś się wybierają z tymi chłopakami.

Szybko spojrzałem na koniec parkingu. Faktycznie, już wyjeżdżali dżipem, identycznym jak nasz, tylko żółtym. Dwie dziewczyny, brunetka i blondynka, siedziały z tyłu, między dwoma chłopakami. Cała czwórka śmiała się, gadała, każdy trzymał w ręku butelkę piwa. A z przodu, obok kierowcy, siedziała jeszcze jedna dziewczyna, niewysoka, ruda i wcale nie była roześmiana, tylko patrzyła w okno, jakby nie miała zbyt wielkiej ochoty tam być.

Spojrzałem na partnera.

- I co teraz?
- Jak to co? Wiadomo. Jedziemy za nimi.

## EMBER

Nad zatokę dotarliśmy późnym popołudniem. Zatokę bardzo niewielką, z równie niewielką plażą z dwóch stron osłoniętą osmaganymi przez sztormy klifami, które chroniły ją przed falami, a także przed natłokiem turystów. Na środku plaży leżał samotny ogromny głaz i stąd się wzięła nazwa tego miejsca. A wokół głazu, w bielutkim piasku, widać było mnóstwo przedmiotów świadczących, że to miejsce, w którym teraz nie było żywej duszy, po zmroku niewątpliwie ożywa. Rozbite butelki, puszki i jeszcze takie... inne przedmioty, niezbity dowód, że faktycznie, kiedy słońce zgaśnie, dzieją się tu rzeczy, cytując wuja Liama, bardzo nieciekawe.

Skrzywiłam się, bo nadal absolutnie chciałam być gdzie indziej. Tych trzech chłopaków przez całą drogę piło na potęgę, nie przejmując się, że jest to niezgodne z prawem. Mało tego, że sami pili, to jeszcze namawiali Lexi i Kristin, które wcale się nie opierały. I namawiały mnie na drinka. W innych okolicznościach może i bym się napiła, ale teraz nie, ponieważ nie zamierzałam ubzdryngolić się w towarzystwie facetów, którzy nadal mnie wkurzali. Jeden z nich, Colin, już pchał się do mnie z łapami. Koniecznie chciał mnie objąć. Udawało mi się wywinąć, on jednak konsekwentnie próbował dalej, w rezultacie byłam coraz bardziej wściekła. Gdyby ten głupek wiedział, jak naprawdę wygląda dziewczyna, do której się przystawia, na pewno by mu mina zrzędała. Posikałby się ze strachu!

Opanuj się, Ember! – nakazałam sobie. Chyba nie zamierzasz upiec tego idioty jak piankę nad ogniskiem, którą razem z batonikiem wkłada się między krakersy i to wszystko razem jest pyszne! Nie, nie uruczysz go ogniem, choć sam się o to prosi!

Drew, ręką osłaniając przed słońcem oczy, wlepił je w klify.

– A więc to ma być ta zatoka?

– Zgadza się – przytaknęła Kristin. – Bo to nie jest taka prawdziwa zatoka, tylko wielki dół, który w porze przyływu napełnia się wodą.

– Aha. W takim razie zrobmy mały rekonesans.

– Lepiej nie! – oświadczyłam bardzo stanowczo, ponieważ nie miałam najmniejszego zamiaru pozwolić moim kumpelkom spacerować z tymi facetami po zatoce w gęstniejącym mroku.

Absolutnie nie, bo ci faceci zdecydowanie mi nie odpowiadali. Dlatego szybko odsunęłam się od Colina i chwyciłam Kristin za rękę, odciągając ją od Drew, który spojrzał na mnie spode łba.

A ja oznajmiłam:

– Bardzo mi przykro, ale niestety musimy wracać już do domu. Obiecałam



ciotce, że będę o szóstej. Chodź, Lexi.

Oczywiście kłamałam, ale to dlatego, że koniecznie chciałam już stąd zniknąć. Tymczasem Kristin miała inne plany, bo wyrwała rękę i masując ją wręcz demonstracyjnie, też złożyła oświadczenie:

– Skoro ty i Lexi chcecie wracać do domu, to wracajcie. Ja zostaję, bo chcę pokazać Drew zatokę.

Nie, nie pokażesz! Spojrzałam na Kristin, świadoma, że moje oczy ciskają błyskawice. I bardzo też ciekawa, jak zareagowałaby kumpelka, gdybym złapała ją za włosy na tej pustej głowie i pociągnęła za sobą.

I szok, bo nagle wokół mej talii owinęły się czyjeś łapska. Colina, który podszedł z tyłu, objął mnie wpół i przyciągnął do siebie. A mówiąc bardziej precyzyjnie, przykleił moje plecy do swej klatki i szepnął mi do ucha:

– Po co od razu tak nerwowo? Wyluzuj. Niech sobie pochodzą po zatoce, a my tu sobie na nich poczekamy.

Oczywiście cała od razu zeszywniałam, ale tylko na moment, bo potem zaczęłam się szarpać. Na co zaśmiał się i wzmocnił uścisk.

– No coś ty... Nie bądź taka!

Trzymał naprawdę mocno, ale udało mi się jakoś obrócić i pchnąć go w pierś.

– Puść mnie!

Ember, pamiętaj, żadnej Przemiany! – mitygowałam się. Jeśli zmienisz się w smoka i zeżresz tego trolla, Talon do końca życia będzie trzymał cię pod kluczem. Życia krótkiego, bo to, co dostaniesz do jedzenia, najprawdopodobniej będzie zatrute.

– Puść ją, ty palancie! – krzyknęła Lexi, która wreszcie zwietrzyła niebezpieczeństwo.

A Colin jakby nigdy nic już zabierał się do całowania, kładąc łapy na moich pośladkach.

I wtedy Lexi się wydarła:

– Puść ją, słyszysz?! Powiedziała, że nie chce tam iść, więc nie musi! Zostaw ją w spokoju! Kristin, nie wygłupiaj się! Spadamy stąd!

Chłopcy zaczęli protestować. To znaczy tych dwóch, bo Colin nie, tylko przyciągnął mnie do siebie jeszcze bardziej i wciskając twarz w moją szyję, wymamrotał:

– Wyluzuj, mała! Jak będziesz wyluzowana, zabawa będzie jeszcze lepsza.

Poderwał głowę i przysunął grube, obrzydliwe wargi do moich ust. O nie! Tego było już stanowczo za wiele! Zebrałam się w sobie, nogi wparłam w ziemię i pchnęłam go. Mocno i skutecznie, bo wylądował na tyłku. Rąbnął nim o ziemię i wyraźnie zszokowany, na sekundę wbił we mnie wzrok.

– Suka!

Czerwony ze złości poderwał się z ziemi i... Tak! Uderzył mnie! Nie zauważyłam, jak się zamachnął. Chociaż może oczy i zobaczyły, ale mózg jakoś nie potrafił uznać tego, co zobaczyły, za stan faktyczny, bo to było dla mnie niepojęte. W ciągu całego mojego szesnastoletniego życia nikt nigdy dotąd nie podniósł na mnie ręki. Owszem, zdarzało się, że kiedy nie uważałam, ktoś tam mnie trącił, może i szturchnął, ale nigdy nie było to uderzenie. Nawet Straszna Dama z Talonu nie tknęła mnie choćby palcem. Dlatego absolutnie nie byłam przygotowana na tego rodzaju przeżycie, na tę eksplozję bólu w głowie, gdzieś tam za oczami, kiedy jednocześnie cały świat raptem przechylił się, a dłonie i kolana natrafiły na piasek.

Upadłam, już czując w sobie ten żar, ten sygnał, że moja smoczyca wrze, gotowa jednym podmuchem ognia obrócić żalostną istotę ludzką w popiół.

Lexi i Kristin wrzasnęły. A ja, zgrzytając zębami, usilnie pracowałam nad sobą, by powściągnąć gniew, by za wszelką cenę nie dopuścić do Przemiany. Nie ukazać się nagle cała w łuskach, z kłami i szponami, i nie napędzić temu dupkowi prawdziwego stracha. Zresztą całej reszcie też. Moje paznokcie były już o wiele dłuższe, już wyginały się w szpony, dlatego wbiłam je w piach. Nozdrza mi latały, w piersiach paliło i byłam świadoma, że moje oczy są już inne, są wąskie, spojrzenie zimne i nieruchome. Oczy gada. Dlatego pochyliłam głowę i nie podnosiłam jej, choć widziałam, jak stopy Colina są coraz bliżej mnie. Podchodził, a ja byłam w pełni świadoma, że jeśli jeszcze raz mnie dotknie, nie zapanuję nad sobą. Zmienię go w kości i popiół.

– Hej, hej!

Ktoś krzyknął gdzieś z tyłu, więc odruchowo poderwałam głowę – i w tym samym momencie Colina ode mnie odrzuciło. Poleciał w tył, zachwiał się i po raz drugi rozłożył się na piachu. A ja szybko wyciągnęłam szyję, by zobaczyć, któż to taki jest sprawcą tego upadku. Spojrzałam i moje serce jakoś tak dziwnie zatrzepotało. Dlaczego? A tu muszę wspomnieć najpierw o Lexi. Znałam ją już ponad miesiąc, czyli od ponad trzydziestu dni wysłuchiwałam jej gadania o chłopakach, dzięki czemu dowiedziałam się, na czym polega piękno człowieka. Mało tego, potrafiłam nawet szturchnąć Lexi, by zwrócić jej uwagę na jakiegoś chłopaka moim zdaniem godnego tej uwagi. I słusznie, bo Lexi zwykle też uważała, że to niezłe ciacho. Oceniałam więc już prawidłowo, chociaż absolutnie nie przejęłam od Lexi tej jej fascynacji płcią przeciwną. Ale jak wspomniałam, zostałam już porządnie wyedukowana, doskonale więc zdawałam sobie sprawę, że ten obcy chłopak jest super. Jest, używając ulubionego określenia mojej przyjaciółki – absolutnie rewelacyjny.

Był chyba w moim wieku, jeśli starszy, to niewiele. Krótko ostrzyżone jasne

włosy lśniły w słońcu jak jasne złoto. Był opalony i szczupły, a jednocześnie fantastycznie umięśniony, jakby cały dzień spędzał na dworze, a odpoczywał w siłowni. A jego oczy? Szare, bardzo jasne, ale nie srebrzyste. Raczej stalowoszare, a spojrzenie tak intensywne, że natychmiast przykuły mój wzrok. I serce dalej trzepotało, kiedy wyciągnął do mnie rękę.

– Jak z tobą? Wszystko w porządku?

Skinęłam głową. I odezwałam się, ale cicho, prawie szeptem:

– Tak...

Jednocześnie zerkając na moje paznokcie. Na szczęście były już krótsze i wyprostowane, w niczym nieprzypominające groźnych szponów, dlatego mogłam spokojnie podać mu rękę, którą chwycił mocno i podciągnął mnie, pomagając stanąć na nogi. Przy czym jego wspaniałe metaliczne oczy przez cały czas wlepione były we mnie.

– Dziękuję.

– Kurde!

Uprzejme słowo zagłuszyło przekleństwo, ponieważ Colin już pozbierał się z ziemi i miotając właśnie to, czyli przekleństwa, zbliżał się do nas. Tuż za nim szli jego kumple, którzy wcale nie wyglądali już na pogodnych i życzliwych. Nie, ale tu kolejna niespodzianka, bo pojawił się jeszcze ktoś. Nowa osoba w naszym niewielkim gronie. Chłopak wyższy od mego wybawcy i równie jak on w świetnej formie. Miał krótkie czarne włosy, ciemnoniebieskie oczy oraz przyklejony do twarzy niebezpieczny uśmiezek. I z tym właśnie uśmiezkim ustawił się przed nami, czyli mną i moim wybawcą. Colin i jego kumple natychmiast zatrzymali się. Nic dziwnego, skoro sytuacja się zmieniła i już nie było trzech na jednego.

Przez dłuższą chwilę wszyscy mierzyli się wzrokiem, po czym nowo przybyły chłopak wycedził:

– No cóż... Kiedy tak na was patrzę, to myślę sobie, że mamy tu do czynienia z ewolucją w odwrotnym kierunku. Z tym spacerem to był świetny pomysł, Garret, bo dzięki temu mamy okazję pooglądać rozrabiające mały.

Usta jasnowłosego chłopaka drgnęły. Uśmiechnął się, ale niewesoło.

– Zgadza się. Ale cóż... Ludzie powiadają, że mamy kompletny upadek obyczajów, i chyba się nie mylą.

– A ciebie pytał ktoś?! – warknął Colin i ruszył znów do przodu.

Garret błyskawicznie ustawił mnie za sobą, a Colin kontynuował:

– Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy, gówniarzu! Odejdź od mojej dziewczyny! I spadajcie stąd, bo jak nie, to skończycie na reanimacji. Już ja się o to postaram!

Wtedy oczywiście ja też miałam coś do powiedzenia:

– Nie jestem żadną twoją dziewczyną! Spróbuj jeszcze raz tak mnie nazwać, to zarobisz kopa w miejsce, do którego słońce nie dochodzi!

Colin zamrugał, co świadczyło, że jako skończony dureń nie pojął, o jakie miejsce chodzi. Natomiast szarooki chłopak stojący przede mną zaśmiał się, ale jakoś tak dziwnie, skrzypiąco, jakby śmiał się rzadko. Po prostu nie miał w tym wprawy.

Jego kumpel też się zaśmiał.

– Coś mi się zdaje, że ona nie ma już ochoty mieć cię przy sobie – powiedział do Colina, teraz dosłownie aż napęczniałego ze złości. A potem spojrzał na kumpla: – Co o tym wszystkim sądzisz, Garret?

– Sądzę, że powinno ich tu nie być – odparł bardzo spokojnie, bez emocji. – Jak najszybciej.

Wtedy Colin rzucił się do niego, zamachnął... I na tym koniec, bo Garret błyskawicznie złapał go za rękę i wykręcił tak mocno, że Colin wylądował na piachu. Już po raz trzeci, niemniej był zszokowany, o czym świadczył ów nieartykułowany dźwięk, który wydobył się z jego ust. Natomiast jego kumple wydali z siebie okrzyki największej wściekłości, rzucili się na przeciwników i zaczęła się regularna bijatyka.

Chłopcy się prali, a ja szybko podeszłam do Kristin i Lexi, które oczywiście były kawałek dalej. Stałam koło nich, mimo że moja smoczyca absolutnie domagała się włączenia do walki i poczęstowania przeciwników odpowiednią porcją ognia. Co naturalnie nie wchodziło w grę, ale tragedii nie było, ponieważ nasi obrońcy znakomicie dawali sobie radę. Może znali się na jakichś sztukach walki albo po prostu potrafili się bić, w każdym razie załatwili całą trójkę rewelacyjnie, bezbłędnie stosując uniki, odchylenia i bloki. Na przykład ciemnowłosa zablokował potężny sierpowy, po czym wbił kolano w brzuch przeciwnika, który złożył się jak scyzoryk. Z kolei Garret zrobił unik przed ciosem prostym, po czym odpowiedział pięścią w brodę i głowa przeciwnika pofrunęła w tył. I tak dalej, i tak dalej. Ja, naturalnie, cały czas pokrzykiwałam, zagrzewając do walki, która nie trwała długo. Ciemnowłosa na zakończenie walnął swego przeciwnika pięścią w twarz tak mocno, że tamten poleciał w piach. Garret natomiast walnął łokciem Colina w skroń i też go znokautował. Wprawdzie Colin próbował wstać, ale nie dał rady, i trzymając się za głowę, z powrotem osunął się na ziemię.

Obaj zwycięzcy wyprostowali się i spojrzeli na nas. Ciemnowłosa z szerokim uśmiechem.

– Trzeba przyznać, że było nawet zabawnie – oświadczył, rozcierając sobie nadgarstki. – Przypomniały mi się dawne dobre czasy, kuzynie!

Jasnowłosa potrząsnął tylko głową, po czym spojrzał na mnie tymi swoimi

jasnoszarymi oczami i to wystarczyło, bym poczuła ten dziwny ucisk w dołku.

– Może was podwieźć? – spytał. – Do domu albo z powrotem na plażę. Dokład chcecie. Zaręczam, że i ja i Tristan zachowujemy się inaczej niż ci idioci. Tak. Nawet Tristana stać na to!

Ciemnowłosa cicho prychnął i oczywiście się odciął:

– Nie, wcale się nie obraziłem! Nie zrobię ci tej przyjemności!

Słuchałam ich jednym uchem, przede wszystkim skoncentrowana na kumpelkach, bo były w ciężkim szoku. Lexi, cała rozdygotana, przykleiła się do mnie, a Kristin, zmieniona w słup soli, wpatrywała się w trzy ciała rozłożone na piachu.

– Jeśli możecie, to podrzućcie nas na główną plażę – powiedziałam.

Garret kiwnął głową i w tym momencie Colin nagle jęknął. Niegłośno, po czym pozbierał się z ziemi, stanął na chwiejnych nogach i najpierw wbił płonący wzrok w naszych wybawców. A zaraz potem we mnie i po raz drugi tego dnia usłyszałam:

– Suka!

Oburzona Lexi krzyknęła. A on dalej:

– Wy wszystkie z Zachodniego Wybrzeża jesteście identyczne! Same się o to prosicie, kleicie się do człowieka, a potem nagle coś się wam w tych głupich łbach przekręca! Wszystkie jesteście dziwki...

Nie dokończył, ponieważ mu to uniemożliwiłam. Błyskawicznie odsunęłam od siebie Lexi, podeszłam do zataczającego się macho i zrobiłam to, co mu już wcześniej obiecałam. Dałam mu porządnego kopa we właściwe miejsce, czyli tam, gdzie słońce nie dochodzi, a mężczyznę zaboli najbardziej.

Dołączając krótkie wyjaśnienie:

– Za to, że skradłeś mi mój pierwszy w życiu pocałunek, palancie!

Colin wydał z siebie krótki, zduszony krzyk i po raz kolejny opadł na ziemię, lecz tym razem trzymał się nie za głowę, a wiadomo za co. Nie, wcale nie byłam przekonana, czy postąpiłam właściwie, ale we wszystkich filmach, które oglądałam, w podobnych sytuacjach coś takiego właśnie było praktykowane. A więc czemu nie? Tym bardziej że należało mu się.

A poza tym ten głupek nawet się nie domyślał, że powinien być mi dozgonnie wdzięczny, że skończyło się tylko na tym.

Zrobiłam więc, co trzeba, i z powrotem odwróciłam się do reszty towarzystwa. Ciemnowłosa i jasnowłosa patrzyli na mnie z uznaniem, dumna więc jak paw uniosłam głowę trochę wyżej i spytałam leciutko, swobodnie:

– A więc jak? Jedziemy już? Bo moim zdaniem nie ma tu już nic do roboty!

## GARRET

Pojechaliśmy na główną plażę. Tristan, wiadomo, siedział za kierownicą, ja też z przodu, a z tyłu trzy nasze pasażerki plus deska surfingowa jednej z nich. Dziewczyny, zwłaszcza blondynka i brunetka, gadały bez przerwy cienkimi, piszczącymi głosami, i tak szybko, że człowiek za nimi nie nadążał. Z tym że wcale nie słuchałem ich uważnie, bo wiedziałem już o nich sporo. Wielogodzinne gapienie się na tę ich paczkę dało przecież jakieś efekty. Wiedziałem, że blondynka i brunetka to Kristin Duff i Alexis Thompson, wiedziałem, jaki mają temperament, jak się zachowują, jak reagują. Tak samo ta trzecia nie była już dla mnie tajemnicą. Ember Hill, lat szesnaście, surfowała nieźle, a wieczory spędzała przeważnie razem ze znajomymi w Smoothie Hut. Jakie takie pojęcie już o niej miałem, z tym że ten jej dzisiejszy wyczyn był dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Podeszła do gościa, wcale nie ułomka, i dała mu kopa, celując tam, gdzie słońce nie dochodzi!

Oczywiście, że przede wszystkim wyglądało to śmiesznie, dlatego Tristan zaśmiał się, z tym że był to chichot raczej upiorny, coś podobnego do śmiechu hieny. Ja natomiast byłem zbyt zaskoczony, żeby się roześmiać. Chyba tylko się skrzywiłem. A co mnie zaskoczyło? A to, o czym teraz rozmyślałem, kiedy jechaliśmy na tę plażę. Zastanawiałem się mianowicie, czy nie okazałem się jednak kretyńcem, stojąc jak kołek, kiedy Ember Hill podchodziła do tego pakera i dawała mu kopa w najbardziej czułe miejsce. Na co on sobie zasłużył, oczywiście, ale nie o to chodziło. Problem w tym, że istniały pewne przesłanki, by sądzić, że ta chwila niemocy z mojej strony mogła nas drogo kosztować. Bo tuż przed tym kopniakiem oczy Ember rozbłysły jak dwie latarnie, wargi wygięły się wrednie, zawarczała...

Czyżby to właśnie ona, właśnie mała Ember Hill, była tym kimś, kogo mamy namierzyć? Jeśli tak, to cały ten w sumie drobny incydent mógł kosztować nas, Tristana i mnie, życie. Bo mogło się zdarzyć, że drobne ciało Ember nagle zadrży, zafaluje – i człowiek zniknie, a pojawi się sycząca, pokryta łuskami bestia z kłami, szponami i rozdziawioną paszczą, w której na początek znikłaby głowa tego żalostnego palanta Colina. Następny w kolejce byłby Tristan, potem ja. Na pewno, bo zostawiłem glocka w dziuple i nie miałbym czym się bronić przed rozwścieczonym, zionącym ogniem smokiem. Chyba że próbowałbym go walnąć klapkiem.

Ember Hill... Niejedno wskazywało na to, że może być uśpionym szpiegiem. Już sam fakt, że jest przyjezdna, skłaniał do myślenia. Jednocześnie jednak inny fakt stanowczo temu zaprzeczał. Ember ma brata bliźniaka, a nasi

wrogowie, mimo że nieskończenie bogaci, potężni i dominujący, pod jednym względem byli ograniczeni przez naturę. Smoczyca podczas lęgu składa tylko jedno jajo, nie może więc być mowy o rodzeństwie. A Ember i Dante bez wątpienia to siostra i brat. Podobni prawie jak dwie krople wody, poza tym niesamowicie zżyci ze sobą. Klócili się i wygłupiali jak typowe rodzeństwo, byli też wobec siebie bardzo lojalni. Zawsze jedno brało stronę drugiego. Na pewno wychowywali się razem...

Czyli podsumowując, rudowłosa Ember nie może być uśpionym szpiegiem. Jest to po prostu dziewczyna z temperamentem, która potrafi ostro się wkurzyć i nieźle dołożyć.

Stuprocentowy człowiek. Wystarczy spojrzeć teraz na nią, gdy tak gada jak najęta, cała w nerwach jak jej kumpelki. Wszystkie trzy bardzo ciekawskie, zasypywały nas pytaniami. Koniecznie chciały wiedzieć, ile mamy lat, czy mieszkamy na stałe w Crescent Beach. Ja prawie się nie odzywałem, więc Tristan przekazał im naszą wymyśloną historię. Jesteśmy kuzynami. Ojciec Tristana podłapał na całe lato robotę w Crescent Beach, dzięki czemu my też mogliśmy tu przyjechać. Mieszkamy przy głównej ulicy. Wszystko mieliśmy sfabrykowane. Nie było problemu z przekazaniem, skąd jestem i czym zajmują się moi rodzice. Przyjechałem z Chicago, mój ojciec jest inwalidą wojennym. Wuj zaprosił mnie tu na lato. A tak! Bez trudu mogłem serwować jedno kłamstwo za drugim o chłopaku, który ukończył szkołę średnią, mieszka przy Mulligan Avenue i ma Otisa, psa rasy beagle. Czyli o postaci fikcyjnej, w którą przyszło mi się wcielić.

A jednocześnie zastanawiałem się w duchu, czy któraś z tych trzech rozgadanych pańienek nie jest w podobnej sytuacji. Może też posługuje się fikcją?

W końcu wjechaliśmy na ten niekończący się parking, który ciągnął się wzdłuż głównej plaży, i dziewczyny wyskoczyły z samochodu. Lexi i Kristin niezbyt zręcznie, natomiast Ember zwinnie jak pantera, chwytając przy tym Lexi za ramię, żeby nie wpadła na mijającego nas plażowicza.

A potem zielone oczy zwróciły się w moją stronę.

– Lexi i Kristin były trochę wstawione, nie zdawały więc sobie prawy, czym ta nasza wycieczka może się skończyć. Na szczęście unieszkodliwiliście tych drani. Wielkie dzięki!

– Nie ma sprawy – odparłem, przechwytyjąc jej spojrzenie. – Miło było komuś pomóc.

Uśmiechnęła się. Właśnie do mnie, i nagle poczułem się tak jakoś dziwnie. Serce przyspieszyło? Może, ale nie było czasu tego roztrząsać, bo do samochodu zajrzała Kristin.

– Hej, chłopaki! W tym tygodniu są moje urodziny – powiedziała na przydechu, jakby nas rwała. Zauważyłem, że wyraźnie zniesmaczona Ember wywróciła oczami, ale nie odezwała się, tylko obeszała samochód, by wyjąć leżącą z tyłu deskę surfingową. Natomiast Kristin oparła się o drzwi samochodu i kontynuowała na tym swoim przydechu: – W sobotę robię imprezę, rodzice wybywają na cały weekend. A więc... Stół bilardowy, jacuzzi na patio, pełny barek. Odpowiada? Przyjdziecie? Podam wam adres.

– O tak! Musicie przyjść! – krzyknęła Lexi, której głowa również pojawiła się nad opuszczoną szybą. – Będzie super! Zobaczycie!

Sobota, a dziś poniedziałek, czyli impreza za pięć dni, więc mnóstwo czasu na dalszą obserwację tej trójki. A jeśli nie będzie żadnych przeciwwskazań, w sobotę udamy się na imprezę. Tristan patrzył na mnie trochę dziwnie, ale nie odzywał się, w związku z czym sam podjąłem decyzję.

– Dzięki. Brzmi zachęcająco. Przyjdziemy.

Rozpromieniona Kristin podała nam adres i cała trójka poszła przez parking w stronę opustoszałej już plaży. Oczekałem, aż odejdą kawałek, i wtedy zadałem partnerowi nurtujące mnie pytanie:

– Co jest?

Tristan, uśmiechając się smętnie, wrzucił wsteczny.

– A jest to, że mam przecucie, że nasza misja teraz zacznie się już tak naprawdę.



## EMBER

Stałyśmy na końcu parkingu zapatrzone w czarnego dżipa, który oddalał się od nas, nabierając prędkości. Konkretnie mój wzrok utkwiony był w jasnej głowie Garreta. Bo te włosy tak pięknie połyskiwały w blasku zachodzącego słońca...

Tak pięknie, że kiedy dżip znikł mi z oczu, aż westchnęłam. Lexi też, zupełnie jak echo, i oparła się o moje ramię. A ja ani drgnęłam, chociaż jeszcze nie tak dawno, kiedy ktoś mnie dotknął, cała kurczyłam się w środku. Teraz już nie, już przywykłam, rozstawiłam tylko nogi trochę szerzej, byśmy nie straciły równowagi. Wszystkie trzy, to znaczy ja, Lexi i deska surfingowa, którą trzymałam z drugiej strony.

– O matko... – znów zajęczała Lexi. – Ale ciacha! Tak bym chciała, żeby przyszli na tę imprezę! Myślisz, że przyjdą?

– Nie wiadomo – mruknęłam. Oczywiście! Przecież to Crescent Beach, miejscowość nadmorska, gdzie większość ludzi pojawia się tylko na jakiś czas. I szczupli surferzy, i spaleni na brąz siatkarze, i charyzmatyczni chłopacy, i dziewczyny podrywaczki. Przyjeżdżają, żeby poszaleć w wodzie, zabawić się, przeżyć krótką wakacyjną przygodę, i znikają. Tych trzech głupków, na których natknęłyśmy się dzisiaj, zdecydowanie miało w planach zabawienie się. Wiadomo, w jaki sposób, i wcale nie byli wyjątkiem. Przyjechali na określony czas, wyszaleją się i do widzenia, jak wszyscy. Z Garretem na pewno jest podobnie. Naprawdę świetny chłopak, ale odjechał już w siną dal i nigdy więcej go nie zobaczę. Sytuacja typowa, do której trzeba mieć zdrowe podejście, jak ludzie stąd, z Crescent Beach, którzy trzymali się jednej podstawowej zasady: jeśli chodzi o turystów czy turystki, nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Letnia przygoda – owszem, to czysta przyjemność. Długie wieczorne spacerki po plaży, pocałunki w blasku księżycy, imprezki, jacuzzi. Wszystko ładnie, ale pamiętaj – niczego sobie nie obiecuj, żadnego „na zawsze”, bo choćbyś nie wiadomo jak wielką darzył przyjezdnego – lub przyjezdną – sympatią i wszystko między wami układałoby się idealnie, lato i tak kiedyś dobiegnie końca i on – czy ona – wyjedzie stąd, wróci do domu. Dlatego wyluzuj, zapomnij, nie przywołuj pięknych wspomnień, usychając z żalu, nie powtarzaj obsesyjnie, że mogłoby to trwać, mogłoby być tak pięknie. Bo nigdy tak się nie dzieje.

Poza tym akurat mnie gnębił jeszcze jeden problem. Chodziło o kompletny brak wiedzy i doświadczenia w tej właśnie dziedzinie. Nie miałam bladego pojęcia, co konkretnie kryje się za tym pociągiem człowieka do drugiego człowieka płci odmiennej, ale nie zamierałam dociekać. W końcu to sprawa

między ludźmi, a ja przecież człowiekiem nie jestem.

Niestety, kiedy na horyzoncie pojawił się Garret, zaczęłam drażyć. Bo to wszystko razem było dla mnie i dziwne, i fascynujące zarazem. To, że raptem jego osoba zaczyna zaprzętać moje myśli. Zastanawiam się nad nim, choć widziałam go tylko raz, nie dłużej niż godzinę, no, góra dwie, a zauważyłam w nim już naprawdę wiele i wcale nie powiem, żeby mi się nie podobało to, co zauważyłam. O powierzchowności nie ma co wspominać, bo wiadomo, że wygląda super. Ale na przykład to jego opanowanie w sytuacji raczej ekstremalnej. Bardzo mi się podobało. Także spojrzenie, tuż przed atakiem ze strony Colina. Spojrzenie stanowcze, twarde i bardzo, ale to bardzo groźne. Twardziel? Nie, chyba nie do końca, bo na moje wycucie za tą fasadą niezłomności czaiła się jednak szczypta niepewności i Garret nie zawsze wie tak na sto procent, co powinien zrobić. Gdyby przebić się przez ten mur, natrafiłoby się na całkiem inną osobę niż ta, jaka okazuje się światu...

Czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczę? Raczej nie. A gdyby nawet tak się stało, to nie ma co się łudzić. Ja na pewno nie dam rady przebić się przez ten mur czy skorupę i dlatego teraz, na tym etapie moich rozmyślań, doszłam do wniosku, że trzeba sobą porządnie potrząsnąć. Bo naprawdę nie ma sensu zawracać sobie głowy człowiekiem mi nieznanym, a co więcej, właśnie człowiekiem i tylko człowiekiem. Szkoda marnować tego lata na głupie rozmyślanie, kiedy to lato i tak już jest w dużym stopniu nie takie, jak być powinno, a to za sprawą pewnego babsztyla, z którym spędzam urocze poranki. I tak ma być przez całe dwa miesiące!

– Chyba nie przyjdą – powiedziałam, a Lexi, ponownie wydając z siebie głębokie westchnienie, odkleiła się od mego ramienia.

I jak to Lexi wyprostowała się i machnęła głową, efektownie odrzucając w tył włosy, a ja schyliłam się po swoją deskę i ruszyłam przed siebie, przez parking w kierunku plaży. W tym czasie do Lexi dopadła Kristin, która na moment wróciła jeszcze do dzipa po torebkę.

– Chodźcie, dziewczyny! – zawołałam do nich. – Idziemy do Smoothie Hut! Po tej całej przygodzie czuję wielki niesmak, a najlepsze na to lekarstwo to zimny jogurcik z mango!

I tak zrobiłyśmy. Nie minęło czasu wiele, a już siedziałyśmy przy stoliku, każda nad swoim napojem, a na środku stolika na talerzyku leżały paluszki serowe dla wszystkich. Popijałyśmy, przegryzałyśmy, popatrywałyśmy na zachód słońca – przepiękny, jak to nad oceanem – i omawiałyśmy wydarzenia tego dnia. Wspominałyśmy naszych wybawców, Garreta i Tristana, i nabijałyśmy się z Kristin, która tym razem wykazała się tragicznym brakiem dobrego gustu, przyklejając się do Drew. Dla mnie i dla Lexi cała trójka to po

prostu debile, Lexi nawet wystąpiła z płomienną deklaracją, że najchętniej to by tego Colina wykastrowała najbardziej tępyimi i zardzewiałymi nożyczkami. Tak by go urządziła za to, że śmiał mnie uderzyć.

Wtedy cała ta okropna scena stanęła mi przed oczami, a po plecach przebiegł lodowaty dreszcz. Uderzył mnie, owszem, było to wredne, ale chodziło o tylko jedno uderzenie, które łatwo dało się przeżyć. Kiedy jednocześnie tak niewiele brakowało, a dokonałabym o wiele większego spustoszenia.

I co zrobiłby ze mną Talon, gdybym zabiła człowieka? – myślałam mocno przejęta. Co by się stało, gdybym weszła z powrotem w skórę smoka, odgryzła temu draniowi Colinowi głowę, a całą resztę potraktowała ogniem, zmieniając w żużel? I to wszystko na oczach Lexi i Kristin, na pewno też na oczach Tristana i Garreta!

A byłam od tego dosłownie o krok. Czułam już ten żar w piersiach i charakterystyczne swędzenie na plecach, bo mój grzbiet gotów już był wypuścić skrzydła i pokryć się łuskami. Całe moje ludzkie ciało zeszywniało, przeszkadzało, wydawało się absolutnie zbędne. Na szczęście udało mi się jakimś cudem zwalczyć w sobie gwałtowną chęć Przemiany, choć moja smoczyca szalała, pieniała się, gotowa rozedrzeć tego drania Colina na strzępy. Zrobić z niego coś w rodzaju krwawego konfetti.

Zadrzałam wystraszona swoimi krwiożerczymi myślami i tym, że w głębi duszy wcale nie byłam zadowolona, że nie dokonałam Przemiany i nie załatwiłam drania jak należy. A jakiś czas później, kiedy na chwilę zostałam sama, bo Kristin musiała już jechać na nudne jak flaki z olejem spotkanie rodzinne, a Lexi udała się do toalety, zastanawiałam się nad jeszcze jednym dylematem. Powiedzieć bratu o tym żalnym incydencie czy nie? Chyba jednak tak, bo po co ma się o tym dowiadywać od osób trzecich, czyli od Lexi i Kristin. Lepiej powiem mu sama, mając nadzieję, że zareaguje normalnie, a nie jak nadopiekuńczy brat bliźniak, co niestety przytrafia mu się nierzadko.

I wtedy wydarzyło się właśnie to, właśnie wtedy, gdy sama siedziałam przy stoliku. Nagle poczułam charakterystyczne mrowienie w karku, czyli nieomylny znak, że ktoś wbija we mnie wzrok. A sekundę potem po drugiej stronie stolika ten ktoś usiadł. Kto?

Zbiegły smok.

– Cześć, Firebrand! Można tak? Bo moim zdaniem to adekwatne imię, skoro włosy masz jak pochodnia!

Chłodny, ociekający sarkazmem głos wniknął we mnie, rozniecając, nomen omen, właśnie coś w rodzaju pochodni, co świadczyło, że moja smoczyca wcale nie była w zaleconym przeze mnie stanie uśpienia. Wcale nie, bo kiedy

tylko pojawił się smok zbieg, natychmiast ożywiła się. Już silna, zwarta i gotowa. I niezwykle czujna.

A moje drugie ja, czyli człowiek, przede wszystkim zrobiło wielkie oczy, nerwowo poprawiło się w swoim krześle i te oczy, zrobione na wielkie, wlepiło w chłopaka siedzącego po drugiej stronie stolika. Chłopaka, który uśmiechnął się i poczęstował serowym paluszkiem, a na koniec spytał uprzejmie:

– Nie masz nic przeciwko temu, że tak sobie tu usiadłem?

Nie odpowiedziałam od razu, ponieważ byłam bardzo zajęta.

Patrzeniem. Na smoka.

Oczywiście! Przecież widziałam smoka w tych prawie złocistych oczach, w uśmiechu niby sympatycznym, a jednak groźnym, bo tak naprawdę był to uśmiech drapieżcy. Wyczuwałam też w nim ten jedyny w swoim rodzaju żar, smoczy żar, i dlatego moja smoczyca była w stanie największej gotowości. Patrzyłam i zastanawiałam się, co powinnam teraz zrobić. Zignorować go? Tak, właśnie to powinnam zrobić, ponieważ rozmowa ze smokiem zbiegiem była niewskazana, jak najbardziej niewskazana, bo mogła ściągnąć na mnie wielkie kłopoty zarówno ze strony mojej instruktorki, jak i samego Talonu.

Ale ja miałam to gdzieś.

Moja smoczyca cała nabuzowana prychała i koniecznie chciała się ujawnić. Dlatego zrobiłam bardzo głęboki wdech, żeby choć trochę ostudzić jej zapały, i uśmiechnęłam się, ale wcale nie był to uśmiech miły i uprzejmy. Tylko taki przelotny uśmieszek plus lekkie wzruszenie ramionami.

– To wolny kraj. Możesz robić, co ci się podoba.

– Tak twierdzisz?

Kąciki ust smoka zadrżały, jakby powstrzymywał śmiech. Jednocześnie lekko przechylił głowę w bok i wtedy zauważyłam, że ma tatuaż, bo kawałek tego tatuażu wystawał nad kołnierzykiem koszuli. Krzyż albo węzeł, w każdym razie na pewno coś celtyckiego.

– Dla nas chyba nie tak to końca wolny, nie uważasz? – spytał.

A ja zamrugałam, bo jednak mnie zażył, prawda?

– No tak... – zaczęłam. – A więc... jestem Ember. Miło ciebie widzieć, a te pokrętne uwagi mógłbyś sobie darować.

– Rozumiem. Czyli wiesz, kim jestem?

– Oczywiście. Jesteś zbiegiem.

Kawa na ławę, bo uznałam, że nie ma sensu kręcić, udawać. Nigdy nie byłam w tym dobra, w żadnych tego rodzaju subtelnościach, więc nie kręciłam, nie udawałam, tylko powiedziałam otwarcie, co myślę. Wtedy on uśmiechnął się, demonstrując dwa rzędy białych, równiutkich zębów, ale nie

odezwał się, więc dokończyłam, zniżając głos:

– Wcale mi to nie przeszkadza, że jesteś zbiegiem. Możesz mi powiedzieć, dlaczego tu jesteś? I nie boisz się? Przecież jeśli Talon cię namierzy, będziesz miał poważne kłopoty. Naprawdę bardzo poważne. Kto wie, może Żmije już cię tu szukają!

– Oczywiście, że tak! – Roześmiał się na tę moją przemowę. – Już węższą, jasną sprawą. A jeśli chodzi o kłopoty, to na pewno wiesz doskonale, że rozmowa ze mną może mieć dla ciebie bardzo niemiłe konsekwencje. Jeśli Talon dowie się, że mały bezbronny pisklak rozmawia z wielkim dorosłym smokiem zbiegiem, mogą z powrotem ściągnąć cię do gniazda albo, jeśli będziesz wymykać im się z rąk, zaczną traktować cię jako moją współpracowniczkę, a wtedy Żmije będą ścigać nas oboje. Nie boisz się tego?

A ja na to tak na okrągło:

– Nie powiedziałam ci przecież, żebyś sobie stąd poszedł, prawda?

Chociaż powinnam po prostu gorliwie przytaknąć. Przecież bałam się, i to okropnie, bo żaden smok o zdrowych zmysłach nie życzył sobie, by deptały mu po ogonie Żmije, ci najbardziej tajemniczy agenci Talonu, o których krążyło mnóstwo mrocznych opowieści. Niemniej jednak o tym, że owszem, boję się, nie miałam zamiaru informować zbiega, który przyglądał mi się badawczo, a ja spokojnie wytrzymywałam jego wzrok. Bo co tam Żmije, skoro wprost umierałam z ciekawości również i dlatego, że od lat oprócz brata, nauczycieli i instruktorów nie widziałam żadnego innego smoka. A co dopiero zbiega!

– Kto ty jesteś? – spytałam, pragnąc chociaż w niewielkim stopniu zaspokoić ciekawość. – Jak się nazywasz?

– Jak się nazywam... – powtórzył przeciągle i nie spuszczać ze mnie oczu, usiadł sobie w krześle wygodniej. – A dlaczego chcesz wiedzieć? Dlaczego mam ci zaufać, komuś obcemu, kto może mnie po prostu wydać? Polecieć w te pędy do tej swojej organizacji z sensacją, że koło Smoothie Hut kręci się zbiegły smok!

– Ależ ja cię nie wydam! Na pewno nie, przecież mogłam to zrobić już wcześniej, miesiąc temu, kiedy zobaczyłam cię na parkingu! A nie zrobiłam! – zapewniłam żarliwie, a on nic, tylko wziął sobie paluszka, ugryzł, przeżuł, przełknął i uśmiechnął się do mnie. A ja sposepniałam, ponieważ nagle przypomniałam sobie, jak wtedy, właśnie przed miesiącem, spojrział na mnie tymi swoimi złocistymi oczami. Patrzył z drugiego końca parkingu, a ja i tak miałam wrażenie, że przewierca mnie spojrzeniem na wylot. – Zaraz... zaraz... Czy ty wtedy przypadkiem mnie nie szukałeś?! Oczywiście, że tak! Skąd wiedziałeś, że będę tutaj, w Crescent Beach?

– A ty nic, tylko pytasz i pytasz!

– A ty nie udzielasz żadnych odpowiedzi! Na żadne z moich pytań! – wygarnęłam mu, jednocześnie odsuwając na bok jego rękę sięgającą po ostatniego paluszka. – Przestań ze mną pogrywać! Gdybyś bał się, że cię wydam, nie siedziałbyś teraz tu ze mną. Dlatego powiedz, skąd wiedziałeś, że tu będę i czego tak naprawdę ode mnie chcesz.

– No dobrze. – Znow się zaśmiał. – Wygrałeś. Szukałem ciebie – powiedział, zniżając głos. – Skąd wiedziałem, że tu będziesz? Nieistotne, najważniejsze, że ciebie znalazłem i możemy pogadać. Wiadomo o czym. Powiedz mi, co tak naprawdę wiesz o Talonie?

O Talonie! Przemknęłam spojrzeniem po sąsiednich stolikach, przy których na szczęście nikt nie siedział. Lexi przebywała nadal w toalecie, można więc było swobodnie porozmawiać, ale i tak ściszyłam głos prawie do szeptu.

– A co to w ogóle za pytanie? – odparłam tym niemal szeptem. – Wiem tyle, co wszyscy. Organizacja istnieje po to, by zapewnić nam bezpieczeństwo i przetrwanie. Każdy członek organizacji ma w niej swoje określone miejsce, a wszystko, co robi, służy temu, by nasza rasa stawała się coraz silniejsza. I taka też się staje.

Zbieg prychnął.

– Brawo! Odpowiedź jak z podręcznika, Firebrand. Mówisz dokładnie to, co oni chcą, żebyś powiedziała.

Mówił jawnie drwiąco, więc zjeżyłam się.

– A ty na pewno powiesz to, co mówi każdy zdrajca. I każde twoje słowo to będzie kłamstwo.

– Czyżby? – Teraz on sposepniał. – Naprawdę w to wierzysz? Szkoda, bo prawda jest taka, że wiem takie rzeczy o Talonie, o jakich tobie nawet się nie śniło. Widziałem na własne oczy, co dzieje się w tej ich organizacji, na jakich zasadach działają. To, co o nich wiesz, moja mała Firebrand, to tylko kropla w morzu.

Wtedy poczułam na plecach lodowaty dreszcz, bo nagle stanęła mi przed oczami moja instruktorka z tym świdrującym spojrzeniem, którym katuje mnie, gdy latam jak głupia po magazynie, przestawiając ciężary z kąta w kąt. Instruktorka sadystka... Tak... Czyli w tym, co mówi zbieg, na pewno coś jest.

– Co dokładnie masz na myśli? – spytałam.

Skórzana kurtka motocyklisty i łańcuchy zaszeleściły. Zbieg wstał.

– Chcesz wiedzieć? W takim razie spotkajmy się jutro o północy na Klifie Kochanków. – W złocistych oczach pojawiły się wesołe iskierki. – Wiem, wiem, że to wasza godzina policyjna. Jeśli więc chcesz dowiedzieć się prawdy, musisz zabawić się w zbiega!

Uśmiechał się, jednak mnie wcale nie było do śmiechu.

– Chwileczkę! Chcesz, żebym spotkała się z tobą, kimś kompletnie mi obcym, na jakimś odludziu? O północy? Nie uważasz, że z mojej strony byłaby to oznaka... nadmiernego zaufania?

A on dalej się uśmiechał.

– Obcy? Faktycznie! – Oparł się ręką o stolik, nachylił się i odezwał głosem bardzo cichym, takim, co to na pewno nie doleci do niepowołanych uszu. – Nazywam się Riley.

Dziwne, ale kiedy tak raptem znalazł się bardzo blisko mnie, coś we mnie jakby zadrżało. Może dlatego, że oprócz zapachu kurzu, łańcuchów i skóry wyczułam jeszcze inny zapach. Dla mnie jeden z najpiękniejszych. Zapach wiatru...

– Nazywam się tak jako człowiek – dodał. – Moje prawdziwe imię zdradzę ci jutro, o ile zdecydujesz się przyjść na to spotkanie. Jeśli będziesz się bardzo bała, to nie przychodź, nie ma sensu. Po prostu nigdy więcej już mnie nie zobaczysz.

– A jeśli przyjdę?

– Będzie super. Z tym że radziłbym ci jeszcze raz się nad tym zastanowić, bo pomyśl tylko! Dwa smoki na samotnym klifie nad oceanem. Żadnych ludzi w promieniu kilku kilometrów. Żadnego Talonu, który by nas powstrzymał. Domyślasz się, przed czym?

Moja smoczyca tego dnia miała już okazję, żeby się wzburzyć. Teraz znowu zaczęła szaleć, a to z tego wielkiego podekscytowania. Plecy swędziały mnie już okropnie, co znaczyło, że skrzydła gotowe są wyprysnąć na zewnątrz, rozprostować się i ponieść mnie hen, ku niebu. Oczywiście! I ten zbieg, Riley, doskonale wiedział, co teraz czuję, bo uśmiechał się wyjątkowo szeroko.

– Jutro o północy – szepnął i odszedł, nie oglądając się za siebie. Po prostu już go nie było. Szkoda. A tak, bo nagle zrobiło mi się przykro, właśnie dlatego. Że już go tu nie ma. Mimo że ktoś go zastąpił. Wiadomo kto. Ktoś, kto wrócił z toalety.

– O nie! – zapiszczała, opadając na ławeczkę naprzeciwko mnie, i wlepiała we mnie oczy teraz prawie idealnie okrągłe. – Ember, czy to rzeczywiście był SKM?! Nasz Super-Koleś-na-Motorku? Gadaliście? Co ci mówił? Czego chciał od ciebie? Mów!

Była prawie nieprzytomna z podniecenia. A ja naturalnie lekceważąco wzruszyłam ramionami.

– Ode mnie? Oczywiście, że niczego!

Wcale to kłamstwo nie przyszło mi łatwo, ale nie mogłam wyjawić prawdy, ponieważ to, co działo się między mną a Rileyem, były to sprawy smoków,

a ludziom nic do tego. Coś jednak musiałam wymyślić, bo Lexi patrzyła na mnie z wyraźnym niedowierzaniem.

Najpierw westchnęłam.

– No dobrze, powiem ci, ale nie wydzieraj się na mnie, bo na pewno nie będziesz zadowolona. Wiem przecież, że masz na niego ochotę, ale tak wyszło, że to mnie zaprosił na przejażdżkę, a z tego, co mówił, wynikało niezbitcie, że na przejażdżce tym wypasionym motorem na pewno się nie skończy. Rozumiesz, o co chodzi?

– Naprawdę? Takie tempo? Czyli jeszcze jeden z tych, co od razu im odbija. Szkoda, bo wydawało się, że jest naprawdę super.

– Też tak myślałam – mruknęłam i wstałam z ławki, czując się jednak trochę nijako. Biedna, rozczarowana Lexi nie wie przecież, że ja i tak się z nim spotkam. I to z kim! Ze smokiem zbiegiem, który na koniec wyraźnie zasugerował coś, co wprawiło mnie w zachwyt. Spotkamy się o północy i polatamy sobie! Tak, przecież to miał na myśli, choć doskonale wie, jak wyjątkowo paskudne następstwa może mieć to nasze wspólne latanie. Wyjątkowo paskudne dla nas obojga.

A tak w ogóle to nie powinnam się z nim spotykać, tylko jak najszybciej powiadomić Talon o zbiegłym smoku, który kręci się po okolicy. Oczywiście! Przecież to mój obowiązek. Każdy członek organizacji wie, że zbiegłe smoki są bardzo niebezpieczne, niezrównoważone, nieprzewidywalne i stanowią zagrożenie dla naszego gatunku. I tak naprawdę to nie wiadomo, w jakim celu ten zbieg chce mnie zwabić na odludzie. Byłam pewna, że mówił o wspólnym lataniu i przekazaniu informacji o Talonie tylko po to, by mnie skusić. A poza tym – co on raptem może wiedzieć o Talonie? Jaką prawdę? Na pewno będzie to stek bzdur. Same kłamstwa, i dlatego ta rozumna, logiczna część mojej osoby twierdziła stanowczo, że absolutnie, pod żadnym pozorem nie wolno mi wymykać się z domu po godzinie policyjnej i spotykać w bezludnym miejscu z kimś kompletnie obcym. Oczywiście, że nie! Coś takiego jest po prostu nie do pomyślenia!

Niestety, moja smoczyca miała inne plany.



## GARRET

Po podwiezieniu dziewczyn na plażę pojechaliśmy z Tristanem na najbliższą stację benzynową, ale nie po to, by zatankować, tylko by zajrzeć do sklepu alkoholowego na tyłach stacji, reklamowanego jako „Grota piwna”.

– Masz już jakiś plan w związku z tą imprezą? – spytałem, kiedy przeszklone drzwi zasunęły się za nami i szliśmy przez sklep, w którym panował przyjemny chłód. – W końcu to już w najbliższy weekend...

– Garret, wyluzuj. Po co jakiś plan? To tylko impreza, żadnych zadań specjalnych. Po prostu pobędziemy tam, zintegrujemy się, postaramy się, żeby poczuli do nas zaufanie. No i wiadomo, może uda się coś z kogoś wyciągnąć w związku z naszym zadaniem podstawowym.

– Ale ja jeszcze nigdy dotąd nie byłem na żadnej imprezie!

Bo i jak, skoro Zakon tego rodzaju rozrywki uważał za zbyt nieprzyzwoite, a tak ogólnie to w Zakonie wszystko oprócz szkoleń i treningów uznawano za stratę czasu.

– Zaskoczysz błyskawicznie – rzucił Tristan przez ramię, podchodząc do piramidy wielopaków z piwem. – Po prostu potraktuj tę imprezę jak jeszcze jedno szkolenie. Obserwuj, zintegruj się, postaraj się myśleć tak, jak twój wróg. Przecież robiłeś to już nieraz, prawda?

– No tak. Zdarzało się – wymamrotałem.

– I teraz zrobisz to samo. Wmieszasz się w tłum, pogadasz z tym i owym, czasami się uśmiechniesz... – Nastąpiła krótka przerwa, ponieważ Tristan chwycił dwunastopak i rzucił do mnie. Złapałem w locie, a mój partner dokończył kwestię, oczywiście z szerokim uśmiechem, dodatkowo potrząsając niby to ze zdumienia głową: – Biedny Garret! Potrafi zmierzyć się z zionącym ogniem smokiem i wyskoczyć z helikoptera na wysokości sześćdziesięciu metrów, a pęka, kiedy ma zintegrować się z grupą nastolatków!

Tę drobną złośliwość postanowiłem puścić mimo uszu. Tak dla dobrej sprawy.

– A po co to? – spytałem, unosząc nieco wyżej dwunastopak.

– Zapasik na imprezkę – wyjaśnił Tristan, uśmiechając się chytrze. – Uwierz, przyda się. O torturach i przesłuchaniach zapomnij, trzeba zastosować inne środki. Alkohol, jak wiadomo, rozwiązuje języki, a więc kto wie, czy raptem komuś nie rozwiąże się do tego stopnia, że uzna za stosowne poinformować ciebie, że on – lub ona – tak naprawdę to jest uskrzydłym gadem o długości sześciu metrów, który potrafi zionąć ogniem! Rozumiesz? Dlatego piwo bierzemy ze sobą. Nawet trzeba, bo na większości młodzieżowych imprez obowiązuje dziś zasada KPF.

– KPF? A co to znaczy?

– Nie wiesz?! – Tristan ze zdumienia prawie wywrócił oczami. – Każdy Przychodzi z Flaszka! Albo z puszką, oczywiście. Naprawdę nie wiedziałeś? Przecież mamy w naszym baraku telewizor. No tak, ale niektórzy na coś takiego nie mają czasu. Chociaż bez przerwy kładę ci do głowy, że co za dużo, to niezdrowo. Chodzi o treningi, oczywiście.

– Przede wszystkim chodzi o to, że ja nie piję.

Nie dlatego, że Zakon zabraniał. Przeciwnie, nasi przełożeni uważali, że żołnierz, wykonujący tak niebezpieczny zawód, musi jakoś odreagować. Chyba że żołnierz odreagowywał za bardzo, pogrążając się w pijaństwie. Mnie natomiast alkohol wcale nie pociągał. Moim zdaniem odurzał i robił z każdego głupka, a ja wolałem mieć siebie zawsze pod kontrolą.

– Niestety, Garret, na imprezie wszyscy będą pić i ty, mój przyjacielu, powinieneś robić to samo. W końcu masz się z nimi zintegrować.

Położył sobie sześciopak na ramieniu i ruszył do wyjścia. Ja za nim, zgarniając jeszcze dwulitrową butelkę coca-coli na drogę powrotną do domu. A gdy już tam dotarliśmy i schowaliśmy piwo do lodówki, siadłem z laptopem przy kuchennym stole. Wszedłem na zabezpieczony hasłem link do wywiadu Zakonu, odczekałem moment, wystukałem na klawiaturze zaszyfrowane zamiary i napisałem mejla:

Garret Xavier Sebastian, ID 870012. Prośba o szczegółowe informacje o potencjalnych celach: Alexis Thompson, Kristin Duff i Ember Hill. Lokalizacja: Crescent Beach, Kalifornia. Stopień ważności: wysoki. Odpowiedź: natychmiastowa.

Nacisnąłem „wyślij”, zamknąłem laptopa i usiadłem wygodniej w krześle, żeby spokojnie pomyśleć o tym, co wydarzyło się tego popołudnia. O trzech dziewczynach, z tym że przede wszystkim o tym małym rudzielcu, o Ember. Oczywiście tamtych dwóch nie zamierzałem tak szybko skreślać, ale ruda interesowała mnie najbardziej. Dlaczego? A dlatego, że kiedy po raz pierwszy spojrzała na mnie, na tej plaży, poczułem coś dziwnego, coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie doznałem. Było to odczucie tak silne, że na moment zabrakło mi powietrza. I to nie wszystko, bo przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że Ember wie, kim jestem i dlaczego znalazłem się właśnie tutaj. Tak, tak właśnie ze mną było. Dobrze, że pojawił się Tristan, a potem to już musiałem definitywnie oprzytomnieć, kiedy biliśmy się z tymi chłopakami. I oczywiście oprzytomniałem, w końcu jestem żołnierzem, a tę moją reakcję na rudowłosą dziewczynę uznałem za nic nieznaczący incydent. Coś, co na pewno nigdy już się nie powtórzy, przecież nie byłem idiotą i wiedziałem, jak ważna jest moja misja. Znaleźć tego smoka i zabić go. Na tym powinienem

skoncentrować się całkowicie, a nie rozpraszać się i rozmyślać o rudowłosej dziewczynie, która ma jasnozielone oczy, której udało się mnie rozśmieszyć, która tak żażarcie broniła siebie i swoich koleżanek...

Niestety wszystko to głęboko zapadło mi w pamięć, tak głęboko, że rozsądek zawodził i choć od tych wydarzeń minęło wiele godzin, jakoś nie potrafiłem tej dziewczyny wybić sobie z głowy.

## EMBER

– Ej, Dante! Czy ty nigdy nie tęsknisz za lataniem?

Drgnął i poderwał głowę znad laptopa ustawionego na jego biurku, ponieważ byliśmy teraz w jego pokoju, pokoju mego brata bliźniaka. Oglądał jakieś wideo, a ja leżałam na łóżku i przeglądałam czasopismo o surfingiu. Okno było otwarte, pachnący oceanem chłodny wiatr bawił się cienkimi zasłonami. Godzina już późna. Stojący na komodzie zegarek wskazywał prawie wpół do dwunastej, ale mi wcale nie chciało się spać. O nie. Za bardzo byłam przejęta tym, co miało się jeszcze tej nocy wydarzyć, choć jednocześnie byłam wykończona, bo tego dnia, pragnąc odreagować niemiłe przeżycia w dniu poprzednim, postanowiłyśmy razem z Lexi porządnie posurfować. Na dobre fale natrafiłyśmy dopiero za rafą. Poszalałyśmy na deskach aż do zachodu słońca, a przecież miałam już za sobą to przekłete poranne szkolenie ze smoczyką z piekła rodem. Tym razem przez bite dwie godziny nosiłam wokół budynku worki z kompostem. Jestem pewna, że moja instruktorka z czystej złośliwości postarała się, by te worki były odpowiednio ciężkie i śmierdzące. Żeby pozbyć się smrodu, musiałam włosy potraktować szamponem trzykrotnie i stać pod głupim prysznicem co najmniej pół godziny.

Dante spojrział na mnie raczej dziwnie.

– Tak – odparł, przekręcając się z krzesłem, by ustawić się twarzą do mnie.

– Czasami brakuje mi tego. A dlaczego pytasz?

– Bo mi brakuje tego bez przerwy – wyznałam, zamykając czasopismo. – Co oczywiście wcale nie oznacza, że nie kocham surfingiu. Kocham, bo ma wiele wspólnego z lataniem, ale niestety to nie to samo.

– Tak powiadasz? – Uśmiech Dantego nie mógł być już szerszy. – A ja byłem pewien, że uwielbiasz, jak fala wali cię po grzbiecie, a ty natrafiasz na rafę i prawie się topisz! A tak na poważnie... Powinnaś zacząć od małych fal i stopniowo podnosić sobie poprzeczkę, a nie już podczas pierwszej lekcji walczyć z falą sześciometrową!

– Calvin mówił, że tak właśnie trzeba.

– Calvin? Ciotka Sarah, jak się o tym dowiedziała, była taka zła na niego, że chyba byłaby w stanie odgryźć mu ucho. A twój brat bliźniak, kiedy wyciągali cię z wody, miał wielką ochotę odgryźć mu głowę. Właśnie temu Calvinowi!

– Dante, proszę, nie mówmy już o tym. Przecież was przeprosiłam! Porozmawiajmy o lataniu. Bo widzisz... – Nie, wcale nie było mi łatwo wyrzucić to z siebie, dlatego moje palce nie dawały spokoju biednej narzucie, skubiąc ją zawzięcie. – Och, tak bardzo tęsknię za lataniem. Powiedz mi, ale

absolutnie szczerze, czy nigdy nie myślałeś o tym, żeby postąpić wbrew tym zasadom i... no, domyślasz się... Wymknąć się z domu, znaleźć odpowiednie miejsce na plaży, gdzie nikt cię nie zobaczy, i po prostu wzbić się w powietrze. Choć na kilka minut, zrobić choć jedno kółko...

– Nie! – odparł krótko i bardzo zdecydowanie. Ale to nie wszystko, bo Dante sposepniał do tego stopnia, że na czole między brwiami pojawiła się regularna pionowa bruzda. – Nawet o tym nie myśl, Ember. Nie wolno nam tego robić. Nie wolno!

Jego reakcja bardzo mi się nie podobała, z czym oczywiście się nie zdradziłam. Wzruszyłam tylko ramionami i podsumowałam:

– No cóż... Wiadomo, jest jak jest. Nie ukrywam, że czasami sobie o tym pomyślę, co wcale jednak nie znaczy, że mam zamiar to zrobić.

Podziałało, bo Dante wyraźnie się odprężył.

– Super! Bo wolę sobie nie wyobrażać, co by się działo, gdybyśmy odważyli się na taką głupotę i Talon by się o tym dowiedział! W najlepszym przypadku wezwaliby nas z powrotem na reedukację, a w najgorszym uznaliby nas już za zbiegów. A właśnie... Ember, pamiętasz tego smoka, którego widzieliśmy pierwszego dnia po naszym przyjeździe? Widziałas go jeszcze kiedyś? Mam nadzieję, że nie!

– Nie – odparłam, wpatrując się w nitkę wystającą z koca.

Oczywiście, że sumienie mnie gryzło, ponieważ zrobiłam coś, czego nienawidziłam. Skłamałam bratu, ale przecież nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Przyznać się, że nie tylko widziałam zbiega, ale nawet z nim rozmawiałam. Nie mogłam być teraz szczerą i prawdomówną, ponieważ coś sobie skojarzyłam. Tamtego dnia Riley na motorze widziałam nie tylko ja, ale także Dante, a już następnego dnia niespodzianie pojawili się nasi instruktorzy. Przypadek? Może tak, może nie. Kto wie, czy gorliwy Dante nie poinformował Talonu o zbiegłym smoku, dlatego też, jak podejrzewałam, wyraźnie unikał o nim rozmowy. Kochany braciszek przekablował Talonowi i dlatego Riley natychmiast jak najszybciej ulotnił się z miasta, zanim dopadną go Żmije nasłane przez Talon. Co prawda Riley z miasta nie wyjechał, przecież spotkaliśmy się i porozmawialiśmy, a on namawiał mnie do wspólnego latania, czyli do przeciwstawienia się Talonowi i jego prawom. O tej rozmowie naturalnie nie pisałam Dantemu ani słowa, choć wcale się z tym nie czułam najlepiej, ponieważ po raz pierwszy w życiu zataiłam coś przed bratem. Ale musiałam to zrobić, bo kto wie, czy Dante wtedy znów nie utrzymałby języka za zębami i skończyłoby się na tym, że Riley musiałby zniknąć z Crescent Beach już na dobre. A ten wariant bardzo, ale to bardzo mi się nie podobał...

Brat, wyczuwając mój smętny nastrój, przysiadł na łóżku i objął mnie ramieniem.

– Ember, przecież wiem, że czasami nie jest łatwo, ale tak nie będzie wiecznie. Poza tym cieszymy się, kiedy jest przynajmniej znośnie. Nie psujmy tego, nie róbmy niczego głupiego, bo skończy się na tym, że nas rozdzieli. Dlatego umówmy się. Postępujemy ściśle według wyznaczonych reguł, jasne?

– Łatwo ci mówić... – To jeszcze wypowiedziałam cicho, ale potem już się rozdarłam: – Bo ciebie nie szkoli żadna sadystka! Nie musisz ganiać dookoła sali, taszcząc cegły czy worki z gnojem, a ta wreduska jeszcze drze się na ciebie! Szybciej! Szybciej! Poza tym zawsze wracasz do domu wcześniej. I może wreszcie raczysz powiedzieć, co tak naprawdę robisz podczas tych swoich szkoleń?!

– Ja? – Dante wzruszył ramionami, ton wypowiedzi był idealnie obojętny. – Przecież nieraz już ci mówiłem. Nuda. Nic, tylko polityka, nauki społeczne i takie tam... Kazały wykuć na pamięć nazwiska światowych przywódców, uczały, jakie prawa ustanawiają i co jedzą na śniadanie. Na pewno nie jest to bardziej ekscytujące niż twoje bieganie z cegłami.

Uśmiechnął się i żartobliwie zwichrzył mi włosy, wiedząc doskonale, że tego nie znoszę. Doszło więc do krótkiej szamotaniny. Dante zwyciężył. Udało mu się mnie unieruchomić i dalej wicherzył mi włosy, a ja szarpałam się i krzyczałam, że ma mnie puścić.

Nagle ktoś stuknął w drzwi, raz a głośno, i do pokoju zajrzał wuj Liam.

– Dochodzi dwunasta. Pora spać!

– Tak jest! – odparliśmy zgodnie.

– Dobrze. Aha, Ember! Dzwoniła twoja instruktorka. Chce, żebyś jutro stawiała się na szkoleniu wcześniej. O godzinę. Nastaw więc budzik...

– Na piątą?!

– Zgadza się, na piątą. Dlatego radzę ci iść już do łóżka.

Wuj zamknął drzwi, a ja, odepchnąwszy Dantego, zerwałam się na równe nogi i z pasją zaczęłam szarpać za włosy, niby je przyczesując.

– Normalnie poszaleli... – mamrotałam z wściekłością. – O piątej rano? Ciebie, Dante, twoi instruktorzy nie ściągają z łóżka o tak kretyńskiej porze, prawda?

Jednak brat wcale nie okazywał mi współczucia. Przeciwnie, siedział sobie na skotłowanych kocach i uśmiechał się bardzo szeroko.

Więc już tylko westchnęłam i ruszyłam do drzwi. A on dalej siedział.

– Dante? A ty co? Nie kładziesz się?

Wtedy, jak to brat, zaczął się wygłupiać:

– Och, nie wiem, ciociu Sarah! Ale chyba jeszcze nie, ale jak już oczka będą

mi się zamykały, to ci powiem i poczytasz mi coś na dobranoc, dobrze?

– Och, zamknij się! – warknęłam. Szarpnęłam za klamkę, a po przekroczeniu progu dołożyłam mu: – Dobranoc, Dyludyludam!

Była to pamiątka po cudnym filmie „Alicja w Krainie Czarów”, który oglądaliśmy w dzieciństwie. Byliśmy zafascynowani tłustymi, trajkoczącymi bez sensu bliźniakami, i wtedy to, kiedy chciałam brata zezłościć, zaczęłam przezywać go właśnie tak. Dyludyludam.

– Zaczekaj! – zawołał Dante, patrząc na mnie niemal błagalnie, czyli wiadomo, że dalej się będzie wygłupiał. – Mam do ciebie wielką prośbę. Zanim odejdziesz, czy mogłabyś włączyć mi nocną lampkę i przynieść szklankę wody? Proooszę!

Oczywiście z mojej strony zero reakcji. Zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam przed siebie, przez cichy dom, w którym zapanowały egipskie ciemności. Zwykle o tej porze przez wielkie okna w wykuszach sączyło się srebrzyste światło, tego wieczoru jednak nie. Żadnej srebrzystości, tylko czerń. Przeszłam na palcach przez hol do swego pokoju, po drodze upewniając się, czy światło w sypialni wuja Liama i ciotki Sarah jest już zgaszone. U Dantego światło nadal się paliło, byłam jednak pewna, że nie wtargnie do mego pokoju w środku nocy.

Zamknęłam za sobą drzwi do mego pokoju, zgasłam światło i na chwilę znieruchomiałam oparta plecami o ścianę. Serce waliło jak młot. Do tej chwili nie byłam jeszcze tak do końca pewna, czy odważę się wymknąć z domu po godzinie policyjnej, by spotkać się na samotnym klifie ze zbiegłym smokiem. Teraz wiedziałam, że to zrobię. Zrobię, bo nagle poczułam, że koniecznie, absolutnie chcę się dowiedzieć tego, co Riley obiecał mi przekazać. Opowie o Talonie takie rzeczy, o jakich nawet mi się nie śniło. Niewątpliwie na moją decyzję wpłynął również fakt, że miałam już powyżej uszu Talonu, jego beznadziejnych zasad i instruktorów.

A poza tym okropnie mi się chciało znów poczuć w skrzydłach wiatr. Czułam, że jeśli tej nocy nie polatam, to po prostu pęknę. Innymi słowy – stracę panowanie nad sobą tak już całkowicie.

Weszłam na parapet i chwyciwszy mocno jego brzeg, ostrożnie zsunęłam się po ścianie w dół. Zawisłam dosłownie na ułamek sekundy, rozwarłam palce i z głuchym odgłosem wylądowałam w chłodnym piasku. Natychmiast zerwałam się na równe nogi. A potem, przykleiwszy się do ściany domu, zaczęłam obchodzić go dookoła, by dotrzeć do miejsca, skąd było już tylko kilka kroków do płotu, koło którego leżał mój porzucony rower. Tak, rower, przecież nie mogłam wziąć samochodu, a do samotnego klifu było jednak kilka kilometrów. Czyli nie tak blisko, choć jednocześnie nie aż tak daleko, by

nie wrócić jeszcze przed świtem.

Wyprowadziłam rower na jasno oświetlony chodnik i spojrzałam jeszcze raz na dom. U Dantego nadal paliło się światło, ale ponieważ swego brata znałam nie od dziś, wiedziałam, że siedzi przed komputerem. Nasi opiekunowie natomiast byli już w łóżku, bo zasłony zasunięte, światła pogaszone. Nikt więc nie zobaczy, kiedy przemknę na rowerze przez podwórze i zniknę w mroku nocy, podążając tam, gdzie pofruwam sobie z pewnym smokiem.

Ember, zdajesz sobie sprawę, że łamiesz mnóstwo zasad, które obowiązują w Talonie, odezwał się głos rozsądku.

Owszem, byłam tego w pełni świadoma, ale postarałam się, by nie rządził mną strach. Bo tych zasad przestrzegałam bardzo długo, stanowczo za długo, i teraz, z każdym obrotem koła mego roweru, wątpliwości było coraz mniej. A kiedy skręcałam za róg i po raz ostatni obejrzałam się na nasz dom, całkowicie już niewidoczny w ciemnościach, opuściły mnie wszelkie wątpliwości.



## GARRET

– Ruszaj się, człowieku! – pokrzykiwał Tristan, podchodząc już do krawędzi dachu. – Ale ziąb! Włożyłeś kurtkę?

Owszem, włożyłem. A teraz stałem w drzwiach, którymi z naszego mieszkania wychodziło się na dach, zastanawiając się w duchu, czy to, co zamierzamy robić, ma jakiś sens. Na ten dach wychodziliśmy co noc i wyteżaliśmy wzrok, szukając na granatowym niebie czegoś, co przynajmniej w minimalnym stopniu kojarzyłoby się ze skrzydlatym stworzeniem pokrytym łuskami. Jak dotąd bez skutku, stąd u mnie ta krótka chwila zadumy. Krótka, bo sensowne czy nie, poobserwować niebo warto, chociażby po to, by człowiek miał poczucie, że coś robi, a nie siedzi z założonymi rękami, a czas przecieka mu przez palce.

Westchnąłem więc już tylko sobie, zamknąłem drzwi i ruszyłem do Tristana, który stał na rogu dachu, patrząc przez lornetkę na ciemny horyzont.

– No i jak tam? Zauważyłeś coś? – spytałem.

– Owszem. Faceta, który grilluje na balkonie. Chyba obchodzi urodziny, bo grilluje w garniturze. Poza tym nic – odparł Tristan z lornetką przyklejoną do oczu. – Czytałeś już tego mejla do ciebie?

– Tak. Przeczytałem.

Przed chwilą, w kuchni, gdzie na stole stał mój laptop. Czytałem odpowiedź na moją prośbę o informacje na temat tych trzech dziewczyn. Informacji w sumie było niewiele. Wiek, imiona rodziców, adres zamieszkania, miejsce urodzenia. Takie podstawowe, z tym że jedna z nich była co najmniej zastanawiająca.

Ember Hill: lat szesnaście. Matka: Kate Hill, nie żyje. Ojciec: Joseph Hill, nie żyje.

Oboje rodzice nie żyją, przypuszczalnie zginęli w wypadku samochodowym. Tak, nad tym warto się zastanowić. To, co było przedtem, nie wzbudzało żadnych podejrzeń. Ember i jej brat Dante urodzili się w Szpitalu Najświętszej Marii Panny w Pierre w Dakocie Południowej. Zgodnie ze świadectwem urodzenia są bliźniakami. Dante jest starszy, bo urodził się pierwszy, Ember przyszła na świat trzy minuty później. Prawdopodobnie mieli normalne dzieciństwo, a potem... No właśnie. Oboje rodzice zmarli, a uśpieni szpiedzy z Talonu z reguły byli „sierotami”, które mieszkały u krewnych lub opiekunów, albo też ktoś je adoptował. Oczywiście jeśli chodzi o dokumenty, mucha nie siada. Każdy tajniak z Talonu miał świadectwo urodzenia, także numer ubezpieczenia społecznego. I każdy był sierotą.

Stałem obok mego partnera i przyłożyłem swoją lornetkę do oczu.

– Zastanawiałem się nad tymi trzema dziewczynami – mruknął po chwili Tristan. – Tymi, które spotkaliśmy wczoraj. Czy któraś z nich wrzeszczała na ciebie „ty smoku!”?

– Wyobraź sobie, że nie! Moim zdaniem wszystkie sprawiały wrażenie stuprocentowo normalnych.

– Co o niczym nie świadczy, bo ten ich cały Talon nieźle je wytresował, więc potrafią idealnie dostosować się do otoczenia.

– No tak, wiadomo...

– A czy któraś z nich nie pasowałaby ci na uśpionego szpiega?

– Owszem. Ember – odparłem bez wahania, bo faktycznie wyróżniała się spośród tej trójki. Zajadłością, której dwóm pozostałym zdecydowanie brakowało. – Ale to niemożliwe, skoro ma brata bliźniaka, a wiadomo przecież, że samica smoka składa tylko jedno jajo, z którego wykluwa się jeden pisklak.

– Zgadza się. Ale wiadomo też, że nie ma reguły bez wyjątków. Weź na przykład tygrysy. Teoretycznie niemożliwe jest, żeby ich młode były białe, a jednak zdarza się. Podobnie z wielorybami. Z reguły samica rodzi jedno cielę, ale to wcale nie oznacza, że raptem któraś z nich nie urodzi bliźnięt. W każdym gatunku zdarzają się anomalie, dlatego jest całkiem możliwe, że ta konkretnie samica smoka raptem złożyła nie jedno jajo, a dwa! Czyli sam fakt, że Ember ma brata bliźniaka, niczego jeszcze nie dowodzi. Siostra i brat, bliźnięta, więc przysłali ich tu razem, chociaż zwykle do jednego miejsca wysyłają jednego uśpionego szpiega. Bo smoki z natury są samotnikami. A tym razem może być inaczej...

Tristan opuścił lornetkę i spojrzał na mnie przenikliwie. A ja, kiedy faktycznie wszystko stawało się możliwe, poczułem się jednak nijako.

– Czyli jesteś przekonany, Tristanie, że Ember jest uśpionym szpiegiem?

– Nie, jeszcze nie. Żeby zyskać całkowitą pewność, trzeba mieć niezbity dowód, czyli zobaczyć szpiega w jego pierwotnej postaci. Wtedy można działać. Bez tego dowodu wykluczone, bo lepiej nie myśleć, co by się działo, gdybyśmy się pomylili i pojмали zwyczajnego człowieka. Katastrofa!

– Przecież wiem – burknąłem. – Tylko pojęcia nie mam, jak ten dowód zdobyć. Czy jest to w ogóle możliwe? Bo jeśli ci szpiedzy mają zakaz powrotu do prawdziwej postaci, to jak ich zidentyfikujemy?

Powiedziałem to napastliwym tonem, ale byłem już wkurzony. Bo nie ma to jak normalny realny wróg. Namierzasz go, stajesz z nim twarzą w twarz, likwidujesz. I po robocie. A tu wszystko jest takie pokręcone. No i to czekanie i czekanie, póki nasz cel sam się nie ujawni. Dobre dla Tristana, obdarzonego

anielską cierpliwością, której mi zdecydowanie brakowało.

Przyłożył lornetkę do oczu i znów spojrzął w niebo.

– Wszystko da się zrobić... – mruknął po dłuższej chwili. – Najważniejsze, to zdobyć zaufanie osoby podejrzanej, a także jej otoczenia. Oczywiście! To podstawa. Zbliżyć się do nich, starać się skumplować, przebywać jak najwięcej w ich towarzystwie. I raptem, w którymś momencie, ktoś chlupnie: „Wyobraź sobie, że ktoś tam potrafi zionąć ogniem!”. Albo: „Wczoraj widziałem dziwnego stwora, który fruwał sobie w księżycową noc!”. Tak to właśnie działa, Garret. Cała sztuka polega na tym, żeby być właśnie tam, kiedy ten ktoś się wygada.

Potem na dłuższą chwilę zapadła cisza. Milczeliśmy, wpatrując się w horyzont. Z tym że ja jednocześnie zastanawiałem się, czy to możliwe, by zdobyć czyjeś zaufanie, kiedy o zdobyciu mojego zaufania nie może być mowy. Co za koszmarna sytuacja... towarzyska.

Oczywiście poczułem się jeszcze bardziej wkurzony i mimo woli zrobiłem krok w tył, odsuwając się od krawędzi dachu.

– A ty dokąd? – spytał ostrym głosem Tristan.

– Spadam – oznajmiłem. – Nie ma sensu, żebyśmy obaj obserwowali z tego samego miejsca. Ty zostajesz tutaj i masz oko na plażę, a ja pójdę na klif.

– Sam? A co będzie, jeśli zobaczysz uśpionego szpiega fruującego nad skałkami? Sam nie dasz rady go załatwić, nawet jeśli to pisklak.

– Jeśli go zobaczę, to nic nie będę robić, tylko dam ci znać i dołączysz do mnie. Wtedy zaczniemy działać.

– Jesteś pewien, że uda ci się mnie zawiadomić? Zwęglonym szczątkom raczej trudno dzwonić z komórki!

– Wyluzuj, dobrze? Przecież nawet jeśli mnie zauważy, nie zaatakuje na otwartej przestrzeni – burknąłem, ruszając do drzwi. – Idę! Oczywiście ty też, jak tylko zauważysz coś podejrzanego, dzwonisz do mnie. Umawiamy się, że wracam o piątej. Gdybym nie wrócił, a przedtem nie zadzwonił, oznaczać to będzie, że najprawdopodobniej smok już mnie trawi. Cześć!

## EMBER

Klif, zwany przez miejscowych Klifem Kochanków, była to samotna skała stercząca nad oceanem w miejscu odludnym, oddalonym od głównej plaży o kilka kilometrów. Za dnia było to miejsce bardzo malownicze i często fotografowane, a w nocy podobno właśnie tu zakochani mogli udowodnić swoją miłość. Wystarczyło wejść na klif, wziąć się za ręce i hop! w spienione fale. Jeśli miłość była gorąca i prawdziwa, wychodzili z tego bez szwanku. Jeśli prawdziwej miłości nie było, kończyło się tragicznie. Topili się, a przynajmniej jedno z nich.

Lexi uważała, że to bardzo romantyczne. Ja natomiast byłam zdania, że to zwyczajna głupota.

Wąską drogą dojechałam rowerem do małego parkingu, potem ruszyłam chodnikiem prowadzącym do Klifu Kochanków, spowitego teraz w mroku. Na szczyt skały wchodziło się po wąskich schodach biegnących regularnym zygzakiem, a na samym szczycie było całkiem płasko. Była też bariera, by nie polecieć w dół, a także tablica z ostrzeżeniem, że nie wolno podchodzić na sam brzeg skały. Czym, jak można się spodziewać, mało kto się przejmował.

Oparłam rower o skałę i weszłam po schodkach na górę, tam, gdzie miałam czekać. Więc czekałam sama jak palec, bo tylko w wyjątkowo małymównym towarzystwie przepięknego księżycy w pełni, wyglądającego spoza chmur. Byłam bardzo ciekawa, czy smok zbieg rzeczywiście się pojawi i czy rzeczywiście do tego wspólnego latania dojdzie. Dlaczego mi je zaproponował? Może chce mnie wypróbować, sprawdzić, czy faktycznie gotowa jestem złamać zasady Talonu. Może ma być to gwarancją, że go nie wydam. A może też nie miał najmniejszego zamiaru tu się pojawić, bo chciał tylko zakpić z głupiego pisklaka i teraz śmieje się ze mnie, bo ja czekam i czekam.

Tak, czekam, a czas mija nieubłaganie. Kiedy jechałam tu, co chwilę spoglądałam na zegarek. Teraz, coraz bardziej niespokojna, zerkałam prawie co minutę. Już kwadrans po dwunastej, a smoka zbiega jak nie było, tak nie ma.

A czego ty się spodziewałaś, Ember? – skwitowałam kwaśno w duchu. Przecież to zbieg, a tyle razy słyszałaś, że ktoś taki nie jest godny zaufania. Tak naucza Talon.

Byłam już zła jak osa, dlatego lekceważąc wszelkie ostrzeżenia, przeszłam przez barierę. A co tam! Oparłam się o nią plecami i spojrzałam w dół na pomarszczoną taflę czarnej wody.

Co teraz? – zastanawiałam się. Wracać do domu? Czy powiedzieć sobie, że

mam to gdzieś, i polatać sama?

Ta myśl była bardzo kusząca. Bo i niby dlaczego nie? Przecież tyle już zrobiłam. Wymknęłam się z domu, i to po godzinie policyjnej, przyjechałam tu, czekam jak głupia. I co? Mam teraz, ot tak, po prostu, wracać do domu? Tylko dlatego, że jakiś obcy smok okłamał mnie i nie przyszedł na umówione spotkanie?

Nagle coś usłyszałam, coś, co sprawiło, że serce na moment przestało bić. Potężny krzyk, który niósł się po spienionych falach. Natychmiast oderwałam plecy od bariery, wyciągnęłam szyję i wbiłam wzrok w ciemność, starając się wyłapać choć najmniejszy ruch. A ten ktoś znowu krzyknął, musiał być już bliżej, coraz bliżej...

Wstrzymałam oddech i po krótkiej chwili spośród spienionych fal, tuż przede mną, wyłoniła się olbrzymia uskrzydłona istota. Wyprysnęła z wody, wzbija się w powietrze i na moment, bijąc potężnymi skrzydłami, zawisła nad moją głową. A potem, wydając z siebie jeszcze jeden grzmiący okrzyk, opadła na ziemię wcale też nie cicho, tylko niemal z łoskotem. Dlatego mimo woli – choć moja smoczyca piszcziała z radości, miotała się, bliska już przebicia się przez ludzką skórę – cofnęłam się o krok, zaraz jednak potem, resztką sił powstrzymując się od Przemiany, dopadłam do smoka, który stał zaledwie kilka kroków dalej. Smoka niewątpliwie starszego ode mnie o lat kilkadziesiąt. Ale my dojrzewamy o wiele później niż ludzie, dopiero po pięćdziesięciu latach stajemy się dorosłymi smokami. A ten był ogromny. Ja, jeszcze pisklak, w mojej prawdziwej, smoczej postaci ważyłam ledwie tyle, co dorosły tygrys, około dwustu pięćdziesięciu kilogramów. A ten smok, lśniący i wspaniale umięśniony, ważył chyba dwa razy tyle i mimo że nie osiągnął jeszcze rozmiarów dorosłego smoka, czyli wielkości autobusu, już wyglądał imponująco. Łuski były granatowe jak głębia oceanu, oczy w tych ciemnościach lśniły najwspanialszym złotem. Płetwa na grzbiecie, jak piękny żagiel, swój początek brała między długimi, wygiętymi w tył rogami koloru kości słoniowej, a kończyła się u nasady wręcz prowokacyjnego ogona. Ogon, który smok teraz, w pozycji siedzącej, owinał wokół stóp ze szponami.

Usiadł tak po kociemu i patrzył na mnie. A ja na niego, na pociągłą, pokrytą łuskami smoczą twarz, w którymś momencie uświadamiając sobie, że on po prostu uśmiecha się do mnie. Tak, uśmiecha! I jest to uśmiech Rileya, na pewno, choć w wykonaniu smoka. Uśmiech, pod wpływem którego mój niepokój znikł jak ręką odjął.

– Wejście miałeś całkiem niezłe! Brawo! – powiedziałam też z uśmiechem, chociaż byłam cała mokra, dzięki fontannie, którą wzbijały jego skrzydła, kiedy wyłaniał się z wody. Teraz skrzydła były grzecznie złożone na plecach, woda

z nich kapala i kapala, a kałuże koło smoczych stóp były coraz większe. Sam smok natomiast uśmiechnął się bardzo szeroko, ukazując cały komplet bielutkich kłów.

– Spodobało się? Super! – powiedział jak to smok głosem tubalnym, ale złociste oczy skrzyły się humorem, nie można więc już było mieć nawet najmniejszych wątpliwości, czy istotnie jest to smok zbieg, czyli Riley. – Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że przyjdiesz, Firebrand!

– Miałeś prawo tak myśleć. Przecież mnie nie znasz.

– No nie. Ale przyszedłaś i świetnie, bo to dowód, że nie zapomniałaś, że jesteś smokiem.

Mówił, a ja nagle uzmysłowiłam sobie, że mówi do mnie po smoczemu, czyli w moim języku, przecież angielskiego zaczęłam się uczyć dopiero wtedy, kiedy zaczęto nas edukować na modłę ludzką. On po smoczemu, ja jednak nie. Dlaczego? Ponieważ byłam w ludzkiej postaci, kiedy to wysławianie się po smoczemu jest prawie niewykonalne, ponieważ polega nie tylko na operowaniu językiem i wargami. Tak więc ja po angielsku, on w języku smoków i problemu nie było. Przecież ten język, w końcu mój, znałam doskonale!

– Nie, nie zapomniałam. Jestem smokiem i dlatego też, między innymi, jestem bardzo ciekawa, co ma mi do powiedzenia drugi smok, zbieg, który odrzuca wszystko, za czym opowiada się Talon. Mam nadzieję, że mnie oświecisz. Ale przedtem bardzo chętnie poznałabym twoje prawdziwe imię. Obiecałeś przecież, że je zdradzisz. A może był to tylko wybieg, żeby mnie tu zwabić?

– Nie, żaden wybieg. Nazywam się Cobalt. Cobalt, kiedy jestem w takiej postaci jak teraz. A jeśli chodzi o Talon... Dajmy sobie z tym spokój. Ja już od dawna staram się w ogóle o tym nie myśleć, wiele rzeczy udało mi się wymazać z pamięci. Takich rzeczy, o których ty nie masz pojęcia... pisklaku!

– *Rnesh karr slithis.*

To ja. A co! Choć dla człowieka to bardzo trudne, jednak wysyczałam jak należy. Po smoczemu „zeżryj własny ogon”, czyli odpowiednik miłej odzywki „chrzań się”.

Riley – nie, teraz Cobalt – zaśmiał się.

– Super! Wreszcie po naszymu!

Wstał szybko i zwinnie jak kot, po czym rozpostarł wielkie niebiesko-czarne skórzaste skrzydła.

– A więc jak? Dalej będziemy tak gadać o niczym, czy jednak polatamy? – spytał, wyginając piękną długą szyję, by spojrzeć na mnie z bardzo wysoka.

Polatamy... Wiadomo, że moją smoczycę aż skręcało z niecierpliwości,

niemniej jednak ja, Ember człowiek, uznałam, że jeszcze nie teraz, bo w tym ważnym momencie, który nastąpi za chwilę, należy mi się choć trochę prywatności. Dlatego najpierw odeszłam kilka kroków na bok. Oczywiście zauważyłam, że niebieski smok nie spuszcza ze mnie złocistego oka i uśmiecha się, czyli robi to, co w chwili obecnej absolutnie nie jest wskazane.

– Musisz się tak gapić? – rzuciłam ostro, a on spojrzał pustym wzrokiem i wyraźnie zaczął się zastanawiać, o co mi chodzi. Odczekałam więc chwilę, postukując niecierpliwie nogą, a ponieważ nie odzywał się, uznałam, że trzeba go oświecić. – W porządku. Kawa na ławę. Odwróć się!

– Ale dlaczego? – Wyraźnie sposepniał.

– Ponieważ nie chcę, żeby podczas Przemiany moje szorty uległy zniszczeniu. Są ekstra, a poza tym nie zamierzam wracać do domu z gołym tyłkiem.

Nie zaskoczył, więc udzieliłam dodatkowych wyjaśnień:

– Czy twój genialny smoczy umysł nie jest w stanie pojąć, że po prostu zamierzam się rozebrać?! Nie zamierzając przy tym robić przedstawienia? Dlatego masz się odwrócić!

– Ale dlaczego? Przecież tak jak i ja jesteś smokiem. Co nas obchodzi ta ludzka skromność?

– Mnie tak! Bardzo obchodzi! Ta właśnie skromność! – oświadczyłam, krzyżując ręce na piersi i starając się spojrzeć na niego też z wysoka. Oczywiście także ze złością. On patrzył identycznie. Zdawałam sobie sprawę, że może istotnie zachowuję się za bardzo jak człowiek, ale kiedy chodziłam do szkoły, moi nauczyciele wcale tej skromności nie lekceważyli. Przeciwnie, skutecznie wbili mi do głowy, że u ludzi chodzenie w ubraniach jest normą, dlatego nam, kiedy jesteśmy w ludzkiej postaci, nie wolno chodzić na golasa. Mimo że smok w swej pierwotnej postaci niczego na grzbiecie nie ma.

– Jeśli będziesz się gapić, to z Przemiany nici! – warknęłam. – I ze wspólnego latania też!

Prychnął z pogardą, ale wstał i odwrócił się, oczywiście bardzo powoli, z wielką godnością, równie powoli siadając plecami do mnie. Owinął ogon wokół stóp i znieruchomiał z wzrokiem wbitym w ocean.

– I żadnego podglądania, słyszysz?! – wrzasnęłam jeszcze tak dla pewności.

Cisza, tylko skrzydła drgnęły i rozpostarły się szeroko, tworząc naturalną zasłonę między nami. I bardzo dobrze! Uśmiechając się triumfująco, szybko pozbyłam się sandałów, ściągnęłam szorty i top. Złożyłam wszystko starannie w kostkę, schowałam pod najbliższym krzakiem i drząc z podekscytowania, podeszłam na sam środek klifu. Naturalnie zerkając na zbiega, czy przypadkiem jednak mnie nie podgląda. Nie, nie podglądał. Nadal siedział

nieruchomo tyłem do mnie, a skrzydła miał rozpostarte.

Czyli można wykonać następny krok.

Lodowate podmuchy wiatru chłostały klif, zimne wody oceanu chłostały moją skórę. Zamknęłam oczy, zrobiłam kolejny głęboki wdech i pochyliłam głowę. Wszystkie moje lęki i wątpliwości znikły. Byłam pochłonięta tylko tym, co dzieje się na bieżąco. Już czułam w sobie ten żar, który konsekwentnie się przesuwiał, by ze mnie się wydobyć. Moja smoczyca, przeszczęśliwa, że wreszcie wydostanie się na wolność.

Zadrzałam, prychnęłam, bo jak zwykle podczas pozbywania się słabego ludzkiego ciała zabolalo porządnie. Kręgosłup wydłużał się, a w czasie tego wydłużania trzeszczał i od czasu do czasu coś w nim cichutko strzeliło. Twarz stężała, ludzka skóra i zęby znikły, formowała się wąska paszcza z kłami ostrymi jak brzytwy. A z czaszki wysunęły się jasne rogi i wydatne łuki brwiowe. Całe ciało pokryło się łuskami i rogowymi tarczkami w kolorze płomieni i twardymi jak stal.

I wreszcie ta chwila nadeszła. Jestem smokiem! Przysiadłam na tylnych łapach i przepelniona największą radością wydałam z siebie zuchwały smoczy ryk. Moje skrzydła, wspaniałe jak dwa szkarłatne żagle, rozłożyły się szeroko. Wreszcie poczułam w nich wiatr. Załopotalam nimi kilkakrotnie, tak dla rozgrzewki, wzbiłam się w powietrze i na moment zawisłam nad skałą. Byłam u szczytu szczęścia, bo wreszcie stało się to, za czym tak tęskniłam! Tęskniłam rozpaczliwie, dlatego czułam się tak, jakby po bardzo długim uwięzieniu w jakimś pudle w końcu udało mi się z niego wydostać.

Po chwili opadłam na skałę. Otrząsnęłam się i naturalnie zerknęłam na zbiega, który, rzecz dziwna, nadal siedział tyłem do mnie z oczami wlepionymi w ocean. Ale ogon niecierpliwie bił w ziemię.

– Jesteś już gotowa? Na pewno? Powiedz, bo nie chciałbym urazić twojej człowieczej wrażliwości! Aha, i przypominam, tak na wszelki wypadek, bo może zapomniałaś. To, co ci wyskoczy, a może już wyskoczyło z pleców, to skrzydła, czyli coś, co jest niezbędne do latania. Będiesz z nich korzystać. O ile w ogóle dziś do tego latania dojdzie.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo w tym momencie powiał wiatr, nadzwyczajny wiatr, taki, przy którym niemożliwością było nie rozłożyć znowu skrzydeł. Rzuciłam się do przodu. Jednym susem pokonałam barierę, przemknęłam obok nadal nieruchomo siedzącego zbiega i dopadłam do krawędzi skały.

– Spróbuj mnie dogonić! – krzyknęłam jeszcze przez ramię i już podrywałam się z ziemi. Już leciałam tam, w górę, ku niebu. A w dole potężne fale z głuchym łoskotem waliły o skałę, rozsyłając na wszystkie strony strugi



słonej wody i obłoki piany. Widok z ziemi może i zatrważający. Ale stąd, z góry? Tylko piękny. Przepiękny! Spojrzałam jeszcze raz, a potem patrzyłam już tylko do góry, w noc i w ciemność, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, czyli tam, gdzie nawet mewy nie odważą się szybować. Nad głową miałam granatowe niebo poprzetykane diamentami gwiazd, wokół mnie rozrzedzone chłodne powietrze. Poda mną bezkresna tafla oceanu, z jednej tylko strony ograniczona jasnym pasem plaży, za którym migotały światła miasta. Nigdy dotąd nie latałam nad terenem tak gęsto zaludnionym, dlatego byłam zafascynowana tą feerią światła, mnogością domów, samochodów i naturalnie ludzi, których widać było mnóstwo, różnych nocnych marków i balangowiczów zabawiających się w kurorcie, a nikt przecież nie wiedział, że gdzieś tam, bardzo wysoko nad jego głową, fruwa sobie smok i gapi się na niego.

Nagle poczułam potężny podmuch wiatru. Tak silny, że zakołysałam się w powietrzu, a kiedy wszystko wróciło do normy, spojrzałam do góry, na sprawcę owego zakłócenia. Wiadomo – Cobalt. Nieśpiesznie obleciał mnie dookoła, na moment zawisł nade mną, po czym nadzwyczaj zręcznie obniżył lot i znalazł się tuż koło mnie, wlepiając we mnie oczy jaśniejące jak złociste gwiazdy.

– Nieźle, pisklaku! Moje uznanie! A teraz przekonamy się, czy mnie dogonisz!

Złożył skrzydła i przypikował ku wodzie. Bardzo szybko, wyjątkowo szybko, ale trzeba sprostać wyzwaniu. Pełna determinacji złożyłam skrzydła i też pomknęłam w dół. Spadaliśmy jak dwa gązdy, niesamowicie szybko, powietrze wokół nas po prostu aż piszczało. Kiedy zbliżaliśmy się już do wody, trzecie powieki nasunęły mi się na oczy, by uchronić je przed słoną wodą. A kiedy od powierzchni oceanu dzieliły nas już dosłownie sekundy lotu, nagle woda pod nami zakotłowała się i uniosła o dobre kilka metrów. Cobalt dosłownie w ostatniej chwili rozłożył skrzydła. Już nie pikował, lecz unosił się nad powierzchnią oceanu. Ja robiłam to samo, tak więc oboje uniknęliśmy kąpieli we wzburzonym oceanie. Bardzo wzburzonym, bo fala, która wyrosła przed nami, była naprawdę wielka. Cobalt, wydawszy z siebie bojowy okrzyk smoka, załopotał skrzydłami i dalej pruł przed siebie nad skłębioną masą wody i piany. Ja też, ale niżej, prawie jadąc na fali jak podczas surfingu. Fala rosła i rosła, a kiedy zaczęła się łamać, zgodnie z ruchem wody skierowaliśmy się w lewo i nagle... Nagle okazało się, że lecimy przez wodny tunel! Prawie tunel, bo mieliśmy falę z trzech stron. Zachwycona wystawiłam szpony. Woda cudownie przepływała między nimi jak przez palce u nóg podczas surfowania. Niestety, tego rodzaju magiczne wodne tunele mają bardzo krótki żywot.

Kiedy woda u wylotu tunelu znów zaczęła się kłębić, przyśpieszyliśmy i wyprysnęliśmy w górę spośród kłębow piany w chwili, gdy czoło fali zaczęło opadać.

Opadło, chyba wściekle, bo nie natrafiło już na nikogo. My natomiast byliśmy zachwyceni. Cobalt, wydawszy z siebie triumfalny okrzyk, zaczął zataczać piękne koła, jednocześnie wznosząc się coraz wyżej. Ja oczywiście za nim, pokrzykując z radości, cała naładowana adrenaliną.

– Tak, tak, to jest właśnie to. Cudownie! – wydyszałam, kiedy doleciałam do Cobalta, który zawisł w powietrzu, bijąc skrzydłami. – Jak można nam tego zabraniać!

Roześmiał się.

– A można, można. Gdyby nas teraz zobaczyli, padliby na zawał. Ale co tam Talon! Niech się schowa! Ta noc należy do nas. Gotowa na następną rundkę?

Też się zaśmiałam, szczerząc białe kły.

– Jasne! Ścigamy się! Kto pierwszy doleci do wody!

Ten nasz skrzydlaty surfing uprawialiśmy przez całą noc, krążąc ponad oceanem. Na koniec odczekaliśmy, aż fala pod nami urosła, i poleciliśmy tuż nad nią. Tam, dokąd ona, czyli na plażę. Wyprzedziliśmy ją w ostatniej chwili, kiedy masa spienionej wody opadała już na przybrzeżny piasek. To było cudowne. Może i podobne do surfingu, ale na pewno cudowniejsze. Przecież teraz – latałam!

I był ze mną Cobalt, który latał wprost nadzwyczajnie, wykazując się niesamowitą zręcznością i skutecznością. Na niektóre jego wyczyny w powietrzu patrzyłam z zapartym tchem, ale nie piałam z zachwytu, nie chwaliłam, bo przecież nie mogło być inaczej. Był ode mnie o wiele starszy, latał więc o wiele dłużej niż ja i musiał być w tym lepszy. Co jednak wcale nie znaczyło, że ja z kolei byłam do bani. Ani razu nie straciłam kontroli nad sobą, choć szczerze mówiąc, kilka razy byłam o krok od tego. W sumie więc moim zdaniem wypadłam nie najgorzej, poza tym odkryłam, że o wiele łatwiej bawić się falami jako smok, bo człowiek skazany jest na deskę, a smok jak to smok, ma skrzydła i w każdej chwili może sobie odlecieć.

W końcu Cobalt przysiadł na głazie wystającym z wody i skinął szponem, żebym podleciała do niego. Więc podleciałam, choć bez większego entuzjazmu, i wbijając szpony w nierówną powierzchnię głazu, przysiadłam na tylnych łapach.

– Co się stało? – spytałam w chwili, gdy fala, uderzając o brzeg, zgotowała mi niespodziewany prysznic. Spytałam opryskliwie, bo wcale nie miałam ochoty przerywać przyjemności, za którą tak tęskniłam. – Jesteś już

wykończony, tak?

Cobalt najpierw starannie złożył skrzydła, a potem uśmiechnął się z wyższością.

– Bez obaw, pisklaku! Mnie nie tak łatwo zmęczyć. Chodzi o to, że słońce zaczęło wschodzić już jakieś dobre dwie godziny temu, i jeśli twoi opiekunowie są tak zwanymi skowronkami, to powinnaś już wracać do domu. Na pewno wolisz już tam być, kiedy się obudzą?

O nie! Natychmiast wyciągnęłam szyję i spojrzałam na wschód. Kiedy zobaczyłam, że gwiazdy już znikły, a niebo zdecydowanie robiło się niebieskie, mój smoczy animusz natychmiast przygasł, a do głosu doszedł czysto ludzki niepokój.

– A niech to! Która to może być godzina? Trudno uwierzyć, że szaleliśmy całą noc!

Cobalt nie odpowiadał, tylko patrzył na mnie bardzo przenikliwie.

– Zadowolona? – spytał po chwili. – Chyba tak, prawda? Bo coś mi się wydaje, że miałaś sporo radości, łamiąc zasady Talonu. I kto wie, czy nie zmieniłaś zdania o smokach zbiegach.

A ja spojrzałam na niego ze złością.

– A ty jak zwykle o czymś innym. Nigdy nie odpowiadasz na moje pytania. Nigdy! Czy robisz to specjalnie?

– Owszem. Zdarza się.

Oczywiście, że również się uśmiechnął, co wystarczyło, żeby mną zatrzęsło. A on na to wciąż z tym uśmieszkiem:

– Nie złość się, Firebrand! Poprawię się. Przy następnej okazji odpowiem ci na wszystkie twoje pytania. Przyrzekam.

Czyli podczas następnego spotkania? A nad tym należało się jednak zastanowić. W końcu miałam już niejedno na sumieniu. Wymknęłam się z domu, i to po godzinie policyjnej, zmieniłam się w smoka i polatałam sobie. Nazbierało się tego, a przecież już za jedno takie wykroczenie odsyłają z powrotem do Talonu.

– A skąd ta pewność, że będzie następna okazja? – spytałam.

– A stąd, że już cię wyczułem. Ty, tak samo jak ja, nie życzysz sobie, by ktoś zaplanował ci życie. Całe życie, do samego końca, a ty nie masz nic do gadania. Masz już dość bezwzględного przestrzegania praw Talonu i jego zasad. Bardzo chciałabyś się dowiedzieć, jaki Talon jest naprawdę. A poza tym... – Oczy mu rozbłysły. – Poza tym chcesz być wolna, Firebrand. A ja mogę ci w tym pomóc.

Wolna?! Czuję, jak po plecach przebiega mi lodowaty dreszcz. Bo co innego wymknąć się z domu, a co innego – wyrwać się na wolność!

– Przecież to zdrada – szepnęłam.

– No cóż... – Wzruszył lekko ramionami. – Jak zwał, tak zwał. Ale musisz przyznać, że coś w tym jest, kiedy możesz wrócić do pierwotnej postaci, kiedy możesz sobie latać, gdy najdzie cię ochota, i tak dalej.

Oczywiście! Cudownie było tak polatać, przecież właśnie po to tu się zjawiłam. O zdobyciu przy okazji jakichś tam informacji właściwie zapomniałam, ale kiedy Cobalt o tym wspomniał, pomyślałam, że może jednak warto czegoś się dowiedzieć, naturalnie w tempie ekspresowym, bo czas mija, a ja powinnam jak najprędzej znaleźć się z powrotem w domu.

– Cobalcie, obiecałeś, że odpowiesz mi na moje pytania. Dlaczego nie miałbyś zrobić tego teraz? Mówiłeś, że sporo wiesz o Talonie. To prawda czy skłamałeś, bo chciałeś, żebym tu przyszła?

– Oczywiście, że prawda. A to spotkanie potraktowałem jako coś w rodzaju testu. Jeśli naprawdę chce wiedzieć, to przyjdzie. Przyszłaś. A więc dobrze, podczas następnego spotkania powiem ci, co wiem o Talonie.

– A nie mógłbyś powiedzieć już teraz?

– Proszę bardzo... Na przykład to. Znam kod do ukrytego pokoju w suterenie w domu twoich opiekunów.

Prychnęłam lekceważąco.

– Chodzi ci o ten tunel, którym można wyjść z naszego domu? Też mi sensacja! Tym tunelem ja i Dante wychodzimy z domu codziennie, kiedy idziemy na szkolenie.

– Nie chodzi o tunel, tylko o sekretny pokój. To punkt dowodzenia. W każdej bazie Talonu jest taki pokój, gdzie opiekunowie składają raport, przekazując informacje o swoich podopiecznych, i dostają rozkazy od organizacji. Wasi opiekunowie mają obowiązek informować o wszystkim, co dla Talonu może być podejrzane, o każdym, nawet najmniejszym waszym wykroczeniu. Wystarczy, że któreś z was się wychyli, i Talon już go zgarnie. A ten ukryty pokój, jak powiedziałem, jest w suterenie. Żeby tam wejść, trzeba wystukać kod na panelu obok drzwi. Mogę ci podać ten kod... o ile ładnie poprosisz!

Skończył i bardzo zadowolony z siebie usiadł wygodniej, opierając się grzbietem o skałę.

Ja, oczywiście, potrzebowałam minuty, żeby to wszystko przetrwać. Trudno przecież, żebym nie była zaskoczona, prawda?

– Ale... ale jak zdobyłeś ten kod?

– A... Mam swoje sposoby. W końcu kręcę się po okolicy, tu i tam, no i... udało się. Więc jak? Chcesz ten kod? Zmieniają go co kilka tygodni, lepiej więc, żebyś nie zwlekała z decyzją.

I znów z mojej strony minuta ciszy. Potrzebowałam jej, skoro musiałam rozwiązać następujący dylemat: czy Cobalt mówi prawdę, czy tylko mnie podpuszcza. Nie wiadomo. Ale spróbować warto...

– Dobrze. A więc powiedz.

Cobalt podał kilka cyfr i kazał mi powtórzyć parę razy, żebym wbiła je sobie do głowy.

– Jesteś pewien, Cobalcie, że tam wejść?

– Nie wierzysz? No to nie pozostaje ci nic innego, jak po prostu sprawdzić. Tylko pamiętaj, bądź bardzo ostrożna. Nie mogą cię przyłapać. Talonowi bardzo by się nie spodobało, że tam weszysz. O nie! – Cobalt, uśmiechając się niewesoło, na moment wysunął szpony, co było gestem bardzo wymownym.

– A więc tyle na początek. A jeśli chcesz poznać inne mroczne tajemnice Talonu, musisz się jeszcze ze mną spotkać i...

– Dobrze, dobrze – przerwałam niecierpliwie. – Kiedy? Jutro?

– Jutro nie. Ale pojutrze już tak, i przez następne dni też. Nie musimy już teraz się umawiać. Przyjmijmy, że kiedyś tam spotykamy się ponownie i pogadamy jak smok ze smokiem.

– No dobrze. Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i nie rozplniesz się w powietrzu! Nie rozumiem tylko, dlaczego nie możemy już dziś ustalić, gdzie i kiedy.

– Bo nie ma takiej potrzeby.

Wstał, cofnął się o krok i rozłożył szeroko wielkie, rzucające czarny cień na skałę skrzydła, i na moment wlepił we mnie rozjarzone złociste oczy.

– Zawsze cię znajdę, Firebrand.

Potężne skrzydła załopotwały. Cobalt wzbił się w powietrze. Stałam zafascynowana i wyciągając szyję, patrzyłam, jak wspaniały połyskujący niebieski smok frunie nad wzburzonym oceanem, jak robi się coraz mniejszy i mniejszy, aż znika mi z oczu całkowicie, wtapiając się w ciemność nocy.

## GARRET

Po prostu nie mam szczęścia.

Cisnąłem lornetkę na fotel, wrzuciłem wsteczny i zjechałem na drogę. Czuję się okropnie zniechęcony, bo to był już trzeci z kolei samotny klif, na którym tkwiłem tej nocy. Gapiłem się w niebo, gapiłem i nic. Bo jeśli coś na tym niebie się poruszyło, na pewno nie był to smok, ale samolot albo samotny pelikan harcujący nad oceanem.

Rezydująca na desce rozdzielczej komórka odezwała się w chwili, gdy właśnie wjeżdżałem na drogę główną. Dzwonił, oczywiście, Tristan.

– No i jak?

– Nic. Byłem w trzech miejscach, w żadnym niczego nie wyłapałem.

– U mnie też posucha. Czyli koniec akcji.

– Jasne. Już świta, a ten szpieg, wiadomo, jeśli faktycznie gdzieś tu jest, nie będzie sobie fruwał w blasku słońca.

Rozłączyłem się tak samo sfrustrowany jak mój partner. Byliśmy tu już ponad miesiąc i nie wpadliśmy jeszcze na żaden trop. A czas naglił, skoro szpiega należało załatwić przed końcem lata, bo wtedy właśnie Talon zamierzał wysłać go gdzie indziej. Czyli wymknie nam się z rąk...

Kiedy skręcałem w następną ulicę, nagle coś mignęło z boku, po prawej stronie. Oczywiście spojrzałem tam i zobaczyłem kogoś niedużego, kto szedł brzegiem chodnika, prowadząc rower. Szedł bardzo szybko, prawie biegł, i miał jasnorude włosy, jaśniejące w świetle świateł mego samochodu.

Ember?!

Potrząsałem głową. Bo z tą głową chyba coś nie w porządku. Tak często rozmyślałem o tej dziewczynie, że w końcu zaczynam widzieć ją wszędzie! Mało tego, nawet czuję jakieś dziwne podniecenie i nie ma co się oszukiwać – bardzo bym chciał, by okazało się, że istotnie jest to rudowłosa dziewczyna, którą poznałem wczoraj po południu.

Przyśpieszyłem, zrównałem się z nią i zwolniłem. I miałem już całkowitą pewność, że to Ember. Maszerowała chodnikiem, pchając przed sobą górski rower ze sflaczałą oponą na przednim kole. Wyglądało na to, że się śpieszy, i sądząc po minie, jest bardzo niezadowolona. Zapewne ze stanu tej opony.

Ciekawe, skąd się tu wzięła. Na ulicy, bladym świtem, sama. Czyżby jednak szpieg? Wyszła z domu o brzasku, żeby sobie polatać?! Tak, to chyba jedyne sensowne wytłumaczenie tej sytuacji. Ember co prawda ma brata, ale ten brat faktycznie może być wybrykiem natury albo w ogóle nie jest bratem. Albo to jeszcze jeden podstęp Talonu. W każdym razie jedno jest pewne. Na Ember Hill należy zwrócić szczególną uwagę.

Zwolniłem jeszcze bardziej, z czego nie wszyscy byli zadowoleni, bo z tyłu ktoś zatrąbił, po czym minął mnie chevrolet corvette i wyraźnie zirytowany kierowca zatrąbił jeszcze raz. Nie zareagowałem. Facet odjechał, a ja zawołałem:

– Ember! Ember, to ty?!

Natychmiast spojrzała na mnie z taką miną, jakby nie wierzyła własnym oczom.

– Garret?! Czyli faktycznie ten świat jest bardzo mały!

Mówiła, dalej maszerując zawzięcie, w rezultacie, żeby dotrzymać jej kroku, musiałem nacisnąć na pedał gazu.

– Garret? A co ty tu robisz o tak zwariowanej porze?

O proszę! – pomyślałem kąśliwie. O to samo mogę spytać ciebie!

– Po prostu zachciało mi się trochę pojeździć samochodem. A ty skąd się tu wzięłaś?

– Ja? Miałam ochotę, zanim ruszę nad wodę, pojeździć na dwóch kółkach. Genialna metoda na odświeżenie głowy, by potem być w stanie skoncentrować się maksymalnie, kiedy idzie na ciebie dwunastometrowa fala, rozumiesz?

Odpowiedź była bardzo zręczna i udzielona bez wahania, choć jednocześnie Ember jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku. Ale nie to sprawiło, że zrobiłem się bardzo czujny, tylko fakt, że jakoś nigdy dotąd nie widziałem tej dziewczyny o świcie na rowerze. Ani samej, ani w towarzystwie. Nigdy. Do dziewiątej czy dziesiątej rano zawsze była nieuchwytna.

Ember, jakby wyczuwając moje wątpliwości, pośpiesznie udzieliła mi dodatkowych wyjaśnień:

– Niestety poszła dętka, dlatego lecę na piechotę. A śpieszę się, bo chcę zdążyć, zanim Dante zauważy, że znowu wzięłam jego rower bez pozwolenia, i zacznie na mnie wrzeszczeć.

Super. Bo miałem o co zahaczyć.

– Zdązysz – powiedziałem. – Wskakuj. Podrzucę cię do domu. Rower wstaw z tyłu, na pewno się zmieści.

Zielone oczy Ember rozbłysły.

– Naprawdę? Podrzucisz mnie?

– Jasne!

Nacisnąłem na hamulec i rozpromieniona Ember błyskawicznie ulokowała rower z tyłu auta, a ja równie błyskawicznie ukryłem moją lornetkę noktowizyjną w schowku w desce rozdzielczej. Kiedy Ember usiadła obok mnie, oczywiście spytałem, dokąd mamy jechać. Chociaż adres znałem, to jasne.

– Dzięki, Garret. Już po raz drugi ratujesz mi życie! – powiedziała cała w uśmiechach. – Czyżbyś przeszedł jakieś specjalne szkolenie, no wiesz, kurs dla rycerzy śpieszących damom na ratunek?

Szkolenie? Rycerz? Nie powiem, żebym poczuł się swobodnie. Dlatego milczałem. Ember też, zerkając na mnie, a po chwili znów się odezwała, ale już na inny temat:

– A gdzie twój kuzyn? Nie miał ochoty na poranną przejażdżkę?

– Nie. Na pewno jeszcze śpi.

– A więc nie jest skowronkiem. No cóż, każdy żyje po swojemu. Ja uwielbiam być nad oceanem. Żałuję bardzo, że nie mogę robić tego częściej, zwłaszcza przed wschodem słońca, kiedy nie ma tam nikogo. Cisza, spokój. Tylko ja i fale... No dobrze. Ale pospać dłużej też warto, więc skoro kolega chce spać, to niech sobie śpi. Szczerze mówiąc, jestem zadowolona, że to właśnie ty zerwałeś się dziś z łóżka o poranku.

Milczałem wpatrzony w drogę, bo prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Przez całe życie szkolony byłem do walki. Do rozmowy towarzyskiej na pewno nie. Znałem się na broni, wiedziałem, jak walczyć i jak zabijać na dwadzieścia różnych sposobów. Potrafiłem strzelić do smoka prosto w gruczoł ogniowy, dzięki czemu od razu go paraliżowało. Przeszedłem również szkolenie z zakresu infiltracji – wnikania w daną grupę, zintegrowania się w taki sposób, by niczym się nie wyróżniać. Ale absolutnie nie wyszkolono mnie do rozmowy z nastolatką, która siedziała teraz obok mnie w samochodzie.

Tristan radził podejść do tego jak do każdej misji. Po prostu działać. Zagadywać, podtrzymywać rozmowę, starać się zdobyć zaufanie rozmówcy.

A więc robi się. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni temat do rozmowy, który dziewczynę zainteresuje, i po prostu się rozgada. A więc o czym? Nie ma problemu. Już wiedziałem, kiedy pomyślałem o pewnej desce, która nie po raz pierwszy jechała naszym dziupem.

– Lubisz surfować?

– Uwielbiam! Wiatr, fale i to genialne uczucie, kiedy fala cię unosi, unosi, a potem buch! – wali cię w piach. Niczego nie można z tym porównać.

– Brzmi zachęcająco – powiedziałem całkiem zresztą szczerze. – Zawsze chciałem tego spróbować...

I zaraz potem coś jeszcze przyszło mi do głowy. Tak. Tristan na pewno byłby ze mnie dumny.

– Nauczysz mnie, jak jeździć na tej desce?

Zaskoczona Ember najpierw zamrugwała.

– Mam nauczyć cię surfować? Ja?!



– Tak. Podejmiesz się?

– Ależ wcale nie jestem w tym dobra. Jeszcze nie, bo surfuję dopiero od miesiąca. Może poproś Calvina, on jest profesjonalistą...

– Wolałbym, żebyś to była ty.

Oczywiście! Calvin i Lexi od urodzenia mieszkali w Crescent Beach, dlatego nie było ich na mojej liście podejrzanych. Co innego Ember. Dzięki wspólnemu surfowaniu zbliżymy się do siebie i kto wie, może zaprosi mnie do domu, a byłby to wielki krok do przodu w tym naszym polowaniu na uśpionego szpiega.

Tak przynajmniej to sobie wytłumaczyłem.

– No cóż... – mruknęła Ember. Zastanawiała się jeszcze przez moment i wreszcie jej twarz rozjaśnił uśmiech. – Dobrze, zajmę się tym, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. I nie bez powodu, bo gdyby była tu z nami Lexi, miałbyś okazję wysłuchać niejednej mrożącej krew w żyłach opowieści o moim surfowaniu.

– Nie szkodzi. Powiedz jeszcze, ile bierzesz za godzinę.

– Ja? Chwileczkę... O co chodzi?

– Przecież to jasne. W domu, w którym mieszkam, jest sklep dla surferów. Mają tam też instruktorów, którzy dają prywatne lekcje. Sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

– Naprawdę?

Zielone oczy Ember rozbłysły. Pomyślała o kasie? Że to całkiem przyzwoita stawka, te sto pięćdziesiąt dolców? A smoki przecież, jak wiadomo, są wyjątkowo zachłanne i na władzę, i na pieniądze.

Tak właśnie pomyślałem, a jednak usłyszałem zdecydowany protest.

– No wiesz! Calvin i Lexi uczą mnie gratis, a ja miałabym brać za to pieniądze? Za uczenie czegoś, co kocham?

Oczywiście zaskoczyła mnie, niemniej minę nadal miałem idealnie obojętną.

Pokiwałem głową.

– W porządku. Jak chcesz. Kiedy zaczynamy?

– Hm...

Ember zmarszczyła czoło. Wiadomo, potrzebna była chwila namysłu. Więc namyślała się, a ja wjeżdżałem już na bardzo ładne i perfekcyjnie zadbane osiedle willowe położone niedaleko plaży głównej.

– Może już dziś? – zaproponowała. – Po południu? Spotkamy się koło Smoothie Hut. O drugiej... albo nie, lepiej o trzeciej. No i dam ci prywatną lekcję surfingu. O ile nie boisz się, że kilka razy zmyje cię z deski. To nieuniknione. Umiesz pływać?

– Oczywiście, i to całkiem nieźle. Tylko zaraz... Podobno zwykle zaczyna się od ćwiczeń, potem małej fali i stopniowo przechodzi się do większych. Czy ty przypadkiem nie chcesz tego stadium pominąć, żeby się ze mnie ponabijać?

– Spokojnie. Żadnego nabijania. Po prostu sprawdzę, czy naprawdę chcesz to robić. Surfing to nie jest sport dla mięczaków. Jak już mówiłam, zmyje cię z deski nie raz, a poza tym ocean też da ci porządnie w tyłek. Dosłownie. Ale bez obaw... – Uśmiechnęła się, a zielone oczy rozbłysły. – Obiecuję, że będę bardzo łagodną, wyrozumiałą nauczycielką.

– Dzięki. Bo na to właśnie liczę.

– Nie ma za co... Garret! Zatrzymaj się. Nie trzeba podwozić mnie pod sam dom. Wsiadę już tutaj i kawałek podejdę.

I znów mnie zaskoczyła, ale oczywiście o nic nie pytałem, tylko zatrzymałem się tam, gdzie chciała, kawałek przed skrzyżowaniem. Kiedy tylko wyhamowałem, wyskoczyła z samochodu i zgarnęła swój rower z tylnego siedzenia.

– Dzięki, Garret. Jestem twoją dłużniczką. Uratowałeś mi życie. Naprawdę!

Jedną ręką trzymała rower, drugą przykryła moją dłoń opartą na kierownicy. Efekt był piorunujący. Przez całą rękę przeszedł prąd, taki rodzaj prądu, co natychmiast ożywia wszystkie zmysły. Plus daje kopa sercu, bo zaczęło walić jak młot. A Ember cofnęła dłoń i ruszyła przed siebie, wołając do mnie przez ramię:

– Czyli widzimy się o trzeciej po południu! Masz być, bo pomyślę, że stchórzyłeś przed falami!

– Na pewno przyjdę!

Ja miałbym bać się głupich fal? Owszem, potrafią być niemałe i groźne. Jeden niewłaściwy ruch i już cię przygniotą. Podobnie jak smok, a smoków się nie bałem. Nie, ale czułem przed nimi respekt i wiedziałem, że pewnego pięknego dnia któryś z nich mnie zabije. Ale strachu w tym nie było. Te gady, znane od zarania dziejów, tak groźne i waleczne, tak niebezpieczne, były dla mnie po prostu chlebem powszednim. Czymś doskonale znanym w przeciwieństwie do tego, co odczuwałem przez miniony kwadrans. Co było dla mnie absolutną nowością. To dziwne mrowienie, wszędzie, kiedy Ember uśmiechnęła się do mnie. Ten ucisk w dołku, kiedy napotkałem jej wzrok, plus suchość w gardle, gdy oddalała się ode mnie. Niewysoka, taka zwinna i wysportowana. Już po kilku krokach zaczęła biec. Tak lekko, zręcznie, a pchała przecież rower. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Patrzyłem i patrzyłem, dopóki nie znikła za zakrętem.

Dopiero wtedy oprzytomniałem. I zatrzęsło mną. Bo to niepojęte. Przy tej dziewczynie odleciałem aż dwa razy. Tak! I dwa wystarczy. Nigdy więcej!

Mam do wykonania zadanie, Ember jest częścią tego właśnie zadania i nie wolno mi przy niej tracić czujności. Nie przyjechałem tu surfować, imprezować czy rozmawiać z intrygującą rudowłosą dziewczyną, która potrafi dać gościowi kopa między nogi i uwielbia jeździć na falach. Przyjechałem tu odszukać smoka, zwabić go w odpowiednie miejsce i tam go wykończyć.

A jeśli to Ember jest tym uśpionym szpiegiem...

Pamiętaj o swojej misji, żołnierzu! – napomniałem się ostro. Nigdy więcej takich odlotów. Dobrze wiesz, co masz robić.

Wiem. Jestem żołnierzem.

Przekręciłem kluczyk i dżip ruszył w stronę domu.

Kiedy wszedłem do mieszkania i rzuciłem kluczyki na kontuar w kuchni, w drzwiach natychmiast pojawił się Tristan.

– Coś to długo trwało! Zabłądziłeś? A może zrobiłeś sobie objazd przez Smoothie Hut?

– Nie – mruknąłem, choć kiedy wspomniał o tej budce, zrobiło mi się znowu nijako. Dokładniej – już czułem, że nie mogę się doczekać, kiedy spotkam się właśnie tam z rudowłosą dziewczyną.

Dziewczyną tajemnicą.

– Wiesz, Tristan, chyba wpadłem na trop.

## EMBER

Udało się!

W całym domu było ciemno, w każdym oknie! Cichusieńko ustawiłam rower przy płocie, otworzyłam drzwi od frontu i bezszelestnie wsunęłam się do pogrążonego w ciszy holu. Na zegarze na ścianie osiem po czwartej, więc wszyscy jeszcze śpią. Wystarczy wejść cichutko po schodach, wskoczyć do łóżka i po całej akcji. Nikt nigdy się nie dowie, co robiłam tej nocy.

Kiedy mijałam kuchnię, jednak zatrzymałam się. Drzwi do sutereny były zaledwie kilka kroków ode mnie. I kusiły, bo przecież tam, w tej suterenie, jest pokój, o którym wiedzą tylko wybrani. Pokój kryjący w sobie tyle tajemnic o Talonie, o mojej instruktorce, być może i o mnie.

Nie mogłam się powstrzymać. Bezszelestnie przemknęłam po miękkim linoleum do tych właśnie drzwi. Chwila wahania, nacisnęłam na klamkę...

I w tym momencie ktoś złapał mnie za ramię.

Oczywiście błyskawicznie zrobiłam w tył zwrot i równie błyskawicznie wydałam z siebie histeryczny pisk.

– Dante!

Bo to on. Bardzo, bardzo posepny.

– Dante... – wyszeptałam. – Omal przez ciebie nie umarłam. Co ty tu robisz? Dlaczego nie śpisz, tylko mnie szpiegujesz?

– Tak, to ja – odparł cichym, ale nabrzmiałym od gniewu głosem. – A co, miałaś nadzieję, że nie zauważę, że wymknęłaś się z domu? Niestety, zauważyłem. No i jak? Udało się latanie? Warto było zaryzykować?

Wyrzucił to z siebie, po czym spojrzał na drzwi, na moją dłoń na klamce i zmrużył oczy, które wyglądały jak dwa zielone przecinki.

– Czyżbyś jednak nie miała zamiaru wejść na górę? Na palcach, żeby nie obudzić Liama?

Zawahałam się. Czy powinnam powiedzieć mu o ukrytym pokoju, zdradzić mu kod? Nigdy dotąd nie miałam przed bratem żadnych tajemnic, zdawałam sobie jednak sprawę, że jeśli powiem mu o tym pokoju i kodzie, będzie chciał też wiedzieć, skąd mam te informacje, a ja jakoś wcale nie miałam ochoty przyznać się do znajomości ze smokiem zbiegiem. Na pewno jeszcze nie teraz. Wystarczy przecież, że Dante przyłapał mnie na wymknięciu się z domu!

Odsunęłam się od feralnych drzwi i weszłam na schody, rzucając przez ramię:

– Bo co? Masz zamiar o wszystkim powiedzieć Liamowi?

Wtedy Dante, ruszając za mną, prawie zawarczał.

– Dobrze wiesz, że nic mu nie powiem! Jesteś idiotką, ale nadal jesteś moją

siostrą i niezależnie od wszystkiego musimy trzymać się razem!

Po tej deklaracji naturalnie odetchnęłam.

A Dante dalej, z jeszcze większą złością:

– Niestety! Nawet jeśli robisz coś tak kretyńskiego, tak niebezpiecznego. Bo raptem zachciało ci się polatać!

Podczas tej kłótni dotarliśmy na górę, gdzie w sekundę byłam już przed drzwiami do mego pokoju.

– Dante, wyluzuj.

– Ember! Odbiło ci totalnie. Gdyby dowiedzieli się, co zrobiłaś, natychmiast zgarnęliby nas z powrotem do Talonu! A przynajmniej ciebie! A ja nie chcę, żeby nas rozłączali. O tym, że za nic nie chcę tam wracać, nie wspominając.

Potrząsnął bezradnie głową i spojrzał na mnie. Niby jeszcze ze złością, ale przede wszystkim błagalnie.

– Nigdy więcej już tego nie zrobisz, zgoda? Raz zachciało ci się, zrobiłaś to i na tym koniec. Bo oboje dobrze wiemy, że jeśli nie będziemy przestrzegać zasad obowiązujących w Talonie, stracimy wszystko, na co pracowaliśmy tyle czasu. Do tej misji szykowali nas przez szesnaście lat! I co? Chcesz to wszystko zaprzepaścić?

Oczywiście, że nie. Dlatego poczułam się nagle jak balon, z którego uszło całe powietrze.

– Jasne, że nie... – szepnęłam, uświadamiając sobie, jaka byłam głupia. Bezdennie głupia, podejmując tak wielkie ryzyko, narażając nie tylko siebie, ale także brata! A tego nie wolno robić. Jeśli już koniecznie chcę skrócić kark, to bardzo proszę – ale swój.

– Tak. Jestem debilką. Obiecuję, że nigdy więcej nie przyjdzie mi do głowy latać o północy.

Obiecałam, choć jednocześnie wcale nie czułam się z tym najlepiej. Moja smoczyca lamentowała, że nigdy już nie rozwinie skrzydeł, że nigdy już nie zobaczy Cobalta. Przecież już za nim tęskniła!

Dante pokiwał głową.

– W porządku – powiedział, a nawet wykrzywił twarz w czymś w rodzaju uśmiechu. – Dzięki tobie będę cały dzień nieprzytomny. W związku z tym mam małą prośbę. Następnym razem, kiedy znowu zachce ci się uciec z domu, zrób to w weekend, żebyśmy mogli potem odespać te nocne zawirowania.

– Dobrze, będę o tym pamiętać. Dobranoc, Dyludyludam!

Jeszcze jeden krzywy uśmiech i Dante ruszył korytarzem, kierując się do swojego pokoju. A ja weszłam do swojego i od razu walnęłam się na łóżko. Ułożyłam się na brzuchu, twarz ukryta w poduszce. Zamknęłam oczy

i zaczęłam rozpamiętywać wydarzenia tej nocy.

Nocy pełnej wrażeń.

Mało tego – ciąg dalszy nastąpi, bo na pewno dziś po południu spotkam się z Garretem i będę uczyć go surfingu. Oczywiście! Chciałam tego, już teraz czułam dreszcz emocji. Przecież Garret jest super. Taki tajemniczy, a te jego stalowoszare oczy są po prostu niesamowite. Tak, bardzo chciałam z nim się spotkać. Chociaż latanie po falach razem z Cobaltem to była sama rozkosz. Te skoki adrenaliny, szybowanie w powietrzu... Minuty bezcenne. Trzeba przyznać, że smok zbieg, arogancki, zarozumiały i jednocześnie taki zdesperowany, doskonale wie, jak używać życia.

Poza tym sprawa tego ukrytego pokoju w suterenie. Koniecznie to trzeba sprawdzić. Oczywiście teraz nie będę węszyć. Poczekam na dogodny moment, ale pójdę tam na pewno i przekonam się, czy zbieg ma rację. Pójdę, bo bardzo chętnie poznam choć jedną tajemnicę Talonu...

Powieki, coraz cięższe, zaczęły opadać. Zmęczenie po cudownych chwilach spędzonych wysoko, w powietrzu, dało znać o sobie. Cudowne zmęczenie. Jaka szkoda, że musiałam obiecać bratu, że powtórki nie będzie. A tych upojnych chwil tak szybko nie zapomnę, o nie. Tak samo jak nie zapomnę smoka zbiega...

– Oczywiście – zaszepotała moja smoczyca. – O nim warto pamiętać...

Dlaczego? Nie wiadomo, bo w tym momencie, niestety, odezwał się budzik. Jak zwykle – o wiele za głośno!

– Wyglądasz na zmęczoną, pisklaku – zauważyła Straszna Dama z Talonu, mierząc mnie wzrokiem bardzo krytycznym. – Nie wyspałaś się? Trzeba było położyć się wcześniej. Mówiłam przecież twoim opiekunom, że dziś masz wstać o piątej.

Gapiała się na mnie, a ja naturalnie zdawałam sobie sprawę, że jest na co, skoro nie wyglądałam najciekawiej. Oczy miałam przekrwione, a włosy, sztywne od morskiej wody, rozczochrane.

– Jest dopiero wpół do szóstej. Słońce jeszcze nie wzeszło...

– I o to właśnie chodzi – oznajmiła instruktorka z uśmiechem autentycznie mrozącym krew w żyłach. – Bo dziś będziemy robić coś całkiem innego. Idziemy!

Cała w nerwach, jak każdego ranka poszłam za nią do magazynu, tym razem jednak, kiedy otworzyła drzwi, przytknęło mnie, ponieważ magazyn wyglądał całkiem inaczej. Zwykle pusty, teraz zapchany był metalowymi beczkami, drabinami, skrzyniami i paletami, w niektórych miejscach sięgającymi prawie sufitu. Wszystko to razem tworzyło coś w rodzaju gigantycznego labiryntu

z korytarzami o różnej szerokości, pełnego ciemnych zakamarków.

– A po co to? – spytałam i zaraz potem wydałam z siebie histeryczny pisk, bo nagle gdzieś z tych ciemności wyleciało coś niedużego i poruszającego się z wielką szybkością. Wyleciało i walnęło mnie w pierś, pozostawiając na ubraniu wielką czerwoną plamę.

– O nie! Co to takiego?! – wykrzyknęłam wystraszona nie na żarty.

– Farba – poinformowała mnie instruktorka, zanim zdążyłam wpaść w panikę. – Gdyby był to prawdziwy pocisk, najprawdopodobniej byś już nie żyła.

Wzięła mnie za ramię i podeszłyśmy bliżej tego mrocznego labiryntu z pudeł, palet, beczek i skrzyń.

– W tym labiryncie ukrywa się kilkunastu żołnierzy Świętego Jerzego – powiedziała, spoglądając na mnie z tym swoim wrednym uśmieszkiem. – Wszyscy polują na ciebie i chcą cię zabić. Na tym właśnie polega drugi etap naszego szkolenia, pisklaku. Masz wejść do środka i starać się jak najdłużej pozostać przy życiu.

Spojrzałam w ten mrok wśród pudeł, starając się dojrzeć coś, co świadczyłoby, że istotnie ci niby-żołnierze Świętego Jerzego gdzieś tam są. Nie zauważyłam niczego, choć wiadomo, na pewno tam byli przyczajeni i gapili się na mnie.

– Najdłużej? To znaczy jak długo? – spytałam.

– Powiem, kiedy czas minie.

Oczywiście! Ona tu rządzi, ona powie, kiedy koniec zabawy! Westchnęłam i ruszyłam w stronę tego całego labiryntu. I nie dotarłam, bo po zrobieniu pierwszego kroku ostry głos Strasznej Damy z Talonu kazał mi znieruchomieć.

– Co ty wyrabiasz, pisklaku?!

No oczywiście! Znów zrobiłam coś nie tak!

– Przecież robię to, co mi kazano. Wchodzę do labiryntu, oni starają się mnie zastrzelić, ja staram się nie dać zastrzelić. Chyba o to chodzi, prawda?

A instruktorka spojrzała na mnie po prostu z niesmakiem.

– Ty chyba nie traktujesz tego poważnie! Zastanów się. Wyobraź sobie, że jesteś w domu towarowym i nagle napada na ciebie cała drużyna świetnie wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy Świętego Jerzego. Czy przeżyjesz?

– Nie. Bo jestem w ludzkiej postaci... A... więc o to chodzi?

– Oczywiście! Mam nadzieję, że twój brat jest bardziej pojętny i nie skończy się na tym, że was oboje stracimy przez twoją głupotę!

– Tak, tak... – szepnęłam, inwektywy instruktorki puszczając mimo uszu. Niech sobie gada, co chce, teraz najważniejsze, że mogę zmienić się w smoka.

Oficjalnie! Nie naruszając żadnych reguł!

Czyli nawet to kretyńskie szkolenie w labiryncie ma swoje dobre strony.

Instruktorzka pstryknęła efektownie palcami, po czym wskazała na wielką stertę skrzyń i skrzynek w ciemnym kącie.

– Jeśli się wstydzisz, w ostateczności możesz zrobić to tam.

Oczywiście, że tam!

Pomknęłam do tego kąta, przykucnęłam za skrzyniami i w mgnieniu oka pozbyłam się ubrania. Moje ciało zafalowało, mizerna ludzka postać zaczęła znikać, w jej miejsce pojawił się smok. Po raz drugi w ciągu tak krótkiego czasu, ale i tak znów ogarnęło mnie to cudownie uczucie, to uniesienie, to poczucie całkowitej wolności.

Szpony zastukały o betonową posadzkę. W skórze smoka czułam się genialnie, dlatego do labiryntu wracałam pewnym krokiem. I nawet Straszna Dama z Talonu nie wydawała mi się taka straszna, chociaż na mnie jako smoka spoglądała z takim samym znużeniem i niesmakiem jak na Ember człowieka.

Wydała rozkaz:

– Stój!

Więc zatrzymałam się, a ona podeszła i wcisnęła mi coś do ucha. Nie było to przyjemne, więc prychnęłam i potrząsając głową, cofnęłam się o krok, za co oczywiście zostałam skarcona.

– Uspokój się! To tylko słuchawka. Dzięki niej będę mogła komunikować się z tobą. Będę też słyszała, co dzieje się w labiryncie. Przestań już tak dygotać!

Zacisnęłam zęby, starając się nie myśleć o tym, co mam w uchu. Co wcale nie było łatwe, przecież czułam, że coś tam mam!

A instruktorka dalej nawijała, jednocześnie wydając z kieszeni komórkę:

– Teraz czekasz na mój sygnał. Kiedy dam ci znać, ruszasz. Masz dwie minuty na znalezienie dobrej pozycji i przygotowanie się do polowania. Jeśli trafią w ciebie, jesteś martwa. Masz wtedy dwie minuty na znalezienie nowej pozycji i polowanie zaczyna się od początku, a cała zabawa wydłuża się o piętnaście minut. Czy to jasne?

Poniekąd. Mam unikać tego ćwiczebego zastrzelenia. Trudno, żeby to do mnie nie dotarło, jedna sprawa została jednak niewyjaśniona. Jak długo będzie trwała ta zabawa? Miejmy nadzieję, że skończy się wczesnym popołudniem, przecież o trzeciej jestem umówiona z Garretem. Obiecałam mu, że nauczę go surfingu, a poza tym po prostu bardzo chciałam się z nim zobaczyć.

– Cały czas będę cię obserwowała, dlatego nie ma mowy o żadnym



oszukiwaniu – ciągnęła instruktorka. – Jeśli okaże się to konieczne, będziemy tu przez cały dzień. Będiesz wolna dopiero wtedy, kiedy poczuję się usatysfakcjonowana.

O nie! Jak długo mam być żywa, żeby ta kobieta poczuła się usatysfakcjonowana? Prawdopodobnie bardzo długo, o wiele za długo, żebym ja poczuła się usatysfakcjonowana!

– Dwie minuty na zajęcie pozycji! – przypomniała jeszcze Straszna Dama z Talonu, a potem już zapowiedziany sygnał: – Ruszaj!

Błyskawicznie zrobiłam w tył zwrot i katując szponami cement, w sekundę znalazłam się w labiryncie. I ruszyłam do przodu. Szłam i szłam, rozglądając się na wszystkie strony. A wszędzie pusto, ani śladu żołnierzy. Cisza, spokój, słyszałam tylko swój oddech i ciche postukiwanie szponów, mimo że coraz bardziej zagłębiałam się w gmatwaninę prowizorycznych korytarzy. Nikt do mnie nie strzelał, nikt nie przemykał w ciemnościach, nie słyszałam żadnych kroków. Gdzież oni są, ci niby-żołnierze? Może ich w ogóle tu nie ma, może moja stuknięta instruktorka wymyśliła tylko tę mistyfikację, żebym wpadła w paranoję. Tak, tak, na pewno nie ma tu ani jednego...

Nagle coś małego i owalnego wleciało do korytarza, gdzieś z góry, odbiło się o coś, wydając metaliczny dźwięk, i spoczęło tuż obok moich szponów. Mocno poruszona wlepiłam w to coś oczy i prawie jednocześnie usłyszałam syk. Tylko syczenie, ale ogłuszające i spoza niewielkiej skrzyni wyskoczył nagle smok. Ogromny biały smok, z którego paszczy wydobywały się kłęby dymu. Naturalnie od razu cofnęłam się o krok. I znieruchomiałam zdezorientowana, ponieważ cały korytarz był już wypełniony dymem i nie wiadomo było, w którą stronę iść.

I w tym momencie rozległy się strzały. Strzelano gdzieś nade mną. Oczywiście trafili mnie, skoro stałam jak słup soli. Trafili z kilku stron, smok raptem gdzieś się zapodział, oni natomiast ukazali się moim oczom. Było ich sześciu, trzech z lewej, trzech z prawej strony, wysoko na stosach skrzyń i beczek, z których utworzono ściany korytarzy. Wszyscy w mundurach bojowych i kominiarkach, każdy z wielkim, groźnym karabinem w ręku. A ja byłam cała w czerwonej farbie, która ściekała po łuskach i skapywała na cementową posadzkę. Tragedia! Przecież byłam świadoma, że sama wpadłam im w łapy i gdybym miała do czynienia z prawdziwymi żołnierzami Świętego Jerzego, byłoby już po mnie.

Pseudożołnierze znikli równie nagle, jak się pojawili, w chwili gdy w słuchawce usłyszałam dobrze mi znany głos:

– Jesteś martwa, pisklaku. Początek bardzo nieudany. Miejmy nadzieję, że się poprawisz, bo inaczej będziemy tu przez cały dzień. A teraz... Dwie minuty

na znalezienie nowej pozycji! Ruszaj!

Nie, nie powiem, że z duszą na ramieniu, ale na pewno już zdecydowanie mniej pewna siebie wbiegłam w inny korytarz, starając się znaleźć jak najdalej od tych sześciu żołnierzy, którzy jako pierwsi położyli mnie trupem. Niestety nie udawało mi się ich zgubić. Pojawiali się nieustannie, zawsze kawałek przede mną. I strzelali do mnie, oczywiście. Jeden nie trafił, ale inny tak. Na przykład ten, co siedział na szczycie stosu skrzyń. A w którymś momencie dwóch żołnierzy po prostu zatarasowało mi drogę. Oczywiście odwróciłam się, gotowa biec z powrotem, Niestety z tyłu też już było dwóch. Przyskrzynili mnie i trafili niezliczoną ilość razy. Gdyby były to prawdziwe kule, byłabym podziurawiona jak sito i cała zalana krwią. Teraz zalana czerwoną farbą. I za każdym razem, kiedy mnie trafiono, w słuchawce odzywał się prawie radosny głos mojej instruktorki, przekazujący, że znowu się nie sprawdziłam, znowu mnie trafili, jestem więc martwa.

Biegłam i biegłam, dopóki nie poczułam, że dość, jestem wykończona. Śmignęłam wtedy w bok i przycupnęłam w ciemnym kącie za stosem palet. Podwinęłam ogon, skuliłam się, starając się oddychać jak najciszej. Z nadzieją, że tu mnie nie znajdą, że będę „żywa” przez ustalony przez sadystkę czas i będę mogła wreszcie wyjść z tego przekłętego labiryntu.

Niestety znaleźli, bo ponad stosem skrzyń przeleciało kolejne małe owalne paskudztwo. Odbiło się od ściany i zaczęło lecieć prosto na mnie, w związku z czym wyboru nie miałam i zmuszona byłam błyskawicznie opuścić to niby bezpieczne miejsce. Większość „pocisków”, jakimi zaczęto mnie teraz raczyć, były to granaty dymne. Dymu więc było pod dostatkiem. Tym, że go wdycham, nie przejmowałam się. Gorzej, że z widocznością w wąskich korytarzach zrobiło się bardzo kiepsko, w rezultacie miotałam się na wszystkie strony, a oni oczywiście trafiali. A ten ostatni granat to była już lekka przesada. Nie tylko dym, także oślepiające światło, które unieruchomiło mnie na moment, a oni walili we mnie ze wszystkich stron już tymi normalnymi pociskami z farbą.

Po chwili biegłam dalej już przez prawdziwy tunel śmierci. Ci dranie byli po obu stronach. Strzelali i strzelali. Raptem znikli, a w słuchawce po raz kolejny znienawidzony przeze mnie głos:

– Żałosne! Nie pozostaje nic innego, jak modlić się, byś nigdy nie natrafiła na prawdziwych żołnierzy Świętego Jerzego. Bo na pewno skończyłoby się na tym, że mieliby co powiesić nad kominkiem! Twoją pustą głowę!

I wtedy mój porządnie już nadszarpnięty temperament doszedł do głosu. Poczulałam gniew, i to od razu taki wszechogarniający. Zawarczałam i rzuciłam się na najbliższy stos skrzyń, waląc w nie z całej siły i roztrzaskując w drobny

mak.

Dość! Wystarczy tego polowania na mnie! W końcu jestem tym pieprzonym smokiem czy nie?! Smokiem! Drapieżnikiem alfa, jak twierdzi ten pieprzony Talon! Przeżyjesz, jeśli cię nie zastrzelą? No to chyba najwyższy czas zapolować na tych, co strzelają!

Przykucnęłam, poderwałam się z ziemi i wskoczyłam na szczyt jednego ze stosów skrzyń, starając się wylądować na nim jak najciszej.

Poczekajcie, dranie! – krzyczałam w duchu. Już ja was załatwię! Bo zmieniamy reguły tej pieprzonej gry!

Przycisnęłam skrzydła do pleców, pochyliłam się i jak najciszej zaczęłam posuwać się do przodu, jednocześnie nadstawiając uszu i wylapując każdy najcichszy dźwięk. Skupiona też byłam całkowicie na tym, co widzę, co wywęszę. Jak podczas polowania. Szłam cichusieńko, jak najostrożniej stawiając łapy, by szpony nie drapnęły drewna, zdradzając moją obecność. Nie czułam już żadnego lęku, absolutnie nie. Teraz ja byłam łowcą, teraz ja czatowałam na tych drani, co czają się w ciemnościach. Teraz oni powinni się bać.

Nagle wyczułam zapach człowieka, gdzieś przede mną. Natychmiast znieruchomiałam i w sekundę potem zobaczyłam jednego z nich. Był też wysoko, na stosie skrzyń. Nie widział mnie. Przeczochał się jeszcze kawałek w moją stronę i bezszelestnie zsunął się na dół. Stał na cementowej posadzce, a ja przykucnęłam, pochyliłam się tak, że brodą prawie szorowałam po skrzyniach, cichusieńko zaczęłam posuwać się do przodu. Kiedy znalazłam się koło miejsca, gdzie pojawił się ów żołnierz, jak najostrożniej wychyliłam głowę. Stał tam, w dole, i patrzył w głąb korytarza, tam też wycelował. Kawałek dalej stało jeszcze dwóch żołnierzy. Żaden z nich mnie nie widział. Czyli super. Uśmiechnęłam się.

Cześć, chłopaki! – pomyślałam mściwie. Znacie to stare powiedzonko? Zemsta jest rozkoszą bogów!

Sprężyłam się do skoku i ryknęłam:

– Śmierć przychodzi z góry!

Żołnierz poderwał głowę, a ja już lądowałam na nim i warcząc, powaliłam go na cementową posadzkę. Ozdobiona hełmem głowa huknęła o podłogę. Żołnierz znieruchomiał, wyglądał niezbyt przytomnie. Dwaj pozostali naturalnie od razu zrobili w tył zwrot i wycelowali we mnie. A ja wysunęłam szpony i rycząc, ruszyłam na nich. Kiedy puścili kolejną serię, błyskawicznie odskoczyłam w bok i na moment przywarłam do ściany. Pociski przeleciały, wtedy odbiłam się od muru i uderzyłam rogami jednego z nich w pierś. Odleciał kilka metrów i huknął w stos skrzyń, które oczywiście poleciały na

niego, unieszkodliwiając go co najmniej na chwilę, a ja z dzikim rykiem rzuciłam się na drugiego, który zaczął się szybko wycofywać. Ja za nim, ale nie zdążyłam go dopaść, bo nagle usłyszałam:

– Stój!

Nie tylko w słuchawce, głos dobiegał też gdzieś z przodu. Tak, właśnie stamtąd, gdzie stał ten jeszcze przed sekundą wycofujący się żołnierz. Zawiesił karabin na ramieniu, ściągnął hełm i kominiarkę, czyli odsłonił twarz.

Twarz Strasznej Damy z Talonu.

– No i wreszcie doczekaliśmy się – wycodziła, zgarniając jasne włosy. – A ja już traciłam nadzieję, że do twojej pustej głowy w końcu dotrze, jaki jest cel tego szkolenia, i nie będziemy siedzieć tu do północy, ganiając za tobą po tym labiryncie!

– Czyli... czyli miałam od razu atakować, tak? Od razu walczyć?

– Oczywiście, pisklaku. Bo smok nie jest zdobyczą – powiedziała z naciskiem. – Smok jest myśliwym. Tak, myśliwym! Nawet dla żołnierzy Świętego Jerzego jesteśmy wyjątkowo inteligentnym, niebezpiecznym i skutecznym przeciwnikiem, którego nie można lekceważyć. I taka właśnie masz być! Kiedy znajdziesz się w tym samym budynku co żołnierz Świętego Jerzego, ty też polujesz na niego, jasne? Jego życie też ma być w niebezpieczeństwie! Robisz właśnie to!

Nie zdążyłam pomyśleć, a już było po wszystkim. Lufa karabinu Strasznej Damy przesunęła się w górę, karabin wypalił i znów spłynęły po mnie czerwone strugi. Oczywiście nie bolało, ale i tak się wzdrygnęłam.

A moja instruktorka uśmiechnęła się lodowato.

– Pamiętaj, że to ty masz zabić! Ty! Bez wahania!

## GARRET

Już prawie wpół do trzeciej, a Ember jak nie było, tak nie ma. Nadludzkiem wysiłkiem powstrzymałem się przed spojrzeniem na zegarek – na pewno już po raz tysięczny – i wbijając plecy w twarde oparcie ławki, dalej gapiłem się na parking. Koktajl z pomarańczy, który oczywiście kupiłem, żeby niczym się nie wyróżniać, stał nietknięty na brzegu stołu. W budce tłok, i w środku, i na zewnątrz. Wszystkie stoliki zajęte, wszyscy rozgadani, roześmiani. Tylko ja nie. Siedziałem sam i gapiłem się w okno, czekając, aż pojawi się rudowłosa istota, niby człowiek, a tak naprawdę ta istota może być smokiem.

Na parking wjechał biały volkswagen. Prawdziwy antyk z kilkoma deskami do surfingu na dachu, naturalnie przywiązany do tego dachu bardzo starannie. Volkswagen ustawił się koło mojego dżipa i wyskoczyła z niego – wreszcie! – rudowłosa istota. Wyskoczyła, zanim jeszcze samochód tak naprawdę się zatrzymał, i prawie biegiem ruszyła przed siebie. A ja nie odrywałem od niej oczu, od niewysokiej, szczupłej postaci w szortach i luźnym topie, pod którymi niewątpliwie kryło się bikini.

Ember przeszła przez szklane drzwi i przemknąwszy spojrzeniem po salce, błyskawicznie mnie zlokalizowała.

– Garret! Przepraszam! – zawołała, zmierzając ku mnie szybkim krokiem. – Przepraszam za spóźnienie, ale tyle się u mnie działo, że straciłam poczucie czasu. Dzięki, że poczekałeś. Długo tu jesteś?

Od piętnastego wieku. Oczywiście! Samo cisnęło się do ust. W końcu nasz Zakon nie zaistniał od wczoraj.

Tę informację naturalnie zachowałem dla siebie, przekazując tylko lakoniczne:

– Nie.

Tylko tyle również dlatego, że w tym właśnie momencie zauważyłem coś bardzo interesującego, mianowicie to, że z białego antyku wysiadały jeszcze dwie osoby. Lexi Thompson, którą przecież już poznałem, także jakiś chłopak, bardzo wysoki, z jasnymi, długimi włosami związanymi w kucyk.

– Lexi już znasz – powiedziała Ember, też spoglądając w okno. – A ten chłopak to jej brat, Calvin. Lexi i Calvin nauczyli mnie surfować, poza tym Calvin zna najlepsze miejsca. Dołączą do nas. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Uśmiechnęła się przepaszająco i nachyliwszy się ku mnie, w związku z czym jej twarz znalazła się bardzo blisko mojej, wyszeptła:

– Prawdę mówiąc, sami się wprosil. Niepotrzebnie wygadałam się, że będę cię uczyć surfować, bo Lexi od razu powiedziała, że nie ma siły, musi być przy

tym. A Calvin powiedział, że nie pozwoli, byśmy były same z obcym facetem, zwłaszcza po tym, co nam się przytrafiło na tamtym klifie. W rezultacie przyjechali tu ze mną. Przepraszam, ale tak po prostu wyszło.

Owszem, byłem zaskoczony ich obecnością, ale nie traktowałem tego jak tragedii. Przeciwnie, miało to też swoje plusy, skoro moim zadaniem było zintegrowanie się z jak najszerszym kręgiem osób. Poza tym Lexi jest przyjaciółką Ember, na pewno zna jej sekrety i kto wie, czy przypadkiem właśnie dziś nie usłyszę czegoś interesującego, co będzie ważnym krokiem na naszej drodze do celu.

Dlaczego więc jawili mi się jako intruzi?

– Nie ma problemu – powiedziałem, wzruszając lekko ramionami i w tym momencie wokół nas zrobił się ruch.

– Cześć, Garret! – zawołała Lexi, rozsiadając się na ławce obok nas. – Słyszałam, że dziś składasz swój los w ręce Ember! Właśnie jej, i jest to bardzo interesujące. Czy wiesz, co nasza Ember zrobiła podczas swojej pierwszej lekcji surfingu?

Ember, westchnąwszy głęboko, podjęła interwencję:

– Lexi! Przecież chcemy, żeby jechał z nami, a nie uciekał stąd z wielkim krzykiem!

Bezskutecznie, ponieważ rzecz jasna zapragnąłem zaspokoić swoją ciekawość.

– A co się wtedy stało, podczas tej pierwszej lekcji? – spytałem.

Lexi naturalnie bardzo skwapliwie udzieliła wyjaśnień.

– Co się stało? – zawołała radośnie. – A to, że omal się nie utopiła! Kiedy tylko przyswoiła sobie podstawy, postanowiła zmierzyć się z siedmiometrową falą. Siedmiometrową! Trzeba przyznać, że ten jej upadek z deski był wyjątkowo efektowny.

Policzki Ember wyraźnie poróżowiały, a spojrzenie, jakim obdarzyła przyjaciółkę, należało zdecydowanie do spojrzeń, które potrafią zabić.

– Bez obaw, Garret – powiedziała. – Nie mam zamiaru już pierwszego dnia rzucać cię na siedmiometrową falę. Zaczniemy od fal dla dzidziusiów i będziemy powoli podnosić poprzeczkę. Obiecuję, że nie będę się nad tobą znęcać – zakończyła łaskawym tonem.

– Cześć!

Do stolika podszedł Calvin i postawił na środku trzy szklanki z napojami, z których dwie natychmiast przeszły w ręce dziewczyn.

– Garret, tak? – ciągnął Calvin. – Podobno dziś razem jeździmy na falach. Surfowałeś już kiedyś?

– Nie.

– Aha...

Uśmiechnął się, ale nie był to jakiś złośliwy uśmieszek, nie. Raczej taki uśmiech znaczący.

– Czyli zapowiada się interesująco.

Nie jechaliśmy długo. Siedziałem z tyłu obok Ember i patrzyłem przez okno. Lexi, usadowiona z przodu, co chwilę wykręcała szyję, by spojrzeć na nas i coś powiedzieć. Gadała bez przerwy, Ember też. Ja prawie się nie odzywałem, tylko słuchałem i po jakimś czasie zacząłem się poważnie zastanawiać, czy ta miła, wesoła, rozgadana istota obok mnie nie jest po prostu zwyczajną nastolatką, ponieważ wcale mi nie pasowała do standardowego modelu smoka, który powinien być bezlitosny, złośliwy i żądny władzy. Z tym że ja nigdy dotąd nie widziałem smoka w takiej sytuacji. Zawsze próbowały mnie zabić i vice versa. Nigdy też nie byłem przez dłuższy czas w towarzystwie smoka w ludzkiej postaci, który starał się zintegrować z ludźmi. Pod tym względem nie miałem żadnego doświadczenia, ale i tak w tamtej chwili nie widziałem Ember w roli smoka – uśpionego szpiega. Czyli najprawdopodobniej marnowałem czas, czym – rzecz dziwna – jakoś wcale się nie przejmowałem. Może dlatego, że podczas tej jazdy antycznym volkswagenem działy się jeszcze inne rzeczy, i to bardzo interesujące, mające związek z nogą Ember.

Ember siedziała obok mnie, w związku z czym jej szczupła noga co jakiś czas ocierała się o moją nogę. I to właśnie, to sporadyczne ocieranie, odczuwałem wyjątkowo mocno. Ale to jeszcze nie wszystko, bo kiedy skręciliśmy w wąską boczną drogę, samochód najechał na kamień czy pień, w każdym razie podskoczył. Ja rąbnąłem głową o dach, a Ember omal nie wylądowała na moich kolanach. Natychmiast, gorliwie przepaszając, zaczęła odsuwać się ode mnie i żeby to uskutecznić, na moment oparła rękę na moim udzie. Co również odczułem wyjątkowo mocno. Ona też musiała coś poczuć, bo się zaczerwieniła. A mnie zrobiło się nagle okropnie gorąco. Czy dlatego, że poczułem się głupio? Może tak, a może jednak chodziło o coś innego...

No cóż... Pod tym względem moje doświadczenie również było zerowe. Z cywilami niewiele miałem do czynienia, a z dziewczynami w moim wieku prawie wcale. Owszem, w Zakonie nie brakowało kobiet. Miały określone zadania, pracowały w wywiadzie, zajmowały się papierkową robotą, ratowały też życie żołnierzom poparzonemu przez ogień z paszczy smoka. Tylko takie. Nie było kobiet żołnierzy, z którymi można by się skumplować.

Tristan w towarzystwie dziewczyn zachowywał się bardzo swobodnie, zwłaszcza wtedy, kiedy trochę wypił. Ja natomiast nie potrafiłem sklecić

jednego porządnego zdania, dlatego unikałem ich jak ognia. Teraz byłem w towarzystwie jednej z nich, właśnie dziewczyny, ale to całkiem inna bajka. Siedzi obok mnie tylko dlatego, że jest naszym celem. Niczym więcej...

Ale problem istniał, bo ta myśl, która raptem zaczęła chodzić mi po głowie, myśl co najmniej dziwna, w obecnej sytuacji była niedopuszczalna. Głupia myśl o tym, że nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dotknęła mnie jeszcze raz, a ja jeszcze raz mógłbym poczuć na nagiej skórze ciepło jej palców...

Spojrzałem w okno, starając się, by moje myśli pobiegły innym torem, jakimkolwiek, byleby tylko nie myśleć już o dziewczynie, która siedzi obok mnie. Na szczęście volkswagen, trzęsąc się i podskakując, wreszcie zwolnił i zatrzymał się w cieniu kępy bujnych palm. A w prześwicie między dwoma wielkimi krzakami głogu widać było za złotym piaskiem spienione fale oceanu. Wsiadłem pierwszy i od razu poczułem na gołych plecach żar lejący się z nieba. Zaraz za mną wysiadła Ember i elegancko zasłaniając dłonią usta, ziewnęła bardzo szeroko, co nie uszło uwadze Lexi, która pomagała Calvinowi odwiązywać deski ulokowane na dachu samochodu.

– Em! Przyznaj się! Znowu zarwałaś noc? – zawołała żartobliwie. – Biedactwo poszło spać o świcie i nie wyspało się! Nie po raz pierwszy, myślę więc, że lepiej umawiać się z tobą na surfing po północy.

– O, odezwała się ta, co nigdy nie wstaje przed dwunastą! – odcięła się Ember, a ja słuchając tej żartobliwej wymiany zdań, pomyślałem, że coś tu nie gra. Bo z tej właśnie wymiany zdań wynika, że Ember lubi sobie pospać. Jej znajomi o tym doskonale wiedzą i są przekonani, że dziś rano Ember spała w najlepsze. A przecież wcale nie leżała w łóżku. Była na ulicy, sama, tylko z rowerem, czego ja z kolei byłem naocznym świadkiem. I z tego, co mówiła, wynikało, że jeździ rowerem nie pierwszy raz, trochę więc dziwne, że jej bliscy znajomi nic o tym nie wiedzą...

Ember ściągnęła z dachu samochodu niebieską deskę i wręczyła mi ją wraz ze słowami:

– Proszę. Dziś jest twoja. Bądź dla niej miły, bo naprawdę wiele już przeszła.

Podziękowałem i wsunąłem deskę pod pachę, jak to widziałem u Ember. Deska była zaskakująco lekka, poza tym faktycznie była to deska, która wiele przeżyła, o czym świadczyły liczne zadrapania i wgniecenia. Calvin wziął zwyczajną białą deskę bez żadnych ozdóbek, oczywiście wsunął sobie pod pachę i krokiem nieśpiesznym ruszył nad wodę. My za nim. Ja w środku, dziewczyny po bokach, już przekazujące mi garść informacji o podstawowych zasadach surfingu. Mówiły bardzo szybko, przekrzykując się nawzajem, dlatego, choć słuchałem uważnie, niewiele do mnie docierało.

A kiedy doszliśmy nad wodę, Ember rzuciła swoją deskę na piasek



i zwracając się do mnie, oznajmiła:

– Tu zaczynamy.

– Tutaj?! Na piasku?

Oczywiście, że byłem zaskoczony, tym bardziej że Calvin śmigał już na swojej białej desce po oceanie. Jak Bóg przykazał – po wodzie.

Lexi zachichotała, a Ember spiorunowała ją wzrokiem, po czym przystąpiła do wyjaśnień:

– Surfujemy po wodzie, oczywiście, ale pierwsze kroki stawiamy na piasku. Zanim złapiesz pierwszą falę, musisz się wiele nauczyć. Jak wiosłować, jak stać na desce, żeby utrzymać równowagę i tak dalej. I właśnie lepiej przyswoić to sobie, jak to się mówi, na sucho, czyli na stałym lądzie.

– Bo inaczej będzie z tobą jak z Ember – odezwała się niepoprawna Lexi. – Nie chciała marnować czasu na ćwiczenia na plaży, no i miała za swoje! Od razu na wstępie zmiotło ją z deski!

Na co Ember, naturalnie bardzo już zła:

– A ty się tak nie wymądrzaj! I nie zapominaj, że zgodziłam się, byś przyszła tu razem z nami tylko pod warunkiem, że to ja będę go uczyć, a ty masz się nie wtrącać!

Lexi oczywiście znów zachichotała, a ja pomyślałem, że wielka szkoda, że ona tu jest. Ta cała Lexi. Szkoda, że nie jesteśmy sami, tylko Ember i ja, bo ta wymądrzała przyjaciółka na pewno będzie się wtrącać i w rezultacie trudno mi będzie się skoncentrować...

Czy faktycznie był to najistotniejszy powód? Może tak, może nie, w każdym razie ja uznałem go za przyczynę podstawową.

Ember westchnęła i zwróciwszy się z powrotem do mnie, wskazała deskę.

– Ustaw ją obok mojej. Pokażę ci, jak się wiosłuje, łapie falę i jak wstać, kiedy ją złapiesz. Utrzymania równowagi nauczysz się już na wodzie.

Zrobiłem, co kazano, i pod czujnym okiem Ember nauczyłem się, jak kłaść się na brzuchu i wiosłować rękami, kiedy będę starał się złapać falę, a potem, jak ją złapie, szybko przykucnąć na desce, no i jechać już na fali. Nauczyłem się, jak stać na desce, przede wszystkim nogi w kolanach powinny być ugięte. Ember powiedziała mi też, jak steruje się deską, kiedy już złapie falę. Okazała się bardzo łagodną i cierpliwą nauczycielką, która udziela wyczerpujących odpowiedzi na każde pytanie. Nie obyło się jednak bez tych... no... tych dziwnych rzeczy. Kiedy demonstrowała mi pewien manewr, na moment położyła rękę na moim ramieniu. Dosłownie na minutę, dwie, a ja dotyk jej palców czułem na sobie jeszcze przez długi czas. Miałem wrażenie, jakby wcale swojej ręki nie zabrała.

Niestety, nie obyło się też bez komentarzy Lexi. Czasami pochwaliła Ember,

czasami zażartowała z jej metod nauczania, ale tragicznie nie było. Staralem się nie zwracać na nią uwagi, i to tak skutecznie, że po jakimś czasie prawie zapomniałem o jej obecności.

– I to już wszystko – oznajmiła na koniec Ember z uśmiechem, spoglądając na mnie z uznaniem. A tak, i to było bardzo miłe! – Moim zdaniem załapałeś wszystko. Aż za dobrze. Szczerze mówiąc, to zastanawiam się, czy dlatego że masz do tego smykałkę, czy też wyciąłeś mi niezły numer, wpierając we mnie, że nigdy na desce nie stałeś, a tak naprawdę jesteś mistrzem surfingu z Waimeii czy innej tam części Hawajów!

– Nie musisz się zastanawiać, bo to prawda. Nigdy dotąd nie miałem z tym do czynienia – powiedziałem z powagą, niemal uroczyście, patrząc Ember prosto w oczy, ponieważ ona z kolei spoglądała sceptycznie. Dlatego podniosłem rękę i dokończyłem głośniej i bardzo wyraźnie: – Przysięgam!

– Hm... To dlaczego mam dziwne przeczucie, że już za pierwszym podejściem złapiesz falę i dasz takiego czadu, że nam oczy wyjdą na wierzch?

– Wszystko możliwe, jeśli ma się tak świetną nauczycielkę.

– Ach tak? Lepiej się nie podlizuj, bo jestem na to odporna. Mój brat często stosuje tę metodę, ale to i tak nic nie daje...

Wtedy do naszej rozmowy włączyła się wyraźnie już zniecierpliwiona Lexi:

– Nie ma problemu, Ember. Zaraz go sprawdzimy! – zawołała, podnosząc wysoko swoją deskę. – Godzina prawdy nadeszła!

## EMBER

Garret podniósł deskę i stanął tuż przede mną. Wiadomo, czekał na dalsze rozkazy, wpatrując się we mnie, a mój żołądek chyba po raz setny wykonał tego popołudnia przedziwny ni to skok, ni to podskok. Bo włosy Garreta lśniły w tym słońcu cudnie, poza tym nie miał na sobie T-shirtu, dzięki czemu pięknie wyrzeźbione ramiona widać było w całej okazałości. Cały tors. Super. Piękna klata, opalony brzuch płąściutki jak deska surfingowa. Ten chłopak zdecydowanie w wolnym czasie pracował nad sobą, albo też po prostu pracował fizycznie. Na pewno nie był to koleś, który cały dzień siedzi przed komputerem. I mimo że tak usilnie zaprzeczał, nadal nie wierzyłam, że z surfingiem nigdy dotąd nie miał do czynienia. Bo ta jego niesamowita zręczność i pewność siebie... Poza tym wcale nie trzeba było mu mówić, gdzie ma postawić stopę, jak utrzymać na desce równowagę. Kiedy patrzyłam, jak daje sobie radę na nieruchomej desce leżącej na piasku, byłam pewna, że w wodzie poradzi sobie znakomicie. Chociaż równie dobrze mogę się mylić i już po kilku minutach zmyje go z deski, jak mnie podczas pierwszej lekcji. W każdym razie na pewno nie miałam zamiaru kazać mu zmierzyć się już dziś z falami o monstrualnej wysokości!

– Idziemy – powiedziałam, biorąc deskę. – Będzie dobrze. Rób po prostu wszystko to co ja.

Wszedł do wody bez ociągania, rączym krokiem. Położyliśmy się na deskach i zaczęliśmy wiosłować. Jakies sto metrów od brzegu zarządziłam postój. Teraz oboje leżeliśmy sobie tylko na tych deskach, skrzący ocean kołysał je leciutko, a ja, jak zwykle w takiej chwili, czułam coraz większe podniecenie. Latać już nie mogłam, trudno, ale surfing miał naprawdę wiele wspólnego z lataniem. Ten pęd, skok adrenaliny, poczucie, że wcale nie jest to takie bezpieczne. Jakie to szczęście, że nikt mi jeszcze nie każe i z tego zrezygnować!

Jak z latania. A latanie... Nagle przed oczyma pojawił się Cobalt, przepiękny niebieski smok, a my razem lecimy nad wzburzonym oceanem, ścigamy się z falami...

I w sercu zakłuło. Bo jednak żal.

– Ember?

Głos Garreta nakazał powrócić do rzeczywistości. Otrząsnąć się z melancholijnego nastroju, tym bardziej że Garret, kołyszący się na desce tuż obok mnie, przypatrywał mi się z wielką uwagą.

– Ember? Z tobą wszystko w porządku?

Wcale nie, bo dalej targają mną emocje. Wystarczyło, że spytał tak łagodnie,

i już poczułam dziwny dreszczyk.

– Jasne! – odparłam, uśmiechając się jak najbardziej promiennie. – Wszystko gra. Po prostu zapatrzyłam się na fale.

– No to kamień spadł mi z serca! Przecież jestem teraz od ciebie całkowicie uzależniony. Tylko ty możesz mi pokazać, co mam robić, żeby utrzymać się na tej desce. Bo lekcja, mam nadzieję, jeszcze się nie skończyła?

Te oczy! Kolor owszem, piękny, bo stalowa szarość, ale spojrzenie za bardzo przenikliwe, z gatunku tych, co przewiercają cię na wylot. I burzą spokój mojej smoczycy. Bo wyraźnie zaczynała się miotać i porykiwać, co świadczyło, że chłopak na desce obok wcale jej się nie podobał. Dlaczego? Wystraszyła się tego spojrzenia, podobnego do spojrzenia drapieżcy? Może nie, może obawiała się, że jeśli ja, jej ludzka wersja, zatopię na dłużej swoje spojrzenie w tych stalowoszarych oczach, to zapomnę o złocistookim zbiegu, który gdzieś przecież czeka na mnie!

Nagle usłyszałam wołanie Lexi:

– Hej, hej! Idzie dobra fala!

Natychmiast spojrzałam na ocean. Rzeczywiście fala szła, i to fala całkiem, całkiem. Żaden gigant, ale na pewno nie fala dla dzidziusiów. Może więc i za duża jak na pierwszą lekcję...

A co tam! Niech się Garret trochę pomęczy!

Błyskawicznie obróciłam deskę na wodzie, ustawiając ją przodem do fali. Lexi zrobiła to samo, Garret naturalnie też. Wszyscy leżeliśmy na brzuchach, całkowicie na płask, a ja pośpiesznie udzieliłam jeszcze Garretowi kilku wskazówek:

– Kiedy powiem „już!”, to masz wiosłować. Wiosłować tak, jakby od tego zależało twoje życie. I masz się nie oglądać.

Na moment przechwyciłam jego wzrok. W stalowoszarych oczach nie było ani odrobiny lęku, tylko pewność siebie i podekscytowanie. A tak w ogóle to te oczy były niesamowite, dlatego na moment zabrakło mi tchu. Ale tylko na moment, bo fala przed nami zaczęła się już porządnie spiętrzać, stąd mój wrzask:

– Ruszamy!

Wszyscy wiosłowaliśmy zawzięcie. Ja pierwsza dotarłam na szczyt fali. Przez chwilę patrzyłam w dół, jakbym była na krawędzi urwiska. Deska zachwiała się, czubek trochę opadł. Wtedy poderwałam się błyskawicznie, Lexi i Garret oczywiście też, no i zaczęła się jazda.

Woda i wiatr chłostały mnie zawzięcie ze wszystkich stron. Włosy rozwiane, oczy utkwione tylko w desce prującej przez wodę. Genialnie, jest po prostu genialnie i... I nagle szok. Bo ktoś mnie minął, wzbijając dodatkową fontannę.

Kto? Garret! Z wrażenia omal nie spadłam z deski, na szczęście do tego nie doszło i jechałam dalej, kątem oka obserwując, jak mój znakomity uczeń z rozwianym włosom sunie po fali. Stoi idealnie, tak jak go uczyłam. Nogi w kolanach ugięte, ręce trochę uniesione. I pruje do przodu!

Byłam z niego bardzo dumna, dlatego wymanewrowałam deską tak, by się z nim zrównać, i starając się przekrzywić ryk fal, wydarłam się:

– Udało ci się! Brawo!

Uśmiechnął się do mnie, owszem, przelotnie, ale wprost, a mnie na moment przytknęło, bo Garret pędzący na desce był kwintesencją światła, energii, siły i adrenaliny. I był po prostu piękny...

Fala za nami spiętrzyła się, załamano i opadła z łoskotem, produkując przy tym monstrualny prysznic i z wody, i z piany, a zaraz potem, już miła i łagodna, rozlała się szeroko po mieliźnie. Cała nasza trójka nakierowała deski na plażę. Jechaliśmy coraz wolniej, tracąc rozpęd, a gdy straciliśmy go już całkowicie, Garret zeskoczył z deski. Stał w wodzie, sięgającej mu tylko do pasa. Ciężko dyszał, ale twarz jaśniała w skierowanym ku mnie wyjątkowo szerokim uśmiechem.

– Było genialnie! – zawołał, a wtedy ja również skoczyłam do wody i stanęłam obok niego, a Garret, potrząsając mokrą głową, przez co zafundował mi dodatkowy prysznic, wyrzucił jeszcze z siebie: – Nigdy dotąd czegoś takiego nie czułem! Po prostu było... Po prostu... wow!

Roześmiałam się, bo patrzenie na niego było wielką przyjemnością, na bardzo powściągliwego Garreta, który właśnie przeżywał chwilę radosnej szczerości. Tak bardzo radosnej, jakby nigdy dotąd nie miał okazji poszaleć tak naprawdę. Po prostu iść na całość.

– Każdy na początku jest taki rozradowany, Garret – powiedziałam może i mentorskim tonem. – Bo dopiero podczas drugiej lekcji zaczynają się schody, kiedy przekonasz się, co to jest prawdziwa jazda!

– Hej, hej! – zawołała Lexi, podpływając do nas. – A co to za przystanek? Czyżby szykowałam się powtórka?

Spojrzałam na Garreta. Uśmiechnął się, tak po łobuzersku, jak to chłopak, chwycił swoją deskę i nakierował na falę.

– Jasne! Powtarzamy!

Odprowadzałam go wzrokiem, a przez głowę przemknęła myśl, że chyba narodził się nam nowy surfer. Myśl sympatyczna, zaraz jednak potem przemknęła druga myśl, ta z kolei i dziwna, i w sumie idiotyczna:

Miejmy nadzieję, że nie narodził się jakiś potwór...

Surfowaliśmy przez całe popołudnie. Garret był niezwykle pojętym

uczniem. Błyskawicznie nauczył się wyszukiwać nadciągającą falę, a także przepuszczać te, które były za małe. Kilkakrotnie zmyło go z deski, ale to przecież przytrafia się każdemu. Poza tym ja i tak spodziewałam się, że zdarzy mu się to wiele częściej, zwłaszcza przy większej fali. A on mało tego, że spadł zaledwie tych kilka razy, to nawet jeśli odbywało się to w sposób brutalny, wracał szybko na deskę, potrzasał mokrą głową i dalej surfował zapamiętane.

Kiedy słońce było już nisko, powiedzieliśmy sobie stop, i wtedy dołączył do nas Calvin, który surfował samotnie, na odległym krańcu zatoki. Byłam głodna, zmęczona, trochę też obolała, bo kilka razy rzuciło mną porządnie. Jak na jeden dzień miałam już dość tego szaleństwa, natomiast Garret wyraźnie nie miał ochoty wracać na ląd. Niezmordowany, a powinien być jednak choć trochę podmęczony, dlatego teraz można by dowcipnie stwierdzić, że chyba jednak narodziło nam się coś w rodzaju potwora!

– Może to jeszcze kiedyś powtórzyć? – spytał, kiedy lokowaliśmy deski z powrotem na dachu samochodu.

– Jasne! – odparłam zachwycona i dociągnęłam rzemyk przytrzymujący deskę. – Kiedy miałbyś ochotę?

– Jutro! O ile znajdziesz czas.

Spotkanie z Garretem już następnego dnia i sam na sam było w tym momencie szczytem moich marzeń. Niestety...

– Jutro nie mogę, Garret. Kristin za kilka dni obchodzi urodziny. Robi imprezę, dlatego jutro po południu spotykamy się w galerii handlowej. Mam jej pomóc w zakupach.

Miałam wielką nadzieję, że uda mi się wyskoczyć do galerii handlowej. W końcu popołudnia należały do mnie, bo rano, wiadomo, dzięki Strasznej Damie z Talonu miałam przechlapane. Ale potem już laba. Mogłam sobie surfować i spotykać się ze znajomymi. Na szczęście i Kristin, i Lexi ta pora bardzo odpowiadała, bo żadna z nich nie lubiła zrywać się z łóżka o świcie.

Nagle po drugiej stronie dachu samochodu pojawiła się głowa Lexi.

– Może pójdziesz z nami, Garret? No wiesz, do tej galerii. Nie bój się, nie będziesz jedynym facetem, bo Kristin, jak to Kristin, na pewno przyjdzie z jakimś chłopakiem. Będzie więc was dwóch. Tylko dwóch, bo na mojego wiecznie skonanego brata nie ma co liczyć.

Calvin, zajęty swoją deską, oczywiście zareagował, chociaż nie zaszczycił nas spojrzeniem.

– Łażenie od sklepu do sklepu i słuchanie, jak one na widok głupich sukienek czy głupich facetów piszczą jak wariatki? Nie, dziękuję! Ale tobie może to się spodoba.

Ach, niech gada, co chce, głupi Calvin. Ja też nie zaszczyciłam go

spojrzeniem, tylko nadal wlepiałam oczy w Garreta.

– Tak więc jutro po południu jesteśmy właśnie tam. Miło będzie, jak się pojawisz.

– W galerii handlowej? Ja... Jeszcze nie wiem. Może przyjdę.

Dziwne, bo odniosłam wrażenie, że jest speszony. Czym? Nieważne. Przede wszystkim szkoda, że decyzji brak.

– Jeśli postanowisz do nas dołączyć, to przyjdź w porze lunchu. Znajdziesz mnie w strefie restauracyjnej, w Panda Garden albo tuż obok, w Cinnabon.

Droga Lexi oczywiście nie byłaby sobą, gdyby w takim momencie udało jej się utrzymać język za zębami.

– Garret, jeśli przyjdiesz trochę wcześniej, to się nie martw, i tak ją znajdziesz. W całej galerii słyhać będzie jej pojękiwania, że umiera już z głodu!

I szybko zrobiła unik, żeby nie dostać kamykiem, który oczywiście wyfrunął z mojej ręki.

W rezultacie kamykiem oberwał Calvin.

– Dziewczyno, opanuj się! – wrzasnął i kazał wszystkim wsiadać do samochodu. Natychmiast, bo jak nie, to nas wszystkich wsadzi na dach i przywiąże, a my będziemy jechać jak te deski. Wsiadłam pierwsza, trochę smutna, że ten cudny dzień już się kończy. Ale kiedy Garret z tym swoim powalającym uśmiechem usiadł koło mnie, pomyślałam, że nie jest tak źle, w końcu ten dzień jeszcze trwa. Niestety mój nastrój bardzo szybko ponownie uległ pogorszeniu, kiedy po niedługim czasie zajechaliśmy przed Smoothie Hut i Calvin wyhamował obok czarnego dżipa. Lexi wyskoczyła z samochodu i przesunęła fotel do przodu, żeby Garret mógł wydostać się z tylnego siedzenia.

A ja, wykorzystując ostatnią szansę, wygłosiłam szybko krótką inwokację do pleców wysiadającego Garreta:

– Mam nadzieję, że jutro się zobaczymy. A jak nie jutro, to kiedy indziej. A właśnie! Pamiętaj, że impreza urodzinowa Kristin jest już w tę sobotę. Przyjdiesz? Jesteś przecież zaproszony!

– Może... – mruknął. Wydobył się z samochodu, odwrócił się i wlepiając we mnie te swoje niesamowite oczy, powiedział cicho: – Dzięki za dzisiejszy dzień, Ember. Naprawdę dobrze się... bawiłem.

Wymówienie ostatniego wyrazu jakby sprawiło mu trudność. Tak. Jakby tego słowa nie używał. Dziwne, niemniej było to coś bardzo miłego, czym zrobił mi wielką przyjemność. Mojej smoczyce nie. Aż sapała z niezadowolenia.

– Cieszę się – odparłam. – Zawsze możemy to powtórzyć.

Garret odszedł, a ja, Lexi i Calvin już po chwili siedzieliśmy w Smoothie Hut, jak zwykle przy stoliku w rogu sali. Ja z rozkoszą zatapiałam zęby w hot dogu z chilli i serem, Lexi natomiast raczyła się koktajlem, rzucając mi od czasu do czasu bardzo wymowne spojrzenia, które oczywiście starałam się zignorować. Niestety kiedy Calvin stanął w kolejce, by kupić sobie drugiego hamburgera, Lexi, uśmiechając się znacząco, rzuciła mi prosto w twarz:

– On ci się podoba!

– Co... – wykrztusiłam, omal nie dławiąc się tym moim hot dogiem. – Chodzi ci o Garreta? Chyba ci odbiło!

– Och, przestań, Ember. Przecież to jasne jak słońce. Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a ty już cała w uśmiechach. A kiedy jechaliście po tej pierwszej fali, miałam wrażenie, że najchętniej wskoczyłabyś do niego, na jego deskę!

– No tak. Odbiło ci. Totalnie.

Bo to nie mogła być prawda. Przecież skoro jestem smokiem, to niemożliwe, żeby spodobał mi się człowiek. Człowiek! Owszem, wspaniale zbudowany, wyjątkowo sprawny i bardzo przystojny. Niemniej jednak – człowiek. Nasza rasa i owszem, potrafiła docenić u przedstawicieli innych ras ich urodę, umiejętności, talenty, wdzięk i inteligencję, ale nigdy nie było w tym żadnego podłoża emocjonalnego. Nigdy, zwłaszcza wobec istot ludzkich. Zresztą w ogóle, jeśli chodzi o emocje, Talon miał bardzo jasno określone stanowisko. Smok nie zakochuje się nigdy, nawet w drugim smoku.

Lexi prychnęła cicho.

– Mów, co chcesz, a ja i tak wiem swoje. I coś jeszcze ci powiem... – Nachyliła się nad stołem i dokończyła prawie szeptem, jakby zdradzała mi największą tajemnicę. – Myślę, że ty jemu też się podobasz.



## GARRET

Kiedy tylko przekroczyłem próg naszego mieszkania, natychmiast pojawił się Tristan z miną raczej kwaśną.

– Wreszcie jesteś! Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli wykombinować drugi samochód. Żeby znaleźć dom tej dziewczyny, musiałem przespacerować się plażą dobrych kilka kilometrów! A co do tego domu, to wygląda całkiem zwyczajnie. Co prawda tylko z wierzchu, bo jak to tam jest naprawdę, można przekonać się dopiero wtedy, kiedy wejdzie się do środka. Wiadomo... – Bystre spojrzenie Tristana przemknęło po moich mokrych jeszcze włosach i ubraniu. – Jak lekcja surfingu? Chyba poszła dobrze?

Niestety nie udało mi się powstrzymać od szerokiego kretyńskiego uśmiechu. Nie udało, bo przecież było genialnie, te skoki adrenaliny, kiedy udało się złapać falę tak jak należy i jechać na niej aż do samej plaży. W ogóle wszystko.

– Nie narzekam – odparłem, kładąc kluczyki na kontuarze i sadowiąc się na krześle.

A Tristan kontynuował przesłuchanie:

– Tylko tyle? Sądząc po tym twoim głupkowatym uśmiechu, musiało być fantastycznie, bo tak uszczęśliwionego zdarzało mi się widzieć ciebie tylko wtedy, kiedy twoja drużyna w nagrodę za osiągnięcia zwolniona była ze służby w kuchni. Przez cały miesiąc.

Nie protestowałem. Bo faktycznie dla żołnierza jest to powód do największej radości.

A Tristan przeszedł do spraw służbowych:

– Garret, dowiedziałeś się czegoś o tej dziewczynie? O tej Ember? Może być tym naszym uśpionym szpiegiem?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Spędziłeś z nią prawie cały dzień i nie wiesz?

– Nie, bo tak naprawdę to z nią nie pogadałem.

– To co wyście robili przez bitych sześć godzin?

– Jak już powiedziałem, na pewno nie gadaliśmy, bo trudno rozmawiać, kiedy balansujesz na desce posuwającej po kilkumetrowej fali.

Oczywiście, że go zażyłem, bo aż zamrugał.

– Kilkumetrowej? No to faktycznie nieźle się zabawiłeś.

Zaraz potem jednak westchnął i ulokował się na kanapie, czyli dokładnie naprzeciwko mnie.

– Posłuchaj, partnerze. Cieszę się, że miałeś okazję na niezłą rozrywkę, każdemu przecież należy się chwila wytchnienia. Ale w odpowiednim czasie,

a tak się jednak składa, że nie jesteśmy tu na wakacjach. Mamy zadanie do wykonania. Wiadomo jakie. Odszukać smoka i go zabić. Dlatego zintegrowanie się z tymi ludźmi od surfingu i zakosztowanie tej przyjemności ma sens, jeśli uda się wykorzystać to do naszych celów. W przeciwnym wypadku jest to tylko i wyłącznie strata czasu.

Oczywiście, że miał sto procent racji. Byłem tego samego zdania co on i dlatego nie mogłem pojąć, jak to się stało, że jeżdżąc po falach z rudowłosą dziewczyną, całkowicie zapomniałem o swoich obowiązkach.

– Przecież wiem... – mruknąłem. – Następnym razem będzie na pewno inaczej.

Tristan pokiwał głową i usiadł na kanapie wygodniej.

– A... czyli będzie ten następny raz? Zamierzasz znowu się z nią spotkać? Kiedy?

– Jutro. Mam się spotkać z nią i tą całą resztą w galerii handlowej.

Tak. I tym razem nie zamierzałem zawieść. Będzie jak trzeba. Całkowita koncentracja wyłącznie na tym, co istotne. Na zadaniu, które mam wykonać. Zadaniu bardzo prostym. Namierzyć smoka, który jest uśpionym szpiegiem.

I zabić go.

## EMBER

– Ember! Nic nie jesz. Źle się czujesz?

Poderwałam głowę znad talerza, na którym spoczywał gotowany homar, tylko dziobany widelcem. Nie lubiłam owoców morza. Smoki są mięsożerne. Siedemdziesiąt procent naszej diety to mięso i Sarah dokładała wszelkich starań, byśmy odżywiali się właściwie. Oczywiście na stole pojawiała się nie tylko mięso. Dziś był to homar, którego nie byłam w stanie przełknąć. Dla mnie to wielki robal żyjący w wodzie. Paskudny, wręcz odrażający, niemniej tego wieczoru mój brak apetytu nie miał nic wspólnego z tym mutantem.

– Wszystko w porządku – mruknęłam, dziobiąc wielkie szczypce wyrastające z nogi nadal przytwierdzonej do opancerzonego tułowia. Byłam bardzo zdziwiona, że komuś mogło przyjść do głowy, że ja coś takiego zjem. Przecież to masakra! – Jestem tylko trochę zmęczona. Dziś surfowałam i parę razy porządnie dało mi w kość.

Oczywiście ani słowa o tym, że po prostu nie mam ochoty tego skosztować. O nie, bo gdybym się do tego przyznała, byłby to dzwonek alarmowy. Dla Dantego na pewno, i od razu włączyłby ten swój głupi radar brata bliźniaka, żeby wyłapać, co ja takiego kombinuję.

Liam odłożył widelec i spojrzał na mnie ponuro, tak spode łba.

– Dobrze wiesz, Ember, że bardzo nam się nie podoba, kiedy narażacie się na niebezpieczeństwo. Jesteśmy waszymi opiekunami, mamy obowiązek dopilnować, by nie stało się wam coś złego. Pozwoliłem ci surfować, ponieważ obiecałaś, że nie będziesz ryzykować. A z tego, co mówisz, wynika, że jednak ryzykujesz, i dlatego koniec z surfowaniem. Zabraniam.

Co?! Oczywiście od razu się zjeżyłam. A najchętniej tobym wyszczerzyła kły.

– Zabraniasz mi? Nie masz prawa tego robić!

– Ja może i nie! Ale Talon tak! – odparł Liam równie ostro jak ja, dodatkowo celując we mnie widelcem. – I nie patrz tak na mnie, dziewczyno! Bo co z tego, że jesteś smokiem, a ja tylko człowiekiem, kiedy to ja jestem za ciebie odpowiedzialny, bo tak sobie zażyczył Talon. Wystarczy jeden telefon, jedna informacja, że stanowisz zagrożenie i dla siebie samej, i dla innych, i już następnego ranka zjawi się tu Talon, by zabrać cię z powrotem. Dlatego uważaj! Bo ja już niejednego bezmyślnego pisklaka odesłałem z powrotem do organizacji. I niech do głowy ci nie przyjdzie zlekceważyć mój zakaz! Z surfowaniem koniec, zrozumiano?

Teraz oczywiście zagotowało się we mnie na dobre. Byłam już gotowa powiedzieć Liamowi, co może sobie zrobić z tym swoim głupim telefonem, ale się powstrzymałam, kiedy napotkałam spojrzenie Dantego.

Mój brat bezgłośnie błagał:

Nie stwarzaj nam problemów. Nie rób niczego, co mogłoby spowodować, że nas stąd odwołają!

Po prostu wstałam od stołu.

– Nie jestem już głodna. Idę spać.

I wyszłam z kuchni, a potem prawie biegiem do swego pokoju.

– Pamiętaj, że jutro rano masz szkolenie, Ember! – zawołał za mną Liam. – Wstajesz o piątej! Przyjdę sprawdzić!

– Och, naprawdę? Czekam na to z utęsknieniem! – wypaliłam i oczywiście trzasnęłam drzwiami. Jeszcze przez dobrą chwilę byłam po prostu wściekła, gotowa wyskoczyć przez okno, pognać na plażę i złapać kilka fal. Bo i raptem któż to taki, ten cały Liam? Jakim prawem zabrania mi surfować? Zabrania robić coś, co pokochałam, coś, dzięki czemu udawało mi się jakoś to wszystko wytrzymać? Byłam pewna, że gdybym nie surfowała, co wieczór wymyślałabym się z domu i latała nad oceanem razem ze zbiegłym smokiem.

Oczywiście! A tak w ogóle to kto wie, czy przypadkiem nie zrobię sobie powtórki. Towarzystwo Cobalta wcale nie było niezbędne, mogę śmiało posurfować w powietrzu sama. Nikt i nic mnie nie powstrzyma, ani Liam, ani te wszystkie głupie sadystyczne reguły...

Może właśnie dlatego Cobalt uciekł z Talonu. Bo w końcu nie wytrzymał... Westchnęłam i spojrzałam w okno. Było zamknięte, ale i tak słyszałam jednostajny szum fal zalewających plażę. Tak kuszący, dlatego moje rozżalenie stało się jeszcze większe. Oczywiście, że Cobalt uciekł, bo dławił się już tymi wszystkimi durnymi regułami.

Nie wolno dokonać Przemiany, nie wolno latać, nie wolno mieć żadnej przyjemności, wyliczałam w duchu. Jedyne, co możesz mieć, to instruktorkę sadystkę, która nie wiadomo dlaczego skutecznie obrzydza ci życie.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Wiadomo kto.

– Otwarte, Dante!

Drzwi skrzypnęły i do pokoju wszedł brat z miną zatroskaną.

– Ember? Jak tam z tobą? Wszystko w porządku? – spytał, przysiadając na brzegu łóżka.

Wcale nie. Gniew jeszcze nie ostygł. Przeciwnie, na widok brata znów kipiałam ze złości.

– Dzięki, żeś mnie nie poparł – wysyczałam. – Mogłeś przecież powiedzieć Liamowi, że podczas surfingu nic mi nie grozi. Dobrze wiesz, że w surfowaniu jestem naprawdę dobra, ale nawet nie chciało ci się otworzyć ust, więc od teraz, ile razy pójdę na plażę, mam przechlapane. Będę mogła sobie tylko popatrzeć! Bo taki z ciebie brat! Podobno brat bliźniak!

Dante lekko przymrużył oczy.

– Moment, chwila! Miałem dolewać oliwy do ognia, kiedy ty pyskowałaś Liamowi, a on groził, że odeśle cię do Talonu? Czy do ciebie naprawdę już nic nie dociera? Nie przyjechaliśmy tu na wakacje, jak ludzie, żeby odpocząć, zabawić się, zrelaksować. Dla nas to test. Obserwują nas bez przerwy, śledzą każdy ruch. Jeśli się nie sprawdzimy i uznają, że trzeba nas jeszcze podszkolić, odwołają nas stąd i wrócimy na pustynię! Chcesz tego? Chcesz wrócić na to bezludzie? Bo ja nie!

Z powrotem na pustynię... Zadrżałam. O nie, tylko nie to! Ta samotność, ta nuda. Dzień w dzień patrzysz na to samo. Jak okiem sięgnąć, nic tylko piach, kamienie i gdzieś tam zdychające krzaki. I to najgorsze. Przytłaczająca samotność. Oprócz mnie i Dantego tylko nauczyciele i strażnicy przechadzający się wzdłuż ogrodzenia otaczającego naszą kwaterę. Jedyne osoby z zewnątrz to ewaluatorzy pojawiający się co miesiąc, by ocenić nasze postępy. Poza tym nikogo, żadnych rówieśników. Zawsze sami, Dante i ja, dwa pisklaki przeciwko całemu światu.

Absolutnie nie chciałam tam wracać. Absolutnie, tym bardziej że miałam już możliwość poznać świat, który przedtem znałam tylko z telewizji, zdjęć i książek. Przebywałam w tym świecie już ponad miesiąc i gdyby nagle odesłano mnie z powrotem na pustynię, chybabym oszalała.

Nie chyba. Na pewno. Czyli Dante wygrał pierwszą rundę.

– Jasne, że nie! – wrzasnałam, siadając też na łóżku bardzo energicznie, po prostu waląc w nie tyłkiem. – Nigdy w życiu!

– Ja też nie – powiedział Dante, wpatrując się w róg materaca. – Jesteś moją siostrą, zawsze trzymaliśmy się razem i dlatego próbuję przemówić ci do rozumu. Nie wolno nam popełnić żadnego błędu. Nie wolno naruszać żadnych zasad. Ani jednej, bo Talon nas testuje, a ja mam zamiar przejść przez ten test pomyślnie. Tylko tak. Innej opcji nie ma.

Oczywiście w tym momencie trochę mnie zmroziło, ale postarałam się, by na mej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

– No cóż... Kiedyś byłeś superbratem... kiedyś...

I kimś, komu mogłam całkowicie zaufać, dodałam w duchu. Dlaczego nie rozmawiasz już ze mną szczerze, Dante? Przecież ja nawet dalej nie wiem, co ty konkretnie robisz na tym swoim szkoleniu.

Potrząsnął głową, a właściwie się otrząsnął, i nagle wydał mi się bardziej podobny do tego normalnego Dantego.

– Wiesz co, Ember? Ja po prostu wydoroślałem. Dobrze by było, gdybyś zrobiła to samo. Postaraj się, na pewno od tego nie umrzesz.

Wstał, żartobliwie rozwichrzył mi włosy i klepnął po ramieniu. Zdążył to

zrobić, zanim szarpnęłam się w tył. Bo szarpnęłam się, a kiedy szedł do drzwi, odprowadzałam go wzrokiem niewątpliwie płonąącym.

A Dante, już z ręką na klamce, miał jeszcze coś do powiedzenia:

– Nadal mamy cały świat przeciwko sobie, Ember. Musimy trzymać się razem i robić tylko to, co jest dobre dla naszej przyszłości. Tylko to. Nie wolno nam ulegać ani nikomu, ani niczemu. Nie zapominaj o tym!

– Dobrze, dobrze...

Westchnęłam, pragnąc nade wszystko, by wreszcie sobie poszedł, bo te jego słowa zabrzmiały jakoś tak złowieszczo. Na szczęście już przekroczył próg. Uśmiechnął się jeszcze do mnie – na moje wycucie był to uśmiech wymuszony – i zamknął drzwi.

Wreszcie sama. Ułożyłam się na plecach i wbiłam wzrok w sufit. Jak ten czas szybko leci... Znowu wieczór, za ileś tam godzin znowu będę musiała zerwać się o świcie i poddać kolejnym torturom zaaplikowanym przez Straszna Damę z Talonu. To ostatnie szkolenie, z żołnierzami i bronią, było dla mnie, delikatnie mówiąc, niezłym szokiem, mimo że wszystkie poprzednie też nie należały do przyjemnych. Chociaż może właśnie tako miało być. Zero przyjemności. Jedyne cel to złamać mnie, nauczyć wykonywać rozkazy bez szemrania, wszystkie, nawet te, które wydają się bez sensu. Gdybym czasami się nie stawiała, prawdopodobnie moje szkolenie zakończyłoby się o wiele wcześniej.

Niestety nie należałam do istot potulnych i nie byłam dobra w wykonywaniu rozkazów bez szemrania, ciekawe więc, dlaczego instruktorka wpadła na pomysł zorganizowania czegoś w rodzaju gry wojennej. Zastanawiałam się nad tym już przedtem, a po spotkaniu z pewnym zbiegłym smokiem moja ciekawość wzrosła. Miałam w zanadrzu mnóstwo pytań, na które ani Talon, ani moi opiekunowie czy mój brat nie udzielą mi odpowiedzi. Dlatego należy poszukać ich gdzie indziej...

Dalej siedziałam sobie w swoim pokoju. Słuchałam muzyki, potem weszłam w internet, na czata, i pogadałam z Lexi. Po prostu zabijałam czas, czekając, aż w całym domu zapanuje idealna cisza. Za piętnaście dwunasta wyłączyłam komputer, na palcach podeszłam do drzwi i uchyliłam je ostrożnie. Ciemno i cisza jak makiem zasiał. Liam i Sarah na pewno już śpią, w szparze pod drzwiami Dantego nie widać jasnej smugi, czyli światło u niego też zgaszone. Śpi już? Oby! Bo tylko kiedy przebywa w stanie nieświadomości, wyłączony jest ten jego braterski radar skutecznie wyłapujący wszystkie moje nastroje.

Po schodach zeszłam cichusieńko, pamiętając, by ominąć trzeci, trzeszczący stopień. Równie cicho przemknęłam przez kuchnię i zeszłam do suterenu. Na

drzwi do tajnego tunelu, starannie zamknięte, spojrzałam tylko przelotnie, bo teraz interesowało mnie coś innego. Przecież to właśnie tutaj, za którąś z tych cementowych ścian, jest ukryty pokój pełen tajemnic i poufnych informacji o Talonie, o moich opiekunach... i o mnie.

Przez kilka minut rozglądałam się dookoła, bardzo żałując, że nie mogę poddać się Przemianie. Smok przecież widzi w ciemnościach, człowiek niestety nie i dlatego za nic nie mogłam dostrzec panelu czy drążka, czegokolwiek, co by wskazywało, że tam może być ten pokój. Zaczęłam więc macać ściany, też bez żadnego efektu, natrafiając tylko na pleśń i kilka pajaków. W rezultacie gotowa już byłam poddać się, uznając, że Cobalt musiał się pomylić albo ma jakieś przywidzenia.

I ta moja reakcja bardzo mi się nie spodobała.

Nie pękaj, dziewczyno, tylko pomyśl! – nakazałam sobie w duchu. Jeśli Talon zainstalował tu jakąś klawiaturkę, to na pewno nie na widoku. Lepiej skup się i przypomnij sobie, co pokazywali w tych wszystkich filmach o szpiegach, które oglądałaś przez lata. Pokój ukryty, więc panel także! Może jest w sejfie w ścianie, może pod kontuarem, może za obrazem...

Niestety problem w tym, że nie było tu żadnego sejfu, kontuaru czy obrazu. Tylko gołe ściany.

Ale zaraz, coś tam jednak jest...

Szybko podeszłam do szarej skrzynki elektrycznej i otworzyłam drzwiczki. W środku, jak zwykle, równe szeregi czarnych przełączników i przy każdym nalepka z informacją, z czym dany przełącznik jest połączony.

Nie przy każdym. Bo ten przełącznik, na samym dole, wcale nie jest oznaczony.

Przekręciłam go z nadzieją, że nie robię tego bezpodstawnie i że nie będzie zwarcia, w konsekwencji czego w całym domu wyładzie prąd.

Ciche „klik” i raptem kawałek ściany, tuż obok skrzynki, przesunął się odrobinę w dół, odsłaniając coś, na widok czego uśmiechnęłam się triumfalnie. Bo wreszcie panel! Mały biały panel dotykowy, taki jak w systemach alarmowych w wielu domach. Nad podświetlonym zielonym paskiem rząd przycisków, każdy oznaczony numerem. A na zielonym ekranie wielkimi czarnymi literami informacja: „Zamknięte”.

Moje serce znacznie przyśpieszyło. A więc to prawda! Zero przywidzeń! Cobalt miał rację!

Miejmy nadzieję, że również w sprawie kodu.

Nacisnęłam osiem przycisków i zamarłam. Najpierw usłyszałam syk, a zaraz potem ściana koło pralki poruszyła się i zobaczyłam na żywo to, co widziałam w niejednym filmie o szpiegach. Kawałek tej ściany, spory, bo prawie

wielkości drzwi, przesunął się trochę na bok i wykonał półobrót, zapraszając do środka, do mrocznego pokoju rozjaśnionego nikłym zielonym światłem.

Przez dobrą chwilę nie ruszałam się z miejsca, gapiąc się na te obrotowe drzwi. Gapiłam się jak głupia, póki nie usłyszałam sygnału alarmowego i drzwi zaczęły się przesuwać.

Rusz się, Ember!

Krótki sprint, pochyliłam głowę i już byłam w środku. Dosłownie w ostatniej chwili, kiedy drzwi z tym charakterystycznym sykiem już zamykały się za mną, a przez głowę przemknęła myśl bardzo nieprzyjemna. Co będzie, jeśli znalazłam się w pułapce? Była to jednak myśl stuprocentowo przelotna, ponieważ kiedy spojrzałam na tajemniczy pokój, pułapki natychmiast wywietrzały mi z głowy. Po prostu totalnie mnie przytknęło, bo ten pokój w niczym nie przypominał suterenu ani ukrytego tunelu z nierówną cementową posadzką i przytłumionym światłem. Nie. Ten pokój wyglądał tak, jakby był żywcem wyjęty z jakiegoś filmu, „Star Treka” albo „Agentów NCIS”. Całą przeciwległą ścianę przesłaniał gigantyczny ekran. Tak wielki, że chociaż teraz ciemny, i tak byłam pewna, że kiedy coś się na nim pojawia, niewątpliwie jest to naturalnej wielkości. Podłoga wyłożona była lśniącymi czarnymi płytkami, w których odbijały się migotliwe światła i światełka olbrzymiej konsoli ciągnącej się wzdłuż jednej z pozostałych ścian.

A pod trzecią ścianą...

Zamarłam. Więcej. W żołądku poczułam lód, bo tam, w rogu pokoju, było coś, co wyglądało jak... cela. Tak, bo nie klatka, skoro miało grube ognioodporne ściany, małe zakratowane okienka i bardzo solidne podwójne drzwi, przez które można by wprowadzić tam konia. Albo smoka pisklaka... w postaci smoka oczywiście.

Odczekałam chwilę i ostrożnie zaczęłam przesuwać się w głąb pokoju. Bardzo ostrożnie, trudno przecież było uwierzyć, że coś takiego znajduje się na terenie sympatycznej willowej dzielnicy nieopodal plaży. I nikt o tym nie wie.

Ciekawe, czy wszystko, co mówił Cobalt, okaże się prawdą, pomyślałam.

Spojrzałam na konsolę, na miriady migoczących lampek rozrzuconych po całej jej powierzchni. Był tutaj też drugi, mniejszy ekran, przed nim klawiatura i krzesło. Natychmiast tam podeszłam, zdeterminowana, bo może uda mi się wejść do plików Talonu albo do poczty moich opiekunów, dzięki czemu dowiem się, co oni tak naprawdę robią. A przynajmniej jakie są ich oczekiwania względem mnie i Dantego.

Nagle usłyszałam znane mi już charakterystyczne syknięcie i włos zjeżył mi się na głowie. Bo to znak, że ktoś właśnie wchodzi. Błyskawicznie omiotłam



spojrzeniem cały pokój w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Niestety, jedynym sensownym miejscem była owa makabryczna cela w rogu. Drzwi do niej na szczęście były otwarte. Jeden sus, oczywiście jak najcichszy, i już byłam w środku, w kompletnych ciemnościach. Tylko u góry przez zakratowane okienka wpadało trochę światła. I w tej celi było okropnie. Gdyby mnie tu zamknięto, pewnie szybko bym oszalała. Drapałabym te ściany i drapała, zdzierając szpony do krwi, by za wszelką cenę stąd się wydostać. Koszmar!

Drzwi zostawiłam uchylone. Przez wąską szparę widziałam, jak przez pokój przechodzą Sarah i Liam, znikają mi z oczu i zaraz potem coś cicho zatrzeszczało. Niewątpliwie krzesło, kiedy ktoś na nim usiadł. Potem słychać było postukiwanie klawiszy w klawiaturze, także kliknięcia. W okienkach w górze pojaśniało, czyli niewątpliwie ożył ten gigantyczny ekran.

Potem usłyszałam męski głos, niski, surowy, ton identyczny jak u mojej sadystycznej instruktorki, więc nic dziwnego, że drgnęłam nerwowo. A ten ktoś powiedział:

– Składajcie raport. Jak sprawują się Ember i Dante Hillowie?

Zamarłam sparaliżowana dławiącym strachem. Oczywiście ekranu nie widziałam. Mogłam go zobaczyć tylko wtedy, gdyby udało mi się jakimś cudem dostać do zakratowanego okienka w górze. Co było niemożliwe, a poza tym ryzyko, że ktoś usłyszy, ogromne.

Ekranu więc nie widziałam, byłam jednak pewna, że pojawił się na nim smok, prawdopodobnie któryś z wyższych rangą urzędników Talonu. Na pewno, chociaż ja takich urzędników nigdy w życiu nie widziałam. Smoki, które kierowały organizacją, były praktycznie nieuchwytnie, nikt nie wiedział, gdzie w danej chwili przebywają. Chodziło oczywiście o względy bezpieczeństwa, o to, żeby nie namierzyli ich żołnierze Świętego Jerzego.

Dziwne jednak, że ktoś tak wysoko postawiony pyta o mnie i o Dantego. Bardzo dziwne...

A jaka będzie odpowiedź? Przyłożyłam ucho do ściany i cała zamieniłam się w słuch.

– Dante dobrze się przystosował – odparł Liam głosem idealnie beznamietnym. – Bez problemu nawiązuje kontakty z ludźmi i czuje się swobodnie w kręgu znanych mu osób. Przestrzega wszystkich reguł i spełnia nasze oczekiwania. Nie przewiduję żadnych problemów z jego asymilacją.

– Dobrze – odparł niski głos też beznamietnie, bez żadnych oznak zadowolenia. – Tego zresztą się spodziewaliśmy. A jak wygląda sytuacja z Ember Hill, z tego samego łęgu co on?

Głos Liama już nie był tak idealnie obojętny:

– Ember sprawia nieco kłopotu. Owszem, łatwo nawiązuje znajomości,

dobrze się dostosowuje, ale...

– Ale jest lekkomyślna – wtrąciła Sarah takim tonem, jakby nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zabierze głos. – Niby przestrzega reguł, a jednocześnie bardzo ją pociągają niebezpieczne i ryzykowne zajęcia. Jest samowolna, ciągle dyskutuje z instruktorką. Moim zdaniem tylko ze względu na Dantego nie zdecydowała się jeszcze na coś drastycznego. Dantemu udaje się utrzymać ją w ryzach, obawiam się jednak, że w którymś momencie przestanie nad nią panować.

Głos z ekranu przez chwilę nie odzywał się, niewątpliwie ten ktoś zastanawiał się nad tym, co usłyszał. A ja w tym czasie zagryzłam wargi prawie do krwi, starając się uspokoić rozszalałe serce. Nie bez powodu, bo i jakże miało bić spokojnie i miarowo, kiedy właśnie zapada decyzja o tym, co stanie się ze mną. Czy odwołają mnie do Talonu na dodatkowe szkolenie. Samą, bez Dantego, a to byłby koszmarny. Na samą myśl o tym aż mnie skręcało. Skonałabym tam i z samotności, i z nudów.

– Czy naruszyła jakieś reguły? – spytał w końcu głos z ekranu, a mnie znowu skręciło. Bo jeśli Dante wygadał się o tym lataniu z Cobaltem, to ze mną koniec.

– Nie – powiedział Liam, a ja odetchnęłam. – W każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Ale ona jest czymś w rodzaju tykającej bomby zegarowej...

– W takim razie trzeba ją bacznie obserwować – przerwał mu głos z ekranu. – Ember Hill może stanowić zagrożenie dla organizacji, ale może też po prostu zachowywać się właśnie tak, bo obecnie zyskała pewną swobodę, do której nie była przyzwyczajona. W przypadku pisklaków często to się zdarza. Więc lepiej, żeby teraz się wyładowała, bo dzięki temu łatwiej się skoncentruje podczas dalszych szkoleń. Nie widzę żadnego istotnego powodu, by ją odwoływać, tym bardziej że jak sami przyznaliście, nie naruszyła żadnej reguły.

Czyli szok, bo to, co powiedział głos z ekranu, było rozsądne.

Zaskakująco rozsądne. Może więc ten Talon nie jest taki zły, jak twierdzi Cobalt? – przemknęło mi przez głowę.

– A co z tym zbiegiem? – spytała Sarah, a mnie znów zmroziło. – Przecież w każdej chwili może się tu gdzieś pojawić, a jeśli Ember albo Dante natkną się na niego...

– O to się nie martwcie, bo jak tylko się pojawi, od razu nim się zajmiemy. Kiedy tylko dostaliśmy informację, że został namierzony w tym mieście, wysłaliśmy naszych agentów. Wiemy, że teraz go w mieście nie ma. Prawdopodobnie już nie wróci, gdybyście jednak go gdzieś zobaczyli, wy albo

któreś z waszych podopiecznych, macie natychmiast nas o tym poinformować, czy to jasne?

Liam i Sarah naturalnie zaczęli mamrotać, że oczywiście, że jasne, że natychmiast informują, a mnie po raz kolejny zmroziło. Mówili przecież o smoku zbiegu, a więc...

Dante! – krzyczałam bezgłośnie. To ty, prawda? Ty powiedziałeś im o Cobalcie! Dlatego uciekł z miasta, a nasi instruktorzy pojawili się tu o wiele wcześniej!

– Porozmawiamy z instruktorką i wspólnie zastanowimy się, w jaki sposób Ember może produktywnie spożytkować nadmiar swej energii – ciągnął głos z ekranu. – Czy macie jeszcze jakieś problemy wymagające jak najszybszego rozwiązania?

– Nie.

– Bardzo dobrze. Jesteście wolni.

Koniec rozmowy. Oczami wyobraźni widziałam, jak smok na ekranie wykonuje łapą pożegnalny gest, ekran migocze i znów robi się czarny. Liam i Sarah wstali z krzeseł i ruszyli do drzwi. Na szczęście żadne z nich nawet nie zerknęło na celę w kącie. Przez szparę w drzwiach widziałam, jak naciskają przycisk uruchamiający ukryte drzwi i wychodzą. Drzwi zamknęły się. Oczekałam jeszcze dobrych dziesięć minut, dopiero wtedy wysunęłam się z kryjówki, wyruszając w drogę powrotną do mego pokoju. Na szczęście dotarłam tam bez przeszkód, nikt nie stanął na mej drodze, ani wścibski brat, ani nieufni opiekunowie. Nikt też nie czekał na mnie w pokoju zaniepokojony moją nieobecnością.

Przynajmniej to... Opałam na łóżko, a głowa aż pękała od kłębiących się myśli. O tym, co usłyszałam o Talonie, o naszych opiekunach i instruktorach. I o zbiegu.

O Cobalcie.

Zadrzałam, a potem w duchu zwróciłam się do niego:

W porządku, Cobalcie. Miałaś rację, twierdząc, że Talon o wielu rzeczach nas nie informuje. Teraz jestem cała sprężona. Mam nadzieję, że będę jeszcze miała okazję pogadać z tobą.

## GARRET

– Czyli macie już potencjalny cel.

Porucznik Gabriel Martin oparł głowę na rękę i zamyślił się. Porucznik na ekranie laptopa ustawionego na kontuarze oddzielającym od pokoju naszą mikroskopijną kuchnię. Tristan i ja jak co tydzień zdawaliśmy rutynowy raport, dzięki czemu kwatera główna informowana była na bieżąco o postępach naszej misji. Raport składany tego dnia różnił się jednak od poprzednich, ponieważ po raz pierwszy podaliśmy konkretne nazwisko.

– Ember Hill – powtórzył z wolna porucznik, marszcząc czoło. – Nasz wywiad jeszcze raz ją sprawdzi, a także ludzi, z którymi mieszka. Może znajdą jakieś rozbieżności. Mówiliście, że ma brata?

– Teoretycznie tak – odparł Tristan. – Ale wcale tak być nie musi. Równie dobrze mogli te dwa pisklaki chować razem i teraz je tu przysłali. Dla zmyłki, wiedzą przecież, że szukamy pojedynczego celu.

– Całkiem możliwe – przyznał Martin. – Byliście już u nich w domu? Mieliście okazję porozmawiać z którymś z ich opiekunów?

– Nie, panie poruczniku, ale Garretowi udało się zbliżyć do tej dziewczyny i jutro ma się z nią spotkać.

– Świetnie! – Martin pokiwał głową i zwrócił się teraz do mnie. – A co wy myślicie o tej dziewczynie, żołnierzu?

Moja twarz naturalnie była całkowicie pozbawiona wyrazu, a głos beznamiętny.

– Nie zauważyłem jeszcze żadnych rozbieżności, panie poruczniku. Jak dotąd, nie mamy żadnych dowodów, nie mam więc jeszcze wyrobionego zdania.

– Dowody dowodami, nie zapominajcie jednak, żołnierzu, że czasami należy kierować się intuicją. A cóż ona ci podpowiada?

– To, że...

Tylko tyle. Bo nagle przed oczami pojawiła się rudowłosa dziewczyna. Ember z roziskrzonym wzrokiem, czyli rozzłoszczona albo czymś bardzo podekscytowana. Ember uśmiechnęła tak zuchwale, co świadczy, że jest to osoba pełna determinacji, która z własnej woli nie wycofa się, nie ustąpi. Przypomniałem sobie też, że ilekroć zdarzyło mi się spojrzeć jej w oczy, zawsze czułem się dziwnie.

A poza tym... Ember niby zawsze zachowywała się normalnie, jak wszyscy, i z pozoru nic nie wskazywało, że nie jest to taka sobie zwyczajna dziewczyna. A jednak moja intuicja, dzięki której tyle razy udało mi się podczas walki pozostać wśród żywych, podpowiadała mi, że wcale tak nie jest. Ember jest

inna niż wszyscy, bo ma w sobie tę żarliwość, tę nadzwyczajną determinację, którą tak często widziałem w istotach, z którymi przyszło mi walczyć. Mówię o wrogu nadzwyczaj niebezpiecznym i zdeterminowanym, który w dążeniu do pozostania przy życiu wykazywał się żelaznym uporem. I jeszcze coś. Czasami, kiedy spojrzała na mnie tak bardzo przenikliwie, miałem wrażenie, że to spojrzenie nie jest już tak do końca spojrzeniem człowieka. Oczywiście, że to wszystko dla Zakonu nie było jeszcze dowodem przemawiającym za koniecznością wyeliminowania podejrzanego, ale porucznik Martin nie pytał o dowody, ponieważ wiedział doskonale, że żołnierze czasami dokonują wyboru, kierując się wyłącznie intuicją. A moja intuicja zawodziła mnie bardzo rzadko.

– Moim zdaniem ona może być uśpionym szpiegiem.

Tak powiedziałem, a jednocześnie – rzecz dziwna – miałem nadzieję, że się mylę.

Martin z powagą pokiwał głową.

– Zastanowimy się nad tym. Sebastianie, twoim zadaniem jest jak najbardziej zbliżyć się do tej dziewczyny. Spróbować dostać się do jej domu. Bazy Talonu często wyposażone są w specjalne pomieszczenie w podziemiach budynku mieszkalnego, coś w rodzaju smoczey jamy. Tam odbywa się wymiana informacji. Gdyby udało ci się zlokalizować to pomieszczenie, będziesz miał pełne przyzwolenie Zakonu na obserwowanie wszystkich mieszkańców tego domu, oczywiście w sposób jak najbardziej dyskretny.

– Czyli obserwować ten dom? – spytał Tristan.

– Tak, tylko rozsądnie. Tajne służby Talonu są już tak wyszkolone, że nie ujdzie ich uwadze, a już na pewno obcy samochód parkujący w pobliżu. Dlatego w grę wchodzi tylko kamery, i to umieszczone bardzo dyskretnie. Pamiętajcie, że waszym podstawowym zadaniem jest dostać się do środka i sprawdzić, czy nie ma tam komórki wywiadowczej. A my będziemy działać zgodnie z przekazanymi przez was informacjami.

– Wedle rozkazu!

– Wykonaliście już kawał dobrej roboty – dodał jeszcze porucznik, a po jego twarzy przemknął uśmiech. – Tej nocy macie wolne. Odpocznijcie, zasłużyliście na to.

Twarz porucznika znikła z ekranu. Tristan zrobił głośny wydech, zamknął laptopa i poprawił się w krześle, prostując nieprawdopodobnie długie nogi.

– A więc mamy to już za sobą – mruknął. – Cieszę się, że w końcu podaliśmy konkretne nazwisko. Oni tam na pewno już trochę byli wkurzeni, że nie posuwamy się w robocie. Teraz czekamy, aż się ponownie odezwą. No i rzecz jasna koncentrujemy się na tej dziewczynie.

Milczałem, nie wyrażałem zadowolenia i entuzjazmu. Dziwne, bo teoretycznie powinienem poczuć ulgę, jako że wszystko wróciło na właściwe tory. Wiedzieliśmy dokładnie, co mamy robić, co dla mnie było bardzo istotne. Nie jedna wielka niewiadoma, tylko dokładny plan działania, konkretne rozkazy do wykonania, określony cel. I tak wreszcie było. Rozkazy wydane. Cel namierzony, a teraz należy się upewnić, czy istotnie jest uśpionym szpiegiem. Jeśli tak – zabić go. Zwyczajne rozkazy, jak podczas każdej misji, i na ich wykonaniu powinienem się skoncentrować. Co niestety wcale nie było takie proste. Cały czas myślałem o Ember, co oczywiście było jak najbardziej na miejscu, skoro była naszym celem, do którego mam się zbliżyć i poznać jego tajemnice. Z Ember miałem spotkać się już za kilka godzin, i tu właśnie pojawiał się problem. Bo z jednej strony bardzo chciałem się z nią zobaczyć, szczerze mówiąc, to nie mogłem się tego spotkania doczekać. Ale jednocześnie wcale się do tego nie paliłem. Bo to wszystko oparte przecież było na kłamstwie.

Nie chciałem, żeby to ona, właśnie ona, okazała się uśpionym szpiegiem.

Czułem się rozdarty. W rezultacie bez słowa chwyciłem lornetkę i ruszyłem do drzwi, czując do siebie po prostu obrzydzenie, bo na tego rodzaju rozdarcie nie mogłem sobie pozwolić. Żadnych prywatnych odczuć. Dostałem rozkazy, mam je wykonać. Jak zawsze. Nigdy dotąd nie zawałem żadnej misji. Tym razem też nie zawiodę.

– Ej, Garret! Co masz zamiar teraz robić? – zawołał za mną Tristan.

Przystanąłem w progu, podnosząc wysoko lornetkę.

– Jak to co? To co zawsze zaczynamy wieczorem i kontynuujemy w nocy! A dlaczego pytasz?

Tristan spojrzał na mnie z politowaniem.

– Głuchy jesteś? Nie słyszałeś, co powiedział porucznik? Tej nocy odpuścimy sobie. Mamy wolne! Dlatego odłóż tę cholerną lornetkę, bo jak nie, to ja to zrobię i przy okazji ci nią przyłożę. Garret, czy do ciebie nie dociera, że jesteśmy w Kalifornii?! Tak, w Kalifornii, a Kalifornia to plaże, siatkówka, bikini i kluby nocne! I wcale nie musi być tak, że wypełniamy naszą misję przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet wzorowy żołnierz potrzebuje czasami odmiany, a my dostaliśmy taki rozkaz, i to z kwatery głównej! Mamy się zrelaksować i na jedną noc zapomnieć o naszej misji.

Zapomnieć o misji...

Zapomnieć o Zakonie, o walce, o naszym zadaniu.

Nigdy dotąd jakoś o tym nie zapomniałem. Zakon był całym moim życiem. Zawsze starałem się wykazać, chciałem być najlepszy, nieugięty. Pragnąłem

zostać wzorowym żołnierzem. Tego zresztą wszyscy ode mnie oczekiwali.

Ale tego dnia, kiedy po południu surfowałem razem ze śliczną rudowłosą dziewczyną, i Zakon, i wojna ze smokami kompletnie wyleciały mi z głowy. Nic dziwnego, skoro w chwili, gdy moja deska wjechała na fale, po raz pierwszy w życiu przeżywałem takie uniesienie, taką radość. Czas wolny spędzałem zawsze w ten sam sposób. Ostry trening w celu szlifowania umiejętności, dzięki którym nadal żyłem. Inni żołnierze, także Tristan, owszem, relaksowali się. Chodzili do barów i nocnych klubów, a ja ten czas zwykle spędzałem na siłowni czy na strzelnicy albo na pogłębianiu wiedzy o taktykach stosowanych podczas różnych misji. Innym zajęciom oddawałem się sporadycznie. Czytałem, czasami oglądałem filmy akcji albo grałem w rzutki, zresztą całkiem nieźle, bo zwykle na dziesięć rzutów co najmniej dziewięć miałem trafionych. Ale i tak moje życie głównie składało się z walki i treningów. Poza tym działo się w nim bardzo niewiele, właściwie nic, i dlatego teraz, po tym radosnym przeżyciu, raptem pojawiło się pytanie: Czy w moim życiu czegoś jednak nie brak?

Tristan zawsze mnie namawiał, żebym poszedł z nim do baru, klubu czy na jakąś imprezkę. A ja z reguły odmawiałem, bo wydawało mi się to bez sensu. Teraz jednak pomyślałem, że może szukanie nowych doznań wcale nie jest takie bezsensowne.

– Zrobisz, jak chcesz – powiedział Tristan, zgarniając ze stołu kluczyki. – Chcesz zostać, to zostań i bądź sobie dalej tym wzorowym żołnierzem. Ja w każdym razie wychodzę i przypuszczalnie wrócę dopiero bladym świtem, najprawdopodobniej skonany, a więc...

– Tristan, zaczekaj!

Zatrzymał się i spojrzał na mnie, udając, że nie dowierza własnym oczom. Uszom też, przecież słyszał, jak rzucam na stół lornetkę.

– A więc dokąd idziemy? – spytałem. – Brać ze sobą jakiś dokument tożsamości? Nie muszę chyba dodawać, że mam tylko fałszywe?

Tristan, nadal błaznując, zademonstrował bardzo wyraziście, jak opada mu szczeka. Ze zdumienia oczywiście.

– Zaraz, zaraz, coś tu nie gra... Kto ty jesteś, koleś? Gdzie mój partner? Co z nim zrobiłeś?

A ja krótko i niecierpliwie:

– Zamknij się! Idziemy czy nie?

– Ależ oczywiście! – Tristan, uśmiechając się szeroko, wykonał ręką bardzo szeroki gest i dalej błyszczał dowcipem: – Bardzo proszę, pan pierwszy, drogi partnerze! Cieszę się bardzo, że zmieniłeś zdanie. Dlaczego? A w to już nie będę wnikał. Najważniejsze, że zdecydowałaś się na ten skok!

A nie wnikaj, nie wnikaj, pomyślałem, przekraczając próg. I tak nie puszcze pary z ust, że na ten skok zdecydowałem się między innymi po to, by odreagować pewne rozterki spowodowane przez pewną osobę...



## EMBER

– Halo, halo! Tu Ziemia, tu Ziemia! Do Ember! Nadal jesteś z nami?

Potrząsnęłam głową i oderwałam oczy od szklanej gabloty, w której skrzyły się diamenty, szafiry, rubiny i szmaragdy. Spojrzałam na kumpelkę, kumpelka westchnęła demonstracyjnie, co świadczyło, że już od jakiegoś czasu stara się zwrócić moją uwagę. Potem spojrzałam na elegancką ekspedientkę za ladą, która uśmiechnęła się, owszem, bardzo uprzejmie, wyczuwała jednak doskonale, że chociaż oglądam, to niczego nie kupię, dlatego podeszła do pana oglądającego pierścionki zaręczynowe. A my, czyli Lexi i ja, poszłyśmy dalej.

– Wybacz – mruknęłam do kumpelki, z pewnością przekonanej, że urzekła mnie drogocenna biżuteria. Ale to wcale nie tak, bo ja właściwie bez przerwy myślałam o tamtym ukrytym pokoju, który na pewno ma jeszcze wiele tajemnic. Tego dnia, zdając sobie oczywiście sprawę, jak bardzo ryzykuję, po porannym szkoleniu próbowałam znów tam wejść. Jak ta głupia, ale nie mogłam się powstrzymać. Niestety nie weszłam, bo okazało się, że kod został już zmieniony. Albo przez Talon, albo sam się zresetował, automatycznie, bo kiedy wystukałam kod od Cobalta jeszcze raz, panel zabrzączał bardzo groźnie i na wyświetlaczu pojawił się równie groźny napis. Czerwone litery głosiły bowiem:

**OSTRZEŻENIE: KOD NIEPRAWIDŁOWY!**

Oczywiście w sekundę znalazłam się na gorze. Byłam bardzo zawiedziona, bo skoro tak, to ja do tego pokoju nigdy już nie wejdę. Chyba że uda mi się odszukać Cobalta, a on – oby! – zna nowy kod. Tylko z tym odszukaniem smoka zbiega był pewien problem. Szukać – tak. Ale gdzie? No gdzie?

Nie wiadomo, ale teraz nie było najmniejszego sensu zastanawiać się nad tym. Nad Talonem, Cobaltem, Strasznią Damą z Talonu, sadystką, z którą zobaczę się dopiero jutro rano. Teraz powinnam się cieszyć chwilą wolności, którą spędzam z kumpelkami.

– Lexi, a dokąd poszła Kristin?

Lexi wskazała palcem na drugie stoisko z wyrobami jubilerskimi, przy którym urzędowała Kristin, podziwiając nową bransoletkę. A chłopak Kristin właśnie wsuwał do portfela kartę bankową. Świeża zdobycz, nie pamiętałam nawet jego imienia. Jimmy albo Jason. Nie, chyba Joe. Może Bob, w każdym razie biedny chłopak, bo prawdę mówiąc, nikt z naszej paczki nawet nie próbował zapamiętać jego imienia. Bo i po co, skoro Kristin zmieniała chłopaków jak rękawiczki.

– Wy obie macie hopla na punkcie tego, co się świeci. Z tym że ty,

w przeciwieństwie do Kristin, nie każesz chłopakom kupować sobie pierścionków – mamrotała Lexi, kiedy docierałyśmy do Kristin, chwilowo samej, bo chłopaka – Joego albo Boba – wysłała do Starbucksa po latte.

Kristin uśmiechnęła się.

– To nie moja wina, że oni wszyscy chcą mi kupić coś na urodziny. To przecież prezent! – oświadczyła, demonstrując bransoletkę, śliczną, bo tak rozmigotaną, jakby zrobiono ją z tysiąca malutkich gwiazdeczek. – I wiesz co, Ember? Ty absolutnie nie wykorzystujesz swoich możliwości, a przecież zmuszenie faceta, by kupił ci coś, co wpadło ci w oko, wcale nie jest takie trudne. Musisz tylko spojrzeć na niego odpowiednio, tak prosząco i obiecująco, żeby był pewien, że potem czeka go nagroda, rozumiesz? To świetna metoda. Żaden ci nie odmówi.

Jednak ta metoda jakoś nie przypadła mi do gustu.

– Może i tak... – mruknęłam, marszcząc nos. – Ale ja nie potrafię być taka dwulicowa.

– Och! Każdy robi po swojemu!

Kristin wzruszyła lekko ramionami i cała w uśmiechach odwróciła się do nadciągającego Joe-Boba z wielką latte z górą piany udekorowaną karmelem. Uśmiechając się głupawo, podał kawę Kristin, która wymruczała słodko słowa podziękowania, rzucając mu powłóczyście spojrzenie, a potem bardzo ostrożnie i powolutku wypila pierwszy łyżeczek. A ja spojrzałam w bok, bo już nie mogłam dłużej patrzeć na te jej wygłupy.

– Dokąd teraz? – spytała Lexi różnym głosem. – Na lunch? Czy ktoś jest głodny? Oczywiście Ember o to nie pytam!

– Czyli co? Sugerujesz, że jem za dwóch?! – zawołałam, udając wielce oburzoną. – Dobrze, niech ci będzie! Ale skoro tak, to mój głos powinien liczyć się podwójnie. A więc... Dwa głosy za lunchem!

– Ale ja jeszcze nie skończyłam z zakupami! – zaprotestowała Kristin z bardzo efektownie nadąsaną miną, wpatrując się przy tym oczywiście w Joe-Boba. – Muszę kupić jakiś top, który włożę na tę imprezę. Zajrzymy jeszcze do jednego sklepu i potem pójdziemy coś zjeść.

Jęknęłam. Przecież wiadomo, że w przypadku Kristin „jeszcze jeden sklep” oznacza co najmniej godzinną wędrówkę od sklepu do sklepu. Gdybym nie była taka głodna, nie miałabym nic przeciwko temu, ale w żołądku miałam pustkę, a wiadomo, że smok głodny to smok bardzo niecierpliwy. W brzuchu burczało żenująco głośno, w związku z czym, zakrywając ręką biedny, zgłodniały żołądek, wystąpiłam z ostatecznym ultimatum:

– Kristin, jeśli przez następną godzinę zmuszona będę przyglądać się, jak przymierzasz setki topów, skończy się to na tym, że zjem twego chłopaka.

Calutkiego, przy użyciu noża i widelca! Przysięgam! – W tym momencie Joe-Bob spojrział na mnie trochę dziwnie, ale miałam to w nosie. – Jest pora lunchu, jestem głodna, a głód należy zaspokoić!

– W takim razie widzę tylko jedno rozwiązanie! – odezwał się nagle gdzieś z tyłu miły dźwięczny głos. – Idziesz na lunch ze mną, Ember. Zapraszam!

Głos znajomy i moje serce natychmiast zabiło szybciej. Przecież to Garret! Oczywiście! Ubrany w dżinsy i białą koszulę, jasne włosy w sztucznym świetle przybrały metaliczny połysk. Stał dosłownie o dwa kroki dalej i uśmiechał się. Mnie, niestety, na moment przytknęło, więc przeniósł swoje stalowoszare spojrzenie na Lexi, potem na Kristin, które oczywiście jak na komendę wybałuszały oczy.

– Nie macie nic przeciwko temu, że porwę Ember na jakiś czas? Dzięki temu nie zdąży nikogo skonsumować!

Kristin, wyraźnie pod wrażeniem, nie odzywała się, natomiast Lexi, jak to Lexi, zawsze miała coś do powiedzenia:

– Cześć, Garret! Jasne, idźcie, dokąd chcecie, i nie musicie się z niczym śpieszyć... – Tu idiotyczne mrugnięcie okiem w moją stronę. Ja oczywiście spiorunowałam ją wzrokiem, a ona mówiła dalej i tak samo beznadziejnie: – Będziemy kręcić się tu w pobliżu. Jak będziecie już... gotowi, wyślij mi SMS-a, albo... Ach, zrobisz, jak chcesz!

Poszli. Lexi prawie ciągnęła za sobą Kristin, Joe-Bob maszerował z tyłu z miną szczeniaka, który się zgubił. Kiedy znikli w tłumie, spojrzałam na Garreta, a on po raz kolejny uśmiechnął się do mnie. Po swojemu, czyli powalająco.

– Wygląda na to, że wreszcie jesteśmy sami!

Kiedy tylko znaleźliśmy się w części restauracyjnej – jak zwykle przypominającej wariatkowo – z lubością wciągnęłam w płuca całą gamę urzekających zapachów. Hamburgery, krokiety, pizza, gofry, słodkie bułeczki z cynamonem... A na koniec jeszcze jeden, wyjątkowo oszałamiający:

Kurczak Generała Tso!

Prawdziwa rozkosz! Mogłabym jeść codziennie, do końca życia, i odchodziłabym z tego świata przeszczęśliwa!

Wszędzie dziki i bardzo głośny tłum, czym Garret był chyba trochę speszony. Niemniej jednak zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Kupił dla nas lunch w Panda Garden i postanowił nauczyć mnie jeść pałeczkami. Po kilku nieudanych próbach jednak zrezygnował, kiedy to kawałek generalskiego kurczaka wyślizgnął mi się z pałeczek i omal nie wylądował na jego głowie. Garret zrobił wtedy rewelacyjny unik, po czym łaskawie pozwolił

mi sięgnąć po plastikowy widelec.

Całe szczęście. Bo smoki nie jedzą głupimi patykami.

– Jak długo już tu jesteś?

Zadał to pytanie dopiero wtedy, gdy mój talerz był już prawie pusty, czyli domyślił się, że z rozmową lepiej poczekać, aż zaspokoję głód. Spytał, a ja zanim udzieliłam odpowiedzi, wypłam jeszcze parę łyków Mountain Dew.

– Niedługo. Przyjechaliśmy tu na początku lata.

– A gdzie przedtem mieszkałaś?

– W Dakocie Południowej – przekazałam, nabijając na widelec kawałek marchewki. – U dziadków. Nasi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Prawie ich nie pamiętam. Dante i ja byliśmy jeszcze bardzo mali. I wtedy dziadkowie wzięli nas do siebie.

– A dlaczego przeprowadziliście się tutaj?

Chwileczkę! A dlaczego on tak pyta i pyta? Natychmiast zrobiłam się bardzo czujna. Nasi instruktorzy w kółko powtarzali, że jeśli ktoś raptem zacznie zadawać nam dużo pytań, zwłaszcza pytań o rodzinę, w ogóle o życie osobiste, to już jest to dzwonek alarmowy. Owszem, może być to zwyczajna ciekawość, ale może być też coś bardzo niebezpiecznego. Wiele pisklaków zostało zamordowanych przez Zakon dlatego, że powiedziało za dużo albo nie to, co trzeba.

Garret?! Czyżby on był...

To oczywiste, że w takiej sytuacji zaświtała mi taka myśl.

Powoli podniosłam głowę znad talerza. Garret, usadowiony naprzeciwko, patrzył na mnie. Tak. Wyraźnie mi się przyglądał. Jakiś taki zadumany, a wyraz stalowoszarych oczu spowodował, że moje serce aż podskoczyło.

Nie, to niemożliwe! – uznałam w duchu. Jeszcze nie zwariowałam. Taki młody chłopak nie może być bezlitosnym mordercą!

A odpowiedź miałam już gotową:

– Ponieważ dziadek Bill zachorował. Ma raka płuc i dziadkowie nie mogą już nami się opiekować – recytowałam bez zająknięcia. – Dlatego Dante i ja przeprowadziliśmy się do wujostwa, ciotki Sarah i wuja Liama. Będziemy tu, dopóki dziadek nie wyzdrowieje. Nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo chcę, by dziadek powrócił do zdrowia, ale jednocześnie wcale nie ukrywam, że tu, w Crescent Beach, bardzo mi się podoba. Bo tam, w Dakocie Południowej, nie ma żadnego oceanu. Tam w ogóle prawie niczego nie ma, a ja w głębi serca chyba zawsze byłam dziewczyną z Kalifornii, i jeśli znów znajdę się tam, gdzie nie ma oceanu, z tej tęsknoty wyschnę na wiórek. Uleczę gdzieś z wiatrem i koniec, już mnie nie ma! – zakończyłam dramatycznie, celując widelcem w Garreta. – Teraz twoja kolej. Jesteś z Chicago, tak? Tęsknisz za swoim

miastem?

– Za Chicago? Raczej nie. Szczerze mówiąc, to jest mi wszystko jedno, gdzie aktualnie przebywam.

– Ale na pewno zostawiłeś tam znajomych, przyjaciół, prawda? Nie brakuje ci ich?

– Bo ja wiem...

Nie po raz pierwszy miałam przed sobą Garreta speszzonego. Jakby ta rozmowa nie szła w kierunku, w jakim sobie życzył, dlatego zrezygnowałam z dalszych pytań. Zamilkłam, Garret też się nie odzywał, wpatrując się w swoje dłonie, i wtedy zauważyłam zdecydowaną zmianę w wyrazie jego twarzy. Teraz była to twarz kamienna, a w oczach lód, czyli znów coś dziwnego, a przecież nie chciałam go urazić. Lecz wyglądało na to, że tak się stało. W rezultacie zrobiło mi się przykro. Odczekałam chwilę, Garret dalej się nie odzywał, zabrałam się więc za to, co zostało jeszcze na moim talerzu. Przez chwilę dziobałam widelcem bez entuzjazmu, a kiedy wreszcie podniosłam głowę, nagle coś spostrzegłam. Coś, co sprawiło, że rzuciłam widelec i poderwałam się z krzesła.

– Poczekaj tu, Garret! Zaraz wracam!

Zgodnie z zapowiedzią po kilku minutach byłam już z powrotem. Razem z dwoma talerzykami, a na każdym z nich mięciutka, pachnąca bułeczka.

– Co to jest, Ember?

– Jak to co? Bułka z cynamonem! Pychota!

Usiadłam i natychmiast zatopiłam zęby w swojej bułce. Rozkosz! Cieplusiańka, słodziutka i rozpływa się w ustach.

– Spróbuj, Garret! Specjalnie wybrałam dla nas bułki z karmelem i prażonymi orzechami pekan, bo są wyjątkowo słodkie. Na pewno będzie ci smakować.

Garret ostrożnie nadgryzł bułkę, przełknął i... I niestety porażka, bo nagle zrobił wielkie oczy, a zaraz potem skrzywił się, jakby przełknął całą cytrynę. Zakaszłał dwukrotnie i skwapliwie sięgnął po butelkę wody sodowej. Wypił bardzo duży łyk, po czym usiadł inaczej, to znaczy wbił się plecami w oparcie, jakby chciał być jak najdalej od stołu.

Czyżby także od pysznych bułeczek?!

– Troszkę za słodkie? – spytałam głosem cichym i niewinnym, oczywiście tam w środku pękając ze śmiechu. Bo ta jego mina! Biedaczek po prostu był w szoku. – Garret, jeśli ze skonsumowaniem tej bułeczki masz jakies trudności, to problemu nie ma. Pomogę ci.

A on na to głosem takim trochę zgrzytliwym:

– Bardzo proszę, nie krępuj się. Bo ja już po tym jednym kawałku mam

wrażenie, jakby przytknęło mi wszystkie żyły.

I znowu popił wody.

Chichocząc jak głupia histeryczka, skończyłam swoją bułkę, a potem bezceremonialnie przysunęłam do siebie talerzyk Garreta, który owszem, uśmiechnął się, ale jednak był trochę wkurzony. Trudno. On wkurzony, a ja z rozkoszą unieściewałam bułeczkę, która niewątpliwie jawiła mu się jako słodka bułeczka zagłady, która niesie śmierć i zniszczenie. Coś w rodzaju koszmaru dla cukrzyków.

– A wiesz, Garret, wielka szkoda, że tak rzadko się uśmiechasz! Bo z uśmiechem naprawdę ci do twarzy.

– Przecież uśmiecham się! – odparł, przechylając, jak to on, czyli uroczo, głowę.

– Zgadza się. Ale stanowczo zbyt rzadko. Najczęściej masz taką minę, jakbyś zastanawiał się, z której strony zasadził się na ciebie snajper. Tak to przynajmniej wygląda. Jakbyś miał urojenia...

Zaśmiał się, a potem nagle powiedział śmiertelnie poważnie:

– Urojenia? Przecież nigdy nie masz pewności, czy za którymś krzakiem nie czai się facet z karabinem.

Co?! Spojrzałam i... i odetchnęłam, bo oczy mu się śmiały. Żartował, więc odwdzięczyłam mu się, rzucając w niego zbitą w kulkę serwetką. Którą on oczywiście złapał, a ja jeszcze tylko mruknęłam pod nosem, niby cicho, choć oczywiście tak, żeby dosłyszał:

– Ale coś w tym musi być... Musi...

Dokończyłam bułeczkę, wytarłam ręce w serwetkę i wszystko, co trzeba, wyrzuciłam do pojemnika na odpadki.

– No, doładowałam się i cukrem, i konserwantami. Teraz mam wielką ochotę sobie postrzelać i upolować kilku zombie. Idziemy?

## GARRET

Byłem już co prawda na etapie przyzwyczajania się do nierzadko zaskakujących odzywek Ember, ale to, co powiedziała teraz, trochę mną wstrząsnęło.

Postrzelać?! O co chodzi?

Byłem pewien, że się przesłyszałem. Oczywiście, bo wcale nie byłem w formie. Tego ranka obudziłem się z okropnym bólem głowy. Dosłownie rozsadzało mi czaszkę, poza tym miałem wrażenie, jakbym w gardle miał kłęb bawełny nasączony rzygami. Pierwszy regularny kac w moim życiu. Masakra! Z tego, co działo się wieczorem, pamiętałem niewiele, na pewno jednak główną rolę odgrywał w tym Tristan, a także bar karaoke i alkohol. Morze alkoholu. Więcej – ocean, i w rezultacie kiedy rano przywlokłem się do kuchni, Tristan zaczął ryczeć ze śmiechu. W sumie nic dziwnego, wiedziałem przecież, że skrzywiony jestem z bólu – bo ta głowa – a oczy mam czerwone jak u królika. Tristan, dalej rechocząc, łaskawie podsunął mi kubek z kawą, po czym stwierdził, że wreszcie jestem normalnym facetem. Bo wreszcie zobaczył mnie na kacu. Idiota! Byłem jednak zbyt wykończony, by zmusić się do mówienia, dlatego zadowolilem się tylko odpowiednim gestem. Wiadomo – środkowy palec. I zabrałem się za picie kawy.

Na szczęście mój organizm regenerował się wyjątkowo szybko. Tym razem też nie zawiódł i po południu czułem się już na tyle dobrze, że byłem w stanie wytropić dziewczynę, która częściowo ponosiła odpowiedzialność za mój wczorajszy wyskok. Ale niestety, do normalnego stanu jeszcze daleko, skoro byłem prawie pewien, że Ember mówiła coś o strzelaniu do zombie!

Teraz śmiała się i ciągnęła mnie za rękę, żebym wreszcie wstał. Dotykała mnie, co ja, jak zwykle, odczuwałem bardzo intensywnie. Wyjątkowo intensywnie.

– Chodź, Garret! Pójdziemy tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłam, a czuję, że naprawdę warto tam pójść.

Poszliśmy szerokim pasażem, tak zatłoczonym, że szpilki byś nie wetknął. Po lewej i prawej stronie naturalnie sklepy, głównie z ubraniami. Czasami tylko dla odmiany jakiś jubiler albo sklep z komórkami. Kiedy doszliśmy już na sam koniec pasażu, Ember pociągnęła mnie do ciemnego kąta, gdzie było niewielkie wejście oświetlone mnóstwem neonów. Z tego wejścia wydobywała się cała gama najprzeróżniejszych dźwięków. Krzyki, czasami wrzask, szum silnika, poza tym brzęczenie, dzwonienie i gwizdy.

– A co to takiego, Ember?

– Salon gier! Automatycznych, oczywiście. Zawsze mnie korciło, żeby tu

wejść. Ale do galerii przychodzę zwykle z Lexi i Kristin, a one zawsze chcą tylko kupować i kupować. No i muszę łązić z nimi po sklepach, czyli nuda. A tutaj, jak powiedziałam, zawsze chciałam wejść. O, popatrz! – Wskazała palcem czarny automat do gry, ustawiony niedaleko wejścia. – Widzisz? To strzelanka. Kładziesz trupem zombie. Zawsze chciałam w to pograć, ale jak już mówiłam, dziewczyny w ogóle nie są tym zainteresowane. A Dante nigdy jeszcze nie był w tej galerii. I dlatego pomyślałam sobie...

Patrzyła na mnie prosząco, ja jednak potrzebowałam minuty, żeby to wszystko sobie poukładać. Strzelanka... Owszem, trudno żeby ten wyraz wydał mi się obcy. Ale na pewno nie chodzi tu o prawdziwe strzelanie!

– Gra, tak? Tylko gra?

– Jasne! – zawołała, spoglądając roziskrzonym wzrokiem na to wielkie czarne pudło. – No chodź już, Garret! A może boisz się, że przegrasz?

Uśmiechnąłem się. Bo i trudno, żebyśmy się nie uśmiechnęli. Ja miałbym przegrać? W strzelaniu? Ta dziewczyna nie wie, z kim ma do czynienia!

– Dobra. Idziemy.

I już po chwili z pistoletem-zabawką w ręku stałem przed tym czarnym pudłem i gapiłem się w ekran, na którym najpierw pojawił się na wielki napis:

WYSPA GŁODNYCH TRUPÓW

Jednocześnie niski męski głos powiedział to samo, co głosił napis, który zresztą zaraz znikł, a na ekranie ukazało się ciemne, ponure bagno. I wtedy Ember szybko złapała pistolet.

– Gotowy? – spytała, spoglądając na mnie prowokująco w chwili, gdy na ekranie ukazało się jeszcze coś. Zombie.

Wyskoczył zza drzewa i rzucił się do przodu, na ekran. Wtedy Ember, wydając z siebie bojowy okrzyk, kliknęła plastikowym pistoletem i zombie wybuchł, rozpadając się na całkowicie nierealistyczne chmury czerwonej krwi. Znikł, a wyraźnie zachwycona Ember dmuchnęła w lufę pistoletu-zabawki, jakby faktycznie unosił tam się dym.

– Jeden punkt dla mnie – oświadczyła, a na ekranie pojawili się następni zombie. Z rozpostartymi rękami szli prosto na nas i Ember, uśmiechając się szeroko, rzuciła mi wyzwanie: – Garret! Do roboty! Przecież podobno każdy chłopak jest w tym dobry!

Spojrzałem znów w ekran na nadciągającą horde, uniosłem broń i uśmiechnąłem się, bo wyobraziłem sobie, że jestem w zachodniej Syberii, na Błotach Wasjugańskich, tych podobno najbardziej rozległych bagnach na świecie, przed sobą mam młodego smoka żądnego krwi, a ci obok to banda przemytników, z którą on współpracuje.

Mam ich zastrzelić, Ember? – pomyślałem. Już się robi!



Kiedy mieliśmy już za sobą czwartą z kolei grę, Ember, człeczyna drobniutka i mikra, ale potrafiąca spojrzeć bardzo groźnie, oświadczyła:

– Jesteś po prostu kłamcą. Tak! Kłamiesz jak z nut!

A ja, mimo tych błyskawic w zielonych oczach, uśmiechałem się, bo znów w rękę trzymałem pistolet, a miło przecież poczuć pod palcami ten tak dobrze znany mi przedmiot. Nawet jeśli była to tylko zabawka.

– O co chodzi, Ember?

– A o to, że na pewno już kiedyś w to grałeś! Na pewno! – piekliła się, wskazując ekran, na którym znów pojawił się napis DWA. – Powystrzelałeś ich już za pierwszym podejściem! Przecież to prawie niemożliwe. A więc na pewno już w to grałeś. Przyznaj się!

– Nie mam do czego, bo na pewno w to jeszcze nigdy nie grałem – powiedziałem zgodnie z prawdą. Także z nadzieją, że nie spyta, gdzie w takim razie nauczyłem się tak dobrze strzelać...

Gdzie? Uśmiechnąłem się w duchu. W realu, dziewczyno!

Ember nadal patrzyła na mnie z powątpiewaniem, więc zastosowałem metodę wypróbowaną już podczas surfingu. Uniosłem rękę, a potem oznajmiłem głośno i wyraźnie:

– Nigdy, Ember. Przysięgam!

Poskutkowało.

– No dobrze... – mruknęła, a w jej rękę zabłysła któraś już z rzędu ćwierćdolarówka. – Co powiesz na jeszcze jedną rundkę?

I w tym momencie odezwała się moja komórka. Wygrzebałem ją z kieszeni i spojrzałem na ekran. Oczywiście dzwonił Tristan.

– Przepraszam, Ember, ale muszę odebrać. Zaraz wracam.

Odszedłem kawalek dalej, tam gdzie było zdecydowanie ciszej, i wsunąłem się za duży automat kształtem przypominający dźwig.

– Tak, słucham!

– No i jak tam wycieczka do galerii handlowej? – spytał Tristan żartobliwie.  
– Namierzyłeś nasz cel? Chyba tak, bo gdybyś nie miał nic na oku, nie łąziłbyś tam przez bite trzy godziny.

W tym momencie jeden z automatów wydał serię głośnych dźwięków, co oczywiście wychwycił również Tristan.

– Co to było, Garret? Gdzie ty właściwie jesteś?

– A... W salonie gier.

– Gdzie?! O proszę! Ja tu całe popołudnie tropię i wytrzeszczam oczy, a ty grasz sobie na automatach! Oczywiście jesteś z nią? Mam nadzieję, że chociaż jesteście bardzo zajęci, udało ci się coś z niej wyciągnąć.

– Jeszcze nie. Ale pracuję nad tym.

– Powiedzmy... A ja dzwonię, bo chciałem ci powiedzieć, że dowiedziałem się czegoś ciekawego o domu, w którym mieszkają Hillowie. Wyobraź sobie, że poprzedni właściciel nigdy nie wystawiał domu na sprzedaż. Nigdy, a potem raptem pewnego pięknego dnia sprzedał, dostając za niego dwa razy tyle, ile jest wart.

– Czyli komuś bardzo na tym domu zależało.

– Owszem, i dlatego nie żałował kasy. Poza tym druga ciekawostka. Mimo że nowy właściciel wcale nie występował do tamtejszej wspólnoty właścicieli nieruchomości o zgodę na generalny remont, i tak ściągnął do siebie fachowców. Prawie na miesiąc. Z zewnątrz nic nie zmieniali, ale...

– ...w środku przygotowali bazę dla agentów z Talonu – dokończyłem za niego.

– Też tak myślę. Trzeba to sprawdzić. Włamanie oczywiście nie wchodzi w grę, za duże ryzyko. Bo nawet jeśli żadnej bazy tam nie ma, to wiadomość o tym, że ktoś gdzieś węszy, może się roznieść po mieście i uśpieni szpiedzy natychmiast stąd znikną. A jeśli istotnie jest tam baza Talonu, to na pewno mają takie systemy alarmowe, że mysz się nie prześlizgnie. Podsumowując, wszystko w twoich rękach, Garret. Powiedz mi, naprawdę jeszcze nic nie wywęszyłeś?

– Nie...

I wtedy nagle usłyszałem cichy głos:

– Garret...

Ember stała tuż za mną, jakby speszona, z komórką w ręku.

– Garret, przepraszam, ale Kristin i Lexi za chwilę jadą już do domu. Pytają, czy jadę z nimi...

W pierwszej chwili byłem trochę zdezorientowany. Ale tylko w pierwszej.

– W porządku! – rzuciłem do słuchawki. – Cześć! Muszę już kończyć.

Rozłączyłem się i spojrzałem na Ember, w te jej zielone oczy, które patrzyły na mnie wyczekująco.

– Okej, jeśli chcesz wracać z koleżankami, to jedź. Jeśli chcesz zostać dłużej, to też nie ma problemu. Podrzucę cię do domu.

A jeśli odwiozę ją do domu, kto wie, czy nie zaprosi mnie do środka! A poza tym, szczerze mówiąc, wcale mi się nie chciało już stąd wychodzić. Ember też nie, bo uśmiechnęła się i spytała:

– Naprawdę mnie odwieziesz?

– Jasne! Ale po warunkiem, że zagramy jeszcze raz. W to samo!

Jej uśmiech poszerzał, zielone oczy rozbliły.

– Super!

## EMBER

Zagraliśmy jeszcze trzy razy. Bawiłam się świetnie, i to podwójnie, bo automaty to świetna sprawa, do tego cieszyłam się, że mam towarzystwo. Kristin i Lexi nigdy nie dały się namówić na grę na automatach, a Dante centrum handlowe omijał szerokim łukiem. A teraz – proszę. Byłam z Garretem, na pewno tak samo zadowolonym z tej zabawy jak ja. Kiedy znudziło się nam już unicestwianie zombie, zagraliśmy w wyścigi (wygrałam!), potem w jedną z gier walk (byłam trochę lepsza, ale minimalnie), a na koniec zagraliśmy w hokeja stołowego i tu byłam po prostu porażona refleksem i koordynacją oko-ręka mego przeciwnika. Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo, kto pod tym względem mógłby się z nim równać. Oczywiście moja ambicja trochę ucierpiała, okazało się jednak, że Garretowi – w przeciwieństwie do mojego brata bliźniaka – wcale nie zależy na zwycięstwie. Nie. Bo wygrałam ja! Naturalnie tylko dlatego, że mi na to pozwolił.

Potem znów poszliśmy do części restauracyjnej, ponieważ po wyczerpujących zmaganiach z zombie i innych atrakcjach poczułam okropny głód. Zdecydowałam się na pizzę, Garret tylko na wodę sodową. A kiedy pochłaniałam włoski przysmak, zauważyłam, że Garret, popijając swoją wodę, nie spuszcza ze mnie oka. I jest jakiś taki zamyślony.

– Garret, co jest? Wlzło mi coś między zęby? Kawalek pepperoni?

– Nie, nie... – Uśmiechnął się i usiadł wygodniej, opierając się łokciami na stole. – Patrę, bo tak sobie myślę, że dzięki tobie w moim życiu zaszła mała rewolucja. Dziś na przykład powinienem koniecznie coś tam zrobić, a nie zrobić, bo zwabiłaś mnie do galerii handlowej, gram na automatach i kupuję jedzenie w barach. Nigdy dotąd tego nie robiłem. Teraz tak, i to twoja wina. Trzeba przyznać, że potrafisz namieszać!

– Niech ci będzie. Powiedz tylko, czy mieszam pozytywnie, czy negatywnie?

– A tego to jeszcze nie potrafisz powiedzieć.

– Ale jak już będziesz umiał, to powiesz, prawda? Czekam na to z wielką niecierpliwością.

Zjadłam do ostatniego okruszka, a kiedy wycierałam ręce w serwetkę, bezwiednie spojrzałam na jedną z rąk Garreta opartych o stół. Spojrzałam i coś natychmiast przykuło mój wzrok. Jasny błyszczący pasek na śniadej skórze, tuż nad łokciem. Blizna. Jedna tu, a druga koło nadgarstka. Dwie blizny po nietypowej ranie, takie zanikające już rowki. Oprócz tego jeszcze kilka małych, prawie niewidocznych blizn, rozsianych między łokciem a nadgarstkiem. Czyli ta ręka musiała być kiedyś naprawdę mocno

pokieroszowana.

– Garret, skąd to się wzięło? – spytałam, powoli przesuwając palcem po jednej z blizn.

I przytknęło mnie, bo Garret natychmiast zabrał rękę, robiąc taki wyjątkowo szybki dech. Potem zapadła krępująca cisza. Siedzieliśmy sztywno jak dwa kołki, a po chwili ja, znów mimo woli, wyciągnęłam rękę i moje palce delikatnie zamknęły się na pokrytym bliznami nadgarstku. Garret ani drgnął, tylko wbił we mnie ten swój stalowoszary wzrok, ja natomiast, niezrażona, delikatnie pociągnęłam go za rękę, zmuszając, by znów wysunął ją do przodu i położył na stole. Położył i mój palec ostrożnie przesunął się wokół jednej z tych dużych blizn. Czułam, jak mięśnie pod chłodną skórą napinają się, ale sama ręka – niewątpliwie bardzo silna – pozostała nieruchoma.

– Czy to cię boli, Garret?

– Nie. Bolało kiedyś. Porządnie.

Powiedział to zdławionym głosem, jakby wszystko w nim w środku się skurczyło i nie bardzo mógł oddychać.

– Ale jak to się stało?

Teraz ręka leciutko zadrżała. Ale jej nie cofnął.

– Kilka lat temu zaatakował mnie pies sąsiadów. Rottweiler. Podobno miałem szczęście, że nie odgryzł mi palców.

Ostrożnie odwróciłam jego dłoń i od razu zauważyłam jeszcze dwie blizny, obie na przedramieniu. Jedna była tuż nad nadgarstkiem, okropna, zdecydowanie po ranie szarpanej. A więc to pies... Mnie psy nie lubiły. Na pewno wyczuwały, że ze mną coś nie tak, i na mój widok albo uciekały z podkulonym ogonem, albo wycofywały się na bezpieczną odległość i ujadły. Ciekawe, jak by to było, gdyby któremuś rottweilerowi zachciało się jednak rzucić na mnie z zębami. Sierść na pewno miałby nadpaloną, to jasne.

Uniosłam głowę i zauważyłam, że Garret przygląda mi się bardzo uważnie. Wyjątkowo uważnie, poza tym jakoś tak szczególnie, że moje policzki z wrażenia nagle zrobiły się gorące. Serce zabiło zdecydowanie szybciej, a wyobraźnia, nagle rozpalona jak te policzki, zaczęła podsuwać szczególny obraz.

Też patrzę na Garreta, prosto w oczy i bardzo intensywnie. Nachyliłam się nad stołem, on też, ku mnie...

I raptem, jak to często bywa, odezwała się moja komórka, dając znać, że przyszła wiadomość. Garret natychmiast cofnął rękę, wstał i przysunął krzesło do stolika. A ja po raz kolejny pomyślałam, że ten chłopak potrafi poruszać się zdumiewająco szybko. Siedzimy, trzymam go za rękę, czując pod palcami chłodną skórę, i nagle ręka znika, a krzesło przede mną puste.

W mgnieniu oka.

Wyjęłam z kieszeni komórkę. Ktoś do mnie dzwonił, i to kilkakrotnie, ale numery nieznane, czyli na pewno telemarketerzy albo spam. Natomiast wiadomość była od Dantego i już sam ten fakt był niepokojący, bo brat prawie nigdy nie wysyłał SMS-ów.

A to, co napisał – z ortograficznym błędem, co też bardzo znamienne – było po prostu zatrważające:

Gdzie jesteś? Wracaj NATYCHMIAST. Przyjechał T.

– A niech to... – mruknęłam, wsuwając komórkę do kieszeni. Garret patrzył się na mnie, więc szybko go poinformowałam: – Od brata. Jakaś grubsza afera w domu, więc muszę zaraz wracać.

Pokiwał głową.

– Rozumiem. W takim razie jedziemy.

Kiedy zajeżdżaliśmy przed dom, nie zauważyłam żadnych obcych aut, w ogóle niczego, co by wskazywało, że dzieje się coś niepokojącego. Ale i tak, gdy samochód hamował, cała skurczyłam się w środku. Bo i dlaczego ten Talon raptem zdecydował się tu pojawić? Czyżby dowiedzieli się o mnie i Cobalcie? Chcą mnie zabrać i... O nie! Mój żołądek ze strachu zbił się już po prostu w kulkę, lęk na pewno był też w oczach, ale nie mogłam się powstrzymać. Musiałam spojrzeć na Garreta. Oczywiście, bo być może po raz ostatni.

– Dzięki – powiedziałam, starając się zmusić przynajmniej do półuśmiechu.

– Dzięki za lunch, za podwiezienie, w ogóle za wszystko. Może kiedyś będziemy mieli jeszcze okazję pogadać...

– Jakiś problem, Ember? Może chcesz, żebyśmy wszedł tam z tobą, powiedział, gdzie byliśmy, co robiliśmy...

– A...

Mój żołądek był już kulką maciupęnką. W zaniku. Garret miałby razem ze mną wejść do domu? Nigdy! A już na pewno nie dzisiaj! Liam i Sarah bardzo dobitnie dali nam do zrozumienia, że nie życzą sobie, byśmy kogokolwiek sprowadzali do domu. Dlatego ze znajomymi zawsze spotykałam się na plaży, często też przesiadywaliśmy u Kristin, w dużym domu letniskowym jej rodziców stojącym tuż koło plaży. Albo w Smoothie Hut. I tak było w porządku, bo nie zauważyłam, żeby komuś specjalnie zależało, bym zaprosiła go do domu. Lexi i Kristin chyba nawet nigdy nie przejeżdżały tą ulicą, a kumple Dantego, Calvin i Tyler, owszem, czasami przyjeżdżali po niego, zawsze jednak stawali na podjeździe, trąbili i czekali, aż Dante wyjdzie. Nigdy nie wchodzili do środka.

Nikt się więc do tego nie palił, ja jednak, żeby sprawa była jasna, kilkakrotnie napomknęłam o tym, że wuj Liam jest starym ekscentrykiem, pisze książki i musi mieć spokój. Oczywiście o tym, że gdybym przyprowadziła do domu kogoś obcego, wuj Liam by się wściekł, nigdy nie pisnęłam ani słowa.

A dopiero by się działo, gdybym przyprowadziła Garreta właśnie dziś, kiedy przyjechali z Talonu!

– Nie, Garret. Nie ma takiej potrzeby, dam sobie radę sama – powiedziałam z ręką już na kłamce. – Jeszcze raz dzięki za wszystko. I do zobaczenia!

Dziwne, ale był chyba trochę rozczarowany. Czyżby? Do głowy by mi nie przyszło, że jakiś chłopak gotów jest nadstawiać za mnie karku!

– Trudno... – mruknął, ale też i uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że dasz mi jeszcze lekcję surfingu, na przykład jutro, o ile oczywiście znajdziesz czas. Mam też nadzieję, że ani Lexi, ani Calvina z nami nie będzie. Co ty na to?

– Garret...

Nie miałam bladego pojęcia, co powiedzieć. Przede wszystkim nie wiedziałam, czy ci z Talonu zostaną tu do jutra. Czy ja jutro w ogóle tu jeszcze będę, bo całkiem możliwe, że celem niespodziewanej wizyty jest zgarnięcie mnie z powrotem do organizacji, ponieważ jestem nieposłuszna, buntuję się i nie nadaję się do współżycia z ludźmi. I z tych to właśnie powodów nie mogłam Garretowi niczego obiecać, jednocześnie jednak kiedy pomyślałam, że mogłabym spędzić z nim kilka godzin sam na sam, to poczułam, że nie jestem w stanie odmówić. Lubiłam z nim być, bo tak wiele mi się w nim podobało, i to bardzo. Spokój, pewność siebie, subtelne poczucie humoru. I to, że potrafi się tak szczerze cieszyć, jak choćby z surfingu. Bardzo lubiłam z nim rozmawiać, choć często mnie prowokował. A poza tym wcale nie ukrywam, bardzo miło było na niego spojrzeć. Miło? To za mało powiedziane. Wyglądał rewelacyjnie! Nawet moja smoczyca, z natury bardzo krytyczna, temu nie zaprzeczała. Miał więc mnóstwo plusów, chociaż był pewien problem, mianowicie to, że jednocześnie odnosiłam wrażenie, że Garret coś przede mną ukrywa i ten Garret, którego znam, wcale nie jest prawdziwym Garretem. Z drugiej jednak strony tak nie musiało być, znaliśmy się przecież bardzo krótko i mogło się zdarzyć, że po jakimś czasie, gdy poznamy się bliżej, okaże się, że się myliłam.

Poza tym jeszcze coś. Kiedy byłam z nim, działy się ze mną rzeczy dziwne, takie, których mój smoczy instynkt absolutnie nie tolerował, ponieważ nadal nie darzył sympatią tej ludzkiej istoty obdarzonej nieprawdopodobną zręcznością i jasnymi oczami, które potrafiły spoglądać wyjątkowo przenikliwie. Jak drapieżca. Ale smok to tylko część mojej osobowości, a ta

druga część, ludzka, nie mogła się oprzeć urokowi chłopaka, którego być może nigdy więcej już nie zobaczę.

– Dobrze, Garret, spotkajmy się jutro o dwunastej. W tej samej zatoce. Trafisz tam? Czy przypomnieć ci, jak tam dojechać?

– Nie trzeba. Zapamiętałem drogę. A więc jutro się spotykamy!

Tak.

Już jutro!

Jutro znowu spotkam się z Garretem na odludnej plaży i razem będziemy śmigać po falach aż do zmierzchu, a potem możemy pójść na główną plażę i spotkać się z Lexi, Dantem i całą resztą. Jak zwykle. Tak, ten jutrzejszy dzień na pewno będzie podobny do wszystkich. Na pewno i nie wolno dopuszczać do siebie myśli, że może być inaczej...

A on nadal wpatrywał się we mnie szarymi oczami o metalicznym połysku i spojrzeniu tak intensywnym, że wszystko we mnie drżało. Zawsze, więc i teraz, dlatego skwapliwie nacisnęłam na klamkę i wysiadłam z dżipa, rzucając na pożegnanie:

– Cześć! Do jutra!

Kiedy tylko weszłam do holu, ktoś złapał mnie za ramię. Uścisk żelazny, więc krzyknęłam i krzywiąc się z bólu, szybko spojrzałam na tego kogoś, kto omal mi nie zmiażdżył ramienia. A ten ktoś była to moja instruktorka, sądząc po wyrazie oczu maksymalnie wściekła. Patrzyła na mnie tak, jakby miała ochotę odgryźć mi głowę.

– Gdzie ty się podziewasz? – wyszeptła zachrypniętym głosem, potrząsając mną bezlitośnie. – Szukam ciebie już od kilku godzin! Dlaczego nie odbierasz telefonu?

Czyli wszystko jasne. Wiadomo, kto dzwonił. Żadni telemarketerzy, tylko właśnie ona, a numer nieznan, bo nigdy przedtem do mnie nie dzwoniła. Bo i po co, skoro wiadomo było, że spotykamy się każdego ranka.

– Byłam w centrum handlowym – odszepnęłam. – Nie słyszałam komórki.

Straszna Dama z Talonu nie ciągnęła już tematu, tylko pchnęła mnie w stronę drzwi do pokoju dziennego.

– Idź tam – wysyczała, mrużąc te swoje złe zielone oczy. – Pamiętaj, masz się zachowywać jak należy. Pamiętaj, pisklaku, jeśli zrobisz coś nie tak, jutro z tobą się rozprawię. Idź!

Wreszcie puściła mnie. Pomasowałam obolałe ramię, niewątpliwie całe w siniakach, i ruszyłam do wskazanych drzwi. Kiedy tylko przekroczyłam próg, natychmiast wszystkie głowy obróciły się w moją stronę. W sumie sześć. Wuj Liam i ciotka Sarah stali za kontuarem przed aneksem kuchennym

i stamtąd piorunowali mnie wzrokiem. Instruktor Dante go stał pod przeciwległą ścianą, natomiast Dante siedział na kanapie i stamtąd posłał mi spojrzenie mieszane. Były w nim i ulga, i strach.

A poza tym w pokoju były jeszcze dwie osoby, kompletnie mi nieznane. Jedna z nich, mężczyzna o pociągłej twarzy – wyjątkowo wąskiej – wstała z fotela i niby uśmiechnęła się do mnie. Tak, niby, bo uśmiech ten był do takiego stopnia wymuszony, że trudno go było nazwać uśmiechem. Choć można to było zinterpretować inaczej. Owszem, wyuczył się uśmiechu. Studiował zdjęcia rozradowanych ludzi i próbował coś podobnego przywołać na swojej twarzy, ale niestety wiedział tylko z grubsza, o co w tym uśmiechaniu się chodzi. Nie dotarło do niego, że uśmiech ma swoje warianty dostosowane do okoliczności, a uśmiech ten był kompletnie pozbawiony wyrazu. Spojrzenie jasnoniebieskich oczu prawie lodowate, ale to nie dlatego moja smoczyca zasyczała i szarpnęła się, już gotowa do ucieczki. Zareagowała tak, ponieważ ów mężczyzna był to stary smok, tak bardzo już stary, że na jego widok każdy pisklak czuł gwałtowną chęć ucieczki.

Ubrany był w szary garnitur biznesowy, ciemne włosy miał starannie przystrzyżone, podobnie jak kozia bródka.

– Ember Hill!

Głos niski, stanowczy, podobny do głosu, jaki słyszałam podczas mojej wyprawy do ukrytego pokoju. Kto wie, czy ten smok na ekranie to nie był właśnie on!

Kiedy odezwał się, cały pokój zamarł, co wcale jednak nie znaczyło, że dotąd słyhać było szmer rozmów. Przedtem też było cicho, ale teraz wszyscy dodatkowo znieruchomieli, wlepiając w niego oczy. Wszyscy, czyli moja instruktorka, instruktor Dante go, nasi opiekunowie oraz mężczyzna stojący za fotelem, z którego powstał mężczyzna w szarym garniturze. Ten za fotelem, ostatni z całej szóstki, miał na sobie czarny garnitur i był wyjątkowo mocno zbudowany.

– Siadaj – powiedział mężczyzna w garniturze szarym, wskazując kanapę, na której siedział Dante, sztywny i wyprostowany jakby kij połknął. Usiadłam więc, bardzo czujna, rzucając na brata przelotne, wylęknione spojrzenie, po czym zebrałam się jednak na odwagę i pozwoliłam sobie wystąpić z pytaniem:

– Przepraszam, czy coś się stało? Jakież problemy z nami?

– Problemy? A dlaczego mają być jakieś problemy? Po prostu interesuje mnie, jak sobie radzicie.

– Spytałam tylko tak z ciekawości.

– To tylko rutynowa wizyta – wyjaśnił, nie odrywając ode mnie jasnoniebieskich oczu o nieruchomym spojrzeniu jastrzębia. – Nie ma



powodu do obaw. Moi przełożeni wysłali mnie tu, bym sprawdził, czy robicie postępy i jak sobie radzicie w nowym domu. A więc... jak wam się wiedzie? Przywykliście już do nowego otoczenia? Jesteście zadowoleni z pobytu tutaj?

Uwaga wszystkich skupiona była na nas. Straszna Dama przeszywała mnie wzrokiem z drugiego końca pokoju. Jej oczy błyszczały podejrzenie i wtedy dotarło do mnie, że to, co naprawdę myślę, absolutnie nie ma znaczenia. Żadnego narzekania. Mam dać wyraz swemu wielkiemu zadowoleniu z pobytu w Crescent Beach, poinformować, że do nowego otoczenia przywykłam i wszystko jest w największym porządku. I sprawa załatwiona, bo to tylko taki schemat. Talonowi wcale nie zależy, byśmy ja i Dante byli szczęśliwi. Ważne jest tylko przestrzeganie reguł. Wystarczy sobie przypomnieć to, co podsłuchałam w ukrytym pokoju.

– Jesteśmy – powiedział Dante.

Zaraz potem ja, prawie jednocześnie z bratem:

– Jest wspaniale.

Nie, nie powiedziałam tego z entuzjazmem, ale mężczyzna w szarym garniturze pewnie tego nie zauważył. A nawet jeśli zauważył, to i tak się tym nie przejął, natomiast spojrzenie mojej instruktorki jeszcze bardziej stwardniało. Oczywiście! Przecież obiecała, że jeśli zrobię coś nie tak, jutro będę miała za swoje.

– Bardzo dobrze. Talon będzie bardzo zadowolony – oświadczył mężczyzna w szarym garniturze, po czym zwrócił się do instruktorów: – Jak z ich szkoleniem? Czy robią postępy?

– Chłopiec radzi sobie nieźle – odparł instruktor Dantego, patrząc gdzieś przed siebie. Oczywiście! W społeczności Talonu spoglądanie komuś prosto w oczy uważane było za prowokację, a nawet groźbę. Dante i ja, od jakiegoś czasu żyjąc wśród ludzi z tymi ich rozbieganymi oczami, nauczyliśmy się nie unikać spojrzeń, teraz jednak za nic nie spojrzalabym w oczy temu staremu i o tyle silniejszemu ode mnie smokowi. W najlepszym przypadku uznano by to za brak dobrego wychowania i skłonność do stwarzania sobie problemów. W najgorszym – można stracić głowę. Dosłownie, bo zostanie odgryziona.

– A dziewczyna? – spytał mężczyzna w szarym garniturze, spoglądając na Straszna Damę z Talonu. – Doszły nas słuchy, że twoja podopieczna nie jest zdyscyplinowana.

– Daje sobie radę – odparła instruktorka, co zabrzmiało pozytywnie, ale spojrzenie skierowane w moją stronę było mroczne. – Z tym że trzeba jeszcze porządnie popracować. Ale będzie dobrze.

Nie, stanowczo nie tęskniłam za jutrzejszym szkoleniem. Już na samą myśl o tym skóra mi cierpła.

Mężczyzna w szarym garniturze rozmawiał jeszcze chwilę z instruktorami i opiekunami, kilkakrotnie zwrócił się do mnie i do Dantego. Niby takie rutynowe rozmowy, a jednak wyczuwało się napięcie. Tak, absolutnie było to wyczuwalne, poza tym cała ta sytuacja niewiele miała wspólnego z rutyną. Jedną z podstawowych zasad Talonu był bezwzględny zakaz przebywania w jednym miejscu i o tym samym czasie zbyt wielu smoków, ponieważ przyciąga to żołnierzy z Zakonu Świętego Jerzego. Podobnie jak światło przyciąga ćmy. A w tym pokoju były cztery dorosłe smoki i dwa pisklaki!

Ale to jeszcze nie wszystko. Zwierzchnicy Talonu, czyli ci, którzy byli najbliżej Eldera Wyrma, prezesa Talonu i najpotężniejszego żyjącego smoka, nigdy nie pokazywali się publicznie. Przebywali po prostu w ukryciu. A sądząc po zachowaniu wszystkich tu obecnych, mężczyzna w szarym garniturze niewątpliwie zajmuje wysoką pozycję w hierarchii Talonu i dlatego fakt, że osobiście przybył do Crescent Beach, by odwiedzić dwoje nic nieznaczących pisklaków i spytać, czy są zadowolone, był co najmniej zastanawiający.

Podsumowując, musiało dziać się coś szczególnego. Co konkretnie? A tego to ja, pisklak, na pewno nigdy się nie dowiem.

Po jakimś czasie ciotka Sarah zaproponowała, że pójdzie zająć się obiadem, na który oczywiście zaprasza wszystkich. Jej zaproszenie nie zostało jednak przyjęte. Mężczyzna w szarym garniturze za obiad podziękował, wstał, powiedział coś tam jeszcze do instruktorów, po czym zwrócił się do nas, z tym że nie odezwał się już ani słowem, tylko przez chwilę wpatrywał się w nas jasnyniebieskimi oczami, które pomimo że tkwiły w ludzkiej głowie, i tak wyglądały jak oczy gada. Popatrzył, pokiwał głową i obdarzywszy nas kolejnym sztucznym uśmiechem, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Goryl naturalnie ruszył krok w krok za nim, z tym że wcale nie poszli do frontowych drzwi, tylko na dół, do sutereny. Czyli wiadomo, do ukrytego tunelu.

W chwili, gdy drzwi do sutereny zamknęły się za nimi, nagle wyczułam czyjąś obecność. Ktoś stanął tuż za mną, obróciłam się więc szybko, a tam stała moja instruktorka, niby uśmiechnięta, a tak naprawdę wykrzywiona. Bo przecież, jak zwykle, była wściekła.

– No cóż... – wycedziła. – Nie zrobiłaś najgorszego wrażenia. Talon uważa, że masz w sobie potencjał, choć z dyscypliną jesteś na bakier i nad tym właśnie trzeba będzie popracować. Dlatego wyśpij się, pisklaku, zbierz siły, bo jutro na pewno będzie... ciekawie!

## GARRET

Ember znowu się spóźnia.

Zaparkowałem koło kępy palm, tam gdzie poprzednio, i czekałem. Kiedy po raz trzeci spoglądałem na zegarek, zacząłem się zastanawiać, czy Ember znowu straciła poczucie czasu, czy też po prostu zapomniała o naszym spotkaniu. Co dla mnie było nie do pomyślenia. Nie dość, że zapomnieć nie wolno, to należy stawić się punktualnie. W Zakonie punktualność była czymś oczywistym. Stawiałaś się punktualnie albo przed czasem. Ale nigdy po! Jeśli przełożony kazał ci przyjść do kaplicy o czwartej rano – powód nie był istotny – to punktualnie o czwartej siedziałeś tam już w ławce, bo inaczej miałeś zagwarantowaną służbę w kuchni. Przez cały miesiąc.

Tak. Ale Crescent Beach to nie Zakon, tu punktualność nie była tak istotna, zwłaszcza w lecie, podczas upałów, kiedy wyczuwało się ogólną atmosferę rozleniwienia. Nikt niczym specjalnie się nie przejmował, wszystko działo się powolutku, co wcale mi nie odpowiadało. Gdybym miał tak żyć, ruszając się jak mucha w smole, to pewnie bym oszalał.

Niestety to samo, czyli obłąd, groziło mi również z innego powodu. Gdyby te wszystkie uczucia i odczucia, które wzbudzała we mnie pewna rudowłosa dziewczyna, miały miotać mną do końca życia, niewątpliwie też bym stracił rozum. Przecież wczoraj, kiedy wzięła mnie za rękę, po prostu ogarnął mnie paraliż! Po raz pierwszy w życiu absolutnie nie wiedziałem, co mam zrobić, czego najlepszym dowodem był fakt, że w ogóle pozwoliłem jej się dotknąć. W Zakonie, gdyby ktoś bez uprzedzenia wziął mnie za rękę, leżałby już na ziemi. Natychmiast bym go powalił, bo wyrobienie w sobie takich właśnie odruchów jest niezbędne, kiedy twoje życie nieustannie wisi na włosku.

A jej pozwoliłem nie tylko wziąć się za rękę, przecież powiodła też palcem po moich bliznach, pamiętacie po walce z upartym zielonym smokiem, który za nic nie chciał dać się pozbawić życia. Wcale nie próbowałem zabrać tej ręki. Leżała na stole, ona jej dotykała, a ja czułem, jak po tej ręce przebiega prąd, najpierw w górę, do ramienia, potem w dół, gdzieś w okolicy żołądka. Nigdy dotąd czegoś takiego nie czułem, bo ten prąd był bardzo przyjemny i w rezultacie... Tak! W rezultacie to chciałem, żeby mnie tak dotykała i dotykała. Niepojęte...

Usiadłem wygodniej i potarłem oczy. Niepojęte przede wszystkim jest to, że takie głupie myśli przychodzą mi do głowy! Przecież jestem żołnierzem i nauczono mnie, jak stłumić w sobie emocje. Skutecznie, bo nie czułem żadnego lęku przed atakującym smokiem, a mój przełożony mógł przez bite dwie godziny wykrzykiwać prosto w twarz, że jestem do niczego, a ja i tak nie

czułem nic. Zawsze twardy jak gład. Dlaczego więc, kiedy byłem z Ember, działało się całkiem inaczej?

Dlaczego... dlaczego... A co tam! Czy to takie ważne? Teraz liczy się tylko moja misja i to, że Ember jest nadal moim... naszym potencjalnym celem. Resztę tej paczki już wyeliminowałem. Lexi i Calvin od urodzenia mieszkają w Crescent Beach, a Kristin Duff, na początku pierwsza na naszej liście podejrzanych, co prawda nie mieszka tu na stałe, ale już od bardzo dawna spędza tu całe lato razem z ojcem i macochą. Mieszkają w Nowym Jorku, ojciec Kristin jest maklerem giełdowym.

Czyli zostały tylko bliźnięta. Siostra i brat. Sieroty. Ember i Dante Hillowie, którzy mieszkają w Crescent Beach od niedawna. U wujostwa, w wielkiej willi koło plaży.

Oczywiście całkowitej pewności jeszcze nie było. Równie dobrze mogliśmy podążać fałszywym tropem, a Ember Hill to zwyczajna ludzka istota. Jak jest naprawdę? O tym będzie można przekonać się dopiero wtedy, kiedy Ember z czymś się zdradzi, z czymś naprawdę istotnym, a do tego może dojść tylko w określonych warunkach. Kiedy zbliżymy się do siebie, kiedy uda mi się zdobyć jej zaufanie.

Ale jeśli dziś nie przyjdzie, takiej możliwości nie będzie.

Oparłem się jeszcze wygodniej, zdecydowany czekać choćby do wieczora.

W końcu przyszła. O wpół do drugiej. Kiedy na plaży pojawiła się samotna postać z rozwianymi przez wiatr rudymi włosami i deską surfingową pod pachą, natychmiast wyskoczyłem z samochodu i ruszyłem przez żółty piach. Ember stała tuż nad wodą i osłaniając ręką oczy przed słońcem, wpatrywała się w fale.

– Szuka pani kogoś? – spytałem dowcipnie, podchodząc do niej z tyłu.

Nie słyszała, jak podchodziłem, bo drgnęła, a zaraz potem wykonała błyskawiczny w tył zwrot i zamrugła oczami, jakby tym właśnie oczom nie wierzyła.

– Garret! A ja byłem pewna, że ciebie już tu nie ma. Długo czekałeś? O nie... Przepraszam...

No cóż, jeszcze chwila i faktycznie by mnie już tu nie było. Najpierw postanowiłem, że czekam do wpół do pierwszej. Pół godziny, tyle czasu można dać spóźnialskim. Potem czas oczekiwania wydłużyłem o kwadrans, po kwadransie znowu o kwadrans i tak dalej, w rezultacie stanęło na wpół do drugiej. I wtedy Ember pojawiła się, dokładnie w chwili, gdy po włożeniu kluczyków do stacyjki po raz ostatni spojrzałem na plażę.

– Znów straciłaś poczucie czasu? – spytałem raczej chłodno.

Ember skrzywiła się. Na pewno pomyślała, że jestem zły, a wcale tak nie było. Na jej widok poczułem po prostu wielką ulgę. W końcu siedziałem w tym dziupie półtorej godziny. Ember nie przychodziła, więc w którymś momencie zaczęły mi do głowy przychodzić różne myśli. Typu – co mogło jej się stać. Wyobraźnia pracowała. W rezultacie przerobiłem wszystko, od wypadku samochodowego począwszy, na ataku rekina skończywszy. Tak! Po prostu byłem bardzo zaniepokojony, bo martwiłem się o nią, co było dla mnie całkiem nowym doświadczeniem. Nigdy dotąd nie bałem się o nikogo. O towarzyszy broni na pewno nie. Wiadomo przecież, że w każdej chwili każdy z nas może pożegnać się z życiem, a podczas akcji martwienie się o kogoś jest absolutnie niewskazane. To największa głupota w sytuacji, gdy musisz być maksymalnie skupiony i każda, najmniejsza nawet chwila nieuwagi może kosztować życie. I twoje, i innych. Jedynym dopuszczalnym uczuciem jest zaufanie do członków drużyny. Pewność, że wiedzą, jakie są rozkazy, i że będą je wykonywać. A to, że ktoś przy okazji umrze? No cóż... Jeszcze jeden dowód, że warto być w Zakonie. Bo wtedy nigdy się nie zestarzejesz. Przecież żołnierze Świętego Jerzego umierają w młodym wieku...

A o Ember martwiłem się, wyobrażając sobie różne okropne rzeczy, jednocześnie mając wielką, największą nadzieję, że nic takiego jej się nie przytrafiło. Teraz to moje zamartwianie wydało mi się nieskończenie głupie, tym bardziej że Ember pojawiła się, czyli wszystko w porządku.

Chociaż nie, nie wszystko, bo zdecydowanie jest przygaszona, nie taka pełna werwy jak zwykle.

– Przepraszam, Garret. Bardzo cię przepraszam, znowu się spóźniłam, ale u nas w domu działo się i działo. Dopiero teraz udało mi się wyrwać. A Dante zabrał samochód, musiałam więc zadzwonić do Lexi i prosić, żeby mnie podrzuciła...

Minę miała bardzo nieszczęśliwą, natychmiast więc zacząłem ją uspokajać.

– Nic się nie stało, Ember. Po prostu trochę poczekałem i już. Korona mi z głowy nie spadła. Cieszę się, że jesteś!

Oczywiście uśmiechałem się i uśmiechałem, aż Ember faktycznie się odprężyła. A ja nagle zauważyłem, że jednak coś jeszcze jest nie tak.

– Masz tylko jedną deskę? Szkoda. Bo ja nie mam żadnej...

– No tak... – bąknęła, nerwowo odgarniając włosy z czoła. Czyli znów niespokojna. – Śpieszyłam się, szkoda było czasu na kombinowanie drugiej deski. Ta jedna wystarczy, bo chcę, byśmy dziś wypróbowali coś nowego. O ile będziesz czuł się na siłach...

Kiedy opuszczała rękę, zauważyłem coś jeszcze. Coś takiego, że puls mi przyspieszył. Tak bardzo, że niewiele myśląc, złapałem Ember za łokieć

i podciągnąłem rękaw jej T-shirtu, odsłaniając wielki siniak tuż nad bicipsem. Na widok którego, sam właściwie nie wiem dlaczego – bo siniak to siniak i nie moja sprawa – trafił mnie szlag.

A skoro trafił, to jednak nie był to zwykły siniak, a sprawa nie tak całkiem nie moja...

– Co się stało?!

Ember szybko wyrwała rękę i wyraźnie unikając mojego spojrzenia, odsunęła się o krok.

– Ach, nic takiego – mruknęła, pośpiesznie ściągając rękaw w dół. – Wpadłam na drzwi. Głupie stare drzwi, które nie otwierają się tak szybko, jak powinny. Jeśli jeszcze kiedyś będę musiała tamtędy przechodzić, to je kopnę.

– Ember...

– Ale tak naprawdę było! Naprawdę! Bo tak to już jest z tymi głupimi drzwiami! – zawołała, wyraźnie zmuszając się do uśmiechu. – I dajmy już sobie z tym spokój. Idziemy posurfować. Mam nadzieję, że dasz sobie radę z tym, co wymyśliłam!

Oczywiście, że miałem wielką ochotę wydusić z niej, co naprawdę się stało, skąd ma tego siniaka i komu mam skrećić kark. Ale cóż...

– Dobrze. Idziemy. I bez obaw! Jestem gotów na wszystko!

Uśmiechnęła się, teraz już szczerze, i wyraźnie odzyskując wigor, odwróciła się znów twarzą do oceanu.

– A więc ruszamy, mądralo! Pokaż, na co ciebie stać!

## EMBER

– Gotowy? – spytałam, kiedy oboje siedzieliśmy już okrakiem na tej jednej desce, a bajeczna wprost fala o bajecznym grzbiecie szła prosto na nas. Garret mruknął, że tak, więc uklękłam na desce twarzą do niego, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że Garret wcale nie jest przekonany o sukcesie naszego wspólnego przedsięwzięcia.

O czym zresztą mnie poinformował:

- To się nie uda, Ember.
- Uda się, na pewno. Wiosłuj.
- Ember...
- Zamknij się! I wreszcie wiosłuj!

Grzbiet fali był coraz bliżej. Garret rozpląszczył się na desce i zaczął wiosłować, ja natomiast, dalej oczywiście na klęczkach, powolutku ustawiłam się tyłem do niego, uniosłam lekko głowę i zastygłam, wpatrując się w ocean przed sobą. Jak galion na dziobie starych żaglowców. A fala rosła i rosła. Dokładnie w chwili, gdy znaleźliśmy się na jej szczycie, zaczęła się załamywać. Wtedy wstałam. Garret też. Przez sekundę było w porządku. Niestety potem już nie, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy dotąd nie stałam na desce tak blisko jej czubka, a po drugie, na tej desce były dwie osoby, dlatego deska chwiała się, chwiała i...

I chlup! Poleciałam do wody, oczywiście z dzikim wrzaskiem. Zdażyłam jeszcze tylko zobaczyć, że Garret odjeżdża na desce, i już mnie nie było. To znaczy znalazłam się pod wodą, która w tamtej chwili zdecydowanie była nastawiona na odwirowanie. Miotła mną w kółko przez kilka sekund. Nie przeszkadzałam jej w tym – no bo jak?! Tylko wstrzymałam oddech i zamknawszy oczy, czekałam cierpliwie, aż ta zabawa się skończy.

Skończyła się. Fala ustąpiła, mogłam już stanąć na chwiejnych nogach i rozejrzeć się dookoła. Gdzie Garret? Jest! O tam! Kilka metrów dalej na lśniącej tafli ustępującej fali. Klęczał na desce. Słońce złociło nagie, opalone na brąz plecy, a kiedy odrzucił głowę w tył, by otrząsnąć się z wody, wtedy... Wtedy wiadomo, znów pojawiło się to dziwne trzepotanie, tam, w środku, które jak zwykle staram się zignorować.

Ruszyłam przed siebie, do Garreta. Szłam przez srebrzystą wodę, pryskając nią na boki, i oczywiście drąc się:

- Faktycznie! Nie udało się! Powtarzamy?!
- Po twarzy Garreta przemknął uśmiech.
- Chcesz koniecznie zobaczyć, jak ja lecę do wody?
  - Ależ skąd! Nigdy w życiu! A co, może strach cię obleciał?

– O nie! Co to, to nie!

Nadal uśmiechnięty wstał, wyprostował się i spoglądając na mnie z wysoka, oświadczył dumnie:

– Co będzie, to będzie! Zaczynamy! Ludzie kontra ocean! Druga runda!

Zrobiliśmy jeszcze trzy podejścia. Pierwsze i drugie były to podejścia szkoleniowe. Uczyliśmy się, jak ustawić się na desce w sposób optymalny, a trzecie, które miało już wypaść idealnie, okazało się całkowitą porażką. Znow straciłam równowagę i kiedy starałam się za wszelką cenę ją odzyskać, machając rozpaczliwie rękami, niechcący dałam Garretowi w twarz. W rezultacie w wodzie znaleźliśmy się oboje.

Ponownie spotkaliśmy się przy brzegu. Garret szedł po płyciźnie, ciągnąc za sobą deskę, którą przywiązał sobie do nogi. Lewe oko Garreta niestety było zaczerwienione i trochę opuchnięte.

– O nie! Garret, bardzo cię przepraszam...

A on tylko lekko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Bywało gorzej, Ember! Wiem dobrze, jak przyjąć cios. Naprawdę nic się nie stało.

– Och, to dobrze! Ale może jednak zobaczę, jak to wygląda.

Podeszłam bliżej i wspierałam się na palce, żeby lepiej widzieć feralne oko. Garret podczas tych oględzin stał jak trzeba, to znaczy nieruchomo, i patrzył gdzieś w dal. A ja skrzywiłam się, bo nie wyglądało to dobrze, skoro śniada skóra wokół oka wyraźnie zaczynała już robić się ciemniejsza. A poza tym dokonałam pewnego odkrycia. Jeszcze jedna blizna, wążutka, na skroni, prawie niewidoczna pod włosami.

Ciekawe, skąd u Garreta tyle blizn. Na rękę to podobno pamiątka po starciu z psem... A ta?

Nagle przez moją głowę zaczęły przemykać jedna myśl za drugą, wszystkie okropne, przerażające, złowieszcze. Wbijały się w mózg, a ja odpędzałam te myśli tak wredne, tak straszne, bo to niemożliwe, absolutnie wykluczone, żeby taki chłopak jak Garret należał do sekty morderców!

– A więc jak wypadły oględziny? – spytał po chwili.

– No cóż... Niezbyt optymistycznie. Za kilka godzin, czyli jeszcze dziś wieczorem, będziesz miał wokół oka czarno. A samo oko zrobi się malutkie, bo dokoła będzie wszystko opuchnięte.

Zaśmiał się, na co ja zareagowałam jak zwykle trzepotaniem w brzuchu, a Garret dorzucił jeszcze żartobliwym tonem:

– No proszę! Człowiek nigdy nie jest pewien dnia ani godziny. Byłam przekonany, że moim przeciwnikiem będą tylko fale!



On sobie żartował, a ze mną dalej się działy te dziwne rzeczy. Nie tylko w brzuchu. Serce też wariowało, odeszłam więc trochę dalej, żeby postać w wodzie znacznie już głębszej i wyciszyć się. Garret oczywiście patrzył za mną. Czułam na sobie to spojrzenie srebrzystych jak rtęć oczu, spojrzenie świdrujące tył mej głowy. Czułam też, że robię się czerwona, dlatego nie odwracałam się, tylko osłaniając ręką oczy przed słońcem, spoglądałam przed siebie, na ocean.

A po chwili, naturalnie dalej patrząc w dal, stwierdziłam:

– Wiesz, Garret, myślę, że na dzisiaj już koniec. Bo lepiej, żeby słona woda nie dostała się do oka. Może je podrażnić...

– I co z tego? – W jego głosie słychać było śmiech.

Śmiech prowokujący, nie było więc siły, musiałam się odwrócić i spojrzeć w jego roziskrzone oczy.

A on dalej, właśnie tak, prowokująco:

– Powiedziałem przecież, że jestem gotowy na wszystko! I zdania nie zmieniłem. A może wystraszyłaś się ostatniej fali?

Drażni się ze mną? Nie szkodzi. Potrafię się odciąć.

– W porządku! Skoro tak się uparłeś, próbujemy jeszcze raz – oświadczyłam też z uśmiechem, z tym że mój był protekcyjny. – Ale pamiętaj, chłopcze, że sam tego chciałeś! Ja do niczego ciebie nie zmuszałam.

Usiedliśmy oboje na desce i wlepiliśmy oczy w horyzont, sprawdzając, skąd może przyjść fala. To znaczy na pewno robił to Garret, bo ze mną było trochę inaczej. Owszem, też patrzyłam, ale nie na wodę, lecz na Garreta. Pożerałam go wzrokiem, pożerałam wszystko: wyrazisty profil, jasne włosy, wspaniale wyrzeźbioną klatę i ramiona. A jednocześnie w pamięci ożyły słowa jędry, czyli mojej instruktorki.

Które tego ranka wygłosiła:

– Ludzie to gatunek niższy. Gdyby nie było ich tak wielu, dawno byśmy ich już sobie podporządkowali. Nie zapominaj o tym, pisklaku. Bo nawet jeśli potrafimy przybrać ich postać, przebywać wśród nich, wtopić się w ich świat – my to my, a oni to tylko ludzie, dla nas środek do celu. Nic więcej.

– Ruszamy – mruknął Garret, a ja wyciągnęłam szyję, by spojrzeć ponad jego ramieniem, spojrzeć tam, gdzie fala rosła, rosła i zbliżała się do nas z wielką szybkością. A on spojrzął na mnie i uśmiechnął się, w związku z czym moje serce na moment zgubiło rytm, natomiast Garret spytał: – Gotowa?

Skinęłam głową. Fala osiągnęła swoje apogeum i zaczęła się załamywać. Garret zdążył przedtem wstać, ja też wstałam i niestety – czyżby przeradzało się to w regułę?! – po niecałej sekundzie straciłam równowagę. Tym razem

jednak silne ręce objęły mnie wpół i pomogły znów stanąć stabilnie. Kiedy poczułam te ręce na sobie, oczywiście moje serce znów się zająknęło, ale na szczęście nie spowodowało to żadnych zakłóceń. Stałam dzielnie, patrząc przed siebie, zachwycona, że wszystko idzie teraz jak po maśle. Deska zjeżdża po fali, na tej desce my dwoje, Garret i ja, poruszamy się zgodnym rytmem. Nie miałam odwagi spojrzeć w tył, byłam jednak pewna, że Garret uśmiecha się od ucha do ucha. Przecież było cudownie! Tak cudownie, że nie wytrzymałam i wrzasnęłam. A tak! I był to okrzyk największego triumfu!

Staliśmy na desce, dopóki fala nie rozlała się po plaży. Wtedy po raz drugi wydałam z siebie triumfujący okrzyk, wykonując też gest bardzo wymowny, czyli unosząc rękę z dłonią zaciśniętą w pięść. Niestety, kiedy zaczęłam nią wymachiwać, straciliśmy równowagę i zgodnie, ramię w ramię, wpadliśmy do wody, czemu towarzyszyło bardzo głośne „chlup”.

Zanosząc się od śmiechu, pierwsza stanęłam na nogi, przetarłam oczy i w tym momencie pojawił się przede mną Garret. Potrząsał głową, przeczesywał mokre włosy palcami, a plecy drżały od powstrzymywanego śmiechu. Jego twarz jaśniała. Co na niej było wypisane? Triumf, owszem, ale przede wszystkim radość, i to przeogromna. Tyle jej było, że moje serce znów miało kłopot z zachowaniem normalnego rytmu.

I wtedy... no cóż... Po prostu powiedziałam:

– Garret.

Niegłośno, mięciutko, a on spojrzał w dół, na mnie... Na co ja wspięłam się na palce, oparłam ręce na jego ramionach i...

I pocałowałam go.

Jak było? No, w trakcie tego pocałunku? Najpierw zeszywniał, potem chwycił mnie za ręce, ale nie po to, żeby odepchnąć. Nie, nie, tylko mnie trzymał za te ręce, a ja czułam, jak jego mięśnie się napinają, i słyszałam szybkie bicie serca. Równie szybkie jak mojego. Wargi Garreta, ciepłe i miękkie, miały słony smak oceanu. Chociaż nieruchome. Całowałam tylko ja, cała roztrzepotana w środku, a te trzepoty jednocześnie wysyłały na wszystkie strony ciepłe fale i bardzo przyjemne dreszcze przebiegające wzdłuż kręgosłupa.

A więc to tak właśnie jest, kiedy kogoś całujesz...

Całujących się ludzi widziałam już wiele razy i nie bardzo mogłam zrozumieć, dlaczego całowanie jest wśród tego gatunku tak rozpowszechnione. Tym bardziej że chwila, kiedy mokre, obrzydliwe wargi tego wstrętnego chłopaka, Colina, przywarły do moich ust, na dobre utkwiała w mej pamięci. Już sam fakt, że komuś chce się aż tak bardzo zbliżyć twarz do twarzy drugiej osoby, był dla mnie całkowicie niezrozumiały. W społeczności

smoków potarcie lub trącenie się pyskami było oznaką największego zaufania. Największego, bo tak w ogóle to smok bardzo rzadko decydował się na zbliżenie głowy do paszczy drugiego smoka, która przecież mogła zmiażdżyć czaszkę lub zionąć ogniem. Dlatego też te ludzkie pocałunki były dla mnie czymś niepojętym.

Teraz już nie.

Ale zaraz... Przecież ja... ja jestem smokiem! Co ja wyrabiam? Co mi do głowy przyszło?!

Momentalnie przerwałam pocałunek i zerknęłam na Garreta.

Patrzył na mnie, a jego twarz mieniła się. Był zmieszany, tak, ale przede wszystkim zszokowany, i to tak bardzo, że palce, nadal zaciśnięte na moich rękach, teraz w te ręce po prostu się wbiły.

– O nie... – zajęczałam, bo zabolalo porządnie, i szarpnęłam się w tył.

Puścił, ale nadal na mnie patrzył, z tym że spojrzenie oczu o metalicznym połysku stało się dziwnie nieruchome, kompletnie pozbawione wyrazu, w związku z czym poczułam się bardzo nijako. Przy tym dominował strach, co w pełni zrozumiałe. Ja, Ember smok, właśnie pocałowałam człowieka. Dlaczego? Co się ze mną dzieje? Drżącymi palcami przeczesałam włosy, starając się jednak jakoś poukładać to sobie wszystko w głowie. Co wcale nie było łatwe, tym bardziej że Garret nadal wpatrywał się we mnie w taki sam sposób, to znaczy nieruchomym wzrokiem. Zresztą cały znieruchomiał, po prostu zastygł.

W rezultacie uznałam, że jest tylko jedno rozsądne wyjście z tej sytuacji. Wracam do domu, i to jak najszybciej, bo jeszcze chwila i zwariuję.

– Prze... przepraszam – wymamrotałam, odsuwając się od tego nadal idealnie nieruchomego człowieka. – Muszę już lecieć. Deska niech zostanie, kiedyś mi ją oddasz. Do zobaczenia, Garret.

Wtedy poruszył się, to znaczy otrząsnął, jakby wracał do rzeczywistości.

– Przywiozła cię tu Lexi? – Jego głos, zwykle taki spokojny i opanowany, teraz zadrżał.

– Och, nieważne! To wcale nie jest daleko. Chętnie się przejdę, a jeśli opadnę z sił, mogę zadzwonić po Lexi. Albo podjadę autostopem.

Każda metoda dobra. Najważniejsze, by jak najszybciej znaleźć się w domu.

Ruszyłam przed siebie. To znaczy zrobiłam jeden krok, bo wykonanie następnych uniemożliwił mi Garret, który wcale już nie drżał. Przeciwnie, był bardzo stanowczy.

– Ember! Zaczekaj!

Zatrzymałam się, choć absolutnie nie powinnam tego robić, tylko przeć do przodu przez plażę, nie oglądając się za siebie. A ja stanęłam jak wryta,

przecież gdzieś tam, w głębi duszy, wcale nie miałam ochoty rozstawać się Garretem.

Usłyszałam plusk. Garret wyjął deskę z wody i podszedł do mnie. Moja smoczyca jak zwykle wydała gniewny pomruk, ale głupie i zdradliwe serce podskoczyło z radości.

– Nie będziesz nigdzie szła ani bawiła się w autostop – oświadczył Garret, wyraźnie unikając mego spojrzenia. – Podwiozę cię do domu.

## GARRET

Jak było podczas drogi powrotnej? Niezręcznie. Tak właśnie czuliśmy się oboje, w każdym razie ja na pewno. Ona chyba też, bo cały czas patrzyła w okno, nie odzywając się ani słowem. Ja również milczałem z rękami opartymi na kierownicy i wpatrzony w drogę przed sobą, chociaż kątem oka widziałem Ember. Byłem zadowolony, że nabraliśmy wody w usta i nie patrzymy na siebie, skoro w mojej głowie rozpętało się prawdziwe tornado. Aż taka gonitwa myśli.

Kiedy zaczęła mnie całować, zmroziło mnie, wszystkie moje zmysły. Szok, po prostu szok. Pocałunku nie odwzajemniłem, ale też i nie odepchnąłem Ember. Jakoś to w ogóle nie przyszło mi do głowy, co było przedziwne, przecież potrafię zareagować błyskawicznie. A tym bardziej przedziwne, że było największą głupotą, bo ona w ogóle nie powinna znaleźć się tak blisko mnie. W Zakonie nikt nigdy nawet nie dotknął mnie palcem, a tu proszę! Już po kilku dniach znajomości pozwałam tej dziewczynie podejść tak blisko, mało tego – nie odpycham jej, kiedy ona mnie całuje! Zero czujności, a przecież gdyby faktycznie była agentem Talonu, mogłem już nie żyć, i to z kilkanaście razy.

Skąd ten brak czujności? A stąd, że z Ember, tak sympatyczną, zabawną, wręcz rozbijającą, gadało się świetnie, dlatego, chociaż była naszym potencjalnym celem, bardzo lubiłem spędzać z nią czas. Niestety, jak się okazało, za bardzo, bo doszło do pocałunku, którego wcale nie starałem się uniemożliwić. I co gorsza, po tym pocałunku wydarzyło się coś jeszcze bardziej niepokojącego. Kiedy Ember odsunęła się ode mnie, byłem gotów z powrotem zredukować odległość między nami do zera, objąć Ember i pocałować ją. Tak! A teraz, w samochodzie, kiedy siedziała obok mnie, w odległości nie większej niż metr, jej obecność odczuwałem wyjątkowo mocno. Prawie nie widziałem Ember, tylko kątem oka, lecz i tak byłem niesamowicie świadomy, że jest obok mnie, porusza się, czasami westchnie. I to wszystko razem było po prostu wykańczające.

Kiedy tylko wjechałem na jej ulicę, Ember chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi, jeszcze zanim wyhamowałem. Owszem, przez moją głowę przemknęła myśl, że dobrze by było pogadać chwilę o tym, co się wydarzyło. Niestety przemknęła zbyt późno, bo drzwi dżipa już trzasnęły i Ember z kiwającą się deską pod pachą oddalała się bardzo szybkim krokiem. Patrzyłem za nią, jakiś taki dziwnie odrętwiały, patrzyłem, jak przechodzi przez ulicę i maszeruje w kierunku wielkiej willi. Nie obejrzała się ani razu, a ja za każdym razem, kiedy stawiała kolejny krok, miałem wielką ochotę zawołać ją albo pobiec za

nią. Coś jednak mnie od tego powstrzymywało.

Kiedy podeszła do drzwi od frontu, coś mnie tknęło. Spojrzałem uważniej na sam dom. Tak, to tam. W jednym z okien, wysoko, tuż pod dachem, ktoś stał. Mało tego – patrzył przez lornetkę. Patrzył na mnie. Rude włosy lśniły w zachodzącym słońcu. Popatrzył, odwrócił się i znikł.

Tristana nie było w domu, co bardzo mi odpowiadało, bo absolutnie nie miałem ochoty na żadne rozmowy. Kiedy tylko wszedłem do mieszkania, od razu pomaszerowałem do pokoju dziennego, do kąta, gdzie stał worek treningowy, i rąbnąłem z całej siły, bo koniecznie musiałem się wyładować. Pozbyć się tego dziwnego niepokoju, niedającego się opanować podekscytowania, i wymazać z pamięci obraz rudowłosej dziewczyny. Przede wszystkim zapomnieć o smaku jej ust.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak długo katuję ten nieszczęsny worek. A waliłem bez przerwy, dopóki do domu nie wrócił Tristan, który naturalnie zajrzał do pokoju dziennego i popatrzył na mnie nie tylko z rozbawieniem. Także z niepokojem, więc przystopowałem. Ciężko dysząc, opuściłem ręce. Palce miałem obolałe, twarz mokrą od potu, bo w tym kącie spędziłem co najmniej godzinę, ani na chwilę nie zwalniając tempa.

– A więc to tak... – mruknął Tristan, wpatrując się we mnie. – Jak minął dzień?

Nie odzywałem się, bo przynajmniej na razie morderczy trening nie przyniósł pożądaných efektów. Nadal miałem przed oczyma Ember, nadal czułem na rękach dotyk jej palców, a na wargach smak jej ust. Nadal! Dlatego jeszcze raz przyłożyłem workowi, tak już ekstremalnie, i ciężko dysząc, oparłem się plecami o ścianę. Zamknąłem oczy, przez moment zastanawiając się, czy mówić Tristanowi o tym, co się wydarzyło tego popołudnia na plaży. Tak czy nie? Tak, bo od zawsze nie miałem przed nim żadnych tajemnic. Bezwzględne zaufanie jest konieczne, kiedy twoje życie spoczywa w rękach kogoś innego.

– Garret? – ponownie zagadnął wyraźnie już zaniepokojony Tristan. – Co się stało?

Słyszałem jego kroki. Zbliżał się do mnie, więc otworzyłem oczy. Otarłem ręką twarz i zakomunikowałem:

– Dziś na plaży Ember... mnie... pocałowała.

Brew Tristana, ta uniesiona znacząco, znalazła się prawie na linii włosów.

– Zaraz... chwila... Czy dobrze usłyszałem? Ember Hill? Dziewczyna, którą śledzimy, która jest naszym potencjalnym uśpionym szpiegiem? Pocałowała ciebie? Właśnie ona?!

Oczywiście, że ona, i oczywiście po raz nie wiadomo który wszystko znów stanęło mi przed oczami. Dlatego przemieściłem się szybko bliżej okna, za którym widać było dachy willi, korony palm i skrzący się w słońcu ocean, choć oczywiście ja widziałem tylko i wyłącznie Ember.

– Chyba za bardzo się do niej zbliżyłem – wyznałem ponurym głosem. – I to mnie rozproszyło. Nie po raz pierwszy zresztą, dlatego myślę, że lepiej będzie, jeśli przestanę się z nią widywać. Bo w rezultacie może to zaszkodzić naszej misji.

– O nie! – zaprotestował Tristan zaskakująco energicznie. – Garret, przecież właśnie tego oczekuje się od ciebie. Masz się zbliżyć do niej jak najbardziej. Przecież to jedyny sposób, żeby czegoś się dowiedzieć i zyskać pewność, czy faktycznie jest uśpionym szpiegiem. Im bardziej ci będzie ufać, tym więcej z niej wyciągniesz, dlatego dalej będziesz się nią spotykał. To po prostu konieczne – zakończył stanowczym tonem.

Mam więc nadal spotykać się z Ember Hill! Tą perspektywą byłem przerażony. Choć jednocześnie, rzecz dziwna, poczułem ulgę.

– Więc jak to ma być dalej? – spytałem, znów podchodząc do Tristana. – Pocałowała mnie, a potem prawie uciekła. Wyglądała na bardzo wystraszoną.

Musiałem to przekonsultować z kumplem, skoro w tego rodzaju sprawach byłem całkowicie zielony i faktycznie nie miałem pojęcia, jak to dalej będzie. Tym bardziej że Ember swoim zachowaniem dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że nie chce się już ze mną widzieć.

– Nie pogadałeś z nią potem, Garret? Nie umówiliście się, prawda? Przecież mówiłeś, że prawie uciekła... Prawie, czyli nie uciekła, tak?

– Tak, nie uciekła, ale potem nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

– Dlaczego?

– Mówiłem ci, że była wystraszona. A ja...

– No tak. Byłeś kompletnie skołowany.

– No... coś w tym rodzaju.

Westchnąłem i znów rąbnąłem w worek, ale już bez większego przekonania. Tristan uśmiechnął się.

– Tylko nie pękaj, partnerze. Będzie dobrze. Może i była wystraszona, ale skoro, jak mówisz, nie zamieniliście ze sobą potem ani słowa, to nie powiedziała ci zdecydowanie „nie”, prawda? Czyli wcale nie masz u niej tak do końca przechłapano. Musisz się tylko trochę postarać. Tym bardziej że to ona cię pocałowała, tak? W takim razie naprawdę jej się podobasz.

– Może i tak... Czekał, czekał... No jasne! Pocałowała mnie, bo jej się podobam, więc nie może być szpiegiem!

Fakt. Przecież smoki były pozbawione tego rodzaju emocji. Owszem,

przybierały postać ludzką i dlatego dla ludzi były tak bardzo niebezpieczne, ale nie zmieniały się w stuprocentowego człowieka. Przeistaczały się tylko w jego nędzną namiastkę. Nie rozumiały, co to prawdziwa przyjaźń, miłość, smutek czy żal. Po prostu te uczucia były im całkowicie obce. Gdyby Ember była smokiem, nie doszłoby do tego pocałunku.

Byłem tego pewien, jednak mój partner miał wątpliwości.

– Nigdy nic nie wiadomo. Może Talon zaczął szkolić swoich agentów i w tym kierunku, rozumiesz w jakim. W końcu ci agenci mają integrować się całkowicie. Z tym że oczywiście niewykluczone, że Ember jest po prostu zwyczajną dziewczyną. Nic nie wiemy na pewno, dlatego trzeba działać. Mam nadzieję, że jednak czujesz się na siłach pociągnąć to dalej?

To, czyli dalsze udawanie, że jestem nią zainteresowany. Mam udawać, że mi się podoba, więcej, że coś do niej czuję, dlatego dążę do jak największej bliskości. Po prostu pragnę być z Ember.

Czyli ta gra nadal trwa. Gra w zdobywanie zaufania, przyjaźni, może nawet serca, a przez cały czas jestem całkowicie świadom, że ja, właśnie ja mogę być tym kimś, kto wszystko to zniszczy za jednym zamachem. Zniszczy także samą Ember.

Dla mnie to wszystko razem było po prostu paskudne, takie znížanie się do poziomu Talonu, przejście ich pokrętnych, podstępnych metod. Ale niestety byłem żołnierzem i dostałem rozkazy. Mam wypełnić misję i ani przez chwilę nie wolno zapominać, że Ember, jeśli istotnie jest uśpionym szpiegiem, jest także smokiem, czyli jednym z tych gadów, które gardzą ludźmi i nie posiadają w sobie ani odrobiny człowieczeństwa. Nawet ich pisklaki są już z gruntu złe, przebiegłe i obrzydliwe. Wyeliminowanie pisklaków, zanim staną się potężnymi i niezwykle podstępnymi dorosłymi osobnikami, gwarantowało szybsze zakończenie wojny. Gwarantowało zwycięstwo.

Tak. Mam misję do spełnienia i zrobię wszystko, co do mnie należy. Będę kłamać, udawać, zabijać, nawet jeśli gdzieś tam, w głębi duszy, wcale nie jestem do tego przekonany. Bo tak było. Czulem w sobie wewnętrzny opór, choć starałem się upchnąć go w jak najdalszym i najciemniejszym zakamarku mojej duszy.

A na myśl o tym, że spotkam się jeszcze z Ember, jakaś część mojej osoby, nie ta nieskończenie żołnierska, czuła wielką radość...

– Dam radę. Przecież wiem, co mam robić – powiedziałem, ruszając do łazienki. Zimny prysznic był teraz niezbędny.

– Miło to usłyszeć... Aha, Garret, i jeszcze coś...

Zatrzymałem się.

– Co konkretnie?



– A to, że niech ci tylko do głowy nie przyjdzie zakochać się w tej dziewczynie. Nawet jeśli jest normalną dziewczyną, nie będzie to miało najmniejszego sensu, skoro nasz tryb życia odbiega jednak trochę od normy, prawda? Poza tym może się zdarzyć, że istotnie jest szpiegiem i trenuje na tobie tę całkowitą integrację. Dlatego żadnego zaangażowania emocjonalnego z twojej strony, jasne? Bo kiedy nadejdzie ta chwila, gdy będziesz musiał nacisnąć spust, nie wolno ci mieć żadnych wątpliwości. Żadnych rozterek, bo chwila wahania może cię drogo kosztować. Twoja ukochana rozszarpie cię na kawałki. Rozumiesz?

Ona? Przed oczami stanęła mi znów Ember. Uśmiechnięta, radosna. A ten pocałunek...

Pojawiła się tylko na moment. Bo dość już tych głupich wspomnień i marzeń, dość rozpamiętywania.

Jestem żołnierzem.

– Oczywiście, że tak, Tristanie. Trudno, żebym o tym nie wiedział!

## EMBER

– Gdzie ty się podziewałaś? – spytał Dante, gdy pokonałam już schody, zamierzając udać się do swego pokoju i nie wychodzić stamtąd przez cały wieczór. Niestety, mój wścibski brat czekał właśnie tam, na szczycie schodów. Stał i wyraźnie starał się tym swoim spojrzeniem przewiercić mnie na wylot.

Prychnęłam.

– A kto ty niby jesteś? Moją piastunką? Poszłam sobie trochę posurfować. A co, nie wolno?!

I pomaszerowałam do swoich drzwi. Niestety, dalej mnie świdrował, teraz plecy, bo szedł za mną krok w krok.

– Ember, a co to za koleś odwiózł cię do domu?

– Garret – odparłam zadowolona, że skoro jest za mną, nie widzi, że się zaczerwieniłam. – Mówiłam ci już kiedyś o nim, pamiętasz? To ten chłopak, którego poznałyśmy na plaży, ja, Lexi i Kristin. Ten, który razem z kumplem pobił tych głupków, co przystawiali się do nas. Garret jest super.

– Dla ciebie może za bardzo... – szepnęła wtedy moja smoczyca, i poniekąd miała rację. Bo faktycznie, nadal czułam jego usta pod moimi wargami, nadal bez przerwy przerabiałam ten moment, kiedy pocałowałam go spontanicznie i w trakcie tego pocałunku miałam wrażenie, że tam gdzieś w środku rozpała się we mnie płomień. Ciekawe, co powiedziałyby na to ten cały Talon. A tam, mam to w nosie. Niech zeżrą sobie swoje własne ogony, czyli, innymi słowy, niech się ode mnie, sorry, odwałą! A poza tym przecież tak właśnie wygląda integracja. Rozmowa, pocałunek czy nawet związanie się z kimś na stałe. Talon wcale tego nie zabrania! A jeśli zakocha się w tobie człowiek, to czysty zysk, bo wtedy bardzo łatwo go sobie podporządkować, a o to właśnie nam, smokom, chodzi, prawda? Dante w dyrygowaniu ludźmi był prawdziwym mistrzem. Zawsze znalazł się ktoś, kto go podwiózł, dał zadzwonić ze swojej komórki albo w razie potrzeby błyskawicznie ściągał z siebie T-shirt i mu go oddawał. Tak było. Dante wcale nie musiał o to jakoś specjalnie zabiegać. Nie, po prostu był pojętym uczniem, kiedy go edukowano, jak manipulować ludźmi. Co ja w skrytości ducha uważałam jednak za nieuczciwą grę. Niemniej Talon wymagał tego od nas, a więc proszę bardzo, w tym kontekście bez problemu mogłabym wyjaśnić, dlaczego do tego pocałunku doszło. Pocałowałam, bo miałam w tym jakiś swój cel. W porządku? W porządku.

Niestety, jak wiadomo, zrobiłam to z całkiem innego powodu...

Doszłam już do swojego pokoju. Weszłam, Niestety Dante szybko postawił nogę na progu, uniemożliwiając mi zamknięcie drzwi. Po prostu stał w progu i znów mierzył mnie wzrokiem. A patrzył i z niepokojem, i podejrziwie.

– Siostra, wszystko gra? Martwiłem się o ciebie. Zaraz po szkoleniu pojechałaś gdzieś z Lexi. Komórkę miałaś wyłączoną.

Szkolenie... Natychmiast przed oczami stanęła mi sadystyczna instruktorka i oczywiście od razu cała się zjeżyłam.

– Wiesz co? Mówisz zupełnie jak wuj Liam! A mógłbyś sobie darować. Ze mną wszystko w porządku, możesz więc wyłączyć ten swój neurotyczny radar. Garret i ja surfowaliśmy. To wszystko!

I pocałowałam go, dodałam w duchu. Tak. I bardzo bym chciała znów się z nim spotkać, i to jak najszybciej, i zrobić to jeszcze raz. Kilka razy! Tak, bo chyba jednak padło mi na mózg...

– Nie, nie mogę wyłączyć tego mojego neurotycznego radaru – oświadczył Dante, opuszczając próg i ruszając w moją stronę. – Nie zrobię tego, kiedy moja siostra bliźniaczka jest, mówiąc oględnie, nie taka jak zawsze. Na pewno masz problem.

– A, czyli jak zwykle brat bliźniak nadopiekuńczy! Wiesz co? Naprawdę czasami ci odbija!

Ja napastliwie, on łagodnie.

– Ember, wyluzuj. Kto ma ciebie pilnować, jak nie ja? – Uśmiechnął się i leciutko ścisnął mnie za ramię. – Hej, Dyludyludi! Co się dzieje? Czy ten człowiek zrobił ci krzywdę?

– Krzywdę?! A gdyby rzeczywiście mnie skrzywdził, to co byś mu zrobił? Pożarłbyś go?

– Na pewno miałbym ochotę, ale dla dobra sprawy bym się powstrzymał! – odgryzł się wyraźnie już zniecierpliwiony. – Ember, nie wykręcaj się. Przecież widzę, że coś nie tak. A ja powinienem wiedzieć, o co biega. Mów!

Zawahałam się. Bo o tym, co wydarzyło się między mną a Garretem, mogłabym rozmawiać tylko z kimś, kto byłby w stanie zrozumieć te nowe – te ludzkie – uczucia, które teraz mną miotają. Uczucia, które moja instruktorka uważała za niedopuszczalne. Czy Dante rozumie, co teraz przeżywam? Powiedzieć czy nie? Jak dotąd zawsze mówiłam mu wszystko...

Więc zaczęłam tak trochę na okrągło:

– Wiesz, Dante, tak sobie teraz przypomniałam, co dziś rano powiedziała mi moja instruktorka. A powiedziała, że ludzie to istoty podrzędnego gatunku, dla nas coś w rodzaju paszy...

Dante pokiwał głową.

– Zgadza się. Mój instruktor mówił mi to samo.

– I nie wydało ci się to choć trochę zastanawiające? Bo pomyśl tylko. Przecież mieszkamy pod jednym dachem z dwojgiem ludzi. Sarah i Liam, choć pracują dla Talonu, są ludźmi, tak samo jak wszyscy nasi znajomi,

z którymi spotykamy się codziennie. I jakoś nigdy nikogo nie uważałam za... paszę! To całe gadanie o tej paszy i podrzędności wydaje mi się takie... bezduszne. Dante, powiedz, ale tak szczerze, czy potrafiłbyś pomyśleć właśnie w takich kategoriach o Lexi, o Calvinie, o kimkolwiek z naszej paczki?

– Nie! Jednak musimy pogodzić się z faktem, że ani ja, ani ty nie jesteśmy jednymi z nich. Żyjemy w świecie ludzi, ale nimi nie jesteśmy. I nigdy nie będziemy.

– A niby dlaczego nie? – spytałam taka jakaś nadęta, bo przecież wcale nie to co chciałam usłyszeć.

– A dlatego, że jesteśmy smokami! Po prostu! A ludzie smokami nie są! Nie są też gatunkiem podrzędnym, niemniej jednak w łańcuchu pokarmowym stoją od nas niżej. Jesteśmy od nich silniejsi, bystrzejsi i żyjemy o wiele dłużej. Kiedy wszyscy nasi ludzcy znajomi zestarzeją się i umrą, my dopiero zaczniemy prawdziwe życie. Krótko mówiąc, Ember, jesteśmy po prostu inni. I już dawno powinno to do ciebie dotrzeć.

Czyli jednak nie. Nie ma najmniejszego sensu zwierzać się bratu, bo on i tak mnie nie zrozumie. Zacznie drażnić, analizować, pytać, co mnie do tego pocałunku skłoniło, i do niczego byśmy nie doszli. Tym bardziej że ja sama jeszcze tego nie wiedziałam, dlaczego wtedy wspierałam się na palce i...

Westchnęłam.

– Przecież wiem – mruknęłam.

Dante nadal wpatrywał się we mnie zatroskanym wzrokiem. Oczywiście, że był dobrym bratem, ale absolutnie potrzebowałam chwili samotności, niezbędnej, kiedy chce się coś w spokoju przemyśleć.

– Jestem skonana, Dante. Muszę się położyć, bo padam z nóg. Gdybym nie zeszła na obiad, znaczyć to będzie, że śpię. Wtedy przyjdź i walnij w drzwi, dobrze?

– Jasne... Aha, Ember, jeszcze coś. Dzwoniła Kristin, chyba z pięć razy. Pytała, czy przyjdiesz do niej na tę imprezę jutro wieczorem.

– To już jutro?!

Jak ten czas leci! Dopiero teraz do mnie dotarło, że już jutro zaczyna się weekend, i od razu na duszy zrobiło się lżej. Bo weekend to dwa cudowne dni, kiedy nie muszę wstawać o świcie i spotykać się z moją instruktorką. Mam wolne!

– Zgadza się. Już jutro – przytaknął Dante.

– A więc jak? Idziemy?

– Jasne. Muszę się tylko zastanowić, co powiem wujowi i ciotce, kiedy zjawimy się w domu po dwunastej. Bo znając ciebie, to z góry wiem, że na tej imprezie stracisz poczucie czasu.

– Oczywiście! Przecież to ty w naszym duecie reprezentujesz inteligencję i rozsądek.

– Nie zaprzeczam. A ty co?

– Ja? Ja oczywiście urodę. Jestem śliczna jak z obrazka!

– Powiedzmy... – Brat uśmiechnął się krzywo. – A ponieważ ja śliczny nie jestem, tylko niegłupi, niewdzięczne zadanie jak zwykle spada na moje barki. Ale trudno, zajmę się tym. Dla ciebie wszystko, Dyludyludi!

Wreszcie poszedł sobie, wreszcie mogłam zamknąć drzwi i walnąć się do łóżka. Ułożyłam się na plecach i wbiłam wzrok w sufit. Zawiedziona, bo nie pogadałam o tym, co dla mnie teraz najbardziej interesujące. Ale dobrze, że ugryzłam się w język, bo Dante, mój brat, jest smokiem, i tego rodzaju uczucia, jakie mną teraz miotają, są dla niego równie nieznanne, jak dla mnie. Dlatego jeśli koniecznie muszę z kimś pogadać, to tylko z człowiekiem. Z osobą zaprzyjaźnioną, na pewno mi zyczliwą. Czyli wiadomo z kim.

Szybko przekręciłam się na bok i sięgnęłam po komórkę.

– Cześć, Lexi! Masz chwilę?

– Oczywiście! Możemy spotkać się już teraz. O trzeciej w Smoothie Hut. Odpowiada? Musisz mi koniecznie opowiedzieć, jak to tam było z tym naszym ciachem Garretem!

– Dzięki. Zaraz tam będę.

I już po dwudziestu minutach sadowiłam się przy jednym ze stolików wystawionych na dwór. Lexi usiadła naprzeciwko mnie, a na stoliku czekały na nas dwa koktajle. Lexi przysunęła do siebie jedną ze szklanek, wsadziła do niej słomkę, popiła i spoglądając na mnie roziskrzonym wzrokiem, wyrzuciła z siebie sakramentalne:

– No i jak było? Mów!

Znów popiła i klepała dalej, nie dając mi dojść do słowa, jak to Lexi:

– Wiesz, jestem zła na ciebie. Powinnaś była zadzwonić do mnie, przecież podrzuciłbym cię na plażę. A ty nie zadzwoniłaś, co więcej, nie zadzwoniłaś zaraz po spotkaniu z Garretem, żeby opowiedzieć, jak poszło! Dopiero teraz, a ja siedziałam jak na szpilkach! Przez tyle godzin! Ember, a więc jak? Byliście w tej zatoce sami przez całe popołudnie. Czy coś się... wydarzyło? – Teraz naturalnie porozumiewawczy uśmiech, a głos niżony do konspiracyjnego szeptu. – Kąпалиście się na golasa?

Zaczerwieniłam się jak burak.

– No wiesz! Tobie tylko jedno w głowie! Oczywiście, że to się nie wydarzyło.

– W takim razie co się wydarzyło?

Wlepiła we mnie oczy, próbując wyczytać coś z mej twarzy, a ja, wcale nie czując się pewnie, tylko wzruszyłam ramionami.

Lexi spochmurniała.

– Ember, proszę. Widziałam was wczoraj w galerii i wiem, że coś między wami się dzieje. A ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką, w związku z czym masz po prostu obowiązek opowiadać mi o wszystkim, co u ciebie się wydarzyło w związku z chłopakami. Tak to już jest między przyjaciółkami. Dlatego, Ember, mów! Pocałował cię?!

– No... nie.

– Nie? Więc może ty go pocałowałaś?

– Hm...

Wtedy Lexi zapiszczała przeraźliwie, na szczęście udało mi się ją uciszyć. Przestała piszczeć i uśmiechając się głupkowato, przekazała prawie szeptem:

– Wiedziałam, że coś między wami jest. Wiedziałam... Ember, wyduś to wreszcie z siebie. Pocałowałaś go?

– No... tak.

I wtedy Lexi uśmiechnęła się inaczej. Teraz był to bardzo pobłażliwy uśmiech osoby dojrzałej, doświadczonej i bardzo mądrej. Owa osoba usiadła wygodniej, niewątpliwie cała zamieniając się w słuch.

– Super. Pocałowałaś go. Mów, co było dalej, no, po tym pocałunku!

– Nic – wyznałam szczerze i ze smutkiem, bo nagle, kiedy w końcu już komuś o tym powiedziałam, zrobiło mi się właśnie tak. Bardzo melancholijnie. – Trochę się wystraszyłam, że zdobyłam się na coś takiego. A potem nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Garret podrzucił mnie, pożegnaliśmy się, wysiadłam i to wszystko. Prawdopodobnie nienawidzi mnie teraz, a przynajmniej uważa za jakąś kretynkę.

– A ja wcale tak nie uważam – oświadczyła Lexi, a ja milczałam. Lexi odczekała chwilę, niecierpliwie postukując palcami po stole, po czym spytała takim właśnie tonem. Niecierpliwym. – Ale będziesz chciała spotkać się z nim, prawda?

– Sama nie wiem.

– Przecież on ci się podoba!

– Tak... Ale...

No właśnie. Podoba mi się, ale ja jestem smokiem, a smok podobno czegoś takiego nie odczuwa. Tymczasem ze mną było dziwnie, bo wystarczyło, że pomyślałam o Garrecie, a już coś tam w środku się działo. A kiedy byłam z nim... Wystarczyło, że powiedział słowo, a już chciało mi się uśmiechnąć. Kiedy spojrzał na mnie, zawsze na moment brakło mi tchu. I śmiał się cudownie, tak cudownie, że zawsze starałam się powiedzieć coś zabawnego, by to właśnie usłyszeć. Jego głośny śmiech. A poza tym okropnie chciałam z nim być, okropnie...

Jeśli więc na tym właśnie polega to „podobanie”, to niewykluczone, że mamy do czynienia z takim właśnie przypadkiem.

– Chyba... tak. Podoba mi się.

Lexi pokiwała głową.

– I ty też mu się podobasz. Nie patrz tak na mnie, Em, jakbyś mi nie wierzyła! Bo na pewno mam rację. Widziałam was przecież razem. I jak nazywam się Lexi Thompson, gwarantuję ci, że czuje do ciebie miętę. Jak myślisz, dlaczego ciągle tu się pojawia? Dlaczego?

Powiedziała, co wiedziała, i całkowicie przekonana o słuszności swego wyводу rozsiadła się jeszcze wygodniej i uśmiechnęła się. Tak jak przedtem. Tym uśmiechem osoby wszystkowiedzącej.

– Uważam, że naprawdę zawróciłaś mi w głowie – podsumowała.

Ja? Jemu? Aż zadrzałam, bo to przecież było niesamowite. Bo gdyby ktoś taki jak Garret żywił do mnie podobne uczucia jak ja do niego, mimo że Talon odmawia smokowi prawa do tego rodzaju doznań...

Tak, był dreszczyk emocji, ale zaraz nadeszła chwila zwątpienia, bolesnego zwątpienia we własne siły, dlatego też w moim głosie słychać było wielką desperacją, a spojrzenie niewątpliwie było błagalne.

– Lexi, co mam teraz zrobić?

– Och, Ember!

Poklepała mnie po ramieniu, uśmiechając się przy tym protekcjonalnie, jakby ona, Lexi Thompson, w wieku szesnastu lat posiadała już bezmiar doświadczenia.

– Nie ma problemu, Ember. Kiedy znów się z nim spotkasz, po prostu pociągniesz to, co zaczęłaś. I pamiętaj, tym razem nie uciekaj.

– Ale jak mam się z nim spotkać? Przecież nie umówiliśmy się, a ja nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Nie znam ani numeru jego komórki, ani adresu mejlowego.

Wpadłam w rozpacz. Bo jestem do niczego, oczywiście! Po raz pierwszy jako człowiek zdecydowałam się na istotny krok. I jakie są tego efekty? A takie, że zraziłam Garreta do siebie. Tylko tyle osiągnęłam, nic więcej, stąd ten smutek. Z powodu chłopaka! I smutna refleksja. Czyżby dlatego smokom odmawiano prawa do ludzkich uczuć, bo z tymi uczuciami zawsze wiążą się wielkie komplikacje?

Jednak Lexi nadal była dobrej myśli:

– Ember, proszę, nie panikuj. Wiemy przecież, że mieszka przy głównej arterii, wiemy nawet, w którym domu. Poza tym to miasteczko, spacerek w jedną, spacerek w drugą stronę, i już znasz tę całą metropolię. Dlatego Crescent Beach, które prawdziwym miastem na pewno nie jest, znam jak

własną kieszeń. Znajdziemy go. Masz to jak w banku.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście! Przecież nie może być inaczej. Ember! Całujesz się z prawdziwym ciachem i potem ja, twoja najlepsza przyjaciółka, mam spokojnie patrzeć, jak dalszego ciągu nie ma? Na który ty masz ochotę?! Ember!

Moja najlepsza przyjaciółka. Jeszcze nie tak dawno jedyną moją bratnią duszą był Dante. Zawsze razem stawialiśmy czoła wszelkim przeciwnościom. Ale z Dantem nie można było pogadać o chłopaku rodzaju ludzkiego, który obudził we mnie takie uczucia. Niczego by nie zrozumiał. A Lexi to co innego. Mało tego, że doskonale rozumiała te szalone, dotąd nieznanne mi emocje, to jeszcze zachęcała mnie, bym uległa im całkowicie.

Kochana Lexi.

– Dzięki – wyszeptałam wzruszona.

– Nie ma sprawy – odparła, uśmiechając się chytrze. – Ale coś za coś, droga przyjaciółko! Pamiętaj, że od chwili, kiedy już go odnajdziemy, masz mnie informować o wszystkich ciekawych szczegółach waszej znajomości, jasne?

– Lexi! Jesteś okropna!

– Trudno. Każdy ma jakieś hobby, a ja po prostu lubię wiedzieć. Poza tym przyznaj sama. Beze mnie byś zginęła!

– Ejże, czy to aby nie lekka przesada? Jakoś udało mi się przeżyć bez ciebie ładnych kilka lat.

– Zgadza się. I dla mnie to prawie cud, dlatego dobrze, że masz mnie teraz pod ręką – oświadczyła Lexi z pełnym przekonaniem i wyraźnie rwąc się do czynu, przeszła do konkretów: – I mam dla ciebie pierwszą dobrą wiadomość. Wiem już, gdzie go dopadniemy.



## GARRET

Czyli sprawa jasna. Imprezy zaczynające się o siódmej wcale się o siódmej nie zaczynają. Dowód? Kristin moim widokiem była wyraźnie zaskoczona.

– O nie! A... Cześć, Garret! Cześć, cześć! Nie ukrywam, że zjawiłeś się ciut za wcześniej.

Za wcześniej? Spojrzałem na zegarek. Za pięć siódma, czyli już prawie na granicy punktualności wytyczonej przez rzeczywistość, w której dotąd przebywałem. Jeszcze kilka minut i już kazano by mi się zameldować u sierżanta. I miałbym za swoje.

Zdezorientowany przełożyłem skrzynkę piwa do drugiej ręki.

– O ile pamiętam, mówiłaś, że zaczyna się o siódmej, prawda?

– Tak, ale... Ach, nieważne! – Kristin uśmiechnęła się i otworzyła drzwi szerzej. – Wchodź. Nikogo jeszcze nie ma. Wejź i czuj się jak u siebie w domu.

– Dzięki.

Wszedłem do holu i wiadomo, że najpierw rozejrzałem się dookoła. A dookoła było naprawdę ładnie i jasno, bo okna zaczynały się prawie przy podłodze i sięgały sufitu. Wielkie, na pewno bardzo drogie, ale coś za coś, bo widok z tych okien był fantastyczny. Oczywiście na ocean. A poza tym wszędzie biało. Białe ściany, w kuchni biały marmur w połączeniu ze stalą nierdzewną, kanapa narożna w pokoju dziennym obita białą skórą. Przed białą kanapą stał niski biało-czarny stolik, a na ścianie za kanapą wisiał telewizor z płaskim ekranem. Wielkim, na pewno siedemdziesiąt dwa cale. I wszędzie ta śnieżna biel, czasami tylko jakiś kolorowy akcent, na przykład niebieskie poduszki na kanapie czy sztuczne drzewka rozstawione po kątach.

– Garret, chodź! – zawołała Kristin z kuchni. – Wstawisz piwo do lodówki. Trochę tego tam już jest. Może chcesz się napić? Piwa albo wody sodowej? Na co masz ochotę. A ludzie zaraz zaczną się schodzić.

Trochę jednak speszony poszedłem do kuchni, by ulokować piwo zgodnie z instrukcją, i wróciłem do pokoju dziennego. Tak, stanowczo nie czułem się w swoim żywiole. Impreza, dom obcych ludzi, w którym zaraz zjawią się tłumy. Dla mnie nowość, jednak byłem zdecydowany przebrnąć przez to, dając z siebie wszystko. Czyli zachowywać się normalnie, jak wszyscy. Po prostu nowe zadanie. Dlatego tu byłem, z powodu pewnej osoby, która jeszcze się nie pojawiła, i miałem przecucie, że nie nastąpi to szybko.

– A gdzie twój kuzyn? – zawołała znowu Kristin. Tym razem głos dochodził z holu. – Jak on się nazywa? Travis? Czy jak?

– Tristan! – odkrzyknąłem. – Nie mógł przyjść, bo go dopadło. Leży!

– Aha!

Tylko tyle. Żadnego „o, jaka szkoda” albo „miejmy nadzieję, że szybko z tego wyjdzie” czy coś w tym rodzaju. Nie, tylko trzaśnięcie drzwiami. Niech będzie. A jeśli chodzi o Tristana, to oczywiście wcale nie był chory, tylko siedział przy laptopie, śledząc to, co wyłapywała ukryta kamera skierowana na drzwi frontowe w domu Hillów. Gdyby zobaczył, że opiekunowie Ember i Dantego gdzieś się wybierają, miał jechać za nimi. Jeśli nie, to ma po prostu dalej obserwować. Byłem bardzo zadowolony, że tego wieczoru padło na Tristana. Ja nie byłem entuzjastą ślęczenia przy komputerze, Tristan natomiast mógł obserwować godzinami. Dzięki anielskiej cierpliwości i wyjątkowej spostrzegawczości był w tym niedościgniony. Nic nie umykało jego uwadze, nawet najmniejszy szczegół. Dziś obserwował dom Hillów, ja natomiast miałem inne zadanie. Całkiem innego rodzaju.

– Myślę, że jesteśmy na dobrym tropie – oznajmił Tristan wieczorem poprzedniego dnia, podchodząc do kontuaru, gdzie stały otwarte pudełka z jedzeniem od Chińczyka. Nie odpowiedziałem, ponieważ byłem już w drodze do pokoju dziennego razem z pudełkiem z befsztykiem po mongolsku. Usiadłem, wziąłem pałeczki do ręki i zacząłem konsumować, popatrując w okno, za którym rozgrywał się bardzo malowniczy zachód słońca. Niebo było różowe, a chmury porażały czerwienią przywodzącą na myśl pewną istotę o włosach równie płomienistych jak te chmury...

– Myślę też, że wiem, jaki powinien być nasz następny ruch – ciągnął Tristan, pochłaniający swoje danie przy kontuarze.

– A niby jaki?

– Bardzo nieskomplikowany – odparł Tristan, przerywając na moment unicestwienie marchewki. – Umówisz się z nią.

Ja?! Z nią?! Mało brakowało, a bym się udławił tym cholernym kawałkiem cebuli. Udało mi się jakoś przełknąć, co było konieczne, by dać głośno wyraz swemu wielkiemu zdumieniu.

– Umówić się?!

– A tak! – odparł Tristan, a ja czułem, że temperatura moich policzków znacznie się podwyższa. Na pewno były już czerwone, czym Tristan oczywiście był zachwycony, bo z jeszcze większym zapalem perorował dalej, wymachując pałeczkami. – Umówisz się z nią na randkę. Randka! Znasz chyba ten wyraz? Wiesz, co oznacza? Chłopaki i dziewczyny, kiedy pokończą naście lat, zaczynają się spotykać. Umawiają się i idą gdzieś razem, do kina na przykład albo coś zjeść. I ty to właśnie zrobisz. Umówisz się z nią i zrobisz wszystko, by się rozgadała. Zdobędziesz jej zaufanie. Chyba nie będzie to dla

ciebie takie trudne. Przecież już cię pocałowała, prawda?

A teraz to już na pewno czerwony byłem jak burak, kiedy ów drobny fakt odżył w mojej pamięci.

– I co z tego? – zaprotestowałem. – To, że mnie pocałowała, wcale jeszcze nie znaczy, że rozgada się przy mnie. Wiadomo, że smoki starają się zasymilować pod każdym względem. Mogła pocałować mnie tylko dlatego, że wszyscy ludzie to robią.

– Nie sędzę. Przede wszystkim dlatego, że nigdy nie widziałem, by całowała kogoś innego. Tak czy inaczej, zaprosisz ją na randkę. Ona na pewno nie odmówi, przecież wszyscy się umawiają, więc ona też. Kto wie, czy nie zaprosi cię do siebie. Gdyby tak się stało, to wiadomo, zainstalujesz tam tyle pluskiew, ile się da, i wreszcie będziemy mieli czego posłuchać.

– A jeśli ona jednak nie jest naszym celem?

– To po prostu nie jest. Co za problem? Damy sobie z nią spokój i będziemy namierzać dalej.

Nie, nie powiedziałem Tristanowi, co tak naprawdę o tej całej randce myślę. Bałem się jej okropnie, na pewno bardziej niż rozwścieczonego smoka wążącego dwanaście ton. Bo nigdy dotąd na żadnej randce nie byłem. Nie miałem pojęcia, jak w takiej sytuacji należy się zachować, co zrobić, czego nie. Zero doświadczenia, a poza tym nie wiedziałem, czy w obecności Ember będę w stanie nad sobą zapanować. Prawdopodobnie nie, bo uczucia, które we mnie wzbudzała, były to uczucia o wyjątkowo dużym natężeniu. Ten wewnętrzny żar, wielka ochota, by jej dotknąć, i tak dalej.

Ale cóż...

– Nie ma problemu – mruknąłem. – Wiem, o co chodzi.

– Super! – Tristan uśmiechnął się, zabierając się za krewetkę. – A więc plan jest następujący. Jutro wieczorem idziesz na tę imprezkę, gdzie na pewno będzie Ember, no i umówisz się z nią.

Gdzieś tak po godzinie, czyli około ósmej, wreszcie zaczęli napływać goście, przy czym ilość piwa wraz z tym przyplływem uległa znacznemu zwiększeniu, ponieważ kilku chłopaków, którzy pojawili się jako pierwsi, przyjechało po prostu z beczką, którą ustawili na patio, obok jacuzzi. A potem przed dom zajeżdżał jeden samochód za drugim i niebawem w pokoju dziennym był już dziki tłum. Taki sam ścisk na patio i koło basenu na tyłach domu. Włączono muzykę. Głośną od samego początku, ale i tak pogłaśniali, póki pojawiło się tyle decybeli, że ściany aż się trzęsły. Wtedy zaczęli tańczyć. W grupkach, na środku pokoju, nierzadko wpadając na siebie, a ja stanąłem koło kanapy i popatrując na ten chaos, popijałem piwo z plastikowego kubka. Piwo

zdecydowanie nie było najlepsze. Na pewno bardzo tanie i ciepłe, ale ponieważ wszyscy pili, więc ja też, w ramach całkowitej integracji.

– Garret! To naprawdę ty?!

Z roztańczonego tłumu cała w uśmiechach wyłoniła się Lexi Thompson. Oczywiście też uśmiechnąłem się do niej i kiwnąłem głową, zerkając przy tym na boki, czy przypadkiem nie pojawi się też inna osoba.

– Super, że tu jesteś, człowieku z daleka! – wołała Lexi, starając się przekrzyczeć muzykę. – Wygląda na to, że ciągle na siebie wpadamy. Ale zaraz... – Uśmiech Lexi zdecydowanie poszerzał. – Czy ty przypadkiem nie czatujesz na kogoś? No to ci pomogę. Przecież wiem, o kogo chodzi. Ember jeszcze nie ma, ale na pewno się zjawi. Z tym że... – Uśmiech nagle zgasł i Lexi wbiła we mnie płonący wzrok. – Ostrzegam! Ember jest moją przyjaciółką, najlepszą przyjaciółką, a ja widziałam już zbyt wielu takich zawodników, co to przyjeżdżają, chcą się zabawić i następnego dnia znikają. Jeśli też masz takie plany, to lepiej do Ember się nie zbliżaj. Pamiętaj, jeśli zrobisz jej coś złego, będziesz miał ze mną do czynienia!

– Okej, zapamiętałem – odparłem, ale bez żartobliwego tonu, tylko ze śmiertelną powagą, ponieważ ta dziewczyna, choć niewątpliwie nie stanowiła takiego zagrożenia jak rozwścieczony dwunastotonowy smok czy uzbrojony po zęby facet, powiedziała jednak coś, czego nie mogłem zlekceważyć. Chociażby dlatego, że wykazywała się lojalnością wobec przyjaciółki, co było godne największej pochwały. Poza tym Lexi, choć ostrzegała, że w razie czego policzy się ze mną, to przede wszystkim nalegała, bym trzymał się od Ember z daleka, jeśli mam nieczyste zamiary. A to dowód, że Ember jeszcze mnie nie skreśliła i moje towarzystwo nie jest jej niemiłe.

Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Pokiwała głową.

– Dobrze. Nie zapominaj o tym. I jeszcze coś bardzo ważnego...

Rozejrzała się czujnie dookoła i szybko rzuciła mi coś wprost do rąk. Coś bardzo małego, kwadratowego i w plastikowym opakowaniu. Coś miękkiego i były to...

No tak. Czuję, że niestety znów robię się czerwony, a Lexi mruknęła:

– Tak na wszelki wypadek...

I wtedy nagle usłyszałem czyjś głos, gdzieś z tyłu:

– Alexis Thompson!

Ember. Wreszcie! Wynurzyła się z tłumu i obchodziła kanapę, niby skradając się i posyłając przyjaciółce mordercze spojrzenia. Lexi krzyknęła, naturalnie udając okropnie wystraszoną, i błyskawicznie zaczęła wycofywać się w kierunku tłumu tańczących. A ja równie szybko niebieski drobiazg

w plastikowym opakowaniu wsunąłem między poduszki kanapy.

– Będziesz miała wielki problem, Lexi! Wielki! – krzyknęła Ember za znikającą w tłumie przyjaciółką. – I nie łudź się! Niczego ci nie powiem, niczego!

A potem już do mnie:

– Cześć, Garret! Bardzo bym chciała, żebyś zaprzeczył. Powiedział, że moja świrująca przyjaciółka, która niebawem będzie już martwa, wcale nie dała ci tego, co mam na myśli. Mów!

– Szczerze mówiąc, wolałbym nie odpowiadać na to pytanie, bo może grozić to wybuchem. Mam więc do wyboru albo schować się do czarnej dziury, albo milczeć. A ja wybieram milczenie!

Ember wybuchnęła śmiechem i nagle atmosfera się rozluźniła.

– Wstawaj! – zawołała, pociągając mnie mocno za rękę. – Idziemy tańczyć!

Tańczyć?! Spanikowałem, to oczywiste. Ember ciągnęła mnie na środek pokoju, a ja regularnie się zapierałem. Przecież nigdy dotąd nie tańczyłem! Nigdy, tak samo jak nie piłem piwa, jak nie pozwalałem się innym dotknąć.

No tak. Ale mam się przecież integrować.

Ember konsekwentnie ciągnęła mnie przez tłum wijących się, rozedrganych, względnie podskakujących ciał, kierując się na sam środek parkietu. Kiedy tam dotarliśmy, puściła mnie i w tym samym momencie muzyka ucichła, a z mikrofonu popłynął skrzekliwy głos didżeja:

– Teraz zwolnimy na trochę...

Zaraz potem rozległa się inna piosenka, o wiele wolniejsza niż poprzednia. Wokół nas też zrobiło się spokojniej. Już nie wili się, nie trzęśli, tylko tańczyli w parach. Powolutku, po prostu kołysali się w rytm melodii.

Przełknąłem nerwowo i spojrzałem w dół, na Ember, a ona spojrzała na mnie tymi zielonymi oczami lśniącymi pod burzą rudych włosów. Spojrzała, podeszła do mnie bliżej. Bardzo blisko i... zarzuciła mi ramiona na szyję. Mnie oczywiście przytknęła, a zaraz potem zeszywniałem, a Ember, nadal patrząc mi w oczy, przywarła do mnie.

– Czy tak jest dobrze? – spytała.

Wtedy na szczęście zdołałem się zmusić do nabrania powietrza, dzięki czemu mogłem odpowiedzieć:

– Tak.

I przystąpić do działania. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić z rękami, więc po prostu objąłem ją w pasie. Wtedy zadrżała, tak jak ja, po czym, tak jak inni, zaczęła kołysać się w rytm melodii. Więc ja też się zakołysałem, a po krótkiej chwili usłyszałem ciche:

– Przepraszam za wczoraj. Głupio wyszło. Najpierw zrobiłam... właśnie to,

a potem zwiąlam...

– Bo zrobiłem coś nie tak? – spytałem równie cicho.

– Nie, nie... Wszystko dlatego, że nigdy dotąd z nikim się nie całowałam, w ogóle z nikim się nie umawiałam. Wychowałam się na odludziu. Byliśmy tylko ja i Dante. Nie znałam żadnych innych chłopaków, tylko Dantego, ale to przecież mój brat. A ty... to co innego. O nie, co ja wygaduję... – Skrzywiła się, pochyliła głowę i wymamrotała gdzieś tam w moją pierś: – Po prostu nie mam żadnego doświadczenia w tych sprawach. Nigdy czegoś takiego przedtem nie robiłam...

Była taka ciepła i tak blisko, że ocierała się o mnie w tym tańcu, a ja za każdym razem z wrażenia przymykałem oczy.

– No to jedziemy na tym samym wózku – wymamrotałem po chwili.

– Nie mów! – Natychmiast poderwała głowę. – Ale nie było to takie straszne, prawda? Ten pocałunek. Na pewno trudniej jest surfować na dwunastometrowej fali czy kłaść trupem krwiożerczych zombie.

Chyba tak... Mimo woli uśmiechnąłem się, kiedy pomyślałem, ile to ja walk mam już za sobą. Nazbierało się tego przez te wszystkie lata. A walka to chaos, świst pocisków, szpony i ogień z paszczy smoka. Niestety, nie było w tym ani jednej wskazówki, jak postępować... w tych sprawach.

– Oczywiście, że nie. Teraz przynajmniej wiem, Ember, że kiedy podchodzisz do mnie, to nie po to, by skonsumować mój mózg.

Nie wiem, skąd raptem przyszło mi to do głowy. W sumie dowcipne to nie było, ale Ember zaśmiała się. Moje serce natychmiast wykonało ten jedyny w swoim rodzaju podskok i wtedy nagle obudził się we mnie żołnierz. Żołnierz surowy, przywołujący do porządku.

Wyhamuj, facet, nakazał mi ten żołnierz. Nie zapominaj, że to misja, a ty za bardzo się wyluzowałeś.

Nie posłuchałem go. Kiedy miałem przy sobie ciepłutką Ember, cały się po prostu rozpływałem. Znikałem jak kartka trzymana nad płomykiem świecy. Teoretycznie powinienem czuć się z tym wszystkim nie najlepiej, wręcz zagrożony, i szybko schować się za ten mur, który wzniosłem wokół siebie przez długie lata żołnierskiego życia. Mur, dzięki któremu mogłem znieść widok kolegów rozszarpywanych na strzępy czy spokojnie przyjmować wrzaski przełożonych wykrzykujących ci prosto w twarz. Teraz jednak nie w głowie mi był jakiś tam mur, ponieważ po raz pierwszy od bardzo długiego czasu było mi po prostu dobrze. Tak dobrze, że mógłbym śmiało do takiego stanu przywyknąć. O tak. Byłem tego już całkowicie pewien, kiedy przytuliłem do siebie Ember trochę mocniej.

A Ember oparła się czołem o moje ramię i zaczęła mówić, wyraźnie

speszona, bo jednocześnie skubała nerwowo moją koszulę albo rysowała palcem kółka na mej piersi.

– Wiesz, Garret, chciałabym ci coś powiedzieć, ale nie bardzo wiem jak... A chodzi o to, że bardzo lubię być z tobą i bardzo nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżał... O nie, znów coś tam wygaduję. Głupia jestem. Lepiej powiedz mi, gdzie jest ta czarna dziura. Schowam się tam i nigdy już nie wyjdę.

– Nie powiem.

Podniosła głowę. Jej twarz oddalona była od mojej o zaledwie kilka centymetrów. Spojrzałem w zielone oczy i czas stanął w miejscu. Dziki tłum wokół nas nagle rozplątał się w nicość. Byliśmy sami, otuleni dźwiękami piosenki i mrokiem. Ramiona Ember zacisnęły się na mej szyi mocniej, zapraszając, bym pochylił głowę. Palce delikatnie głaskały mój kark...

Tylko to, bo tym razem to ja miałem podjąć decyzję.

Pogłaskałem ją po policzku, nachyliłem się...

– Cześć!

Obcy, męski głos. Bardzo twardy. Wściekły odsunąłem się trochę od Ember i odszukałem wzrokiem intruza. Kto? Gościu w skórzanej kurtce z czarnymi rozwichrzonymi włosami. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i uśmiechał się. Och, uśmiechał się jawnie złowrogo. Dla mnie ktoś całkowicie mi nieznany, dla Ember nie. Bo pisnęła, na moment zeszywniała w moich ramionach, a potem krzyknęła:

– Riley?! To ty? Co ty tu robisz?

I wtedy ja zeszywniałem.

## EMBER

Ten wieczór okazał się przedziwny.

Byłam pewna, że wiem, czego chcę. Przed tą imprezą Lexi ze wszystkich sił starała się mnie przekonać, że Garret na pewno przyjdzie. Przecież Kristin też go zaprosiła, poza tym jej imprezy obrosły już legendą i nie ma siły, żeby się nie pojawił. Ja jednak powtarzałam, że to nic pewnego. Garreta może tam nie być, a ja nie mam numeru jego komórki, żeby ewentualnie go ściągnąć. Z tym że Lexi, choć była równie nieprzejeđnana jak ja, miała opracowany plan B. Gdyby nie przyszedł, będziemy go szukać. Miałyśmy codziennie przeczesywać plażę i inne miejsca, do których ściąga młodzież.

Kiedy Dante i ja zaparkowaliśmy na końcu długiego szeregu samochodów stojących na podjeździe, resztki mojej nadziei znikły. Byłam prawie na sto procent pewna, że Garreta tu nie zastanę, chociażby dlatego, że na moje wyczucie wcale do imprezowiczów nie należał. Wiedziałam też, że jeśli istotnie go tu nie spotkam, będę okropnie rozczarowana, dlatego już starałam się jakoś pocieszyć, powtarzając sobie w duchu, że nie wszystko stracone. Jutro, zgodnie z planem Lexi, wyruszymy na łowy i na pewno gdzieś go w końcu znajdziemy.

Kiedy szliśmy przez podwórze, Dante zauważył swoich znajomych, bardzo dużą ich grupę. Stali z boku i gadali. Oczywiście od razu poleciał do nich, z czego wcale nie byłam zadowolona, ale cóż... Szłam dalej, zamierzając jak najszybciej dopaść Lexi, bo co dwie głowy, to nie jedna. Ja poszukam tu, ona tam i szybko przekonamy się, na czym stoimy. Taki był mój plan, który nie wymagał jednak realizacji, ponieważ kiedy tylko przestąpiłam próg, od razu go dostrzegłam. Siedział na kanapie i sprawiał wrażenie bardzo skrepowanego. Nic dziwnego, bo Lexi rzuciła mu właśnie to, a ja miałam wielką nadzieję, że to coś nie jest jednak prezerwatywą. Zaczęłam się wygłupiać, skradać się do nich, a w brzuchu, jak zwykle na widok Garreta, motyle. Poza tym, mimo że byłam bardzo zawstydzona moją ostatnią akcją – wiadomo, mówię o pocałunku – to o niczym innym nie myślałam, jak tylko o powtórcie. Pocałować go jeszcze raz, poczuć pod palcami bicie jego serca, poczuć jego zapach... Jeśli były to odczucia stuprocentowo ludzkie, to ja chwilowo byłam tylko i wyłącznie człowiekiem. Talon naturalnie by tego nie zaaprobował, ale niech się schowa. Wystarczająco już narozrabiał cały ten Talon. Tak cieszyłam się na to lato, marzyłam o całkowitej wolności, a oni przysłali mi instruktorkę sadystkę! Dlatego wara ode mnie, bo ten czas tutaj należy całkowicie do mnie!

Tańczyliśmy. Kołysaliśmy się tak cudnie, tak słodko, i Garret chciał mnie



pocałować. Widziałam to w stalowoszarych oczach, wyczuwałam w dłoniach rozplaszczonych na moich plecach i w biciu serca, po prostu rozszalałam, co mojej smoczyce naturalnie bardzo się nie podobało. Syczała, kulila się, ale serce było innego zdania. Biło równie szybko jak serce Garreta. Jak jego echo...

I wtedy właśnie, w tej tak szczególnej chwili, wyczułam nagle ten jedyny w swoim rodzaju powiew zimnego powietrza, który moja smoczyca zidentyfikowała natychmiast. Dlatego zanim jeszcze usłyszałam głos, wiedziałam już, kogo zobaczę, mimo że kiedy spojrzałam na niego, i tak trudno mi było uwierzyć własnym oczom.

– Riley?!

O mały włos, a krzyknęłabym – Cobalt! Na szczęście w porę ugryzłam się w język, przecież nie wolno zapominać, że jest ich dwóch i każda z tych wersji ma swoje imię. Moja smoczyca, bardzo podekscytowana, na powitanie zionęła ogniem, stąd ten żar w środku. Także przeogromna ulga, bo jak naocznie mogłam się przekonać, z Rileyem wszystko w porządku. Nic złego mu się nie przydarzyło i nadal kręci się po okolicy.

– A co ty tu robisz?

Zbiegły smok uśmiechnął się, oczy mu rozbłyły, ale nie odpowiedział, bo mierzył wzrokiem Garreta. Patrzył niby z ciekawością i ze szczyptą ironii, ja jednak dostrzegłam tam również spojrzenie smoka. Spojrzenie takie, jakby ten, kto patrzył, miał zamiar Garreta upiec tu i teraz, na środku pokoju dziennego w domu rodziców Kristin.

I ten ktoś, kto chciałby Garreta żywcem upiec, spytał właśnie jego, tego jeszcze nieupieczonego:

– Nie masz nic przeciwko temu, jeśli postoję tu chwilę z wami?

Czułam, jak Garret sztywnieje, a jego ręce wokół mej talii stały się jak żelazne obręcze. Z tym że z wierzchu nie było widać żadnych oznak zdenerwowania. Głos spokojny, choć lakoniczna odpowiedź na pewno nie była po myśli pytającego:

– Mam.

Riley nadal się uśmiechał, ale w oczach błysnęło. Pewnie pomyślał, że ten sprzeciwiający się człowiek jest po prostu zabawny, co bardzo mnie zaniepokoiło. Riley był zbiegiem, nie kierował się już zasadami Talonu. Nie sądziłam jednak, że będzie aż do takiego stopnia lekkomyślny – po prostu głupi – żeby poddać się Przemianie na oczach tylu świadków. Przybrać postać smoka, zionąć ogniem, w konsekwencji czego z Garreta pozostaną tylko zwęglone szczątki. Tak to widziałam, ale pewności oczywiście nie miałam, dlatego uznałam, że najrozsądniej będzie z nim porozmawiać. Odwrócić jego

uwagę od Garreta, a jednocześnie podpytać wiadomo o co. O Talon. Miałam w zanadrzu wiele pytań, na które mógł odpowiedzieć tylko Riley, który cudownym zrządzeniem losu pojawił się na imprezie u Kristin. Co nie znaczy, że wybrał chwilę odpowiednią. Dla mnie była to chwila jak najmniej odpowiednia, niemniej jednak nie zamierzałam wypuścić go z rąk. A moja smoczyca po prostu skakała z radości, zachwycona, że Riley jest tutaj, że to naprawdę on. Biedna smoczyca nie zapomniała przecież tych cudownych chwil, kiedy razem z Rileyem – nie, z Cobaltem! – fruwaliśmy nad oceanem.

– Garret... – zagadnęłam możliwie jak najłagodniej. – To mój znajomy, chciałabym z nim chwilę porozmawiać.

Spojrzenie Garreta stwardniało, zęby zaciśnięte, ale kiwnął głową i odszedł. Wmieszał się w tłum, a ja zrobiłam głęboki wdech, gotowa już zaproponować Rileyowi, byśmy przeszli tam, gdzie będzie można spokojnie pogadać. W tym momencie puścili nową piosenkę, tym razem znowu w szybkim rytmie, czyli koniec z kołysaniem się. Tłum tańczących znów przypominał wzburzony ocean. I wtedy Riley, uśmiechnięty wręcz prowokacyjnie, podszedł do mnie, poruszając się w rytm muzyki. Poruszając się rewelacyjnie, więc ja po krótkiej chwili namysłu dołączyłam do niego. Naturalnie nie za szybko, udając, że specjalnie mi na tym nie zależy. Moja smoczyca oczywiście już po prostu szalała.

Riley uśmiechał się jakby trochę już kpiąco.

– I znowu się spotykamy, Firebrand!

Głos przyciszony, bo to, co mówił, przeznaczone było wyłącznie dla moich uszu. A tańczyliśmy bardzo blisko siebie. Nie dotykaliśmy się, ale ja i tak wyczuwałam emanujące z niego ciepło. Jakby w nim, w środku Riley, płonął ogień, którego jęzory sięgały już skóry.

– Widzę, że całkiem nieźle się zasymilowałaś, Firebrand. Mam nadzieję, że jednak nie zapominasz, że ten gościu to człowiek, a ty człowiekiem w stu procentach nie jesteś!

– Trochę ciszej, proszę! – rzuciłam opryskliwie, chociaż muzyka była tak głośna, że rozsadzało ściany, więc nikt nie mógł nas podsłuchać. Jednak Talon nie na darmo przez tyle lat wbijał mi do głowy, że w obecności ludzi nigdy, przenigdy nie wolno rozmawiać o czymkolwiek, co dotyczy smoków. – A tak w ogóle to nie twoja sprawa. Lepiej powiedz, jak się dowiedziałeś, że tu będę.

Riley uśmiechnął się.

– Mówiłem ci, że zawsze cię znajdę, prawda? – powiedział prawie pieszczotliwie, podchodząc do mnie jeszcze bliżej. – A ty, Firebrand, wyglądasz na zaskoczoną moim widokiem. Czyżbyś o mnie zapomniała?

Drażnił się ze mną, cały czas tańcząc, przy czym jego ruchy były niezwykle

zręczne, płynne i pewne, a to świadczyło, że na imprezie wcale nie czuje się obco. Przeciwnie, czuje się jak ryba w wodzie.

– Gdzie się podziewałeś? – spytałam, odpowiedzi jednak nie uzyskałam. Riley uniósł tylko znacząco brew. A ja nachyliłam się ku niemu i dokończyłam jeszcze ciszej: – Czy wiesz, że cię szukają? Ktoś o tobie doniósł i w zeszłym miesiącu przysłali tu agentów.

Kto doniósł? Dante. O nie! Prawie zajęczałam, kiedy dotarło do mnie, że przecież Dante jest tu, na imprezie, jeśli zobaczy Riley'a...

– Powinieneś stąd zniknąć, Riley. Jeśli mój brat cię przyuważy...

Nie dokończyłam, bo ustawił się teraz za mną. Objął mnie w pół obiema rękami i już zrobiło mi się gorąco. A co dopiero, kiedy nachylił się nade mną i zaczął mi klarować wprost do ucha. Słuchałam rozdarta, bo nie byłam w stanie podjąć decyzji, czy oprzeć się o niego, czy jednak go odepchnąć. A on mówił i mówił:

– Nie martw się o mnie, Firebrand. Zrobię, co trzeba. A do ciebie mam jeszcze jedno pytanie. Nadal chcesz pogadać o Talonie? Chcesz dowiedzieć się, kim oni są, ci wszyscy, którzy stoją najwyżej, i czego chcą naprawdę? Mogę ci o tym opowiedzieć, o ile nadal jesteś zainteresowana.

Uśmiechnął się, jednym szybkim ruchem włożył mi coś do kieszeni i odsunął się o krok. Ja naturalnie natychmiast wsunęłam rękę do kieszeni. Co tam było? Złożona wielokrotnie karteczka.

– Numer mojej komórki – powiedział Riley półgłosem. – Gdybyś rzeczywiście chciała pogadać ze mną, zadzwoń. I pamiętaj, gdyby coś się działo, gdyby Talon mnie uprzedził i sam ukazał ci swoją prawdziwą twarz, nie zastanawiaj się, tylko dzwoń do mnie, dzwoń natychmiast. Przecież jestem w pobliżu i w każdej chwili mogę ci pomóc.

Milczałam, bo nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Riley też nic nie mówił, tylko spoglądał na mnie tymi swoimi jasnymi złocistymi oczami, znów rozpalając we mnie ten ogień. A niech to! Dlaczego tak na mnie działa? Czy dlatego, że tak samo jak ja jest smokiem, a do tego smokiem zbiegiem, który ośmielił się sprzeciwić Talonowi i żyje po swojemu, czyli prowadzi takie życie, o jakim mogę sobie tylko pomarzyć?

A może było to coś innego, coś głębszego? Może w Rileyu jest coś, na co reaguje mój smoczy, pierwotny instynkt? Nie da się tego wykluczyć. Owszem, Riley jako człowiek był uroczy i pełen tajemnic, po prostu rewelacyjny, jednak i tak przede wszystkim widziałam w nim smoka.

Po drugiej stronie pokoju zrobiło się nagle jeszcze głośniejsze. Wyraźnie coś się działo, więc oczywiście spojrzałam w tamtą stronę. I zobaczyłam, jak wysoki i szczupły chłopak zmierza zdecydowanym krokiem ku wyjściu.

## GARRET

Musiałem wyjść z imprezy.

Kiedy raptem pojawił się koło nas ten facet i zapytał, czy może się dołączyć, poczułem to charakterystyczne ostrzegawcze ukłucie, świadczące, że pojawiło się coś dziwnego, obcego. Naturalnie poczułem też złość, stąd moja odpowiedź na jego pytanie, oszczędna, ale wyraźnie dająca do zrozumienia, że ma spadać. I wtedy Ember powiedziała, że to jej znajomy i chce z nim pogadać. Właśnie wtedy. Ogarnęła mnie wściekłość, ale co mogłem zrobić. Nic. Musiałem się wycofać. Stałem w kącie, skąd dobrze widziałem tę parę. Nie, wcale mi się nie podobało, kiedy zaczęli tańczyć. Niby te wygibasy, ale tańczyli bardzo blisko siebie, co było wkurzające. A kiedy ten podrygujący typek położył ręce na biodrach Ember, moje dłonie zacisnęły się w pięści, co miało być pomocne w stłumieniu w sobie nieprzepartej chęci, by podejść do faceta i strzelić go w ryja.

I w tym momencie nastąpiła chwila refleksji. Wyluzuj, bo niby dlaczego to, co robi Ember, tak bardzo cię obchodzi? W końcu może sobie potańczyć, z kim chce, a to, że w towarzystwie tego palanta czuje się znakomicie, nie powinno mieć dla ciebie żadnego znaczenia. Na pewno jest zadowolona, bo gdyby było inaczej, nie patrzyłaby na niego właśnie tak, ale naprawdę nie warto się tym przejmować. Potańczą, on sobie pójdzie i będzie okej.

Może i tak, ale póki co czułem do niego po prostu nienawiść. Moim najgorętszym pragnieniem było przyłożyć mu porządnie, żeby się odczepił od rudowłosej dziewczyny, z którą w końcu to ja rozmawiałem, i to w szczególny sposób, to ja z nią tańczyłem, a on po prostu się wepchnął...

Nagle dotarło. Coś takiego, że mnie przytknęło. A przytknęło tak, że musiałem oprzeć się o ścianę. Już wiedziałem, skąd ten mój gniew. Po prostu byłem zazdrosny! Zazdrosny o dziewczynę, którą mam śledzić, podrywać tylko po to, by otworzyła się przede mną, dzięki czemu będę mógł dojść, kim jest naprawdę.

A ja tymczasem jestem o krok od zakochania się. Właśnie w niej.

O nie! Oparłem głowę o ścianę, zamknąłem oczy. Wściekły, bo najchętniej zamordowałbym teraz siebie. W końcu jestem żołnierzem, wypełniam misję i na sprawy osobiste naprawdę nie ma tu miejsca. Na żadne uczucia, które tylko skomplikują sytuację, ugodzą w moje priorytety, a do tego nie wolno dopuścić. Będzie tak, jak ma być. Jeśli Ember jest człowiekiem, zniknę z jej życia. Na zawsze, ewentualnie depreczując jej uczucia, jeśli coś takiego w niej wzbudziłem.

A jeśli Ember istotnie jest naszym celem...

O tym wołałem nawet nie myśleć. Otworzyłem oczy w chwili, gdy typek wkładał coś Ember do kieszeni. Żołnierz musi mieć bystry wzrok, dostrzegłem więc, że to kawałeczek papieru. I byłem już o krok od wywalenia gościa przez okno.

Na co nie mogłem sobie teraz pozwolić. Dlatego oderwałem się od tej ściany i ruszyłem przed siebie. W stronę drzwi.

## EMBER

– Garret! Poczekaj!

Zdesperowana przepychałam się przez tłum, który był wszędzie, bo imprezowano i w domu, i na zewnątrz. Ludzie siedzieli na schodach, na długim podjeździe też ich nie brakowało. Kilku chłopaków stało wokół pikapa z otwartą tylną klapą, każdy z butelką albo puszką piwa w ręku. Kiedy ich mijałam, moja smoczyca wydała z siebie groźny pomruk, ale puściłam to mimo uszu, skoncentrowana przede wszystkim na chłopaku, który konsekwentnie parł do przodu. Nie było żadnych wątpliwości. Garret wychodził z imprezy, więc leciałam za nim przerażona, bo przekonana, że jeśli teraz sobie pójdzie, nigdy więcej go już nie zobaczę.

– Garret! A niech to... Garret! Stój! Zaczekaj!

W końcu odwrócił się i przez moment miał taką minę, jakby nie mógł znieść mojego widoku. Zaraz jednak twarz przykryła maska idealnej obojętności. Spojrzenie puste i bardzo chłodne.

Stałam więc przed tym człowiekiem z lodu, tłumiąc złowrogi pomruk, który formował się już tam, w środku, kiedy moja smoczyca odsłaniała kły, szykując się do obrony.

– Dokąd idziesz, Garret?

– Nieważne. Z nami koniec, Ember. Wracaj do środka i zapomnij o mnie, bo nigdy już mnie nie zobaczysz.

Powiedział to bardzo oschle. Całkiem inny człowiek niż tamten, tak uroczy, z którym tańczyłam dosłownie przed chwilą. Teraz wiało od niego chłodem, nie, lodem, bo aż się skuliłam. Jednocześnie jednak i najeżyłam.

– Ale dlaczego? – spytałam rozdartą w środku, bo co z tego, że najeżona, kiedy przede wszystkim rozżalona. – Czy dlatego, że zatańczyłam z Rileyem? Przecież to tylko mój znajomy.

Moja smoczyca, słysząc tak ewidentne kłamstwo, zasyczała oburzona, ale puściłam to mimo uszu.

– Garret, czyżbyś był zazdrosny?

I wtedy mnie zaskoczył, bo odparł bez wahania:

– Tak, i na tym właśnie polega problem. Bo nie powinienem się angażować. A ty po prostu działasz na mnie!

Ton był oskarżycielski, spiżowe oczy przymrużone. Ja jednak dojrzałam w nich odrobinę niepewności. Zauważyłam ją, zanim odwrócił się ode mnie, mamrocząc pod nosem:

– Niedobrze... Nie wolno mi tego robić... Ani sobie, ani tobie...

Gdybym nie dostrzegła tej odrobiny niepewności, na pewno nie

odważyłabym się zrobić tego, co zrobiłam teraz. To znaczy nabrać głęboko powietrza, podejść krok do przodu i wziąć go za rękę. To właśnie zrobiłam, a on ręki nie wyrwał, tylko drgnął i spojrzał mi prosto w oczy.

– Też się tego boję – powiedziałam cicho. – Kiedy jestem z tobą, nie potrafię myśleć o czymkolwiek czy o kimkolwiek innym. Jesteś tylko ty. Boję się, że od tego zwariuję...

Nie odezwał się, ale patrzył na mnie tak, jakby czuł dokładnie to samo.

– Ale strach nie powinien rządzić – mówiłam dalej, zdecydowana nie pozwolić mu odejść. – Mówienie, że czegoś nie zrobię, bo się boję, to głupie usprawiedliwienie, nie sądzisz? A więc... jeśli nadal twierdzisz, że z nami koniec, bo ktoś tam czy coś tam zabrania ci cokolwiek odczuwać, to wiesz co? To ja powiem, że ściemniasz. Bo to totalna bzdura.

Zamrugnął, maska obojętności przestała już być w stu procentach obojętna, dlatego zdecydowałam się podejść do niego jeszcze bliżej i zaglądając mu w oczy, powiedziałam coś jeszcze:

– Jeśli naprawdę chcesz iść, to idź, przecież siłą cię nie zatrzymam. Ale powiem szczerze. Byłam pewna, że jesteś odważniejszy. Pewna, że facet, który surfuje na gigantycznych falach, kładzie trupem zombie i załatwia za jednym zamachem trzech debili, nie będzie się bał tego, że raptem pewnej dziewczynie bardzo się w nim spodobało to, co właśnie wymieniłam. I ten facet będzie wiedział, że nie musi niczego się bać ani być zazdrosny, bo ja przecież jestem tu. A nie tam! Czy to jasne?

Twarz Garreta mieniła się, oczy rozblęły.

– Ember...

I w tym momencie po raz drugi tego wieczoru ktoś nam przeszkodził w najbardziej nieodpowiednim momencie. Najpierw usłyszeliśmy:

– Ej, popatrzcie no, kogo my tu mamy!

Natychmiast odwróciliśmy się, Garret i ja, a moja smoczyca, której powinnam była posłuchać już wcześniej, kiedy szłam za Garretem, natychmiast przyjęła postawę bojową, bo to właśnie te typki, co piły piwo przy pikapie, podchodziły do nas. Na samym przedzie szły osoby dobrze nam już znane. Ten debil Colin, tuż za nim dwóch jego kumpli, Drew i Travis, z tyłu szło jeszcze trzech, a wszyscy porządnie podpici. Cała szóstka z przyklejonymi do twarzy durnymi uśmieszkami. Szli na nas, czyli problem był, to jasne. Moja smoczyca warczała i warczała, a ja z całej siły zacisnęłam zęby, żeby utrzymać ją w ryzach.

– Patrzcie no, to ta dziwka z tym swoim chłopakiem – powiedział Colin z szyderczym uśmiechem. – Dobrze, że znowu się spotykamy, bo jestem ci coś winien. Ale zanim dobiore się do ciebie, najpierw załatwimy tego gościa!

I wlepił oczy w Garreta. Garret ani drgnął. Stał spokojnie, z kamienną twarzą, mierząc wzrokiem całą szóstkę.

Colin uśmiechał się coraz szerzej.

– A gdzie twój koleś, gnojku? Nie ma go, więc nie będzie miał kto ciebie ratować, co? Koleś będzie musiał się pogodzić z tym, że za chwilę załatwimy cię na cacy!

I wtedy odezwała się ja:

– Tchórz! Sam boisz się z nim bić, więc przyprowadziłeś tę całą bandę!

Na to on:

– A ty nie pyskuj, dziwko!

I wtedy odezwał się jeszcze ktoś:

– Spróbuj dotknąć mojej siostry, a już nie żyjesz! I ty, i cała reszta!

Oczywiście, Dante! Wynurzył się nagle spośród grupy balującej w pewnym oddaleniu i stanął obok mnie, spoglądając na Colina twardym wzrokiem.

Colin prychnął pogardliwie.

– Patrzcie no, mamy duplikat! A w pierwszej chwili pomyślałem, że dwoi mi się w oczach!

I z tym wrednym uśmieszkiem przyklepionym do twarzy zaczął podchodzić jeszcze bliżej. Dante nie ustąpił ani na krok, tak samo Garret, obaj tylko przesunęli się, żeby mnie zasłonić. Moja smoczyca oczywiście protestowała, przecież też rwała się do walki.

A Colin dalej swoje, do Dantego:

– Ej, chłoptasiu, może jednak się odsuniesz? A może chcesz, żebym rozkwaśił ci nos, w ogóle wszystko? Nie będę się krępował. Nie widzisz, że jest dwóch na sześciu? To raczej nie przemawia na twoją korzyść.

I wtedy odezwał się jeszcze ktoś, ktoś kto stanął tuż za Colinem.

– A ty, gnojku, kiedy wreszcie przestaniesz nawijać?!

Colin odwrócił się błyskawicznie. Kto stał za nim? Riley! Riley uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Czy możemy już się napażać bez tych wstępów i pogroźek w stylu Bonda? Bo ja biorę się już do roboty!

I rąbnął Colina w nos.

Colin wrzasnął, zasłaniając twarz rękami. Poleciał w tył, jego koleś naturalnie rzucili się do przodu. Ja z kolei odskoczyłam na bok. No i zaczęło się. Regularna bijatyka na podwórzu od frontu. W tym kłębowisku pięści, nóg i łokci Riley, Garret i Dante byli już praktycznie niewidoczni. Słysząc było tylko okrzyki, bojowe albo pełne bólu, i głuchy odgłos uderzeń pięściami. Wrzeszczał także tłum kibiców zagrzewających do walki.

Moja smoczyca szalała. Ryczała zrozpaczona, że nie może się w to włączyć



i rozerwać napastników na strzępy. Ja, jako człowiek, również nie miałam zamiaru stać bezczynnie i tylko się gapić. Kiedy napakowany koleś rzucił się na Dantego, podskoczyłam z tyłu i kopnęłam go w łydkę. Koleś zachwiał się, Dante rąbnął go w szczękę i koleś poleciał na ziemię.

Dante potrząsnął ręką, która zadała cios, i wymamrotał pod nosem:

– O nie... Najgorzej to walić w beton...

A ja zerknęłam na Riley'a i Garreta otoczonych przez mlójące pięści. Wszystko wskazywało na to, że znakomicie dawali sobie radę. Riley, kiedy stawał twarzą w twarz z kolejnym przeciwnikiem, nawet się uśmiechał, tyle że upiornie, i z tym uśmiechem przyjmował ciosy i odparowywał z taką siłą, że przeciwnik potrafił wylądować na masce któregoś z zaparkowanych na podwórzu samochodów. Albo po prostu wbić się w szybę. A za Riley'em Garret, który wykazywał się zręcznością i skutecznością wręcz przekraczającą możliwości człowieka. Po mistrzowsku robił unik, po czym błyskawicznie atakował. Byłam pewna, że aż tak błyskawicznie, że przeciwnik nawet nie zdążył pomyśleć.

Dante natomiast – mój brat smok w ludzkiej postaci – powalił kolejnego przeciwnika. Jednego z tych trzech pijanych. Facet wstał na chwiejnych nogach, rzucił się na Dantego, który po prostu usunął się w bok, i rąbnął głową w drzwi samochodu. Uśmiechnęłam się z satysfakcją, Dante również. Tę chwilę nieuwagi wykorzystał niestety Colin, bo pojawił się przy nas nagle, jakby wyrósł spod ziemi, i odepchnął mnie na bok. Oczywiście zarzuciło mnie, zauważyłam jednak, że Colin wałnął Dantego w skroń i mój brat osuwa się na ziemię. Wtedy przed oczami zrobiło mi się czerwono, z tej wściekłości. Kiedy Colin poderwał nogę, by kopnąć Dantego, zawarczałam i obnażając kły, skoczyłam między nich. Colin natychmiast się cofnął, a szczeka mu opadła. Wiedziałam doskonale dlaczego. Bo te kły, a poza tym moja ludzka twarz w tego rodzaju sytuacjach robiła się trupioblada. Dlatego Colin wycofał się, a ja czułam już to charakterystyczne falowanie, świadczące, że moja smoczyca dociera już do granicy, po przekroczeniu której wreszcie będzie mogła objawić się wszystkim i z rozkoszą zadawać ciosy.

Widziałam, jak na Colina rzuca się Garret, nokautuje go, jednocześnie też czułam, że ktoś łapie mnie za rękę i ciągnie do tyłu. Kto? Riley. Ciągnie mnie, a ja jestem już o krok od dokonania Przemiany i rzucenia się na Colina.

– Nie rób tego!

Zabrzmiało to wyjątkowo stanowczo. Po prostu rozkaz, który bezwzględnie należy wykonać. Trzy słowa wniknęły we mnie, przebiły się przez gniew, żar, dziki warkot smoczycy i wprowadziły porządek. Opamiętałam się. O Przemianie nie było już mowy, a ja drżałam przerażona tym, czego omal nie

zrobiłam. A Riley dalej ciągnął mnie aż na sam koniec podjazdu. Dopiero tam mnie puścił i spoglądając groźnie, wydał następny rozkaz:

– Masz nie ruszać się stąd, słyszysz?

Owszem, słyszałam, i to bardzo dobrze, a jednak już nabierałam powietrza, by warknąć na niego i przekazać, że ja sama dobrze wiem, co mam robić. Ale powstrzymałam się, bo raptem napotkałam spojrzenie Dantego, który pozbiierał się już z ziemi i masując sobie głowę, patrzył na mnie złym wzrokiem. Wściekły i wystraszony, a wściekły oczywiście na mnie, przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że byłam o krok od Przemiany.

Nagle skądś, z mroku nocy, dobiegło do naszych uszu wycie samochodów policyjnych. Ktoś musiał dać znać o bijatyce, a może sąsiadom supergłośna impreza nie bardzo się spodobała. W każdym razie jechali niewątpliwie tutaj. Natychmiast otaczający nas tłum rozproszył się, wszyscy biegli do swoich samochodów. Niektórzy gnali po prostu przed siebie, w tę ciemność. Riley poderwał ciemną głowę i mrużąc złociste oczy, nasłuchiwał przez chwilę.

– Na mnie już czas, Firebrand. Pamiętaj, co ci mówiłem. Jeśli będziesz miała ochotę pogadać, wiesz, jak mnie znaleźć.

Mrugnął jeszcze do mnie i znikł w ciemnościach. Tak samo nagle, jak się tu pojawił. A po krótkiej chwili gdzieś tam, w tym morzu samochodów, ożył silnik motocykla. Ryknął, zawarczał. Głośno, potem coraz ciszej, kiedy Riley odjeżdżał w noc.

– Ember!

Dante szedł do mnie, gwałtownie machając kluczami.

– Jedziemy! – wołał, wskazując nasz samochód. – Rusz się! Wsiadaj, ale już! Wracamy do domu!

Zjeżyłam się. Bo niby jakim prawem mi rozkazuje? Moją instruktorką na pewno nie jest! Poza tym nie chciałam z nim wracać, bo jakoś nie tęskniłam za rozmową z bratem. Na pewno widział, jak rozmawiałam z Rileyem, i będzie domagał się wyjaśnień, a ja nie zamierzałam ich udzielać. Zwłaszcza teraz.

Syreny policyjne wyły coraz głośniej, gliniarze musieli być już bardzo blisko. Podjazd opustoszał. Jeszcze tylko kilka osób biegło przed siebie albo wskakiwało do samochodów. Ja oczywiście szukałam konkretnej osoby. Jest. Garret stał kilka metrów dalej. Srebrzystoszare oczy wlepione były we mnie, ale nie ruszał się z miejsca. Nie podszedł, nie spytał, czy mnie podwieźć. Och, zabolalo. Tak bardzo, że obudziło gniew.

– Mam was gdzieś! – wrzasnęłam, wycofując się w stronę domu. – Obu! Wypchajcie się! Sama wrócę, kiedy będę chciała!

– Ember! – ryknął Dante, ale ja już pognałam przed siebie. Obiegnęłam dom, potem popędziłam w dół, na plażę, i dalej przed siebie. W ciemność.

Po jakichś stu metrach zakończyłam bieg i zaczęłam iść tuż nad wodą po miękkim mokrym piasku. Szłam i rozmyślałam. Niewysokie fale zalewały plażę i z szumem wracały tam, skąd przyszły. A w górze srebrzysty, idealnie okrągły księżyc w pełni swoją poświatą zmieniał plażę w bajkową krainę, utworzoną ze srebra i czerni. Nadal słyszałam syreny policyjne, pewnie już hamowali na podjeździe Kristin. Miałam nadzieję, że jakoś uda jej się z tego wszystkiego wybrnąć, choć jednocześnie dziwiłam się sobie, że się tym przejmuję. Poza tym miałam wyrzuty sumienia, że uciekłam Dantemu, który, jak go znam, będzie dzwonił do mnie co dziesięć minut, chociaż dobrze wie, że bez problemu sama wrócę do domu. Bo Dantemu zależy na mnie. Jest dobrym bratem. A tamci, tych dwóch... Niech się wypchają!

Westchnęłam. Riley, Dante, Garret. Trzech chłopaków, niezwykle trudnych chłopaków, skutecznie utrudniających mi życie. Dantemu czasami odbija totalnie. Wmawia mi, że mogę mu bezwzględnie zaufać. Jemu, który przed Talonem stoi na baczność! Zgadza się z każdym ich słowem. Jest wzorowym uczniem, nigdy nie narusza reguł i spodziewa się, że będę postępować identycznie. Riley natomiast, zbiegły smok, zachęca mnie, bym postąpiła dokładnie na odwrót. Riley, który sprzeniewierzył się prawom Talonu i obiecując, że wyjawia ich tajemnice, kusi mnie wolnością, której sam już zakosztował. Poza tym działa na moją smoczycę, a tego nie mogę ignorować.

No i ten trzeci, ten Garret... Człowiek! O czymże więc tu mówić...

Znów westchnęłam i odrzuciłam głowę w tył. Policzki nadal paliły, cała zresztą byłam rozpalona z gniewu i z adrenaliny. Moja smoczyca miotła się, prychała, skwierczała, czyli koniecznie powinnam zapanować nad sobą. Bardzo żałowałam, że nie mam ze sobą deski, bo to najlepsza metoda na odzyskanie równowagi. Siadasz albo kładziesz się na desce, ocean cię kołysze, a ty patrzysz w czarną toń i już po chwili robisz się spokojniutki, prawie senny. Tak. Ocean był pod każdym względem fascynujący. Przede wszystkim ta zmienność. Spokojny, łagodny – taki właśnie dla odzyskania równowagi, a potem raptem w jednej chwili wściekły, atakujący ciebie z siłą i gwałtownością huraganu.

Kiedy kolejna fala wślizgnęła się na brzeg, pieniać się wokół moich stóp, podjęłam decyzję. Odeszłam od brzegu spory kawałek, tam gdzie fala na pewno już nie mogła sięgnąć, wyjęłam z kieszeni komórkę i karteczkę od Riley'a i położyłam na piasku. I kiedy następna fala zalewała brzeg, byłam już tam, gdzie chciałam. W oceanie. Szłam przez wodę, szłam, póki nie dotarłam do miejsca, gdzie sięgała mi do pasa. I zatrzymałam się wśród cudownego mokrego chłodu, który gasił nadal tłące się jeszcze we mnie płomienie. Objęłam się rękami, zamknęłam oczy, wystawiając twarz na powiew chłodnej

bryzy.

Co powinnam zrobić? Oczywiście wracać do domu. Dante wziął samochód, wrócę więc taksówką albo autobusem. Albo po prostu się przejdę. Mogłabym też polecieć... Ta propozycja naturalnie była najbardziej kusząca, niestety niewykonalna, obiecałam przecież bratu, że nie zrobię niczego, co zaowocuje odwołaniem nas do Talonu. A nie można kusić losu, zwłaszcza teraz...

Westchnęłam. Szkoda, ale cóż... Wrócę do domu jako człowiek.

I wtedy usłyszałam:

– Ember!

Niegłośno, spokojnie. Znajomy głos, na dźwięk którego moje serce od razu zabiło szybciej. Spojrzałam na plażę. I zobaczyłam. Samotną wysoką i sprężystą postać w luźnym T-shircie łopoczącym na wietrze, na widok której poczułam wielką radość.

Garret. Przyszedł tu za mną! Byłam szczęśliwa. Przez sekundę, dłużej nie, bo stwierdziłam, że wcale nie ma powodu do skakania z radości. Nie ma, bo przecież dla Garreta nie znacę nic i tego wieczoru dał mi to wyjątkowo wyraźnie do zrozumienia.

Dlatego nie ruszyłam się z miejsca. Skrzyżowałam ramiona na piersi i dalej stałam w chłodnej falującej wodzie oceanu.

Z tym że oczywiście odezwałam się:

– Czego chcesz, Garret? Lepiej wracaj do domu. Policja na pewno już tam jest, a więc koniec imprezy.

– Muszę z tobą pogadać, Ember. Nie chcę, żebyśmy rozstawali się w taki właśnie sposób.

– Pogadać? No to mów!

Najpierw zamrugał tymi oczami koloru rtęci, w których odbijało się światło księżyca.

– Ember, może jednak przyjdiesz tutaj? Przecież nie będziemy do siebie wrzeszczeć.

– Ale mi to wcale nie przeszkadza – oświadczyłam, unosząc głowę trochę wyżej. A tak! Bo nie zamierzałam ustąpić.

Garret westchnął głośno i głęboko, słyszałam to doskonale.

– No dobrze. Skoro tak ci na tym zależy...

I tak jak stał, w dzinsach i T-shircie, wszedł do wody. Kiedy pojawił się tuż przede mną, opuściłam ręce i teraz ja westchnęłam. Bo przecież to Garret, fala uderza go w brzuch i w pierś, przód T-shirtu już ocieka wodą. Ale Garret cały jest rozpalony. Czuję to ciepło, kiedy nachylił się ku mnie.

– Przepraszam – powiedział tak cicho, że słowa prawie ginęły w szumie fal.

– Przepraszam za dzisiaj. Za wszystko. Ja chyba...

– Stchórzyłem i jednocześnie raptem zmieniłem się w zaborczego głupka?

– No... chyba tak... – Kąciki ust Garreta drgnęły. – Nie gniewaj się, Ember. Po prostu nie pomyślałem, stąd ta moja idiotyczna reakcja. Ale już dotarło do mnie, że to nie tak, że chciałbym, żebyśmy spróbowali jeszcze raz. Jeśli oczywiście chcesz...

Wokół nas chłodne fale, a w górze księżyc aż do bólu jasny, srebrzący całą plażę. I włosy Garreta, teraz też srebrzyste. Światła miasta za plażą, wycie syren – wszystko wydawało się ciche, odległe o setki kilometrów od pustej plaży, na której byliśmy tylko my. Garret i ja.

– Tak. Chcę – szepnęłam.

Wyraźnie się odprężył. Na pewno, widziałam przecież, że jego plecy nie są już tak sztywno wyprostowane.

– Czyli... między nami wszystko w porządku, Ember?

– Tak.

– Świetnie. Chciałem się upewnić, zanim zrobię właśnie to.

Podszedł do mnie bliżej, przez tę wodę, i położył ręce na moich ramionach. Naturalnie przeze mnie całą od razu przeleciał magiczny prąd i dalej też było magicznie, bo Garret mnie pocałował. A ja, odpędzając od siebie wszystkie lęki i wątpliwości, zamknęłam oczy, przytuliłam się do niego i odwzajemniłam pocałunek. Objęliśmy się mocno i całowaliśmy się żarliwie, zapamiętane. W tym momencie zapomniałam o Talonie, o tym drobnym fakcie, że jestem smokiem i nie wolno mi pozwolić na odczuwanie tego rodzaju emocji. Miałam gdzieś głupie gadanie instruktorki o gatunkach podrzędnych i łańcuchu pokarmowym. Nieważne. Wszystko stało się nieważne, bo kiedy czułam na mych ustach chłodne wargi Garreta, kiedy obejmował mnie, kiedy przytulał, nie byłam ani człowiekiem, ani smokiem.

Byłam po prostu sobą.

## **CZEŚĆ II**

**ONI NIE SĄ TYM, ZA KOGO ICH BIERZESZ**

## RILEY

– Mamy problem.

Nie, na pewno nie to chciałem usłyszeć po powrocie z imprezy, która tak ogólnie rzecz biorąc, była niezłą zabawą. Wystarczyło przecież już samo przyglądanie się tym szpanerom, choć jednocześnie imprezka była dla mnie nie lada wyzwaniem, skoro po raz pierwszy znalazłem się w tak licznyim zbiorowisku ludzi. Oczywiście nie poszedłem tam, by się na nich pogapić czy postraszyć, a może nawet walczyć z tymi żalonymi śmiertelnikami rodzaju ludzkiego. Poszedłem tam tylko z jej powodu.

– Riley?

Kiedy rzucałem na blat kluczyki od motocykla i portfel, w kuchni pojawił się Wes. Niewątpliwie spojrzałem na niego raczej nieprzytomnie, byłem przecież wykończony. A Wes jak to Wes, wyglądał jak zwykle. Brązowe włosy rozwichrzzone, T-shirt wygnieciony. Wes, istota rodzaju ludzkiego, mówiąca z brytyjskim akcentem, który działał mi na nerwy.

– Riley, czy ty mnie słuchasz? Mamy problem!

– Czyżby? – burknąłem, mijając go w drodze do pokoju dziennego, dokąd się wlokłem, bo naprawdę byłem ledwie żywy. A w pokoju dziennym za wielkimi oknami widać było srebrny księżyc, który usadowił się bardzo nisko nad oceanem. Widok naprawdę kuszący. Wychodź, facet, na dwór, bo tu jest pięknie, a przede wszystkim nie ma Wesa. Posiedzisz sobie na werandzie, pogapisz się na białe klify, na rozgwieżdżone niebo, na spienione fale oceanu bijące o brzeg...

Ponad dwieście metrów niżej, ponieważ dom został zbudowany na wzniesieniu, w połowie drogi na klify, i dlatego weranda była świetnym punktem obserwacyjnym, kiedy nie chciało mi się odpalać motoru i jechać w teren. Tak ogólnie to jak na dom, który nie należał do nas, było tu całkiem znośnie. Właściciele spędzali całe lato w Europie i szukali kogoś, kto w tym czasie u nich pomieszka. Dla nas była to idealna propozycja. Załatwiliśmy wszystko przez internet, podając się za solidnego księgowego w średnim wieku i jego małżonkę. Żadnych dzieci, żadnych zwierząt, więc dom wynajęto nam bez kwestii, nie podejrzewając, co się za tym kryje. Tak, żadnych podejrzeń czy wątpliwości, bo nikt tu nie wpadł, nie powęszył i nie zdziwił się, dlaczego po księgowym z żoną ani śladu, a w pięknym i wartym wiele milionów dolarów domu letniskowym koczują dwóch młodych facetów, gdzieś tak koło dwudziestki.

Wes wszedł za mną do pokoju dziennego, informując po drodze głosem bardzo ponurym:

– Znów straciliśmy jedno gniazdo.

Znów?! Wściekły, momentalnie zrobiłem w tył zwrot.

– Które?!

– Austin. Brak sygnału. Dziś po południu wiele razy próbowałem się skontaktować i nic. Cisza.

– Kurde!

Rozsadzało mnie totalnie, dlatego zrobiłem ponownie w tył zwrot, waląc łokciem w wazon na końcu stołu i warta kilka tysięcy dolarów porcelana rąbnęła o ścianę, Wes odskoczył, a ja, już z ogniem w płucach, oddychałem bardzo głęboko, tłumiąc w sobie gwałtowną chęć Przemiany. Bo ochota, by kogoś zmienić w żużel, była naprawdę wielka.

– Przecież właśnie stamtąd wracam! – ryknąłem. – Od miesiąca pilnuję tego domu. Co tam się mogło stać?!

Zwykle w takich podbramkowych sytuacjach Wes wbijał we mnie gniewny wzrok. Teraz nie. W ogóle nie patrzył na mnie, co świadczyło, że niestety jest naprawdę źle.

– Nie wiem – powiedział. – Ale na pewno dzieje się coś niedobrego.

Przeczesałem nerwowo włosy palcami, starając się zebrać myśli. Austin. W tym bezpiecznym miejscu był tylko jeden smok, pisklak. Przebywał tam od zeszłego roku, ufał mi, wierzył, że zawsze go obronię. Przecież mu to obiecałem!

Cholera, i wszystko na nic?!

– Zwiewamy stąd – oznajmił Wes, odpychając się od kontuaru. – Trzeba też koniecznie sprawdzić inne gniazda. Jeśli wyruszymy już dziś wieczorem...

– Nie, nie... – wymamrotałem, a zaskoczony Wes wreszcie na mnie spojrział.

A ja, tam, w środku płonąć gniewem, podejmowałem decyzję. Bo umysł jak zwykle pozostał chłodny, logiczny i sprawny. Gniazdo Austin najprawdopodobniej jest stracone, ale to wcale nie znaczy, że zniknę stąd natychmiast.

– Bez tej dziewczyny nie ruszam się stąd – oświadczyłem twardo. – Prawie mi się już udało, Wes. Jeszcze tydzień albo dwa i sama będzie błagać, by ją zabrać z Talonu.

– Jesteś pewien? – Wes skrzyżował ramiona na piersi, spoglądając na mnie bardzo sceptycznie. – Równie dobrze może być jak z tym Owenem. Też prosiłeś, żebym dał ci kilka dni, góra tydzień, i co? W rezultacie przekablował o nas Talonowi i przez cały miesiąc musieliśmy siedzieć w Chile!

– Tak, ale spojrzysz na to z innej strony. Choć raz w życiu miałaś piękną opaleniznę!

Najpierw spojrzenie mordercy, potem oczywiście Wes zaśmiał się. Bo i było



z czego, skoro ta jego opalenizna to wcale nie był piękny brąz, tylko czerwień nabyta w dżungli, z której prawie nie wychodziliśmy. Czasami tylko wpadaliśmy do jakiejś wioski i z powrotem do dżungli, czym wcale nie byliśmy zachwyceni, bo nam obu nie leżało zbyt długie przebywanie na łonie natury.

– Owszem, to było wielkie ryzyko – przyznałem uczciwie. – Ale tym razem będzie inaczej.

– Niby dlaczego?

– A dlatego, że ja tak mówię.

Wes westchnął.

– A co z instynktem samozachowawczym? Przecież tylko dzięki temu udaje nam się przetrwać, bo to on daje sygnał, że trzeba zwiewać, kiedy ci z Zakonu Świętego Jerzego depczą już nam po piętach! Albo Talon!

Ale ja już tematu nie pociągnąłem. Odwróciłem się i bez słowa poszedłem do swojego pokoju, uznając, że samo gadanie nic nie da. Rzuciłem kurtkę na krzesło, potem sam się rzuciłem na ogromne łóżko. Opadłem w miękką pościel z jedwabnej satyny i zacząłem zastanawiać się nad najnowszym problemem.

A niech to szlag! Wierzchem dłoni przycisnąłem powieki, starając się za wszelką cenę stłumić gniew i frustrację. Następne gniazdo stracone! Drugie w ciągu kilku miesięcy! Kiedy pierwsze, to w Phoenix, raptem zamilkło, rzuciłem wszystko i pojechałem tam natychmiast, by odnaleźć dwa pisklaki, dla których to gniazdo miało być bezpiecznym schronieniem. Co ujrzałem? Z domu, w którym umieściłem ich przed kilkoma miesiącami, zostały praktycznie tylko ściany. W środku, oczywiście, nikogo. Próbowałem zasięgnąć języka, nikt jednak niczego nie wiedział. Po prostu dom pewnej nocy został zniszczony, a jego mieszkańcy znikli. Byłem wściekły i rozżalony, przecież tym pisklakom, kiedy porzucali Talon, obiecałem, więcej – przysięgałem, że zapewnię im bezpieczeństwo. I zawiodłem. Co z nimi się stało? Jeśli namierzył ich Talon, zostały niewątpliwie poddane „reedukacji”. Wcale mi się nie podobało, że znowu są w szponach organizacji, niemniej jeśli ten wariant wchodzi w grę, jest nadzieja, że przeżyły. Natomiast jeśli dobrali się do nich żołnierze Świętego Jerzego, to już po nich.

Zamknąłem oczy, ręce mimo woli katowały materac, uderzając miarowo. Bo powód do zmartwienia był. Wes ma rację. W Austin dzieje się coś złego, a to niedaleko stąd, dlatego pozostanie w tej luksusowej kwaterze wcale nie jest dobrym pomysłem. Trzeba jak najszybciej przerzucić się w inne miejsce, co robiliśmy już wiele razy. Kiedy robiło się niebezpiecznie, od razu nogi za pas. Tylko dzięki temu udało nam się przetrwać tak długo. Przecież Talon na

pewno nadal nas szuka, dlatego nie wolno nam tu zostać, bo z każdym dniem zagrożenie staje się coraz większe.

Ale ja nie ruszę się stąd bez tej dziewczyny.

Musiałem powiedzieć o tym Wesowi. Z natury pesymista i ponurak wlewający w siebie hektolitry red bulla, by naładować grube cielsko, w Talonie należał do elity, był przecież genialnym hakerem. Osobą dla mnie bezcenną, bo tylko on był w stanie wytropić, które pisklaki, kiedy i dokąd będą wysłane przez Talon. Wiedział to już wcześniej, w związku z czym mieliśmy czas na przemieszczenie się i byliśmy gotowi do akcji, zanim jeszcze owe pisklaki przybyły na miejsce. Właśnie dlatego pojawiliśmy się w Crescent Beach. Po prostu Wes wyczał, że Talon ma wysłać do Kalifornii świeżusieńkiego smoka. Pisklaka, którego nazwano Ember Hill.

Spodziewałem się, że zastanę to co zwykle. Młodziutkiego smoka stęsknionego choćby za odrobiną wolności, pełnego zapału i nieskończenie naiwnego. Takiemu pisklakowi wystarczy, że pojawi się ktoś niezwykły i tajemniczy, pozwoli poczuć smak prawdziwej wolności – i już prawie każdy z nich gotowy jest wejść na twój pokład. Miałem przecież coś do zaoferowania. Oczywiście życie smoka zbiega nie było usłane różami, jednak miało w sobie posmak wolności. A cel był jasny. Jak najwięcej pisklaków przeciągnąć na swoją stronę, potem zadbać o szczegóły techniczne, to znaczy ukryć pisklaki i zapewnić im bezpieczeństwo.

Ember Hill okazała się niespodzianką. Nie spodziewałem się, że natknę się na tak żarliwego i tak pewnego siebie pisklaka, który wręcz mnie prowokował, atakował i wcale się mnie nie bał. Chyba nie bał się nikogo. Pisklak, który potrafił dyskutować nie tylko z kimś takim jak ja, czyli smokiem o wiele starszym i bardziej doświadczonym. Potrafił też zakwestionować Talon, postawić się opiekunom czy swemu bratu. Bratu bliźniakowi – interesujące, prawda? Krótko mówiąc, Ember Hill miała w sobie poczucie wolności, dlatego już po pierwszym naszym spotkaniu, po pierwszej rozmowie wiedziałem, że temu pisklakowi nie pozwolę zostać w organizacji. Więcej, byłem gotowy odebrać ją Talonowi za wszelką cenę. To postanowienie wręcz mnie zdominowało. Dlaczego? Otóż Ember Hill bardzo przypominała mnie samego, kiedy byłem w jej wieku. Przypominała tę istotę wolną duchem i żarliwą, zanim Talon przystąpił do systematycznego zabijania poczucia wolności i umiejętności samodzielnego myślenia. Mnie udało się zachować swoją osobowość, ale widziałem przecież, jak Talon potrafi, mówiąc wprost, spreparować pisklaka, dlatego nie miałem zamiaru dopuścić, by taka właśnie była przyszłość Ember Hill.

Tak to sobie sam wszystko wytłumaczyłem, chociaż było jeszcze coś, co

starałem się zlekceważyć, mianowicie to, że mój smok, to moje pierwsze ja, bardzo na nią reaguje. Bardzo, bo kiedy tylko znalazła się blisko mnie, od razu szalała, zawsze o krok od przebiccia się przez ludzką skórę. Nigdy dotąd nie miał tak wielkiej ochoty do poddania się Przemianie jak tamtego wieczoru, kiedy tańczyłem z Ember. Kiedy dobrze wiedziałem, że jej smoczyca też wariuje, czyli Ember czuje to samo co ja. Na szczęście potrafiliśmy to dobrze ukryć, mimo że Ember, o dziesiątki lat młodsza ode mnie, miała jeszcze znikome doświadczenie, i to we wszystkim. Poza tym, tak na moje wyczucie, była w większym stopniu człowiekiem niż smokiem, a to bardzo niedobrze, bo konsekwencją takiego stanu rzeczy było na przykład to, co widziałem na własne oczy na tej imprezie. Mianowicie niewiele brakowało, by Ember Hill pozwoliła pocałować się człowiekowi!

Z mego gardła wydobył się groźny pomruk, bo znów poczułem żar gniewu w płucach, kiedy przed oczami stanął mi ten typak, z którym dziś tańczyła. Wszyscy chłopacy na tej imprezie, zwyczajni śmiertelnicy rodzaju ludzkiego, byli nieszkodliwi. Głupki zadzierające nosa, bo przekonane, że wiedzą o świecie wszystko. Takim kimś bardzo łatwo manipulować, nie warto jednak zawracać sobie nimi głowy, bo rzadko kiedy okazują się przydatni. Natomiast ten konkretnie facet, który z nią tańczył, był kompletnie inny, choć nie potrafiłbym jeszcze sprecyzować, pod jakim względem. W każdym razie kiedy się do niej przystawiał, nie mogłem ścierpieć, że ona – smok! – też ulega tym emocjom, odpowiednim tylko dla człowieka. Bardzo mi się to nie podobało, tak bardzo, że miałem wielką ochotę rozszarpać tego typka kłami i rozdeptać na miazgę.

Jęknąłem. Nie bez powodu, przecież tego rodzaju odruchy były u mnie jak najbardziej niewskazane. Nie wolno mi się rozpraszać, zawracać sobie głowy typkami. Powinienem być całkowicie skoncentrowany na tym, co najważniejsze, tym bardziej że Ember już zaczynała wkraczać na właściwą drogą. Byłem przekonany, że mała złośnica nie będzie siedziała cicho i bez szemrania wykonywała rozkazy Talonu. Jeszcze trochę i zacnie mieć bardzo poważne zastrzeżenia do tej całej organizacji. Stanie się to na pewno, kiedy zdobędzie odpowiednie informacje, a ponieważ może je uzyskać tylko ode mnie, więc na pewno w końcu zwróci się z tym do mnie. A ja jej powiem, jaki Talon jest naprawdę.

Do pokoju zajrzał Wes.

– Riley, co w końcu robimy z tym gniazdem w Austin?

Westchnąłem i szybko zmieniłem pozycję z leżącej na siedzącą.

– Dalej monitoruj to gniazdo, ale nie próbuj już nawiązywać kontaktu. Jeśli ci, którzy je zlikwidowali, nadal są w pobliżu, mogą nas namierzyć. A ja

skupię się na Ember. Przekonam ją, że powinna dołączyć do nas, a potem pojedę do Austin i zobaczę, co tam się dzieje. Ale to potem. Teraz stąd się nie ruszamy.

– Rozumiem. A co będzie, jeśli raptem do naszych drzwi zapuka Talon albo Święty Jerzy?

– Jeśli chodzi o mnie, to zmywam się przez okno na tyłach domu. Ty oczywiście zrobisz, co zechcesz.

– Ach tak? Dzięki, że tak się o mnie troszczysz!

Kopnąłem drzwi będące w zasięgu mojej nogi. Mogłem sobie na to pozwolić, bo Wes stał za progiem. Znałem go nie od dziś i wiedziałem, że zaraz siądzie przy komputerze i zalewając się tym swoim red bullem, nie ruszy się stamtąd do rana. I dobrze, niech siedzi, bo ja chciałem być sam. Byłem wykończony, załamany tym, co stało się z gniazdami, w których ponoć miało być bezpiecznie, nic więc dziwnego, że nie chciało mi się z nikim gadać. Tylko zamknąć oczy, przespać się, potem działać dalej. Wykonać kolejny krok, czyli pokazać pewnej rudowłosej istocie prawdziwe oblicze Talonu i przekonać ją, że ona, ta istota rudowłosa, nie należy do nich, lecz do nas.

Do mnie.

## EMBER

Wróciliśmy dobrze po północy, naprawdę dobrze, bo było już po drugiej. Garret zatrzymał się na rogu. Nie odezwał się, ja też nie. Po prostu wysiadłam i podeszłam pod dom, z wielką ulgą stwierdzając, że we wszystkich oknach jest ciemno. Na palcach przemknęłam przez podwórze i z bijącym sercem przystąpiłam do otwierania drzwi, przecież wszystko mogło się zdarzyć. Kto wie, czy za tymi drzwiami nie czekają rozjuszeni opiekunowie. Albo, co gorsza, Straszna Dama z Talonu we własnej osobie. Na szczęście nikt na mnie nie czekał, nigdzie nie zapaliło się światło i znów poczułam przeogromną ulgę. Chociaż fakt, że w pokoju Dantego było ciemno, to jeszcze nie dowód, że brat śpi. Równie dobrze mogło go nie być w domu, bo pojechał mnie szukać. W każdym razie wokół ciemno i cicho, no i nikogo w zasięgu ręki. Zadowolona bezszelestnie pokonałam schody i przemknęłam do pokoju. Cichusieńko zamknęłam za sobą drzwi i westchnęłam głęboko z niewyobrażalnej wprost ulgi.

I niestety usłyszałam:

– Gdzie byłaś?

W ostatniej chwili ugryzłam się w język, żeby nie wrzasnąć, a przynajmniej nie zapiszczeć jak głupia histeryczka.

– Dante, znów ci odbiło? Zawsze musisz tak się wygłupiać z tym czekaniem? – wyszeptałam i oczywiście zapaliłam światło.

Mój drogi brat stał oparty o ścianę. Ramiona skrzyżowane, oczy zmrużone, teraz były to dwie złowrogie zielone szpary.

– Wygłupiam się? A co, może ryczę ze śmiechu?! Gdzie byłaś? Dlaczego nie wróciłaś od razu do domu i znowu musiałem wciskać kit, bo wcale niełatwo było przekonać naszych opiekunów, że nocujesz u Lexi, o czym zapomniałaś im powiedzieć. A ty gdzie byłaś, co robiłaś? Mów!

– A nie powiem – wycodziłam, czując, że ogarnia mnie złość. – Bo nic ci do tego! To moja sprawa, gdzie chodzę i co robię. Niepotrzebnie tak tym się przejmujesz.

– Niepotrzebnie?! Przez te twoje głupie wysoki w końcu odeślą cię z powrotem do Talonu. Dlatego się przejmuje! Naruszasz zasady, a o konsekwencjach w ogóle nie myślisz. A ja ślepy nie jestem i widziałem, że ten zbieg, który był na imprezie, to dla ciebie niemal jak przyjaciel! Wiedziałaś, że on tu jeszcze jest, prawda? I nie powiedziałaś mi o tym!

– A po co miałam ci mówić? Żebyś znów podkablował Talonowi?

Wyraźnie zaskoczony Dante nerwowo zamrugał. Głupek! Naprawdę myślał, że nie wiem, że byłaby to powtórka!

Prychnęłam oczywiście z pogardą.

– Przecież wiadomo, że to ty masz długi język! Dlatego nie łudź się, już ci żadnego sekretu nie zdradzę. O nie! Bo nie powinieneś był tak postąpić. Przecież Riley nie robi nikomu nic złego!

– Riley? Znasz jego imię?!

Dla niego był to prawdziwy szok. W pierwszej chwili zastygł, potem potrzęsął bezradnie głową, dopiero potem powiedział:

– Ember, naprawdę do ciebie nadal nie dociera, że zbiegłe smoki są bardzo niebezpieczne? Odrzucają wszystko, za czym opowiada się Talon, i próbują przeciągnąć innych na swoją stronę. Jeśli będziesz rozmawiać z tym zbiegiem, Talon może cię uznać za współspiskowca, a wtedy Żmije zaczną ścigać i ciebie. A chyba tego nie chcesz, prawda?

Kiedy wspomniał o Żmijach, zadrżałam, co nie umknęło uwadze brata, bo wreszcie oderwał się od ściany i stanął tuż przede mną.

– Ember, wiem, że z natury jesteś bardzo ciekawska – powiedział cicho. – Ale teraz igrasz z ogniem. Powtarzam, za takie coś Talon może cię okrzyknąć zdrajczynią i Żmije zabiorą cię stąd na zawsze. Nigdy już się nie zobaczymy. A ja nie chcę cię stracić, dlatego proszę, Ember, obiecaj mi, że nigdy już się z nim nie zobaczysz. Proszę...

Podniosłam głowę i spojrzałam mu prosto w oczy.

– A jeśli obiecuję, o co prosisz, czy ty z kolei obiecujesz, że nie poinformujesz Talonu o jego obecności na imprezie?

Dante na moment znów zeszytywniał, po czym zrobił krok w tył.

– Mamy obowiązek informować organizację o każdym zagrożeniu. Każdym, także potencjalnym – powiedział. – Zbiegłe smoki zagrażają naszej rasie, która walczy o przetrwanie. Zasady są jasne. Muszę im o tym powiedzieć.

– No to super! – stwierdziłam, unosząc głowę wyżej. – A więc leć do nich, powiedz wszystko! Ciekawa tylko jestem, czy zdajesz sobie sprawę, że w tym momencie działasz też przeciwko mnie, swojej siostrze. I to przez ciebie będę miała Żmije na karku!

Oczywiście znów go zażyłam, bo zaczął nerwowo przeczesywać palcami włosy. Taki bardzo ludzki gest, wyraz największej frustracji.

– Ember, proszę, nie bądź taka... – odezwał się prawie płaczącym tonem. – Przecież zależy mi tylko na tym, żebyś była bezpieczna.

– A ja niańki nie potrzebuję – oświadczyłam zdecydowanie. – Wolałabym, żebyś choć raz stanął po mojej stronie!

Otworzył usta niewątpliwie po to, żeby dalej protestować, ale nie dopuściłam go do głosu:

– Wybieraj, Dante – powiedziałam, otwierając przed nim drzwi. – Ja albo

Talon. Co wybierasz? Siostrę, swoją krew, czy organizację?

Przez chwilę patrzył na mnie tak, jakby się zastanawiał, czy to ja, czy już nie ja. A potem bez słowa przekroczył próg i nie oglądając się za siebie, pomaszerował do swojego pokoju.

Nie, wcale nie było mi to obojętne. Przeciwnie, w gardle ścisnęło. Ale cóż... Odwróciłam się i zgasłam światło, wsłuchana w cichy szelest drzwi zamykających się za moim bratem.

## GARRET

Tristan wrócił do domu w chwili, gdy zajęty byłem sprawdzaniem glocka.

– O, co ja widzę! Czyżby zanosilo się na coś ciekawego? – spytał dowcipnie, stawiając na kontuarze w kuchni dwie wypchane torby z zakupami. Nie odezwałem się, zajęty byłem przecież pistoletem. Rozłożyłem go, teraz złożyłem i przymknąwszy oczy, jeszcze raz przesunąłem palcami po chłodnym metalu. Lufa, sprężyna, zamek... Wsunąłem magazynek na miejsce i dopiero teraz spojrzałem na Tristana, który gapił się na mnie, śledząc każdy mój ruch.

– Jakies problemy, partnerze? – spytał.

– Nie.

Położyłem na stoliku złożony pistolet, który za moment zamierzałem ponownie rozłożyć, ponieważ ta prosta rutynowa czynność dawała jakies ujście nagromadzonej we mnie dziwnej energii. Uspokajała, kiedy byłem tak bardzo niespokojny. Przede wszystkim przez całe dwa dni, które minęły od pamiętnego pocałunku z Ember, myślałem tylko o niej. Bez przerwy i absolutnie nie mogłem skoncentrować się na swoim zadaniu. Nawet nie chciało mi się trenować. W ogóle wszystko, do czego byłem przyzwyczajony, co weszło mi już w krew, raptem stało się ciężarem, a cała ta misja zaczęła mi się jawić jako błędzenie we mgle. Dlatego koniecznie musiałem się czymś zająć, dzięki czemu może w głowie zrobi się jaśniej. Koniecznie, skoro zakończenie tego dnia wcale nie miało być dla mnie łatwe. O nie, wisiało nade mną jak miecz Damoklesa, ponieważ wieczorem miałem znów zobaczyć się z Ember. Umówiłem się z nią. Po raz pierwszy w życiu umówiłem się z dziewczyną, trudno więc, żebym był tak całkiem wyluzowany. A zrobiłem to, ponieważ Tristan bez przerwy suszył mi głowę, w końcu więc wczoraj wieczorem do niej zadzwoniłem. Zgodziła się bez żadnych oporów, poprosiła tylko, żebym przyjechał po nią nie do domu, lecz do Smoothie Hut.

– Oczywiście! Będę tam, gdzie chcesz – zgodziłem się bez wahania, choć wcale nie byłem tym zachwycony. Jednym z moich priorytetów było dostanie się do domu Hillów, niestety Ember nie tylko nigdy nie zaprosiła mnie do środka, ale jeszcze nalegała, żebym nie kręcił się w pobliżu.

– Wiesz... chodzi o mojego brata – dodała, ale jakoś tak niepewnie, nic dziwnego więc, że od razu pomyślałem, że być może oprócz brata coś się jeszcze za tym kryje. Ember natomiast, jakby wyczuwając moje powątpiewania, natychmiast przystąpiła do szczegółowych wyjaśnień: – Mój brat bliźniak jest po prostu nadopiekuńczy. Nadopiekuńczy do n-tej potęgi! Kiedy wróciłam z imprezy, był na mnie porządnie wkurzony, a gdyby teraz ciebie zobaczył, to odbiłoby mu już totalnie. Normalnie zrobiłby ci



przesłuchanie, więc się nie dziw, że wolę tego rodzaju sytuacji unikać. Owszem, mam zamiar powiedzieć mu o nas, ale jeszcze nie teraz, kiedy mu tak odbija. Rozumiesz?

Tak więc umówiliśmy się na dzisiaj, o czym Tristan, zajęty rozpakowywaniem toreb, nie omieszkał napomknąć:

– Garret, już prawie czwarta. Czy ty przypadkiem nie jesteś umówiony?

– Jestem. Nie panikuj. Wcale o tym nie zapomniałem.

Oczywiście! Od samego rana, od chwili, gdy otworzyłem oczy, myślałem tylko o tym. Tristan nie musiał mi o niczym przypominać, skoro byłem świadomy każdej mijającej minuty.

– Za chwilę wychodzę – oznajmiłem.

– Dobrze... Tylko zaraz...

Na moment odszedł od kontuaru, wrócił i rzucił mi bardzo mały czarny przedmiot. Co złapałem? Coś naprawdę bardzo małego, kwadratowego i cienkiego, zrobionego z plastiku i metalu.

Wiadomo co.

– A... pluskwa... – mruknąłem.

– Zgadza się – przytaknął Tristan, biorąc się z powrotem do rozpakowywania toreb. – Postaraj się wsadzić ją do jej komórki. Zmieści się za baterią. Naprawdę się postaraj, bo dzięki temu już za kilka dni będziemy wiedzieć, czy Ember jest uśpionym szpiegiem, czy nie.

Przez chwilę wpatrywałem się w ten niby niewinny drobiazg na mej dłoni, którego widok jakoś wcale mnie nie ucieszył. Ale cóż... Misję trzeba wykonać. Wsunąłem pluskwę do kieszeni, pistolet natomiast powędrował z powrotem do kabury. Czegoś takiego przecież nie bierze się ze sobą na randkę!

– A... i jeszcze jedno pytanko – odezwał się Tristan, nieruchomiejąc nad torbą z chipsami doritos. – Możesz zdradzić, gdzie konkretnie się wybieracie? Nie ukrywam, że bardzo chciałbym to wiedzieć.

– Chyba pójdziemy do kina. Tak przecież robią wszyscy, prawda?

Tristan pokiwał głową.

– Zgadza się. Jeśli chcesz być mało oryginalny, po prostu nudny, bo taki właśnie jak wszyscy, możesz zabrać ją do kina. Ale dwie godziny masz zmarnowane, bo w kinie z nią nie pogadasz.

Mądrzył się, jak to on!

– A kto ty raptem jesteś? Guru od pierwszych randek?

Tristan zaśmiał się.

– Ależ ty się tym wszystkim przejmujesz! Wyluzuj, chłopie. Przecież to wcale nie jest prawdziwa randka. A poza tym... – Tristan zamknął drzwiczki szafki i spojrzał na mnie prawie z czułością, wyraźnie zachwycony moim

stanem ducha. – Znam jedno miejsce, do randek idealne...

## EMBER

Żołnierze znów nacierali na mnie.

Tego ranka zastrzelono mnie już dwukrotnie. Moje łuski zbryzgane były czerwoną farbą, czerwone krople spływały po czole i dostawały się do oczu, dlatego prawie przez cały czas oczy miałam zasłonięte trzecimi powiekami. Takie dodatkowe utrudnienie, gdy i tak nie jest łatwo. I z każdą chwilą działo się coraz gorzej, bo coraz trudniej mi było uciec przed podstępными draniami, którzy już rozszyfrowali moje metody i byli z góry przygotowani na atak. Niemniej udało mi się kilku załatwić, czyli zerwać kawałek czerwonego materiału, którym owinięci byli w pasie. Oznaczało to, że teraz ja zabiłam. Zrobiłam to kilkakrotnie, byłam więc przekonana, że spisuję się nieźle. Moja wredna instruktorka uważała oczywiście inaczej.

A zabawa trwała w najlepsze. Kiedy bardzo czujna, ze wszystkimi zmysłami wyostrzonymi na maksa, skradałam się jednym z korytarzy, nagle usłyszałam cichy jęk. Ten ktoś, kto jęczał, musiał być po drugiej stronie ściany z drewnianych skrzyń. Szybko więc podskoczyłam, mając nadzieję, że żaden z tych drani mnie nie zauważy, wylądowałam na górze i ostrożnie wysunęłam głowę, by spojrzeć, co się dzieje po tej drugiej stronie.

Na środku korytarza, na cementowej posadzce leżał na brzuchu żołnierz. Broń leżała obok. Żołnierz nie ruszał się, więc ja też znieruchomiałam, czekając, kiedy wstanie, bo wtedy oczywiście zamierzałam się na niego rzucić. Czekałam, a on nic, tylko dalej leżał. Zmęczył się i zasnął? Nie, bo nogi poruszyły się i znów jęknął. Czyli coś było nie tak.

Bezgłośnie wylądowałam na posadzce i czujnie rozejrzałam się dookoła, czy nie ma tu innych żołnierzy. Wyglądało na to, że nie, a ten, co pojękiwał, niewątpliwie był ranny. Próbował wstać, ale mu się nie udało i opadł ciężko na cementową posadzkę.

Był ranny, należało mu więc pomóc. Naturalnie pomyślałam o tym od razu, żałując, że nie jestem w ludzkiej postaci, bo wtedy z tą pomocą byłoby prościej. Ale nie mogłam poddać się Przemianie, ponieważ kiedy na początku szkolenia zmieniałam się z człowieka w smoka, miałam nakazane, by wcześniej pozbyć się ubrania. Trudno więc, żebym rannemu żołnierzowi objawiła się po prostu goła.

– Co z tobą? – spytałam, podchodząc bliżej. – Jesteś ranny?

Znów jęknął, podeszłam więc jeszcze bliżej.

– Możesz iść? Może chcesz, żebym zaprowadziła cię do Strasznej Damy z Ta...

I wtedy on, szybko jak wąż, przewrócił się na plecy, wycelował w moją pierś

i wypalił.

A niech to! Odskokczyłam w tył. Uniku nie zrobiłam, wiedziałam przecież, że to bezcelowe. I wcale nie byłam zaskoczona, kiedy reszta drużyny powyskakiwała z różnych zakamarków i również otworzyła ogień.

Cholera jasna! – wściekałam się w duchu. Sama wlałam mu w łapy! A teraz ta wreduska da mi popalić!

Zamknęłam oczy i przykucnęłam, czekając, kiedy grad czerwonych kulek wreszcie się skończy. Czekałam, kiedy się zjawi moja instruktorka, i jak zwykle nie trwało to długo. Pojawiła się już po krótkiej chwili, potrząsając głową i popatrując na mnie z największą odrazą. W związku z czym zawarczałam, potem zacisnęłam zęby. A wszyscy żołnierze, łącznie z tym, który udawał rannego, znikli.

– Wiem, wiem – rzuciłam gniewnie, zanim babsztyl zdążył otworzyć usta. – Nie musisz mi mówić, co zrobiłam źle. Dobrze wiem, że to było żałosne.

A ona przewiercała mnie tym swoim wrednym spojrzeniem na wylot.

– Więc dlaczego to zrobiłaś?

– Bo myślałam, że naprawdę jest ranny! Przecież to nie jest prawdziwy żołnierz Świętego Jerzego. Był ranny, więc należało mu pomóc.

– O! I tu właśnie popełniasz wielki błąd! – oznajmiła, celując we mnie długim palcem zakończonym długim, pomalowanym na jaskrawoczerwony kolor paznokciem. – Bo co z tego, że mógł być ranny? To twój wróg i nie do ciebie należy udzielenie pomocy. Co powinnaś była zrobić, pisklaku?

Patrzyła na mnie z taką pogardą, że z trudem powstrzymałam się od gniewnego pomruku.

– Zabić go – powiedziałam.

– Tak. Zabić z zimną krwią. Jeśli jeszcze kiedykolwiek znajdziesz się w podobnej sytuacji, radzę ci to zrobić. Bo jeśli znowu zawiedziesz, najpewniej drugiej szansy, by się wykazać, nie będziesz już miała.

Kiedy po szkoleniu wróciłam do domu, Dante był na dole, w pokoju dziennym, i rozwalony na kanapie oglądał film akcji. Głowę oparł na podłokietniku, jedna noga, przerzucona przez tylne oparcie, zwisała nonszalancko z drugiej strony. Na brzuchu stała puszką z wodą sodową. Oczy wlepione w ekran, miałam więc nadzieję, że nawet jeśli mnie usłyszał, to i tak, pochłonięty filmem, nie raczy spojrzeć na mnie. Bo o to przecież chodziło. Jak najszybciej przemknąć do swego pokoju i od razu wskoczyć pod prysznic, bo po tych dzisiejszych ćwiczeniach wyglądałam tragicznie, a mój brat nigdy nie wracał do domu w takim właśnie stanie, to znaczy w stanie oplakanym.

Niestety, kiedy byłam już mniej więcej w połowie schodów, oderwał oczy od ekranu, spojrzał na mnie i byłam pewna, że zaraz usłyszę komentarz. Przecież rozmawialiśmy ze sobą, mimo że po imprezie u Kristin ścięliśmy się naprawdę ostro. Jednak zachowywaliśmy się, jakby nic się nie stało, choć wiedzieliśmy oboje, że to tylko pozory.

– Jak ty wyglądasz, dziewczyno! W czym się tarzałaś?

– Weź się od... – wymamrotałam z nawyku, bo tymi słowami rzucałam w niego dość często. Może więc dlatego, kiedy ze mnie uleciały, poczułam się swobodniej. – Lepiej powiedz, Dante, dlaczego jesteś w domu, bo o ile mnie pamięć nie myli, miałeś spotkać się dziś z Calvinem i Tylerem.

– Tak. Spotykamy się za godzinę w Smoothie Hut – oznajmił i popił wody z puszki. – Tyler znalazł nowe, podobno rewelacyjne miejsce do wspinania się po skałach. Chcemy to sprawdzić... Ej, siostra, a może zabierzesz się z nami? Chłopaki nie będą miały nic przeciwko temu. Poza tym moim zdaniem na pewno dasz radę.

Czyli Dante wyraźnie wyciągał do mnie rękę. W innej sytuacji z takiej jego postawy bardzo zadowolona przyjąłabym zaproszenie, tym bardziej że być może zdołałabym pokonać Dantego i jego kumpli podczas wspinaczki, co dałoby mi wiele satysfakcji i na pewno poprawiło humor. Poza tym wspólny wypad na pewno przyczyniłby się do oczyszczenia atmosfery, ale niestety, tego dnia miałam inne plany. Planu tego rodzaju, że nie potrafiłam myśleć o nich spokojnie. A gdzie tam! Byłam tak przejęta, jak nigdy dotąd. Żadne tam surfowanie, tańce czy żadna wspinaczka nie były w stanie wzbudzić we mnie tylu emocji, co perspektywa randki z Garretem.

– Dzięki, Dante, ale dziś jestem zajęta. Innym razem dokopię ci na skałkach.

Wzruszył ramionami i znów wbił wzrok w telewizor, a ja znów ruszyłam ku schodom. Niby krokiem zdecydowanym, kiedy jednak do nich doszłam, zatrzymałam się i spojrzałam na brata. Chwilę to trwało, ale w końcu wyczuł mój wzrok i spojrzał na mnie. Oczywiście, że przystanęłam, bo chciałam go o coś zapytać, zdając sobie doskonale sprawę, że pytanie właśnie o to jest jednak ryzykowne. Niemniej naprawdę bardzo zależało mi na odpowiedzi, dlatego nie zamierzałam się wycofać.

– Dante... a więc... powiedz mi, czy kiedykolwiek się zastanawiałeś, po co właściwie mamy te szkolenia?

– Zaraz... o co ci dokładnie chodzi? – spytał.

A we mnie zapaliła się iskierka nadziei. Bo brat wcale się nie zachnął ani „nagle” sobie nie przypomniał, że koniecznie musi iść po coś do swojego pokoju. Zero takich reakcji, a więc zwycięstwo, bo pogada ze mną.

– Jak to o co? Dante, spójrz na mnie! – powiedziałam dramatycznie, podnosząc ręce całe w czerwonej farbie. – Widzisz przecież, jak wyglądam, a ciebie w takim stanie nigdy nie widziałam. Siedzisz sobie w fotelu i zapoznajesz się z tajnikami ceremonii parzenia herbaty czy coś w tym stylu. A ja jak głupia miotam się po labiryncie i co chwilę strzelają do mnie. I po co to? Po co?!

Dante uśmiechnął się.

– Tak dla ścisłości. O herbacie ma być w przyszłym miesiącu.

Żartował, ale czułam, że wcale mu nie jest do śmiechu.

– Dante, powiedz, dlaczego ciebie szkolą inaczej? Bo ja myślę, że chcą nas rozdzielić. Ciebie wyślą na elitarną uczelnię, gdzie studiują dzieci bogaczy i VIP-ów, a mnie do akademii wojskowej czy coś w tym rodzaju...

– Przesadzasz... – mruknął i zmienił pozycję, siadając na brzegu kanapy. – Wcale nie zamierzają nas rozdzielić.

– Niby skąd to wiesz?

– Mój instruktor mi o tym powiedział.

– Powiedział? No to jesteś w sytuacji rzeczywiście komfortowej! – wypaliłam ogarnięta nagłym gniewem, choć w sumie bez powodu. Po prostu pękłam, bo to dzisiejsze kretyńskie szkolenie było ostatnią kroplą goryczy nagromadzonej podczas wykańczających szkoleń z wredną jędzą z Talonu. – Bo wyobraź sobie, że moja instruktorka nic mi nie mówi, tylko drze się na mnie, że jestem żalosna i nigdy nie będę porządnym smokiem. Że całe to szkolenie mojej ludzkiej i smoczej osoby to zwykła strata czasu, a ja w ogóle nie powinnam się była wykluczyć. Nienawidzę tych szkoleń! Nienawidzę tej jędzy, tego całego Talonu...

– Dość!

Głos Dantego, zaskakująco ostry i donośny, skutecznie zamknął mi usta.

– Możesz sobie nie lubić swojej instruktorki – mówił dalej równie ostro mój brat. – Możesz być zła na mnie, bardzo proszę, ale na tym koniec, jasne? Bo kiedy tak się ciebie słucha, to można pomyśleć, że kto wie, czy nie masz ochoty pójść za przykładem tamtego zbiega!

– A może mam! I co?! Powiesz im o tym? Ty?

Dante przymrużył oczy i spojrzał na mnie naprawdę bardzo groźnie, ale nie odezwał się, tylko wstał z kanapy i znikł w swoim pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Dając tym samym bardzo dobitnie do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca. A skoro tak, to ja też poszłam do swojego pokoju. Oczywiście z ciężkim sercem, bo tym, co właśnie zaszło, byłam bardzo przygnębiona.

Wzięłam prysznic, udałam się na plażę i zaczęłam się przechadzać brzegiem

oceanu. Czułam się bardzo obolała, bo cierpiała nie tylko dusza, ale także ciało, po ostatnim szkoleniu pełne siniaków. Ale co tam siniaki! Najbardziej ze wszystkiego zabolęła mnie postawa brata. Odcinał się ode mnie, to było oczywiste. Czyli nadal między nami jest nie tak, jak być powinno. A mówiąc wprost, jest bardzo niedobrze!

Szłam i szłam, czując na sobie gorące promienie słońca na przemian z chłodną bryzą i wciągając głęboko w płuca ten ukochany już przeze mnie, jedyny i niepowtarzalny słony zapach oceanu. Teoretycznie więc powinnam się uspokajać, niestety tego dnia nawet ocean nie potrafił mnie pocieszyć. Nikt nie był w stanie tego zrobić. Owszem, miałam spotkać się z Garretem – i tego spotkania nie mogłam się doczekać – ale Garret nie wchodził w grę. Przecież nie będę z nim rozmawiać o problemach smoków!

A z Dantem to już chyba nigdy w życiu nie pogadam tak naprawdę...

Ale zaraz, chwileczkę! Przecież jest ktoś, kto chce ze mną rozmawiać! Oczywiście! Sam powiedział, że jeśli kiedykolwiek będę miała ochotę z nim pogadać, mam do niego zadzwonić. Numer przecież znam...

Wyciągnęłam komórkę z kieszeni szortów i przeszłam jeszcze kilka kroków, tam i z powrotem, zastanawiając się, czy istotnie zrobić to, na co mam tak wielką ochotę. Bo jeśli Talon monitoruje moją komórkę...

A co tam! Szybko wystukałam wiadomość, oczywiście jak najbardziej lakoniczną, neutralną w treści:

Możemy pogadać?

Nacisnęłam „wyślij” i czekałam. Słońce paliło w głowę i złociło ekran, dlatego musiałam osłonić oczy ręką, by przeczytać odpowiedź, która nadeszła błyskawicznie. Równie lakoniczna.

Kiedy?

Przełknęłam nerwowo i wystukałam:

Teraz. Możemy spotkać się na molo?

I znów w mgnieniu oka nadeszła odpowiedź:

Już tam jadę.

## RILEY

Super!

Przeczytałem ostatnią wiadomość i schowałem komórkę do kieszeni, uśmiechając się mimo woli. No i co? Już zaczęłaś się zastanawiać, Firebrand? Trzeba przyznać, że nie potrzebowałaś na to zbyt wiele czasu.

– Wychodzę! – zawołałem, zgarniając z kuchennego blatu kluczyki i kurtkę.  
– Umówiłem się z Ember na molo. Kto wie, czy nie wrócę tu z gościem. Jeśli tak, to jutro z samego rana znikamy stąd. Dlatego tak na wszelki wypadek bądź gotowy już do drogi.

Cisza.

– Hej, Wes! Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Skup się! Przecież ona to jeszcze jeden cel, na którym Talonowi bardzo zależy!

Wes, usadowiony za kuchennym stołem, wpatrzony w ekran laptopa, nawet nie raczył na mnie spojrzeć, tylko wymamrotał pod nosem:

– Robiłeś to już milion razy. Spotykasz się z jakimś pieprzonym pisklakiem, każesz mi szykować się do wyjazdu, a potem nici z tego... Aha, chciałem jeszcze zwrócić uwagę, że red bull się kończy. W drodze powrotnej wstąp do sklepu i kup parę puszek. O ile, oczywiście, kolesie od Świętego Jerzego nie będą siedzieli ci na ogonie!

Ember, z rozwichrzonymi przez bryzę włosami, siedziała na solidnej drewnianej barierze na molo i patrzyła w dal, na ocean.

– O, to właśnie spojrzenie jest mi już dobrze znane! – zawołałem, siląc się na dowcip.

Ember poderwała głowę, ale nie uśmiechnęła się, tylko zmarszczyła zabawnie nos i spojrzała w bok, na molo tętniące życiem. Matki z wózkami, złani potem biegacze, nie brakowało też oczywiście zakochanych par trzymających się za ręce. A po bokach wędkarze ze swoimi wędkami. Cały ten tłumek był kompletnie nieświadomy, że przy barierze stoją dwa smoki.

Ludzie nieświadomi, ale... Kiedy mijała nas jakaś pani z białym pieskiem obsikującym dosłownie wszystko, czworonóg na nasz widok natychmiast przerwał tę czynność i zaczął ujadać, po prostu ujadać histerycznie, dopóki właścicielka nie dała rady go od nas odciągnąć.

Ujadał, mądrzył się, a mnie ten czworonożny głupek po prostu rozśmieszył. Bo co za problem? Kłapniesz raz zębami i już po zdechlaku skonsumowanym na przystawkę.

– Jakie spojrzenie? O co chodzi? – spytała Ember, kiedy koło nas znów zrobiło się cicho.



– Spojrzenie typu: „Nienawidzę mojej instruktorki i marzę o tym, żeby wreszcie umarła”.

– Tak powiadasz? No... może faktycznie mam czasami takie myśli...

– Wcale się nie dziwię. Ember, przecież ja też od wyklucia mam Talon na karku. I nadal go mam!

– No to super. Bo właśnie to chciałam usłyszeć – mruknęła, ale ja już właściwie nie zwracałem uwagi na słowa, bo zauważyłem na nagim ramieniu Ember coś bardzo interesującego. Czerwoną plamkę, raczej grudkę, coś jak zaschnięta krew. Z tym że ta grudka była od krwi trochę jaśniejsza.

No tak. Wiadomo, o co chodzi.

– Żołnierze i paintball? Też to przerabiałem.

– Ty też?!

– Oczywiście!

Stałem obok Ember plecami do bariery, opierając się o nią łokciami. Ember wlepiała we mnie te swoje zielone oczy, tak wpatrzona, że miałem wrażenie, że policzek od tej strony robi się gorący.

– Na początku strzelali we mnie gumowymi kulami. Dali mi popalić. Po jakimś czasie jednak zrezygnowali, bo jeden z żołnierzy dostał taką kulą w oko, i kazano przejść na paintball. Masz szczęście, że u ciebie tego się trzymają, bo gumowe kule to naprawdę średnia przyjemność.

Ember pokiwała głową, spojrzała na ocean i nagle, kopnąwszy ze złością barierę, wbiła we mnie płonący wzrok:

– Dobrze! Paintball! Ale co potem, kiedy to cholerne szkolenie się skończy? Co wtedy ze mną zrobią?

– Nie wiem, Firebrand – powiedziałem szczerze i podskoczyłem, żeby usiąść sobie obok niej na tej barierze. – Wszystko zależy od tego, co dla ciebie zaplanowali. Dobrze wiesz, że każdy smok ma w Talonie swoje określone miejsce. Każdemu pisklakowi przyglądają się już od chwili wyklucia i w którymś momencie podejmują decyzję odnośnie do jego przyszłości. Wszystkie te szkolenia i treningi mają na celu sprawdzenie, czy pisklak nadaje się do tego, co dla niego przewidzieli. O tym decydują już po pierwszym etapie szkoleń. Jeśli się nadaje, rozpoczyna się drugi etap, w porównaniu z którym ten pierwszy to tylko zabawa. Aha, i jeszcze jedno. Dopóki nie ukończysz całego szkolenia, nie powiedzą ci, kim masz być w Talonie.

– A kim ty byłeś, Riley?

– Bazyliszkiem, czyli szpiegiem. A szpiegzy, jak wiadomo, to podstawowe narzędzie podczas wojny Talonu z Zakonem Świętego Jerzego.

– Wojny? Nie wiedziałam, że Talon prowadzi jakąś wojnę.

– Z Zakonem Świętego Jerzego prowadzi ją od zawsze, Firebrand.

Tak było. Zawsze wojna. Jeszcze dziś skóra na mnie cierpła, kiedy przypominałem sobie tamte lata, ten tak okrutny, przesiąknięty krwią czas, kiedy byłem w organizacji i oczywiście brałem w tej wojnie czynny udział.

– Wojna trwa, Firebrand. Duża część Talonu praktycznie nigdy się z nią nie styka. Trzon organizacji, czyli najbliżsi współpracownicy i doradcy Eldera Wyrma, a także Kameleony i Inwigilatorzy, przebywa wśród ludzi, w ukryciu, żeby żaden żołnierz Świętego Jerzego nie wpadł na ich trop. Poza tym nie prowadzi się otwartej wojny przy użyciu siły. Nie, bo smoków jest po prostu za mało. Dlatego Talon stosuje inne metody. Wysyła grupy wyszkolonych agentów, którzy w razie potrzeby atakują z ukrycia. I ja byłem takim właśnie agentem. Kimś, kto zbiera informacje o Zakonie, kto wkrada się do ich bazy, żeby zdobyć dane albo dokonać sabotażu. Także sprawdza, czy pozostali agenci są lojalni wobec Talonu...

Mówiłem i mówiłem. Nie powiem, że nie bez przyjemności, bo Ember słuchała z zapartym tchem, nie zwracając w ogóle uwagi na otaczających nas ludzi.

– To, co robiłeś, na pewno było bardzo niebezpieczne, Riley.

– Nie ukrywam, że tak. Nie pamiętam już, ile razy udało mi się dosłownie w ostatniej chwili uciec Świętemu Jerzemu. Kilka razy kula mnie dosięgła. Kiedyś zrobili na mnie zasadzkę, ale udało mi się wymknąć; kiedyś zwiąłem snajperowi, i tak dalej, i tak dalej. W sumie była to niezła zabawa.

– Tak? To może właśnie dlatego, że ciągle musiałeś uciekać, w końcu zostałeś smokiem zbiegiem?

Niby dowcip, a jednocześnie pytanie zasadnicze, dlatego od razu przestałem się uśmiechać.

– Oczywiście, że nie, Firebrand. Nie dlatego, że uciekanie weszło mi w krew. Uciekłem z powodu samego Talonu.

– A dokładnie?

Kiedy usłyszałem to krótkie pytanie, serce zabiło mi szybciej. Przecież była to wspaniała chwila, by osiągnąć swój cel. Przekazać garść informacji o tych draniach, i Ember będzie moja. Zrobić to teraz, bo drugi raz taka okazja raczej się nie przytrafi...

I wtedy, jak to zwykle bywa w najmniej odpowiedniej chwili, odezwała się moja komórka.

– A niech to...

Zsunąłem się z bariery i wyjąłem z kieszeni telefon. Dzwonił oczywiście Wes, bo oprócz Ember tylko on znał mój numer.

– Przepraszam, Ember. Muszę chwilę pogadać.

Odszedłem parę kroków na bok, przytknąłem komórkę do ucha i zacząłem tonem bardzo uprzejmym:

– Wes, do cholery, czy ty musisz...

Nie dał mi dokończyć.

– Masz wracać! Natychmiast! Mamy nowy problem!

Nowy problem! Ścięło mnie. Zerknąłem na Ember. Patrzyła na ocean, na pewno nie słyszy. Więc przykucnąłem i spytałem, oczywiście zniżając głos:

– Jaki problem? Gadaj!

– Problem taki, że ma łuski i szpony i jest u nas w domu!

– Kurde!

Nerwowo przeczesalem palcami włosy, przeklinając tego kogoś, komu właśnie teraz zachciało się złożyć nam wizytę.

– Zaraz tam będę!

Rozłączyłem się i wróciłem do Ember, która zeskoczyła z bariery.

– Kłopoty? W domu? – spytała z wyraźnym niepokojem.

Cholera! – pomyślałem ze złością. A już prawie miałem ją w garści!

– Niestety – burknąłem, z trudem powstrzymując nogę, bo najchętniej bym coś kopnął. – Muszę jechać, Firebrand. Ale naszej rozmowy nie uznajemy za zakończoną, zgoda?

Podszedłem do niej jeszcze bliżej i położyłem rękę na jej ramieniu. Kiedy tylko moje palce zetknęły się z ciałem Ember, natychmiast poczułem w środku żar, tak silne uderzenie, że omal nie odskoczyłem. No cóż... Identycznie zareagował mój smok na tamtej imprezie, budząc się do życia.

– Bardzo chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać – powiedziałem, zerkając na policzki Ember. Były zarumienione, czyli kto wie, czy nie czuła tego samego żaru co ja. – Mam wiele do powiedzenia o Talonie. Myślę, że warto, byś się o tym dowiedziała. Obiecuj, że się ze mną jeszcze spotkasz.

Odpowiedź padła natychmiast:

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Kiedy tylko będziesz mogła, odezwij się.

Miałem wielką nadzieję, że tak właśnie będzie, że Ember zadzwoni. Bo jeśli chodzi o mnie, sprawa była jasna. Niezależnie od tego, na czym polega problem, który pojawił się w domu, nic mnie nie powstrzyma przed tym następnym spotkaniem z Ember.

Przed samą Ember.

Ścisnąłem ją lekko za ramię i zmuszając się do uśmiechu, dodałem na pożegnanie:

– Głowa do góry, Firebrand! Pamiętaj, że jestem w zasięgu ręki. I do zobaczenia!

## EMBER

Patrzyłam, jak Riley biegnie do motocykla, wskakuje na siodełko, a po chwili znika mi z oczu. Patrzyłam rozdarta. Z jednej strony bardzo, ale to bardzo nie chciałam się z nim rozstawać. Bo Riley to smok, bo z Rileyem latałam nad oceanem, nie przejmując się konsekwencjami. Bo tam, gdzie Riley mnie dotknął, moja skóra nadal była dziwnie napięta, a moja smoczyca po prostu szalała, domagając się Rileyę, co jednak nie miało nic wspólnego z tym, co ja, jako Ember człowiek, czułam do Garreta. Za Garretem tęskniłam, myślałam o nim bez przerwy, a to, czego moja smoczyca chciała od Rileyę, było czymś tak bardzo... pierwotnym. Chyba tak, w każdym razie na pewno związane było z instynktem i na pewno nie można było tego zignorować, ponieważ moja smoczyca domagała się Rileyę wręcz rozpaczliwie.

Nie, chwileczkę. Pomyłka. Moja smoczyca domaga się Cobalta. Oczywiście! Nie Rileyę, chłopaka z uroczym, trochę krzywym uśmiechem, burzą czarnych włosów i prawie złocistymi oczami, lecz Cobalta, dumnego niebieskiego smoka, z którym tamtej nocy fruwałam nad oceanem. Czyli dla mnie był to poważny problem, bo okazuje się, że nie tylko zewnętrznie jestem podwójna, raz człowiek, raz smok. Mam również dwie osobowości, rządzą mną dwa instynkty...

Ach! Lepiej się nad tym wszystkim nie zastanawiać! Potrząsnęłam głową i ruszyłam z powrotem przez molo w kierunku plaży, już nie rozmyślając o swoich instynktach, lecz o Talonie. Tego dnia niestety tylko w niewielkim stopniu udało mi się wzbogacić wiedzę na temat organizacji, poza tym to, czego się dowiedziałam, wcale nie było dla mnie szokujące. O Zakonie Świętego Jerzego wiedziałam już od dawna. Mówiono mi, że są to pogromcy smoków, którzy chcą nas zgładzić. Cóż więc w tym dziwnego, że walczymy z nimi? Walczymy przecież w obronie własnej. Talon szkoli mnie do walki, stąd te mordercze treningi z uzbrojonymi żołnierzami. Mam nauczyć się zabijać z zimną krwią. Oczywiście, przecież na pewno nie przygotowują mnie do rozmów dyplomatycznych. Na pewno zostanę tajnym agentem, może Bazyliuszkiem jak Riley, i do końca życia będę walczyła z Zakonem.

Zadumana dotarłam do końca molo, zeszłam na plażę i spojrzałam na ocean, na przepiękną, przeogromną taflę wody, muskaną ciepłą bryzą. Tak... Ten mój pobyt w urokliwym miejscu to faktycznie coś w rodzaju łabędziego śpiewu. Bo potem już zawsze będzie tak, jak zaplanuje Talon. Wszystko postanowione. Dokąd pojedę, kim zostanę. Zawsze będę robić to, co każą. Mogę sobie do woli nienawidzić mojej instruktorki i tego, co ona ze mną wyrabia, bym stała się tym, kim mam być zgodnie z postanowieniem Talonu.

Tylko tyle mogę, bo ja, Ember Hill, nie mam nic do powiedzenia, jako że Talon jest najwyższym prawem.

Komórka w kieszeni zaczęła wibrować. Przyszła wiadomość:

Nasze dzisiejsze spotkanie aktualne? Smoothie Hut, o piątej?

Garret. Uśmiechnęłam się, bo mój nastrój zdecydowanie zaczął się poprawiać. A co tam Talon, wojna, instruktorzy i ich dalekosiężne plany! To lato należy do mnie, więc póki co, mówiąc elegancko, niech się ode mnie odwalą.

Szybko wystukałam odpowiedź:

Oczywiście! Do zobaczenia!

## GARRET

Tym razem niespodzianka, bo okazało się, że Ember już czeka na mnie.

Od razu zauważyłem na parkingu rudowłosą dziewczynę, która siedziała na wysokim krawężniku. W rękę trzymała kubek z czymś, co się pieniało, założyła nogę na nogę i sprawiała wrażenie osoby całkowicie pochłoniętej swoimi myślami. Jednak kiedy podjechałem dzipem i otworzyłem drzwi, natychmiast zerwała się na równe nogi, a jej twarz pojaśniała w uśmiechu.

– Cześć, Garret! – zawołała, wsuwając się na fotel obok mnie. – Wiesz, trzeba przyznać, że wpływasz na mnie bardzo pozytywnie. Bo tym razem, jak widzisz, zjawiłam się punktualnie.

– Widzę, widzę... – mruknąłem zapatrzony na Ember. Zwykle chodziła w szortach i T-shircie, lecz tym razem miała na sobie czarne dżinsy i top. A to, co zachodzące słońce robiło z jej rudymi włosami, było po prostu niesamowite...

W rezultacie musiałem sobą potrząsnąć, czyli wydać rozkaz. Skup się, żołnierzu! W porządku, już się skupiam. Wrzuciłem wsteczny i wyjechałem z parkingu. Ember oparła się wygodnie i patrzyła przez okno. Zauważyłem, że jest mocno przygaszona. Dlaczego? Może stało się coś w domu? W domu, do którego nigdy mnie nie zaprasza. Zawsze przecież każe mi stanąć na rogu. Bardzo rzadko też wspomina o bracie bliźniaku, a to też wielka szkoda, bo gdybym miał więcej informacji, może doszedłbym już, kim ona jest naprawdę. Może po prostu zwyczajną rudą dziewczyną...

– Ember, przepraszam, że miałaś przeze mnie kłopoty podczas weekendu – powiedziałem, kiedy wyjeżdżaliśmy na główną drogę. – Jeśli chcesz, pogadam z twoim bratem.

– Co? Och nie! Nie ma sensu, Garret. Mówiłam ci już, że Dante czasami świruje z tą swoją nadopiekuńczością. A po tej imprezie kompletnie mu odbiło. Moim zdaniem lepiej odczekać, aż ochłonie.

– Czyli między wami obecnie nie dzieje się najlepiej? A mówiłaś kiedyś, że jesteś bardzo zżyta ze swoim bratem.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Przecież on nie jest takim zwyczajnym bratem, tylko bratem bliźniakiem. Zawsze wszystko robiliśmy razem.

– Ale teraz już nie?

Ember westchnęła i spuściła głowę, wbijając wzrok w splecione dłonie ułożone na podolku.

– Nie, teraz już nie. Bo Dante... zmienił się. Mam wrażenie, że oddała się ode mnie. Nie wiem, dlaczego tak jest. Bardzo chciałabym, żeby mi to jakoś wytłumaczył. Ale cóż...

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że powinienem dalej drążyć i zadawać jak najbardziej podchwytliwe pytania, by wyciągnąć z Ember jak najwięcej o bracie bliźniaku. Ale ją wyraźnie coś gryzło, nawet wzdychała od czasu do czasu nieskończenie smutno. I wcale nie było miło patrzeć na smutną Ember.

Kiedy zatrzymałem się na światłach, mimo woli podniosłem rękę i zaczesalem Ember za ucho kosmyk włosów.

Natychmiast spojrziała na mnie, wyraźnie zaskoczona tym gestem. A ja do tego gestu dodałem jeszcze kilka słów:

– Przepraszam, Ember, niepotrzebnie cię wypytuję, kiedy doskonale rozumiem, że to bardzo przykra sytuacja. Wprawdzie nie mam rodzeństwa, ale z Tristanem jesteśmy jak bracia, dlatego doskonale mogę sobie wyobrazić, jak jest ciężko, kiedy ktoś ci bliski zaczyna myśleć całkiem inaczej niż ty. Moim zdaniem, musicie ze sobą szczerze pogadać. Może to coś da. Spróbować zawsze warto.

– Może i tak...

Zapaliło się zielone światło. Ruszyliśmy. Ember siedziała cicho zamyślona, usta otworzyła dopiero wtedy, kiedy zauważyła, że skręcam w stronę wjazdu na autostradę.

– Ejże, Garret! A gdzie my właściwie jedziemy?

Oczywiście, że uśmiechnąłem się szeroko.

– Nie powiem. Bo to niespodzianka!

## EMBER

– Jedziemy do kina?

– Nie.

– Na kręgle?

– Nie.

– A więc na pewno na lodowisko! Pojeździmy na łyżwach!

Wtedy spojrzał na mnie trochę dziwnie.

– Lodowisko? – spytał. – Tu, w Kalifornii?

– Oczywiście, że tak, i to niejedno. Przecież mamy nawet drużynę hokejową!

– No proszę. Ale nie jedziemy na łyżwy.

– W takim razie na pewno na koncert.

– Nic z tych rzeczy.

– Czyli sprawa jasna. Zostałam porwana. Przerzucą mnie do Arabii Saudyjskiej i zostanę czterdziestą drugą żoną wielkiego szejka Bumcykcyka!

– Oczywiście! – Garret zaśmiał się. – Mam nadzieję, że polubisz wielbłądy.

– Poradzę sobie z każdym, mówiłam ci już przecież, że mam brata bliźniaka... Garret, ale teraz tak na serio. Dokąd jedziemy?

– Muszę powiedzieć? Koniecznie? Bo nie lubisz niespodzianek?

– Nie, nie lubię. Nie lubię tajemnic. Lubię, kiedy wszystko jest jasne, oczywiste. Prawdziwe.

Dziwne, że coś takiego powiedziałam. Ja, której całe życie jest właściwie jednym wielkim kłamstwem. Bo tak ogólnie rzecz biorąc, wszystko, co robi Talon, wszystko, czego mnie uczą, ma jeden cel: okłamywanie, oszukiwanie, podstęp. Byłam już tym naprawdę zmęczona, choć rzecz jasna nie miałam najmniejszego zamiaru opowiadać całemu światu, jak w sumie żałosna jest egzystencja smoka. Oczywiście, że nie opowiadałam, a to ze względu na konsekwencje, ale wiele razy myślałam sobie, jak by to było cudownie, gdybym choć czasami mogła być sobą. Nie musiała kłamać wszystkim o wszystkim. Jak teraz. Przedtem tak właśnie, całkiem szczerze, mogłam pogadać z Dantem. Ale teraz już nie i niestety chyba tak już będzie zawsze.

A kiedy powiedziałam, co powiedziałam, to znaczy że nie lubię tajemnic, zauważyłam, że po twarzy Garreta przemknął cień. Może też nie lubi tajemnic, może ma jakieś niemile doświadczenia... Może tak, ale nie było czasu się zastanawiać, bo Garret zjeżdżał już z autostrady, kierując się w stronę zatłoczonego parkingu, za którym na tle nieba widać było – ni mniej, ni więcej – tylko diabelski młyn. Tak! I drewnianą kolejkę górską!

Garret znalazł wolne miejsce, zaparkował, zgasił silnik i uśmiechnął się



szeroko.

– Pomyślałem, że zamiast siedzieć dwie godziny w kinie czy teatrze, moglibyśmy trochę poszaleć. Choć jeśli masz ochotę na kino, to oczywiście możemy...

– Zwariowałaś?! – Otworzyłam drzwi i w mgnieniu oka znalazłam się poza samochodem. – Garret! Ostrzegam! Jeśli nadal optujesz za kinem i masz zamiar tam jechać, to osobiście i błyskawicznie przebijam ci wszystkie cztery opony. Wsiadaj!

Roześmiał się, po czym oczywiście wysiadł z dżipa i razem poszliśmy tam, skąd dobiegały radosne wrzaski, głośna muzyka i odurzający wręcz zapach waty cukrowej, wabiący mnie jak syreni śpiew.

Kiedy przeszliśmy przez bramę, zatrzymałam się na moment, chłonąc ten fascynujący dla mnie widok. Nigdy dotąd przecież nie byłam w parku rozrywki, dlatego chciałam się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć. A więc przede wszystkim ten dziki, kłębiący się tłum. Tak. Dosłownie kłębiący, bo wszyscy sprawiali wrażenie, jakby szli bez celu. Zauważyłam, że wiele osób ma wetknięte pod pachę pluszaki. I tak chodzili wte i wewte w tym rozgardiaszu. Bo tu bez przerwy coś dzwoniło, coś gwizdało, coś migotało albo się kręciło tak szybko, że od samego patrzenia kręciło się w głowie.

Czyli zapowiada się super.

Garret podszedł bliżej i dotknął mego łokcia.

– Ember, więc od czego zaczynamy? Ty decydujesz!

Uśmiechnęłam się na pewno z wielką satysfakcją, bo wcale nie musiałam długo się zastanawiać.

– Już wiem. Idziemy! – powiedziałam, biorąc go za rękę. – Bardzo proszę, tędy!

Kiedy kolejka zaczęła powoli wspinać się po torach, udzieliłam Garretowi pewnej instrukcji, według mnie bardzo istotnej:

– Pamiętaj, kiedy ruszymy w dół, musisz koniecznie podnieść ręce i wrzeszczeć. Koniecznie! Bo kiedy się wrzeszczy, jest jeszcze przyjemniej. Tak przynajmniej twierdzi Lexi.

Spojrzał na mnie zdecydowanie sceptycznie, cały czas kurczowo wpijając dłonie w barierkę.

– Trzymam cię za słowo.

– I dobrze na tym wyjdiesz – odparłam z promiennym uśmiechem, który jednak zmiotło z mojej twarzy, kiedy kolejka dojechała na szczyt gigantycznej konstrukcji i przez moment miałam przez sobą widok na cały park. Wielka przestrzeń, a ja w górze... Oczywiście, że natychmiast pomyślałam o lataniu

i w sercu zakłuło.

Ale cóż...

– Garret, nie martw się. W ostateczności będę wrzeszczeć za nas oboje!

Kolejka ruszyła w dół, na łeb na szyję. Ja, zgodnie z obietnicą, od razu otworzyłam usta. Było rewelacyjnie. Kto wie, czy to nie lepsze od latania...

O nie!

W sumie zrobiliśmy cztery rundy. Czwartą na wyraźne żądanie Garreta, i wtedy udało mi się wreszcie odkleić jego ręce od barierki. Podniósł je, owszem, ale nie wrzeszczał. Potem poszliśmy na karuzelę, a później na samochodziki. Najpierw szalone, te wirujące po unoszącej się i opadającej platformie, a potem na samochodziki normalne. Na tych normalnych Garret błyskawicznie zajeżdżał drogę każdemu, kto chciał walnąć swoim samochodem w mój samochód. Podczas jednej z takich akcji udało mi się dostrzec jego twarz. Minę miał identyczną jak podczas surfingu. Był zachwycony, nawet wtedy, kiedy z pełną prędkością najechałam na tył jego samochodziku. Czyli oboje zafundowaliśmy sobie wielką przyjemność.

Po wypróbowaniu wszystkich urządzeń poruszających się bardzo szybko zrobiliśmy sobie małą przerwę i weszliśmy do wielkiego namiotu, gdzie można było coś zjeść. Oczywiście tu też kłębił się dziki tłum, ale przynajmniej było to miejsce osłonięte przed słońcem.

– Dokąd potem? – spytał dowcipnie Garret, kiedy pochłonęliśmy już i hamburgery, i chruściki. – Moim zdaniem nie zaliczyliśmy jeszcze diabelskiego młyna i tej drugiej kolejki górskiej, dla dzieci.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo odezwała się moja komórka. Jasne, że z góry wiedziałam, co zobaczę na ekranie.

– Oczywiście Dante – mruknęłam i czując, że mam go już naprawdę serdecznie dość, po prostu się rozłączyłam. – A daj ty mi święty spokój! Nie chce mi się z tobą gadać.

Położyłam komórkę na serwetce i spojrzałam na Garreta, który niewątpliwie czekał na moją decyzję. Więc podjęłam ją, i to błyskawicznie:

– Diabelski młyn na pewno. Natomiast ta kolejka dla dzieciaków... Sama nie wiem. Chcesz przejechać się wielką różową gąsienicą pełną rozwrzeszczanych dzieci?

– Czemu nie? Jeśli ty masz ochotę...

Zaśmiałam się. Oczywiście, bo już widziałam Garreta wśród maluchów w tej gąsienicy. I tak rozchichotana wstałam, zebrałam ze stolika to, co należało wyrzucić, i pomaszerowałam do pojemnika na odpadki. Wyrzuciłam, a kiedy strzepywałam z rąk cukier puder, pozostałość po chruścikach, nagle poczułam charakterystyczne mrowienie z tyłu głowy i natychmiast poczułam się nijako.

Ktoś mnie obserwuje? Kto? Czyżby Riley? Chowa się gdzieś w tłumie i szpieguje mnie? Jechał za nami z Crescent Beach? Bzdura. Zbiegły smok to nie baranek, wiadomo – buntownik, ale takie śledzenie, takie czajenie się to moim zdaniem absolutnie nie w jego stylu.

A więc jeśli nie on – to kto?

Wróciłam do Garreta, który spojrzał na mnie pytająco, czyli wiadomo, czekał na zapowiedzianą decyzję dotyczącą tego, co dalej będziemy robić. Ale nie to było mi teraz w głowie. Rozejrzałam się szybko dookoła. Gdzie jest tutaj toaleta? O tam, za hot dogami.

– Garret, przepraszam, pójdę umyć ręce. Nie ruszaj się stąd. Zaraz wracam.

– Dobrze. Czekam.

Uśmiechnęłam się i ruszyłam w ślad za stadkiem rozchichotanych dziewczynek, które również podążały do toalety. Po drodze oczywiście lustrowałam wzrokiem otaczający mnie tłum, ale nie natrafiłam na nikogo, kto zwróciłby moją uwagę. A po chwili charakterystyczne mrowienie znikło. Tak samo nagle, jak się pojawiło, i wszystko wróciło do normy.

## GARRET

Ember uśmiechnęła się, ja też, i wreszcie ruszyła w drogę, do tej toalety. Kiedy przechodziła koło mnie, jej palce musnęły moje ramię, co naturalnie zrobiło na mnie wrażenie piorunujące. Prawie zabrakło mi tchu, a sprawczyni tego zawirowania zniknęła już w tłumie.

A jej komórka leżała grzecznie na serwetce.

Uśmiech natychmiast znikł z mojej twarzy, a umysł rozpoczął chłodną kalkulację, ponieważ nadszedł moment, kiedy możliwe będzie zrobienie tego, co bezwzględnie należy zrobić. W końcu celem mojego spotkania z Ember nie była przejażdżka kolejką górską czy wpadanie na innych podczas przejażdżki zabawnym samochodzikiem. Do parku rozrywki nie przyszedłem dla rozrywki, lecz po to, by wykonać decydujący krok, dzięki któremu będzie można ostatecznie ustalić, czy Ember jest naszym celem, czy nie. W kieszeni mam schowaną pluskwę, natomiast komórka Ember – chwilowo nieobecnej – jest w zasięgu ręki. Wystarczy więc sięgnąć do kieszeni po pluskwę, wsunąć ją do komórki, skryć za baterią, i komórkę odłożyć na miejsce, czyli na serwetkę. Cała operacja zajmie góra piętnaście sekund, niemożliwe więc, żeby nie udało mi się jej wykonać przed powrotem Ember.

Wyciągnąłem rękę nad stołem. Kiedy palce dotknęły czarnej gładkiej powierzchni, komórka nagle zabuczała. Podsunąłem ją do siebie bliżej. Nadeszła jakaś wiadomość. A więc... Pokusa była zbyt wielka, dlatego chwila wahania bardzo krótka. Dotknąłem ekranu, który ożył, zielone kółeczko zamigotało i na ekranie pojawiła się wiadomość:

Hej, Dyludyludi! Wcale nie chcę z tobą się kłócić. Zadzwoń, jak tylko będziesz mogła.

Jeszcze jedna chwila wahania. Maleńka pluskwa w kieszeni zaczynała ciążyć. Ember na pewno wróci dopiero za chwilę. Więc zrób to, Garret, bo dzięki tej miniaturowej zabawce wasze śledztwo dobiegnie końca. Przekonacie się, czy faktycznie natrafiliście na gniazdo smoków i ich opiekunów, czy nie.

Poza tym, kiedy włożysz do komórki pluskwę, nie będziesz już musiał spotykać się z Ember.

Jesteś żołnierzem.

Sięgnąłem do kieszeni, palce odszukały maleńki przedmiot z czarnego plastiku i metalu.

## EMBER

Z powrotem przebiłam się przez tłum i wróciłam do stolika. Garret, zgodnie z zapowiedzią, czekał na mnie. Siedział na swoim krześle, podpierając głowę ręką, i po prostu patrzył na ludzi. A ludzie popatrywali na niego. Tak, bo zauważyłam, jak kilka istot rodzaju żeńskiego spojrzało na niego z wyraźną aprobatą, co mnie trochę wkurzyło, dlatego mimo woli przyśpieszyłam. Chociaż, co oczywiście też zauważyłam, Garret na takie spojrzenia był odporny, bo w ogóle nie reagował. Po prostu patrzył niby czujny, ale to nie była ta megaczujność jak wtedy, w centrum handlowym, kiedy patrzył na tłum, jakby tylko czekał, kiedy z tego tłumy wyskoczy ninja i rzuci się na niego. Teraz wyglądał na całkowicie zrelaksowanego, chociaż kiedy podeszłam do stolika, na moment jakby spochmurniał, i to w chwili, gdy spojrzał na mnie. Dziwne... A może mi się tak tylko wydawało?

Nie po raz pierwszy tego dnia. Przedtem też wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi, a nie zauważyłam niczego podejrzanego. Chociaż z drugiej strony, wyłowienie podejrzanego osoby w takim tłumie jest raczej niemożliwe. Poza tym nawet jeśli ktoś mnie śledzi, a więc nie ma dobrych zamiarów, i tak niczego złego nie może mi zrobić, bo i jak? Na oczach tyłu ludzi?

– Gotowy?

Opadłam na krzesło i sięgnęłam po komórkę czekającą na serwetce. Schowałam ją do kieszeni, a Garret wstał i bardzo wdzięcznym ruchem wrzucił plastikowy kubek do kosza.

– Gotowy – oznajmił z uśmiechem. – Prowadź, wodzu! Jestem gotów na wszystko, nawet na zmierzenie się z gigantyczną różową gąsienicą pełną dzieci!

– Super! Chociaż nie... Chwila!

Właśnie mijała nas jakaś para. Chłopak z pluszakiem pod pachą, a pluszakiem tym był ni mniej, ni więcej, tylko goryl. I to był powód do zmiany planów.

– Gąsienicę sobie darujemy. Przejdziemy się alejką – zarządziłam.

– Alejką?

– Tak. – Wskazałam różnej wielkości pawilony po obu stronach drewnianego chodnika. – Coś w rodzaju salonu gier najrozmaitszych pod gołym niebem. Lexi twierdzi, że tu wszystko nastawione jest na zysk, ale na pewno nie grających. I tak jest wszędzie. Może faktycznie, ale i tak warto zagrać, bo jak będziesz miał wystarczającą liczbę punktów, zawsze coś tam wygrasz.

– Wygram?

– Oczywiście! Popatrz tam. Ci wszyscy ludzie chcą wygrać pingwina. Naturalnie chodzi o pluszaka!

Patrzyliśmy na chudego chłopaka, który szperał w kieszeniach, niewątpliwie w poszukiwaniu monet. Obok niego stała ciemnowłosa dziewczyna, bardzo już zniecierpliwiona, bo przestępowała z nogi na nogę.

– Chyba zagra tylko trzy razy – mruknęłam, bacznie obserwując wymianę monet na bilety między grającym a chłopakiem z obsługi. – Lepiej zagrać więcej, żeby mieć większą szansę.

– W takim razie to głupie – stwierdził Garret. – Płacisz, chociaż najprawdopodobniej nie wygrasz. Albo wygrasz coś, czego wcale nie chcesz!

– W sumie tak.

Bo faktycznie, kiedy tak się nad tym wszystkim zastanowiłam, to tak to właśnie wyglądało. Kristin kiedyś zaciągnęła tu chłopaka, który wydał ponad sto dolarów, bo uparł się, że wygra wielkiego pudła.

– Wiesz co, Garret? Chyba rzeczywiście nie ma sensu tracić tyle kasy, żeby w końcu ewentualnie coś tam wygrać. Idziemy na diabelski młyn! – oświadczyłam, ruszając już do przodu.

Ale nie uszłam daleko, bo zaledwie dwa kroki, i Garret złapał mnie za rękę, musiałam się więc zatrzymać.

– A dlaczego z góry zakładasz, że przegram? – spytał, uśmiechając się zuchwale. – Mamy randkę, prawda? A coś mi się wydaje, że dziewczyna z randki tutaj nie wraca bez pluszaka. Moim zdaniem nie powinniśmy się wyłamywać.

I nie wyłamaliśmy się. Garret ani razu nie chybił. Za każdym razem trafiał do celu pojawiającego się w podskokach na plastikowych falach. Trafiał nawet w malutkie żabki. W każdą. Chłopak z obsługi był pod wrażeniem, chociaż odniosłam wrażenie, że szkoda mu było pozbywać się głównej wygranej, czyli wielkiego misia w kolorze różowym wiszącego na ścianie, bo zdejmował go z tej ściany bez odrobiny entuzjazmu. Natomiast Garret, odbierając od niego misia giganta, był strasznie rozbawiony.

Tego misia oczywiście wręczył mnie, a ja nie mogłam sobie darować subtelnego żartu:

– Garret, naprawdę chcesz się z nim rozstać? Przecież właśnie w różowym jest ci tak bardzo do twarzy!

– Naprawdę. Przecież grałem dla ciebie. Miś jest twój.

– Dzięki!

Rozradowana odebrałam pluszaka i przytuliłam do siebie ogromne sztuczne cielsko, takie mięciutkie, gładziutkie i pachnące watą cukrową.

Ale na tym nie koniec.

– Garret, zatrzymam tego misia, ale pod warunkiem, że teraz ja zagram i wygram coś dla ciebie.

– Zgoda.

I wygrałam! Z pomocą dużej miękkiej piłki udało mi się powalić sześć naprawdę solidnych kręgli i wygrałam malutkiego niebieskiego pieska. Z tym że przedtem poległam w rzucaniu obręczą ringo, także rzucaniu kołami hula-hoop i lotkami do tarczy. Stąd moje głębokie przekonanie, że faktycznie robią wszystko, żeby człowiek nie wygrał. Bo za zainwestowaną w to kasę mogłam kupić co najmniej trzy takie pluszaki!

Garret przyjął ode mnie pieska, tak jakby był wykonany ze szczerego złota. Uśmiechnął się po prostu wyjątkowo, a mnie koło serca zrobiło się cieplutko. Byłam szczęśliwa. Owszem, raz jeden podczas naszej eskapady poczułam to mrowienie w karku, czyli sygnał „Uwaga! Ktoś ciebie obserwuje!”, ale ponieważ nie byłam w stanie tego kogoś wyłowić z tłumu, doszłam do wniosku, że najważniejsze to nie dać się zwariować. Niech sobie patrzą, skoro taka ich wola. W końcu nie robię nic takiego, czego powinnam się wstydzić.

A na koniec, kiedy zachodzące słońce zaczęło obniżać loty, usiedliśmy grzecznie obok siebie w jednej z gondoli diabelskiego młyna. Gigantyczne koło ruszyło, gondola kołysała się leciutko, a my, owiewani chłodną bryzą, patrzyliśmy, jak towarzyszący nam do tej pory nieustannie dziki tłum oddala się, staje się coraz mniejszy. Nie słychać już wrzasków i innych odgłosów parku rozrywki. Byliśmy coraz dalej od ziemi, coraz bliżej chmur, i tak bardzo się chciało wyciągnąć rękę, dotknąć którejś z nich. Moja smoczyca oczywiście była bardzo niespokojna, biła skrzydłami niezadowolona, że nie może ich wykorzystać. Ale co się dziwić, kiedy po raz pierwszy od pamiętnego nocnego fruwania z Cobaltem znalazłam się tak wysoko. Tak wysoko, że najchętniej bym już tu została...

Przytuliłam różowego misia i zerknęłam na Garreta. Nie, wcale nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Patrzył w dół, na odległy ocean. Minę miał niewyraźną, spojrzenie ponure, zrobiłam więc szybko to, co moim zdaniem powinno się teraz zrobić. Trąciłam go lekko ramieniem, żeby spojrzał na mnie, i spytałam mięciutko:

– Garret? Z tobą wszystko w porządku?

## GARRET

Nie. Wcale nie było ze mną w porządku, bo raptem coś dotarło. Może wtedy, kiedy jeździliśmy tymi śmiesznymi autkami i bardzo się starałem, by nikt nie uderzył w auto Ember, może wtedy, gdy dawałem z siebie wszystko, by wygrać dla niej tego misia, albo właśnie teraz, kiedy siedzimy obok siebie. Dotarło, że ta dziewczyna po prostu bardzo mi się podoba, i chciałem spędzić z nią jeszcze więcej czasu. Przecież myślałem o niej nieustannie, a teraz, kiedy tak właśnie siedzieliśmy obok siebie, bardzo chciałem ją pocałować. Co oczywiście mogło okazać się katastrofalne dla misji, a tego na pewno nie chciałem. Jednocześnie bardzo pragnąłem pocałunku i nic na to nie mogłem poradzić. Bo stało się. W tym krótkim czasie, między naszym pierwszym spotkaniem na plaży a naszym pierwszym pocałunkiem nad oceanem, w nocy po imprezie, w którymś momencie ta dziewczyna stała się dla mnie kimś więcej niż tylko potencjalnym celem. Stała się dla mnie kimś najważniejszym w moim życiu i ten fakt był dla mnie w równym stopniu niepojęty, co przerażający.

Wsunąłem rękę do kieszeni, palce zacisnęły się na pluskwie, której nie włożyłem do komórki Ember. Nie, nie potrafiłem tego zrobić, co było ewidentnym dowodem na to, że podczas tej misji jednak zawiodę.

Ember oparła brodę o czubek głowy różowego misia i spojrzała w górę, na mnie. Zielone oczy przechwyciły mój wzrok, a w tych oczach były i ciekawość, i niepokój.

– Garret, chyba odpłynąłeś! – stwierdziła oskarżycielskim tonem. Prawie jak Tristan! – O czym myślisz?

– Ach! Po prostu o niczym.

– Nie kłam!

Nie uwierzyła mi, bo wyprostowała się, zielone oczy spojrzały bardzo przenikliwie.

– Oczywiście, że kłamiesz. Byłeś przecież w dobrym nastroju, a teraz w jednej chwili posmutniałeś, czyli musiałeś pomyśleć o czymś, co dla ciebie wcale nie jest przyjemne. Powiesz mi, co jest nie tak?

Milczałem przez chwilę, próbując oczywiście wykombinować jakąś sensowną odpowiedź. Wiedziałem przecież, że Ember nie odpuści.

– A o tak, pomyślałem sobie, że czas tak szybko mija. Za kilka tygodni koniec lata i trzeba będzie wracać do domu. Do Chicago, do ojca. I nigdy więcej już się z tobą nie zobaczę.

I spojrzałem w bok, gdzieś w dal, zaskoczony, że tak się tym przejmuję. Nie wszystko, co powiedziałem, było prawdą, ale to, że już nigdy się nie



zobaczymy, było całkiem realne. Jeśli Ember okaże się zwyczajną dziewczyną, zacznę śledzić kogoś innego, a po zakończeniu misji natychmiast wrócę do Zakonu, by uczestniczyć w tej wojnie bez końca.

A jeśli Ember jest uśpionym szpiegiem...

Moje palce z całej siły, aż do bólu zacisnęły się na barierce, kiedy ostatecznie zmusiłem siebie do jasnego postawienia sprawy. Przed samym sobą. Oczywiście zawsze wiedziałem, co się z tym wiąże, ale starałem się o tym nie myśleć. O tym, że jeśli Ember jest uśpionym szpiegiem, będę musiał ją zabić, bo jest to moim obowiązkiem. Tego oczekuje ode mnie Zakon. Że z zimną krwią wpakuję Ember kulę prosto w serce i będę patrzył, jak umiera. Bardzo łatwo jest zabić smoka w ludzkiej postaci, nie ma przecież tych łusek, które chronią go jak pancerz, tych rogowych tarcz na piersi, które go chronią przed każdym kalibrem. Jeśli zaskoczysz smoka, który nie zdąży dokonać Przemiany, to ten smok nie ma żadnych szans.

Jeszcze kilka tygodni temu w ogóle bym się nad tym nie zastanawiał. Smoki są naszymi wrogami, chcą zniewolić ludzi i tylko nasz Zakon może uniemożliwić im zapanowanie nad całym światem. Wierzyłem w to bezgranicznie.

Tak było, zanim nie poznałem Ember, nie zabijałem zombie w zatłoczonym centrum handlowym, nie surfowałem, nie czułem tego genialnego skoku adrenaliny, kiedy człowiek jeździ po falach. I nigdy dotąd nie czułem czegoś takiego, co wzbudzała we mnie Ember. Tego żaru, który zachwycał i jednocześnie przerażał.

Czułem się tak, jakbym znalazł się nad przepaścią. Bardzo wysoko, a na dodatek ziemia pode mną się trzęsie. Bo nic z tego, czego w Zakonie nauczyli mnie o smokach – że to mordercy, podstępne bezlitosne potwory, nienawidzące rodzaju ludzkiego – nie pasowało do tej radosnej, odważnej dziewczyny, która siedziała obok mnie. Nie pasowało i można to było wytłumaczyć w dwojaki sposób. Ember jest zwyczajną dziewczyną. Albo Zakon się myli.

A to ostatnie zdanie, choć sam je sformułowałem, był to dla mnie szok.

Nagle drgnąłem, gwałtownie wyrwany z tych ponurych myśli przez niedużą szczupłą dłoń, która raptem znalazła się na moim kolanie.

– Też o tym myślę, Garret – powiedziała cicho Ember, tuląc do siebie swojego misia. – Ludzie stąd mają takie powiedzonko: „Nie pozwól swemu sercu opuścić plaży”. Rozumiesz, o co chodzi? O to, że nie wolno przywiązywać się do kogoś, kto i tak zniknie stąd wraz z końcem lata! Przecież jeśli wyjeżdżają, nie ma sensu ryzykować. Chociaż z drugiej strony, jeśli człowiek trzyma się tej zasady, może przez to coś stracić. Coś wspaniałego...

A poza tym, Garret, ja też nie mam zbyt wiele czasu. Kiedy lato się skończy, moje życie ma się zmienić, będzie szalone... Ale nawet gdybyśmy nigdy się już nie spotkali, nigdy nie będę żałowała, że poznałam ciebie, nigdy... bo... – Urwała na moment, chyba bardzo teraz speszona. – Bo od samego początku, jak tylko cię poznałam, ciągnęło mnie do ciebie. Przedtem ciągle mi się wydawało, że ja jakoś tak nie pasuję do nikogo i do niczego, a kiedy jestem z tobą, dzieje się całkiem inaczej. Zapominam o tych nieprzyjemnych rzeczach, które wydarzyły się w moim życiu, i wcale nie czuję się taka... inna...

Delikatnie odgarnąłem jej z czoła pasmo płomienistych włosów.

– Z tego wynika, że faktycznie nie różnimy się od siebie, Ember. Bo ze mną jest podobnie. Zawsze to poczucie, że człowiek jest jakiś inny. Może dlatego, że mam despotycznego ojca. Całe życie pod jego dyktando. Wiesz, jedyna różnica między nami polega na tym, że ty robisz wiele rzeczy, na które nigdy sobie nie pozwalałem. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że tego właśnie bym chciał. Nie zdawałem sobie sprawy, co mi umykało. Dopóki nie poznałem ciebie...

Spojrzenie Ember było bardziej niż płonące. Miś wysunął się z rąk, a Ember przesunęła się w bok i raptem... raptem znalazła się na moich kolanach. Przodem do mnie, szczupłymi nogami obejmując mnie w pasie. Coś takiego zawsze oznaczałoby dla mnie stan największego zagrożenia. Ale teraz nie, teraz objąłem mocno szczupłe plecy, przytulilem, pozwalając, by ciepło jej ciała stopiło resztki mojego psychicznego pancerza, zniszczyło zasadę, że nie wolno się nikomu do mnie zbliżać. Co prawda mój żołnierski instynkt ostrzegał, że nie powinienem tego robić, przecież Ember jest potencjalnym celem, ale oczywiście nie posłuchałem. Tak, bo byłem w tym coraz lepszy, w tym ignorowaniu żołnierskiego instynktu, do tego stopnia, że dziś sam przed sobą stawiałem sprawę jasno. Wcale nie próbowałem wmówić sobie, że obejmowanie Ember to też wykonywanie misji. Wcale nie, przecież byłoby to ewidentne kłamstwo. Byłem z Ember tylko dlatego, że bardzo tego chciałem. Bardzo. Przez siedemnaście lat byłem tylko żołnierzem, teraz chciałem być kimś innym i zaznać czegoś innego. Chciałem choć raz w życiu poczuć, jak to jest właśnie żyć.

Ember patrzyła mi prosto w oczy. Ręce miała oparte na moich ramionach, miękkie palce głaskały mój kark. Ale w spojrzeniu Ember dostrzegłem niepewność, jakby nie wierzyła, że to wszystko dzieje się naprawdę. Co mnie wcale nie dziwiło, przecież czułem to samo.

– Pocałuj mnie – szepnąłem.

O tak, błagałem w duchu, pocałuj i pozwól zapomnieć choć na jeden dzień, że na coś takiego w moim życiu nie ma miejsca. Pozwól uwierzyć, że takie

właśnie mogłoby być moje życie. Że kiedy jestem razem z tobą, kiedy czuję to, co czuję, wcale nie sprzeniewierzam się temu wszystkiemu, co dotychczas wbijano mi do głowy.

Miękkie wargi Ember musnęły moje usta, i to wystarczyło, by wszystkie moje wątpliwości znikły. Żołnierz odszedł w niepamięć, istniała tylko ona, tylko Ember. Nie czułem nic poza dotykiem jej palców, pieczętą jej ust, ciepłym ciałem przytulonym do mnie. Całowała mnie zapamiętane, a ja ją, tę cudowną chwilę utrwalając w mej świadomości, jednocześnie usuwając z niej żołnierza, Zakon Świętego Jerzego i to wszystko, co związane jest z wojną. Jutro do tego wrócę, ale dziś chcę być normalny.

Dziś żołnierz Garret nie istnieje.

## RILEY

Kiedy wszedłem do domu, od razu je zauważyłem na kanapie w pokoju dziennym. Dwa smoki. Zobaczyłem je przez otwarte drzwi. Wes natomiast siedział w holu tuż za drzwiami i czatował na mnie.

– Co się stało? – spytałem półgłosem, jednocześnie przyglądając się pisklakom. Brudne, wylęknione i niewątpliwie wykończone, siedziały przytulone do siebie na kanapie obitej materiałem w kwiaty. Naomi, prawie wszystkim znana jako Nettle, szczupła, ciemnowłosa dziewczyna z dreadami, sterczącymi wokół głowy na wszystkie strony. I Remy, chłopak o włosach koloru słomy i niebieskich oczach o bardzo przenikliwym spojrzeniu, teraz skierowanym na mnie.

Wes bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Niczego nie udało mi się z nich wyciągnąć. Powiedzieli, że czekają na ciebie.

Westchnąłem, pokiwałem głową i najpierw poszedłem do kuchni, do szafki, z której wyjąłem dwie torebki z chipsami, a po wejściu do pokoju dziennego rzuciłem je na kolana pisklaków. Remy i Nettle skwapliwie chwycili torebki, jednocześnie spoglądając na mnie pytająco. Jakby nie wiedzieli, co z tym fantem zrobić.

– Przede wszystkim zjedzcie coś – powiedziałem.

Oczywiście, bo pisklaki zawsze są głodne. Ich metabolizm wymaga wielkich ilości pożywienia, by były zdrowe i aktywne. Poza tym proces Przemiany zawsze jest dla organizmu smoka ogromnym wysiłkiem, dlatego po Przemianie smok czuje olbrzymi głód, a głodny smok to smok zdenerwowany, niespokojny, szybko wpadający w gniew. A takich właśnie smoków wołałem teraz nie mieć na kanapie w kwiaty.

Oba pisklaki nadal podejrzliwie spoglądały na torebki z chipsami.

– Śmiało! To jest bardzo dobre. Podjedzcie sobie, a potem pogadamy – zachęciłem i wtedy natychmiast rozerwały torebki.

Musiały być bardzo głodne, bo chipsy zaczęły znikać błyskawicznie. Właściwie to Remy i Nettle żuli bez przerwy, uznałem więc, że najlepiej będzie, jak spokojnie sobie podjedzą, a ja nie będę im przeszkadzał. I wyszedłem na balkon.

Stałem sobie przy balustradzie, opierając się o nią rękami. Oczywiście byłem bardzo niespokojny. Cholera! Co mogło się stać?! Bo niewątpliwie stało się, skoro Nettle i Remy tutaj przyjechali. Byli w Boulder, w Kolorado, w wysokich górach, czyli miejscu zdawałoby się całkowicie bezpiecznym, a jednak coś ich stamtąd wygoniło...

Spojrzałem w dół, na fale bijące o skalisty brzeg. Słona bryza rozwiewała włosy i szarpała ubranie, a kiedy nabrałem głęboko w płuca potężną porcję morskiego powietrza, przed oczami pojawił się inny pisklak, rudowłosy. Ember, z którą spędziłem prawie całą noc, fruując nad tym właśnie oceanem. Młodziutki, żarliwy smok, który prowokował mego smoka, pobudzał go, wzniecał w nim płomień. Dziwne? Może i nie. Ember jako człowiek była bardzo ładna, naiwna, uparta i impulsywna, a w swej prawdziwej postaci była nieuleklniona, prowokująca. I piękna.

Potrząsnąłem głową i odepchnąłem się od balustrady. Zły na siebie, bo przecież nie powinienem się rozpraszać, kiedy mam na głowie tamtą dwójkę. O nich powinienem teraz myśleć, a Ember zajmę się później. Niestety, sprawy z rudowłosym pisklakiem posuwały się zbyt wolno. Ember dopiero zaczynała zmieniać zdanie na temat Talonu, dlatego szkoda, że nie udało mi się powiedzieć jej wszystkiego podczas naszego ostatniego spotkania. Jednak musiałem zająć się nagłym przypadkiem, który teraz siedzi na kanapie w kwiaty i zajada się chipsami.

W drzwiach pojawił się Wes i oznajmił:

– Riley, chyba można już z nimi pogadać.

Kiedy wróciłem do pokoju dziennego, Nettle i Remy spojrzeli na mnie spłoszonym wzrokiem. Na stoliku leżały dwie puste torebki po chipsach, stały też dwie otwarte puszki z wodą gazowaną, co świadczyło, że Wes również zatroszczył się o gości.

Usiadłem na fotelu naprzeciwko kanapy.

– A więc mówcie, co się stało. O wszystkim, od samego początku... – Cisza, tylko dalej te wylęknione spojrzenia, widomy znak, że pisklaki nie bardzo wiedziały, od czego zacząć. – W takim razie pomogę. Powiedzcie, co wydarzyło się w waszej kryjówce, dlaczego zdecydowaliście się tu przyjechać. Sami, przecież Chris, wasz opiekun, z wami nie przyjechał, prawda?

– Nie, nie ma go tutaj – powiedział Remy zaskakująco spokojnym głosem.

– Ale to on kazał nam tu przyjechać. Dokładnie nam wyjaśnił, gdzie to jest, no i przyjechaliśmy.

Niedobrze. Chris był opiekunem odpowiedzialnym za kryjówkę w Boulder. Każde gniazdo miało swojego opiekuna. Człowieka, który wiedział o nas i zgodził się dopilnować jednego lub dwa pisklaki, dopóki nie osiągną odpowiedniego wieku. Większość opiekunów byli to ludzie, którzy kiedyś służyli Talonowi, dlatego teraz również się ukrywali, bo jeśli zdecydowałeś się pracować dla organizacji, była to decyzja na całe życie. Talon gardził smokami, które odchodziły z organizacji. Ludziom również nie wolno było jej porzucić. Mało tego, wobec tych, którzy podejmowali taki krok, Talon był jeszcze

bardziej restrykcyjny niż wobec smoków, z obawy że ludzie zbiegowie przekażą innym informacje o organizacji. W rezultacie żyli w ciągłym strachu i przed Talonem, i przed Świętym Jerzym, który również mógł pojawić się u nich pewnego pięknego dnia. Wytropienie tych ludzi i zdobycie ich zaufania zajęło mi kilka lat. Kiedy wreszcie udało mi się któregoś z nich przekonać, że istotnie nie należę już do organizacji, zawierałem z nim umowę. Ja miałem chronić go przed Talonem, on w zamian za to miał czuwać nad pisklakami zbiegłymi z Talonu.

– Chris was tu przysłał? – spytałem, a oba pisklaki skwapliwie pokiwały głowami. – Ale dlaczego?

– Tego nie wiemy! – wyrzuciła z siebie Nettle tak gwałtownie, że Remy aż odsunął się od niej kawałek. A ona mówiła dalej, gestykulując i potrząsając dredami. – Obudził nas w środku nocy, kazał się spakować, potem wepchnął nas do taksówki i kazał jechać tutaj. Nie powiedział dlaczego. Powiedział tylko, że mamy tam nie wracać!

A teraz to mnie po prostu zmroziło. Spojrzałem na Wesa, który pokiwał głową i wyszedł, oczywiście po to, by sprawdzić w sieci, co się dzieje z kryjówką w Boulder. A ja kontynuowałem przesłuchanie:

– Czyli nic wam nie wyjaśnił?

– Nie! – odparł Remy. – Ale wyglądał na porządnie wystraszonego. Kiedy pakowaliśmy się, chodził bez przerwy po pokoju i ciągle popatrywał w okno.

Czyli fatalnie. Przecież ten dom stał na zboczu, w połowie drogi na szczyt góry, czyli w miejscu naprawdę bezludnym i nieznanym. O tym domu wiedziałem tylko ja, Wes i kilku byłych współpracowników Talonu, ponieważ wszystkie moje kryjówki były prawdziwymi kryjówkami, nie zaś lokalami łatwymi do wytropienia. I nigdy nie miałem z tym żadnego problemu. Dopiero teraz. Dlaczego? Odpowiedź nasuwała się sama. Najpewniej mam w swoich szeregach wtyczkę. Wesowi, który nienawidził Talonu tak samo jak ja, ufałem całkowicie, natomiast innym współpracującym ze mną ludziom już nie, ponieważ ludzie z natury są zbyt łatwowierni i zbyt przekupni. Nie trzeba aż tak bardzo się natrudzić, by przeciągnąć ich na swoją stronę obietnicą pieniędzy, władzy albo wysokiej pozycji społecznej. Tym, czego zazdroszczą innym. Współpracowałem z nimi tylko z konieczności, ponieważ nie mogłem robić wszystkiego sam, cały czas mając świadomość, że w każdej chwili mogą odwrócić się ode mnie, jeśli Talon zaoferuje im więcej niż ja.

– Riley?

Na końcu holu pojawił się Wes, a minę miał bardzo ponurą. Kiwnął na mnie, poderwałem się więc z fotela i weszliśmy do niewielkiego pokoju Wesa, w którym spał i miał również swoje stanowisko pracy.

– Gniazdo Boulder stracone, Riley – szepnął Wes, kiedy tylko przekroczyliśmy próg. – Chris nie odpowiada.

– Do cholery! Jak to nie odpowiada! Przecież kamery i komunikatory mamy w taki sposób zainstalowane, że nawet gdyby Talon wykrył gniazdo, łączność nie zostaje przerwana! Chyba że... No tak! Chyba że dom zostanie spalony! Wes?! Powiedz, że tak się nie stało!

– Niestety, Riley, stało się. I są podstawy, by przypuszczać, że to nie Talon, lecz...

– Święty Jerzy!

– Oczywiście. Spalili dom, a teraz szukają tych pisklaków. Przecież wiemy, jacy oni są. Te przekłete gnoje nie ustąpią, póki nie złapią smoków, które wymknęły im się z rąk. A my, w związku z zaistniałą sytuacją... – Wes podszedł do laptopa i zamknął go bardzo energicznie – ...spadamy stąd. Najlepiej już dziś wieczorem. Nie możemy tu zostać, bo za bardzo rzucamy się w oczy.

A niech to szlag! Znów zakląłem, zaciskając pięści.

– Nie możemy jeszcze stąd wyjechać, Wes.

– Nie?! Co ty wygadujesz! Riley, ci popaprańcy od Świętego Jerzego na pewno są już w drodze. Jeśli nas tu znajdą, zabiją nas wszystkich.

– Wiem.

– Jeśli zostaniemy tutaj, narazimy życie nie tylko swoje, ale także dwójki dzieciaków, za które jesteśmy odpowiedzialni! Przecież obiecaliśmy tym pisklakom, że zagwarantujemy im bezpieczeństwo.

A teraz to już krzyknąłem:

– Przecież wiem, Wes! – Nerwowo przeczesalem palcami włosy i dalej mówiłem już trochę spokojniej: – Chcę tu jeszcze trochę zostać ze względu na Ember. Popracować nad nią, a warto, bo jest już prawie zdecydowana.

Wes spojrzał na mnie tak, jakby nagle wyrosło mi pięć dodatkowych głów.

– Chcesz zostać ze względu na nią? Odbiło ci? Przecież to tylko kolejny pisklak. Wszystkich ich nie uratujemy!

Tylko kolejny pisklak? O nie!

Zmrużyłem oczy.

– Ember chce przejść na naszą stronę. Już jest jedną z nas, choć sama o tym jeszcze nie wie. Bez niej nie ruszę się stąd, Wes. Więc albo zostań i pomóż mi, albo zamknij się i jedź sobie, kiedy chcesz i dokąd chcesz!

– No to super... – Wes zrobił ręką szeroki gest, oznaczający niewątpliwie największą frustrację. – Chcesz, żebyśmy tu zostali i dali się pozabijać? Pięknie. Pozostaje tylko nadzieja, że warto było tak się poświęcić.

Zjadliwie, ale już nie dyskutowałem, bo dość gadania, trzeba działać.

– Przede wszystkim musimy zabezpieczyć dom, Wes. Zainstalować kamery, alarmy, czujniki ruchu, wszystko, co się da. Musimy wiedzieć, że te dranie już tu jadą, kiedy do bramy będą mieli jeszcze trzydzieści metrów. Sprzęt mam, trzeba tylko zainstalować. Ile czasu na to potrzebujesz?

– Na jutro wszystko będzie gotowe.

– Świetnie. A więc zabieraj się do roboty.

Kiedy szliśmy z powrotem przez hol, przez otwarte drzwi do pokoju dziennego widziałem kanapę w kwiaty. Pisklaki nadal tam siedziały, blisko siebie, z tym że Nettle przyjęła pozycję pólleżącą, opierając głowę na podłokietniku. Chyba już zasypiała, a Remy wyraźnie zamierzał pójść w jej ślady.

– Wes – rzuciłem półgłosem, nie oglądając się za siebie. – Nic im nie mów o Świętym Jerzym. Są już wystarczająco wystraszeni. Powiemy im później.

Słyszałem, jak Wes mamrocze pod nosem:

– Oczywiście... Przejmuje się głupimi pisklakami, a to, że człowiek ma stres, nic go nie obchodzi.

I w sumie miał rację. We wszystkim. Dalsze przebywanie w tym domu, kiedy wiadomo, że Święty Jerzy już węszy, było nadzwyczaj ryzykowne. Naraziliśmy nie tylko siebie i pisklaki. Naraziliśmy wszystko, co udało mi się zbudować. Ale myśl o pozostawieniu Ember samej sobie była dla mnie nie do zniesienia. Odejść teraz, kiedy zaczynała już do mnie lgnąć? Nie, nie mogłem tego zrobić, bo uparłem się. Bo nie oddam jej Talonowi, a dopóki jej nie przekonam, że powinna do nas dołączyć, nikt z tego domu nie ruszy się na krok.



## EMBER

Leciałam z wiatrem, czując na plecach ciepło promieni słońca, a na twarzy powiew chłodnej bryzy. Podo mną przeciągało białe morze skłębionych chmur. I to powietrze, jakże wspaniałe, jakże upajające.

Ocean w dole kusił. Skierowałam się więc w dół i wtedy nagle tuż obok pojawiła się istota bardzo do mnie podobna. Też smok. Uśmiechnął się prowokująco i pomknął do przodu. Gonić go? Bardzo proszę! Bijąc mocno skrzydłami, pofrunęłam w ślad za smoczym ogonem wijącym się wśród skłębionych chmur. Któż to taki może być ten smok? Na pewno go już kiedyś widziałam. Czyżby Cobalt? A może Garret...

Nagle do ucha wdarł się przeraźliwy jazgot budzika, bezlitośnie przerywając tak cudne chwile. Już piąta! A niech to! Piękny sen minął, a ja wróciłam do rzeczywistości, w tym momencie ograniczonej do mego łóżka. A sen był naprawdę upajający. Przecież latałam! I kto to mógł być, ten drugi smok? Nie wiadomo. Może jakiś smok nieznany, a jego obraz już zaczynał zacierać się w pamięci...

A przede mną nowy dzień zaczynający się o piątej rano. Koszmar! Przewróciłam się na plecy i spojrzałam w sufit, już najeżona, bo ciekawe, co ta wariatka zaplanowała na dzisiaj. Prawdopodobnie znowu kilkanaście rundek pod hasłem „wszyscy polujemy na smoka”, przy czym wszystko jest aż do bólu realistyczne i w rezultacie nawet fakt, że jestem w swojej pierwotnej postaci, wcale mi nie sprawia radości.

Usiadłam i odrzuciłam na bok kołdrę. Zbyt energicznie, dlatego biedny miś poleciał na podłogę. Oczywiście podniosłam go szybko i przytuliłam. Cudnego, mięciusińskiego różowego giganta, nadal pachnącego wata cukrową, którego Garret wygrał dla mnie. Tak! Uśmiechnęłam się. Ta nasza wspólna wyprawa do parku rozrywki była przecież super, zwłaszcza jazda na diabelskim młynie. Byliśmy tak wysoko! No i całowaliśmy się... A przed pocałunkiem Garret spojrzał na mnie naprawdę szczególnie... Miałam wrażenie, że autentycznie przejrzał mnie na wylot. Zobaczył, kim naprawdę jestem, i w ogóle się tym nie przejął. Przecież potem mnie całował...

Bzdura. Oczywiście, że mnie nie przejrzał i wcale nie wie, że jestem istotą z innego świata. I nie dowie się. A kiedy lato się skończy, skończy się także nasza znajomość...

– Ember?

To wuj Liam. Najpierw zapukał do drzwi, a teraz woła:

– Ember! Już pięć po piątej! Wstałaś?!

– Tak, tak! – odrzyknęłam i wuj odszedł. A ja, usadziwszy misia wygodnie,

zwlokłam się z łóżka i ubrałam się... w stary T-shirt, porządnie już poplamiony czerwoną farbą, i szorty. Pysznic, jak zwykle, odłożyłam na później. Teraz mycie nie miało najmniejszego sensu, skoro po morderczym treningu jestem brudna, spocona i cała w tej obrzydliwej czerwonej farbie. I dlatego zresztą mój kierowca położył na tylnym siedzeniu prześcieradło, żebym mu nie zmasakrowała tapicerki. Prześcieradło, które wyglądało już tak, jakby ktoś zarzynał na nim kożę.

Dantego w suterenie nie było, czyli już pojechał. Dante... Kiedy o nim pomyślałam, od razu zrobiło mi się nijako. Po kłótni już ani razu nie pogadaliśmy tak naprawdę. Kiedy wróciłam z parku rozrywki, nie wściekał się, tylko uśmiechał, ale co naprawdę myślał, nie wiadomo. Dante w obecności naszych opiekunów zawsze był dla mnie miły, żartował, trochę się ze mną drażnił, jak to brat. Kłótnie czy rozmowy na zasadnicze tematy prowadziliśmy zawsze za tak zwanymi zamkniętymi drzwiami. Z tym że nie wszystkie tematy Dantemu odpowiadały. Nigdy nie doszło do naprawdę poważnej rozmowy o Talonie i smokach. Dla Dantego były to tematy tabu. A teraz to w ogóle rzadko dochodziło do rozmowy. Dante zdecydowanie oddalał się ode mnie, a ja nie miałam pojęcia, jak temu przeciwdziałać.

Kiedy weszłam do magazynu, gdzie odbywały się treningi, stanęłam jak wryta. Bo wielki magazyn, zmieniony w koszmarne labirynt, raptem zrobił się puściusieńki. Jedyne ślady po koszmarze było kilka drewnianych skrzynek i palet rzuconych w kąt. Poza tym wszędzie pustka, tylko na samym środku na cementowej posadzce leżało kilka niebieskich grubych mat zapaśniczych, ułożonych w idealny kwadrat.

A na samym środku kwadratu z mat Straszna Dama z Talonu. Stała tam ze skrzyżowanymi ramionami ubrana inaczej niż zwykle. Bo zwykle miała na sobie elegancki kostium i pantofle na obcasach, a tego dnia czarny kombinezon, tak obcisły, jakby to była druga skóra, zakrywająca ją od szyi do kostek u nóg. Jasne włosy, zwykle upięte, były rozpuszczone. Włosy naprawdę długie, prawie do połowy pleców, i kiedy tak na nią popatrzyłam, pomyślałam sobie, że według ludzkich kryteriów ta szczupła, zgrabna istota jest niewątpliwie kobietą atrakcyjną. Może nawet i piękną.

Wszystko więc było tego dnia inaczej, tylko zielone oczy instruktorki patrzyły jak zwykle, czyli chłodno, przenikliwie. Była też w nich delikatna nutka rozbawienia.

Kiedy podeszłam do tych mat, uśmiechnęła się.

– Dziś czeka cię coś nowego, pisklaku, ponieważ doszłam do wniosku, że jednak jestem dla ciebie zbyt łagodna. Dlatego koniec z tym ganiem po labiryncie i paintballem. Także dlatego że zauważyłam, że ty w sytuacji

problematycznej za bardzo liczysz na swoją prawdziwą postać. A nie zawsze będziesz bronić się przed żołnierzami z Zakonu szponami, kłami i ogniem, i dlatego musisz nauczyć się walczyć, kiedy jesteś w ludzkiej postaci. Zdejmij buty.

Zbyt łagodna?! Czyli cała ta zabawa w chowanego z wyszkolonymi żołnierzami i uciekanie przed gradem pocisków z farbą to dla niej tylko coś jak spacer po parku?

Zaciskając zęby, z pasją skopałam z nóg sandały. Instruktorzka skinęła na mnie, więc weszłam na grube, chłodne maty.

– W takim razie co robimy dzisiaj? – spytałam, spoglądając na nią czujnie.

– Jak już powiedziałam, najwyższy czas podnieść trochę poprzeczkę. Dlatego dziś będziesz trenować ze mną. Podejdź bliżej.

Podeszłam, oczywiście nie bliziutko. Zatrzymałam się kilka kroków przed nią, ona zmierzyła mnie wzrokiem, a potem nagle wyciągnęła pistolet z kabury przypiętej z tyłu do paska. Naturalnie podskoczyłam z tych nerwów, ona natomiast, świdrując mnie tym swoim jadowitozielonym wzrokiem, wydała polecenie:

– Powiedz mi, jak najłatwiej zabić smoka.

– Chyba... chyba wtedy, kiedy ma ludzką postać – odparłam, starając się nie patrzeć na to, co instruktorzka trzyma w ręku. – Zanim zdąży poddać się Przemianie. Kiedy jesteśmy ludźmi, nic nas nie chroni.

– Dobrze – powiedziała instruktorzka, co jednak wcale nie zabrzmiało jak pochwała. – Żołnierze z Zakonu Świętego Jerzego także o tym wiedzą, dlatego tak ważne jest zachowanie tajemnicy. Nikt nie może się dowiedzieć, że jesteś smokiem, który chwilowo przebywa w skórze człowieka. Jeśli żołnierze z Zakonu dowiedzą się, kim jesteś naprawdę, naślą na ciebie snajpera, który trafi cię w głowę z odległości tysiąca metrów. Pamiętaj też, że oni nie są tacy głupi i nigdy nie wysyłają na jednego smoka jednego żołnierza. Idą w grupie i zawsze najpierw próbują wykończyć ciebie z daleka.

Pokiwałam głową. A Straszna Dama uniosła pistolet jeszcze wyżej.

– O tym nie wolno ci zapomnieć. A poza tym, jak powiedziałam, musisz umieć się bronić i jako smok, i jako człowiek. Zdarzają się przecież sytuacje, kiedy nie ma możliwości dokonać Przemiany, na przykład w miejscu publicznym albo kiedy raptem stajesz z wrogiem twarzą w twarz. A wtedy masz działać natychmiast! Żadnego stania i gapienia się w wycelowaną w ciebie broń! Bo raptem ciebie sparaliżowało! Nie! Masz od razu robić to!

I wycelowała prosto we mnie. Lufa oddalona było dosłownie o kilka centymetrów od mojej twarzy, co się więc dziwić, że od razu zastygłam.

Wtedy wrzasnęła:

– Nie tak, słyszysz?! Nie wolno ci dopuścić, żeby cię sparaliżowało! I to też nie!

Nacisnęła spust. Klik! I teraz nie było już mowy o paraliżu. Miotnęło mną w bok, a ona uśmiechnęła się wrednie.

– Nienaładowany, pisklaku. Z tym że oczywiście prawdziwy. Dla oddania sytuacji, w jakiej niewątpliwie kiedyś się znajdziesz. A teraz... – Przekręciła pistolet kolbą do mnie i podała mi go. – Trzymaj! Pokażę ci teraz, jak się rozbraja.

Odebrałam pistolet, oczywiście tak ostrożnie, jakbym brała do ręki jadowitego węża. Stąd komentarz:

– Co się tak denerwujesz? Przecież powiedziałam, że nie jest nabyty.

I cofnęła się o krok.

– Wyceluj we mnie. Prosto w serce, jakbyś chciała mnie zabić.

Bardzo proszę! Bez żadnych oporów zacisnęłam mocniej palce na kolbie, uniosłam pistolet i...

I błyskawicznie wyrwała mi go z ręki. Znów miałam przed oczami lufę, a nad lufą jadowitozielone spojrzenie instruktorki okraszone szyderczym uśmiechkiem.

– Rozumiesz, o co chodzi?

– Nie.

– Nie? To podejdź bliżej. Pokażę ci teraz wszystko w zwolnionym tempie, a potem spróbujesz sama.

Podeszłam. Instruktorka podała mi pistolet, który oczywiście miał być wycelowany w nią, po czym przez kolejne kilka minut demonstrowała mi technikę pozbawiania przeciwnika broni. Najpierw wychyliła się w bok, potem w przód, musiała też ugiąć nogi w kolanach, bo raptem wydała mi się trochę mniejsza. Poza tym, tak na moje oko, to ustawiała się tak, żeby nie być przed lufą. Potem podbiła broń i rąbnęła drugi raz, z boku, kierując lufę na mnie. Wszystko robiła w zwolnionym tempie, więc nietrudno było zrozumieć, o co w tym chodzi.

– Teraz twoja kolej.

Odebrała ode mnie pistolet, odeszła krok dalej i wycelowała we mnie. Ja, zdenerwowana, ale też i zdesperowana, zrobiłam przede wszystkim bardzo głęboki wdech.

– Pamiętaj, że masz być całkowicie skoncentrowana na przeciwniku – nauczyła mnie jeszcze. – Nic nie może cię rozpraszać. Gotowa?

Szybko przykucnęłam na piętach.

– Tak!

– Świetnie. A tak przy okazji... jak tam wycieczka do parku rozrywki? Udała

się?

Co?! Mimo woli drgnęłam, a instruktorka – błyskawicznie, jak to ona, uniosła pistolet i wycelowała w moją twarz. Nacisnęła spust. Tym razem miałam wrażenie, że ciche kliknięcie odbiło się szerokim echem po całej sali.

– I już nie żyjesz! – oznajmiła Straszna Dama, opuszczając broń i spoglądając na mnie z niesmakiem. – Przecież mówiłam, że nie wolno ci się rozpraszać!

– Tak, tak... Ale skąd...

Skąd wiedziała o mojej wyprawie do parku rozrywki razem z Garretem? Skąd?!

Nagle przypomniałam sobie to charakterystyczne mrowienie w karku, znak, że w tym dzikim tłumie jest ktoś, kto mnie obserwuje. No i proszę, wszystko się wyjaśniło. To ona, ta wreduska! Szpiegowała mnie! Byłam oburzona, więc, wściekła, i to tak bardzo, że aż się wydarłam:

– To ty mnie obserwowałaś! Ty!

– A ja, bo to moja praca. Mam obowiązek mieć swoją uczennicę na oku – oświadczyła Straszna Dama z Talonu, bynajmniej nie skruszona, i znów podniosła broń. Tym razem jednak w mgnieniu oka zrobiłam unik, dzięki czemu kliknęła w powietrze, gdzieś za mną. Z tym że idealnie nie było, bo nie zdążyłam rzucić się do przodu.

A potem instruktorka opuściła broń i raptem zaczęła obchodzić mnie wkoło. Ja oczywiście nie stałam jak kołek, tylko obracałam się w miejscu, nie spuszczać z niej oka, gotowa w każdej chwili znowu zrobić unik.

Krążyła wokół mnie jak rekin, mrużąc te swoje do przesady zielone oczy. Czyli co? Niezadowolona z tego, co podejrzwała w parku rozrywki?!

– Przecież mamy się zintegrować! – wypaliłam.

Moja smoczyca także nie była w najlepszym nastroju. Wydawała groźne pomruki, bardzo niezadowolona z tej zabawy w kotka i myszkę przy użyciu pistoletu oraz przepychanki słownej, bo jej zdaniem tego rodzaju sytuacje najlepiej rozwiązuje się szponami i paszczą. Naturalnie, że nie dałam jej dojść do głosu. Bo tego dnia miała pozostać tam, gdzie była, żadnej Przemiany. Absolutnie! Dałabym plamę, a instruktorka nie po raz pierwszy miałaby wielką satysfakcję.

– Przecież kazano nam się asymilować. Wtopić się w otoczenie, obserwować, nauczyć się zachowywać jak zwyczajny człowiek. Po to tu przyjechaliśmy!

– Zgadza się – przytaknęła instruktorka, która przyciskając pistolet do nogi, nadal zataczała te swoje koła. – Właśnie tak. Masz nauczyć się postępować jak zwyczajny człowiek, jednocześnie jednak nigdy nie wolno ci zapominać, że

przede wszystkim jesteś smokiem. Nie jesteś jedną z nich!

– Przecież wiem!

– Czyżby? A jak nazywa się ten chłopak?

Małe pytanko, jednocześnie znów wycelowwała. Zdążyłam co prawda zrobić unik, przykucnąć, ale lufę i tak miałam przed oczami. Chociaż tym razem kliknięcie sobie darowała, zamiast tego przeszła mnie tym swoim jadowitym spojrzeniem.

– Jak się nazywa?!

– A niby dlaczego tak to ciebie interesuje?!

Przecież to oczywiste, że nie chciałam, żeby cokolwiek wiedziała o Garrecie, o chłopaku, który już był częścią mego życia. Drogocenną, bo w żaden sposób niezwiązaną z Talonem, szkoleniami i treningami, z tymi ich oczekiwaniami co do mej osoby. Kiedy byłam z Garretem, wszystko wydawało mi się lepsze, a przynajmniej do zniesienia. Byłam prawie skłonna wybaczyć Talonowi, że stłamsił moje życie. Pogodzić się z tym, że jestem smokiem...

Ta kretynka nadal celowała we mnie.

– Po prostu chłopak, zwyczajny człowiek... – zaszemrałam.

A ona na to bardzo twardo:

– Tak, człowiek. Tylko człowiek, jeszcze jeden spośród miliardów tych żalonych istot, co żyją śmiesznie krótko. A ty jesteś smokiem, co więcej, jesteś smoczycą, istotą rodzaju żeńskiego, czyli kimś bardzo cennym dla naszej organizacji...

Wreszcie przestała we mnie celować, ale nadal sztyletowała mnie wzrokiem i wymachując tym przeklętym pistoletem, dalej nawijała:

– Twoim podstawowym obowiązkiem jest być lojalną wobec Talonu. Zawsze i wszędzie! A nie wobec ludzi, bo oni się nie liczą. Przebywamy wśród nich, zachowujemy się jak oni, ale ludźmi nigdy nie będziemy. Bo oni to nie my! Ludzie są jak rak. Rozprzestrzeniają się, biorą wszystko pod siebie tylko po to, by zniszczyć. Siebie też. Rasa ludzka jest słaba, a ty jesteś istotą wyższego rzędu, przewyższającą człowieka pod każdym względem. Bo człowiek to tylko człowiek, dlatego kiedy pytam, jak nazywa się ten konkretnie człowiek, masz mi to powiedzieć! A nie dyskutować ze mną!

Znów podniosła broń, i to szokująco szybko, ale tym razem udało mi się pokazać klasę. Wyprysnęłam w górę, potem w bok, jak mnie nauczyła. A potem rzut do przodu i od dołu walnęłam obiema rękami w lufę, zmuszając ją, by skierowała się do góry. Wtedy złapałam ją i szarpnęłam z całej siły.

Rezultat? Nie minęła sekunda i teraz ja trzymałam pistolet w rękę, celując w Straszna Damę z Talonu, czym niewątpliwie była zaskoczona, bo miałam wrażenie, że tym swoim spojrzeniem wywierca mi dwie dziury w czole.

– Garret – wywarczałam. – Nazywa się Garret.

Na co ona łaskawie się uśmiechnęła.

– A więc proszę! Wcale nie było to takie trudne, prawda?

Co miała na myśli? Pozbawienie jej broni czy wyduszenie z siebie imienia tego konkretnie człowieka? Nie wiadomo. A teraz wyjęła mi pistolet z rąk, cofnęła się o krok i spojrzała na mnie... szacująco.

– No tak... – mruknęła, jakby właśnie podejmowała decyzję. – Moim zdaniem jesteś już gotowa.

– Gotowa na co? – spytałam, ona jednak bez słowa odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi, dając ręką znak, że mam iść za nią.

Więc poszłam za nią do jej biura, gdzie kazała mi usiąść na krześle ustawionym przed biurkiem. Byłam wykończona, więc z ulgą usiadłam i odruchowo spojrzałam na lśniący blat biurka. A tam leżało coś bardzo interesującego. Gruba teczka na dokumenty, na której wielkimi literami wypisane było moje imię.

Straszna Dama z Talonu nie usiadła, tylko stanęła za biurkiem i wpatrywała się we mnie, kładąc dłoń na tej teczce, od której nie mogłam oderwać oczu. Aż mnie skręcało z ciekawości. Moje imię, czerwonymi literami! Co jest w tej teczce? Co o mnie piszą, o mojej przyszłości w organizacji?

– To twój wielki dzień, pisklaku – oznajmiła instruktorka, w związku z czym oczywiście zrobiłam się jeszcze bardziej spięta. – Na pewno wiesz, że obserwujemy cię od chwili wyklucia, oceniając twoje zachowanie, postępy w nauce i zastanawiając się, jakie wyznaczyć ci miejsce w naszej organizacji. Pierwszy etap naszego szkolenia został zakończony. Przechodzimy teraz do drugiego, czyli szlifowania twoich umiejętności, które wykorzystasz, służąc naszej organizacji. Od jutra, przychodząc na trening, masz mieć to na sobie...

I rzuciła we mnie czarny kombinezon z cienkiego materiału ze stretchem. Złapałam i rzecz dziwna, bo przez sekundę miałam wrażenie, że przykleił się do mojej ręki, świadomie, jakby był żywym organizmem. Co wcale nie było miłe, dlatego szybko rękę z kombinezonem wyciągnęłam przed siebie, by to coś tak dziwnie lepiącego się było jak najdalej ode mnie. W sumie nic szczególnego, kombinezon jak kombinezon, czarny, obcisły, chyba jest w nim ciepło. Niemniej jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że coś takiego włożę na siebie.

Tym bardziej że identyczny kombinezon ma na sobie instruktorka, a to już wystarczający powód, by to czarne paskudztwo cisnąć na podłogę!

– To specjalny kombinezon – wyjaśniła. – Szczegóły pominię, bo to zbyt skomplikowane. Powiem tylko jedno. Ten kombinezon nie rozerwie się, kiedy będziesz poddawała się Przemianie.

– Naprawdę?

Bardzo zaintrygowana wlepiłam oczy w czarny materiał, starając się zapomnieć o pierwszym, niemiłym wrażeniu. Naturalnie! Przecież dzięki temu wynalazkowi nie będę musiała w sytuacji patowej wracać do domu na golasa!

– Przymierz – poleciła instruktorka.

Pomaszerowałam do łazienki, rozebrałam się i z wrażenia wstrzymując oddech, ostrożnie wciągnęłam na siebie kombinezon, który przylegał do ciała idealnie, jakby był na nim namalowany. Na początku czułam, że mam na sobie coś ciepłego i gładkiego, jednak po kilku ruchach niemal przestałam czuć, że cokolwiek mam na sobie. Jakbym była całkiem goła.

Niesamowite!

Wróciłam do Strasznej Damy z Talonu, która na mój widok pokiwała głową jakby z aprobatą i kazała usiąść. Usiadłam, trzymając w ręku moje ciuchy, a ona jeszcze raz spojrzała na mnie i mruknęła:

– Dobrze... Pasuje. Dziś do końca dnia masz go nie zdejmować, żeby przyzwyczał się do twojego ciała. Oczywiście możesz na to włożyć swoje ubranie.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Chwileczkę! Czy ja dobrze słyszałam? To on ma przyzwycząć się do mnie? A nie na odwrót?

– Nie. On do ciebie – odparła tonem obojętnym, jakby nie widziała w tym nic nadzwyczajnego. – Nie martw się, jeszcze chwila i zapomnisz, że masz go na sobie. Poza tym pamiętaj, że tego kombinezonu nie wolno ci zgubić. To bardzo droga rzecz, niewielu członków naszej organizacji dostaje ten specjalny strój. Dlatego strzeż go jak oka w głowie. Teraz będzie to twój strój treningowy, a potem ubranie służbowe.

Słuchałam jednym uchem, cały czas myśląc o tym, co powiedziała na początku. Że ten kombinezon musi się do mnie przyzwycząć. Jakby to była żywa istota! Bardzo mnie to nurtowało aż do chwili, gdy usłyszałam to ostatnie stwierdzenie. Bo wtedy wszystko we mnie zamarło.

– Ubranie służbowe? – spytałam cicho z nadzieją, że może wyciągam wnioski zbyt pochopnie. Niestety, trudno żebym nie wiedziała, komu taki kombinezon jest niezbędny, gdy wykonuje zadania przydzielone przez Talon. Kombinezon, dzięki któremu smok może niesamowicie szybko przemienić się w człowieka. Było to więc coś w rodzaju stroju wojowników ninja, stroju magicznego, po prostu stapiającego się z ciałem. W Talonie ten właśnie strój był ubranem służbowym...

Instruktorka uśmiechnęła się, i był to najbardziej diaboliczny z jej



uśmiechów, po prostu taki wstrętny grymas, po czym podsunęła do mnie teczkę i otworzyła ją. A ja ze ściśniętym sercem spojrzałam na to, co napisane było na pierwszej stronie:

Podmiot: Ember Hill

A pod spodem...

Moje serce przestało bić, krew w żyłach w jednej chwili zakrzepła. Wpatrywałam się w tych kilka liter, pragnąc całą sobą, by zniknęły, by w ich miejsce pojawiły się inne. Jakikolwiek, byle nie te...

– Moje gratulacje, Ember Hill – powiedziała Straszna Dama z Talonu. – Miło cię powitać w sekcji Żmij!

## GARRET

Kiedy kończyłem raport dla porucznika Martina, ktoś zapukał do drzwi. Rozwalony na kanapie Tristan błyskawicznie usiadł i spojrzał przelotnie na mnie. Ja na niego, obaj zaskoczeni w tym samym stopniu, czyli bardzo. Na kontuarze między kuchnią a pokojem stały dwa pudełka z pizzą, dla ścisłości prawie już zjedzoną, a więc nie mógł to być chłopak z pizzerii. A Zakon zawsze zapowiadał się z wizytą. Więc kto?!

Tristan, cały sprężony teraz jak ja, wyciągnął swój kaliber 9 mm i bezszelestnie przemknął do holu, dając mi ręką znak, bym szedł do drzwi. Ruszyłem więc tam ze swoim glockiem, którego zawsze miałem pod ręką, gotów w każdej chwili unieść broń, gdyby raptem drzwi same otworzyły się na oścież. Tak się jednak nie stało, bo ten ktoś za drzwiami ponownie grzecznie zapukał cztery razy, więc na pewno nie zamierzał się włamywać. Czyli wypadałoby otworzyć. Przycisnąłem rękę z pistoletem do boku tak, by broń dla osoby postronnej była niewidoczna, a drugą ręką nacisnąłem na klamkę, uchylając drzwi. Tylko uchylając, ponieważ zamknięte były na łańcuch.

Kiedy w tej szparze zobaczyłem dwoje przepięknych, wielkich zielonych oczu, moje serce wykonało przedziwny skok.

– Cześć, Garret!

Ember, z rowerem opartym o ścianę tuż obok drzwi. Tym razem, jak zauważyłem, obie opony były w porządku.

– Garret, właśnie przejeżdżałam koło twojego domu i tak sobie pomyślałam, że może sprawdzę, czy jesteś... Lexi powiedziała mi, gdzie mieszkasz. Ona wywęszy wszystko... Nie, nie obawiaj się, wcale nie bawię się w stalkera, przysięgam...

Zamilkła na moment, pocierając ramię. Wyraźnie była speszona i na pewno bardzo zmęczona. I przygnębiona, czyli całkiem inna Ember.

– No, może faktycznie tak to wygląda, ale... mogę wejść?

– Jasne! Tylko chwila!

Zamknąłem drzwi, błyskawicznie schowałem pistolet do szafy i zamknąłem laptopa. Ponieważ Tristan zniknął w swoim pokoju, mogłem więc zwolnić z łańcucha drzwi i otworzyć je szerzej.

– Wejdz, Ember. Bardzo proszę.

Weszła tak jakoś ostrożnie, rozglądając się dookoła.

– Ember, z tobą wszystko w porządku? Miło cię widzieć, ale nie ukrywam, że bardzo jestem ciekaw, czemu zawdzięczam twoją wizytę.

Oczywiście, że było mi miło, choć wpadła bez uprzedzenia, a Tristan wcale nie będzie zadowolony, że nasz potencjalny cel pojawił się w naszej bazie

i może dostrzec tu coś, czego nie powinien widzieć.

Tristan, który wcale nie zamierzał siedzieć w swoim pokoju i właśnie wszedł do kuchni. Naturalnie już bez broni, za to z uśmiechem, co prawda nieco wymuszonym. Ember natomiast powitała go niemal entuzjastycznie.

– O, kogo widzę! Tristan, zgadza się? Nie spodziewałam się, że ciebie też tu zobaczę. W ogóle ostatnio jakoś nie rzucałeś mi się w oczy.

– Bo w przeciwieństwie do mego kuzyna nie przepadam za imprezami – odparł. – Garret, pozwól na chwilę...

Kiedy tylko weszliśmy do pokoju dziennego, zasyczał mi do ucha:

– Co ona tu robi? Chyba jej nie zapraszałeś? Nie mówiłeś, że może tu sobie wpadać, kiedy ma ochotę?

– Jasne, że nie – odparłem jak najciszej, oglądając się za siebie, w stronę kuchni. – Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięła.

– Ale jest, może przyszła tu powęszyć. Masz się jej pozbyć jak najszybciej.

– Zajmę się tym – powiedziałem i obaj nerwowo spojrzeliśmy w stronę kuchni, bo nagle coś tam zaszleściło. Co? Kartki. Ember zaczęła przeglądać leżące na kontuarze czasopismo o broni, które kupował Tristan.

A tuż obok stał laptop, na szczęście już zamknięty, laptop, z którego przed chwilą wysyłałem do Zakonu raport.

Naturalnie natychmiast znaleźliśmy się z powrotem w kuchni.

– Cóż cię do nas sprowadza, Ember? – spytał Tristan, uśmiechnięty i wpatrzony w nią, a jednocześnie wsuwający laptopa pod pachę. Co wcale nie wyglądało podejrzanie. Mógł być przecież to jego laptop i zabiera go do swego pokoju, żeby tu nie przeszkadzał.

Ember zamknęła czasopismo.

– Ach, tak po prostu wpadłam. Chciałam zobaczyć się z Garretem – wyjaśniła, zerkając na mnie ze skruchą, musiała przecież wyczuć, że coś jednak jest nie tak. – Przepraszam, Garret, bo chyba przyszłam nie w porę. Nie będę wam przeszkadzać...

– Ależ oczywiście, że w porę! – zaprotestowałem w chwili, gdy pod pachą Tristana zniknęło również czasopismo o broni. – Chodź, Ember, podgadamy w moim pokoju.

Kiedy odwróciła się, Tristan spojrzął na mnie znacząco. Wiadomo, przesłanie typu: w razie czego zawołaj mnie. Kiwnąłem głową i zaprowadziłem Ember do mojego pokoju. Weszła, stanęła na środku i obracając się powoli, po kolei wlepiła oczy w regał, w szafę, w idealnie zasłane łóżko.

– Wow! Ale u ciebie porządek! Nawet u Dantego nie jest tak czyściutko.

– Szkoła mojego ojca, który jest emerytowanym wojskowym. Potrafił

przyjść do mego pokoju na inspekcję, w białych rękawiczkach...

I na tym koniec, ponieważ Ember uniemożliwiła mi dalszą wypowiedź. W sposób genialny, bo odwróciła się nagle, zarzuciła mi ręce na szyję i zaczęła całować. Mój mózg oczywiście natychmiast się wyłączył, a przez całe ciało przepłynęła rozkoszna fala ciepła, biorąca swój początek właśnie od warg całowanych przez Ember. Fala mobilizująca. Natychmiast objąłem Ember w pól, leciutko podciągając do góry, by stanęła na palcach, i też zacząłem całować. Żarłocznie. Podczas pocałunku palce Ember przesuwwały się po mojej głowie i karku, co roznamiętniało mnie jeszcze bardziej. A kiedy jej język zaczął pieścić moje wargi, jęknąłem. W głowie miałem kompletnie pusto. Czułem, że nie jestem już panem siebie, że całkowicie ulegam emocjom, że chcę, by to, co właśnie się dzieje, trwało bez końca.

Co absolutnie nie było wskazane.

– Ember... – wydyszałem. – Poczekaj...

Nadludzkim wysiłkiem udało mi się poderwać głowę. Dyszałem tak, jakbym przebiegł kilka kilometrów, uciekając przed krwiożerczym smokiem, który nie zamierzał odpuścić. Zaskoczona Ember spojrzała w górę, na mnie, oczyma jak dwie zielone gwiazdy. A ja czułem się rozdarty. Wiadomo, że najchętniej znów bym ją objął, znów dał się ponieść chwili. Ale chłodna logika, która od dawna rządziła moim życiem, nakazywała powściągliwość, wspierana przez instynkt samozachowawczy, który nieraz uratował mi życie. I właśnie mi podpowiadał, że coś jednak jest nie tak.

Usta Ember znów zbliżyły się do moich, zapraszając do kolejnego pocałunku. Były w odległości zaledwie kilku centymetrów, ja jednak odzyskałem już panowanie nad sobą. Zatrzymałem kuszące wargi, przykładając dłoń do policzka Ember, pogłaskałem i zapytałem cicho:

– Dlaczego tu przyszedłeś? Czy coś się stało?

Zauważyłem, że oczy podobne gwiazdom natychmiast straciły blask.

– Tak. Nie... Ach, sama już nie wiem...

Odepchnęła się ode mnie, stanęła tyłem i machnęła ręką. Taki wymowny gest, oznaczający wielką frustrację.

– Miałam po prostu bardzo ciężki dzień.

– Ale co się stało?

– Ja...

Urwała. Było oczywiste, że szuka odpowiednich słów, co trwało chwilę, a potem usłyszałem cichy szept:

– Nie... Nie mogę o tym mówić... To ponad moje siły.

– Ember, czy ma to jakiś związek z twoim bratem?

– Garret, proszę. Nie mówmy o tym. – Potarła oczy, spuściła głowę. –

Przepraszam, nie powinnam była tu przychodzić. Nie rozumiem, jak coś takiego mogło mi przyjść do głowy.

Teoretycznie powinienem był dalej naciskać, skłonić ją do rozmowy, żeby wyciągnąć z niej jakieś informacje o niej samej, o jej rodzinie. Ale w tej właśnie chwili miałem to gdzieś. Tę teorię. Ember była zmartwiona, miała jakiś poważny problem i przyszła z tym do mnie, nie do swego brata czy do któregoś ze swoich koleżanek. Przyszła do mnie i nie wolno mi tego zlekceważyć, bo za jednym zamachem zerwę tę nić porozumienia i budzącego się zaufania. A przede wszystkim bardzo chciałem, by została. W tych wszystkich sprawach dziewczyna-chłopak byłem zielony, coś jednak zaczynało już do mnie docierać. Mianowicie to, że w tego rodzaju sprawach należy zignorować logikę i strategię i kierować się tylko instynktem.

Podszedłem do niej, do tych szczupłych pleców, objąłem ją w pasie i przytuliłem. Bardzo mocno.

– Jestem tutaj, Ember – powiedziałem cicho, czując, że cała drży. – Nie musisz mi nic mówić. Powiesz, kiedy zechcesz, a jak nie będziesz chciała, to nie powiesz.

Czułem, że się odprężyła, a po chwili przykryła dłońmi moje dłonie, opierając się głową o moją pierś.

– To niesprawiedliwe... – szepnęła bardzo cicho. – Wszystko dzieje się tak szybko. Moje życie kompletnie wymyka mi się spod kontroli. Och, Garret, tak strasznie nie chcę, żeby lato się kończyło. Nie chcę, żebyś wyjeżdżał...

Takie słowa, że na moment zabrakło mi tchu. Nie odezwałem się, tylko przytuliłem ją do siebie jeszcze mocniej, jednocześnie uświadamiając sobie, że to, czego chce Ember, jest także moim najgorętszym pragnieniem. Nie chcę się z nią rozstawać. Nie chcę! Dlaczego? Ach, nieważne... Zamknąłem oczy i wtuliłem twarz w jej ciepłą szyję. Bo niestety faktycznie nieważne, co myślę, czego chcę. Przecież jestem żołnierzem, nie ja rządę swoim życiem i niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, będę musiał wrócić do Zakonu i dalej brać udział w tej wojnie.

Chłodne palce Ember znów wsunęły się w moje włosy.

A potem cichutkie, takie rzewne:

– Garret...

– Mmm... – mruknąłem, nie otwierając oczu.

– Garret, powiedz mi, gdybyś miał możliwość być teraz w innym miejscu, to gdzie chciałbyś być?

Jej palce konsekwentnie przesuwają się po mojej głowie, co bardzo utrudniało koncentrację. Być gdzie indziej? Teraz? Jeśli chodzi o mnie, to nie ma sensu się nad czymś takim zastanawiać. Jestem tam, gdzie mi każą.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć, Ember?

– A... po prostu chcę wiedzieć... Wyobraź sobie, że potrafisz latać. Jesteś wolny jak ptak, nie musisz się martwić o cenę biletu na samolot, o godzinę odlotu, o nic. Możesz pofrunąć, dokąd chcesz. A więc dokąd, Garret?

Dokąd? No cóż... Byłem w wielu miejscach rozsianych po całym świecie. W wielkich miastach, w małych wioskach i w dzikiej głuszy. Tam, dokąd wzywała mnie wojna. Do wielu miejsc, a w każdym z nich zawsze to samo. Misja, walka, krew, śmierć. Nie, do żadnego z nich mnie teraz nie ciągnęło.

Tylko jedno miejsce było inne.

Spojrzałem w dół, na Ember, która również patrzyła na mnie. W jej wielkich oczach widziałem swoje odbicie, a nasze usta znów były oddalone od siebie o zaledwie kilka centymetrów.

– Donikąd, Ember... – szepnąłem. – To miejsce, gdzie teraz jesteśmy, gdzie jesteśmy razem, to najlepsze miejsce na świecie.

Jej oczy rozbłysły. Przekreśliła się w moich ramionach, objęła mnie i opuściła powieki. Znów zaczęliśmy się całować. Kiedy delikatnie przesunęła językiem po mojej dolnej wardze, rozchyliłem usta, wpuszczając ją do środka – i pocałunek stał się po prostu obłędny. Taki, że aż zaciskałem pięści. Wszystko, co wisiało mi nad głową – koniec lata, misja – nie miało znaczenia w tym szczególnym dniu, który został mi podarowany. Te chwile z Ember, dzięki którym skłonny byłem uwierzyć, że jednak jestem normalnym facetem. Kiedy mogę udawać, że ta piękna, żarliwa, nieprzewidywalna dziewczyna należy do mnie.

Niestety, te urzekające chwile przerwał łomot do drzwi. Natychmiast odskoczyliśmy od siebie, drzwi otwarły się i w progu, jak się można było spodziewać, pojawił się Tristan, spoglądając na nas bardzo podejrzliwie. Ja spojrzałem na niego bardzo chłodno, zły, że nam przeszkodził, choć przecież wiedziałem, że gdyby nie było to coś naprawdę ważnego, Tristan by się tu nie pojawił.

– Garret, dzwoni twój ojciec. Chce z tobą pogadać. Teraz!

Oczywiście zmroziło mnie. Bo wiadomo, że chodzi o Zakon, a polecenie Zakonu zawsze było bezwzględnym priorytetem. Czego ode mnie chcą? Może znaleźli uspiętego szpiega i już się nim zajęli, czyli dla mnie wielka ulga, bo okazałoby się, że to nie Ember. Ulga, ale i wielki żal, bo wtedy odwołają nas z Crescent Beach i znowu wyślą na front. Może każą nam wyjechać już jutro i nigdy więcej nie zobaczę Ember Hill...

– Zaraz tam będę – powiedziałem i Tristan od razu się wycofał.

– Przepraszam Ember, ale...

– Nie ma sprawy... Pójdę już. Garret, czy wszystko w porządku?

– Oczywiście! Chodź, Ember, odprowadzę cię do drzwi. Przepraszam, że tak wyszło, ale ojciec dzwoni tylko wtedy, kiedy chodzi o coś naprawdę ważnego.

Głupio tak kłamać. Miałem wrażenie, że to kłamstwo uszczypnęło mnie w język. Ale cóż... Coś trzeba było w powiedzieć.

Wzięłam Ember za rękę. Doszliśmy do drzwi. Nadal trzymałem ją za rękę. Nie, nie potrafiłem jej puścić ani powstrzymać drugiej ręki, palców, które wsunęły się w miękkie włosy. Być może po raz ostatni...

– Zadzwoń do ciebie później, dobrze, Ember?

Miejmy nadzieję, że to z kolei nie jest kłamstwem.

Wspięła się na palce i musnęła wargami moje usta.

– Tak. Zadzwoń koniecznie – szepnęła i przeszła przez próg. Patrzyłem, jak wsiada na rower i rusza przed siebie. Odjeżdża, zabierając ze sobą jakąś część mojej osoby...

Kiedy znikła za rogiem, trzasnąłem drzwiami. Mocno i symbolicznie, jakbym już odgradzał się od Ember Hill i od normalnego życia.

Gdy wszedłem do pokoju Tristana, mój partner stał przed otwartym laptopem wpatrzony w ekran.

– Zakon skontaktował się z nami. Mamy być w stanie gotowości przez całą dobę. Wreszcie dzieje się coś ciekawego! – oznajmił, spoglądając na mnie roziskrzonym wzrokiem. – Nasi tropią dwa smoki, które wymknęły im się w Kolorado. Prawdopodobnie są tutaj, w Crescent Beach, u uspiętego szpiega. Dostaliśmy rozkaz, że kiedy tylko nasi tu się pojawią, mamy do nich dołączyć. Czyli pełna gotowość, wymarsz na sygnał. Super! Bo już zaczynałem się bać, że zapomnieli o nas.

Podszedł do swojej szafy i odsunawszy na bok ubrania, ostrożnie wyjął długi czarny futerał i prawie z nabożeństwem położył go na łóżku. Otworzył i przesunął palcami po lśniąącym metalu snajperskiego karabinu.

– Dość tego siedzenia z założonymi rękami – mruknął, nie odrywając oczu od ukochanej śmiercionośnej zabawki. – Tego wysiadania w domu i łażenia po plaży za dziećmi. Najwyższy czas wracać na wojnę.

Przedtem zawsze, kiedy słyszałem tego rodzaju deklarację, kiwałem głową z wielką aprobatą. Przecież sam, kiedy nadchodziła wiadomość o nowej akcji, bo namierzyli kilka smoków przebywających pod jednym dachem, czułem wręcz uniesienie. Tak było przed przyjazdem do Crescent Beach. Teraz już nie. Teraz przede wszystkim czułem niepokój. Nigdy dotąd nie kwestionowałem rozkazów Zakonu, do głowy by mi nie przyszło zastanawiać się nad celowością naszego działania. Sprawa była jasna. Smoki to potwory, na które się poluje, bo trzeba je zlikwidować. Wszystkie, co do jednego.

Zanim poznałem pewną rudowłosą dziewczynę, życie było takie proste...

– Garret!

Zabrzmiało to bardzo twardo. Równie twarde było spojrzenie Tristana, co od razu obudziło we mnie czujność. Mój partner niestety potrafił czytać w moich myślach jak w otwartej księdze. Ja tego daru niestety nie posiadałem.

– Garret, taką po prostu mamy robotę. Wiadomo, co nas czeka. Przygotuj się, bo Zakon jest już w drodze. A ty, zanim tu się pojawią, postaraj się zrobić porządek w swoich priorytetach.

– O czym ty gadasz? – burknąłem wściekły, że partner wykazuje się aż taką przenikliwością. – Te dranie zabiły całą moją rodzinę. Moje priorytety nadal są takie same! I dobrze wiem, co mam robić.

– Świetnie! – powiedział Tristan i znów zajął się karabinem, dokładniej sprawdzaniem teleskopu.

A ja poszedłem do swego pokoju i wyciągnąłem spod łóżka wielką czarną torbę, z której wyjąłem mundur polowy, kombinezon ognioodporny, kamizelkę kuloodporną, buty i rękawiczki. Przebrałem się. Hełmu i maski jeszcze nie zakładałem. Wiadomo, to się robi w ostatniej chwili.

Przebrałem się szybko. Kiedy wsuwałem glocka do kabury przytroczonej do uda, mimo woli spojrzałem w lustro wiszące nad komodą. A z lustra spojrzał na mnie surowy żołnierz o zimnych oczach ubrany w polowy mundur. I gotów do zabijania.

Tak. To ja. Bo te minione kilka tygodni były tylko odskocznią, nie przeczę, bardzo przyjemną, ale teraz wracam do twardej rzeczywistości. Do wykonywania tego, czego mnie wyuczyli. Jestem żołnierzem z Zakonu Świętego Jerzego. Moim zadaniem jest zabijać.

Zgarnąłem jeszcze z łóżka hełm i wróciłem do kuchni, gdzie Tristan, podobnie jak ja w mundurze polowym, pozaciągał już wszystkie żaluzje i stał przed laptopem.

– Zlokalizowali już gniazdo – oznajmił. – Wieczorem ruszamy.



## EMBER

Po wyjściu od Garreta przez jakiś czas po prostu jeździłam bez celu, bo w głowie miałam wyjątkowy chaos. Mogłam pojechać nad zatokę, wiedziałam, że będzie tam Lexi. Dzwoniła do mnie rano, proponując wspólne surfowanie. Co nie miało najmniejszego sensu, bo po tej rewelacji, którą przekazała mi Straszna Dama z Talonu tego właśnie poranka, ślizganie się po wysokich falach byłoby absurdem. Już po chwili skończyłabym w wodzie. Poza tym Lexi od razu by się zorientowała, że ze mną coś nie tak, i zaczęłaby zameczać mnie pytaniami, a Lexi, choć była ekspertem w sprawach dotyczących chłopaków, ubrań czy uczuć, w tej konkretnej sprawie nie mogła mi pomóc.

W rezultacie postanowiłam porozmawiać z Garretem. I pojechałam do niego zaraz po treningu, na zakończenie którego instruktorka cisnęła we mnie czymś, co dla mnie było równie makabryczne jak bomba atomowa. Pojechałam, bo choć nie wiedziałam jeszcze, co mu tak naprawdę powiem, bardzo chciałam się z nim zobaczyć.

I to był błąd. Bo to właśnie spotkanie, te ukradkowe pocałunki w jego pokoju i wyszeptane wyznania sprawiły, że dotarła do mnie prawda bardzo gorzka. Uzmysłowiłam sobie, co stracę, kiedy lato dobiegnie końca. Zawsze na pierwszym miejscu stawiałam swoją wolność, ale owa wolność w porównaniu z Garretem wypadła bardzo blado. Bo Garret był nie tylko bardzo fajnym chłopakiem rasy ludzkiej, który potrafił już surfować, z którym byłam i w salonie gier, i w parku rozrywki. Nie było to też czymś w rodzaju buntu przeciwko wrednej instruktorce, która twierdziła, że uczucia ludzkie są smokom obce. Nie. Pojechałam do niego, bo naprawdę chciałam być razem z nim. Naprawdę, przecież na samą myśl o tym, że będziemy musieli się rozstać i nigdy więcej już się nie zobaczymy, serce mi się ścisnęło. Coś, czego nigdy dotąd nie czułam.

Czyli tak ogólnie świrowałam, ale co się dziwić, skoro nad moją głową zbierały się czarne chmury. Ścisłej – jedna wredna dławiąca chmura zwana Talonem, która wisiała tam zawsze i która teraz urodziła kolejną chmurę, tak samo wredną. Talon twierdził, że ludzie to istoty podrzędnego gatunku, zabraniał nam latać, zabraniał nawet powrotu do naturalnej postaci. Można to było robić tylko za jego zezwoleniem. Talon przydzielił mi wyjątkowo obrzydliwą sadystyczną instruktorkę, która zmieniła moje życie w piekło.

A teraz Talon chciał, bym została Żmiją.

Zadrzałam. Palce zacisnęły się kurczowo na kierownicy. Bo właśnie to! Właśnie do tej sekcji musieli mnie przydzielić! Zdawałam sobie sprawę, że jestem po prostu za mała, zbyt słaba, żeby zostać Heloderumą, nie mam także

tego wdzięku i uroku, jaki powinien posiadać Kameleon. Po tamtej rozmowie z Rileyem na moło byłam prawie pewna, że zostanę Bazyliszkiem. Co nie było spełnieniem moich marzeń, niemniej lepiej być Bazyliszkiem niż na przykład Nadzorcą, który ma pracę beznadziejną, bo nieskończenie nudną i jednocześnie niezwykle absorbującą.

Żmije. Agenci superspecjalni, których wzywano, gdy wszystko i wszyscy już zawiedli. W praktyce zajmowali się też ściganiem zbiegłych smoków i dezerterów. Ze Żmijami nikt jeszcze nie wygrał. Kiedy staną ci na drodze, nie masz żadnych szans. Nigdy nie rezygnują i każdą misję wypełniają do końca.

Dlaczego mam zostać jedną z nich? Do końca życia prześladować inne smoki, chwytac je, odstawiać z powrotem do Talonu? Robić coś, co z czasem zmieni mnie w bezmyślną maszynę? Nie, to było niesprawiedliwe.

Co robiły Żmije, kiedy nie ściagały zbiegów? Kiedy spytałam o to Straszna Damę z Talonu, zaśmiała się i powiedziała, że mam się o to nie martwić. Dowiem się we właściwym czasie.

Koniecznien musiałam z kimś o tym porozmawiać. O wszystkim. Oczywiście że nie z Garretem. Byłam wtedy bardzo zdenerwowana. Pojechałam do niego pod wpływem impulsu, a Garret przecieź nie jest w stanie mi pomóc w sprawach związanych z Talonem. Powinnam pogadać nie z człowiekiem, a smokiem, z kimś, kto potrafi zrozumieć, przez co przechodzę.

Znałam tylko jedną osobę odpowiadającą powyższym kryteriom.

Postawiłam rower na podwórku i weszłam na schody prowadzące do drzwi. Po drodze wyjęłam z kieszeni komórkę i kiedy doszłam do drzwi, wystukałam pewien numer, nacisnęłam „połącz” i nie odrywając oczu od ekranu, nacisnęłam na klamkę. Drzwi otwarły się, zrobiłam krok do przodu, a tam w środku czekała na mnie przeszkoda w osobie Dantego, który właśnie wychodził z domu.

– No nie... – jęknął, rozcierając obolały podbródek, który miał przyjemność zetknąć się z moją głową. – Jezu, jaki ty masz twardy łeb! Jak kamień!

– Ha! Ha!

Zjadliwie, bo chociaż Dante dowcipkował, jakby między nami wszystko było w porządku, ja byłam zbyt zmęczona, żeby zgodnie z naszym obecnym obyczajem udawać, że tak właśnie jest, i też tryskać humorem. Z tym że żart podjęłam, ale nie wykazując się przy tym jakąś szczególną błyskotliwością:

– Lepiej mieć głowę tak twardą jak kamień, niż w ogóle jej nie mieć!

– Poniekąd racja – mruknął Dante, mierząc mnie wzrokiem. – Siostra, jak z tobą? W porządku?

– Oczywiście! A po co pytasz? Co ciebie to obchodzi? – burknęłam, wsuwając się do środka bokiem, bo stał w tych drzwiach jak słup soli. –

Przecież dla ciebie ważny jest tylko Talon! Robienie tego, co ci każą, podlizywanie się i tak dalej.

Powiedziałam, co wiedziałam, i pomaszerowałam do pokoju dziennego. Dante, niestety, zrobił to samo.

– Ember, może mi powiesz, co się dzieje?

– Mam powiedzieć? A czy ty mnie wysłuchasz? – spytałam prowokująco, ustawiona po drugiej stronie kontuaru oddzielającego kuchnię od pokoju. – A jeśli nawet powiem, to ty, jak coś ci się nie spodoba, od razu podkablujesz Talonowi!

I to zakłóło. Oczywiście, bo Dante skrzywił się.

– A więc o to chodzi! – wywarczał, też podchodząc do kontuaru. Oparł się o niego i zaszeptał. Był to taki ochrypły ze złości szept: – A kiedy to ja cię nie wysłuchałem, Ember? Bo sobie tego nie przypominam. Wciąż powtarzasz, że nie jestem po twojej stronie, kiedy nic innego nie robię, tylko kłamię, wciskając kit naszym opiekunom, żeby ratować twój tyłek! Tak było, kiedy zachciało ci się polatać, tak samo cię kryłem po imprezie. Nie powiedziałem im, że gadałaś z tym zbiegiem. Nie! O tobie i Garrecie też im nie powiedziałem!

Tą ostatnią informacją bardzo mnie zaskoczył.

– O nim? A skąd ty...

– Lexi mi powiedziała. I nie ukrywam, że byłem wkurzony. Bo to ty powinnaś mi powiedzieć, że się z nim prowadzasz. Powiedzieć mi wszystko!

Był bardzo rozżalony, tak bardzo, że zaczynałam mięknąć. Bo może jednak jestem niesprawiedliwa i Dante faktycznie nie przekablował Talonowi, że Riley wrócił, no i faktycznie krył mnie po imprezie, nie pisał też słowa o moim nielegalnym lataniu z Cobaltem po północy. Wścieka się, bo po prostu boi się o mnie.

– Zarzucasz mi, że mam przed tobą tajemnice! – mówił dalej tym ochrypłym szeptem. – Ja? To ty ukrywasz coś przede mną. Ember, wiadomo, jesteśmy teraz wśród ludzi. Robisz, co chcesz, spotykasz się, z kim chcesz, ja się do niczego nie wtrącam. Mamy przecież poznać wzorce ich zachowań, przyswoić i zintegrować się, by myśleli, że też jesteśmy ludźmi. Więc jak powiedziałem, nie wtrącam się. Chcę ci tylko przypomnieć, że nam nie wolno zapominać, że my ludźmi nie jesteśmy. Ludzie dowiedzą się dopiero kiedyś, pewnego dnia...

Kiedy usłyszałam te wywody, aż mną zatrzęsło.

– A co, twój instruktor nakładł ci to wszystko do głowy? To może przy okazji powiedział ci już, kim będziesz w przyszłości? Do której sekcji cię przydzielą?

Dante milczał. Byłam pewna, że nie powie mi, bo mu tego zabronili. Ale nie. Powiedział. Oparł się o kontuar, westchnął i jednak mnie poinformował:

– Kameleonem.

Miałam wrażenie, jakby wszystko we mnie się oberwało. On Kameleon, a ja?!

– No tak... – mruknęłam. – Nadajesz się do tego.

Oczywiście. Bez trudu mogłam go sobie wyobrazić w eleganckim garniturze, jak czaruje ludzi z wysokich stołków. Byłam pewna, że od razu poczuje się w swoim żywiole.

Dante spochmurniał.

– O co ci znowu chodzi, Ember? Przecież to ważna funkcja. A powiedz mi, co przewidzieli dla ciebie? Będiesz Nadzorcą? Heloderma?

– Będę Żmiją.

I wtedy cała krew odpłynęła z jego twarzy. Teraz była biała jak papier, przez co rude włosy wydawały się jeszcze bardziej płomieniste.

– Żmije... – szepnął. – Do tej właśnie sekcji...

Pokiwałam głową, czując jednocześnie na plecach lodowaty dreszcz. Bo tak mocnej reakcji brata jednak się nie spodziewałam.

– Dziś rano moja instruktorka poinformowała mnie o tym, a ja bez ustanku o tym myślę – powiedziałam zgodnie z prawdą, przecież wściekam się przez cały dzień, wyjąwszy oczywiście te chwile, które spędziłam z Garretem. – Naturalnie nikt się mnie nie pytał, czego ja bym chciała. Podjęli decyzję i koniec. Tak ma być, bo oni już z góry wiedzą, co będzie dla mnie najlepsze. A przecież to moje życie, moja przyszłość! A ja nie mam nic do powiedzenia! Nic!

Dante nadal patrzył na mnie po prostu z lękiem, co tylko zwiększyło moją desperację. Teraz już prawie krzyczałam:

– Przecież to wcale nie jest dobra decyzja! To błąd! Ewidentny błąd! Przyglądają ci się od chwili wyklucia, mądrzą się, a wcale nie wyciągają prawidłowych wniosków! Te ich wielkie analizy, systemy, wszystko jest do bani. Bo ja się do tego nie nadaję! Nie chcę polować na inne smoki, nie chcę siłą sprowadzać zbiegów z powrotem do Talonu! A to przecież robią Żmije, prawda? Gdybym uciekła... – Dante teraz chyba omal nie umarł ze strachu – ...wysłaliby za mną właśnie Żmije! Przecież to oczywiste!

Dante milczał, a ja wcisnęłam dłonie w chłodny marmur kontuaru, na moment przymknęłam powieki i wyjęczałam:

– Nie mogę tego robić, nie mogę...

Otworzyłam oczy i spojrzałam na brata. Oczywiście, że błagalnie.

– Dante, co ja mam teraz zrobić? Co?

Obszedł kontuar i wbijając we mnie szmaragdowy wzrok, złapał mnie za przedramię. Bardzo mocno, jego palce zacisnęły się jak kleszcze.

– Będziesz Żmiją – powiedział cichym, niezwykle twardym głosem. – Bo tak zdecydował Talon, a z Talonem walczyć nie wolno. Musisz pogodzić się z tym, że będziesz Żmiją. Jeśli zaakceptujesz ten fakt, łatwiej ci będzie z tym żyć.

Pogodzić się z tym? O nie! Wyrwałam się z tych jego kleszczy i jak szalona zaczęłam kręcić głową na wszystkie strony. Nie, nie i nie! Dante nie podszedł już do mnie, tylko patrzył z wielkim smutkiem.

– Tak będzie najlepiej dla ciebie, Ember. Talon wie, co robi. Musisz im zaufać. A to, czym będziesz się zajmować, jest przecież konieczne, by nasza rasa przetrwała. Będziesz walczyć z wrogami Talonu. Powinnaś być z tego dumna!

Ach tak? W takim razie nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Odwróciłam się na pięcie i poszłam do swojego pokoju. Cichy odgłos zamykanych drzwi miał dla mnie wymiar symbolu. Więź, która łączyła mnie z bratem bliźniakiem, podobno nierozzerwalna, właśnie została zerwana, i to ostatecznie. Nie mam już brata. Odebrał mi go Talon.

Siadłam na łóżku, ponownie wyjęłam z kieszeni telefon i bez wahania wystukałam odpowiedni numer. Tak, bo przed oczami miałam trupioblada twarz Dantego. Kiedy usłyszał, że będę Żmiją, przeraził się, bo wie coś o nich, czego ja nie wiem. Ale mi nie powie, nie ma co się łudzić, i dlatego trzeba zapytać o to kogoś innego, kto na pewno potrafi odpowiedzieć na moje pytania.

Szybko wystukałam wiadomość, starając się zignorować to trzepotanie w żołądku, znak, że moja smoczyca, doskonale orientująca się w sytuacji, teraz nie posiada się z radości.

Hej! Masz chwilę?

Podobnie jak ostatnim razem, odpowiedź przyszła dosłownie po kilku sekundach.

Dla ciebie wszystko, Firebrand. Spotkajmy się o trzeciej w tym samym miejscu co ostatnio.

Przez chwilę wpatrywałam się w ciemniejący ekran. A więc znów spotkam się ze zbiegłym smokiem, po raz drugi w tym tygodniu. Spotkam się, bo jestem zła na Dantego, a instruktorki miałam po dziurki w nosie. I będę Żmiją. Koniecznie muszę pogadać z Rileyem. Komórkę zostawiam w domu, bo podczas tak ważnej rozmowy nic nie powinno mnie rozpraszać. A jeśli zadzwoni Garret? Trudno, zadzwoni później.

Decyzja podjęta. Wyłączyłam komórkę, schowałam do komody i ruszyłam

do drzwi.

## RILEY

Schowałem komórkę do kieszeni dżinsów, bardzo zadowolony, bo przecież lepiej być nie mogło. Zamierzałem zadzwonić do Ember wieczorem po włączeniu wszystkich alarmów i czujników ruchu zainstalowanych wokół domu. A tu proszę – Ember sama się odezwała.

Do kuchni wszedł Wes. Wyglądał na skonanego. Mętne spojrzenie, włosy jeszcze bardziej rozczochrane niż zwykle.

– Wszystko włączone – wymamrotał, otwierając lodówkę. Wyjął puszkę z wodą sodową, wypił kilka łyków i beknął. – Alarmy, czujniki ruchu, system w kompie. Nawet mysz się nie prześlizgnie.

– A gdzie tych dwoje?

– Na dole, przed telewizorem. Oglądają „Mścicieli”. Przedtem wyzarli prawie wszystko, co mieliśmy w domu. Cholerne pisklaki! A ty idziesz teraz węszyć, tak? Może zajrzałbyś po drodze do sklepu? Ja jestem przecież tu uziemiony, przy tej dwójce...

Wypił do dna, zgniótł puszkę i wrzucił do kubła na śmieci.

– Riley, ja zdania nie zmieniałem. Powinniśmy się wynieść stąd jak najprędzej, a nie siedzieć tu jak te głupki i czekać, aż rozkapryszonej panience z Talonu zachce się podjąć decyzję.

Gadał i gadał, a ja bez słowa włożyłem skórzaną kurtkę i ruszyłem do drzwi.

– Ej, Riley! A ty dokąd?

– Na spotkanie z rozkapryszoną panią z Talonu – poinformowałem, efektownie podrzucając kluczyki do motocykla. I łapiąc, oczywiście. – Życz mi powodzenia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyjedziemy stąd szybciej, niż myślisz!

– I to mi się podoba, bo wolałbym, żeby moje wieczory polegały nie tylko na włączaniu alarmów.

Na to mogłem zareagować tylko w jeden sposób. Zrobić odpowiednią minę i zamknąć drzwi, odgradzając się od jego pesymizmu. Mocno zdeterminowany wyprowadziłem motor z garażu. Tym razem nie pozwolę, by ktoś lub coś przeszkodziło w rozmowie z Ember. Bo tym razem miałem zamiar przekonać ją już tak całkowicie i definitywnie odebrać ją Talonowi.

Stała oparta o barierę i patrzyła na ocean. Dziewczyna z rozwianymi przez wiatr włosami. Ember człowiek, ale ja i tak widziałem w niej smoka. Teraz też, smoka z uniesioną głową, z na wpeł rozpostartymi skrzydłami, gotowego wzbić się w powietrze...

Przełknąłem, starając się stłumić w sobie to podekscytowanie, które zawsze

czułem na jej widok. Za każdym razem, niestety, coraz większe. Ten żar w żyłach, gorące pragnienie, by przyciągnąć Ember do siebie, przytulić bardzo mocno i nie pozwolić jej odejść.

Podszedłem do niej, oparłem ręce na balustradzie i też spojrzałem na ocean.

– Może wystarczy już tych spotkań i czas na podjęcie decyzji, Firebrand? Co o tym myślisz?

Spojrzała na mnie z ukosa i uśmiechnęła się. Zauważyłem, że policzki ma lekko zarumienione.

– Cześć, Riley! – powiedziała cichym głosem, ginącym w szumie fal bijących o słupy molo. – Dzięki, że zechciałeś spotkać się ze mną jeszcze raz. Jestem pewna, że masz co robić i na nadmiar wolnego czasu nie narzekasz.

Uśmiechnąłem się. Czas wolny? Nie, na nadmiar nie narzekam. Teraz na przykład jesteśmy w stanie pełnej gotowości, ponieważ w każdej chwili Święty Jerzy może wdrzeć się do domu, w związku z czym zamierzam razem z dwoma pisklakami uciec z tego miasta jak najszybciej.

– Może i tak. Ale dla ciebie zawsze znajdę czas, Firebrand. Co u ciebie? Twoja instruktorka znów dała ci popalić? Zamiast kulkami z farbą strzelają w ciebie gumowymi pociskami?

Przez krótką chwilę milczała. Pochyliła głowę, zauważyłem też, że dłubie paznokciem drewnianą balustradę, drapie i drapie, odrywając malusieńkie kawałeczki drewna. Czyli musiała być czymś porządnie zdenerwowana.

– Nie, nie... To nie to, Riley... Wiesz, dowiedziałam się, do jakiej sekcji mnie przydzielą, czyli co będę robić do końca życia.

– Rozumiem. To dla ciebie ważna chwila. Ja ukończyłem szkolenie wojskowe, dlatego byłem przekonany, że przydzielą mnie do Heloderm... A ciebie do jakiej sekcji przydzielili? Do Nadzorców czy Bazyliszków? Do Heloderm chyba nie, bo wybacz, ale twoje rozmiary...

– Będę Żmiją, Riley.

Żmije!

Moje serce prawie przystopowało. Bo jeśli Ember ma być Żmiją, to oczywiście szkolą ją w tym kierunku, a szkolenie prowadzi Żmija! Czyli mamy w mieście Żmiję, przebywa tu już od jakiegoś czasu. Cholera! Że też wcześniej to do mnie nie dotarło, kiedy Ember opowiadała o swoich treningach.

Tylko nie panikować, nie panikować... Zakląłem cicho, ale Ember i tak usłyszała.

– Riley, co jest? – spytała niespokojnie.

– Ember, powiedz, jak wygląda twoja instruktorka. I jak się nazywa.

– Nie wiem, nigdy mi się nie przedstawiła. A jak wygląda? Bardzo wysoka, włosy jasne, długie, oczy zielone...



– Świrnięta sadystka?

– Przecież wiesz, nie raz ci o niej mówiłam. Znasz ją?

Czy znam?! Tak dobrze, że mój żołądek po prostu zamarł, zmieniając się w bryłkę lodu.

– Przecież to Lilith! – warknąłem. – I to ona była przez cały czas twoją instruktorką! A niech to szlag!

Oczywiście, że teraz natychmiast czujnie zerknąłem za siebie. Przecież ta gadzina mogła gdzieś tu czatować.

– Lilith? A któż to taki ta cała Lilith?

– Później ci powiem. Teraz nie to jest najważniejsze... Ember, powiedz, czy ktoś szedł za tobą? – Cały w nerwach złapałem ją za nadgarstek i pewnie za mocno, bo aż podskoczyła. – Ember, mówiłaś komuś, dokąd idziesz? Czy ktoś wie, gdzie jesteś?

– Nie!

Wykręciła rękę, szarpnęła i wyrwała się z mojego żelaznego uścisku. Co było zadziwiające, skoro uścisk ten był właśnie taki, czyli żelazny. Ale nie pora na to, by się nad tym zastanawiać. Najważniejsza była Lilith, bo to ona musi być instruktorką Ember.

– Riley, proszę, powiedz, o co chodzi! Kim jest ta Lilith?

Oparłem się o balustradę, tak na luzie, i spojrzałem na molo. Niby tak dla rozrywki, by popatrzeć sobie na ludzi, a wiadomo przecież, że tak naprawdę zlustrowałem wzrokiem molo, szukając tego innego i wyjątkowo wrednego smoka. Z góry wiedząc, że to bezcelowe. Bo jeśli ktoś taki jak Lilith chce być niewidzialny, to będzie. Nie wyłowisz jej wzrokiem.

– Nie możemy tu o tym rozmawiać – powiedziałem cicho. – Jeśli chcesz dowiedzieć się, kim jest Lilith, musisz pojechać ze mną. Zawiozę cię w bezpieczne miejsce, gdzie można spokojnie pogadać. Musisz mi jednak dać słowo, że nikomu, ale to absolutnie nikomu nie powiesz ani o tym miejscu, ani o tym, co usłyszysz. Bo od tego zależy czyjeś życie, Ember. Dlatego ani słowa swemu bratu, opiekunom, instruktorce. Jej przede wszystkim. Czy to jasne? Chociaż ona może już wie, że tu jestem.

Błada i wystraszona Ember pokiwała głową.

– Obiecuję. Nie powiem nikomu. Możesz na mnie polegać.

– W porządku. Teraz idź za mną. Masz zachowywać się naturalnie, jasne?

Wtedy cichutko prychnęła.

– Ja? Przecież to ty zachowujesz się jak świr.

Nie odezwałem się już, tylko ruszyłem pierwszy przez molo do zejścia na plażę. Krokiem spokojnym, jakby nigdy nic, choć w środku wszystko było na pełnych obrotach. Nie bez powodu, bo jeśli istotnie to Lilith, trzeba zniknąć

stąd natychmiast! Przebywanie w mieście, gdy w każdej chwili może pojawić się Zakon, to wielkie ryzyko, natomiast przebywanie w mieście, w którym jest Żmija, równało się samobójstwu. Zwłaszcza jeśli tą Żmiją była Lilith.

Pozostawała tylko nadzieja, że Lilith jeszcze nie wie o mnie, o Wesie, Nettle i Remym, a do Crescent Beach przyjechała po to, by trenować Ember. Tylko po to. Oby tak było, i nasza ewakuacja przebiegła bez zakłóceń.

Miałem też nadzieję, że kiedy będziemy stąd zwiewać, moja mała naiwna Firebrand – jak się okazuje, podopieczna samej Lilith – wyjedzie stąd razem z nami.

## EMBER

Jazda na motorze. Nie zapomnij dopisać jej do wykazu czynności prawie tak cudownych jak latanie.

Motocykl Riley'a pędził ulicami Crescent Beach. Pędził przed siebie albo skręcał, i to skręcanie było genialne. Takie płynne z przechyłem w lewo lub w prawo, a zaraz potem pełny gaz. W takiej chwili człowiek – i smok – czuł wręcz uniesienie. Także słysząc ogłuszający ryk silnika, gdy motocykl znowu ruszał, bo zapaliło się żółte światło. Wiatr szarpał włosy i ubranie, szczypał w oczy, w uszach miałam upojny ryk maszyny. Czasami także ostrzegawczy klakson innego motocyklisty, ale Riley ani razu nie zwolnił. Było jasne, że gna jak wariat po to, by uniemożliwić komukolwiek jazdę za nami. Co w tej sytuacji było konieczne, nie zapomniałam przecież znamienych słów mojej instruktorki. O tym, że musi mieć oko na swoją uczennicę.

I tak pędziliśmy jak szaleni, on z przodu, ja z tyłu z policzkiem przyklejonym do skórzanej kurtki. Objęłam go mocno w pasie i świat tylko migał mi przed oczami. Kiedy wyjechaliśmy z miasta, Riley wjechał na drogę wykutą w stromym zboczu skały, skąd widać było w dole ocean i prawie całe Crescent Beach. A co w górze? Odkleiłam policzek od skórzanej kurtki, by spojrzeć właśnie tam, i wtedy okazało się, że to już koniec szaleńczej jazdy. Riley przejechał przez bramę, pokonał długi podjazd i zatrzymał się przed domem.

I wówczas szczena mi opadła. Bo ten dom... Dom? Raczej rezydencja, był przecież bardzo rozległy, o wiele większy niż willa wuja Liama czy dom letniskowy rodziców Kristin. W rezultacie gapiałam się jak sroka w gnat, a Riley tylko się uśmiechał, niewątpliwie spodziewając się z mojej strony takiej właśnie reakcji.

– Witam w moim skromnym mieszkanku! – zawołał, zeskakując z motocykla.

Wreszcie odzyskałam mowę:

– Naprawdę tu mieszkasz? A niech cię... Czyli zbiegłym smokom nie brakuje kasy!

– Niestety, nie ma się czym tak entuzjasmować, Firebrand. To nie mój dom. Wynajęliśmy go na lato.

– Wy?

– Tak, my. Proszę, Firebrand, wchodzimy. Zaraz ci wszystkich przedstawię. Chciałbym, żebyś poznała kilka osób.

Weszliśmy przez wielkie solidne drzwi od frontu. W środku było podobnie jak na zewnątrz, też bardzo rozległe. Poza tym od razu było widać, że ten dom

jest zamieszkały i na pewno nie przez jedną istotę, sądząc po ilości walających się puszek po red bullu i mountain dew. Także po tym, co dostrzegłam przez otwarte drzwi do kuchni, a mianowicie góry brudnych naczyń w zlewie i zawalonego pudełkami z pizzerii kontuaru.

Ledwie weszliśmy, a już ktoś się pojawił w holu. Wysoki i chudy jak tyczka człowiek w pomiętym T-shircie i z brązowymi włosami opadającymi na oczy. Oczywiście zauważył mnie, ale wcale nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Wręcz przeciwnie.

– To ona, tak? Dziewczyna, z powodu której ryzykujemy życie? A nie, przepraszam. Z powodu której ty narażasz nasze życie?! – spytał z brytyjskim akcentem, mierząc mnie wzrokiem. – Niestety, nie jestem pod wrażeniem.

Wtedy oczywiście ja też zmierzyłam go wzrokiem, takim pełnym złości.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to nie krępuj się. Wysłucham bardzo chętnie!

Wtedy włączył się Riley:

– Nie gniewaj się na Wesa. On taki już jest. Lubi robić z siebie kretyna.

Wes nawet okiem nie mrugnął, czyli faktycznie coś było na rzeczy, bo normalny człowiek przynajmniej by się obruszył.

– Wes, gdzie tych dwoje? – spytał Riley.

– Na dole. Nie ruszają się stamtąd. Teraz nadęci, bo kazałem im wyjść z basenu. A dlaczego pytasz? Dzieje się coś?

Ostatnie zdanie powiedział z niepokojem, czyli wyczuł, że Riley jest spięty. Riley nie odpowiedział, tylko spojrział na mnie przelotnie, jakby się wahał. Czyżby zastanawiał się, co może powiedzieć w mojej obecności? Do jakiego stopnia może mi zaufać?

On spojrział przelotnie, ja natomiast spojrzałam mu prosto w oczy.

– Riley, chyba poznałeś mnie już na tyle, że wiesz, że możesz się przy mnie zachowywać swobodnie – powiedziałam stanowczym tonem. – Nie jestem tu po to, by komuś bruździć, tylko po to, by dowiedzieć się wszystkiego o Talonie, o Żmijach, o tym, co one robią i tak dalej. Obiecałeś, że mnie oświecisz, i dopóki tego nie zrobisz, nie ruszę się stąd.

– Żmije?! – Głos Wesa przeszedł gwałtowną transformację. Zero nonszalancji. Pierwsze słowo wypowiedziane zostało o kilka oktaw wyższym tonem, który przeszedł w syk: – Czy dobrze usłyszałem? Ona mówi o tych przeklętych Żmijach?

Riley westchnął.

– Tak. Nie tylko ona, bo ja też coś o nich powiem. Lilith jest w tym mieście.

Wes zbladł i zaczął wycofywać się, a z jego ust wylał się cały potok najprzeróżniejszych przekleństw. Jego oczy były prawie nieprzytomne.

– Wyluzuj, Wes – powiedział Riley. – Najpewniej Lilith nic o nas nie wie, bo przyjechała tu z całkiem innego powodu.

Wes nie miał jednak najmniejszego zamiaru się wyluzować.

– Co ty gadasz! Oczywiście, że z naszego powodu! Bo niby po co by tu przyjeżdżała? Na pewno nie na urlop!

– Przyjechała, bo jest moją instruktorką – powiedziałam z nadzieją, że ta informacja choć trochę uspokoi Wesa.

Niestety zamiast uspokoić, wystraszyła go jeszcze bardziej. Wybałuszając na mnie oczy, wrzasnęła:

– Twoją instruktorką, tak?! Riley, czyli odbiło ci już totalnie! Po kiego grzyba ją tu przyprowadziłeś? Przecież może być wtyczką, szpiclem! Poleci do domu i przekabluje tej suce o nas!

– Nie – odparł Riley spokojnie i bardzo stanowczo. – Nie zrobi tego. Mam do niej pełne zaufanie.

Wes potrząsnął bezradnie głową, jednocześnie nerwowo przeczesując włosy palcami.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Riley.

– Bez obaw, Wes. Wiem. A teraz idź do tamtej dwójki i powiedz im, że niebawem wyruszamy. Niech zaczną się już szykować. Pamiętaj, że nikt nie może się dowiedzieć, że tu byliśmy. Żadnych śladów. Wszystko ma być dokładnie tak, jak w chwili, kiedy weszliśmy tu po raz pierwszy. Trzeba też odinstalować alarmy.

– Jezu... Jeszcze to – wymamrotał Wes, ruszając do drzwi.

Wyszedł, cały czas złorzecząc, a ja pozwoliłam sobie na drobną uwagę:

– Macie tu niezłe zawirowanie!

– Nie da się ukryć – mruknął Riley. – Chodź, Firebrand. Usiądziemy sobie i pogadamy.

Weszliśmy do pokoju dziennego. Riley elegancko zaproponował, bym usiadła na kanapie, ale ja, tak bardzo przecież spięta, wolałam stać. Riley też nie usiadł. Stał ze skrzyżowanymi ramionami i gapił się w okno. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– Co ty w ogóle wiesz o Talonie, Ember? I o Żmijach?

Wzruszyłam ramionami.

– Wiem tyle, ile mi powiedzieli, czyli bardzo niewiele. Wiem, że Żmije to coś w rodzaju agentów specjalnych, których Talon wysyła tam, gdzie sytuacja jest naprawdę trudna. Wiem, że ścigają zbiegłe smoki. To wszystko, nic więcej nie wiem. Próbowałam podpytać instruktorkę, ale bez skutku, bo tak naprawdę to nic mi nie mówi. Nawet nie powiedziała, jak się nazywa.

– Teraz już wiesz. Nazywa się Lilith i jest wyjątkowo wredną suką. Drugiej

takiej nie znajdziesz. Jest najlepszą Żmiją w Talonie. A fakt, że została twoją instruktorką, jest bardzo znamienity. Chcą, żebyś była wyszkolona jak najlepiej, bo mają zamiar przydzielać ci wyjątkowo trudne zadania.

– Naprawdę jest tak cenna dla Talonu?

Riley prychnął.

– Jak ty nic nie wiesz! Przecież Lilith w Talonie obrosła już legendą! Nawet te pieprzone gnojki od zabijania, ci od Świętego Jerzego, wiedzą o niej. A to już coś znaczy...

– Rozumiem. I dlatego Wes wpadł w panikę. Jest pewien, że przysłali ją tu po to, by odstawiła was z powrotem do Talonu!

Riley odwrócił się od okna i spojrzał teraz na mnie tak, że poczułam na plecach lód.

– Wes nie bez powodu spanikował, Firebrand. Gdyby ta twoja piękna instruktorka nas przyskrzyniła, na pewno nie skończyłoby się na tym, że dałaby nam po łapach linijką i nakrzyczała, że uciekliśmy z Talonu. Na pewno nie. Bo jeśli posyłają za kimś Lilith, z góry wiadomo, co z tym kimś się stanie.

Przełknęłam, bo teraz to już był pewnik. Mordercze treningi mają zrobić ze mnie maszynę. I stąd ta reakcja Dantego, kiedy usłyszał, że będę Żmiją.

– Chyba... chyba wiem, o co chodzi.

Riley pokiwał głową.

– Niestety, Firebrand. Żmije to po prostu mordercy. Ich zadaniem jest zabijać dla dobra organizacji. Kiedy trzeba kogoś sprzątnąć, wysyła się tam właśnie Żmiję. Zajmują bardzo wysoką pozycję w organizacji. Tymi gnojkami z Zakonu nie zawraca im się głowy. Żmije nasyła się tylko na urzędników najwyższego szczebla, na naprawdę grube ryby, bo Żmija jak nikt potrafi wkraść się na teren wroga i dopaść, kogo trzeba. Zbiegłe smoki to też domena Żmij. Czy zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego w Talonie nie ma ani jednego zbiegłego smoka, który skruszony powrócił na łono organizacji? Nie ma ani jednego dezertera? Czy zastanawiałaś się, dlaczego wszyscy członkowie organizacji są tak lojalni? Czy dlatego, że Talon to supercudowne miejsce, w którym każdy jest szczęśliwy i nikt przy zdrowych zmysłach Talonu nie opuści? – Prychnął pogardliwie. – Wszyscy udają! Bo każdego, kto nie jest lojalny, Żmije natychmiast uciszą. Na zawsze. Każdego, i człowieka, i smoka. Na rozkaz Talonu zabijają też przedstawicieli swojej rasy. Dlatego wszyscy boją się Żmij. I dlatego też zamierzam wydostać z Talonu jak najwięcej smoków.

A mnie już od tego wszystkiego kręciło się w głowie. Wystarczyło przecież to, w czym utwierdziłam się już na samym początku. Talon chce, bym została maszyną-zabójcą. Byłam tym wstrząśnięta, dlatego to, co kryło się za tą

ostatnią informacją, dotarło do mnie dopiero po minucie.

– Ale dlaczego, Riley? Dlaczego chcesz wydostać stamtąd jak najwięcej smoków? Przecież w ten sposób narażasz życie innych, bo Żmije, jak sam powiedziałeś, zabijają każdego zbiega.

– Dlatego, że im więcej smoków na wolności, tym lepiej! – warknął. – A Talon to więzienie. Wszyscy tam mają wyprane mózgi! Wszyscy! Od samego początku każdy pisklak układany jest do standardów Talonu. Ma żyć tylko po to, by służyć organizacji, by pragnąć tylko tego, co wbito mu do głowy. Żyć po to, by Talon rozkwitał. Zdobył jak największą władzę i jak najwięcej kasy. Tu już nie chodzi tylko o przetrwanie, ale o dominację. Zapanowanie nad całym światem, rozumiesz? A wobec swoich normalny zamordyzm. O selekcji nie wspominając. Przecież smoki, które nie są przydatne organizacji, wykańczane są przez Żmije. O tym, że zabijają zbiegłe smoki, już wiesz. Owszem, czasami może oszczędzą jakiegoś pisklaka ze względu na młody wiek albo dlatego, że przebywał poza Talonem bardzo krótko. Oszczędzą też pisklaka, który może przydać się Talonowi. Ale tacy goście jak ja i Wes, którzy znają Talon od podszewki i naprawdę wiedzą, czym to pachnie, nie mają żadnych szans. Jeśli nas namierzają, to już po nas.

Nie, za dużo tego wszystkiego. Czułam, że robi mi się słabo, a nogi odmawiają posłuszeństwa. Usiadłam ciężko na kanapie, wlepiając w Riley'a oczy, w których na pewno widać było rozpacz. Przecież to właśnie czułam.

– Ja... ja nie mogę tego robić – szepnęłam. – Nie mogę. Mam ścigać inne smoki i zabijać je? Nigdy w życiu! Jak mogli tak po prostu zaplanować, że do końca życia będę mordować? Tylko to!

– Tym właśnie masz być, chociaż jeszcze ci tego nie powiedzieli, prawda? Na razie wiesz, że będziesz Żmiją, a o tym, co się za tym kryje, dowiesz się po zakończeniu wszystkich etapów szkolenia. Kiedy już do końca cię wytrenują i wytresują, kiedy do końca wypiorą ci mózg i będziesz ślepo wierzyć we wszystko, co mówi Talon, i bez szemrania wykonywać ich rozkazy. Oczywiście sprawdzą, czy faktycznie się nadajesz. Po ukończeniu szkolenia zdajesz egzamin na Żmiję. Sprawdzą nie tylko twoje umiejętności, ale także lojalność wobec organizacji. Każą ci ścigać jakiegoś zbiegłego pisklaka albo człowieka i wiadomo, co będziesz miała z nim zrobić. – Riley uśmiechnął się niewesoło. – Jeśli zdecydujesz się pozostać w organizacji, to kto wie, czy pewnego pięknego dnia raptem nie staniesz na mojej drodze, by wykonać swe zadanie. Kto wie, czy nie dzieje się to już teraz... Może właśnie teraz zdajesz ten egzamin i dlatego Lilith nie pojawiła się tu osobiście...

– Co ty mówisz, Riley! Co za egzamin? Teraz? Bzdura! Poza tym... nie, ja nigdy bym tego nie zrobiła! Miałabym ciebie... O nie! Nigdy!

– Niestety, Firebrand, po tym praniu mózgu zaczniesz myśleć inaczej. Rozkaz to rozkaz. I wierzysz święcie, że zabijasz w słusznej sprawie.

Po jego twarzy przemknął cień. Zadrżał. Tak, wyraźnie zadrżał, spojrzął w okno i dokończył prawie szeptem:

– Nie masz pojęcia, jak oni potrafią kogoś przerobić, jacy są podstępni. A ty kompletnie nie zdajesz sobie sprawy, że się zmieniasz, tracąc całą swoją osobowość. A potem jest już za późno... Walczyłem z Zakonem przez wiele lat. Nigdy nie stawałem do walki twarzą w twarz, ale to, co robiłem, dla wielu żołnierzy z Zakonu oznaczało śmierć. Tak było, dopóki pewnego dnia nie powiedziałem sobie – dość! Dłużej tego nie będę robił.

– A co takiego się wtedy stało? Tamtego dnia?

Nie odpowiedział od razu. Najpierw usiadł obok mnie, a raczej opadł ciężko, jakby nagle zabrakło mu sił. Twarz miał ściągniętą, oczy pociemniałe.

– Dostałem rozkaz podłożenia ładunków wybuchowych w jednym z budynków, w którym, jak podejrzewaliśmy, mieścił się ich kapitularz. Zadanie dość ryzykowne. Wkraść się, zainstalować, co trzeba, i uciec, zanim nastąpi eksplozja. Nigdy dotąd nie dostawałem tak szalonego zadania, ale mózg miałem już wyprany kompletnie. Rozkaz to rozkaz. Nie docierało do mnie, że właściwie jest to samobójstwo. Bez problemu dostałem się na ich teren i kiedy przemykałem się już przez ten kapitularz, nagle pojawiła się tam dziewczynka. Miała jakieś sześć, siedem lat. Czyli dziecko. Oboje na swój widok zrobiliśmy wielkie oczy... – Riley zaśmiał się. I opuścił głowę. – Wiedziałem, że powinienem ją zabić, a przynajmniej jakoś unieszkodliwić, żeby nie zdradziła mojej obecności. Ale nie potrafiłem, chociaż byłem przecież w kapitularzu pieprzonego Zakonu Świętego Jerzego i zdawałem sobie sprawę, że jeśli ktoś mnie tu nakryje, to już po mnie. Nie, nie wyobrażałem sobie, że bym mógł skrzywdzić dziecko. Nawet dziecko rodzaju ludzkiego.

– I co zrobiłeś?

– Powiedziałem jej, że bawię się w chowanego. Tylko to przyszło mi do głowy... – wyznał z miną niewyraźną, widział przecież, że z trudem powstrzymuję śmiech. – A mała uwierzyła. Obiecała, że nikomu nie powie, że się tu się schowałem, i poszła sobie. Tamtego dnia mogłem zginąć. Byłem całkiem sam na terytorium wroga, otoczony przez uzbrojonych żołnierzy nienawidzących mojej rasy. Gdyby mnie złapali, to koniec. A moją skórę dowódca kazałby powiesić nad gzymsem kominka. A ta dziewczynka... No tak... I w rezultacie...

– I w rezultacie nie wysadziłeś w powietrze żadnego kapitularza!

Riley potrząsnął bezradnie głową i zrobił ręką szeroki, równie bezradny gest.



– Nie mogłem tego zrobić, bo tę dziewczynkę miałem ciągle przed oczami. Poza tym po tym budynku mogło kręcić się więcej dzieci, a dzieci są niewinne. Nie biorą udziału w żadnej wojnie. Nie powinny umierać tylko dlatego, że dorośli skaczą sobie do gardeł. Oczywiście wiedziałem, że Talon nie będzie zachwycony moją decyzją. Dla Talonu śmierć kilkorga dzieci to żaden problem, chodzi przecież o dobro naszej organizacji! Dla mnie był to problem, w związku z czym swojej misji nie wypełniłem i nie mogłem wrócić do Talonu. Dlatego uciekłem, wyrwałem się spoza jego krat i od tej chwili po prostu prę do przodu, nie oglądając się za siebie.

– Nie wysłali za tobą Żmij?

– Oczywiście, że tak. Ale głupi ma zawsze szczęście. Kilka razy udało mi się im wywinąć, a potem natknąłem się na Wesa, który też, krótko mówiąc, zszedł z pokładu. I bardzo szybko zorientowaliśmy się, że mimo tego prania mózgów nie brakuje w organizacji i smoków, i ludzi, którzy myślą podobnie jak my i marzą o wolności. I tak to się zaczęło. Razem z Wesem robimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc im się stamtąd wyrwać, i uczymy ich życia zbiega. Jak unikać ataków Żmij, jak nie dać się wychwycić radarom Talonu. Jak być wolnym.

Wolność... Jak to kusi! Zawsze przecież marzyłam o wolności, o życiu poza Talonem, kiedy nie trzeba przestrzegać żadnych reguł, kiedy nie jest się ograniczonym na każdym kroku. Kiedy nie trzeba zostać Żmiją, zabójcą ścigającym swoich pobratymców tylko za to, że zapragnęli wolności.

Ale sama myśl o ucieczce była dla mnie przerażająca. Choć oczywiście wstydziłam się tego, niemniej po prostu bałam się, że uznają mnie za zdrajczynię, przestępczynię i Żmije przyjdą po mnie. Bałam się, a jednocześnie nienawidziłam Talonu, jego praw, a mojej instruktorce życzyłam z całego serca, by spadła z najwyższego klifu w największą głębię oceanu. Oczywiście kiedy będzie w ludzkiej postaci.

Poza tym wcale nie byłam pewna, czy poradzę sobie na tej wolności, przecież oprócz Talonu nie znałam innej rzeczywistości... No i był jeszcze jeden problem. Zasadniczy. Dante. Nie wyobrażałam sobie, że mój układny brat, wzorowy uczeń, skrupulatnie przestrzegający wszystkich zasad, raptem zachce zostać zbiegiem, nawet jeśli ja zrobię to pierwsza. Może udałoby mi się go namówić, ale tu pojawia się nowy problem. Jeśli skłonię go do ucieczki, też będzie zdrajcą, też będzie ścigany. Wystawi swe życie na wielkie ryzyko. Przeze mnie, rodzoną siostrę, która go do tego namówiła...

Riley, zapewne domyślając się, że muszę sobie coś tam przemyśleć, nie odzywał się, tylko wpatrywał we mnie złocistymi oczami. Z powagą, bardzo przenikliwie, bo to patrzył już smok. Oczywiście. Piękny, żarliwy smok,

wzbudzający we mnie ten jedyny w swoim rodzaju żar.

– Firebrand, nie wahaj się – szepnęła. – Pokażę ci, jak być wolną. Jeśli tylko zechcesz...

Ja też patrzyłam, patrzyłam prosto w złociste oczy. Obecność Riley'a była taka... wszechogarniająca! Nie tylko Riley'a. Przede wszystkim smoka, jego smoka, który pragnął zrzucić z siebie ludzką powłokę. Oczywiście! Moja smoczyca wyczuwała to doskonale, już silna, zwarta i gotowa na spotkanie z drugim smokiem. Przede wszystkim rozplómięta, i stąd ten żar biorący początek w brzuchu i rozlewający się po całym ciele.

– Firebrand, jedź ze mną – powiedział cicho Riley, przysuwając się do mnie.  
– Nie będziesz musiała żyć według ich reguł, nie będziesz musiała zostać Żmiją. Będziesz mogła żyć po swojemu z dala od Talonu, od Żmij, od tego wszystkiego, o co walczą. Przecież chcesz tego, prawda?

Nie przysunął się do mnie tak całkowicie, ale ja i tak odczuwałam jego obecność bardzo mocno. Po prostu widziałam obok siebie nie chłopaka, a smoka pokrytego niebieskimi łuskami, ze skrzydłami i szponami.

– Dziś wieczorem znikamy stąd – mówił dalej Riley. – Wes i ja razem z dwoma pisklakami wyjeżdżamy z Crescent Beach. Bardzo chcę, żebyś zabrała się razem z nami.

– Już dziś? – Zamrugłam zaskoczona, że ma to nastąpić tak prędko. – Wyjechać... Ale dokąd, Riley? Dokąd jedziecie? Dokąd i co tam będziemy robić?

– A o to się nie martw – odparł, uśmiechając się znowu jak Riley, taki Riley, jakiego poznałam, pogodny i zawsze dobrej myśli. – Nie po raz pierwszy przerzucam się z miejsca na miejsce. Na pewno nie będziemy menelami koczującymi na ulicy. Mam kilka takich miejsc, gdzie można się ukryć. Żmije nigdy nas nie znajdą.

– Tak... Ale ja... Ja jeszcze nie wiem, Riley.

– Rozumiem.

Nagle wstał szybko i zręcznie, jak to on, i wyciągnął do mnie rękę.

– Chodź, Ember. Chciałbym, żebyś porozmawiała z kimś innym. Może oni cię przekonają.

Podaliśmy mu rękę. Riley pociągnął mnie i wstałam. Oczywiście moja smoczyca, kiedy tylko mnie dotknął, z wrażenia zapiszczała, ale nakazałam jej spokój.

– Dokąd idziemy?

– Schodzimy na dół. Tak jak powiedziałem, bardzo chcę, byś kogoś poznała. I wysłuchiwała, co ten ktoś ma do powiedzenia.

## GARRET

Siedziałem z tyłu na żelaznej ławeczce wciśnięty między dwóch innych żołnierzy i przy każdym podskoku czy wstrząsie ciężarówki razem z nimi zgodnie przesuwalem się na bok. Ta konkretnie kryta ciężarówka był to wóz dostawczy, przeznaczony do przewożenia towaru, nie ludzi. Dlatego było tak okropnie niewygodnie i gorąco, ale cóż, człowiekowi w życiu często bywało jeszcze gorzej. W każdym razie niewygodnie, gorąco i tłok. Wszędzie dookoła moi towarzysze broni, skoncentrowani przed akcją, choć nie wszyscy milczący. Słysząc było przytłumione głosy, czasami śmiech. Kilku ze zwieszoną głową drzemało. Ale zdecydowana większość milczała pogrążona w myślach.

Nagle poczułem, jak ktoś trąca mnie w ramię. Kto? Thomas, siedzący tuż obok. Thomas Christopher, starszy ode mnie o kilka lat, z czarnymi krótko przystrzyżonymi włosami i feralnym nosem, który non stop był łamany. Thomas należał do tych nielicznych żołnierzy z oddziału specjalnego, którzy przeżyli akcję w Ameryce Południowej przed kilkoma miesiącami.

– Ej, Sebastian – odezwał się przyciszonym głosem. – Jesteś tu już ponad miesiąc, prawda? Na pewno zdążyłeś się zabawić...

– Zabawić? Przecież nie przyjechałem tu na wakacje.

– Ależ oczywiście! – Christopher ze znaczącym uśmieszkiem oparł się wygodniej i dalej nawijał, oczywiście już głośniejszym głosem, żeby inni też usłyszeli. – Nasz Sebastian to wzorowy żołnierz i do jego wzorowej głowy żadne głupie myśli nie mają wstępu. Skupiony jest tylko na misji. Nawet gdyby zdarzyło mu się być z laską, to i tak jej nie ruszy. Ewentualnie tylko w jeden sposób. Zrobi z niej tarczę i będzie do niej strzelał!

– Zamknij się, Christopher! – zainteresował Tristan, razem ze swoim karabinem usadowiony naprzeciwko mnie. – On przynajmniej ma jakieś szanse u dziewczyn. A ty? Wystarczy, że laska spojrzy na twoją gębę. Wiesz, co wtedy pomyśli? Że zrobili ci przeszczep, ale niestety mamy tu piękny przykład tak zwanego błędu w sztuce lekarskiej. Zamiast ludzkiej twarzy przyszyli ci dupę buldoga!

Pozostali żołnierze ryknęli głośnym śmiechem, ktoś rąbnął Christophera po żebrach. Christopher był trochę wkurzony, bo poczerwieniał, ale śmiał się razem ze wszystkimi. Naturalnie na tym się nie skończyło. Zaczęło się ogólne przerzucanie żołnierskimi dowcipami, prym oczywiście wiódł Tristan. Ja się do tego nie włączałem. Siedziałem cicho, jak zwykle przed akcją, szykując się do niej psychicznie, co polegało na wyłączeniu wszystkich emocji i wszystkich szarych komórek. Tego mnie nauczyli. Zmieniać głowę w coś w rodzaju

pustego pojemnika, dzięki czemu nie odczuwasz strachu i działasz pod wpływem czystego instynktu.

Dziś niestety nie udawało mi się osiągnąć tej wewnętrznej pustki. Z wyłączeniem emocji też kłapa. Od samego początku coś mnie gnębiło. Złe przeczucie? Może i nie, ale na pewno był to niepokój, niepewność, uczucia w takiej chwili jak najbardziej niepożądane. Niestety im bliżej byliśmy miejsca przeznaczenia, tym stawały się silniejsze. Jak dotąd nigdy czegoś takiego nie przeżywałem. Wierzyłem w Zakon i byłem święcie przekonany o słuszności tego, co robimy, by chronić innych. Smoki są naszymi wrogami, a naszym zadaniem jest je pozabijać. Odkąd sięgałem pamięcią, zawsze w to wierzyłem, i to bez żadnych zastrzeżeń.

Dopóki jej nie poznałem. Ember, która wprowadziła do mej duszy zamęt, choć wcale nie musiała być jedną z nich. Przecież nie mamy żadnych dowodów, że rudowłosa dziewczyna jest smokiem. Owszem, były pewne podejrzane zbiegi okoliczności, pewne implikacje, ale niezbitego dowodu brak. Ember, nasz potencjalny cel, równie dobrze mogła być najzwyczajniejszą dziewczyną pod słońcem. Dziewczyną, która uwielbia surfing, automaty do gry i spotykanie się ze znajomymi. Z drugiej strony jednak dowody w każdej chwili mogły się pojawić, w każdej chwili mogło się okazać, że Ember jest naszym celem, jest uśpionym szpiegiem, którego mamy zabić.

I wtedy będzie to dowód, że Zakon jednak coś przemilczał. Nie powiedzieli mi, że smoki potrafią być bardzo sympatyczne, odważne i zabawne. I śliczne. Że to właśnie smoki uwielbiają surfowanie, automaty do gry i spotykanie się ze znajomymi. Szczerze. Nie ma w tym żadnego udawania. A Zakon twierdził, że smoki pozbawione są ludzkich uczuć, tylko udają, że coś tam przeżywają. Czyli pod tym względem Zakon na pewno nie miał racji.

Ciekawe, w czym jeszcze możemy się mylić...

– Garret?

Podерwałem głowę i napotkałem wzrok Tristana, który wyciągając szyję ponad głowami roześmianych żołnierzy, przyglądał mi się bardzo bacznie.

– Garret, z tobą wszystko w porządku? Od jakiegoś czasu ciągle jesteś zamyślony. Ale dziś to już po prostu przesada. Czyżby wzorowy żołnierz miał załamanie nerwowe?

Niby żart, ale w jego głosie słychać było niepokój. Na szczęście w tym momencie ciężarówka zatrzymała się i w małym okienku szoferki ukazała się głowa kierowcy.

– Jesteśmy w odległości około dwustu metrów od tego miejsca – przekazał Tristanowi.

On zaś skinął głową, zerwał się na równe nogi i chwytając karabin, rzucił jeszcze do mnie:

– Zajmuję pozycję. Trzymaj się, partnerze. Zobaczymy się później!

Pokiwałem głową, a Tristan, manewrując między żołnierzami, doszedł do drzwi. Wyskoczył z ciężarówki i wiadomo było, co teraz zrobi. Szybko znajdzie odpowiednie miejsce, z którego będzie obserwować dom przez teleskop przy karabinie, a kiedy podczas akcji któryś z celów nam się wymknie, to nie ucieknie daleko. Nie zdąży nawet przebiec do końca podjazdu, o co postara się właśnie Tristan.

Ciężarówka znów ruszyła. Zrobiłem bardzo głęboki wdech, mimo tych moich emocjonalnych problemów starając się jednak jakoś uspokoić. Byliśmy już dwieście metrów od gniazda wroga. Nie powinienem mieć żadnych wątpliwości, zwłaszcza teraz, bo wystarczy chwila nieuwagi i mogę stracić życie. Nie tylko ja, także moi kumple. Jestem żołnierzem Świętego Jerzego. Rozkaz wykonam. Stanę twarzą w twarz z wrogiem i zrobię to, czego mnie wyuczyli. Co muszę zrobić.

Zabiję wszystkie smoki, jakie ukażą się w polu widzenia.

## RILEY

Ember zeszła za mną na dół, skąd dobiegały odgłosy świadczące niezbicie, że ktoś, zamiast szykować się do wyjazdu, spokojnie gra sobie w bilard.

– Bardzo mnie to cieszy, że wzięliście sobie do serca informację o zagrożeniu – odezwałem się uszczypliwie, wchodząc do pokoju.

Remy, ustawiony u szczytu bilardowego stołu, drgnął i odgarnąwszy z czoła jasne włosy, spojrzał na mnie tak, jak powinien. Ze skruchą. Nettle natomiast poszła dalej, to znaczy błyskawicznie rzuciła kij na stół, czyli zastosowała metodę typu – ja? Ależ skąd! Mnie to na pewno nie dotyczy.

A ja dalej mentorskim tonem:

– O ile mnie pamięć nie myli, Wes uprzedzał was, że dziś wieczorem opuszczamy ten dom i macie szykować się do drogi. Tymczasem to, co widzę, raczej nie przypomina pakowania i tego rodzaju czynności.

– Ależ my jesteśmy już gotowi! – zaprotestowała żarliwie Nettle, dla większego efektu potrząsając energicznie dredami. – Przecież przyjechaliśmy tu z pustymi rękami. Nie pamiętasz? Po prostu nie mamy co pakować, jesteśmy więc gotowi do drogi.

– Czyżby? – spytałem, teraz już surowym głosem, krzyżując ramiona na piersi. – Bo zdaje się wspominałem też o pozostawieniu tego domu w idealnym porządku. Żadnych śladów, prawda? A tych śladów niestety jest nadmiar, bo dom wygląda jak po przejściu tajfunu. I tym się zajmiecie, ale jeszcze nie teraz, ponieważ chciałbym, żebyście kogoś poznali.

Odwróciłem się i skinąłem na Ember, by podeszła bliżej. Podeszła więc, wlepiając pełne ciekawości oczy w dwa nieznane jej pisklaki, które oczywiście spoglądały na nią identycznie.

A ja dokonałem prezentacji:

– Poznajcie się. To jest Ember, która być może dziś wieczorem opuści to miasto razem z nami... Firebrand, poznaj moich podopiecznych. Nettle i Remy. Udało mi się wyrwać ich z Talonu rok temu.

– Siema! – rzucił pogodnie Remy, podnosząc rękę w powitalnym geście. – Witaj na pokładzie! A więc nasz nieustraszony wódz ciebie też przekonał, żebyś dołączyła do nas.

– Niby tak... – bąknęłam. – Szczerze mówiąc, to sama jeszcze nie wiem...

– Ale dlaczego?! – zaprotestował drugi pisklak, wyraźnie zszokowany. – Zgłupiałaś? Czy ty wiesz, co oni z tobą zrobią?

– Nettle!

To ja, ostrzegawczo, i Nettle cofnęła się o krok. Ember natomiast rzuciła się do przodu, dlatego też błyskawicznie stanąłem między nimi, żeby zapobiec

szarpaninie. Bo smoki, wiadomo, są bardzo zadziorne, więc szarpanina w ich wydaniu bardzo szybko przeradza się w regularną bijatykę. A kiedy biją się smoki, bez ognia się nie obejdzie. A ja w obecnej sytuacji stanowczo wolałbym nie być zmuszony do wzywania straży pożarnej.

– Nie gniewaj się na Nettle, Ember – powiedziałem szybko. – Zareagowała tak gwałtownie, bo ma wszelkie powody, by nienawidzić Talonu. Nienawidzić z całego serca.

Złość Ember znikła jak ręką odjął, a w jej oczach pojawiła się ciekawość.

– Dlaczego?

Nettle zerknęła na mnie. Skinąłem głową, uznając, że warto, by opowiedziała o swoich przeżyciach. Nettle, która miała niestety okazję przekonać się osobiście, do czego zdolny jest Talon. Niestety, bo wystarczyło wysłuchać tej historii i skóra już cierpła. A co dopiero zetknąć się z tym na żywo...

– Zawaliłam zasymilowanie się – zaczęła Nettle głosem pełnym gorczy, jak zawsze, kiedy mówiła o przeszłości. – Mój opiekun był wredny. Uwielbiał drażnić się ze mną i ciągle powtarzał, że niech tylko przyjdzie mi do głowy poddać się Przemianie, to już następnego dnia zostaną odesłana ciupasem do Talonu. Bez przerwy wsadzał mi jakąś szpilę i w końcu nie wytrzymałam. Rzuciłam się na niego. Oczywiście byłam w prawdziwej postaci. Spodziewałam się, że odeślą mnie do Talonu na reedukację. Wszyscy przecież wiedzą, że w takich przypadkach robi się właśnie to. A tymczasem wcale nie. Okłamują nas. Talon wcale nie wzywa pisklaków na reedukację. Już ich nie chce, bo Talon uważa, że jeśli nie udało ci się zasymilować, znaczy to, że jesteś osobnikiem zdemoralizowanym – właśnie przez ludzi! – w związku z czym nie możesz pozostać wśród nich, bo nie jesteś godny zaufania.

Ember sposepniała. Czyli była to dla niej nowość.

– Co dzieje się ze smokiem, który zawiódł?

Nettle prychnęła.

– Nie wiem, co dzieje się z samcami. Wiem tylko, co spotka smoczyce. Na pewno dobrze znasz ten kit o wyjątkowej roli smoczyce w przetrwaniu naszej rasy? O tym, że to my, smoczyce, jesteśmy przyszłością naszej rasy? Wyobraź sobie, że to wcale nie kit. Wszystkie pisklaki płci żeńskiej, kiedy nie uda im się zasymilować, są wysyłane do specjalnych placówek, gdzie pozostaną do końca życia. Jako reproduktorki! Rozumiesz, taka maszynka do składania jaj!

Ember wystarczyła sekunda, by dotarło do niej, co się za tym kryje. A dotarło, bo zbladła.

A po twarzy Nettle przemknął złośliwy uśmiech.

– No tak! Tobie o tym nie powiedzieli, czyli musiałaś zaliczyć wszystkie

testy śpiewająco. Ja niestety nie, więc uznano, że będę czymś w rodzaju klaczy zarodowej. Będę produkować nowe smoki dla Talonu, wyrzucając z siebie jaja, najlepiej bez przerwy!

Przez cały czas nie spuszczałem z Ember oczu. Jak zareaguje na tę informację? Nadal była blada i wystraszona, ale jej oczy rozblęły jak dwa szmaragdy. Czyli smoczyca, ta druga Ember, niewątpliwie wzburzyła się, słysząc o tym, co ewentualnie ją czeka. Gdyby Ember nie powiodło się w procesach integracyjnych lub podczas treningów, czyli zgodnie z określeniem Nettle, gdyby zawiodła, czekałaby ją taka właśnie przyszłość. Reproduktorki. Byłem pewien, że Ember nigdy by się na to nie zgodziła, i wcale nie musiałbym jej namawiać, by zbiegła z Talonu. Żadnego zastanawiania, decyzję podjęłaby od razu.

I tak trzymać, Firebrand, pomyślałem. Gniew to najlepsza reakcja, kiedy wiesz już, jaki Talon jest naprawdę. Pokazał ci swoją prawdziwą twarz, a ty wcale nie jesteś ich własnością. Należysz do nas, wolnych smoków. Należysz do mnie.

– A potem spotkałam Cobalta – opowiadała dalej Nettle. – Powiedział mi, że wcale nie muszę podporządkować się Talonowi i godzić na takie życie. Powiedział, że zabierze mnie z Talonu i pokaże, jak można żyć inaczej. Lepiej. Wtedy pomyślałam, że może i warto. Przecież nie mam nic do stracenia! I wiesz, co ci powiem, Ember? To była najlepsza decyzja w moim życiu. Nigdy nie wrócę do organizacji. Wolę do końca życia uciekać przed Talonem, tymi wstrętnymi Żmijami i Zakonem Świętego Jerzego.

– To straszne... Te reproduktorki... – wyszeptała Ember. – Naprawdę chcieli coś takiego z tobą zrobić?

– Tak. I to jest jedna z mrocznych tajemnic Talonu – powiedziałem. – Pilnie strzeżona. Próbowałem znaleźć miejsce, gdzie przetrzymują smoczyce reproduktorki, ale nie udało się. O całej tej sprawie wiedzą tylko najwyżsi dostojnicy Talonu, natomiast o tym, gdzie są przetrzymywane, wie zaledwie kilka smoków. Smoczyce miejsce to opuszczają tylko po to, by współżyć z wybranym reproduktorem. Potem odsyłane są z powrotem. Talon jest bezwzględny. Gdyby Nettle nie podjęła szybko decyzji o ucieczce, nie uniknęłaby tego smutnego losu. Zamknęliby ją z reproduktorkami i koniec, bo stamtąd nie dałbym rady jej wydostać.

– Nigdy nie wrócę do Talonu – powtórzyła Nettle jeszcze głośniejszym głosem i tak żarliwie, jakby Ember miała zamiar tam ją zaciągnąć. – Nigdy. Prędzej umrę, niż tam wrócę.

Remy, nadal trwający u szczytu bilardowego stołu, jęknął cicho.

– O Jezu! Nettle! Nie dramatyzuj! W końcu nie jesteś tą jedną jedyną,



z którą pogrywa Talon. – Do Ember natomiast uśmiechnął się, odgarniając z czoła jasne, potargane włosy. – Biedna Nettle miała wylądować w tej wylęgarni. Na pewno nie byłoby jej tam przyjemnie, ale dla mnie przewidzieli coś jeszcze gorszego.

– Przypuszczalnie – wtrąciłem. – Bo nie jesteśmy jeszcze pewni na sto procent. Owszem, krążą pogłoski na ten temat, ale tak naprawdę to nikt nie wie, co się tam dokładnie dzieje.

Wcale nie byłem zadowolony, że Remy o tym właśnie wspomniał, ponieważ moim zdaniem karmienie Ember strasznymi opowieściami o Talonie, by szybciej dała się przekonać do ucieczki, nie było konieczne. Wystarczy to, co powiedziała Nettle. Poza tym Remy miał skłonność do przesady, zwłaszcza wtedy, kiedy opowiadał o sobie.

Niestety, jak można się było spodziewać, Remy’emu udało się już wzbudzić w Ember ciekawość.

– To znaczy gdzie? – spytała.

Usatysfakcjonowany Remy uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tajne laboratorium. Pod ziemią! Przeprowadzają tam eksperymenty na smokach, które nie nadają się do Talonu. Takich jak ja! – oznajmił, uderzając się pięścią w cherlawą pierś. – Uznali, że jestem za mały, a mój rodowód genetyczny jest niepożądany dla puli genetycznej naszego gatunku, w związku z czym zamierzali mnie odstawić do laboratorium, a tam kroić, dźgać i dłubać we mnie, aż zostanę przerobiony na całkiem innego osobnika.

– Nie wiemy jeszcze, czy taka jest prawda – wtrąciłem szybko. – Nie ma żadnego dowodu, że istotnie Talon ma tajne laboratorium, gdzie robią to, co sugeruje Remy. Wiadomo jednak, że Talon tych „niepożądanych”, czyli cherlawych, chorych czy kaleki, wysyła do pilnie strzeżonego ośrodka w Appalachach.

– I nikt już więcej nie ogląda ich na oczy! – dokończył dramatycznym tonem Remy. – Bo, jak powiedziałem, kroją ich, dźgają, dłubią w nich i zmieniają w kogoś innego. Na przykład smoka o trzech głowach.

Był niepoprawny, dlatego, zmuszony do drastycznych środków, wskazałem palcem drzwi:

– Nettle i Remy! Koniec gadania! Zabierajcie się za sprzątanie! Migiem! Już was tu nie ma!

Wybiegli bez słowa protestu, a na twarzy Ember rozkwitł uśmiech.

– Ejże! Co ma znaczyć ten uśmieszek? – spytałem przesadnie surowym głosem.

– Znaczy to, że jeszcze nie znałam ciebie od tej właśnie strony.

– Od jakiej?

– A od tej roli Wielkiego Brata – odparła, patrząc, jak Remy i Nettle oddalają się korytarzem. – Naprawdę troszczysz się o nich, prawda? Nie spodziewałam się tego.

– No cóż, trzeba nimi dyrygować, bo prawdziwy smok ma w sobie coś z cebuli, czyli kilka warstw, podobnie jak ten słynny ogr. Kojarzysz?

Ember roześmiała się.

– Jasne! Chodzi ci o Shreka. – Zaraz po tych słowach znów spoważniała. – Riley, czy oni naprawdę coś takiego robią?

– Naprawdę. Bardzo mi przykro, Ember, że rozwiewam twoje złudzenia. O ile jeszcze jakieś miałaś.

– Nie, już nie mam. Przecież każą mi zostać Żmiją! – Zadrzała, objęła się rękami i zaczęła nerwowo pocierać ramiona. – Będę zmuszona ścigać zbiegów takich jak Remy i Nettle. I ty, Riley...

Moje serce zabiło szybciej. Znalazłem się tak blisko celu! Przecież Ember była już bliska tego, by porzucić Talon i przyłączyć się do nas, zbiegów.

– Potrafiłabyś to zrobić? – spytałem. – Gdyby Talon wydał rozkaz, że masz nas pojmać, nas wszystkich, i masz być bezlitosna?

Nie odpowiedziała. Było oczywiste, że bije się z myślami, starając się dokonać wyboru. A ja wpatrywałem się w nią, nie po raz pierwszy czując tę przedziwną tęsknotę i żar. Moje zmysły musiały być w równie nietypowym stanie, skoro miałem wrażenie, jakbym na odległość wyczuwał bicie jej serca, wyczuwał, jak płuca przy wdechu wypełniają się powietrzem.

Zaryzykowałem. Podszedłem bliżej i ostrożnie położyłem ręce na jej ramionach. Uniosła głowę, a kiedy spojrzały na mnie pełne blasku szmaragdowe oczy, moje serce wykonało jedyny w swoim rodzaju podskok. A mój smok wydał pomruk świadczący o tym, że ma wielką ochotę obudzić się do życia, rozwinąć skrzydła i otulić nimi nas oboje, Ember i mnie.

– Chodź z nami, Firebrand. Ty nie pasujesz do Talonu, nie jesteś jedną z nich – powiedziałem, spoglądając jej prosto w oczy, w których widziałem spojrzenie smoczy, spojrzenie prowokujące, pełne zapału, co zmobilizowało mnie do wyznania bardzo osobistego: – A poza tym podejrzewam, że już od dawna czujesz, że coś jest... inaczej. I wcale nie chodzi o Talon...

Zadrzała, więc zabrałem ręce. Wtedy odsunęła się ode mnie, ale tylko o krok.

– Riley, ja...

– Nie udawaj, Firebrand!

Znów przyciągnąłem ją do siebie, a ona oparła ręce o moją klatkę. Kiedy ciepło jej palców przeniknęło przez bawełnę T-shirtu, moje serce znowu zwariowało, także głos, zdecydowanie jakby obcy, dziwnie zgrzytliwy:

– Nie udawaj, Firebrand. Przecież to jasne, że coś między nami jest. Ty coś czujesz, i ja też od tej pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię na parkingu.

Znów zadrżała jak liść, ale też i nie zaprzeczała. Przeciwnie, odniosłem wrażenie, że chyba się odprężyła. Może dlatego, że zdała sobie sprawę, że ten fakt, o którym wspomniałem, jest dla mnie równie kłopotliwy, jak dla niej. Po sekundzie jednak potrzaskała nieznacznie głową i leciutko odepchnęła się od mojej piersi.

– Nie... – wymamrotała, spuszczać głowę. – Nie, nie mogę tego zrobić.

Próbowała odepchnąć się na dobre, ale przeszkodziłem jej w tym, łapiąc ją mocno za nadgarstki. Mój smok, sfrustrowany jej reakcją, wydawał cichy pomruk, a Ember przyciągnąłem do siebie bardzo blisko i pochyliwszy się, zaszeptąłem wprost do ucha:

– Jeśli to nieprawda, powiedz. Spójrz mi w oczy i powiedz, że niczego nie czujesz. Wtedy cię puszcze i możesz wracać do swoich opiekunów, do Talonu i ukochanej instruktorki. Nigdy więcej już mnie nie zobaczysz, ale przedtem musisz powiedzieć mi prosto w twarz, że między nami nic się nie dzieje, po prostu tylko to sobie wyobraziłem.

Przestała się szarpać, nadal jednak umykała spojrzeniem.

– Riley, mogę powiedzieć ci tylko jedno. Za każdym razem, kiedy cię widzę, mam wrażenie, jakbym zaraz miała wybuchnąć. I to mnie przeraża...

– Dlaczego? Przecież to jeszcze jeden dowód, że coś między nami jest, że należymy do siebie.

– Może... Ale przede wszystkim chodzi o to, że nie mogę iść z wami. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego?! – Puściłem jej rękę i złapałem za ramiona, nachylając się, by spojrzeć jej w oczy. – Będę cię chronić, Firebrand. Przy mnie będziesz bezpieczna, przysięgam. Czego się boisz? Przecież tutaj nic ciebie nie trzyma!

– Trzyma – szepnęła i wreszcie podniosła głowę. – Dante. Nie mogę go zostawić.

Brat. No tak... Całkiem wyleciał mi z głowy!

– Ember... – zacząłem jak najłagodniej. – Twój brat z nami nie pójdzie. Jest całkowicie oddany Talonowi. Widziałem go przecież na tej imprezie. Przejrzałem go. Jestem prawie pewien, że jeśli powiesz mu, gdzie jesteśmy, od razu poinformuje o tym Talon. Albo jeszcze lepiej, natychmiast poleci z tym do Lilith! Nie, jeśli chodzi o niego, to wolę nie ryzykować.

– Ale on pójdzie z nami, Riley. Wiem, że to zrobi. Porozmawiam z nim, powiem, jaki Talon jest naprawdę. Dante na pewno mnie wysłucha!

Nie odezwałem się, ale wątpliwości na pewno miałem wypisane na twarzy, bo spojrzenie Ember stwardniało. I odstąpiła o krok.

– Bez niego nie ruszam się stąd, Riley. Dante i ja zawsze byliśmy razem, zawsze. Dlatego powinnam przynajmniej postarać się go przekonać.

Jej upór doprowadzał mnie do rozpacz. Ale cóż...

Westchnąłem.

– Nie ustąpisz?

Pokręciła przecząco głową.

– A więc dobrze, pogadaj z nim, powiedz, jak to wszystko wygląda. A my wyruszamy już dziś wieczorem. Nie możemy tu zostać, to zbyt niebezpieczne dla Nettle i Remy’ego. Jeśli chodzi o mnie, to mogę walczyć, starać się odeprzeć atak, ale pisklaki to co innego, a ja obiecałem, że zagwarantuję im bezpieczeństwo.

– Zróbmy więc tak. Daj znać, kiedy dotrzecie do nowego miejsca, i będziemy w kontakcie. Przekonanie Dantego może mi zająć trochę czasu, dzień, może dwa. Poza tym będę chciała pożegnać się z kilkoma osobami. A potem do ciebie zadzwonię i umówimy się.

Wyraźnie posmutniała, co natychmiast obudziło we mnie pewne podejrzenia. Byłem zbiegiem nie od wczoraj, często przenosiłem się z miejsca na miejsce i doskonale wiedziałem, jak czasami trudno z czymś lub kimś się rozstać. Czyżby Ember aż tak bardzo przywiązała się do Crescent Beach, do swoich przyjaciół, do swego dotychczasowego życia, że nie będzie chciała tego porzucić? Mimo że już wie, jaki Talon jest naprawdę... A może chodzi o jedną osobę? No tak! Wiadomo o kogo! O tego chłopaka z imprezy, tego, z którym tańczyła, do którego się uśmiechała. Którego prawie pocałowała!

Nic dziwnego, że z wielkim trudem stłumiłem pomruk bardzo groźny.

– Firebrand, nie bardzo mam ochotę zostawiać cię tu i czekać, aż się ze mną skontaktujesz. Kto wie, czy po prostu nie zmienisz zdania. A może już zdecydowałaś na „nie”?

– Ależ skąd! – zaprzeczyła, podrywając głowę. – To nie tak! Przecież absolutnie nie zamierzam zostać Żmiją! Absolutnie!

Gdy urwała na moment, zauważyłem, że zacisnęła pięści i bardzo głęboko nabrała powietrza.

– Nie mogę zostać w Talonie, skoro dowiedziałam się takich rzeczy. Nie mogę – wyszeptała żarliwie. – I tu nie chodzi o zasady, o wredną instruktorkę, nawet nie o to, że nigdy bym nie mogła żyć po swojemu. Przede wszystkim dlatego, że musiałabym zabijać inne smoki, a to dla mnie wystarczający powód do zerwania z Talonem. Ale... – Głos Ember zadrżał, po twarzy przemknął cień. – Jak już ci mówiłam, chcę pożegnać się ze znajomymi. Bardzo by się niepokoiли, gdybym tak nagle rozplynęła się w powietrzu. Nic więc dziwnego, że chcę się z nimi pożegnać... Zwłaszcza

z pewną osobą... Tak... A potem ja i Dante dołączymy do was i opuścimy Talon na dobre.

Skończyła. Wtedy podszedłem do niej bardzo blisko, tak blisko, że widziałem w jej oczach swoje odbicie.

– Dobrze. Ale obiecaj mi, Firebrand, że się zobaczymy. Przysięgnij.

– Przysięgam – odparła prawie szeptem, patrząc mi prosto w oczy.

Oboje staliśmy nieruchomo. Oboje nad jedyną w swoim rodzaju przepaścią, bojąc się zrobić ten jeden jedyny krok. A może nie, może zbierając się na odwagę przed rzucając się w tę przepaść. Moje serce narzuciło sobie wręcz wariackie tempo, nie do zniesienia.

Dlatego zrobiłem ten pierwszy krok. Wziąłem Ember za rękę i przyłożyłem je do serca.

– Spraw, bym ci uwierzył, Firebrand.

Koniuszkiem języka powiodła po wargach.

– Riley...

I wtedy zawyły wszystkie alarmy.

## EMBER

Wycie alarmów nagle rozdarło ciszę. Oczywiście podskoczyłam, a moja smoczyca, też wystraszona, była o krok od wydostania się z mojej skóry, do czego oczywiście nie dopuściłam. Z jednej strony byłam wdzięczna losowi za ten przerywnik, za to wycie, które wybawiło mnie z sytuacji bardzo niezręcznej. Ale ta ulga to był moment, bo kiedy wyją alarmy, czuje się przede wszystkim niepokój.

Zrobiłam kilka nerwowych kroków w tył i spojrzałam w sufit. Riley natomiast w tył odskoczył, zaklął i pognał na górę, zostawiając mnie samą. Nie, nie samą, bo okazało się, że Nettle i Remy są w korytarzu. Widziałam ich przez otwarte drzwi. Stali i patrzyli, jak Riley gna po schodach. Potem spojrzeli na mnie, ja na nich i razem wbiegliśmy na schody, gnając w ślad za Rileyem do jednego z pokoi, gdzie on już był. I Wes. Wpatrzeni w ekran stali przed otwartym laptopem.

– Co się stało? – spytała Nettle. – Czy ktoś się pojawił?

Wes i Riley nie odezwali się, całkowicie pochłonięci tym, co widzą na ekranie. Ja też chciałam to zobaczyć, dlatego podeszłam bliżej i wyciągając szyję, spojrzałam ponad ramieniem Rileya na ekran, teraz czarno-biały, na którym widać było podjazd. Widać było też motocykl Rileya zaparkowany z boku. I nic więcej... Do czasu, bo nagle... Czułam, jak plecy Rileya sztywnieją. Ja też zeszywniałam, kiedy na ekranie pojawiła się brązowa ciężarówka dostawcza i zatrzymała się jakieś sto pięćdziesiąt metrów przed drzwiami frontowymi.

– A niech to szlag! – zaklął Wes, siadając ciężko na krześle. – Te gnojki, jak zgubią drogę, zawsze wykręcą na naszym podjeździe. A ja omal nie dostałem ataku serca!

Potrząsnął głową i rzucił w stronę ekranu:

– GPS, koleś! Korzystaj z tego! Pokochaj!

– Ale oni wcale nie odjeżdżają! – warknął Riley, nie odrywając oczu od ekranu.

– Co?!

Wes natychmiast podjechał z krzesłem do laptopa i nachylił się do ekranu. Wszyscy wlepiliśmy w ten ekran oczy i wszyscy, niewątpliwie wstrzymując oddech, patrzyliśmy na samotną ciężarówkę na podjeździe. Przez krótką chwilę nie działo się nic, a potem nagle drzwi ciężarówki otwarły się i wyskoczyło z niej kilku mężczyzn. A mi serce podskoczyło do gardła. Bo wszyscy ci mężczyźni byli uzbrojeni. Wyglądali jak żołnierze na manewrach. Mieli hełmy, maski wojskowe zasłaniające całą twarz i broń. A ja czułam, że

to żadne manewry, a karabiny wcale nie są naładowane farbą.

Nie można było mieć żadnych złudzeń. Przyjechał Święty Jerzy.

– Kurde! – wrzasnął Wes i zerwał się z krzesła, wywracając je na podłogę. – Już po nas! Przecież to te pieprzone dranie od Świętego Jerzego!

– Zamknij się! – warknął Riley.

Nettle wydała z siebie przeraźliwy okrzyk, Remy rzucił się do drzwi, a Riley zagrzmiał:

– Remy! Stój! Nettle! Cicho bądź! Stać i słuchać mnie uważnie!

Oba pisklaki zamarły, wlepiając w Riley'a oczy.

– Nie wolno wpadać w panikę! Idziecie za mną, robicie, co każę, i wszystko będzie dobrze – powiedział, a jego złociste spojrzenie, surowe, pełne determinacji, przemknęło ku mnie. – Przysięgam, że wyjdziecie z tego żywi!

– Riley, oni otaczają dom! – zawołał Wes, błyskawicznie zamykając laptopa i wsuwając go do torby. – Ruszaj na nas gdzieś tak za dwadzieścia sekund!

– Wes! – zagrzmiał znów Riley. – Bierzesz pisklaki, idziecie do największej sypialni i wychodzicie na balkon. Stamtąd wystartujecie, bo na pewno obstawili wszystkie wyjścia z domu, poza tym mają co najmniej jednego snajpera, który obserwuje dom od frontu. Nettle i Remy! Zrobicie to, o czym już rozmawialiśmy. Startujecie z balkonu i lecicie na punkt zborny. Zanim będziecie mogli skryć się za klifami, musicie przelecieć kawałek nad otwartym terenem. Pamiętajcie, macie lecieć nisko, nie środkiem, ale trzymać się skał, i macie nie panikować, jeśli będą do was strzelać. Bardzo trudno trafić w ruchomy cel, nawet Święty Jerzy ma z tym trudności. Dlatego suniecie do przodu, trzymając się skalnej ściany, jasne? Wes, pamiętasz, dokąd lecieć? Doprowadzisz ich tam?

– Jasne – burknął, wsuwając torbę z laptopem na ramię. – O ile te gnojki mnie nie zestrzelą...

– Nie zatrzymujcie się, dopóki nie dotrzecie do jaskini, w której ukryte są pieniądze i zapasy. Tam zaczekacie na mnie. Gdyby nie udało mi się dotrzeć, uciekacie jak najdalej stąd. I pamiętajcie, macie trzymać się razem!

Cała trójka pokiwała głowami. Nettle niewątpliwie była na granicy hysterii, ale Remy był już spokojniejszy.

– Zabierajcie się stąd, Wes – powiedział Riley. – A ja postaram się ich tu czymś zająć, żeby nie mieli czasu do was strzelać.

Wes z ponurą miną pokiwał głową.

– Bądź ostrożny, Riley. Nie daj się zabić.

Wes i pisklaki pobiegli korytarzem.

– Ember! Ty oczywiście też! – zawołał do mnie Riley już w drzwiach pokoju. – Na co czekasz? Biegnij z Wesem!

– Nie, Riley. Nie zostawię cię samego.

I pognałam za Rileyem w stronę pokoju dziennego, chociaż instynkt darł się ogłuszająco, że powinnam biec w drugą stronę.

Riley też się wydarł, łapiąc mnie za ramię:

– Do cholery! Ember! To nie jest trening! To Święty Jerzy! Zabiją cię!

Potem pełna napięcia cisza, a po sekundzie usłyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła i przez okno wleciało coś niewielkiego, coś, za czym podążał oślepiający snop światła. Kolejna sekunda, potworny huk i całym domem wstrząsnęło. A mnie odrzuciło w bok w tej samej chwili, gdy drzwi frontowe otwarły się na oścież i do środka wkroczyło trzech zamaskowanych i uzbrojonych po zęby żołnierzy, którzy celowali prosto w nas.



## GARRET

Podczas walki jest tak, że raptem wszystko nabiera tempa, jednocześnie zwalniając.

Drzwi otwarły się, kiedy dałem im kopa. Wpadliśmy do środka, M4 wycelowane. Błyskawicznie zlustrowałem wzrokiem niebrzydki i za niezłą kasę urządzony pokój, i kątem oka zauważyłem, że z prawej strony coś się poruszyło. Ktoś przykucnął za kuchennym kontuarem. Otworzyliśmy ogień. Trzy ostre serie wypełniły cały pokój jazgotem karabinów, dymem i brzękiem tłuczonego szkła i porcelany. Odłamki marmuru i kawałeczki drewna posypały się na podłogę, a my strzelaliśmy, podchodząc do kuchni, maksymalnie skoncentrowani na naszym celu.

– Nie!

Kiedy usłyszałem ten rozpaczliwy okrzyk dobiegający gdzieś z korytarza, błyskawicznie zrobiłem w tył zwrot i tam skierowałem broń. Palec na spuście i...

I zamarłem.

Ember. Nieduża Ember. Teraz widziałem tylko ją, tylko zielone oczy, przerażone, wlepione we mnie. Karabin zadrżał w moim ręku. Zawahałem się tylko na mgnienie oka, ale to wystarczyło, by...

Nie wierzyłem własnym oczom. Kiedy dziewczyna, z którą całowałem się, która uczyła mnie surfować, grać w gry wideo, która śmiała się ze mnie, nagle cofnęła się, wydając z siebie groźny ryk, i... znikła, a z jej znikającego ciała wyprysnęły skrzydła, purpurowe łuski i szpony. Wtedy dotarło do mnie, że popełniłem błąd. Wycelowałem, ale o ułamek sekundy za późno, bo z paszczy czerwonego smoka wydobył się złowieszczy płomień. Podłoga, meble, wszystko natychmiast stanęło w ogniu, a nieprawdopodobny żar smoczego ognia przenikał przez wszystkie warstwy ochronne mojego munduru. Błyskawicznie rzuciłem się w bok i przetoczyłem za kanapę, która oczywiście też się już paliła. Przykłęknąłem i teraz ja otworzyłem ogień. Czerwony smok zapiszczał chyba ze strachu i wycofał się na korytarz. A ja strzelałem. Grad kul znaczył drzwi, framugi, ze ścian sypały się kawałki tynku.

I wtedy znowu usłyszałem ryk. Spoza kontuaru wynurzył się drugi smok, niebieski, dużo większy od czerwonego, i tak jak czerwony zionął ogniem, zmieniając elegancki pokój w piekło. Języki ognia lizały ściany i podłogę, a on dalej systematycznie przekręcał łeb, po prostu podpalając wszystko. Żar był nieludzki. Dym kłuł w oczy, prawie nic nie widziałem. Ale kiedy wśród tego dymu i ognia mignęły niebieskie łuski, wysunąłem się z ukrycia i posłałem kilka serii. Trafiłem, bo wyraźnie wśród tego huku usłyszałem ryk bólu,

a potem wściekłości. Nie byłem pewien, czy ryczał ten niebieski, czy czerwony, w każdym razie czerwony nagle znów się objawił. Stał na tylnych łapach i zionął na kanapę. Kiedy przypadłem do podłogi, by uniknąć nowej fali ognia, oba smoki rzuciły się do przeszklonych drzwi prowadzących na balkon. Wtedy oczywiście błyskawicznie zerwałem się na równe nogi i wycelowałem. Ale niebieski smok już przedostał się przez drzwi, rozbijając szkło w drobny mak, i rzucił się do bariery. Czerwony tuż za nim.

Ja też rzuciłem się do przodu, za mną koledzy, wiedzieliśmy przecież, że kiedy wzbiją się w powietrze, wtedy trafienie jest prawie niemożliwe. Biegliśmy za nimi. Ja pierwszy przeskoczyłem przez pustą framugę i uniosłem karabin w chwili, kiedy ten mniejszy, czerwony, już odrywał się od balustrady, już wzbijał się w powietrze.

Dobiegliśmy do barierki. Koledzy nadal strzelali, ale smoki oddalały się. Leciały w kierunku klifów. Mknęły bardzo szybko i już po chwili znikły za skałą.

## RILEY

– Cobalt!

Słyszałem za sobą krzyk Ember, zanikający wśród szumu wiatru i huku fal uderzających o skały. Krzyk rozpaczliwy, ale nie reagowałem, skoncentrowany całkowicie na machaniu skrzydłami i utrzymaniu się w powietrzu. Nie mogłem się zatrzymać, absolutnie nie, bo nie byłem pewny, czy dam radę ponownie oderwać się od ziemi.

Lecieliśmy wzdłuż skalnych ścian co najmniej kilka kilometrów, aż skały zaczęły stawać się niższe, a na koniec zmieniły się w skalisty brzeg. Teoretycznie łatwo nas tu było zauważyć, ale w praktyce nie miał kto, bo było to miejsce bezludne. Żadnej plaży ani przystani, nikt nie surfował. Ludzie bardzo rzadko się tu pojawiali, dlatego wybrałem to miejsce.

Zszedłem niżej, lecąc teraz tuż przy brzegu, póki nie dojrzałem tego, czego szukałem. Jasnej plamy piasku w cieniu skalnej ściany, plamy zbyt małej, by służyć jako plaża, nawet prywatna.

Gdy szpony dotknęły piasku, resztki sił wyparowały ze mnie. Osunąłem się na ziemię, tuż nad wodą, gdzie dobroczynne fale omywały rozpaloną głowę. Z dwóch dziur nad żołądkiem wypływały dwa strumienie czerwonej krwi. Trafili mnie dwa razy, na szczęście rany nie były groźne, raczej draśnięcia, bo ta część mojego ciała jest dobrze opancerzona. Niemniej były to rany i porządnie zapiekło, kiedy przetaczała się po nich kolejna porcja słonej wody. Nie zajęczałem tylko dlatego, że mocno zacisnąłem zęby. I całe szczęście, że byłem cicho, bo na brzeg wychodziła już Ember z rozłożonymi skrzydłami i niekłamanym lękiem w oczach. Słońce odbijało się w purpurowych łuskach o metalicznym połysku, przerażone oczy były jak dwa szmaragdy. Po raz pierwszy od pamiętnego nocnego lotu nad klifem widziałem Ember w jej naturalnej postaci. Dlatego, choć bardzo bolało, krew w moich żyłach zaczęła krążyć szybciej.

– Cobalt! Postrzelili cię!

– Nie da się ukryć – burknąłem i wbiłem szpony w piach, bardzo żałując, że nie jest to gęba tego, co mnie postrzelił. – Jeden z tych drani trafił mnie, ale nie jest tragicznie. Tylko tak groźnie wygląda.

Złożyła skrzydła, podeszła bliżej i delikatnie przesunęła moje skrzydło na bok, by spojrzeć na rany. Ja patrzyłem na nią, teraz praktycznie owinięty wokół niej, i walczyłem ze sobą, bo tak bardzo mi się chciało przyciągnąć Ember do siebie i otulić nas oboje moimi skrzydłami.

– Byłaś wspaniała – powiedziałem półgłosem. – Śmiało patrzyłaś w oczy tym draniom, nie wycofałaś się. Byłabyś świetną Żmiją!

– Przestań! Było całkiem na odwrót. Strasznie się bałam i za nic w świecie nie chciałabym po raz drugi czegoś takiego przeżywać! – Zadrżała, odsunęła się troszkę ode mnie i dokończyła prawie szeptem: – Oni naprawdę chcieli nas zabić. Powiedz, dlaczego tak nas nienawidzą? Przecież nic złego im nie robimy.

– Odpowiedź znasz, Ember... – Na moment zamilkłem, przymykając oczy, ponieważ po moim brzuchu przetaczała się nowa fala. Znów zabolęło jak diabli, ale to nic, najważniejsze, że woda oczyszcza ranę. – Talon przecież wyedukował ciebie, tak jak mnie. Nienawidzą nas, bo jesteśmy inni, a ludzie zawsze boją się kogoś, kogo dobrze nie rozumieją. Oczywiście nasi przodkowie nie bez przyczyny budzili wrogość, skoro potrafili spalić całe miasto i wyzreć wieśniakom cały inwentarz. A może ta wojna zaczęła się wtedy, kiedy pierwszy pogromca zabił swego pierwszego smoka, zabił, bo połakomił się na smoczy skarb? W każdym razie ludzie walczą ze smokami od stuleci i ta wojna prędko się nie skończy. O ile w ogóle. Chyba że jedna strona wykończy drugą. Totalnie. A biorąc pod uwagę, ilu ludzi jest na planecie, nie ma co się ludzić.

Ember potrząsnęła głową i wyraźnie oburzona rozdęła nozdrza.

– Przecież to bez sensu! Czy nikt nigdy nie próbował usiąść razem, pogadać...

Pogadać! Z kim?! Oczywiście, że ryknąłem śmiechem, jednocześnie krzywiąc się, bo od śmiechu też zabolęło porządnie.

– Przecież widziałas, jacy są ci żołnierze z Zakonu Świętego Jerzego. Masz ochotę z nimi pogadać? Bardzo proszę, ale nie rób sobie nadziei. Kiedy będziesz od nich jakieś sto metrów, już zaczną do ciebie strzelać.

Rzuciła mi gniewne spojrzenie, a ja uniosłem głowę, dzięki czemu moja paszcza znalazła się na tej samej wysokości co jej.

– Z fanatykami nie dogadasz się, Ember. Zakon Świętego Jerzego nienawidzi nas, bo jesteśmy smokami. Uważają nas za potwory, które trzeba wybić co do nogi.

Szmaragdowe oczy patrzyły prosto w moje oczy, rozpalając we mnie płomień. Gdybyśmy byli w ludzkiej postaci, na pewno czułbym do niej pociąg, ale ludzkie pożądanie nie ma co się równać z tym, co w takich sytuacjach dzieje się w smoku. Bardzo trudno to stłumić. Jakoś mi się jednak udało i całe szczęście, bo czas naglił. Zaciskając zęby i wciąż posykując z bólu, zacząłem podnosić się z ziemi. Ember natychmiast podparła mnie, starając się pomóc.

– Cobalt, po co wstajesz? Lepiej by było, gdybyś jeszcze trochę...

– Nie, bo nie możemy tu zostać. Zbyt wielkie ryzyko. W każdej chwili mogą nas nakryć ci z Zakonu. Musimy jak najszybciej dotrzeć do Wesa i pisklaków.

Miejmy nadzieję, że uda mi się dolecieć...

Zaciskając zęby, pokuśtykałem plażą, klnąc w duchu, bo szpony zapadały się w piasek, co bardzo utrudniało ten mój żaloszny marsz. Ember szła obok, starając się osłaniać mnie przynajmniej z jednej strony.

– Na szczęście jestem przygotowany na tego rodzaju okoliczności – oznajmiłem, kiedy doszliśmy do tego właśnie miejsca, gdzie u podnóża skały leżał stos gałęzi i drewna wyrzuconego przez morze. Kiwnąłem głową i Ember odsunęła na bok gałęzie, odkrywając plastikową skrzynię, w której było ubranie, nowy portfel z fałszywym dokumentem tożsamości, pieniądze, komórka jednorazówka i podręczna apteczka pierwszej pomocy.

Ember, naturalnie, była tak zaskoczona, że trudno się było nie uśmiechnąć.

– Jak już mówiłem, Firebrand, nie po raz pierwszy zmieniam lokum. Dlatego podstawową rzeczą, jakiej musi nauczyć się smok zbieg, to wbić sobie do głowy, że zawsze trzeba mieć plan B.

Na pewno powiedziałbym więcej, gdybym nagle nie przechylił się w tę stronę, co nie trzeba, w konsekwencji czego jedna z moich nóg odmówiła posłuszeństwa. Syknąłem, próbowałem jako tako stanąć, ale nadaremnie, w związku z czym wybrałem alternatywę. Po prostu osunąłem się na chłodny suchy piasek.

Natychmiast zobaczyłem nad sobą pełne niepokoju oczy Ember. Pięknej, odważnej Ember, która dla mnie już była jak moja druga połowa. I tym razem nie mogłem się powstrzymać. Moje skrzydła rozłożyły się same, jedno z nich wsunęło się za Ember, przyciągnęło ją do mnie i oba skrzydła zamknęły się, otulając nas oboje. Zaskoczona, a może nawet wystraszona Ember szarpnęła się w tył, ale zahaczyłem szpony o jej łuski i przyciągnąłem ją do siebie bliżej. Przez moment wyczuwałem jej opór, potem jednak coś tam mruknęła i... I jednak! Przyłgnęła do mnie, owijając szyję wokół mojej, a ja poczułem w sobie już taki płomień, że trawił mnie całego. Zamknąłem oczy, pragnąc ponad wszystko przyciągnąć ją jeszcze bliżej, razem z nią wic się i splatać w tym piasku, a nasze skrzydła i ogony będą drzeć, bić o ziemię, młócić powietrze. Póki nie staniemy się jednością.

Ember syknęła i jednym zdecydowanym ruchem wydobyła się z moich objęć, z tego kokonu ze skrzydeł. Ember, której wygląd świadczył, że jest wystraszona. Dlaczego? Bo pożąda tak samo jak ja. Skrzydła rozłożone i powiewające, źrenice rozszerzone, nozdrza rozedrgane. I to wcale jej się nie podobało, bo potrząsając głową, cofnęła się jeszcze o parę kroków. Wyglądało to tak, jakby miała zamiar wzbić się w powietrze i uciec.

– Cobalt, ja nie...

– Nie, Firebrand! Nic mi już nie tłumacz i nie walcz ze sobą, bo sama dobrze

wiesz, że należymy do siebie.

– Ale jak to mogło się stać? Przecież prawie się nie znamy!

Miała wątpliwości, jak człowiek...

– Co z tego? Nie jesteśmy ludźmi, Firebrand – powiedziałem szybko, potem zniżyłem głos, dalej mówiąc już po naszymu, po smoczemu, i bardzo łagodnie: – To tylko instynkt. Po prostu. Ludzkie uczucia nie mają z tym nic wspólnego. Dlatego nie zwalczaj tego w sobie. I nie walcz ze mną.

Nadal wahała się, nadal czujna i niepewna, dlatego wydałem z siebie pomruk oznaczający wielkie niezadowolenie. I na tym koniec. Dałem sobie spokój, przecież nie takie sprawy były teraz najważniejsze, lecz przekonanie Ember, by dołączyła do nas.

– Firebrand, po tym, co się wydarzyło, sama widzisz, że nie możesz tu zostać. Święty Jerzy nie przestanie nas szukać, bo te dranie są wyjątkowo uparte. Tu, w Crescent Beach, nigdy nie będziesz bezpieczna, tak samo jak twój brat.

Ember drgnęła.

– Dante... O nie! Przecież on nie wie, że żołnierze z Zakonu tu węszą! Muszę wrócić do domu i porozmawiać z nim. Przecież on nie może tu zostać!

Patrzyła tak błagalnie. Cóż miałem zrobić? Tylko to. Westchnąłem, wypuszczając z siebie obłoczek dymu, i skinąłem głową. W porządku, niech pogada z bratem. Najważniejsze, że jest już gotowa pójść z nami.

– Dobrze. Porozmawiaj z nim, a wieczorem spotykamy się w punkcie zbornym i znikamy stąd.

– Ale gdzie jest ten punkt zborny?

– Zadzwoń do ciebie i ci powiem. Teraz nie. Chodzi o to, że gdyby jednak mnie nakryli, może się zdarzyć, że będą czekać na innych. I pojawisz się ty, rozumiesz? Dlatego lepiej, żebyś nie wiedziała. Zadzwoń, kiedy wszystko będzie w porządku. A ty po prostu bądź gotowa i czekaj na mój telefon.

– A co z tobą? Jak to teraz będzie?

– Dam sobie radę! – Uśmiechnąłem się i trąciłem ogonem skrzynkę, w której leżała komórka jednorazówka. – Zadzwoń do Wesa, żeby mnie stąd odebrał. Oczywiście zakładam, że on i pisklaki bez przeszkód dotarli do naszej kryjówki.

– Przecież jesteś ranny, Cobalt. Nie mogę cię tak zostawić.

– Nic mi nie będzie, Firebrand. Uwierz mi, bywałem w gorszych opalach. Mój przyjaciel haker nie raz już mnie ratował. Skutecznie, chociaż nie jest przyjemnie podczas akcji ratowniczej słuchać tych jego przekleństw. A one nie schodzą mu z ust! Najważniejsze, Firebrand, jest to, co w kółko powtarzam. Musimy zniknąć jak najprędzej. Będziemy na was czekać, ale

pamiętaj, jeśli nie zjawicie się przed północą, będziemy musieli odejść bez was.

– Dobrze. – Skinęła głową. – Mamy tam być przed dwunastą. I będziemy. Riley, polecę już. Zobaczymy się za kilka godzin. Uważaj na siebie!

I wtedy znów nie mogłem się powstrzymać. Podeszedłem do niej – to znaczy dokuśtykałem – i wsunąwszy pysk pod jej brodę, przymknąłem oczy i wyszeptałem:

– Ty też. Też uważaj na siebie...

Owszem, spojrzała na mnie, ale z tego spojrzenia niczego nie można było wyczytać. Więc już bez słowa odsunąłem się na bok, starając się zrobić to w miarę zręcznie, a potem to już tylko patrzyłem, jak Ember odchodzi, czując się przy tym tak, jakby zabierała ze sobą kawałek mnie samego. Stała tuż nad wodą, rozpostarła skrzydła i na moment znieruchomiała. Piękny purpurowy smok na tle słońca, z rozłożonymi skrzydłami rzucającymi cień na jasny piach. Niczego teraz bardziej nie pragnąłem, jak dobiec właśnie tam, też rozłożyć skrzydła i pofrunąć za purpurowym pisklakiem w stronę zachodzącego słońca. Oczywiście udało mi się zapanować nad sobą, a Ember dwa razy machnęła skrzydłami, wzbijając fontanny z morskiej piany i przybrzeżnego piasku, i oderwała się od ziemi. Była coraz wyżej, Ember smok z purpurowymi łuskami złożonymi słońcem. Przefrunęła ponad klifem i znikła w błękicie nieba.

## EMBER

Nie poleciałam daleko. Przeleciałam tylko nad klifem, za którym była droga do miasta, i wylądowałam. Tam schowałam się za stertą wielkich kamieni i szybko wróciłam do ludzkiej postaci. Miałam na sobie tylko ten superobcisły kombinezon, byłam na bosaka, bez komórki i centa przy duszy, oddalona od znanej mi okolicy o dobrych kilka kilometrów. Żałowałam, że nie mogę tam polecieć, ale było to wykluczone, zwłaszcza teraz, kiedy Święty Jerzy grasował po mieście, wkroczywszy na wojenną ścieżkę. Dlatego absolutnie należało stąd zniknąć, tym bardziej że jeden z tych żołnierzy widział mnie przed Przemianą i wie już, jak wyglądam jako człowiek. Dlatego nie ma co się ludzić. Jeśli znowu spotkam ich na swej drodze, to już po mnie.

Na drodze wreszcie pojawił się samochód. Biała toyota camry z przyciemnionymi szybami. Ze środka dobiegała bardzo głośna muzyka, po prostu łomot, dlatego wystawiłam rękę bez entuzjazmu. A on, ten debil w toyocie, nawet nie zwolnił, tylko złośliwie nacisnął klakson i dalej do przodu. W związku z czym wywaliłam język z nadzieją, że zauważył w lusterku, a także przez sekundę upajałam się słodką wizją, że oto jadę już sobie elegancko w miłym towarzystwie, mijając po drodze białą toyotę camry stojącą na poboczu. Bo niestety złapała gumę.

Spojrzałam na ocean, o zachodzie skrzący się czerwienią. I znów na drogę, a tam pusto, czyli nie ma co dalej czekać i trzeba zasuwać na piechotę. Ruszyłam przed siebie nie za szybkim truchtem, oddalając się konsekwentnie od klifów, od plaży, od Cobalta.

Cobalt... Riley... Ta chwila, kiedy tam, na plaży, raptem przyciągnął mnie do siebie, głęboko zapadła mi w pamięć. Nie miałam pojęcia, co o tym wszystkim sądzić, chociaż moja smoczyca żadnych tego rodzaju wątpliwości nie miała. A skąd! Zdecydowanie miała wielką ochotę zawrócić, polecieć z powrotem do Riley'a i nie ruszać się stamtąd na krok.

Niestety, oprócz Riley'a był jeszcze ktoś, pewien chłopak, którego niewątpliwie nigdy więcej już nie zobaczę. Kiedy pomyślałam o nim, w sercu zakłuło i miotały mną najprzeróżniejsze uczucia, między innymi wyrzuty sumienia, że tak raptem teraz muszę go zostawić. Przykro, chociaż od początku było wiadomo, że czasu mamy niewiele, bo kiedy lato dobiegnie końca, i tak się rozstaniemy. I będę za nim okropnie tęsknić. Tak miało być, a tymczasem muszę pożegnać się z nim i tak o wiele wcześniej. Nie tylko z nim. Także z Lexi i Calvinem, z surfingiem i oceanem, czyli ze wszystkim, co pokochałam w Crescent Beach. Moje lato definitywnie dobiegło do końca...

Nagle gardło coś ścisnęło, serce też, a pod powiekami tak dziwnie zapiekło.



Co jest? Czyżby... Ach, nieważne! Nieważne. Potrząsnęłam głową i pobiegłam szybciej, starając się już nie myśleć o Garrecie, w ogóle o tym wszystkim. Także o tym, że ja, smok, jestem bliska łez! Ale nie mogę tu zostać, to jasne. Teraz najważniejsze to dopaść brata i razem z Rileyem opuścić miasto, zanim pochwyci nas Święty Jerzy.

Słońce już zaszło. Kiedy wbiegłam na chodnik prowadzący do willi wuja Liama, już zmierzchało i na niebie zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy. Biegłam ze ściśniętym sercem. Przecież miałam wejść do tej willi po raz ostatni...

Na podjeździe brakowało jednego z samochodów, czyli może dopisało mi szczęście i moich opiekunów nie ma w domu. Oby tak było! Ale i tak muszę się pośpieszyć, skoro teraz, kiedy Święty Jerzy jest już w Crescent Beach, liczy się każda minuta. Obiecałam Rileyowi, że gdy tylko przekaże mi, gdzie mam się stawić, zaraz tam będę. I tego trzeba się trzymać.

Dantego nie było ani w pokoju dziennym, ani w kuchni, ale w szparze pod jego drzwiami było jasno, poza tym słychać było muzykę. Czyli w domu jest. Świetnie! Pomknęłam korytarzem i załomotałam w drzwi. Po chwili otworzyły się i w progu stanął mój brat, wyglądający normalnie, czyli w podkoszulku i czarnych szortach. Ja natomiast, w czarnym kombinezonie, na bosaka i zadyszana wyglądałam raczej nienormalnie, nic więc dziwnego, że brat spochmurniał.

– Ember, coś się stało? I dlaczego chodzisz w takim dziwnym ubraniu?

– Dante! Święty Jerzy jest tutaj! – krzyknęłam i brwi Dantego natychmiast znalazły się prawie w połowie czoła. – Namierzyli nas! Musimy uciekać z miasta! Jak najszybciej!

– Zaraz! Chwila! – Chwycił mnie za nadgarstki, wciągnął do pokoju i trzasnął drzwiami. – Święty Jerzy? A skąd wiesz, że oni tu są? Talon nie przekazywał na ten temat żadnej informacji, a wiadomo, że gdyby faktycznie tak było, od razu by nas zawiadomili.

– Ale oni są! Widziałam ich na własne oczy! Mało tego! Strzelali do mnie! Kiedy byłam z Rileyem, kilku tych drani rozwalilo drzwi...

– Z Rileyem?! – Dante znacząco przymrużył oczy. – Znowu widziałas się z tym zbiegiem, czyli już kompletnie padło ci na mózg! Gdzie się z nim widziałas? U niego w domu?! Nic dziwnego, że Święty Jerzy tam się pojawił. Przyszli po niego, a ty tam byłaś. Miałaś szczęście, że cię nie zabili!

– Tak, miałam. Niewiele brakowało, a załatwiliby nas oboje, Riley'a i mnie. Ale zanim to się stało, pogadałam z Rileyem. Wiesz, dowiedziałam się wielu bardzo ciekawych rzeczy o Talonie...

– Od Riley'a? W takim razie wiadomo, że wszystko, co powiedział, to

zwyczajny kit. Bo każdy zbieg to przestępca i zdrajca.

– A... oczywiście! To od razu przeszło ci przez usta. Bo jeśli chodzi o Żmije, to informację, że Żmije to po prostu zabójcy, zachowałeś jednak dla siebie! – wypaliłam i Dantego przytknęło. Oczywiście! Głupia mina mówiła sama za siebie. – Wiedziałaś o tym, ale mi nie powiedziałaś! Dlaczego, Dante? Tyle razy powtarzałeś, że powinniśmy się wspierać, jednak nie uznałeś za konieczne przekazanie mi tej drobnej informacji, że zanosi się na to, że do końca życia będę ścigać i zabijać z zimną krwią inne smoki!

– Bo o tym miałaś dowiedzieć się od Talonu we właściwym czasie. Na pewno nie ode mnie. Ember, przestań wreszcie walczyć z Talonem! Troszczyć się o twoją przyszłość, a ty traktujesz ich jak wcielenie samego diabła. Czy do ciebie nie dociera, że to nie jest banda przestępców, tylko organizacja, która chroni nas przed tym przeklętym Zakonem?!

– Och, Dante...

Czułam, że ręce mi opadają. Dante jak zwykle był nieprzemakalny. Wiedział swoje i absolutnie nie miał zamiaru wysłuchać, co mam do powiedzenia o Talonie, zbiegach i Świętym Jerzym. Czyli Riley miał rację.

A czas naglił...

– Odchodzę, Dante – powiedziałam cichym, zrezygnowanym głosem. – Dziś wieczorem Riley znika z Crescent Beach. Chce wziąć mnie ze sobą. Decyzję już podjęłam.

Twarz Dantego w mgnieniu oka zrobiła się biała jak ściana.

– Uciekasz z Talonu? Oszalałaś? – wyszeptał. – Nie możesz tego zrobić. Będą cię ścigać, a dobrze wiesz, co Talon robi ze zdrajcami.

– Właśnie dlatego nie mogę zostać. Dante, zrozumże wreszcie, że ja nie będę Żmiją! Kiedy poinformowano mnie o tym, to był szok. Bo tego, co się z tym wiąże, na pewno robić nie będę! A kiedy dziś dowiedziałam się jeszcze takich różnych rzeczy...

– Lepiej powiedz, ale tak szczerze, że chcesz odejść z powodu tej swojej instruktorki. Bo jesteś na nią zła! I na mnie też!

– Nie, nie chodzi ani o nią, ani o ciebie, ani o przestrzeganie zasad, ani o to, że zawsze muszę robić to, co każe Talon, że zabraniają mi latać i tak dalej. Nie to jest najistotniejsze. Odchodzę, bo nie potrafię zaakceptować tego, w co wierzy Talon. A tego właśnie, tej wiary, oczekuje się ode mnie.

Usiadł ciężko na łóżku, potarł rękami twarz i znieruchomiał. A ja po krótkiej pauzie wygłosiłam ostatnie słowo:

– Odchodzę, Dante. Nie mam żadnych złudzeń, że zaaprobujesz moją decyzję. Na pewno jeszcze nie teraz. Niemniej jednak chcę, żebyś coś wiedział. Byłabym szczęśliwa, gdybyś odszedł razem ze mną. Kiedy poznasz Riley'a,

poznasz ich wszystkich, na pewno zrozumiesz, dlaczego musiałam to zrobić. Odejść z Talonu.

Dante drgnął. Przymknął oczy i zwiesił głowę, czyli jednak zastanawiał się.

– Jeśli nie pójdę z tobą, to ty i tak odejdiesz? – spytał po chwili.

Zacisnęłam zęby, robiąc w duchu błyskawiczną powtórkę ze swoich argumentów. Absolutnie nie chciałam odchodzić bez Dantego, bo wiadomo, to mój brat, z którym tyle razem przeszliśmy. Z drugiej jednak strony nie wyobrażałam sobie, że mogłabym tu zostać i dać się Talonowi przerobić na kogoś, kim tak rozpaczliwie nie chciałam być. Będę więc musiała odejść nawet bez Dantego, pocieszając się faktem, że tu przynajmniej mój brat jest bezpieczny, przecież Święty Jerzy ściga kogoś innego. Między innymi mnie. A więc...

– Tak.

Nigdy dotąd wymówienie jakiegoś słowa nie było dla mnie tak trudne. Ale cóż... Powiedziałam i Dante drgnął, jakby takiej odpowiedzi jednak się nie spodziewał.

– I nie zmienisz zdania, Ember? Niezależnie od tego, co powiem?

Niby pytał, a tak naprawdę stwierdzał. I miał rację.

– Nie zmienię – odparłam, choć kosztowało mnie to niemało. – Odchodzę, nawet jeśli ty się nie zdecydujesz.

– A więc dobrze... – powiedział tak cicho, że ledwie usłyszałam, a potem odetchnął cały drżący i spoglądając na mnie, wymamrotał: – Idę z tobą. Chociaż wcale mi się to nie podoba. Moim zdaniem to wielki błąd, ale... ale jesteś moją siostrą. Nie mogę dopuścić, byś w to wszystko wchodziła sama. Chcę być z tobą.

I wtedy kamień spadł mi z serca, wielki kamień, bo choć gotowa już byłam zmierzyć się z każdym wariantem, tliła się jeszcze we mnie nadzieja, że stanie się tak, jak tego pragnę. I stało się! Prawie nieprzytomna ze szczęścia podbiegłam do brata i objęłam go za szyję, ściskając z całej siły. Dante również mnie objął, a po chwili delikatnie odsunął od siebie. I minę miał zdecydowanie niewyraźną.

– Gdzie spotykamy się z tym zbiegiem, Ember?

– Nie wiem. Ma się ze mną skontaktować i podać namiary.

– Dobrze. W takim razie trzeba się spakować. Przyda się trochę rzeczy, kiedy będziemy tak uciekać i uciekać.

– Dobrze, Dante. To ja też idę się spakować.

Ruszyłam do drzwi, tuż przed progiem jednak zatrzymałam się, kiedy usłyszałam cichy i pełen powagi głos brata:

– Ember, jesteś całkowicie pewna, że to właśnie należy zrobić? Zdajesz

sobie sprawę, że to coś więcej niż naruszenie godziny policyjnej albo kiedy zapomnisz zadzwonić do domu, że się spóźnisz? Jesteś świadoma, że to zdrada i jeśli zdecydujesz się na ucieczkę z Talonu, to odwrotu nie ma?

– Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę. Ale musimy to zrobić, Dante, bo inaczej nigdy nie będziemy wolni.

Nie odezwał się już, więc pobiegłam do siebie. Włożyłam T-shirt i spodnie, oczywiście na ten kombinezon, w którym mógłby paradować ninja, nie wiadomo przecież, czy raptem nie trzeba będzie dokonać Przemiany. Potem wyjęłam z szafy plecak, wrzuciłam do niego coś jeszcze do ubrania, pieniądze, taki mój żelazny zapas, i oczywiście pudełko ze skarbami. A potem spojrzałam na komórkę nadal leżącą grzecznie na komodzie, czyli tam, gdzie ją zostawiłam, wychodząc na spotkanie z Rileyem. Do tej pory była cicho, teraz też, ale mrugała do mnie, dając znać, że coś chce mi przekazać.

Co konkretnie? A to, że ktoś dzwonił do mnie osiem razy.

Garret.

Czułam, że wszystko we mnie się obrywa. Bo to Garret... Dzwonił do mnie. Garret, z którym nigdy już więcej się nie zobaczę, tak samo jak z kochaną zwariowaną Lexi, z Kristin i Calvinem. Do Lexi oczywiście miałam zamiar zadzwonić, ale później, kiedy będziemy już daleko stąd. Pożegnać się z nią, podziękować za wszystko. Za naukę surfingu, za pomoc w sprawach z chłopakami, za to, że była moją najlepszą przyjaciółką. Wiedziałam, że będę bardzo za nią tęsknić, i było mi po prostu głupio, że raptem do niej zadzwonię i powiem, że niestety, ale to już koniec naszej znajomości. Nic innego jednak nie mogłam zrobić.

Ale jeśli chodzi o Garreta...

Szybko wybrałam numer i przyłożyłam komórkę do ucha.

Odebrał już po drugim sygnale.

– Halo!

Przełknęłam.

– Hej! To ja!

I cisza. Naprawdę trwała długo, jakby połączenie zostało przerwane albo Garret po prostu się rozłączył. Spytałam więc jeszcze dla pewności:

– Hej, hej! Jesteś tam?

– Tak. A gdzie ty jesteś?

Mówił dziwnie, takim drewnianym głosem. Czyżby coś się stało? Może jakaś afera z ojcem albo Garret jest zły, że mnie nie było, kiedy dzwonił?

– W domu – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – A przedtem byłam ze znajomymi i nie wzięłam komórki. Przepraszam.

– Muszę z tobą pogadać, Ember. To ważne. Możemy się spotkać?

Zawahałam się. Byłam przecież, jak to się mówi, w dołkach startowych. Kiedy tylko zadzwoni Riley, od razu mam ruszać w drogę. Tak, ale jednocześnie pojawiła się możliwość spotkania z Garretem, a ja przecież nie chciałam tak zniknąć bez słowa. Nie. Bardzo chciałam się z nim pożegnać, z chłopakiem, który sprawiał, że moje serce potrafiło i zabołeć, i podskoczyć z radości, a w pewnych sytuacjach tak rozkosznie się rozpląwać... Byłam smokiem, który tylko czasami zmienia się w częściowego człowieka, i właśnie ta ludzka część bardzo żałowała, że Ember Hill nie jest normalnym, całkowitym człowiekiem, bo wtedy mogłaby być z Garretem, a nie uciekać przed fanatykami, którzy za jedyny cel postawili sobie zgładzenie smoków.

Czułam się bardzo nieszczęśliwa. Bardzo, odczuwając na własnej skórze, jak to jest pograć się w otchłani rozpaczy.

– Sama nie wiem... teraz? Już późno...

– Proszę, Ember! – W głosie Garreta, niby dalej drewnianym, słychać było wielką desperację. – Nie zajmę ci dużo czasu. Spotkajmy się za dwadzieścia minut na Klifie Kochanków. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać, koniecznie jeszcze dziś.

W tym momencie komórka zabuczała, dając znać, że ktoś do mnie dzwoni. Spojrzałam na ekran i skóra mi ścierpła. Numer nieznany, a więc na pewno to Riley.

– Ember?

– Tak, tak, Garret. Jestem – powiedziałam szybko, ponownie przykładając komórkę do ucha. – Klif Kochanków, za dwadzieścia minut.

– Dobrze. Będę czekał.

Zakończyłam rozmowę, przełączając się na kolejną. Z Rileyem.

– Cześć, Riley!

– Cześć, Firebrand! Udało się. Nadal masz zamiar do nas dołączyć?

Przełknęłam, bo w gardle nagle ścisnęło.

– Tak. Dante też.

– Naprawdę? Dla mnie szok. Nie sądziłem, że dasz radę go przekonać. A my jesteśmy w jaskini w Zatoce Samotnej Skały. Wypłoszyliśmy z plaży kilku ćpunów, więc nie ma tu nikogo. Wes czeka w samochodzie. Odjeżdżamy, kiedy tylko się pojawicie, ty i Dante.

– Może być za godzinę? Przepraszam, Riley, ale bardzo chciałabym się jeszcze z kimś pożegnać. To nie potrwa długo.

– Dobrze, ale pośpiesz się, Ember. Nie możemy tu długo czekać.

– Jasne!

Rozłączyłam się i wtedy w drzwiach stanął Dante. Gotowy już do drogi, z plecakiem na plecach, na głowie czapka bejsbolówka. Mina poważna, widać,

że cały jest spięty.

– Kto dzwonił? Ten zbieg?

– Tak. Są na Samotnej Skale. Mamy spotkać się z nimi jak najprędzej, z tym że...

– Że co?

– A... Dzwonił też Garret – wyznałam, wsuwając komórkę do kieszeni dzinsów. – Koniecznie chce się ze mną zobaczyć. Podobno to coś bardzo ważnego, dlatego zgodziłam się spotkać z nim za dwadzieścia minut na Klifie Kochanków...

I zamilkłam na moment, zagryzając wargi. Trudno przecież, żebym nie czuła się rozdarta.

– Dante, wiadomo, że powinniśmy ruszać jak najszybciej, skoro Święty Jerzy cały czas węszy... Ale tak bardzo chciałabym jeszcze raz, ten jedyny raz, zobaczyć się z Garretem.

I wtedy Dante powiedział coś, co mnie bardzo zaskoczyło.

– To dlaczego się z nim nie spotkasz? Ja pójdę już nad zatokę, powiem, że przyjdiesz trochę później. I poczekamy, chyba nic się nie stanie. A z Garretem faktycznie powinnaś pogadać.

– Naprawdę tak myślisz?

Na pewno patrzyłam na niego ze zdumieniem wyjątkowo bezbrzeżnym, ponieważ mimo tych nerwów uśmiechnął się.

– Na pewno. Bierz samochód, bo szkoda każdej minuty. O mnie się nie martw. Złapię taksówkę albo zadzwonię do Calvina, żeby mnie podrzucił. A ty musisz pogadać z Garretem, przecież nie jestem ślepy. Ten koleś spodobał ci się. Na pewno niełatwo ci się z nim rozstać.

Najchętniej znowu wyściskałabym mojego rudego brata, ale faktycznie szkoda było każdej minuty. Zgarnęłam więc kluczyki i zarzuciłam plecak na ramię, gotowa już biec do samochodu. Przed progiem jednak zatrzymałam się, bo nie byłam tak do końca przekonana, czy robię dobrze.

– Dante, jesteś pewien, że mogę się z nim spotkać?

– Czemu nie? Jedź już!

– Ale ty na pewno pojedziesz nad zatokę? Na pewno?

– Jasne! – rzucił wyraźnie już zniecierpliwiony. – Leć już, Ember. Szkoda czasu!

Pokrzykiwał jak to on, ale jednocześnie wyraźnie unikał mego spojrzenia. Dziwne...

Nieważne. Trzeba się śpieszyć.

– Dobra. Lecę. Zapewnij Rileya, że zaraz tam będę. To nie potrwa długo.

Krótki sprint przez korytarz, drzwi, podjazd i już stałam przy sedanie.

Rzuciłam plecak na tylne siedzenie, usiadłam za kierownicą i przekręciłam kluczyk w stacyjce. Trochę czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni prowadziłam wóz, ale byłam dobrej myśli. W końcu to jak z jazdą na rowerze. Tego się nie zapomina.

Kiedy wyjechałam już na drogę, jeszcze raz zerknęłam na dom. Dante stał w oknie. Patrzył za mną. No cóż... Jak to brat! Odprowadza siostrę wzrokiem. Uśmiechnęłam się i nacisnęłam na pedał gazu. Sedan śmignął do przodu. Na klif, do Garreta.

Kiedy dojeżdżałam do małego parkingu przed klifem, dzień definitywnie już się skończył i na niebie królował wspaniały, skrzący się księżyc w pełni. A mały parking z kolei świecił pustkami. Stał tam tylko jeden samochód, czarny džip, który rozpoznałam od razu. Szybko wyskoczyłam z sedana i rozejrzałam się dookoła. Ani śladu Garreta, ale tablica ze strzałką wskazującą na schody na Klif Kochanków mimo zmierzchu doskonale była widoczna.

Pamiętne schody... Natychmiast ożyło wspomnienie o tamtej cudnej nocy, kiedy wymknęłam się z domu, by właśnie tutaj, w tej zatoce, spotkać się z Cobaltem i fruwać ponad oceanem. A potem, po tej właśnie nocy, tyle się wydarzyło... Poznałam Garreta, wredna Lilith zaczęła mnie szkolić, no i dowiedziałam się tylu rzeczy o Żmijach, o Talonie... Szkoda, że dopiero teraz. A potem starcie z żołnierzami z Zakonu Świętego Jerzego i decyzja o odcięciu się od przeszłości, o ucieczce z Talonu. Razem właśnie z tym Cobaltem, z którym fruwałam nad oceanem...

Zanim jednak wkroczę w tę nową przyszłość, mam jeszcze jedno spotkanie. Smutne, przecież to pożegnanie. Pożegnanie na zawsze.

Zrobiłam głęboki wdech i ruszyłam po schodach na szczyt Klifu Kochanków. Kiedy pokonałam ostatni stopień, zobaczyłam Garreta. Stał na brzegu klifu oparty plecami o barierę. Wysoka szczupła postać ubrana na czarno, skąpana w księżycowej poświacie. Ręce skrzyżował na piersi, głowa spuszczone, ale kiedy tylko mnie zauważył, od razu oderwał się od bariery i spojrzał na mnie. Dziwne, bo nie tyle spojrzał, co po prostu wbił we mnie ten swój stalowoszary wzrok. Dlatego podchodząc do niego, poczułam się nieswojo. Bo coś tu nie grało, bo to już nie był ten sam chłopak, z którym całowałam się wśród fal oceanu, którego uśmiech sprawiał, że cała topniałam w środku. Teraz przede mną stał obcy człowiek, od którego wiało chłodem.

Ostrożnie zbliżyłam się do niego i zajrzałam mu w twarz. Kamienną.

– Garret, to ja! Czy coś się stało?

Milczał, a w szarych oczach coś na moment się pojawiło. Czyżby... lęk?

Dziwne. Tym bardziej że tak w ogóle to sprawiał wrażenie kogoś, komu przydarzyło się coś okropnego i ten ktoś teraz kompletnie nie wie, co ma zrobić.

Zaniepokojona nie na żarty, podeszłam bardzo blisko. A on wyraźnie zeszywniał, jakby po prostu mnie się bał.

– Garret? Co się dzieje?

Milczał. Drogocenne sekundy mijały nieubłaganie, ale trudno. Bardzo chciałam zamienić z nim choć kilka słów, po raz ostatni. I mimo że zachowywał się dziwnie, ja i tak zaczynałam się już rozklejać. Garret... Tyle dla mnie znaczy, ale niestety należy do innego świata. Dlatego ja pójdę swoją drogą, a on swoją. Wróci do Chicago, by dalej żyć po prostu normalnie w świecie, w którym nie ma miejsca dla krwiożerczych pogromców smoków, dla podejrzanych organizacji, dla Żmij morderców.

– Garret, cieszę się, że cię widzę. Bo też chciałabym ci coś powiedzieć. I nie przez telefon.

A on dalej ani słowa, tylko wpatrywał się we mnie.

– Wyjeżdżam, Garret – powiedziałam i wtedy zauważyłam, że coś w nim drgnęło. Na pewno, bo zmarszczył brwi, w oczach błysnęło. – Wydarzyło się coś bardzo istotnego, dlatego muszę wyjechać z Crescent Beach. Nie pytaj dokąd, bo nie mogę ci tego powiedzieć. A wyjeżdżam dziś, dosłownie za chwilę. Cieszę się, że mogę się z tobą pożegnać.

I znów coś przedziwnego, bo teraz powiało od niego już nie chłodem, a lodem. A potem szok. Tego rodzaju, kiedy to nie wierzy się własnym oczom. Bo Garret nagle złapał mnie za ramiona i... i wycelował pistoletem prosto w moją twarz.

Po czym wreszcie się odezwał:

– Nigdzie nie pojedziesz!



## GARRET

Ten atak okazał się prawdziwą katastrofą. Oba smoki wymknęły nam się z rąk, pozostawiając za sobą zgliszcza. Zanim nadjechała straż pożarna, rezydencja, posyłając ku niebu kłęby czarnego dymu, spłonęła prawie doszczętnie. Oczywiście udało nam się wymknąć stamtąd niepostrzeżenie, jak zwykle, ale trzech moich kolegów, wydostając się z płonącego domu wartego niejeden milion dolarów, doznało bardzo poważnych poparzeń. A dwa smoki odleciały, choć wcale nie musiało do tego dojść. Gdybym nie nawalił. A tak niestety się stało, bo kiedy zobaczyłem Ember, właśnie tutaj, w kryjówce wroga, na moment mnie przytknęło. Kiedy powinienem zrobić to, czego uczyli mnie wytrwale i co robiłem od wielu lat. Zabić ją. Od razu ją zastrzelić, a ja zawahałem się, dzięki czemu miałem okazję zobaczyć, jak na moich oczach dobrze mi znana rudowłosa dziewczyna zmienia się w potwora i przyparta do muru reaguje jak inne smoki. Zionie ogniem, dzięki czemu zresztą i ona, i ten drugi smok zdołały uciec. Co było już podwójną katastrofą. Wypuściliśmy smoki z rąk, a one, ponieważ wiedzą, że tu jesteśmy, zachowają maksymalną czujność i ostrożność, więc bardzo trudno będzie je ponownie wytropić. Prawdopodobnie w ogóle się to nie uda.

I to wszystko przeze mnie, z tym że nikt się nie zorientował, na pewno, bo kiedy śmierdzący spalenizną wsiadaliśmy do ciężarówki, żaden spośród zawiedzionych i wściekłych żołnierzy niczego mi nie wypominał. A kiedy zsiniały z gniewu dowódca domagał się wyjaśnień, winę na siebie wzięła solidarnie cała drużyna. Nawet Tristan, którego zgarnęliśmy po drodze z kryjówki, niczego się nie domyślał.

Prawdę znałem tylko ja. Nie tylko znałem przyczynę niepowodzenia akcji, wiedziałem też, kto jest ukrytym szpiegiem. Ember Hill. Dziewczyna, z którą całowałem się w moim pokoju, która pokazała mi, jak cudowne jest życie, takie po prostu normalne życie. Dziewczyna, o której myślałem nieustannie od chwili naszego poznania. Ta dziewczyna była naszym wrogiem.

Dlatego trzeba ją zabić.

Kiedy dzwoniłem do niej, starałem się wyłączyć wszystkie szare komórki. Nie myśleć, tylko działać jak automat, niestety emocje i tak doszły do głosu. Miałem nadzieję, że odbierze telefon, a jednocześnie okropnie się tego bałem. Poza tym tak w ogóle czułem się beznadziejnie. O tym, że Ember jest szpiegiem, powinienem był natychmiast powiadomić kapitana. Ujawnić jej tożsamość, podać miejsce zamieszkania i to, gdzie często bywa. Poza tym jeśli Ember jest szpiegiem, jej brat również jest smokiem, a w Crescent Beach może być jeszcze więcej tych bestii.

Nie zrobiłem tego. Nie poinformowałem Zakonu, po prostu nie potrafiłem tego zrobić. Jeszcze nie. A potem? O tym, co zrobię potem, też nie miałem pojęcia, także w chwili, gdy Ember do mnie oddzwoniła. Jej głos, dobrze mi znany, teraz wydał mi się kompletnie obcy. Powiedziała, że chce ze mną porozmawiać. A niby o czym? O tym, co już wiem? Że jest smokiem?!

A ja niestety żołnierzem Świętego Jerzego. Więc o czym tu dyskutować?

Niemniej jednak zaproponowałem, żebyśmy spotkali się za dwadzieścia minut na Klifie Kochanków. W świetnym miejscu do tego, co powinno być zrobione. Niezbyt oddalone od miejsc, w których znajdowaliśmy się w trakcie rozmowy przez telefon, a jednocześnie mało uczęszczane. Właściwie bezлюдne, i nikt nie usłyszy strzałów ani wrzasków umierającego smoka.

Ember zgodziła się. Podczas rozmowy odniosłem wrażenie, że czasu ma niewiele, co było oczywiste, przecież zamierza jak najszybciej uciec z miasta. Zgodziła się jednak poświęcić mi trochę czasu. Kiedy rozłączyłem się, przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zaangażować Tristana. Może i dobrze, żeby mnie ubezpieczał. A najlepiej powiadomić kapitana, wtedy wyśle całą drużynę i problem z tym jednym smokiem będziemy mieli z głowy.

Pojechałem jednak sam, nie mówiąc nikomu, dokąd jadę. Nawet Tristanowi, który na pewno zrobiłby wszystko, żeby mnie powstrzymać. Ruszanie na smoka w pojedynkę jest przez Zakon surowo zabronione, ponieważ to bardzo ryzykowne, po prostu niewybaczalnie głupie przedsięwzięcie. Zawsze ktoś musi cię ubezpieczać. Tak, ale nie byłem zdolny do racjonalnego myślenia. Wziąłem dzipa i pojechałem. Sam, na samotny klif nad błękitnym oceanem, gdzie miałem spotkać się ze smokiem.

– Garret?!

Na widok broni duże oczy Ember zrobiły się ogromne. Oczywiście zastygła, bardziej chyba jednak zdezorientowana niż przerażona. Patrzyła błagalnie, bo wiadomo, bardzo chciała, żebym wyjaśnił całą tę sytuację. Ale zignorowałem to spojrzenie, a także fakt, że ręka mi jednak drży. Co prawda nie ta, w której trzymałem pistolet.

Co w takiej chwili, jak ta, robi wzorowy żołnierz? Oczywiście naciska spust. Zabija, bo zabicie smoka jest jego obowiązkiem.

A ja jeszcze raz spojrzałem w oczy Ember, w oczy pełne żalu.

– Co ty robisz, Garret? Dlaczego...

Nagle zbladła, czyli dotarło do niej, o co chodzi. Stąd przerażenie w jej oczach i cichy, załamujący się szept, który ścisnął moje serce jak imadło. Bo ten szept był i oskarżeniem, i rozpaczliwym błaganie, by to wszystko, co się dzieje, okazało się straszliwą pomyłką.

– Ty... Ty jesteś od Świętego Jerzego...

Zrobiła jeden chwiejny krok w tył. Ja błyskawicznie krok do przodu, wtedy zatrzymała się, a ja zdecydowałem się otworzyć usta. Przemówić cichym opanowanym głosem, całkowitym przeciwieństwem tego, co działo się we mnie w środku.

– Gdzie reszta?

W zielonych oczach błysnęło i Ember uniosła wyżej głowę. Więc ja również przesunąłem lufę, żeby nadal była wycelowana w to samo miejsce. Czyli między oczy.

Nie odzywała się.

– Mów, Ember! Jeśli nie powiesz, zastrzelę cię.

Wtedy odezwała się, ale już nie cichym załamującym się głosem, tylko pełnym gniewu:

– A po ci mam mówić, skoro i tak mnie zastrzelisz? To twój obowiązek, prawda? I dlatego chodziłeś za mną, spotykałeś się tylko dlatego, bo jesteś z Zakonu i przysłali cię tutaj, byś nas pozabijał! A wszystko, co mi mówiłeś, co robiliśmy, to jedno wielkie kłamstwo!

Nie wszystko. Moja druga ręka, ta bez pistoletu, dygotała jak w febrze. Żeby ją poskromić, musiałem zacisnąć pięść, przecież konieczna była maksymalna koncentracja. Jeszcze chwila i koniec misji. Zadanie wykonane. Dlatego nie wolno się rozpraszać, nie wolno dopuścić, by coś takiego nagle stało ci przed oczami.

A jednak zobaczyłem. Właśnie to. Ember i ja razem kołysaliśmy się w rytm powolnej melodii. Ocean, a my szalejemy na jednej desce. Diabelski młyn, siedzimy razem w jednej gondoli, siedzimy bardzo blisko siebie, a ja mógłbym w tej gondoli siedzieć bez końca...

I znów ocean. Stoimy w wodzie, zaczynamy się całować i cały świat przestaje istnieć. Jesteśmy tylko my, Ember i ja. Jak bardzo chciałem należeć do tego normalnego życia i być razem z nią, z Ember, która nauczyła mnie surfować, strzelać do zombie i wrzeszczeć podczas szalonej jazdy kolejką górską. Uczyła, jak żyć normalnie.

Ember, która jest smokiem.

Zielone oczy nadal wlepione były we mnie. Zauważyłem, że cała drży, drży jak ta moja ręka.

– A więc strzelaj... – szepnęła. – Bo nie powiem ci, gdzie są inni. Nie chcę, żebyście ich też pozabijali.

I znów odezwał się we mnie wzorowy żołnierz. Zrób to, Garret! Ona jest smokiem, więc na co jeszcze czekasz? Strzelaj! Po to cię tu przysłali! Masz zabić!

Zrobiłem głęboki wdech, zacisnąłem zęby i wysunąłem rękę trochę bardziej do przodu. Już tylko wykonać drobny ruch palcem, zaciśniętym na spuście...

I wtedy – błąd. Bo spojrzałem w oczy Ember i zobaczyłem, jak z jednego zielonego oka wypływa łza. Jedna łza, lśniąca, srebrzona księżycem, spłynęła po policzku i ręka, ta z pistoletem, zadrżała.

Nie, ja tego nie zrobię.

I rzecz dziwna, bo chociaż broni nie opuściłem, poczułem, że cholerne napięcie jakby zelżało zagłuszone przez ten protest. Nie mogę tego zrobić. Nie zabiję tej dziewczyny, choć jest smokiem, moim wrogiem.

Zaskoczony swoją reakcją, mimo woli opuściłem głowę, na ułamek sekundy zapominając o maksymalnej koncentracji. I wtedy Ember wykonała ruch. Z szybkością błyskawicy. Zanim zdążyłem pomyśleć, była już przy mnie i rąbnęła mnie w rękę. Tę z pistoletem oczywiście. Rąbnęła od dołu, zmuszając i rękę, i pistolet do zmiany położenia. Skierowały się ku górze i wtedy wyrwała mi pistolet z ręki. Ja natomiast, błyskawicznie odzyskując umiejętność całkowitej koncentracji, kopnąłem rękę, która teraz trzymała pistolet. Rękę Ember. Kopnąłem z całej siły i pistolet poleciał w dół. Odbił się od kamieni, poleciał kawałek dalej i zatrzymał się dosłownie jakiś metr od krawędzi klifu.

I wtedy Ember sięgnęła po inną broń. Cofnęła się, szmaragdowe oczy zajaśniały dziwnym, złowieszczym blaskiem. Widziałem, jak powietrze wokół niej zaczyna drgać, niewątpliwie naładowane niezwykłą energią, która ma doprowadzić do Przemiany. Dlatego błyskawicznie rzuciłem się po broń, jednocześnie wyczuwając tam, za sobą, tę jedyną w swoim rodzaju bezgłośną eksplozję. A zaraz potem usłyszałem pełen wściekłości ryk. Chwyciłem pistolet, zrobiłem błyskawiczny w tył zwrot i...

I poczułem, jak całe powietrze uchodzi mi z płuc, kiedy coś dużego i czerwonego zważyło mnie z nóg. Upadłem na plecy. W górze nad sobą widziałem skrzydła, czerwone łuski i odsłonięte kły.

Podniosłem pistolet, by padł ten ostatni, desperacki strzał, ale nie padł, bo zakończona szponami łapa uderzyła mnie w łokieć i ręka opadła. Zaraz potem dostałem w pierś, a potem wczepiły się w nią zakrzywione szpony i na tej piersi wylądowało na pewno nie mniej niż dwieście kilogramów czerwonego, rozwścieczonego i syczącego smoka, wgniatając mnie w skałę. Machał skrzydłami, pokazywał kły i ryczał mi prosto w twarz. Wystarczy? Skuliłem się, pistolet wysunął się z zeszywniałych palców i smok natychmiast przygniótł łapą tę właśnie rękę, oczywiście po to, bym nie sięgnął znów po broń. I przygniatał mnie całym swym ciężarem, drapał szponami po klatce.

Tak, ale jednocześnie szponów tych nie wbijał, niczego nimi nie rozrywał.

Zionął mi też prosto w twarz tym smoczym oddechem, śmierdzącym popiołem i dymem. Wąski pysk pełen morderczych, ostrych jak brzytwa zębów był dosłownie kilka centymetrów od mojej szyi.

Zabije mnie? Jak? Wbije szpony w pierś, rozszarpie ją, potem rozszarpie gardło? A może inny wariant? Otworzy szeroko paszczę i zionie ogniem?

Nic z tych rzeczy. Kiedy ja, wstrzymując oddech, czekałem na porcję niehumanicznego bólu, smok znieruchomiał. Po prostu stał, przygniatając mnie przednimi łapami. Stał i patrzył na mnie, jakby zastanawiał się, co ze mną zrobić. Ja też spojrzałem, w górę, i nad tą paszczą z odsłoniętymi kłami i rozdętymi nozdrzami zobaczyłem oczy. Te same, jasne, szmaragdowe i błyszczące. Choć teraz oczy gada.

Skrzydła, rozłożone dla zachowania równowagi, rzucały złowrogi cień.

– Na co czekasz? – wydyszałem, spoglądając ze złością na bestię. – Przestań się mną bawić, tylko rób, co do ciebie należy.

Smok zmrużył ślepią, przesunął się, paszcza znalazła się raptem o wiele dalej. A ja odwróciłem głowę, szykując się psychicznie na tę jedyną w swoim rodzaju wyjątkowo gorącą kąpiel. Z nadzieją, że nie potrwa długo.

Głowa smoka nagle wyprysnęła do przodu. Mimo woli zadrżałem, ale mordercze kły wcale nie zatopiły się we mnie, tylko zbliżyły się do ręki trzymającej pistolet. Złapały za lufę, pociągnęły i smok, wydawszy z siebie pełne dezaprobaty prychnięcie, rzucił pistolet w stronę oceanu. Pistolet przeleciał ponad barierą, zamigotał w blasku księżyca i pofrunął w topiel.

Kiedy patrzyłem, jak znika za krawędzią skały, nagle poczułem, że już nie mnie nie uciska. Ani w pierś, ani w rękę, ponieważ smok odszedł. Machając skrzydłami, cofał się, konsekwentnie oddalając się ode mnie. Zdumiony oparłem się na łokciu, wyciągnąłem szyję i nie odrywając od smoka oczu, zastanawiałem się, czy to nie jakiś nowy trik. Jakaś nowa zabawa ze mną.

Smok zamknął oczy, zaiskrzył się cały, zafalował i zaczął się kurczyć. Był coraz mniejszy i mniejszy. Skrzydła, łuski, szpony wszystko zniknęło, póki moim oczom znowu nie ukazała się Ember. Ember w czarnym kombinezonie przylegającym idealnie do szczupłego ciała o idealnych wymiarach. Po prostu druga skóra.

Zielone błyszczące oczy spojrzały w dół. Nie poruszyłem się. Byłem przecież nieuzbrojony, a ta szczupła dziewczyna, stojąca nade mną, była tak samo niebezpieczna jak przed chwilą. Byłem pewien, że rzuci się na mnie i rozszarpie w pół sekundy.

A jednak nie, tylko stała nieruchomo, wpatrując się we mnie. W zielonych oczach były i gniew, i wielki smutek, coś, co sprawiło, że zaczynałem się powoli odprężać. Bo może to i dziwne, ale pomyślałem, że ta dziewczyna, czyli

smok, którego próbowałem zabić, chyba pozwoli mi odejść.

Wzorowy żołnierz był jednak innego zdania. Przecież to smok, Garret, a smoki nie znają litości. Wobec nas na pewno.

Owszem. Ale tym razem było inaczej. Jeszcze przed sekundą całkowicie bezbronny leżałem przygnieciony przez bestię ważącą co najmniej trzy razy tyle co ja. Wystarczyło, by raz zionęła ogniem, i już po mnie. A tego nie zrobiła. Dlaczego? Przecież byłem żołnierzem z Zakonu Świętego Jerzego i już sam ten fakt był wystarczającym powodem, by pozbawić mnie życia.

Podniosłem głowę i przechwyciwszy spojrzenie mego wroga, wymamrotałem:

– Dlaczego?

Ember najpierw odetchnęła głęboko, i był to drżący, niemal spazmatyczny oddech, dopiero potem powiedziała:

– Nie domyślasz się? Czyli wcale tak dobrze mnie nie znasz, jak ci się wydaje.

Sekunda przerwy i jeszcze ciszej:

– W ogóle nas nie znasz...

– Ember, ja...

Ale jej spojrzenie stwardniało.

– Zegnaj, Garret! – powiedziała, cofając się o krok. – Radzę ci od tej chwili nie zbliżać się do mnie. Bo jeśli znów cię zobaczę albo któregoś z tych waszych żołnierzy, nic mnie nie powstrzyma. Macie trzymać się od nas z daleka!

Odwróciła się i pobiegła. Na bosaka, w czarnym kombinezonie tak obcisłym jak druga skóra. Pomknęła do schodów, jeszcze chwila i znikła mi z oczu.

Powoli podniosłem się z ziemi, czując się tak, jakbym dostał obuchem w głowę, i oparłem się o barierę. Chłodna bryza rozwiewała mi włosy, chłodziła rozpaloną twarz. Zamknąłem oczy, starając się znaleźć jakiś sens w tym, co właśnie się wydarzyło.

Nadal żyję. Spotkałem się ze smokiem, walczyłem z nim, nie mając żadnego wsparcia, i przeżyłem. Tak, chociaż pierś wilgotna. Coś ciepłego sączyło się przez bawełnę T-shirtu. Dotknąłem. Palce czerwone, a więc krew. Szpony smoka poharatały mi klatkę, ale mogło być gorzej. Mógł mnie całego rozerwać jak papierową torebkę, mógł skąpać w swoim ogniu. A on puścił mnie wolno.

„Wcale tak dobrze mnie nie znasz, jak ci się wydaje. W ogóle nas nie znasz”.

– Oboje się pomyliliśmy, Ember – szepnąłem.

Tak, choć niełatwo mi było przyznać się do tego nawet tylko przed sobą samym. Do czegoś, co właśnie do mnie dotarło. Po tylu latach niezachwianej

wiary, że smoki są złe i z samej swej istoty nie potrafią być inne. Gdy tymczasem smoki, przynajmniej niektóre, wcale nie są złe i mściwe. Nie wszystkie smoki nienawidzą ludzi, bo gdyby tak było naprawdę, nie stałbym teraz przy barierze, owszem, trochę poszarpany, ale tak ogólnie rzecz biorąc, zdrow i cały. Także z poczuciem, że cały świat wywrócił się do góry nogami. Bo myliłem się. Cały Zakon myli się i to, co zrobiła Ember, jest najlepszym tego przykładem. Wiedziała, że jestem żołnierzem Świętego Jerzego, jej największym wrogiem, ale darowała mi życie.

Powoli ruszyłem w stronę parkingu, a w głowie nadal gonitwa myśli. Co mam teraz zrobić? Wrócić do Zakonu? Dalej walczyć jakby nigdy nic? Przecież od tej chwili za każdym razem, kiedy będę ścigał smoka, kiedy będę zabijał, zawsze przed oczami stanie mi Ember, zawsze przypomni mi się to, czego dziś się nauczyłem. Że nie wszystkie smoki są złe...

Kiedy dochodziłem do dżipa, zadzwonił Tristan. Niestety, już po raz drugi, więc musiałem odebrać.

– Tristan? Gdzie jesteś?

– Gdzie ty jesteś, do jasnej cholery! Co ty wyrabiasz?! Chyba już totalnie padło ci na mózg! Jeśli kapitan dowie się, że zwiąłeś, ciesz się, jak skończy się tylko na pięćdziesięciu batchach na oczach całej drużyny!

– Musiałem coś przemyśleć.

– Ach tak? To przestań już myśleć, bo dostaliśmy rozkaz. Powiedz, gdzie jesteś.

– Przecież zaraz tam będę!

– Ale ja już wyjeżdżam. Spotkamy się na rogu Palm i Main.

Na umówione miejsce przyjechałem pierwszy, ale już po minucie nadjechał biały van i z piskiem opon wyhamował przy krawężniku.

– Wskakuj! – zawołał Tristan.

Wsiadłem. Nie zdążyłem nawet zamknąć drzwi, kiedy Tristan ruszył, od razu pełny gaz.

– Co jest grane? – spytałem, zapinając pasy.

– Nowe rozkazy – odparł Tristan, jeszcze przyśpieszając, żeby przejechać na gasnącym żółtym świetle. – W kwaterze głównej są bardzo niezadowoleni z naszej ostatniej akcji. Mamy działać dalej, za wszelką cenę nie pozwolić im uciec z miasta. Bo może jeszcze tu są, jeden z nich przecież jest ranny. Może zaszył się gdzieś, żeby dojść do siebie. Dlatego wysłali wszystkich żołnierzy, jakich mieli pod ręką, żeby przeczesał teren i sprawdzili wszystkie miejsca, gdzie smoki mogły się ukryć.

– My też mamy to robić?

– Nie. My otrzymaliśmy specjalne zadanie.

Tristan ruchem głowy wskazał deskę rozdzielczą, na której stał otwarty laptop. Na ekranie widać było mrugającą czerwoną kropkę przesuwaną się ulicami w kierunku oceanu.

– To nasz cel. Ember Hill.

Mój żołądek natychmiast zbił się w grudę.

– Dlaczego właśnie ona? – spytałem, starając się wypowiedzieć to spokojnym, opanowanym głosem.

– Bo nie mamy pojęcia, gdzie są inne cele. Poza tym jest naszą jedyną podejrzaną. Kiedy byłeś z nią w parku rozrywki, zakradłem się do ich domu i wsadziłem do samochodu urządzenie tropiące. I bingo! Bo dzięki temu, kiedy wydali ten rozkaz, mogłem ją od razu namierzyć. – Uśmiechnął się i puknął w ekran. – Wygląda to tak, jakby uciekała, prawda? Jeśli dopisze nam szczęście, naprowadzi nas na całą resztę.

A mnie zaczynało już brakować powietrza. Ściany samochodu przytłaczały, pasy bezpieczeństwa ścisnęły dziwnie mocno, uniemożliwiając oddychanie, kiedy wpatrzony w czerwony punkcik na ekranie, modliłem się żarliwie, by punkcik zatrzymał się, zawrócił i ruszył z powrotem do domu. Ale tak się nie stało. Dalej przesuwał się ku obrzeżom miasta, coraz bliżej oceanu.

Ja też byłem coraz bliżej. Coraz bliżej konieczności dokonania wyboru.



## RILEY

Gdzie ona się podziewa?

Stałem na plaży twarzą do oceanu, plecami do klifu i czekałem, czując w żebrach pulsujący ból. Wes bardzo się starał jakoś pomóc, owijając mnie bandażem. Ale i tak bolało jak diabli. Remy i Nettle byli w jaskini, do której wejście znajdowało się tuż za mną. Przykucnęli tam pod skalną ścianą, dwa drżące ze strachu pisklaki, a ja kazałem im stamtąd się nie ruszać. Ani na krok, dopiero wtedy, kiedy dam znać. Wes czekał w samochodzie zaparkowanym w takim miejscu, by dla osób trzecich był niewidoczny. Dopiero na mój sygnał miał podjechać i nas stąd zabrać. Tak, bo rozsądek podpowiadał, że lepiej się rozdzielić, tak na wszelki wypadek, gdyby były jakieś kłopoty. Wystarczyło, że jeden z nas, czyli ja, osłabiony, bo przecież ranny, ryzykuje wiele, ustawiając się właśnie tutaj, w miejscu nieosłoniętym. Kiedy wiadomo, że żołnierze Świętego Jerzego nas szukają. Ale właśnie dlatego stanąłem tutaj, żeby jak najszybciej ją zobaczyć. Mieć ją na oku, wszystko przecież może się zdarzyć...

Co będzie, jeśli w ogóle się nie pojawi?

Na pewno przyjdzie. Trzeba w to wierzyć, choć okoliczności nie należą do sprzyjających. Święty Jerzy najpewniej przeczesuje całe Crescent Beach, brat Ember może nie mieć zbyt wielkiej ochoty zostać zbiegiem, a samej Ember trudno rozstać się z miejscem, do którego bardzo się przywiązała. Niemniej trzeba wierzyć, że ten żarliwy pisklak dotrzyma obietnicy i pojawi się tutaj.

Wierzyć chociażby dlatego, że ja z kolei miałem prawie stuprocentową pewność, że bez Ember nigdzie stąd się nie ruszę. Co oczywiście było największą głupotą, bo oznaczało, że zaczynam reagować jak ci słabi, bezwolni ludzie. Zachowuję się jak jakiś zakochany głupek...

Ja?! Bzdura. Smoki nie kochają. Żywych istot na pewno. Kochają złoto, bogactwo, władzę, wpływy i tak dalej. Nawet smoki poza Talonem ciągnie do tego, co się świeci i kosztuje niemało. Natomiast ludzie kochają się nawzajem. Widziałem niejednego w takim właśnie stanie „zakochania się” i odnosiłem wrażenie, że jest to coś bardzo skomplikowanego, co dostarcza wielu powodów do obaw, bo nie zawsze wszystko w tym gra. Natomiast to, co ja czułem do Ember, było bardzo nieskomplikowane, a więc nie można tego nazwać miłością. Bo był to instykt w najczystszej postaci, coś tak naturalnego jak oddychanie czy zianie ogniem, a nie jakieś tam wyjątkowo skomplikowane emocje.

– Riley!

Co za ulga! Bo wreszcie ją zobaczyłem. Szczupłą dziewczynę w czarnym

kombinezonie Żmii biegnącą ku mnie po żółtym piasku. Poczułem tak wielką ulgę, że prawie zapomniałem o obolałych żebrach. Zaraz jednak potem, kiedy Ember dobiegła już do mnie, poczułem niepokój. Bo Ember wyraźnie była nieswoja. Więcej – wystraszona. Bo zadyszana przypadła do mnie i wczepiła się rękoma w mój T-shirt. Oczywiście natychmiast ją objąłem.

– Firebrand, co jest?

Nie odzywała się, tylko wydała z siebie głośny dźwięk, coś jak gniewny pomruk, w którym słyhać było jednak i szloch.

– Firebrand! Popatrz na mnie! Co się stało? Mów!

– Święty Jerzy – szepnęła. – On jest jednym z nich... Garret... Jest żołnierzem Świętego Jerzego.

No cóż... Trzeba przyznać, że tego dnia sensacja goni za sensacją.

– A niech go szlag! Nic ci nie zrobił? Mów! – prosiłem, naturalnie przysięgając sobie w duchu, że jeśli jeszcze kiedykolwiek ten człowiek stanie na mej drodze, zmienię go w kupkę popiołu.

– Nie, nie. Nic mi nie jest.

Wysunęła się z moich objęć, odgarnęła włosy z czoła i rozejrzała się dookoła.

– A gdzie Dante?

– Tu go nie ma. Byłem pewien, że przyjdzie razem z tobą.

– Nie. Miał przyjść sam. Mieliśmy się tu spotkać... Gdzie on może być?

Przeszła kilka kroków, rozglądając się ponownie dookoła. Było oczywiste, że jest pewna, że brat się pojawi, tym bardziej więc było niemiłe to, co musiałem jej przekazać.

– Firebrand – powiedziałem jak najłagodniej, podchodząc do niej. – On nie przyjdzie. Mówiłem ci już, że go przejrzałem i będę mile zaskoczony, jeśli okaże się, że nie przekablował jeszcze o nas Talonowi. Dlatego musimy jak najszybciej stąd zniknąć, bo w rezultacie będziemy mieli na karku i Świętego Jerzego, i Talon.

Zielone oczy Ember ciskały błyskawice.

– Co ty wygadujesz! Przecież go wcale nie znasz! Obiecał mi, więc na pewno tu przyjdzie! Innej opcji nie ma!

– Nie, Ember. Nie przyjdzie, bo jest zaprzędany Talonowi.

– Ale to mój brat! Mój brat! Nie zostawię go tutaj! – krzyczała Ember, wbijając we mnie zielone spojrzenie wyjątkowo intensywne, co znaczyło, że i Ember człowiek, i smoczyca są w tym momencie absolutnie jednomyślne. – Bez niego stąd się nie ruszam. Mogło go przecież coś zatrzymać. Ale na pewno przyjdzie!

I wtedy nagle usłyszeliśmy czyjś głos, prawie przymilny, niemniej jednak

kiedy go usłyszałem, zmroziło mnie.

– Nie, pisklaku. Bardzo mi przykro, ale on nie przyjdzie.

## EMBER

– Lilith... – warknął Riley na widok zmierzającej ku nam istoty, cofając się o krok.

A zmierzała ku nam Straszna Dama z Talonu we własnej osobie. Jasne włosy związane z tyłu, ubrana podobnie jak ja w czarny obcisły kombinezon opinający szczupłe ciało. Czyli w strój roboczy. Na pewno nie bez przyczyny...

– Gdzie Dante? – spytałam bliska paniki. – Co mu zrobiłaś? Jeśli zrobiłaś mu coś złego, to przysięgam...

– Bez obaw, moja droga! – Lilith uśmiechnęła się tym złym uśmiechem drapieżcy. – Z twoim bratem wszystko w porządku. Jest w domu i czeka, kiedy z powrotem przyprowadzę owieczkę do owczarni.

Riley zaklął. Ja, zdezorientowana, zaszemrałam:

– Nie rozumiem...

– Więc ci wytłumaczę – zadeklarowała się ochoczo Żmija. – Dante poinformował nas, dokąd wybierasz się dziś wieczorem. Powiedział, że pewien zbiegły smok naopowiadał ci niestworzonych rzeczy o naszej organizacji i zrobił zamęt w twojej głowie. Dante bardzo się tym zaniepokoił, dlatego skontaktował się ze mną. To naprawdę rozsądny chłopiec. I wie, co to lojalność. A ty pisklaku – tu spojrzenie w moją stronę, niby smutne, ale tak naprawdę szydercze – bardzo mnie rozczarowałaś.

– Kłamiesz! – krzyknęłam. – Dante nigdy by mnie nie wydał!

– Wydał? Co ty mówisz! – Lilith sprawiała wrażenie zszokowanej. – On ciebie uratował, pisklaku. Dzięki twemu bratu mogę zabrać cię z powrotem do domu. Nie uciekniesz z tym zdrajcą i nie będę musiała cię zabić za współpracę ze znanym zbiegiem.

– A co z Rileyem?

– Riley? – Lilith zmarszczyła czoło, ale już po ułamku sekundy na jej twarzy pojawił się ten zły uśmiezek. – A, czyli teraz tak się nazywasz, Cobalcie? Riley. Trzeba przyznać, że imię bardzo takie... ludzkie. A więc Cobalcie czy tam Rileyu, nie uważasz, że sięgnąłeś jednak trochę za wysoko, starając się przeciągnąć na swoją stronę moją drogą podopieczną? I właściwie po co, skoro i tak wiadomo było, że w końcu cię dopadnę?

Zauważyłam, jak wszystkie mięśnie w ciele Riley'a napinają się. Był gotów do walki.

– Ember, uciekaj – warknął. – O mnie się nie martw. Znikaj stąd!

– Nie! Masz tu zostać – rozkazała Lilith ostrym, zimnym głosem. – Rozprawię się z nim, a potem wracamy tam, gdzie powinnaś być. Masz tu czekać, słyszysz? To nie potrwa długo... – Uśmiechnęła się krwiożerczo,

wysuwając palce z długimi, ostrymi paznokciami. – Z tym że lepiej odwróć się, pisklaku, i zamknij oczy. Bo na pewno wolałabyś na to nie patrzeć.

Ona naprawdę chce go zabić! Spojrzałam na Rileyę, który skinął głową, niby nieznacznie, lecz znaczyło to przecież tak wiele. Przede wszystkim to, że zaaprobuje moją decyzję. Jeśli chcę wrócić do Talonu, to mogę wracać. Nie będzie mnie za to winił.

Było też oczywiste, że nie ma najmniejszego zamiaru uciekać. Będzie walczył, choć jest ranny, a za przeciwniczkę ma Lilith, najlepszą Żmiję Talonu. Będzie walczył za mnie, za Nettle, Remy'ego i Wesa, za wszystkie pozostałe zbiegłe smoki, żeby nie odbierać nam szansy na ten największy skarb, na wolność.

Oczywiście, że się bałam, ale nie mogłam postąpić inaczej. Podeszłam do Rileyę i stanęłam u jego boku.

– Nie – powiedziałam, a brwi Lilith natychmiast przesunęły się wyżej. – Nie będziesz go miała. Chyba że zabijesz również mnie.

– To fatalnie – wysyczała, cofając się o krok. – Miałam nadzieję, że zachowałeś resztki rozsądku. Niestety, myliłam się, bo jak widzę, Cobaltowi udało się całkowicie przewrócić ci w głowie. No cóż...

Zielone oczy Lilith rozbłysły takim złym blaskiem, złowieszczym.

– Jeśli zdecydowana jesteś odwrócić się od Talonu i przyłączyć do tych przestępców, jesteś też zdrajczynią. Umrzesz razem z nim!

I nagle poderwała się z ziemi, tak szybko, że nie wychwyciłam tego wzrokiem. Zobaczyłam ją, kiedy zawisała już nad nami, już po błyskawicznej Przemianie. Wielkie zielone skrzydła rzucały na nas wielki cień, tak złowrogi, że nagle poczułam się niczym. Istotą małą i bezbronną wobec tego zielonego smoka, ogromnego dorosłego smoka o łukowato sklepionej czaszce osadzonej na długiej, giętkiej szyi, z kolcami na kilkunastometrowym grzbiecie, od karku aż po nasadę wąskiego, chłuszczącego ogona.

Skośne oczy spojrzały w dół tylko raz. Spojrzały pożądliwie, bezlitośnie, i ogromny smok, wydawszy z siebie przerażający okrzyk bojowy, rzucił się na nas.

Cobalt, oczywiście już po Przemianie, błyskawicznie ustawił się przede mną, zasłaniając swoim ciałem przed dorosłym smokiem dwa razy większym od siebie. Ale paszcza Lilith pojawiła się z tyłu, łapiąc Cobalta za kark i unosząc go w górę. Cobalt wykręcił się w bok, skrzydła i ogon biły powietrze, szpony ryły jadowitozielone łuski, ale nie mógł się przez nie przebić. Nic nie mógł zrobić. Lilith pobawiła się nim chwilę i nagle puściła. Opadł na ziemię, a ona, robiąc w powietrzu upiorny piruet, zasyczała jak rozwścieczony wąż i znów rzuciła się na niego. Szarpała go szponami i kłami z nieprawdopodobną

prędkością. Cobalt, powarkując, zaczął wycofywać się w stronę oceanu, ale potknął się. Upadł i grad ciosów spadł na jego grzbiet. Żółty piasek poznaczony był czerwonymi plamami krwi. Cobalt skowytał z bólu, a ona szarpała go, katowała bezlitośnie.

Zapominając, że ja też tu jestem.

Krótki sprint po żółtym piasku. Potem podskok i błyskawiczna Przemiana w powietrzu, przecież wiadomo, że zamierzałam skoczyć jej na grzbiet już jako smok. Skoczyłam, ale ona poderwała ogon i miotnęła nim w powietrzu, odrzucając mnie na bok. Upadłam na piasek. Lilith błyskawicznie odwróciła się, wbijając mi w bok zakrzywione szpony i przygniatając do ziemi moje skrzydła. Była niesamowicie szybka, jak wąż. Wielki, inteligentny wąż ze szponami i skrzydłami, który łamał mi skrzydła i rozorywał szponami łuski.

Wtedy Cobalt z głośnym rykiem rzucił się na nią. Nie zdążył jednak nawet wysunąć szponów, bo Lilith puściła mnie, odskoczyła w tył i znieruchomiała. A ja, pojękując cicho, zaczęłam podnosić się z ziemi. A niebieski smok znów przypadł do mnie i odsłaniając kły, ponownie zasłonił mnie swoim ciałem.

A Żmija zaśmiała się, świszcząc tak upiornie, że poczułam ciarki na plecach. Zaśmiała się i zaczęła obchodzić nas wkoło, krążyć jak rekin wokół swojej ofiary. Cobalt i ja, oczywiście bardzo czujni, również obracaliśmy się dookoła.

– No proszę, proszę... – wysyczała w języku smoków. – Chyba jesteś nadopiekuńczy, Cobalcie! A nie pomyślałeś o tym, że moja uczennica może kiedyś wbić szpony i w twój bok? Elder Wurm przecież wybrał ją na Żmiję.

– Nie słuchaj jej – syknęłam. – Próbuje odwrócić twoją uwagę i zaraz zaatakuje!

I spojrzawszy na moją byłą instruktorkę, prychnęłam pogardliwie:

– Sama mnie tego nauczyłaś! Nie dam się nabrać.

A Żmija roześmiała się prawie radośnie.

– Cieszę się, że moja praca nie poszła na marne – powiedziała żartobliwie, po czym jej jadowite spojrzenie znowu zlodowaciało. – To twoja ostatnia szansa, pisklaku. Wielka szkoda, jeśli ją zaprzepaścisz, bo zapowiadasz się na świetną Żmiję. Ty i twój brat zostaliście przeznaczeni do bardzo ważnych zadań. Oczywiście nic z tego, jeśli dalej zamierzasz trwać przy tym zbiegu.

I znów metamorfoza, bo nachyliwszy się ku mnie, odezwała się ciszej, niemal łagodnie:

– Wracaj ze mną, pisklaku. Wszystko zostanie ci wybaczone. Wracaj do Talonu i będzie tak, jak być powinno. Obiecuję ci też, że ty i twój brat nigdy nie zostanieie rozdzieleni.

Dante! Drgnęłam. A Lilith uśmiechnęła się.

- A tak, pisklaku, Dante. Twój brat czeka na ciebie w domu, a ty zapomnij

o tych szaleństwach i wracaj do nas. Nie można walczyć z Talonem. Dante doskonale zdaje sobie z tego sprawę, ty też powinnaś to zaakceptować.

A ja skrzywiłam się.

– Zaakceptować? Wszystko? Także to, co robicie ze smokami niepasującymi do standardów Talonu? Z reproduktorkami? Ze smokami, które są dla Talonu niepożądane?

– To nie twoja sprawa! – Lilith zmrużyła oczy, jej głos stracił całą łagodność. – Uważaj, pisklaku, bo moja cierpliwość już się kończy! Jeśli dalej będziesz ze mną walczyć, pozabijam was wszystkich. Ciebie, Cobalta i te dwa żałosne pisklaki, które ukryły się w jaskini.

Cobalt natychmiast poderwał głowę, a Lilith zaśmiała się szyderczo.

– A co, myślałeś, że nie wiem o tych żałosnych zdechłakach? Ależ wiem i nie mam zamiaru okazywać im litości. Pisklak nie pisklak, zdrajca jest zawsze zdrajcą. Zginą. Będę wyrywać im po kolei po jednej łapie. Postaram się, żeby odbywało się to jak najmniej bezboleśnie. Potem obedrę ich ze skóry i połamię szczęki, a roztrzaskane kości zabiorę do Talonu, by przypominały wszystkim, jak kończą ci, którzy śmieli sprzeciwić się Talonowi.

Cobalt ryknął, odsłaniając kły owiane językiem ognia, czyli oznaką największego gniewu.

– Podła suka! Najgorsza z najgorszych! – warknął. – Nie dotkniesz ich! Bo najpierw ja ciebie zabiję!

I z otwartą szeroko paszczą rzucił się na Żmiję, celując w długą wdzięczną szyję, teraz w położeniu korzystnym dla atakującego, bo tuż nad ziemią. Lilith, o dziwo, uśmiechnęła się i wtedy ja, niestety poniewczasie, uzmysłowiłam sobie, że jest właśnie na odwrót, bo ta pozycja wcale nie była dla atakowanego uciążliwa. Absolutnie nie. Lilith odczekała, kiedy paszcza Cobalta zbliży się do jej gardła, i poderwała głowę z tą nieprawdopodobną szybkością węża. Szczęki Cobalta zamknęły się więc na niczym, a Lilith na moment przysiadła na tylnych łapach, łopocząc skrzydłami dla utrzymania równowagi. Zebrała się w sobie i skoczywszy na Cobalta, przygniotła go swoim o wiele większym ciałem. Widziałam nienaturalnie wykręconą szyję Cobalta, słyszałam okrzyk bólu. Skrzydła załopotwały jeszcze raz i opadły na ziemię.

Cobalt znieruchomiał. I wtedy ja, wydając z siebie przeraźliwy okrzyk pełen desperacji, rzuciłam się na tę bestię, na tę przeklętą Żmiję. Nie miałam pojęcia, jak ją ugodzę. Wiedziałam tylko jedno. Za wszelką cenę mam odciągnąć ją od Cobalta, co stało się nadspodziewanie szybko, bo Lilith, kiedy ruszyłam na nią, od razu odstąpiła od leżącego nieruchomo zbiega i ustawiła się do mnie przodem, odsłaniając kły w pożądlivym, krwiożerczym

uśmieszku.

Warcząc, rzuciłam się do niej. Ona, dalej z tym obrzydliwym uśmieszkiem, zrobiła unik. Więc ja znowu na nią, starając się złapać za przednią łapę i po prostu ją złamać, z nadzieją że wtedy wredna Żmija przynajmniej zwolni tempo. Ale nic z tych rzeczy, bo znowu mi się wywinęła. Mało tego, przy okazji przeorała mi szponem pysk. A to naprawdę zabolalo i moja wściekłość jeszcze wzrosła. Po raz kolejny skoczyłam na nią, gotowa dźgać, szarpać, rwać, gryźć, po prostu robić wszystko, by pozostała po niej tylko kupa kości i łusek.

Niestety, ledwie zdążyłam odbić się od ziemi, ona była już tuż przede mną, celując rogami w mój brzuch i pierś. I ubodła mnie. Potwornie. Odczułam to tak, jakby najechała na mnie rozpędzona ciężarówka. Gdyby nie rogowy pancerz osłaniający brzuch i pierś, na pewno połamałaby mi wszystkie żebra. Niemniej ból był straszliwy. Miałam wrażenie, jakby całe powietrze w sposób bardzo bolesny opuściło moje płuca. Jednocześnie poleciałam w tył i wylądowałam tuż nad wodą. Przetoczyłam się kilka razy, z trudem łapiąc powietrze, po czym poczułam okropny ból w jednej z moich tylnych łap. Ponieważ tam właśnie chwyciły mnie szpony Żmii. Za kostkę. Warcząc, starałam się wstać, ale na próżno, ponieważ Żmija, trzymając za tę kostkę, przeciągnęła mnie po piachu i ponownie rzuciła mną na bok. Przez oszałamiający moment cały świat wywrócił się do góry nogami, a potem grzmotnęłam o wielki głaz z taką siłą, że po prostu był to prawie nokaut.

Krzyknęłam, opadając na piasek. Przed oczami ciemno, w głowie kręciło się koszmarne. Okropnie bolał też bok, którym uderzyłam o głaz. Oczywiście próbowałam wstać, ale nogi rozjechały się i posykując z bólu, z powrotem upadłam na ziemię.

– Czy to już koniec?

Pełen satysfakcji głos Żmii odbił się dziwnym echem w mojej głowie. Przed oczami prawie ciemno, ale dostrzegłam, jak jadowitozielony smok sunie do mnie płazą. A oczy świecą mu się jak dwie latarki.

– Na tym koniec walki, pisklaku? Tak? – spytała słodko, oczywiście w języku smoków. – Czy postarasz się udowodnić, że ciebie nie doceniam?

Zacisnęłam zęby i zaczęłam się przesuwać wzdłuż wielkiego kamienia, wlokąc za sobą skrzydła i ogon. Co wcale nie było łatwe, bo szpony nie miały w co się wbić, poza tym cały bok bolał mnie okropnie. Ale przesuwałam się, ciężko dysząc z wysiłku, bólu i ze strachu. Przecież słyszałam, że Żmija idzie za mną i pokrzykuje:

– Uciekasz, pisklaku? To ty jeszcze nie wiesz, że przede mną nie można uciec? Lepiej poddaj się, a ja spokojnie cię zabiję. Postaram się zrobić to jak najszybciej!



Kompletnie wykończona na moment przywarłam do zimnego kamienia. A ona, sunąc do mnie po tym piachu, dalej pastwiła się nade mną:

– Ale z ciebie łatwa zdobycz. Jesteś po prostu żałosna! Bardzo mnie rozczarowałaś.

Wystarczy. Zrobiłam głęboki wdech, bardzo głęboki, czując, jak w moich płucach robi się bardzo gorąco.

Smok nigdy nie jest zdobyczą. Smok zawsze jest drapieżcą. Właśnie to pomyślałam w chwili, gdy spoza głazu wysunęła się podłużna, sklepiona łukowato głowa osadzona na długiej szyi.

– A... Tu jesteś – zagruchała Lilith. – Tak. Już cię widzę, pisklaku!

Zagruchała, a ja podniosłam głowę i zionęłam ogniem. Prosto w nią. Smokom ogień nie robi żadnej krzywdy, ponieważ łuski są ognioodporne, ale przynajmniej mój ogień ją zaskoczył. Zaczęła prychać, cofać się, a ja wykonałam dwa skoki. Na głaz, a stamtąd na grzbiet Żmii tuż poniżej szyi, w miejsce, skąd wyrasta skrzydło. Tam właśnie wbiłam szpony w łuski. Drapałam i wbijałam, żeby ugodzić, ale też po to, by zachować równowagę. Lilith syczała, wiała się, wyginała grzbiet, ale jakoś udawało mi się resztką sił na niej utrzymać. Mało tego. Udało mi się ją ugryźć, i to porządnie, bo wrzasnęła, miotnęła długą szyją i niestety chwyciła mnie paszczą, po czym zdarła ze swego grzbietu. Na chwilę zawisłam w powietrzu, potem rąbnęłam o ziemię. Wylądowałam na brzuchu i natychmiast ciężka łapa ze szponami przygwoździła mnie do ziemi. Druga łapa chwyciła mnie za gardło, wbijając w nie szpony.

– Zdenerwowałaś mnie, pisklaku – zawarczała.

Oczywiście, że desperacko próbowałam się uwolnić, szarpiąc się i bijąc ogonem. Było to jednak niemożliwe, bo Lilith po prostu była ogromna.

I znów zawarczała:

– Nie martw się, moja droga. Nie zajmie mi to dużo czasu. Poza tym kiedy rozszarpie ci gardło, nic już nie będziesz czuła.

Szpony coraz głębiej wpijały się w moje gardło, szarpały, czułam, jak ciepła struga krwi spływa po szyi. Oczywiście, że jeszcze walczyłam. Wiałam się, biłam skrzydłami, nie udawało mi się jednak uwolnić od żadnego krwi smoka.

– W sumie szkoda – stwierdziła Lilith, zmieniając pozycję niewątpliwie na wygodniejszą. – Teraz będziemy musieli oprzeć się tylko na Dantem.

Dante?

– Za... zaczekaj – wykrztusiłam i szpony istotnie jakby minimalnie poluzowały. – Co macie zamiar z nim zrobić?

Lilith jeszcze raz się uśmiechnęła.

– Już nie musisz się o niego martwić, pisklaku – powiedziała, znów

ściskając mnie za gardło tak mocno, że omal nie zawyłam z bólu. – Nie musisz, bo za chwilę będzie już po tobie. A może nie czekaj, tylko sama umrzyj. Bądź dobrym smokiem. Zrób to dla Talonu.

Szpony wbijały się w moją szyję coraz głębiej. Wiedziałam doskonale, że już żadnych przerywników nie będzie. Tylko finał. Zamknęłam więc oczy, przygotowując się psychicznie na ten moment, kiedy przestanę być żywą istotą. Miałam nadzieję, że zgodnie z tym, co mówiła Lilith, po rozpruciu gardła przestanę czuć ból. Oby...

I wtedy nagle ktoś zaczął strzelać.

## GARRET

– Tam! To jej samochód!

Tristan błyskawicznie zjechał z drogi i zatrzymał się tuż przy znanym mi bardzo dobrze białym sedanie. A ja przez cały czas patrzyłem w okno, starając się pokonać to jedno jedyne, dominujące teraz uczucie. Po prostu strach. Więcej – przerażenie. Tak, to właśnie czułem, kiedy patrzyłem na miejsce, które rozpoznałem od razu, choć żadnych tablic nie było. Po prostu droga, piasek, skały, ale doskonale wiedziałem, dokąd prowadzi ta kręta ścieżka, tak wąska, że prawie niewidoczna. Do Zatoki Samotnej Skały, tam, gdzie po raz pierwszy spotkałem Ember.

– Na pewno jest nad zatoką. Idziemy!

Tristan wysiadł, otworzył drzwi z tyłu, wyjął z futerału karabin i przewiesił go przez ramię, a potem podał mój karabinek M4. Odebrałem go odruchowo, tak właściwie prawie półprzytomny, przecież przez cały czas biłem się z myślami. Co teraz będzie? Mam zabić Ember? Nigdy w życiu. Nigdy, choć jednocześnie byłem świadomy, że nie wolno mi występować przeciwko Zakonowi.

Czyli czułem się jak w potrzasku. Tak skołowany, że dopiero kiedy usłyszałem swój głos, dotarło do mnie, że to ja, ja sam otworzyłem usta, zadając pytanie, które zwykle zadaje się w tego rodzaju sytuacjach:

– Jaki mamy plan?

Tristan najpierw sprawdził, czy magazynek w pistolecie 9 mm istotnie jest załadowany.

– Przeczyszemy teren – powiedział, wsadzając pistolet do kabury przypiętej do paska. – Zobaczymy, gdzie jest podejrzana i co robi, w razie czego zajmujemy pozycje i czekamy na resztę drużyny. Moim zdaniem jeśli ona faktycznie tu jest, to na pewno będzie w jaskini koło plaży...

Tristan zawiesił głos, mierząc mnie wzrokiem. Nie bez powodu, bo ubrany byłem jak cywil, ponieważ idąc na spotkanie z Ember, mundur polowy i kamizelkę kuloodporną zostawiłem w domu.

– Niedobrze... – stwierdził, kręcąc głową. – Nie masz żadnej osłony przed ogniem smoka. Jeśli dojdzie do walki, musisz być bardzo ostrożny.

I nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę skał, szybko i zręcznie posuwając się po piasku i kamieniach. Ja zawahałem się, ale cóż... Po chwili ruszyłem za nim. Szedłem, jak trzeba, ale z każdym krokiem na duszy było ciężiej.

Oczywiście nie szliśmy ową wąską, wijącą się wśród skał ścieżką, która prowadziła na plażę. Weszliśmy od razu na klif. Tristan położył się na

brzuchu, doczołgał do krawędzi skały, włożył gogle noktowizyjne i zaczął lustrować okolicę. Ja przykląkłem kawalek za nim. I czekałam, modląc się w duchu, żeby Ember tam nie było.

Niestety.

– Bingo – wyszeptał Tristan, dając znak ręką, bym podszedł.

Więc podszedłem ze ściśniętym sercem i odebrałem od niego gogle.

Niewielka zatoka skąpana była w poświacie wspaniałego księżycyca, trudno więc było nie zauważyć trzech postaci na plaży tuż nad wodą. Ember oczywiście rozpoznałem od razu i od razu serce narzuciło sobie maksymalne tempo. Oprócz niej był tam jeszcze ten chłopak, którego widziałem na imprezie u Kristin. Ten sam, który zatańczył z nią, a potem razem ze mną i Dantem bił się z Colinem i jego kumplami. Była tam też jakaś szczupła kobieta w czarnym, bardzo obcisłym kombinezonie, takim samym, jaki miała na sobie Ember. Rozmawiali ze sobą. Ich twarzy nie mogłem dojrzeć, ale postawa Ember i gwałtowne ruchy świadczyły, że jest to rozmowa na pewno burzliwa.

– No to mamy ją – mruknął Tristan, odbierając ode mnie gogle. – I tych dwoje. Wszyscy w ludzkich postaciach. Ciekawe, czy wydarzy się coś interesującego...

Owszem, wydarzyło się, i to w tej samej chwili, gdy tylko skończył mamrotać. Coś tak interesującego, że serce podskoczyło mi do gardła. Kiedy szczupła kobieta nagle została jakby wyrzucona w górę, tylko na mgnienie oka i bardzo niewysoko. I już jej nie było, a zamiast niej pojawił się smok. Dorosły smok monsturalnej wielkości z rozpostartymi skórzastymi skrzydłami, którego potężny ryk wstrząsnął skałami.

Tristan zaklął i błyskawicznie odczołgał się od krawędzi skały.

– No to mamy odpowiedź na nasze pytanie. Wszystko wskazuje na to, że ta dziewczyna była uśpionym szpiegiem!

Nie odpowiedziałem, wpatrzony w to, co działo się tuż nad oceanem, po prostu niezdolny oderwać od tego oczu. Patrzyłem, jak wielki dorosły smok z obnażonymi kłami rzuca się na Ember. Jak chłopak zmienia się w niebieskiego smoka, którego już przecież widziałem, i rzuca się na tego dorosłego, o tyle od niego większego.

Słyszałem, jak Tristan składa przez komórkę meldunek:

– Mamy ich. Trzy cele. Zatoka Samotnej Skały. Jeden z nich to dorosły smok. Czy mamy nie schodzić z pozycji, dopóki nie przybędzie cała drużyna?

Chwila ciszy, zaś moje serce wybijało szalony rytm.

– Zrozumiałem – powiedział Tristan.

A nad wodą rozgrywała się prawdziwa bitwa. Ember, naturalnie już jako

smok czerwony, skoczyła temu dorosłemu i zielonemu na plecy, ale zmiotł ją stamtąd długim, nieprawdopodobnie ruchliwym ogonem. Ember upadła na ziemię, zielony smok rzucił się na nią. A na zielonego niebieski, też z dzikim rykiem, i odciągnął zielonego smoka od Ember. A ja znowu zacząłem oddychać. Z tym że wyglądało to bardzo niedobrze, po prostu fatalnie. Było oczywiste, że zielony dorosły smok góruje nad dwoma pozostałymi. Jest od nich o wiele większy, szybszy i niezwykle zaciekły.

Co robić? Jeśli pomogę Ember, zdradzę Zakon. Jeśli nie pomogę, Ember może umrzeć...

I znowu Tristan:

– Tak jest! St. Anthony. Wyłączam się.

Odłożył komórkę, ściągnął karabin z ramienia i ułożył się z powrotem przy krawędzi klifu. Kiedy wycelował, moje serce, dotąd rozszalałe, teraz na moment przystopowało.

– Tristan! Co robisz?! Mamy czekać na resztę drużyny!

– Zmiana planów – wymamrotał, nie podnosząc głowy. – Przekazałem kwaterze głównej, że trzy smoki są aktywne. Kazali nie czekać, bo mogą stąd odlecieć. Mam strzelać. Starać się zabić wszystkie. Drugi raz taka okazja może się nie trafić.

Zmroziło mnie.

– Zaraz, zaraz! To przeciwko zasadom. Nas jest dwóch, a ich troje, w tym jeden smok dorosły. Żeby ich wykończyć, potrzebna jest cała drużyna.

– Bez przesady! – Tristan uśmiechnął się. Jego palec już przesunął się po spuście. – Te pisklaki załatwię migiem, nawet tego nie zauważą. Garret, na tym polega nasza misja! Nie możemy dopuścić, żeby nam zwiali. Wystarczy, że zabiję chociaż jednego, i to już będzie zwycięstwo. Dlatego zamknij się i nie przeszkadzaj mi w wykańczaniu tych gadów.

Dorosły smok krążył jak wilk wokół dwóch pozostałych smoków. Krążył, bijąc się wściekle ogonem po bokach, a ta dwójka obracała się wkoło, nie odrywając od niego oczu. Wyglądały na bardzo poturbowane, prawie wykończone. A ten zielony po prostu bawił się nimi.

– Nie ruszaj się – szepnął Tristan maksymalnie już skoncentrowany. – Przez sekundę.

Dorosły smok zatrzymał się, dzięki czemu dwa pozostałe były doskonale widoczne.

Tristan uśmiechnął się.

– Teraz.

Niewiele myśląc, rzuciłem się do przodu i chwyciłem za lufę, kierując ją w dół. Strzał jednak padł i prawie jednocześnie rozległ się krzyk bólu, a ja

zamarłem. Bo na pewno jeden ze smoków został trafiony. Który?!

Nie, to nie tak. Dorosły smok powalił znów niebieskiego smoka. To niebieski krzyknął i prawdopodobnie nikt z tej trójki nie słyszał strzału.

Tristan, blady z wściekłości, szarpał za karabin.

– Co ty wyrabiasz, Garret? Puszczaj, do cholery! Zwariowałeś?!

– Nie. I nie zrobisz tego.

Spojrzał na mnie tak, jakbym przemówił co najmniej w języku suahili.

– Przecież taki jest rozkaz! Nie dociera do ciebie?! Robię dokładnie to, co kazał kapitan!

– I o to chodzi. Bo Zakon się myli – powiedziałem, a on zbłądził jeszcze bardziej, spoglądając na mnie tak, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu. – Myli się, traktując wszystkie smoki jednakowo. A nie wszystkie smoki są złe. Niektóre z nich naprawdę chcą się dostosować. I nie powinniśmy zabijać ich wszystkich jak leci!

– O czym ty gadasz?! – wrzasnął Tristan i szarpnął tak mocno, że udało mu się wyrwać karabin z moich rąk.

Zerwał się na równe nogi. Był wściekły i oczywiście zszokowany tym, co zaszło. Ja też wstałem cały spięty. A Tristan zaczął się cofać, potrząsając głową.

– Garret, chyba nie mówisz serio! – wykrzyczał wzburzony. – Trzeba je załatwić, bo jak nie, to może być po nas.

– Mówię serio – oświadczyłem i ustawiłem się tak, by zablokować mu dojdzie do krawędzi klifu. – Nie pozwolę ci do nich strzelać. Jeśli się uprzesz, musisz mnie stąd ruszyć.

Przez sekundę patrzył na mnie z bezbrzeżnym niedowierzaniem, byłem jednak już prawie pewien, że ustąpi. Ale nie, bo raptem z jego twarzy zmiotło niedowierzanie i pojawił się gniew. Ręka sięgnęła do kabury po pistolet, ale ja już rzucałem się na niego. Chwyciłem za nadgarstek, dzięki czemu lufa nie została skierowana na mnie. Wtedy Tristan rzucił na ziemię karabin, który trzymał w drugim ręku, i zamachnął się, by pięścią poczęstować mnie w skroń. Błyskawicznie podniosłem rękę, blokując cios, i kopnąłem Tristana w brzuch. Zajęczał, skulił się, a ja wyrwałem mu pistolet i walnąłem go nim w głowę tuż za uchem. Tristan upadł na ziemię i znieruchomiał.

Przestąpiłem przez nieprzytomnego partnera i starając się nie myśleć o tym, co właśnie zrobiłem – i robię – złapałem M4 i pobiegłem na plażę, gdzie nadal słychać było ryki zdesperowanych smoków.

## EMBER

Otworzyłam oczy w chwili, gdy ktoś zaczął strzelać. Lilith wrzasnęła i nagle poczułam, że nic już mnie nie przygniata, a szpony zaciśnięte wokół mej szyi nagle znikły.

Ciężko dysząc, przekręciłam się na bok, by zobaczyć, co się dzieje. I prawie osłupiałam, bo Lilith wycofywała się w stronę oceanu. Tak! Cofała się, potrząsając głową, a jeden z jej boków i opancerzona pierś iskrzyły się i tryskała z nich krew. A ten ktoś, kto nadchodził plażą, kto szedł z wycelowanym karabinkiem i posyłał krótkie serie, to był...

Garret.

Żmija na widok najbardziej znienawidzonego wroga wrzasnęła przeraźliwie i otworzyła paszczę, posyłając w jego stronę złocisto-czerwoną wstęgę ognia. Ale Garret zdążył zrobić unik, przyklęknął i znów otworzył ogień. A Lilith już szła na niego. Szła zygzakiem, to w lewo, to w prawo, bardzo szybko zmieniając kierunek i unikając dzięki temu kul. W rezultacie była już bardzo blisko, z rozdziawioną paszczą, gotowa Garreta przegryźć na pół. Przerazona próbowałam za wszelką cenę podnieść się z ziemi, krzycząc cały czas do Garreta, ostrzegając go. A jednocześnie świadoma, że nie zdążę do niego dobiec.

I nagle ktoś pokryty niebieskimi łuskami zaatakował ją z boku, zadając cios w żebra. Lilith zachwiała się i omal nie upadła. A Cobalt, sycząc i warcząc, stanął między nią a Garretem. Lilith zaryczała, odwróciła się do Cobalta i wtedy znów posypał się grad kul. Niektóre odbijały się od rogów i rogowych płytek chroniących pierś, ale niektóre trafiały tam gdzie trzeba.

I wówczas ja też, nie zważając na obolałą szyję i bok, ruszyłam do akcji. Wskoczyłam na grzbiet mojej byłej instruktorki i wbiłam szpony w bok. Wrzasnęła i tylną łapą kopnęła mnie w brzuch, zrzucając na ziemię. Przekoziółkowałam kilka razy i znów stanęłam na nogach, gotowa do dalszej walki.

Ale wyglądało na to, że i Żmije czasami mają dość. Tak jak teraz Lilith, kiedy miała przeciwko sobie nie tylko żołnierza z Zakonu Świętego Jerzego, lecz także dwa zdesperowane pisklaki. Dlatego zdecydowała się na odwrót. Przykucnęła, załopotana skrzydłami, wzbijając tumany żółtego piasku, i odbiła się od ziemi. Kiedy przelatowała nad nami, przechwyciłam jej wzrok. Jadowitozielone oczy patrzyły na mnie z nienawiścią.

– Jeszcze nie skończyłam z tobą, pisklaku! – odezwała się w języku smoków. – Od Talonu nie uciekniesz. Wrócę po ciebie, i to już niebawem.

Machając wielkimi skrzydłami, wzbiła się wysoko, przeleciała nad klifem

i pofrunęła dalej, nad oceanem. I już po kilku chwilach najlepsza Żmija Talonu, słynna perfekcyjna morderczyni, była już tylko niewielką plamką na czarnym niebie. Plamka znikła. Odetchnęłam i opadłam na chłodny piasek. Bolały mnie wszystkie zębra, w boku paliło, o gardle, rozrywanych przez Lilith, lepiej nawet nie wspominać. Byłam cała poobijana, zakrwawiona i jedynym moim pragnieniem było wrócić do domu, wziąć porządny prysznic, a potem do łóżka. Zwinąć się w kłębek i spać, spać...

Czego niestety nie mogłam teraz zrobić. I teraz, i potem. Nigdy, bo w domu był mój brat Dante, który odwrócił się plecami do swojej siostry bliźniaczki, ponieważ wybrał Talon. Zaprzedał się organizacji, a ja, zwłaszcza po tym, co właśnie się wydarzyło, definitywnie już byłam tylko i wyłącznie zbiegiem.

Zniechęcona i wykończona skuliłam się, a najchętniej wykopałabym w tym piasku dół i schowała się w nim, żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć.

Nagle drgnęłam, słysząc gniewny ryk. To Cobalt. Cały spięty zerwał się na równe nogi i odsłaniając kły, zrobił jeden groźny krok do przodu. W stronę żołnierza, który stał parę kroków dalej.



## GARRET

Nic głupszego nie mogłem zrobić.

Powinienem być już nie żyć. Tak, bo według statystyk, a także zgodnie z elementarną logiką powinienem nie przeżyć tej walki. Gdy działa się w pojedynkę, sprowokowanie choćby jednego tylko pisklaka bardzo często oznacza śmierć. Oczywiście zawsze może dopisać ci szczęście, ale nie wolno zapominać, że nawet najmniejszy pisklak z Talonu jest niebezpiecznie szybki, potrafi już zionąć ogniem i ma nieprawdopodobnie ostre zęby i szpony. Owszem, możesz go zabić, ale o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że bez problemu podrze cię na strzępy.

Natomiast bez wsparcia całej drużyny zaatakowanie dorosłego smoka, który osiągnął już swoje maksymalne rozmiary, było zwykłym samobójstwem, bo dorosły smok pod każdym względem przewyższa ludzką istotę. Dlatego teraz, choć miałem wsparcie dwóch pisklaków, mogłem uważać siebie za prawdziwego szczęściarza. Gdyby Ember i ten drugi młody smok nie włączyli się do walki, byłoby już po mnie.

Chociaż kto wie, czy i tak nie będzie po mnie... Tak właśnie pomyślałem, kiedy adrenalina opadła i uzmysłowiłem sobie tak do końca, w co się wpakowałem.

Zdradziłem Zakon. Nie posłuchałem rozkazów, znokautowałem mego partnera i zaatakowałem wroga, nie mając wsparcia, dzięki czemu wróg zdołał uciec. Wykazałem się więc i bezmyślnością, i karygodnym brakiem dyscypliny. Ale nie było to moje jedyne przestępstwo, ten brak dyscypliny i bezmyślność, za które groziło mi wtrącenie do więzienia na wiele miesięcy, może nawet lat.

Zrobiłem coś o wiele gorszego. Zdradziłem w sposób wyjątkowo podły. Pomogłem wrogowi. Świadomie włączyłem się do walki wyłącznie po to, by pomóc żarliwemu czerwonemu smokowi, który przedtem darował mi życie. Oszczędził mnie, dlatego teraz walczyłem ramię w ramię z nim przeciwko jego wrogowi. Zrobiłem to, chociaż ów wróg był dorosłym potężnym smokiem, poza tym nie miałem pojęcia, dlaczego próbował zabić dwa inne smoki. A dzięki temu, że włączyłem się do walki, prawdopodobnie uratowałem życie obu mniejszym smokom, czerwonemu i niebieskiemu.

Czy warto było to robić?

Spojrzałem na Ember, która leżała na piasku parę metrów dalej. Na Ember, nie na smoka. Miała przecież imię, miała jakieś normalne życie. Miała dotąd, do tego dnia, do tego wieczoru. Do chwili, gdy kopniakiem otworzyliśmy drzwi i próbowaliśmy ją zabić. Za to, że istniała.

Gdyby było to możliwe, powiedziałbym jej, że jest mi bardzo przykro z tego powodu, chociaż za to, że strzelałem do niej, nie sposób przeprosić. Także przeprosić za tych innych, tych bardzo wielu, których krew miałem na rękach. A ja czułem już, że po tym, co się wydarzyło, nie potrafię wrócić do Zakonu jakby nigdy nic i dalej zabijać smoki. O nie. Nie potrafię być tym kimś, kim byłem dotychczas.

Nagle w ciszę wdarł się groźny pomruk, taki pomruk, że włosy stanęły mi dęba. Poderwałem głowę i zobaczyłem, że niebieski smok patrzy na mnie zdecydowanie wrogo. Kły ma obnażone i wygląda bardzo groźnie. W pierwszej chwili chciałem chwycić za broń, na szczęście udało mi się powstrzymać. Bo takiej reakcji smoka nie można się było dziwić, skoro miał przed sobą największego wroga, żołnierza Świętego Jerzego. I chociaż pomogłem odpędzić dorosłego smoka, owym żołnierzem byłem nadal. A kiedy smok staje twarzą w twarz z Zakonem, ktoś musi zginąć.

Zmusiłem się do opuszczenia broni. Przykleiłem ją do swego boku i uniosłem rękę.

– Nie jestem tu, by z tobą walczyć – powiedziałem.

Ale smok prychnął pogardliwie.

– Nie ściemniaj!

Co w ustach, a raczej w paszczy smoka zabrzmiało trochę dziwnie. Dla mnie przynajmniej, bo przecież rzadko słyszałem smoka mówiącego, kiedy był w prawdziwej postaci. Teraz słyszałem, na dodatek smoka posługującego się młodzieżowym slangiem, co w sumie było dla mnie całkiem oryginalnym przeżyciem.

– A ja to widzę jednak inaczej – mówił dalej ten niebieski, patrząc na mnie z nienawiścią. – Przybyłeś tu sam, bez wsparcia, bo spodziewałeś się, że będzie jeden smok i tego jednego chciałeś wykończyć. Zdarzyło się jednak inaczej i teraz kręcisz, bo po prostu chcesz wyjść z tego cało. Ale to nie działa, Święty Jerzy. Nie łudź się, że będziemy dla ciebie uprzejmi, kiedy wiadomo, że zamierzałeś pozabijać nas wszystkich.

Ruszył na mnie. Wtedy oczywiście podniosłem już broń i zacząłem się wycofywać.

– Stój! Przecież wcale nie chcę do was strzelać!

– Strzelać! – Niebieski smok znowu prychnął pogardliwie i dalej szedł na mnie, przypierając do skalnej ściany. – Dziś już raz do mnie strzelano i jakoś bez efektu. Jeśli więc wyobrażasz sobie, że uda ci się mnie zastrzelić, to się grubo mylisz!

Zebrał się w sobie, gotów rzucić się na mnie. Ja oczywiście zacisnąłem palec na spuście...

I wtedy między nami pojawił się czerwony smok.  
Ember.

## EMBER

Kiedy stanęłam przed Cobaltem, osłaniając przed nim Garreta, Cobalt zatrzymał się, a ja pochyliłam głowę, rozłożyłam skrzydła i przykucnęłam. Wtedy zaskoczony Cobalt zmrużył złociste oczy i warknął do mnie w języku smoków:

– Co ty wyrabiasz, Firebrand? Przecież to Święty Jerzy! Lepiej uciekaj, zanim strzeli ci w plecy!

– Doskonale wiem, kim on jest! – odparłam, nie ruszając się z miejsca. I wysuwając szpony. – Nie pozwolę, byś cokolwiek mu zrobił. Przecież nam pomógł, odpędził Żmiję. Gdyby nie on, Lilith zabiłaby i ciebie, i mnie.

Był bardzo zaskoczony. Tak. Miał to wypisane na twarzy gada. Zaskoczenie, dezorientację i niesmak.

– Przecież on nadal należy do Zakonu! Do którego należy od zawsze i zabił już tuziny smoków! A nas nie pozabijał tylko dlatego, że było nas po prostu więcej.

Czym oczywiście wcale mnie nie przekonał. Dlatego milczałam, tylko głowę uniosłam trochę wyżej. A on sarknął zniecierpliwiony:

– Wierzysz, że oszczędziłby nas? Przecież gdyby alarmy się nie włączyły, wszystkich by nas pozabijali. Ciebie, mnie, pisklaki i Wesa!

– I dlatego teraz my mamy go zabić z zimną krwią? Bo jesteśmy tacy jak oni?

– A niech cię... Ember!

Zaczął podchodzić do mnie, ale kiedy odsłoniłam kły i zasyczałam, przystopował. Bo ja nie żartowałam. O nie! Nie miałam najmniejszego zamiaru pozwolić Cobaltowi zabić Garreta, nawet jeśli był z Zakonu Świętego Jerzego. Bo Garret uratował nam życie. Dlaczego? Nie miałam pojęcia, ale zrobił to, mimo że jestem smokiem. Mimo że tego samego dnia żołnierze z Zakonu próbowali zabić mnie i Cobalta, i całkiem możliwe, że wśród tych żołnierzy był Garret.

Ale teraz nie strzelał do nas, tylko pomógł odpędzić krwiożerczą Lilith, najbardziej znaną Żmiję Talonu. I kiedy zerknęłam na niego, to czułam, że ten samotny człowiek na plaży to jest inny człowiek niż tamten żołnierz, z którym miałam do czynienia, kiedy napadli na nas w tamtym domu, do którego zaprowadził mnie Cobalt.

Nie, absolutnie nie mogłam dopuścić, by Cobalt rzucił się na niego. Nie, bo dość już tej walki, tego przelewu krwi.

– Ember...

Kiedy usłyszałam cichy głos Garreta, natychmiast spojrzałam przez ramię.

Stał tam bardzo posepny. Z naszej smoczej rozmowy, bogatej w warczenia i posykiwania, nie zrozumiał ani słowa, ale z pewnością doskonale wyczuł, o co w tej rozmowie chodzi.

Bardzo chciałam z nim porozmawiać, ale tak normalnie, żeby nie była to rozmowa między zaprzysiężonymi wrogami, smokiem i żołnierzem Świętego Jerzego. Dlatego poddałam się Przemianie. Nie, wcale nie błyskawicznej, lecz powolnej, żeby nie wyglądało to przerażająco. Słyszałam, jak Cobalt wydawał groźne pomruki, ale i tak zrobiłam to, co chciałam zrobić, i już w ludzkiej postaci klęczałam na piasku. Między żołnierzem a smokiem. Żołnierzem, który zrobił krok w moją stronę, i smokiem, który zasyczał.

Garret, nie zważając na syki Cobalta, podszedł jeszcze bliżej.

– Ember, uciekaj! – powiedział szybko, przemykając spojrzeniem po skałach. – Liczy się każda minuta. Reszta naszej drużyny jest już w drodze. Musisz koniecznie stąd zniknąć, i to jak najprędzej.

Zaskoczona zamrugałam, a Cobalt zaklął i wlepiając pełne gniewu oczy w Garreta, wybuchnął:

– Cała drużyna! A nie mówiłem, że coś kombinuje? Taki sam jak ta cała reszta. Firebrand, idziemy! Musimy stąd zniknąć, zanim te dranie się zjawią i zaczną strzelać do wszystkiego, co się rusza!

Jego duże, silne i gibkie ciało błyskawicznie wykonało w tył zwrot i szybko, zwinnie, jak wielki kocur pokryty łuskami, pomknęło do jaskini. Ja jednak nie pobiegłam za nim. Zostałam, bo koniecznie chciałam jeszcze o coś spytać.

– Dlaczego, Garret? Dlaczego to zrobiłeś? Przecież na pewno wysłał cię tu Zakon, a ty nie tylko nas nie pozabijałeś, ale jeszcze uratowałeś przed Żmiją. Zrobiłeś to, bo przedtem to ja ciebie oszczędziłam, i chcesz mieć czyste sumienie? A następnym razem i tak będziesz strzelał do nas!

– Nie, Ember! – zaprzeczył, energicznie potrząsając głową. – Nigdy więcej! Ja...

Zamilkł, a w szarych oczach zobaczyłam udrękę.

– To koniec – powiedział po chwili. – Koniec z misjami, akcjami i zabijaniem. Nigdy więcej nie będę was prześladował.

Oczywiście, że najpierw zaniemówiłam, bo była to zdumiewająca deklaracja.

– Na...naprawdę? – wykrztusiłam po chwili.

Nie uśmiechnął się, ale spojrzenie szarych oczu zrobiło się cieplejsze.

I wyszeptał:

– Jakże mógłby to robić, skoro poznałem ciebie, Ember?

Oczywiście, że bardzo się wzruszyłam. Ale też i przeraziłam.

– Ale co na to Zakon?!

– Nieważne – odparł znużonym, zrezygnowanym głosem. – Nie potrafię

dłużej wierzyć w to, w co oni wierzą. Wierzyć w to, co robimy. Ember, kiedy tu przyjechałem, byłem już tego świadomy i wiedziałem, co robię.

W szarych oczach na moment pojawił się strach. Chyba tak, ale tylko na ułamek sekundy. Znikł, kiedy Garret potrząsnął głową i zrobił głęboki, ożywczy wdech.

– Wiem też, jakie będą tego konsekwencje. Ale jest mi wszystko jedno. Postąpiłem zgodnie ze swoim sumieniem. Gdyby sytuacja się powtórzyła, na pewno zrobiłbym to samo.

– Ember!

Spojrzałam tam, skąd dobiegał krzyk wyraźnie zniecierpliwionego Cobalta. Stał tuż nad wodą z na wpół rozłożonymi skrzydłami, gotów zerwać się do lotu. A z jaskini wybiegały dwa inne smoki. Czarny i chudziutki, za nim smok jeszcze mniejszy, pokryty brązowymi łuskami. Czyli Nettle i Remy, którzy na moment wlepili we mnie zdziwione oczy.

– Ember, na co jeszcze czekasz?! – darł się Cobalt. – Ruszaj się!

– Idź już, Ember – powiedział Garret, wskazując głową smoki nad wodą. – I zapomnij o mnie. Bo mnie już nie ma. Jestem martwy. Idź już, Ember.

– Garret, ja...

I wtedy nagle usłyszałam jeszcze jeden krzyk dobiegający z innej strony. Nawoływania wielu osób. Żołnierzy wybiegających spośród skał z bronią złożoną do strzału. Pędzili ku nam plażą jak czarna złowroga chmara zabójców.

Skuliłam się odruchowo, a Garret krzyknął jeszcze raz:

– Uciekaj, Ember! Uciekaj!

Wtedy odwróciłam się błyskawicznie i śmignęłam nad wodę. Nettle i Remy byli już w powietrzu. Cobalt czekał na mnie, mimo że pierwsze kule wryły się już w piasek. Biegłam, dokonując po drodze błyskawicznej Przemiany. Zamachałam skrzydłami, już odrywałam się od ziemi. Cobalt też wystartował. Wznosiliśmy się coraz wyżej i wyżej, przesuwając się wzdłuż skalnej ściany rytej przez świszczące pociski. Nagle poczułam dławiący strach. Bo zabolalo, czyli trafili mnie. Przedziurawili mi skrzydło! Syknęłam i bijąc skrzydłami, starałam się wbić szponami w twardą skałę, pewna, że następna kula trafi mnie w grzbiet.

Natomiast Cobalt doleciał już na szczyt klifu. Przysiadł na krawędzi i mimo gradu kul czekał tam na mnie, spoglądając w dół. A ja, wydając wściekłe pomruki, powoli, ale konsekwentnie przemieszczałam się do góry, czepiając się szponami skały. Resztką sił udało mi się dobrać do krawędzi, wczołgać na klif i zrobić kilka chwiejnych kroków tam, gdzie kule już mnie sięgały. I osunąć się na ziemię.

– Ember?

Leżałam na skale wykończona, ciężko dysząc. Kiedy usłyszałam pełen niepokoju głos Cobalta, spojrzałam w górę, natrafiając na jego złocisty wzrok. Stał nade mną z rozłożonymi skrzydłami, a tuż nad jego głową ozdobioną rogami widać było wspaniałą księżyc, srebrzący swą poświatą niebieskie łuski smoka. Cobalt wyglądał po prostu magicznie, dlatego przez moją głowę, oszołomioną po tylu przeżyciach, przemknęła myśl, że stanowczo wolę Cobalta w jego prawdziwej postaci. Nie jako człowieka. Do tej drugiej, marnej postaci, mógłby już nigdy nie wracać...

Długi ogon Cobalta wystukiwał o ziemię pełen niepokoju rytm.

– Ember, jesteś ranna? Trafili cię? Ember, odezwij się wreszcie!

– Wszystko... w porządku – wychrypiałam, podnosząc się z ziemi. – Wygląda na to, że nadal jestem w jednym kawałku.

Owszem, błona prawego skrzydła było przedziurawiona, w dole, koło ostatniego paliczka, ale nie było to nic poważnego. Dla pewności rozłożyłam skrzydło i machnęłam nim parę razy. Działo bez zarzutu.

Podeszli do nas Nettle i Remy, czyli bardzo niewielki brązowy smok w paski na szyi i ogonie, oraz chudy czarny smok w koronie z łusek. Każde z nich miało zawieszony na szyi plecak. Wyglądało to śmiesznie, ale wiadomo, w tej konkretnie sytuacji nikomu nie było do śmiechu.

– I co teraz? – spytała wylękniona Nettle. – Dokąd teraz pójdziemy?

– Przed siebie – odparł Cobalt, spoglądając w przestrzeń. – Jak najdalej stąd, od Talonu i Świętego Jerzego. Odszukamy Wesa i już nas tu nie ma. Znam takie jedno miejsce w Nevadzie, gdzie przynajmniej przez kilka miesięcy będziemy bezpieczni. Nie jest to może najbardziej komfortowe lokum, ale jakoś wytrzymamy. Potem zdecydujemy, co dalej.

Spojrzał znów na mnie, uśmiechając się zawadiacko.

– A więc jak? Gotowa do drogi?

Czyli ruszamy. Opuszczamy Crescent Beach na zawsze. Dotarło to do mnie tak ostatecznie i wcale nie skakałam z radości. Przeciwnie, nagle zrobiło mi się bardzo smutno. Bo co mnie czeka? Będę zbiegiem. Definitywnie odchodzę od Talonu i do końca życia będę uciekać jak przestępca. Co prawda nie sama, bo z Cobaltem i dwoma pisklakami. Ale... Och, Dante, mój brat. Czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę? I jego, i moich przyjaciół z Crescent Beach?

Nigdy. Nigdy już ich nie zobaczę, bo mój czas jako normalnego człowieka dobiegł końca, ponieważ obrałam inną drogę, która wyklucza normalne ludzkie życie, czyli surfing, siatkówkę na plaży, spędzanie czasu w gronie przyjaciół. Nigdy już nie pocałuję się z chłopakiem, stojąc wśród fal i pragnąc, by ta chwila trwała jak najdłużej. Cudowne lato dobiegło końca. Wiadomo

było, że tak się kiedyś stanie. I stało się, i trzeba się z tym pogodzić. I żyć dalej.

Tak. Ale zanim to nastąpi, muszę jeszcze załatwić pewną sprawę. Tę ostatnią.

– Jeszcze nie – powiedziałam do oczywiście bardzo zdziwionego Cobalta. – Muszę jeszcze coś zrobić. Koniecznie.



## GARRET

Uciekła.

Ze ściśniętym sercem patrzyłem, jak Ember odfruwa, jest coraz dalej, a coraz bliżej jest moja drużyna z wycelowanymi karabinami. Strzelali, a ja stałem nieruchomo, oczy wlepione w Ember biegnącą po żółtym piasku, potem, już jako czerwony smok, wzbijającą się w powietrze razem ze smokiem niebieskim. Widziałem, jak lecą ku skałom. Potem moje serce przestało bić, kiedy trafili w Ember. Zakołysała się bardzo niebezpiecznie, szpony zaczęły gorączkowo szukać jakiegoś oparcia na gładkiej ścianie skały. Ale udało jej się zebrać w sobie, dalej pięła się w górę.

Machnęła skrzydłami jeszcze raz i czerwony smok znikł za krawędzią klifu. Wtedy odetchnąłem z ulgą, posyłając Ember bezgłośnie żarliwe przesłanie. Uciekaj, Ember, uciekaj stąd najszybciej, jak potrafisz, nie oglądając się za siebie...

– Sebastian!

Drużyna szła z powrotem ku skałom. Broń opuszczona, czyli odwrót. Nie było przecież sensu czekać, że smoki może tu powrócą, bo tak się nie stanie. Każdy żołnierz wiedział, że odleciały na dobre. A dowódca szedł do mnie. Długie nogi stawiały długie kroki, znacząc ślady w żółtym piasku. Każdy mięsień napięty od powstrzymywanej wściekłości. Jeszcze chwila i już zobaczyłem tuż przed sobą jego twarz, jego spojrzenie, które zdawało się wywiercać dziury w mojej głowie.

– Może wytłumaczysz, co tu się stało? – spytał niebezpiecznie cichym głosem.

Jednocześnie ze wszystkich stron podchodzili żołnierze, wszyscy wściekli, dezorientowani. Większość z nich znała mnie od lat, o ile nie przez całe życie. Towarzysze broni, z którymi walczyłem ramię w ramię, których ratowałem od śmierci. I vice versa. A teraz żaden z nich nie spoglądał na mnie życzliwie. Kilku było wręcz rozjuszonych, niektórzy patrzyli podejrzliwie. Przecież nie powinienem tu być, tym bardziej sam. A przede wszystkim to jak mogłem być aż tak lekkomyślny, żeby pozwolić smokom uciec.

Oczywiście nie mieli pojęcia, jaki był tego prawdziwy powód.

Jeszcze nie.

– Pytałem was o coś, żołnierzu – warknął dowódca zniecierpliwiony moim milczeniem.

Dowódca, czyli Michael St. Francis. Człowiek po prostu dobry. Cierpliwy i sprawiedliwy, można się było z nim dogadać. Nigdy nie miałem z nim żadnych problemów. Do dziś.

– Zakładam, że znalazłeś się tutaj sam nie bez powodu – ciągnął St. Francis, mierząc mnie płonącym wzrokiem. – Zakładam też, że nie bez powodu dwóch wrogów nie spaliło cię na węgiel, zanim dotarliśmy tutaj. I zakładam też, że faktycznie miałeś istotny powód, by puścić ich wolno! I schrzanić całą akcję trwającą od kilku miesięcy!

Urwał na moment, pochylając się nade mną. Jego twarz miałem dosłownie dwa centymetry od swojej. A głos jeszcze bardziej cichy, choć gniewu w nim tyle samo:

– Masz mi natychmiast podać te powody, tym bardziej że o ile mnie oczy nie mylą, to rozmawiałeś z wrogami tuż przed ich ucieczką!

Czułem przy uchu jego gorący oddech, słyszałem też, jak żołnierze zaczynają coś tam między sobą mamrotać. Ale nie odzywałem się. Po prostu stałem, patrząc gdzieś przed siebie. Twarzy swojej oczywiście nie widziałem, ale byłem pewien, że jest to twarz kamienna.

– Czy tak było, żołnierzu? Rozmawialiście z nimi? – spytał dowódca, odstępując ode mnie.

– Tak, panie kapitanie – powiedziałem i natychmiast pomruki ucichły. Bo wszyscy teraz nadstawili uszu.

Po krótkiej chwili dowódca odezwał się ponownie, tym razem głosem idealnie beznamiętnym:

– Sebastianie, sam przyznałeś, że rozmawiałeś z wrogami i pozwoliłeś im uciec. Dlatego na twoim miejscu byłbym bardzo ostrożny w swoich dalszych wypowiedziach, świadomy, że od ściany śmierci dzielą tylko sekundy...

Te słowa odczułem jak pchnięcie nożem, ale ani drgnąłem. Dalej zapatrzony w dal stałem z twarzą nieruchomą.

A St. Francis ponowił swoje zasadnicze pytanie:

– Skąd się tu w ogóle wzięłeś? Mów!

I wtedy odezwał się ktoś inny. A mnie zmroziło. Kiedy zobaczyłem, jak spośród żołnierzy wyłania się Tristan. Z jego nosa nadal sączyła się krew, skroń ozdobiona była potężnym siniakiem sięgającym aż kącika oka. Podszedł bliżej, spojrzał na mnie twardo i zwróciwszy się do dowódcy drużyny, oznajmił jasnym dźwięcznym głosem:

– Garret zdradził Zakon. Specjalnie uniemożliwił mi strzelanie do jednego z celów, mimo że otrzymałem wyraźny rozkaz zabicia tego celu. Próbowałem z nim dyskutować, ale powiedział, że Zakon nie ma racji, zabijając smoki. Że wszyscy się mylimy. Kiedy zamierzałem strzelać, napadł na mnie.

Czyli już mnie mają. Oczywiście. Byłem tylko bardzo ciekaw, czy Tristan poprzestanie na tej rewelacji, czy zda szczegółową relację. Chociaż to, co powiedział, już świadczyło, że z mojej strony było to na pewno coś o wiele

więcej niż tylko bezmyślność. Dlatego wszyscy na mnie patrzyli, niektórzy z niedowierzaniem, inni z politowaniem, inni znów z gniewem. Tylko St. Francis pozostał niewzruszony.

– Czy to wszystko? – spytał Tristana.

Tristan zawahał się na ułamek sekundy i pokiwał głową.

– Tak jest!

– Rozumiem... – mruknął St. Francis i ponownie zwrócił się do mnie. Zarówno głos, jak i spojrzenie były lodowate. – Czy masz coś na swoją obronę?

Czy miałem? Na pewno nic, co on mógłby zaakceptować. Nic, co pomniejszyłoby w oczach Zakonu moją winę. Raczej by ją powiększyło, bo Tristan przecież wszystkiego nie powiedział.

– Nie mam – wymamrotałem.

– Odbierzcie mu broń! – rozkazał St. Francis i skinął na żołnierzy stojących najbliżej mnie.

Wystąpili i odebrali mi M4 oraz pistolet. Odstąpili, unieśli broń i wycelowali we mnie. A kapitan wypowiedział swoje ostatnie słowo:

– Garrecie Xavierze Sebastianie! Aresztuję cię za współpracę z wrogiem i zdradę Zakonu. Zastaniesz przewieziony do kwatery głównej i tam rozstrzygną się twoje losy.

Spojrzałem na Tristana, starając się przechwycić jego wzrok. Ale on patrzył w bok. A ja przecież, mimo że stało się to, co się stało, nie miałem do niego żalu, mimo że Tristan, jak każdy z nas, wiedział doskonale, co mnie czeka. Zostanę przewieziony do kapitularda, gdzie z moją sprawą zapozna się ława sędziowska złożona z dowódców. Osądzą mnie i wydadzą wyrok. Jeśli uznają mnie winnym, poprowadzą mnie pod długi mur za polem treningowym, zaproponują przepaskę na oczy, a potem w odległości pięćdziesięciu metrów przede mną ustawi się kilku żołnierzy. W równym szeregu i na dany rozkaz zastrzelą mnie. Bo tak właśnie kończy ktoś, kto czuje sympatię do smoków.

W porządku. Niech tak będzie. W końcu zawsze byłem świadomy, że prędzej czy później śmierć mnie dopadnie. Wszystko wskazywało na to, że dopadnie mnie teraz, ale nie zakończę życia w paszczy smoka, lecz przed plutonem egzekucyjnym.

I jeszcze jedna różnica. Bardzo istotna. Umrę dlatego, że ocalałem czyjeś życie. Nie dlatego, że zabijałem.

Kiedy szedłem plażą eskortowany przez żołnierzy, spojrzałem jeszcze raz na szczyt klifu, za którym znikła Ember i pozostałe smoki. Na pewno byli już daleko stąd, poza zasięgiem Zakonu Świętego Jerzego. Na pewno, i ta myśl była dla mnie pociechą. Miałem również nadzieję, że Ember czasami pomyśli

o mnie, chociaż byliśmy wrogami. I że nigdy nie domyśli się, że jedynym powodem każdej decyzji, którą podjąłem tego dnia, była ona.

Ponieważ żołnierz Świętego Jerzego zakochał się w smoku.

Mimo woli uśmiechnąłem się. Oderwałem wzrok od nieba i poszedłem za byłymi już towarzyszami broni. Weszliśmy w cień między skałami, oddalając się coraz bardziej od plaży, na której po raz pierwszy spotkałem żarliwą, rudowłosą i zielonooką dziewczynę.

Dziewczynę, która jest smokiem.

## EMBER

Leżałam na brzuchu za wydumą, patrząc, jak żołnierze podążają w szeregu do dużej brązowej ciężarówki zaparkowanej za głazem. Serce tłukło się w piersi, dudniło w uszach. Bardzo chciałam, żeby się uciszyło, chociaż nikt oprócz mnie nie mógł go usłyszeć. Ani mnie zauważyć. Byłam znów w ludzkiej postaci, ubrana w czarny obcisły kombinezon, niemożliwe więc, żeby którykolwiek z tych żołnierzy dojrzał mnie wśród skał i wydym. Ale i tak się bałam, bo sam ich widok wzbudzał we mnie lęk. Przecież to moi wrogowie, o czym już po raz drugi miałam okazję przekonać się na własnej skórze. Przedtem wojna z Zakonem była dla mnie czymś odległym, prawie nierealnym. Byłam taka naiwna, ale teraz już wiem, że Święty Jerzy nie zna litości. Zabija wszystkie smoki tylko dlatego, że istnieją. A skoro tak, to ode mnie też niech niczego innego nie oczekują. Będę taka sama wobec nich wszystkich.

Z wyjątkiem jednego człowieka. Zauważyłam go prawie od razu między dwoma uzbrojonymi żołnierzami. Szedł z opuszczoną głową. Kiedy go zobaczyłam, serce omal mi nie pękło z wielkiego smutku i poczucia wielkiej winy. Bo to przecież dla niego zachciało mi się być człowiekiem, tak naprawdę, choć przez chwilę. A te chwile, jakie dane nam było spędzić razem, były niezwykle, były najdoskonalsze. I były jednym wielkim kłamstwem.

On też zdradził. Zapamiętałam doskonale wyraz jego twarzy, kiedy udało się w końcu odpędzić Lilith. Twarz jego mieniła się, bo najprawdopodobniej zdał sobie sprawę, że zdradził wszystko, czemu służył. Zdradził Zakon, tak jak ja zdradziłam Talon.

I te jego ostatnie słowa, skierowane do mnie, tuż przed moim odlotem razem z Cobaltem i pisklakami. Ostatnie słowa, które powiedziały wszystko.

„Zapomnij o mnie, bo mnie już nie ma. Jestem martwy”.

Zabiją go. Święty Jerzy odbierze mu życie za to, że nam pomógł. Garret zdawał sobie z tego sprawę, wiedział, jakie będą konsekwencje, a mimo to zdecydował się uratować zaprzysiężonego wroga i ponieść za to śmierć z rąk towarzyszy broni.

Dlaczego? Wiedziałam, przecież też mi to powiedział. Bo nie potrafi już wierzyć w to, w co oni wierzą. Wierzyć w to, co robią...

Nagle ktoś, ulokowany tuż obok mnie, odezwał się bardzo niezadowolonym głosem:

– Nadal trudno mi uwierzyć, że dałem ci się do tego namówić.

Powoli, by zdążyć przykleić do twarzy uśmiech, obróciłam głowę i spojrzałam na człowieka, który leżał na brzuchu obok mnie. Na Riley'a

w czarnych dżinsach i szarym T-shircie. I który wcale nie był zadowolony, że nadal przebywa w pobliżu żołnierzy Świętego Jerzego, o czym świadczył już sam fakt, że mojego uśmiechu wcale nie odwzajemnił.

– Ejże, a ktoś mi kiedyś mówił, że był Bazyliżkiem... – szepnęłam. – Powinieneś więc być przyzwyczajony do tego typu akcji.

– Jeśli chodzi o Talon, to na pewno. Ale nie dla zabawy. A już na pewno nie po to, by uratować jednego z tych drani od Świętego Jerzego, który dziś do mnie strzelał!

– Nie do ciebie, Riley. On nam pomógł, choć doskonale wiedział, jakie będą tego konsekwencje. Za coś takiego Święty Jerzy wyśle go na śmierć.

– A mnie to wcale nie wzrusza – burknął Riley. – Najlepiej by było, jakby się oni wszyscy pozabijali, i byłby święty spokój! A na ten twój wariacki plan zgodziłem się tylko dlatego, że nie widziałem sposobu, by wybić ci go z głowy...

Niby zły, a jednak delikatnie pogłaskał mnie po policzku i dokończył już odrobinę łagodniejszym tonem:

– Dlatego jestem tu razem z tobą, a oni najpewniej nas wykończą.

Nagle silnik zawarkotał. Szybko spojrzałam na ciężarówkę. Garret właśnie wsiadał do niej razem z eskortującymi go żołnierzami. Drzwi zamknęły się za nimi, światła samochodu rozbłysły i ciężarówka ruszyła. Podskoczyła kilkakrotnie na wykrotach, wjechała na drogę, przyspieszyła i zniknęła w ciemnościach.

– Pojechali!

Zerwałam się na równe nogi i błyskawicznie dokonałam Przemiany, po raz kolejny pozbywając się ludzkiej powłoki. Zamachałam skrzydłami i spojrzałam na Rileyę, który podnosił się z ziemi znacznie wolniej, z wyraźnym ociąganiem.

– Ruszaj się! – krzyknęłam. – Nie możemy dopuścić, żeby odjechali!

Riley westchnął, a ja, zła na niego, odsłoniłam kły.

– Zrobisz, co chcesz, Riley. Zostajesz albo idziesz ze mną. Ja w każdym razie mam zamiar go odbić. Z tobą albo i bez ciebie!

Riley najpierw, oczywiście, zrobił odpowiednią minę, ale potem znikł i w jego miejsce pojawił się Cobalt. Bardzo niezadowolony, bo złociste oczy były przymrużone.

– Zwyciężyłaś, Firebrand. Trudno. Zaczynamy więc tę samobójczą misję!

Noc była ciepła, łagodne powietrze pieściło błonę w rozpostartych skrzydłach, ale w środku, we mnie, wcale nie było łagodnie. Oddychałam głęboko, a z każdym oddechem w moich płucach był coraz większy żar. Kiedy zaś spojrzałam na drogę, moja paszcza wykrzywiła się w okrutnym uśmiechu

i zasyczałam, wysyłając do nich, razem z wiatrem, moje smocze przesłanie. Święty Jerzy od zawsze poluje na smoki. Ciekawe, jak się poczuje, kiedy smoki zapolują na niego.

Idę do ciebie, Garret! Wytrzymaj!

Wiatr powiał. Dla mnie. Razem z nim wzbiłam się w powietrze. Ku niebu.

# EPILOG

## DANTE

– Panie Hill, czy pan wie, dlaczego pana wezwaliśmy?

Skinąłem głową. Oszczędnie, byłem przecież bardzo spięty, kiedy jasnowłosa mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka – mężczyzna, którego kiedyś już widziałem – mierzył mnie niezwykle chłodnym wzrokiem.

– Tak, wiem – odparłem uprzejmym, opanowanym tonem, tak jak mnie uczono. – Podejrzewam, że ma to związek z moją siostrą.

Jasnowłosa mężczyzna zacisnął usta, splótł także mocniej palce rąk opartych o lśniący blat biurka.

– Ember Hill, pańska siostra, zdradziła nas – oznajmił i moje serce znieruchomiało, choć przecież już wiedziałem. Uzmysłowiłem to sobie w chwili, gdy Talon przyszedł po mnie. I od tej właśnie chwili czułem się bardzo podle.

– Pańska siostra odmówiła powrotu do domu – ciągnął jasnowłosa mężczyzna. – Nie wróciła z Lilith, lecz opuściła miasto razem z niebezpiecznym zbiegiem, Cobaltem, byłym agentem Talonu. Nikt nie wie, gdzie przebywają.

Znów zawiesił głos, oczywiście po to, by przyjrzeć się mojej reakcji. A ja dalej siedziałem nieruchomo, wstrzymując oddech.

Jasnowłosa mężczyzna uśmiechnął się.

– Ember Hill została zbiegiem. W oczach Talonu jest zdrajczynią. Jeśli nie odzyska zdrowego rozsądku i nie wróci do organizacji, zostanie zabita. Elder Wyrm chciałby tego uniknąć.

Znów krótka przerwa i badawcze spojrzenie niebieskich oczu. Jakby już spodziewał się reakcji na to, co powie teraz.

– Dlatego chcielibyśmy, by pan skłonił ją do powrotu do Talonu. Właśnie pan, panie Hill.



## PODZIĘKOWANIA

Wielkie dzięki należy się przede wszystkim memu wydawcy, Natashy Wilson. Kiedy wiele miesięcy temu usłyszała, że przymierzam się do serii o smokach, najgoręcej ze wszystkich zachęcała mnie do zrealizowania tego pomysłu. Jestem Jej bardzo wdzięczna za zapał, oddanie i ciężką pracę. Za wszystkie mejle kursujące między nami, dotyczące najdrobniejszych szczegółów, które uszły mej uwadze. Po prostu dziękuję Jej z całego serca za to, że jest najcudowniejszym wydawcą na naszej planecie. Dziękuję też Laurie MacLean, agentce idealnej, która odpowiedzi „nie!” po prostu nie przyjmuje do wiadomości. Dziękuję także Brandy Rivers za to, że sprawiła, by Talon został zauważony przez odpowiednie osoby. Brandy, na swoim polu jesteś najlepsza z najlepszych, a tak w ogóle to jesteś cudowna!

Gorące podziękowania również dla całego zespołu Harlequin TEEN – Amy Jones, Melissy Anthony, Lisy Wray, Michelle Renaud, Nicki Kommit, Larissy Walker, Reki Rubin, Christine Tsai, dla działu sprzedaży i w ogóle wszystkich w Harlequinie, którzy włożyli tyle pracy w moje książki. Wszystkim, bo jak mówi stare przysłowie, w wychowaniu dzieci bierze udział cała wioska. A moje książki nie mogły znaleźć się w lepszych rękach. Bardzo dziękuję obdarzonym wielkim talentem artystom i projektantom, Kathleen Oudit, Erinowi Craigowi, Borze Tekogulowi, Fionie Ngan i Natasy Hatsios, za wspaniałą okładkę „Talonu”. Wielkie dzięki Chrisowi Parksowi za emblemat złotego smoka. Bardzo, bardzo dziękuję Wam wszystkim za jedną z najpiękniejszych okładek, jakie kiedykolwiek widziałam. Przeszliście samych siebie!

Dziękuję też Jeffowi Kirschenbaumowi, Sarze Scott, Ainsley Davies i Chrisowi Morganowi za wsparcie i zapał. Za to, że sprawili, że skromna pisarka z Kentucky czuje się jak gwiazda filmowa.

A na koniec – co wcale nie znaczy, że najmniej gorąco – dziękuję mojej rodzinie, która ani przez sekundę nie wątpiła, że pewnego dnia zostanę pisarką. Mojemu mężowi Nickowi, prawdziwemu księciu w lśniącej zbroi, dziękuję za to, że również skłania się ku tezie, że smoków nie należy zabijać, tylko zadbać w domu o odpowiednie zabezpieczenie przeciwpożarowe i kupić sobie siodło na smoka.

## PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Na początku opowieści Ember i Dante nie mają pojęcia, czym naprawdę jest Talon, co Talon robi dla smoków. Jak zmienia się nastawienie Ember, dlaczego tak się dzieje? Jaka przemiana zachodzi w Dantem? Dlaczego kończy się to tym, że Ember i Dante mają odmienne zdania na temat Talonu? Formułując swoją opinię, wskaż na cechy charakteru każdego z nich.
2. Zakon Świętego Jerzego uważa, że ma prawo tak właśnie postępować ze smokami. Talon wierzy, że stosuje właściwe środki, by zagwarantować smokom przetrwanie. Riley/Cobalt uważa, że ma prawo opuścić Talon. Która z wyżej wymienionych postaw jest Twoim zdaniem słuszna? Kto ma rację, a kto jest krótkowzroczny? Czy można tu mówić o całkowitej racji? Przedyskutujcie to.
3. Dlaczego Talon uważa, że smoki wobec ludzi są gatunkiem nadrzędnym? Jak może to w przyszłości wpłynąć na organizację? Przedyskutujcie to, posługując się przykładami z książki.
4. Dlaczego Zakon Świętego Jerzego uważa, że zabicie wszystkich smoków jest możliwe do zaakceptowania? Jakie jeszcze środki mogą zastosować, by chronić ludzi przed smokami?
5. Ember uczono, że smoki w przeciwieństwie do ludzi nie angażują się emocjonalnie. Ember jednak przywiązuje się do Garreta i Lexi. Co o tym sądzisz? Dlaczego tak się dzieje? Czy Ember jest inna niż pozostałe smoki, czy jest tego inny powód? Swoje zdanie poprzyj przykładami z książki.
6. Ember jako zbieg będzie musiała strzec się zarówno Talonu, jak i Zakonu Świętego Jerzego. Z czyjej strony grozi jej większe niebezpieczeństwo i dlaczego?
7. Ember i Dante są rodzeństwem, siostrą i bratem, co w przypadku smoków jest czymś niebywałym. Jak fakt, że są spokrewnieni, wpływa na ich wzajemne relacje? Wskaż przykłady z książki. Co twoim zdaniem się wydarzy, kiedy Ember i Dante znów się spotkają?
8. Gdybyśmy nagle dowiedzieli się dziś, że smoki istnieją i żyją wśród nas, jaka twoim zdaniem byłaby reakcja ludzi na to odkrycie? Jaki byłby stosunek ludzi do smoków? Jak by je traktowano?

Tytuł oryginału:

*Talon*

Pierwsze wydanie:

Harlequin Teens, 2014

Opracowanie graficzne okładki:

*Kuba Magierowski*

Redaktor prowadzący:

*Grażyna Ordęga*

Opracowanie redakcyjne:

*Władysław Ordęga*

Korekta:

*Sylwia Kozak-Śmiech*

© 2004 by Julie Kagawa

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B. V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin jest zastrzeżony.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN: 978-83-276-1257-1

Konwersja do formatu MOBI:

Legimi Sp. z o.o. | [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Część I

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Garret

Ember

Część II

Riley

Ember

Garret

Ember

Riley

Ember  
Garret  
Ember  
Garret  
Ember  
Garret  
Riley  
Ember  
Garret  
Ember  
Riley  
Ember  
Garret  
Riley  
Ember  
Garret  
Riley  
Ember  
Garret  
Riley  
Ember  
Garret  
Ember  
Garret  
Ember  
Garret  
Ember  
Garret  
Ember

Epilog

Dante

Podziękowania

Pytania do dyskusji

Strona redakcyjna